

**ANTOLOGIA**

**SPOTKANIE W PRZESTWORZACH**

**TOM - 4**

## *Spis treści*

## *Spis treści 2*

Nieporozumienie 3

Co większe muchy 17

Glebro albo jasna dziura 31

1. Mroczny lej 31

2. Żona podporucznika 33

3. Miłość 38

4. Próba przebicia się 42

5. Definicje i ponowna próba przebicia się 45

6. Likwidacja teściowej 47

7. Zwierzenia w świetlnej klatce 51

8. Szczur 60

Nieobecność 62

Rozdział I. 62

Rozdział II 66

Rozdział III 71

Rozdział IV 81

Rozdział V 88

Rozdział VI 91

Rozdział VII 100

„I nastąpiła noc, a potem poranek, dzień pierwszy” 108

1. 108

2. 112

3. 115

4. 116

5. 124

Arsenał 152

1. 152

2. 158

3. 166

4. 174

5 182

6. 190

7. 197

Eutanazja 205

Oni 210

Powrót 219

Bramy szaleństwa 226

1. 226

2. 237

3. 243

4. 248

5. 251

6. 261

7. 269

8. 284

9. 291

10. 293

Lustro 296

Koloryt lokalny 306

Zakład Zamknięty 316

Wędrowiec 324

= 3,13 326

Zręby władzy 337

## Nieporozumienie

Opadali na kamienny płaskowyż, przy jego północnym skraju, tam, gdzie rozjaśniana promieniami słońca płaszczyna zaczęła wolno falować i przechodzić w załomy skalnego zbocza, aby nieco dalej urwać się stromą przepaścią w dół. Lekka wibracja i jęk dobijających tłoków amortyzatorów oznajmiły, że siedli dobrze; buzujący z dysz ogień jeszcze przez chwilę wzbijał w otoczenie chmury kurzu i drobnych kamieni, które w drgającym od żaru powietrzu zasnuwały ekrany rdzawą poświatą. Wreszcie tłumiony przez borazonowy pancierz rakiety syk ustał. Zanim jeszcze opadła mgława poświata pary i dymu, Militaryk nacisnął klawisz siłowego pola.

Odetchnęli. Teraz poczuli się bezpieczniejsi, niewidzialna osłona rakiety uniemożliwiła przedostanie się w jej bliski obręb jakiegokolwiek siły materialnej. Chwilę jeszcze siedzieli w fotelach, wreszcie odpięli pasy i włączyli aparaturę. Sterując obiektywami kamer zaczęli lustrować otaczające ich połacie równiny i skał, powoli i ostrożnie, jak nakazywał stan zagrożenia pierwszego stopnia - w takich kategoriach musieli obecnie traktować otoczenie i własną nowo budowaną bazę, której skraj srebrzył się w dali, wyłaniając się zza skalnego wzniesienia.

Prawie dwa miesiące temu przybyli tu, w te mniej znane i uczęszczane rejony kosmicznej pustki, jakby wymiecionej z rozżarzonych okruchów materii; w tym rejonie gwiazdy oddalone były od siebie co najmniej o kilkadziesiąt parseków. Niemniej odkryty przez galaktyczny zwiad podwójny układ dwóch słońc - czerwonego karła, ze sporym układem planetarnym oraz bliźniaczej żółtej gwiazdy z jedną tylko planetą rozmiarami i atmosferą podobną do Ziemi - trzeba było zbadać i sklasyfikować. I chociaż wstępny rekonesans, jakiego dokonano z macierzystego statku potwierdził istnienie atmosfery nadającej się wyśmienicie do oddychania oraz rozwijającej się wolno, łagodnej roślinności stepowej - co czyniło z planety dogodną przystań do zasiedlania i szansę rozładowania problemu przeludnienia Układu Słonecznego - plany trzeba było przekreślić w zarodku - astronomowie i grupy pokrewnych naukowców wykryli, że żółta gwiazda należy do niestabilnej grupy słońc typu G, o dużej skali chwiejności emisji. Jednak, mimo realnego zagrożenia, które prawdopodobnie uaktualni się dopiero za wiele milionów lat, postanowiono założyć na planecie bazę i przeprowadzić na niej dokładne badania typu biofizycznego.

Do założenia bazy na tym spokojnym globie wybrano dwóch młodych naukowców o profesji fizykochemicznej i dodatkowych specjalnościach pilotów i konstruktorów baz planetarnych. Stąd dano im do dyspozycji jedną z transportowych rakiet, pełne ładownie budulca oraz dwóch osobistych pomocników, roboty typu zwanego potocznie „sobowtór”. Był to nowy wymysł specjalistów grupy cybernetyczno-zabezpieczającej, który powoli zaczął być stosowany jako obowiązujące wyposażenie każdej załogowej wyprawy galaktycznej. Automaty typu „S” były najnowszymi modelami o wysokim stopniu samodzielności, przystosowanymi do badań w najtrudniejszych warunkach terenowych i klimatycznych, jakie mogły występować na nieznanymi ciałach kosmicznych. Ich krystaliczne układy mózgowie wyhodowane były z molekularnych polimerów izotopowych i oprócz zwykłego motoru aktywności posiadały ukierunkowanie treściowe do profesji reprezentowanych przez przypisanych im ludzi. Upraszczając rozumowanie, każdy z członków załogi miał na pokładzie swego sztucznego zastępcę - robota, który mógł zastąpić go w wyspecjalizowanej pracy w warunkach zagrażających życiu człowieka. Korzystając z szerokiego opanowania procesów krystalizacji automaty te były zewnętrznie formowane na wzór i podobieństwo swych właścicieli; za stosowaniem tego zwyczaju przemawiały

jakiś głębokie racje wybitnych naukowców, ale niewielu kosmonautów w nie wierzyło. Ponieważ jednak zewnętrzne walory automatów były wygodne w posługiwaniu się nimi, więc przyjęły się szybko.

Tak więc pozostawiono na rozległym płaskowyżu, nadającym się doskonale do założenia bazy, dwóch pionierów, a macierzysty statek z resztą załogi pożegłował do sąsiedniego słońca, aby przeprowadzić badania szerokiego układu planetarnego czerwonego karła. Jednak po jakimś czasie systematycznie wysyłane do macierzystego statku, zaorbitowanego przy czwartej planecie karła, sygnały nagle urwały się. Nie pomogły próby nawiązania łączności awaryjnej, więc - po wielu pytaniach pozostałych bez odpowiedzi - postanowiono zbadać wszystko na miejscu. Wysłano dwuosobową zwiadowczą rakietę z Pilotem i Militarykiem na pokładzie, która po dotarciu na miejsce - krążąc po orbicie parkingowej - jeszcze raz podjęła próbę nawiązania łączności z pierwszą załogą. Niestety, planeta i założona na płaskowyżu baza - wyraźnie wyznaczona przez radary, podobnie jak i odnaleziona, krążąca po orbicie stacjonarnej sonda - milczały. A zatem zaszło coś naprawdę nieznanego i groźnego w skutkach. Trzeba było lądować, zachowując daleko idącą ostrożność...

Wizualne sprawdzenie skalnej równiny w najmniejszym stopniu nie odpowiedziało na najważniejsze pytanie: co się stało z załogą bazy? Otoczenie było martwe, bez jakiegokolwiek ruchu i gdyby nie stojące w dali wysokie cygario rakiety, oraz wynurzający się zza ściany skalnego bloku, zajmującego centralno-wschodnią część płaskowyżu, rąbek kratowej konstrukcji budynku bazy, można by pomyśleć, że są tu pierwszymi gośćmi.

- Obraliśmy trochę zły wizualnie punkt - zauważył sceptycznie Pilot - Oni pewno są w bazie...

Towarzysz zerknął na niego jakoś tak podejrzliwie, ni to kpiąco, ni z troską i rzucił:

- Nie wiem, czy żywy człowiek pozostawiłby włącz do rakiety otwarty i poszedł... na dalszą wędrówkę.

- Ty zawsze widzisz wszystko w krańcowo czarnych barwach - burknął Pilot. - Pozostawienie otwartego włącz jeszcze o niczym nie świadczy.

- Profesjonalne wyrobienie - Militaryk najpierw odparł na zaczepną uwagę kolegi, a dopiero potem ustosunkował się do reszty wypowiedzi: - Uważasz zatem, że pozostawili wszystko i poszli sobie na dłuższe zwiedzanie planety? Obok rakiety widzę transporter - wskazał brodą na ekran, który przedstawiał zbliżenie dolnych partii rakiety i charakterystyczną ramę opancerzonego transportera w prawym rogu.

Pilot przygryzł dolną wargę i wymyślił na poczekaniu:

- Mogli polecieć śmigłowcem...

- Uhm... - mruknął Militaryk i kiwnął łaskawie głową na znak biernej zgody. Chciał dorzucić, że pewno lekki śmigłowiec leży w lukach rakiety w częściach, jak zwykle bywało, ale dał spokój. Towarzysz wydawał się czymś podrażniony, a wszczęcie złośliwej dyskusji nie było w tej chwili na miejscu, mieli przed sobą masę roboty - Myślę, że zaczniemy od ich rakiety - zaczął wolno nakreślać plan poszukiwań. - Przygotuj automaty... Ja sprawdzę, czy przypadkiem nie uległa zmianie atmosfera.

- Chcesz wyjść bez skafandrów? - W głosie Pilota dźwięczała nuta ogromnego zdziwienia.

Militaryk uśmiechnął się. Dopiero po chwili odparł:

- Zawsze lubię wiedzieć więcej niż należy. Spiesz się. Mamy dużo do sprawdzenia, a tu już chyba południe. Chciałbym mieć do wieczora przynajmniej wstępnie ustaloną opinię.

Po kilku minutach, w towarzystwie dwóch automatów, wchodzili do służby powietrznej w baniastych sztywnych skafandrach próżniowych, służących do penetracji ciał kosmicznych o dużej skali zagrożenia. Precyzyjne czujniki nie wykryły żadnych zmian w otoczeniu, toteż Militaryk, jako dowódca ich dwuosobowej załogi, nawet sam przed sobą nie potrafił w pełni wytłumaczyć wydanego przed chwilą polecenia założenia tego typu skafandrów - było ono zapewne wynikiem reprezentowanej przez niego zasady: ostrożności nigdy nie za wiele.



Przeszli przez utworzoną zawczasu śluzę w polusiałowym, którą zlikwidowali zdalnym emitorem fal wysokiej częstotliwości i wolno, z palcami na spustach silnych laserowych miotaczy, posuwali się prostopadle w kierunku opuszczonej rakiety. Pod wpływem ciężkich stapań ich okutych butów po twardym podłożu, unosiły się w powietrze, ledwo widoczne w silnym nasłonecznieniu mgiełki szarego pyłu, który osiadał na butach i dolnych partiach nogawek skafandrów.

Zatrzymali się kilkanaście metrów od schodkowej pochylni prowadzącej do owalnego wjazdu głównego rakiety i rozejrzeli uważnie. Nigdzie żywego ducha. Ostre promienie słońca wybijały z krystalicznej struktury pobliskich skałek gamę różnobarwnych refleksów i rozpraszały ją w czystym, spokojnym powietrzu. Błyszcząca sinawo konstrukcja budynku bazy już z dala wydawała im się jakoś dziwnie zdeformowana i jakby pokraczna, ale nie zwracali na nią na razie uwagi - pierwszym celem ich penetracji było serce wyposażenia każdej ekspedycji - rakieta.

Militaryk wysłał przodem dwa towarzyszące im automaty. Po chwili ruszyli za nimi. Idąc po schodkach zostawili na nieskalanej warstwie szarego pyłu ślady swoich butów. Oceniając po grubości tej warstwy i zaawansowaniu prac przy budynku bazy, coś niesamowitego musiało się tu wydarzyć już dawno, niedługo po odlocie macierzystego statku; za tym samym wnioskiem przemawiał nagły brak sygnałów docierających początkowo do planet sąsiedniego słońca.

Zanurzyli się w półmroku śluzy. Przesłona odgradzająca dojście do głównego korytarza była otwarta na przestrzał i mroczna. Ten mrok zastanowił Militaryka. Przecież, jeśli już nie stos na biegu jałowym, to przynajmniej bloki akumulatorów powinny oświetlać pomieszczenia. Nieprawdopodobne, aby załoga wygasiała wszystkie światła, pozostawiła otwarty wjazd i... poszła sobie. Podzielił się myślami z kolegą.

- Może zwarcie... - odparł Pilot bez przekonania.

- Wszystkie bloki naraz? - nie dowierzał Militaryk.

Drzwi do centralnej sterowni były lekko rozsunięte. U wejścia stały automaty. Pilot rozsunął bardziej prawą połówkę drzwi lufą lasera i oświetlił wnętrze silną smugą reflektora. Pomieszczenie było puste, ale jakoś niesamowicie odmienione i napełnione dziwną jasnością, podobną do girland jarzących się pajęczyn, pokrytych mnóstwem gorejących punkcików zlewających się niemal w jedną całość.

Przez chwilę stali milcząco, zaskoczeni tym, co zastali. Pierwszy odezwał się Pilot:

- To chyba te lumenidy, o których sygnalizował Chemik.

- Lumenidy... - powtórzył Militaryk nie rozumiejąc określenia.

- No... Coś w rodzaju kolonii światłowców, które akumulują energię czerpaną z promieni słonecznych, przez co świecą w ciemności. Zupełnie jak nasze robaczki świętojańskie, ale o wiele mniejsze.

- Aha... - szepnął Militaryk. - Dziwne, że się tu zadomowiły. I jakie ilości...

- Widocznie im tu dobrze.

Militaryk nakazał automatom zostać na korytarzu. Weszli do wnętrza sterowni. Zgarnęli pajęcze zawieszyny z centralnego pulpitu i zaczęli naciskać klawisze rozrządu. Ani jeden błysk nie zasygnalizował obecności energii elektrycznej.

- Stos chyba wyłączony - szepnął Pilot - Akumulatory widać rozładowane, bo inaczej... - urwał i dodał: - Wiem, trochę za szybko. Więc chyba jednak zwarcie.

- Może przez te... pajęczyny? - Militaryk podsunął rozwiązanie zagadki.

- Cholera wie. Może być. Wydają się wilgotne - rozgniół warstwę pajęczyn piankową rękawicą skafandra. - Nawet niezbyt. Jakby lekko tłuste, idziemy dalej?

- Oczywiście...

Wyszli ze sterowni i w podobny sposób spenetrowali wszystkie główne pomieszczenia rakiety, od pokoi osobistych załogi do luków towarowych. Wszędzie natrafili na pajęcze populacje lumenidów,

choć rozplenionych mniej niż w sterowni, gdzie było ich zatrzesienie. Automatów, podobnych do tych, które kroczyły obecnie wraz z nimi nie było na swych stanowiskach, a zatem przepadły razem z żywymi ludźmi. Ten fakt jeszcze bardziej utwierdził ich w przekonaniu, że musiało tu zajść coś bardzo groźnego.

Wynurzyli się z rakiety z taką samą ostrożnością z jaką weszli, jakby z obawą, że tam, u wejścia, czeka już na nich w ukryciu jakiś kosmiczny stwór, obdarzony krwiożerczą inteligencją. Jednak otoczenie było jak dawniej puste i spokojne.

Ruszyli w kierunku budynku bazy. Wznosił się w oddaleniu ponad stu metrów od rakiety, przy południowym skraju urwistego zbocza. Nim doszli do celu nabrali całkowitego przekonania, że pierwsze wrażenie o jego zdeformowanym wyglądzie nie myliło ich. Rozeszli się na odległość kilkunastu metrów i puścili przodem automaty, bacznie lustrując pobliskie otoczenie.

I chociaż do żadnej agresji nie doszło, stanęli nagle zdruzgotani tym, co zobaczyli przed sobą: Kopulasta konstrukcja o podstawie wydłużonego owalu, tylko na niewielkiej powierzchni dachu pokryta falistymi płytami z zielonkawego tworzywa, była w zdumiewający sposób zniszczona - po prostu popalona, zapewne laserowymi cięciami. Dwa sąsiednie słupy nośne całej konstrukcji były w kilku miejscach przepalone, przez co runęły w dół pociągając za sobą cały strop, również noszący ślady długich i licznych cięć.

Dłuższą chwilę stali nieruchomo, zdumieni tym, co zobaczyli. Domysły, które podsuwała im wyobraźnia, mogące uchodzić za wytłumaczenie tego niesamowitego faktu, były tak straszne, że wytrąciły ich z zadumy.

- Wygląda na wielkie pobojuwisko - odezwał się wreszcie Militaryk - Albo... - urwał i zerknął na towarzysza przez przesłonę hełmu.

- Nie myślisz chyba, że?... - Pilot odwrócił się do niego energicznie. Przez plastik prześwitywała jego wzburzona twarz.

- Takie cięcia pozostawiają nasze lasery. - Militaryk wskazał na równą bruzdę powstałą po przejściu rozżarzonej igły świetlnej.

- Więc jednak przypuszczasz, że to oni sami? - Pilot bronił się ostro przed przyjęciem tej wersji. - Powariowali i wytlukli się, tak? A automaty?... Co z nimi?

Militaryk nie odpowiedział. Wysłał oba automaty towarzyszące w głąb budowli, mogącej runąć za każdym poruszeniem którejś z jej części, aby przeszukały wnętrze. „Sobowtóry” odsunęły sprawnie kilka zagradzających im drogę kształtowników i wdarły się do wnętrza zdewastowanego pomieszczenia. Po chwili przez otwory w konstrukcji błysnęły świetlne smugi ich reflektorów.

- Radiostacja i radar pewno też w rozsypce. - Militaryk wskazał na pobliski szczyt niewielkiego wzniesienia, gdzie ze skał wyłaniał się koniec wysokiej iglicy anteny i rąbek kapelusza radaru.

- Trzeba sprawdzić. Wejście znajduje się pewno od północy. Tu zbyt stromo.

Po chwili wynurzyły się automaty. Z ich relacji wynikało, że wnętrze niedokończonej bazy jest puste. A zatem wszystko wskazywało na to, że załogi żywej lub martwej nie było w jej otoczeniu.

- Idziemy... - rzucił Militaryk.

Obeszli niewielkie wzniesienie. Pilot nie mylił się, od północy zbocze było łagodniejsze. W nim pierwsza załoga wykonała coś w rodzaju kamiennych schodów ułatwiających wejście na szczyt.

Ruszyli w górę; jak zawsze przodem automaty, za nimi oni. Za pierwszym zwałem postrzępionych skał rozciągała się mała, równa przestrzeń, okolona z trzech stron skałami - tu założono radiostację i radar, już prawie na rozruchu. Ale nim jeszcze dotarli do tego miejsca, na ścieżce trafili na wsparty tułowiem o skalny filar... Nie, to był automat, łudzaco podobny do człowieka - różnicę poznali po charakterystycznej przepasce na prawej ręce. Po krótkim sprawdzeniu okazało się, że był cały, choć całkowicie nieruchomy. Jego głowa oraz części korpusu pokryte były gdzieniegdzie małymi wiankami

pajęczyn.

- Wszędzie tego pełno - sarknął Pilot i zapytał: - Co o tym myślisz?

- Ciekawe... - twarz Militaryka była pełna napięcia.

Wskazał dłonią na pobliską skałę. Była pocięta głębokimi bruzdami przepaleń i szklistymi zaciekami zastygłego, niedawno roztopionego żarem kamienia. Pilot przewrócił odnalezionego robota na wznak. Na jego piersi wisiał ręczny laser.

Ruszyli dalej bez słowa. Jednak uszli tylko parę kroków. Przy wznoszącej się jak kolumna metalowej iglicy anteny leżał Fizyk. Już z dala można było dostrzec, że jego ciało jest całe rozorane na plecach, ukazując białe końce przepalonych kości - prawa noga znajdowała się zupełnie gdzie indziej niż reszta ciała.

- Więc jednak... - stęknął Pilot po długiej jak wieczność chwili milczenia, głosem łamiącym się z wrażenia.

- Za wcześnie na wysuwanie wniosków - Militaryk nie chciał dopuścić do chaotycznej wymiany uwag. - Trzeba znaleźć Chemika.

Przeszukali dokładnie całe wzgórze, ale nie znaleźli nikogo więcej. Jedyne co stwierdzili, to kilka laserowych nacięć na oprzyrządowaniu radiostacji i kopule radaru, ale stan zdewastowania był dużo mniejszy niż w budynku bazy.

Zeszli tą samą drogą, którą się dostali na górę i zabrali do obszukiwania całego płaskowyżu, o wymiarach dwa na półtora kilometra. Kiedy wieczorem dochodzili powoli do przekonania, że drugiego członka załogi ani jego automatu nie znajdą na płaskowyżu, co ich umysły znów pobudziło do okropnych przypuszczeń, automaty zasygnalizowały nagle, że dopisało im szczęście.

Chemik i jego „sobowtór” leżeli kilkadziesiąt metrów niżej od poziomu płaskowyżu, na dnie przepaści, opodal zdewastowanego budynku bazy. Szybko spuścili się na dół po sznurowych drabinkach. Z góry wszystko wyglądało na nieszczęśliwy wypadek, jakby Chemik i jego automat zlecieli w nie wyjaśnionych okolicznościach z dachu budynku, którego ściana południowa wznosiła się parę metrów od grani skalnej przepaści. Ale było to złudzenie - przyczyną śmierci fizycznej człowieka i technicznej robota były spore popalenia ich ciał przez cięcia laserowe.

Do rakiety wrócili już po zachodzie słońca w zapadającym szybko mroku, milczący, przygnębieni widokami, które oglądali i niewiele mądrzejsi niż w chwili lądowania - poznali efekty groźnych, tajemniczych wydarzeń, ale nie znali nadal ich przyczyn.

\* \* \*

We wnętrzu własnej rakiety, pod osłoną siłowego pola spożyli najpierw posiłek, raczej z obowiązku niż z potrzeby, a potem zabrali się do systematyzowania i analizowania tego, co zauważyli; musieli ciągle walczyć z rozpierającą wyobraźnię fantazją.

Co się stało? Dwaj członkowie załogi bazy i jeden wysoko wyspecjalizowany automat zostali popaleni. Drugi „Sobowtór” uniknął losu swego towarzysza, chociaż także od dawna nie działał. Dlaczego? To pytanie, mając na uwadze różnicę w „śmierci” robotów, urosło nagle do rangi klucza niezbędnego do rozwikłania tajemniczej zagadki. Rzecz jasna przyczyną unieruchomienia drugiego, całego automatu, mogło być w tym wypadku uszkodzenie któregoś z ważniejszych jego zespołów, prowadzące do desynchronizacji funkcji, a w następstwie do dalszych samoistnych zniszczeń. Za koncepcją tą zdawało się przemawiać uszkodzenie urządzeń radiostacji oraz niezrozumiałe pocięcie

skąły opodal miejsca znalezienia pierwszego automatu. Ponieważ sprawnie działający „Sobowtór” nie dopuściłby się tak niezrozumiałych posunięć, więc nasuwał się najprostszy i logiczny wniosek, że przyczyną tragicznego zajścia był rozpad funkcji czynnościowych automatu, który w następstwie posunął się aż do wymordowania reszty załogi.

- Dotąd tylko w kiepskich powieściach zdarzały się bunty robotów. - Militaryk kręcił z powątpiewaniem głową. - I na dokładkę obydwu w jednym czasie...

- Dlaczego obydwu? - Pilot sprzeciwił się tej opinii ostro. - Nie mamy żadnych podstaw, aby tak przypuszczać. Desynchronizacji mógł ulec tylko automat znaleziony przy radiostacji. Zabił Fizyka, a następnie z poziomu wzniesienia rozprawił się z resztą i popalił budynek bazy. Myślę, że tak właśnie było.

- W naszych warunkach myśleć to za mało, wypadaloby mieć pewność. Nie zapominaj, że tu idzie i o nasze życie. Jeśli przyjąć, że było tak jak powiedziałaś, wtedy powstaje problem wyjaśnienia przyczyny tego stanu rzeczy. Osobiście nie wierzę, aby automat tej klasy co „Sobowtór” mógł ulec desynchronizacji w tak sielskich warunkach jakie tu panują, skoro wytrzymywał warunki wielokrotnie gorsze.

- Więc uważasz, że to wszystko stało się za przyczyną ingerencji... cudzej? - Pilot zawahał się przed wypowiedzeniem ostatniego słowa.

- Aby uwzględnić tę fantastyczną możliwość musielibyśmy całkowicie wyeliminować wariant destrukcji automatu Fizyka, czyli dokonać jego ekspertyzy. Znasz się na tym?

- Niezbyt... A ty?

- Nie na tyle, aby wydać miarodajną opinię - odparł Militaryk i dodał: - W tej sytuacji pozostaje nam umieścić wszystkich czterech w przetrwalnikach i powiadomić kogo trzeba. Niech decydują.

- Jak? Myślisz o sondzie?

- Właśnie. Możemy przecież wykorzystać ich sondę. Jest sprawna. Wydaje mi się, że stary zdecyduje się tu przylecieć osobiście.

- Najwcześniej za kilkanaście dni. Wątpię, aby zdecydowali się ponownie rozpędzać gwiazdolit... Co my będziemy w tym czasie robić? - zapytał Pilot z lekką dozą niepokoju.

- Siedzieć jak szczury w norze i czekać na odwagę innych byłoby trochę nie fair - odparł Militaryk, wpatrując się znacząco w twarz kolegi. - Zostaliśmy tu wysłani między innymi i po to, aby przynajmniej spróbować rozwikłać zagadkę. Już sama potrzeba zapewnienia sobie bezpieczeństwa zmusza nas do wyjaśnienia tajemnicy. Spróbujemy dokończyć dzieła, które oni rozpoczęli, oczywiście z zachowaniem maksymalnej ostrożności.

Pilot westchnął przeciągle...

Nawiązanie łączności z macierzystym statkiem oddalonym od ich planety o ponad piętnaście miliardów kilometrów trwało około trzydziestu godzin. Tyle bowiem potrzebował silny, ukierunkowany strumień fal elektromagnetycznych wysłany ze stacjonarnej sondy, aby przebyć tam i z powrotem dzielącą ich odległość. Po naradzie z naukowcami Dowódca podjął decyzję oderwania od badań miejscowych grup najwybitniejszych specjalistów z różnych dziedzin nauki i przybycia wraz z nimi na planetę sąsiedniego słońca w celu wyjaśnienia przyczyn tragicznych zajść. Om otrzymali tymczasowe polecenie nie oddalania się z płaskowyżu i kontynuowania budowy budynku bazy przy użyciu automatów, z zachowaniem wszelkich możliwych środków ostrożności.

Dokładne spenetrowanie pomieszczeń opustoszałej rakiety też nie doprowadziło do uchwycenia choć drobnej nici prawdy. Dziennik pokładowy nie powiedział nic. Same lakoniczne, krótkie wpisy dotyczące postępów przy pracach budowlanych, żadnych szczególnych uwag czy ostrzeżeń - kilka zwrotów o humorystycznym zabarwieniu wskazywało na doskonałe samopoczucie załogi. Zapisy kończyły się na dniu 18 kwietnia, czyli w dwunastym dniu pobytu na płaskowyżu. A zatem w tym dniu rozegrała” się tu

nierozumiała tragedia, której przyczyna zdawała się zacić nadal wokół nowej grupy istot z Ziemi, które chociaż przeczuwały grożące im nie wiadomo skąd niebezpieczeństwo, nie mogły pojąć jego charakteru.

Dni biegły wolno w nerwowym napięciu, łagodnym tylko od czasu do czasu wychwytywanymi przez sondę zawiadomieniami od Dowódcy - pędzą do nich szybką rakieta zwiadowczą i niebawem będą na miejscu. A oni, aby zagłuszyć narastający, spowalniający działanie niepokój, rzucili się w wir pracy. Początkowo ograniczyli się tylko do zdalnej ochrony automatów, którym polecili usunąć części popalonej konstrukcji budynku i dokończyć jego montażu. Jednak pracy był ogrom, więc w końcu zabrali się sami do roboty; zrazu pojedynczo, jeden pilnował, drugi pracował wraz z automatami - na zmianę. Jednak, kiedy minęło dziesięć dni, spokojnych, nad wyraz słonecznych i uroczo pięknych z girlandami karmelkowych chmur na błękitnym, lekko żółtawym przy horyzoncie niebie; brunatnymi zboczami skał pobliskiego łańcucha górskiego na zachodzie, otulonego rankiem całunem pomarańczowej, przetykanej srebrem mgły; równą płaszczyzną doliny rozciągającej się od płaskowyżu po północny horyzont, pokrytej cętkami białych porośli na tle równych szarzielonych połaci - poczucie zagrożenia osłabło na tyle, że na wzór robotów, zrezygnowali nawet z ochronnych skafandrów i rozkoszowali się świeżym powietrzem, napełnionym lekko wyczuwalnym aromatycznym zapachem podobnym do cynamonu. Nie zrezygnowali tylko z podręcznych laserów, którymi - zarówno oni jak i automaty - posługiwali się często przy pracach montażowych tnąc i wypalając nimi otwory w stalowych kształtownikach.

Drugi akord tragedii rozegrał się nieoczekiwanie, w czasie słonecznego popołudnia, kiedy podzieleni na dwie grupy pochłonięci byli pracą: Militaryk z automatem przy montażu pokrycia dachu prawie gotowego budynku bazy, Pilot ze swoim „sobowtorem” przy przeciąganiu przewodów wysokiego napięcia dla rozruchu generatora urządzeń radiostacji.

Pilot akurat dawał ruchem ręki znak automатовi, aby użył swej mechanicznej siły i jeszcze trochę pociągnął do siebie rozciągniętą na stoku czarną żyłę przewodu, gdy nagle do jego uszu dotarły głucho, powtarzające się okrzyki. Dobiegały gdzieś z południa, gdzie mieścił się budynek bazy. Pilot zerwał się z klęczek i pognął na szczyt wzniesienia jak oszalały, objając się o ostre brzegi skał. Minął urządzenia radiostacji i zatrzymał się dopiero przy obrywie grani, która stromo opadała do podnóża płaskowyżu. To, co ujrzał, zmroziło go na chwilę.

Na dachu zauważył dwie sylwetki, które z tej odległości nie były większe od ludzi oglądanych z wysokiego kilkunastopiętrowego wieżowca. Jedna z tych postaci leżała na plecach po wschodniej stronie opadu kopulastego dachu, w załamie jego wybrzuszeń i bezskutecznie starała się przewrócić na bok, wydając przy tym jakieś jęki czy okrzyki, oraz razić świetlistymi wstęgami laserowej broni przeciwnika - drugą postać ludzką - który stał ukryty za walcem wentylacyjnego wywietrznika i pruł laserem przed siebie, orając wąskimi cięciami zielonkawą płaszczyznę tworzywa, które zaczęło już w wielu miejscach opadać między stalowe żaluzje przesłania dachu i tlić się, wydzielając czarne kłęby dymu.

Pilot w napięciu szybko ocenił sytuację. Wyprostowana postać, ukryta za kominem była bez wątpienia automatem, który - ze strachem musiał przyjąć do wiadomości, że to jednak była desynchronizacja umysłu automatu, czyli w potocznym określeniu „bunt” - będąc w lepszym położeniu raził ogniem przeciwnika - Militaryka, bezskutecznie starającego się przyjąć lepszą postawę obrony na pochyłym dachu.

Bez namysłu chwycił za kolbę własnej broni i szybko złożył się do strzału. Jednak tamten był szybszy. Ciągłą, gorejącą od żaru wstęgą przeorał szczyt kopuły dachu i sięgnął nią na przestrzał Militaryka - jego sylwetka znieruchomiała. Mięśnie Pilota zadrgały. To spowodowało przesunięcie celownika jego broni o ułamek kąta. W rezultacie nie trafił w szalejącego robota, który dalej pruł własnym laserem w miejsce gdzie spoczywał już martwy Militaryk, tylko grubym cięciem rozszczepionego już na tej odległości promienia rozplątał metalową rurę komina wentylacyjnego; jego dwie połowy zapłonęły oślepiającym żarem i rozwarły się pod ostrym kątem. Ukryty za nimi automat zastygł na chwilę, jakby w zdumieniu i

krzyknął coś niezrozumiałego w stronę gotującego się do kolejnego strzału Pilota. Następnie energicznym, strasznym skokiem walnął płasko na przeciwległą, niewidoczną stronę spadku dachu i znikł mu z oczu, unikając tym samym kolejnego cięcia palącej igły, którą Pilot rozbił na strzępy prawą odnogę rozplatanego komina.

Chwilę stał jeszcze wsparty ciężko lewym bokiem o grań skały, przeżywając gorycz porażki. Nagle drgnął i biegiem puścił się po łagodnym stoku w kierunku rakiety. Zdawał sobie sprawę, że oszalały automat na pewno przetrwał i teraz, o ile jest jeszcze zdolny do części logicznego działania, będzie na pewno starał się dotrzeć do rakiety i odciąć mu do niej drogę. W rozpędzie minął własny automat, prawie wcale go nie zauważając; jego głowa i cała uwaga zwrócona była na prawo, gdzie zza skalnej ściany powinna była się w każdej chwili wyłonić sylwetka automatu Militaryka.

I rzeczywiście, ujrzał go. Biegł dziwnie niezdarnie i wolno, wyraźnie utykając na prawą nogę, z dyndającym na piersiach laserem i z głową zwróconą w stronę szczytu wzniesienia. Pilot rzucił się w skalny załom. Chwilę uspokajał oddech, wreszcie wyjrzał ostrożnie. Tamten biegł dalej, był coraz bliżej skał, gdzie znajdowało się jego stanowisko. Bez namysłu wychylił się bardziej i wysunął przed siebie oksydowaną lufę lasera, która błysnęła w promieniach słońca gamą szklistych odbić. Automat musiał dostrzec ten błysk, bo w tej samej sekundzie padł na ziemię równym plackiem. Smuga ognia przeszła metr nad nim i musnęła w dali bok opuszczonej rakiety - borazon rozjarzył się punktowo, wyrzucając w powietrze snopy iskiei.

- Ty bydlaku! - warknął wściekle Pilot. - Już ja cię!...

Nie dokończył. Gdzieś z boku, za nim, rozwarła się oślepiająco biała jasność. Oblał go z góry grad palących kropel granitu. Syknął z bólu i odwrócił głowę w prawo. To co ujrzał wtrąciło go w bezgraniczne osłupienie. Jego automat stał kilkadziesiąt metrów dalej, na pochyłej skarpie zbrocza, ale nie trzymał już w dłoniach przewodu, tylko kolbę swego lasera, którym bluzgał na prawo i lewo w jakimś dziwnym opętańczym tańcu; giął się w przód i w tył, wstrząsał jak oszalały głową i podskakiwał. Trwało to dłuższą chwilę, po czym jego ruchy stały się jakby wolniejsze, a przez to groteskowo dziwne i zaskakujące, jak na kadrach zwolnionego filmu - spust lasera naciskał jednak nadal.

W tej chwili z tyłu, na skuloną wśród skał sylwetkę Pilota spłynął cień, wydłużony daleko przez zachodzące słońce. To wyrwało go z odrętwienia. Odwrócił w bok samą tylko głowę. Parę kroków od niego stał drugi automat. A zatem korzystając z jego nieuwagi, zdołał bezpiecznie pokonać dzielący go od skał odcinek wolnej powierzchni i teraz... W chwili, gdy do świadomości Pilota dochodził tragizm własnej sytuacji, usłyszał głos, cichy i niewyraźny, napełniony ludzkim jękiem i rozpaczą:

- Strzelaj... Wał w swój automat, Henryku!

Po osmalonej, pokrytej krwawymi zadrapaniami twarzy przebiegały nerwowe skurcze. Dopiero teraz Pilot zrozumiał rozmiar swej strasznej pomyłki - ta twarz, sylwetka, do której strzelał tam na górze i teraz zza skał, to był Militaryk. Pociemniało mu na chwilę w oczach. W tej samej chwili poczuł silne szturchnięcie w bok. Upadł.

Gdy uniósł ponownie głowę, ujrzał w górze kupkę gorejącego żelastwa, która pozostała po jego automacie. Nad nim pochylał się Militaryk i mówił:

- Spokojnie, Henryku... Już po wszystkim.

\* \* \*

Wszystkiemu winne były lumenidy.

Taką opinię wydały dwie grupy naukowców od spraw biologii i cybernetyki po wielodniowych badaniach i obserwacjach. Te prymitywne, nieznane na Ziemi pajęczaki, żyjące w kolonijnej symbiozie, w drodze ewolucji wykształciły u siebie zdolność sprawnego przetwarzania światła słonecznego w ładunki elektryczne, które służyły im do łatwiejszej przemiany otaczającej je materii, w potrzebny do rozwoju pokarm; ich powierzchniowe świecenie było tylko ubocznym wynikiem energetycznych przemian, jakie zachodziły w ich małych, bo mierzących najwyżej kilka dziesiątych milimetra organizmach. Tworząc lepka, podobną do pajęczyny siatkę, która łączyła osobniki całej kolonii, stwarzały sobie równocześnie możliwość łatwiejszego przemieszczania się. Z chwilą pojawienia się na tej planecie istot rozumnych z Ziemi zaistniała nowa możliwość przesuwania się z miejsca na miejsce, poprzez przylepianie się do ich ubiorów - w ten sposób lumenidy zawędrowały także do wnętrza rakiety pierwszej załogi bazy. Oprócz możliwości przenoszenia, ludzie przynieśli ze sobą na ten płaskowyż rzecz o wiele bardziej dla lumenidów cenną, bo liczne źródła bezpośredniej energii elektrycznej, którą dotychczas pracowite stworzonka musiały zdobywać dla siebie drogą skomplikowanych przemian fotoelektrycznych.

Przenoszone nieświadomie do wnętrza rakiety lumenidy szybko zagospodarowały się w obcych dla siebie pomieszczeniach, dogodnie dla nich ciepłych i oświetlanych lampami, a prócz tego z dużą ilością niskich źródeł energii - zasilanych bateriami przyrządów i czujników, do których wnętrza mogły łatwo przenikać i do woli czerpać, bez wysiłku własnego organizmu, życiodajny dla nich prąd. Nieprzerwany dopływ energii elektrycznej, doprowadził w przeciągu niespełna miesiąca - licząc od chwili lądowania pierwszej załogi do ich przybycia na planetę - do szybkiego liczebnego wzrostu populacji lumenidów, aż do stanu „zapajęczenia” kabin.

Jednak to był efekt uboczny i późniejszy, dużo mniej groźny od tego, co pod wpływem ekspansji lumenidów stało się z automatami. Mianowicie, po jakimś czasie poruszania się automatów po płaskowyżu, niewielkie ilości świecących żyłatek zdołały, mimo szczelności automatów, przeniknąć do wnętrza ich układów ruchowych a następnie do uzwojeń energetycznych i mózgowych. A tam, w ich wnętrzu, mogąc dowolnie czerpać energię elektryczną z mikrostrasu atomowego, zaczęły się szybko rozmnażać. Do pewnego czasu, to znaczy owych dwunastu dni, automaty działały normalnie i nie wykazywały żadnych zauważalnych zmian w zachowaniu. Dopiero po przekroczeniu pewnej charakterystycznej, krytycznej liczby rozmnożonych kolonii lumenidów, ich pobór mocy stawał się nagle tak duży, że doprowadzał skokowo do odcinania i blokowania działalności pewnych partii układów mózgowych automatów, a w efekcie do desynchronizacji i przegięcia ich motoru aktywności w kierunku destrukcji.

I to wszystko. Nieświadoma działalność nieznanymi stworzonek omal nie doprowadziła do drugiego tragicznego w skutkach nieporozumienia. Bo właśnie, łagodnie określając, nieporozumieniem można było określić sytuację pomyłki wzrokowej Pilota, który najprostszymi kategoriami rozumowania, w tragicznej sytuacji, wymagającej natychmiastowego działania, uznał znajdującego się w bezpieczniejszym usytuowaniu Militaryka, za „oszałałego” robota, atakującego jego towarzysza.

Podobna, a może wręcz ta sama sytuacja wydarzyła się i pierwszej załodze. A zatem wydarzenia musiały się czymś łączyć, musiały z nich wypływać jakieś prawidłowe zależności, które powtórzyły się dwukrotnie. Wychodziło na to, że tylko dzięki przytomności umysłu Militaryka nie doszło do nowego nieszczęścia. On pierwszy dostrzegł dziwne zachowanie swego „sobowtóra” i w mig pojął tragizm sytuacji. Na właściwy tok rozumowania i podjęcie szybkiej decyzji naprowadziła go zbieżność liczby dwunastu dni, jakie upłynęły pierwszej załodze do tragedii, a teraz powtórzyły się po raz drugi. Bo przecież wydarzenia, w które byli bezpośrednio zaangażowani rozegrały się po południu, dwunastego dnia od chwili lądowania. Wprawdzie wtedy Militaryk nie domyślał się jeszcze całej prawdy i

rzządzających nią przyczyn, ale podświadomą, ludzką intuicją pojął tę prostą zbieżność i płynące z niej groźne dla nich następstwa. Wtedy bez wahania zdecydował się na to, przed czym być może wahał się jego poprzednik i swoje niezdecydowanie przypłacił życiem - nacisnął spust lasera, celując do „oszałałego” automatu. Ale trafił niezbyt celnie, w nogi. Automat upadł i stoczył się niżej po pochyłości dachu. W tej sytuacji zauważył go Pilot i przetransponował sobie ten obraz bardzo mylnie. Potem wypadki potoczyły się już lawinowo. Jednak w całym zajściu naukowcy nie dopatrzyli się tylko ułomności ludzkiego umysłu. Winą za tragedię należało obciążyć również pomysł konstruowania automatów ludzako podobnych do ludzi. Owe wszystkie „udogodnienia” przemawiające za stosowaniem tego zwyczaju okazały się błędne, a nawet wręcz fatalne w skutkach na zagubionych w kosmosie planetach, zamieszkałych przez osobliwe wytwory natury, które swą nieświadomą działalnością mogły doprowadzić do katastrofalnych nieporozumień.



## Co większe muchy

*Motto: Ordo est anima rerum*

Kiedy otwierają się drzwi i wchodzi Kucharz, wszyscy stoimy na baczność koło stołów. Nikt też nie mówi. Nie zdarzyło się nigdy, aby ktoś mówił na widok chleba leżącego w równych stosikach na tacy. Jest to niepisana umowa i dlatego dziwnie byłoby ją złamać. A jednak panuje umiarkowana cisza, o ile pominąć bzykanie co większych much. Więc wszyscy stoimy na baczność, podczas gdy Kucharz stoi nieco rozkraczony trzymając tę tacę ze spiętrzonymi kromkami chleba. Tym razem ma dobry humor. Da się go zaobserwować po sposobie patrzenia na nas. Kiedy kucharz jest zły, a zdarza mu się to nader często, nie dostrzega nas w ogóle. Nie istniejemy dla niego, czego nie można powiedzieć jednak o ścianach (wyższe partie), którym przygląda się w takich wypadkach z największym zainteresowaniem.

Taca do chleba podzielona jest na cztery części. Odpowiada to czterem stołom, które znajdują się na sali. Każdy stół i część tacy posiadają swój numer. Wychodząc z założenia, że przy stole mieści się szesnaście osób i że na jedną osobę w porze obiadowej przypadają po dwie kromki, łatwo dochodzi się do wniosku, iż na jednej części tacy leżą trzydzieści dwie kromki, a ponieważ taca podzielona jest na cztery części, ogólna liczba kromek znajdujących się na tacy wynosi sto dwadzieścia osiem. Do tego dochodzą jeszcze cztery kromki przypadające po jednej na każdego ze Starszych, którzy zajmują frontowe miejsca przy stołach. Te cztery kromki na tacy jednak nie leżą. Kucharz przynosi je dopiero wówczas, gdy obiad ma się już ku końcowi.

Procedura rozdawania posiłków przebiega następująco. Każdy z nas określony jest dwoma znakami. Pierwszy z nich pochodzi od stołu, do którego jest się przydzielonym, a drugi stanowi zgłoskę alfabetyczną, przy czym każdy Starszy Stołu nosi A, zaś siedzący po jego prawej stronie B i dalej C, D... Ponieważ przy każdym stole siedzi szesnaście osób, delikwenci siedzący po lewej stronie Starszych noszą dźwięczną samogłoskę O. Kucharz, chcąc wręczyć danemu osobnikowi porcję, wykrzykuje cyfrę stołu i odpowiednią zgłoskę alfabetu. Wydawanie posiłków odbywa się zatem kolejno według stołów i alfabetu, każdy więc może się zawczasu przygotować. Dzięki temu rozdawanie posiłków obiednich przebiega szybko i sprawnie.

Kiedy Kucharz, przykładowo, wywołuje 3-K, osobnik ten odpowiada „jestem”, po czym, zaznaczając tempo, zbliża się na odległość wyciągniętej ręki do Kucharza, który stoi rozkraczony pod bocznymi drzwiami. W chwili otrzymania posiłku 3-K wypowiada słowa „serdecznie dziękuję”, następnie wykonuje w tył zwrot i nadal, zaznaczając tempo, powraca na swoje miejsce, gdzie przyjmuje postawę zasadniczą. W tym czasie przygotowuje się 3-L. Już w chwili wywołania sąsiada - w tym wypadku 3-K - przyjmuje on postawę zasadniczą: „pręży się jak struna”. Wszyscy w tym czasie stoją również na baczność, ale nieco luźniej, aby „baczność” przygotowującego się widoczna była w całej pełni. Kiedy 3-K powraca na swoje miejsce, 3-L unosi się już nieco na palcach i w tej pozycji oczekuje wywołania, na które odpowiada „jestem”. Następnie zespół czynności powtarza się. Zaznaczyć wypada, iż po powrocie na miejsce 3-K natychmiast przyjmuje pozycję „wyprężony jak struna”. W ten sposób, podczas wywołania osobnika 3-L, 3-K oraz 3-M przyjmują pozycję „wyprężony jak struna”, w której trwają do powrotu sąsiada. Innymi słowy pozycja ta dotyczy zawsze sąsiadów wywołanego. Kiedy Kucharz jest zły, a zdarza mu się to nader często, hasła rzucane są niedbale i niewyraźnie. Jednak dzięki zwyczajowi

wywoływania nas kolejno nigdy nie dochodzi do jakiegoś poważniejszego incydentu.

Podczas wydawania posiłków obowiązuje postawa zasadnicza do chwili, kiedy ostatni, 4-O, powróci na swoje miejsce. Natychmiast po tym, na komendę „do krzesel”, rzuconą również przez Kucharza, należy wykonać zwrot „frontem do krzesel”. Starszych komenda ta nie obowiązuje, gdyż w czasie wydawania posiłków stoją już w pozycji „frontem do krzesel”. W tym czasie przyjmują jedynie pozycję „wyprężony jak struna”, aby zaznaczyć, że komenda do nich dotarła.

Na komendę „siad” wszyscy energicznie siadają, przy czym każdy zwraca pilnie uwagę na to, aby czynność ta wypadła jednocześnie. Kiedy Kucharz jest zły, a zdarza mu się to nader często, komendę „siad” wykonuje się wielokrotnie do momentu, w którym trzask towarzyszący siadaniu podobny jest do salwy. Od tej chwili wolno konsumować i rozmawiać, ale „stosunkowo cicho”, a ponieważ kryteria terminu „stosunkowo cicho” uzależnione są wyłącznie od humoru Kucharza, rozmów podczas posiłków nie ma. Słyszać jedynie mlaskanie - nie licząc oczywiście bzykania co większych much - i w tych momentach twarz Kucharza rozpogadza się nieco, a on sam przechadza się między stołami mrużąc z zadowoleniem słowa używane niekiedy przez samego Szefa Sali: „sala je”.

Czas konsumpcji wynosi pięć minut. Zegar umieszczony jest nad drzwiami wejściowymi po lewej stronie sali. Ponieważ podczas posiłków oglądać się nie wolno, wszyscy siedzący tyłem do zegara pilnie obserwują swoich partnerów z przeciwka, którzy zaznaczają każdą minutę posiłku silnym mruganiem obu oczu. W ten sposób osobnicy siedzący tyłem do zegara orientują się, ile czasu pozostaje im na jedzenie.

Czas zjadania każdej z kromek nie podlega szczegółowej normie. Niektórzy uważają, iż pierwszą należy zjadać w ciągu minuty, a drugą w ciągu pozostałych czterech. Zapytani mówią, że ten sposób daje im większą szansę delektowania się chlebem, minuty natomiast mijają. Kucharz nazywa ich Smakoszami.

Większość zjada swoje porcje w ciągu trzech pierwszych minut. W grupie tej przeważają osobnicy siedzący na wprost zegara. Przeważnie chodzi o zakład „kto szybciej zje”, co jako hazard jest wyraźnie zakazane. Kucharz jednak patrzy na to przez palce. Nazywa ich Rekinami. Nieoficjalny rekord w Szybkości Zjadania Dwóch Kromek Chleba wynosi piętnaście sekund. Ustanowiony został Raz Na Zawsze przez siedzącego przy stole 2-, pod zgłoską D. Jest to osobnik niepokąźnego wzrostu, chudy, posiadający wielkie, głębokie oczodoły, we wnętrzu których tkwią luźno smutne oczy.

Osobną grupę stanowią Starsi Stołów. Są to osobnicy nie zawsze wiekiem najstarsi, ale za to najlepiej wsłuchani w ciszę - pominąwszy bzykanie co większych much - nie tylko podczas posiłków. Jednakże w wypadku posiłku obiedniego przysługuje im pewien przywilej. Otrzymują bowiem dodatkową kromkę chleba, której nie muszą wcale konsumować. Mogą ją nosić przy sobie po obiedzie, tak jak w ogóle mogą nosić szelki. Starsi Stołów niesłuchanie powolnie jedzą swoje podstawowe dwie kromki chleba. Na tę czynność zużywają całe pięć minut.

Kiedy Kucharz ma dobry humor, co zdarza się nader rzadko, posiłek wraz z rozdzieleniem porcji zajmuje około dwudziestu minut. W przeciwnym wypadku może się on przedłużyć do godziny, a nawet dwóch. Zdarzyło się nawet - o ile wierzyć Famie - że posiłek obiedni trwał osiemnaście godzin. Uzależnione to jest w głównej mierze od humoru Kucharza oraz innych czynników, takich jak:

- 1-. chyżość przemieszczania się osobników zdążających z odległych stołów po porcje
- 2-. długość zgrywania komendy „siad”
- 3-. ilość nowicjuszy siedzących przy stołach 1-, 2-, 3-, 4-, pod zgłoskami M, N, O, mających systemy nerwowe jeszcze nie wdrożone do wykonywania wszystkich komend jednocześnie.

Tym razem stoimy na baczność. Wprawnym, trenowanym od lat krokiem podążam przed siebie precyzyjnie zaznaczając tempo, podczas gdy oczy Kucharza nieuważnie biegają po głowach stojących.

Gdy zatrzymuję się w przepisowej odległości z wyciągniętą dłonią, wzrok Kucharza na chwilę styka się z moim wzrokiem, co synchronizuje się ze zwiększonym ciężarem mojej dłoni. Kiedy wymawiam słowa „serdecznie dziękuję”, jakby od niechcenia, z ową wprawą jakiej nabiera się tutaj, jednocześnie czuję przyjemną szorstkość dwóch kromek ciemnego chleba. Na koniec zastygam w bezruchu, wczuwam się w znikomy ciężar własnego ciała i tym samym jakby nabieram rozpędu do zwrotu w tył, który wykonuję ułamek sekundy później. Powracam na miejsce zaznaczając tempo i tam przyjmuję pozycję „wyprężony jak struna”, kątem oka obserwując wspięcie na palce mojego sąsiada 1-B. Potem patrzę na zegar.

Sztuka ta znalazła się w moim repertuarze dzięki przychylności 1-G, który wtajemniczył mnie w jej arkana trzydzieści lat temu podczas przeglądu ogólnego z okazji Święta Otwarcia Pieca. Wykonuje się ją błyskawicznie w chwili, gdy sąsiad, bądź sąsiad sąsiada staje przed Kucharzem. Wtedy bowiem moment jest najbardziej dogodny z psychologicznego punktu widzenia. Dwie kromki chleba leżącego na wierzchu równego stosiku łącznie z różową i pulchną dłonią Kucharza absorbują jego wzrok w dostatecznym stopniu.

W celu wykonania manewru Która Godzina należy w momencie wywołania delikwenta umieścić wzrok na ścianie, na wysokości paska znajdującego się tuż pod sufitem, gdyż na takiej samej wysokości, zaraz nad drzwiami, po lewej stronie sali umieszczony jest zegar. Następnie w skupieniu słucha się kroków zaznaczającego rytmicznie tempo. Kroki zaś rozlegają się niesłychanie wyraźnie. W chwili gdy wywołany przystaje, zalega umiarkowana cisza, wliczając oczywiście bzykanie co większych much. I właśnie w tym momencie należy błyskawicznie wykręcić głowę w lewo do pozycji, w której wzrok napotyka pałającą niezwykłą wprost jasnością tarczę zegara, by po ułamku sekundy bezruchu, w którym oczy intensywnie obserwują odcinające się czarno wskazówki, z równą szybkością umieścić głowę na powrót w przepisowym kierunku. W ten sposób całość operacji zamyka się w połowie sekundy.

Jest godzina dwunasta dwie, a zatem osiem minut stania w pozycji zasadniczej do komendy „siad”. Kucharz ma zbyt dobry humor. Instynkt, który wyrobił się we mnie przez lata, mówi mi, że stanie się coś najbardziej godnego pożądania, czym niewątpliwie jest wizytacja Szefa Sali.

W takim wypadku należy bacznie obserwować Kucharza, który winien mrugnąć znacząco. Jest to jedyne ogólnie znane nieoficjalne gest porozumienia między nami a Kucharzem. Gest ten prawdopodobnie nigdy nie miałby miejsca, gdybyśmy nareszcie zrozumieli, co on naprawdę oznacza. Z chwilą dostrzeżenia znaku osobnik oznaczony jako 1-A upoważniony jest (przy czym nieoficjalność upoważnienia jest rzeczą bezsporną) do wydania z siebie, niezbyt głośno, charakterystycznego chrząknięcia, jakie w niektórych okolicznościach emitują tutejsze liczne gryzonie. Chrząknięcie to powinno być na tyle silne, aby można je było dosłyszeć w którejś z przerw między rozlegającymi się krokami. W tej odpowiednio umiarkowanej ciszy - uwzględniając bzykanie co większych much - chrząknięcie znaczy tyle co słowa: „szef idzie”. Następuje ostre pogotowie, swoista dyspozycja, w której wszyscy przybierają postawę „wyprężony jak struna”, podczas gdy głos Kucharza spada sztucznie o kilka tonów niżej, co kojarzy się wszystkim z głuchym, pustym rżeniem suzafonu na którymś z Tutejszych Festynów.

Mobilizuję zatem uwagę na twarzy Kucharza, który z rutyną, lecz i z pewną nerwowością spełnia swoje powinności. Nie każdy zaobserwowałby tę nerwowość w ruchach Kucharza, którego twarz jest kamienna. Czyżbym się jednak mylił? Rozterka zamienia się w pewność w momencie, gdy Kucharz patrzy na mnie, a jego Mrugnięcie zlewa się w jedno z moim Chrząknięciem, w wyniku czego umiarkowana

do tej pory cisza - jeśli wziąć pod uwagę bzykanie co większych much - przechodzi w następną formę - ciszy częściowej. Wszyscy, ma się rozumieć, przyjmują pozycję „wyprężony jak struna”, a kroki zaznaczającego tempo delikwenta wydają się bardziej dobitne. Jednocześnie nasze niezwykle wyczulone uszy wychwytyją obce dźwięki, które rozlegają się tuż za Drzwiami. Przywołują one na myśl ciche i drapieżne stapanie Szefa, który jest daleko zaawansowanym starcem o chytrych oczach Niuta, w których maluje się błyskotliwa inteligencja. Dzięki niej i nadziei, że uda mu się zaskoczyć Kucharza, SzeF Sali żyje odwiecznie. Na Salę wpada jak bomba i wraz z niesłychanym trzaskiem otwieranych Drzwi wita go oszalały ryk Kucharza, który stojąc w pozycji „wyprężony jak struna” - wszyscy stoją nieco bardziej napięci - krzyczy: „bacność! na lewo patrz!” W momencie gdy Drzwi się otwierają, wszyscy stojący tyłem wykonują „w tył zwrot” i wszystkie głowy się w tę lewą stronę odwracają, nie wyłączając osobników, którzy w momencie otwierania Drzwi stali „frontem do drzwi”, albowiem mieli oni głowy odwrócone nieco w prawo, aby komenda „na lewo patrz” widoczna była w całej pełni. Dotyczy to wszystko również tych, którzy w momencie otwierania Drzwi wykonywali „w tył zwrot”. Jedyne wyjątek stanowią Starsi, którzy po prostu wykonują „na lewo patrz”.

Kiedy tak wszyscy patrzą „na lewo”, to znaczy „na wprost”, wyjąwszy oczywiście Starszych, zalega umiarkowana cisza - wliczając bzykanie co większych much - która trwa niejaką chwilę. W tym czasie Kucharz stoi w pozycji „wyprężony jak struna”, przy czym przez napięte spodnie wyraźnie odznacza mu się członek, zaś SzeF toczy wzrokiem po okolicznych osobnikach. W pewnej chwili wzrok Szefa nieruchomieje. Jest to sygnałem dla Kucharza, który energicznym krokiem, zaznaczając tempo, podbiega do Szefa i staje przed nim o trzy przepisowe kroki meldując: „Kucharz Sali Numer Dziesięć, Szefowi Sali Numer Dziesięć, melduje Salę Numer Dziesięć. Stan Pogłowa: sześćdziesiąt cztery sztuki w formie wyśmienitej.” Jak głosi Fama, zdarzyło się kiedyś, że podczas meldowania, przy słowach: „sześćdziesiąt cztery”, Kucharz dodał: „plus cztery...” O tym się jednak nie mówi, bo to jest wzbronione. Wszyscy jednak, przy słowach: „sześćdziesiąt cztery”, uśmiechają się w duchu. SzeF Sali o tym wie i dlatego po meldunku Kucharz formułuje następny rozkaz, który podany jest gniewnym tonem pełnym wyrzutu: „spocznij” - tu chwila przerwy, w której umiarkowana cisza, wliczając oczywiście bzykanie co większych much, jakby się wzdraga przed klątwą, która miałaby runąć niebawem na głowy stojących w skupieniu w pozycji „wyprężony jak struna”. SzeF jednak odwraca się tyłem. Następnie ledwo dosłyszalnym szeptem wypowiada: „4-O”.

Na konkretne wywołanie symbolu wkreślającego danego osobnika delikwent winien bezzwłocznie odkrzyknąć „jestem” - co nawet nowicjusze zdaje się rozumieją. Potem pada komenda „aport”, po której wywołany biegiem, jak najszybciej, zaznaczając tempo zbliżyć się powinien do Szefa i zatrzymać w przepisowej odległości wypowiadając: „4-O aport”. W wypadku niezgodności procedurą - co u nowicjuszy zdarza się nader często - rozlega się Gwizd (to SzeF gwizdże na specjalnym gwizdku marki Golcy, po którym wbiegają na Salę Przyjaciele. Zakładają oni nowicjuszowi kaftan i całość - Nowicjusza Wraz z Kaftanem - układają pod ścianą w ten sposób, aby Twarz zwrócona była w kierunku Sufitu, po czym wycofują się za Drzwi, gdzie czekają na dalsze komendy w pogotowiu. Następnie na komendę pojawia się Kaszanka w Bieli Skąpany, która to biel zasłania mu Twarz aż po nasadę nozdrzy. Przed nadmiernym światłem chronią oczy Kaszanki okulary dymne w masywnej rogowej oprawce. Jego ręka zaopatrzona jest w strzykawkę napełnioną pięćdziesięcioprocentowym Rozśmieszaczem.

W tym samym czasie SzeF stoi nadal tyłem, nieporuszony. Kiedy pojawia się Kaszanka, SzeF wykonuje ruch przedramieniem z góry ku dołowi, przy czym obciążony kciuk wyraźnie wskazuje podłogę. Na ten znak Kaszanka natychmiast podchodzi do nowicjusza i przykłada na lewe kolano. Jego głowa i ręka trzymająca strzykawkę wypełnioną pięćdziesięcioprocentowym Rozśmieszaczem uniesione są w górę, oczy zaś baczenie obserwują igłę. Kaszanka naciska kciukiem tłok strzykawki do momentu, w

którym ukazuje się pierwsza kropla pięćdziesięcioprocentowego Rozśmieszacza. Następnie szybkim i wprawnym ruchem wbija igłę w to miejsce Kaftana Wraz z Nowicjuszem, gdzie można dostrzec czerwone koło, w którego środku widnieje biały punkt. Przez chwilę silnie naciska tłok, po czym energicznym ruchem wyjmuje igłę.

Po krótkiej chwili, kiedy ciałem Nowicjusza Wraz z Kaftanem wstrząsają pierwsze spazmy śmiechu, rozlega się Gwizd - to SzeF Sali gwizdże na specjalnym gwizdku marki Golc - co jest sygnałem dla Przyjaciół, którzy pojawiają się natychmiast wraz z noszami. Układają na nich ryczącego, spazmującego Nowicjusza Wraz z Kaftanem i wychodzą. Dodać należy, iż nosze te w przeważającej ilości wypadków są za krótkie, tak że głowa lub nogi wystają poza ich płaszczyznę, odchylając się od poziomu na korzyść pionu; zjawisko da się najlepiej obserwować na przykładzie nóg. W chwilę później ulega cisza zupełna, o ile zaniedba się bzykanie co większych much.

Tymczasem Kaszanka unosi raz jeszcze strzykawkę pod światło i sprawdza, ile zostało pięćdziesięcioprocentowego Rozśmieszacza. W wypadku zaobserwowania jego resztek naciska intensywnie tłok do końca, bacznie obserwując cieniutki strumyczek wyciekający z końca igły, który w kształcie paraboli opada na podłogę. Następnie wychodzi zamykając za sobą Drzwi. W tym samym czasie napięte w okolicy rozporka spodnie Kucharza napinają się jeszcze bardziej. Jego twarz jest kamienna, ale źrenice niezwykle rozszerzone. W sekundę później zalega umiarkowana cisza, o ile wliczyć bzykanie co większych much. SzeF stoi nadal tyłem. Widać jego wątłe barki oraz ptasią głowę osadzoną na cienkiej szyi z mocno zaznaczającymi się tętnicami bądź też żyłami. Powlekająca szyję skóra jest w najwyższym stopniu przezroczysta i gdy pada na nią światło, widać pulsującą gwałtownie krew.

Przeciętnie całość czynności związanych z przybyciem Szefa powtarza się kilkakrotnie w zależności od pogłowia nowicjuszy. Jeżeli nowicjusz przebrnie przez wstępne trudności, otrzymuje następną komendę do wykonania, podaną w formie podchwytliwego pytania: „nazwisko?”. Wykonanie komendy: „4-O”. W wypadku podania prawdziwego nazwiska, jakie mógłby posiadać odpowiadający nowicjusz, rozlega się Gwizd (to SzeF gwizdże na specjalnym gwizdku marki Golc) i całość owych zespołowych czynności, łącznie z pojawieniem się Przyjaciół i Kaszanki, powtarza się. Potem SzeF zadaje następne pytanie, które tutaj nazywamy Testem Inteligencji: „ile lat żyjesz?”. Delikwent powinien wyrecytować jednym tchem: „nie żyję i nigdy nie żyłem”. Poprawna odpowiedź zazwyczaj zadowala Szefa, bowiem usłyszawszy ją odwraca się z wolna na pięcie, a na jego twarzy pojawia się nikły i przyjemny uśmiech.

Zalega umiarkowana cisza, o ile wliczyć bzykanie co większych much. Osobnik „pręży się jak struna”, podczas gdy SzeF Sali mówi: „won!” Jest to komenda, na którą osobnik wykonuje „w tył zwrot” i intensywnie zaznaczając tempo przemieszcza się w kierunku stołu, gdzie ponownie przyjmuje pozycję „wyprężony jak struna”.

Po wstępnych czynnościach SzeF przystępuje do powitania ogólnego, które wyraża się w energicznie i porządnie wypowiedzianych słowach: „dzień dobry” i „smacznego”. Następnie SzeF wychodzi, a Kucharz wydaje komendę „siad!”

Obiad dobiega końca, będzie więc można udać się do latryny, gdzie w myśl przepisów można przebywać z górą całe dziesięć minut. Jak zwykle na moment przed komendą „powstań!”, oznajmującą koniec posiłku obiedniego, zalega umiarkowana cisza - o ile wliczyć bzykanie co większych much.

Latryna jest pomieszczeniem o wymiarach 4- x 8 x 3- m, w którym znajdują się cztery sedesy. W ścianę przylegającą do sedesów wbite są cztery wielkie gwoździe, które usytuowane są w ten sposób, by znajdowały się po lewej stronie siadającego na sedesie. Na każdy gwóźdź nawleczonych jest szesnastie prostokątnych kawałków nieaktualnych gazet o wymiarach 2-0 x 2-5 cm. Korzystający z sedesu ma Prawo do Jednego z szesnastu prostokątów, przy czym kawałek ów należy starannie złożyć na pół; kciuk i wskazujący palec lewej dłoni przesuwają się po grzbiecie złożenia. Uzyskane w ten sposób dwie części,

z wyraźnie zaznaczonym brzegiem zgięcia, należy rozłożyć na powrót i ostrożnie rozerwać. Powstałe, oddzielone już od siebie dwie części kawałka wyjściowego odznaczają się porządnym i schludnym wyglądem. Nałożone jeden na drugi pokrywają się w najwyższym stopniu i brzegi przzerwania zwykle proste upodabniają je w dużej mierze do pomniejszych o połowę prostokątów wyjściowych. Przygotowany w ten sposób Papier nadaje się do Podwójnego Użycia. Przepisy bowiem wspominają, że osobnik udający się do latryny w celu odbycia defekacji winien z Papieru Korzystać.

Na osobne omówienie zasługuje System Splukiwania Wodą zawartości wgłębienia kloaczno.

Nad każdym sedesem umieszczony jest Zbiornik Metalowy o wymiarach 6 x 9, pokryty minią. Do każdego Zbiornika z lewej jego strony przymocowane jest ruchome Ramię-Dźwignia, którego część wystająca na zewnątrz zaopatrzona jest w Pętlę. Ramię wspiera się na Osi umieszczonej w dwóch piątą długości Ramienia, mierząc oczywiście od strony Pętli. Do Końca znajdującego się natomiast wewnątrz Zbiornika przymocowany jest Pływak-Wentyl, który w Momencie Wyjściowym opiera się na Krawędzi. W ten sposób Pływak-Wentyl uniemożliwia napływającej wodzie dostanie się do światła Rury. Zarówno Rura jak i Pływak posiadają Uszczelki z czerwonej gumy. Do zbiornika doprowadzona jest woda Otworem. W momencie kiedy Zbiornik napełniony jest wodą, Pływak-Wentyl uszczelnia wlot Rury znajdujący się na samym Dnie, jak również spełnia Funkcję zaworu bezpieczeństwa przed napływem nadmiaru wód. Od góry Zbiornik nakryty jest Wieczkiem, które uniemożliwia przedostanie się Drobnych Zanieczyszczeń do wewnątrz.

Do Dźwigni - biorąc pod uwagę część wystającą na zewnątrz - przymocowany jest sznurek, którego Początek związano nierozzerwalnie z Pętlą, zaś Koniec zespolony jest ściśle i Witką mieszczącą się w górnej części Uchwytu Porcelanowego.

**Położenie części i urządzeń w chwili pociągnięcia za Uchwyt:** Naprężony sznurek pociąga Dźwignię, zewnętrzna część Dźwigni opuszcza się ku dołowi, Ramię naciska na Oś w stopniu znacznie wyższym, niżby się to mogło wydawać na pierwszy Rzut Oka, wewnętrzna część Dźwigni unosi się bezradnym gestem w górę, Pływak dolną swą częścią odsłania Otwór, woda swobodnie spływa do wewnątrz, porywa ekskrementy i dwa zmięte prostokąty nieaktualnych gazet, znika wraz z zawartością w głębi Syfonu, słuchać przybierający z wolna na sile bulgot, który całkowicie zagłusza bzykanie co większych much.

Każdy poszczególny stół „ma” odpowiadający mu sedes. Wynika z tego, że jednego sedesu korzysta przeciętnie szesnaście osób w porządku alfabetycznym. Biorąc pod uwagę fakt, iż na załatwienie potrzeby dla szesnastu osób przydzielono dziesięć minut, przypuszczać należy, że poszczególna jednostka korzystać może z sedesu przez okres trzydziestu siedmiu i pół sekundy, co ma się rozumieć, nie mija się z prawdą. Ponieważ, jednocześnie, Zbiornik wypełnia się wodą w przeciągu pięciu minut i w tych pięciu minutach przez sedes przemieszcza się ośmiu osobników, rzeczą zrozumiałą staje się fakt, iż Prawo do Spuszczania Wody ma każdy Starszy Stołu oraz osobnicy pod hasłami 1-I, 2-I, 3-I, 4-I, jak również 1-O, 2-O, 3-O, 4-O. Reszta praktycznie wody nie spuszcza, lecz może ciągnąć za Uchwyt do woli.

Po wykonaniu komendy „powstań”, będącej oficjalnym zakończeniem posiłku obiedniego, ulega umiarkowana cisza, o ile wliczyć bzykanie co większych much. Następnie Kucharz udaje się do Kuchni, a z Drzwi, nad którymi wisi zegar, wychodzi pięć Kostycznych Umiłowanych Pań, z których najchudsza drze się, co jest równoznaczne z komendą: „do latryn stołami”. Na tę komendę należy biegiem jak najszybciej opuścić miejsce przy stole i ustawić się w szeregach pod drzwiami latryny. W żadnym wypadku nie należy zapominać o zaznaczaniu tempa.

W tym samym tempie - kiedy równomierny tupot przerywa umiarkowaną ciszę zakłócaną do tej pory jedynie bzykaniem co większych much - musimy udawać się do teatru. Znakomity nasi teatr, jedyna nam sądzona rozrywka, kiedy chyłkiem i z przyzwoleniem oglądamy normalność.

Spektakle odbywają się dwanaście razy dziennie w sali widowiskowe znajdującej się w zachodniej części gmachu. Aktorzy wywodzą się zazwyczaj z Personelu, co, ma się rozumieć, podnosi poziom artystyczny przyczyniając się tym samym do z góry zamierzonego sukcesu.

Najważniejszą rolę odgrywa jednak Narrator. Osobnik ten zapowiada aktorów, kwiecistym językiem odtwarza sytuacje, tłumaczy scenografię. Czasami daje się ponieść elokwencji i wikła w dygresjach. Spętany nimi milknie na koniec, dzięki czemu zalega upragniona umiarkowana cisza, o ile wliczyć bzykanie co większych much.

Zadaniem Aktorów jest poprawne odczytywanie dialogów, przy czym tekst powinien być podany w sposób możliwie najbardziej werbalny. Widowisko poprawnie przygotowane cieszy się powszechnym uznaniem. Każdą premierę kolejnej wersji tego samego widowiska wita sala wypełniona po brzegi. W pierwszym rzędzie, licząc od Sceny, znajduje się miejsce Szefa Generalnego, a z prawej i lewej strony miejsca Podszefów, którzy są Szefami poszczególnych Sekcji. W dalszych szeregach siedzą Szefowie Sal, a jeszcze dalej Personel: Kucharze, Umiłowane Panie Kostyczne, Fryzjerzy et al. W drugiej części sali, oddzielonej Specjalnym Przejściem, siedzą osobnicy ponumerowani według sal, stołów, miejsc i sedesów.

Od wielu lat wystawia się wyłącznie jednoaktówkę pt. „Małe miasteczko w środku lata”, której najbardziej zaangażowany urywek pozwolę sobie przedstawić:

NARRATOR:

- Z ulicy Trzeciej wypada na rynek Latający Motocykl. Słysząc przeraźliwy pisk hamulców. Nad kierownicą widać zgarbioną sylwetkę Motocyklisty. Latający Motocykl skręca gwałtownie, wpada na trotuar, wbija się w latarnię i jak łódka brodzi. Powietrzem targa eksplozja. Ludzie stojący w dole słyszą śmiech, który trwa tak krótko, iż wydawać się może wiatrem, złudzeniem... Mężczyźni zbliżają się do dymiącego wraku i ciekawie zagląдают pod Motocykl. Leży pod nim Motocyklista. Odskakują.

CHÓR MĘŻCZYŹN:

- Cholera!

NARRATOR:

- Didi zbliża się sam, inni idą w pewnej odległości za nim. Wystająca spod kierownicy głowa Motocyklisty szczyrzy do nich zęby przyciśnięta policzkiem do gumowej gruszki.

CHÓR MĘŻCZYŹN:

- Cholera!...

Jednoaktówka się kończy. Natychmiast zalega umiarkowana cisza, bo trzeba wliczyć bzykanie co większych much. W tej umiarkowanej ciszy rozlega się głos Porządkowego: „trzy, cztery!” Jest to komenda, na którą wszyscy winni dźwignąć dłonie, sposobiąc je do klaskania. Na komendę: „raz, dwa, raz, dwa...” cała Sala klaszcze w równych, sekundowych odstępach. Czas trwania oklasków uzależniony jest wyłącznie od Szefa Generalnego. Znakiem do zaprzestania oklasków jest dźwignięcie jego prawej ręki w górę.

Oklaski trwają już około dziesięciu minut. W myśl procedury, autor sztuki znajdujący się na Sali powinien klaskać na równi z innymi, gdyż w ten sposób daje wyraz swojej wrodzonej skromności. Nieklaskanie oznacza pogardę dla wykonawców i widzów. Oznacza to również, iż autor uważa, jakoby nikt niczego nie pojął. „U nas wszyscy wszystko rozumieją” - są to słowa Kucharza.

Więc oklaski trwają już około dziesięciu minut, kiedy to Szef wstaje, dźwiga rękę do góry. Będzie

zabierał głos. W tym wypadku obowiązuje cisza bezwzględna, co zdaje się nawet muchy rozumieją:

- Moi mili. Zarówno ja sam jak i całe nasze kierownictwo jesteśmy pełni uznania zarówno dla autora jak i dla wykonawców. Widać przecież od razu, że światopogląd autora dramatu, który przecież z powodzeniem wystawiamy od lat, pokrywa się prawie w całości z naszymi wyobrażeniami o wszechświecie. Największą bodaj wartością jest tutaj głębokie przywiązanie do wszelkiego rodzaju Czynności, które autor zresztą podkreśla niezwykle zręcznie. Mimo niewątpliwych zalet, jakimi charakteryzuje się dramat, nie mogę nie wnieść pewnych poprawek, co będzie symbolicznym, ale jakże wiele mówiącym wkładem kierownictwa w tego rodzaju działalność kulturalną i sportową. Proszę o powtórzenie sceny z Latającym Motocyklem.

Szef Generalny w milczeniu wskazuje na osobnika siedzącego w dalszym rzędzie. Można go poznać, bo to Kucharz Sali Numer Jedenaście. Podrywa się on natychmiast i zaznaczając tempo zbliża się do Szefa Generalnego:

- Kucharz Sali Numer Jedenaście melduje się na rozkaz.

- Będziesz Motocyklistą - rzecze Szef i siada.

- Tak jest, będę Motocyklistą.

Szef wstaje ponownie:

- **TERAZ JA JESTEM REŻYSEREM** - w jego głosie wyczuć można wielkie zadowolenie - potrzebny jest pniak i pała!

Na scenę wnoszą pniak i pałę. Następnie Szef gwizdże na specjalnym gwizdku marki Golc, na którego dźwięk pojawiają się dyżurni Przyjaciele, po czym wskazuje im palcem Kucharza Sali Numer Jedenaście stojącego w pozycji „wyprężony jak struna”. Dyżurni Przyjaciele ubierają Kucharza Sali Numer Jedenaście w kaftan i na komendę Szefa Generalnego wnoszą na scenę, gdzie kładą mu głowę na pieńku w ten sposób, aby ustawiona była Twarzą do widowni.

- Proszę o tekst!

Zostaje mu dostarczony oryginalny rękopis złożony w Pomieszczeniu Służącym Do Składania Rękopisów, Szef wczytuje się w umiarkowanej ciszy, przerywanej jedynie bzykaniem co większych much. Wychodzi na proscenium i kiwa na Kurtynowego, który jest wielkim osobnikiem. A kiedy ten przepisowo wyprężony melduje:

- Kurtynowy Sali Widowiskowej melduje się na rozkaz - pochyla głowę w jego kierunku i coś szeptem.

- Narrator!

Narrator przyjmuje postawę „wyprężony jak struna”, ale Szef protestuje gestem:

- Zaczynać od słów: „Z ulicy Trzeciej wypada na rynek Latający Motocykl...”

- Tak jest!

- Na mój znak.

- Na znak!

Szef odwraca się powoli i staje przodem do widowni. Następnie dźwiga prawą rękę do góry i zdecydowanie opuszcza. Jego oczy są nieco przymrużone, co wydaje się naturalne wobec światła jupiterów, zaś na Twarzy pojawia się ledwo dostrzegalny uśmiezek. Całość Szefa Generalnego zastyga w bezruchu, a tymczasem Narrator przystępuje do powtarzania sceny.

NARRATOR:

- Z ulicy Trzeciej wypada na rynek Latający Motocykl. Słysząc przeraźliwy pisk hamulców. Nad kierownicą widać zgarbioną sylwetkę Motocyklisty (Kucharz Sali Numer Jedenaście wydaje stłumiony dźwięk). Latający Motocykl skręca gwałtownie, wpada na trotuar, wbija się w latarnię i jak łódka brodzi...



Tu Szef dźwiga rękę do góry, a następnie opuszcza ku dołowi, przy czym kciuk wyraźnie wskazuje podłogę. Oczy ma całkowicie zamknięte, usta otwarte, a w świetle jupiterów widać wyraźnie szyję z nabrzmiałymi tętnicami bądź żyłami. Na znak Szefa zza kulis wypada zaznaczając tempo Kurtynowy Sali Widowiskowej i zbliża się do klęczącego z głową na pniaku Kucharza Sali Numer Jedenaście, a w jego rękę widnieje potężna pała. Kurtynowy Sali Widowiskowej zatrzymuje się przed Kucharzem, po czym z impetem spuszcza pałę na plecy Kucharza Sali Numer Jedenaście. W tym czasie Kucharz wydaje z siebie okrzyk:

- Niech żyje Numer Jedenaście babl... chrrraaa!

NARRATOR:

- ... Powietrzem targa eksplozja...

Słychać chrapliwy oddech Szefa Generalnego, podczas gdy Kucharz Sali Numer Jedenaście wali się na podłogę.

NARRATOR:

- ...Ludzie stojący w dole słyszą śmiech, który trwa tak krótko, iż wydawać się może wiatrem, złudzeniem... Mężczyźni zbliżają się do dymiącego wraku i ciekawie zaglądną pod motocykl. Leży pod nim Motocyklista. Odskakują.

Szef podchodzi do leżącego koło pniaka Kucharza Sali Numer Jedenaście i wskazując palcem mówi:

- Ooo!

CHÓR MĘŻCZYZN:

- Cholera!

NARRATOR:

- Didi zbliża się sam, inni idą w pewnej odległości za nim. Wystająca spod kierownicy głowa Motocyklisty szczyrzy do nich zęby przyciśnięta policzkiem do gumowej gruszki.

Szef podchodzi do Głowy Kucharza Sali Numer Jedenaście i wskazując w nią palcem, mówi:

- Ooo!

Zza kulis wyłania się Kurtynowy Sali Widowiskowej niosący gumową gruszkę, którą kładzie na policzku Kucharza Sali Numer Jedenaście.

- Realizm! - mówi Szef.

CHÓR MĘŻCZYZN:

- Cholera!

Zalega umiarkowana cisza, o ile wziąć pod uwagę odgłos stąpania Szefa Generalnego oraz delikatny szmer oddechów, jak również bzykanie co większych much. Aż daje się słyszeć głos Porządkowego: „trzy, cztery”. Następnie na komendę: „raz, dwa, raz, dwa” wszyscy intensywnie klaszczą, nie zapominając o sekundowych odstępach. Po dziesięciu minutach Szef Generalny wstaje i zaczyna się przemieszczać w kierunku wyjścia, a na jego obliczu maluje się nikły i łagodny uśmiech.

Taki sam uśmiech zawsze pojawia się na obliczu Pana, kiedy przychodzi powiedzieć nam dobranoc. Pan jest łysiejącym mężczyzną w średnim wieku o dużej kwadratowej szczęce. Nos jego jest nad wyraz wąski, a oczy głęboko osadzone. Z oczu Pana Naszego bije siła i pewność siebie. Czasami przebija z nich również dobroć. W takich momentach roztkliwia się on nad sobą i płacze...

Więc Pan Nasz jest jednym z tych łysiejących mężczyzn w średnim wieku o dużej kwadratowej szczęce, którego nos jest nad wyraz wąski, a oczy głęboko osadzone. Z tych oczu Pana bije siła i pewność siebie. Czasami przebija także dobroć. W takich momentach roztkliwia się on prawdopodobnie nad sobą. Stoi teraz przed nami rozkraczony. Można go dokładnie obserwować. Ręce Pana są bardzo spracowane i dlatego wyglądają jak nie myte. Pełno na nich zeschniętej gliny pomieszczonej z roślinami. Pan się ich trochę wstydi, gdyż trzyma je przeważnie za sobą. Na szczególną uwagę zasługują oba kciuki. Lewego nie

widać dokładnie. Zasłania go obszerna szata, w jaką Pan Nasz jest ubrany. Niemniej przypuszczać należy, że jest on taki sam jak prawy, w czym utwierdza głęboko zakorzenione przekonanie o idealnej symetrii Pana. Prawy kciuk odznacza się bardzo pięknym różowym paznokciem, dziwnie kolidującym z resztą dłoni. Jest on utrzymywany we wzorowej czystości, często piłowany, posiada ów charakterystyczny opływowy kształt, który tak chętnie podziwiamy u osób należących do sfer wyższych. Jest on jakby Głową palca, posiadającą dumny arystokratyczny profil. Trudno więc zrozumieć tę dziwną wstydlivość Pana, która każe mu trzymać ręce schowane w ukryciu, za sobą.

Reszta kciuka natomiast stoi w ostrej sprzeczności z paznokciem, bowiem naskórek w miarę oddalania się od nasady paznokcia staje się coraz bardziej chropowaty i łuszczy się, a przy pierwszym Stawie zamienia się wręcz w twardy pancerzyk, przywodzący na myśl skorupy chitynowe, jakimi okryte są liczne Stawonogi. W wyniku tych obserwacji nasuwa się przypuszczenie, iż Pan Nasz nie próżnuje bynajmniej w rozumieniu pracy fizycznej. Skóra na tych zrogowaceniach jest szara, pokryta resztkami dwuliściennych, gliny i jeszcze jakiejś trudnej do sprecyzowania materii. Lecz oto kciuk się poruszył. PAN NASZ RUSZYŁ PALCEM. Dało to możliwość zobaczenia przez moment palca wskazującego. Z drugiej jednak strony moment ten trwał tak krótko, że być może uległem złudzeniu. Bo dlaczego niby miałby poruszyć kciukiem? Akurat kciukiem? Nic przecież nie wskazuje na to, aby zrogowaciała skóra pozwalała na jakikolwiek ruch. Mniejszym zaskoczeniem byłoby, poruszenie się paznokcia, ale kciuk?

Pan Nasz ostatnio się nie pojawia - pozostaje więc tylko marzenie o kciuku. A tymczasem otwierają się Drzwi i wchodzi Kucharz. Znowu stoimy na baczność koło stołów i nikt nie mówi. Panuje umiarkowana cisza - o ile wliczyć bzykanie co większych much.

Glebro albo jasna dziura

## 1. Mroczny lej

Kiedy umarłem i serce me bić przestało, doznałem przemożnego uczucia wsysania. Wciągała mnie siła wielka, a przez głowę do najodleglejszych zakątków ciała, niczym wąż, wśliznęło się ruchliwe ramię mrocznego lejka; struktura ta była pojedyncza i zarazem mnoga. Ze wszystkich mych organów i części wchłaniać poczęła gębros. Czułem się oswobodzony, w lejek wessany. Dziwny był to lejek, bowiem podróż w nim odbywała się niezwykle hałaśliwie i szybko. Jakbym mknął w jakimś niewidocznym pociągu przez nieskończony i oszalały tunel. W miarę pędzenia narastało we mnie przekonanie, że na końcu ktoś na mnie czeka, zaś towarzyszące przez cały czas chaotyczne dźwięki narastały. Po jakimś czasie rozróżniłem w nich pewien muzyczny porządek i jeły mi się one objawiać jako fragmenty znanej kiedyś melodii. Zrozumiałem też, że mknę z potworną szybkością w tunelu, mijając po drodze kolejne przystanki. Na każdym z nich czekały na mnie orkiestry grające powitalnego marsza. Szybkość moja była tak wielka, że mijane przystanki zlewały się jakby w jeden. Czułem też, że mknę coraz szybciej. I gdy szybkość ta doszła do krańca wyobrażeń doznałem uczucia, że oto poruszam się ruchem jednostajnym. Marsz zaś przekształcił się w melodię, którą w dzieciństwie nuciła mi jeszcze moja babka. Zrozumiałem, że słyszę ją jedynie dzięki owej ogromnej szybkości, bowiem z kolejno mijanych przystanków dosłyszeć mogłem zaledwie je - den dźwięk lub akord. Ponieważ wszystkie orkiestry grały równocześnie, mijając je z taką właśnie szybkością, z jaką poszczególne dźwięki po sobie następowały, doznawałem żywego wrażenia poruszania się w melodii. I gdy melodia płynąć poczyniała szybciej i ja chyżej mknąć poczyniałem. Czułem też, że gdybym zatrzymał się nagle na którymś z przystanków powitano by mnie serdecznie, sama zaś melodia płynęłaby niezmaczenie dalej i dalej...

Tymczasem wokół mnie mroczność pogłębiła się nagle, a uwaga moja skupiła się w środku. Dostrzegać też jałem centrum lejka, który wydał mi się ciemniejszy i w czerności swej bardziej zapadły. Jednakże czułem, że wsysając mnie sam się niejako kreuje. Tak jakby właściwie nie istniał, zaś owo złudne wrażenie uwarunkowane było wyłącznie procesem wsysania.

Płynąłem jak unoszony muzyką w czerni zupełnej, nabierając coraz głębszego przekonania, że oto podróżuję w nieodwracalność. Wchłaniający mnie wciąż dalej i dalej lejek pulsował coraz silniej i było to uczucie niesłychane, stojące poza zmysłami. Jego obecność czułem w sobie silnie i wyraźnie, o wiele dotkliwiej niż w owych natarczywych momentach, w których odnosi się wrażenie, że na plecach naszych spoczywa czyjś palący wzrok. W chwili gdy sobie to uprzytomniłem owładnęło mną uczucie lęku i niemożności. Lecz dziwny to był lęk i dziwna niemożność - nie z owych, drżeniem, bojaźnią podszytych, skażonych piętnem śmierci, rozkładu. Lęk mój innej był miary. Była to jakby idea lęku jedynie z pierwszego kształtu do prawdziwego lęku podobna, lecz bliżej raczej do radości zmierzająca. Raz na jej drogę wepchnięci, poruszamy się coraz bardziej radośni i w końcu w radość przemienieni.

Doznanie to drżało we mnie, ledwo uświadomione, ledwo poczęte, lecz już, czułem, nieodwracalne. Poruszałem się w nim, czy może jemu naprzeciw, rytmem muzyki babcinej niesiony, rozprzestrzeniony pomiędzy akordami; a w przodzie doznań moich niczym czarny metronom pulsował intensywnie lejek. Przestało mi się zdawać, iż mijam przystanki, a sam tunel wydał mi się teraz jakby kanałem muzycznym. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że melodię tę, słyszaną jako pierwszą w dzieciństwie, a później przez lata życia mego zapodziają, obecnie słyszę naraz, w całości. Mimo to objawiła się ona z całą

wyrazistością, z każdego dźwięku, nutki, frazy. Równocześnie poszczególne dźwięki łączyć się jeły między sobą i komplikować, wytwarzając jakby odnogi tunelu. Odniosłem wrażenie, że gdybym tylko zechciał, z łatwością mógłbym się oto puścić w jeden z nich. Decyzja leżała w zasięgu mojej woli. Nagle dźwięki przekształciły się w wielką i potężną muzykę, która niczym odległa planeta odczuta intuicyjnie z olbrzymich odległości jaskrawo pałać poczęła w psychicznej mej otchłani. Moja jaźń w podróży swej zaledwie jej dotykała, a w miejscach zetknięcia z owej muzycznej kuli wyłaniać się poczęły fragmenty muzycznych powierzchni stwarzanych dawniej, i tych w ogóle jeszcze nie stworzonych.

Słyszałem wesołe, skoczne madrygały i kantyleny di Lasso przeplecione pełnymi ekspresji akordami preludium Francka. Dźwięki lutni, pomort i symfoniału przeszyte zostały ostrymi dźwiękami trąb i suzafonów, to znów jaźń moja otarła się o zacne pieśni ludowe, śpiewane głosem płaskim i gardłowym, ponad którymi unosiły się dźwięki harf i fagotów. Zanim zdołałem się w muzykę tę wtopić, niejako wprząc, niczym mur wyrosła przede mną kakofonia dzwonów. Zrazu najcieńsze były jasno swym spiżowym dźwiękiem, lecz im bardziej w nie moja jaźń wchodziła, tym ton ich spadał niżej i niżej przeradając się z wolna w przestrzenie dźwięków stojących i głośnych, głośnością pełną zlanych w jedność, niebywale pulsujących, wypełniających istotę moją szczelnie.

Narastała wielka wibracja, chaos olbrzymi i mrok. I kiedym zrozumiał, że oto sięgnąłem jądra dźwięków, których intensywności nie zdołam już więcej w sobie pomieścić, ujrzałem dno lejka, który zalśnił w kolejnym spazmie. W tym momencie łoskot naparł na mnie ze straszliwą siłą i poczułem, że zapadam się w siebie, w swą jaźń, do niemożności rozproszony w niebywałość jakąś, która jest nieskończoną jaskrawością.

## 2. Żona podporucznika

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, było moje ciało leżące na stole operacyjnym. Twarz moja przesłonięta była aż po nasadę oczu maską tlenową, której grube gumowe węże zwieńczone lśniącem niklowym reduktorem oplatały szyję. Nad ciałem moim, i nie moim już przecież, pochylonych stało dwóch chirurgów, z których jeden spocony operował, drugi zaś asystował. Stojący u wezglowia anestezjolog zastanawiał się właśnie, dlaczego nie wyczuwa we mnie pulsu. Myśl jego przejęta przeze mnie w sposób natychmiastowy nie wzbudziła wszak niepokoju. Przyjęta została jako rzecz naturalna, rozumiała sama przez się. Odczułem, że oto rozumiał będę myśli osób żyjących życiem fizycznym. Młody ten człowiek przeszyty nagłym impulsem wyrzekł słowo „zapaść”. Jednocześnie zrozumiałem, że go nie słyszę. Słowo „zapaść” było po prostu uogólnieniem myślowym całego szeregu procesów fizjologicznych i psychicznych a zarazem myśli, odruchów, stereotypów dynamicznych. Pojąłem to w całej rozciągłości i skomplikowaniu w tempie równie szybkim, w jakim występowały one u anestezjologa. Zaś ów wniosek końcowy w procesie tym wypadł jak synkopa, rzecz szczególnie wyakcentowana, gdzie napór myśli przekracza ową barierę niepewności, za którą rozciągają się słowa. Oto anestezjolog wiedział, że pacjent znajduje się w stanie zapaści. Drugi, wolny chirurg wyrzekł słowo „adrenalina” w intencji skierowane do siostry instrumentariuszki. Ów spocony, operujący, na chwilę zawiesił rękę z trzymanym peanem, a jego myśli przebiegły wielki obszar wyobrażeń zatrzymując się przy jednym, szczególnie groźnym, przedstawiającym blankiet pisma komisji z zakazem wykonywania zawodu chirurga, który niedawno sam podpisywał. Przez chwilę zapragnął rzucić trzymany w ręce pean, jednocześnie rozumiejąc, że zrobić mu tego nie wolno. Opanował się - operować, dalej operować. Siostra podała strzykawkę z myślą: „To pierwszy przy mnie, lecz chyba czwarty w tym tygodniu”. Asystujący chirurg uniósł strzykawkę pod światło i kciukiem nacisnął tłok. Następnie dotknął palcem mej piersi i wymacał odpowiednie miejsce, a potem wbił w nie igłę. Nie czułem nic. Czekając na akcję serca chirurdzy patrzyli sobie w oczy. Serce me stało martwe.

Rzecz dziwna, odczułem wielkie zadowolenie. Owo uczucie sprawiło, iż jakbym przestał odczuwać ich myśli bezpośrednio, pośrednio wszak odczuwając je nadal. Ostatnią z nich odczuta konkretnie była decyzja „reanimować”. Znajdując się pod sufitem czułem, tak jakby mi to ktoś relacjonował, że w dole przyciągają aparaturę reanimacyjną. Otaczająca mnie jaskrawość pogłębiła się. I docierające przez nią myśli stały się mniej wyraźne. Przez jakiś czas polatywałem nad głowami lekarzy. Widziałem też swoje drgające pod reanimatorem ciało przypatrując mu się tak, jakby zgoła nie moje było, bez żadnego żalu i nadzwyczajności, a potem nagle ruszyłem na wskroś przez ściankę. Mijając warstwę tynku i cegieł czułem jakbym przeszedł ciepłą mgłą. Znalazłem się w niewielkim korytarzyku sali operacyjnej. Minąwszy siostr kilka, z których jedna przeszła przeze mnie jakby przez powietrze, wszedłem do małego pokoiku, gdzie stało wielkie digestorium, a obok niego syczący autoklaw. Nie wiem, czego w tym pokoju szukać chciałem, widocznie wyjścia, skórom natychmiast przez jakieś drzwi się przedostał na jeszcze jeden korytarz. Ujrzałem tam członków mej rodziny - żonę i jej matkę czekające na wynik mej operacji. Teściowa intuicyjnie wyczuwała nieszczęście. Nie była pewna, czy powinna się dzielić swymi obawami z moją żoną. Byłem świadomy jej niepokoju i poza tą świadomością nie odczuwałem nic. Zdawałem sobie w pełni natomiast sprawę, że pogrążony jestem w niebycie. Zaraz też stanęło przede mną życie me

całe. Od początku do końca. Wszystkie sprawy nieważne i zapomniane w poprzedniej swej cielesności już dawno przypląły do mnie z całą żywością, lecz nie było w tym nic z filmu puszczonego w przyspieszonym tempie. Projekcja odbywała się natychmiastowo. Gdy tylko na wspomnieniu jakimś bardziej się koncentrowałem, wyłaniało się mi ono natychmiast bardzo ostro, podczas gdy inne nabierały miękkości, pozostając jakby tłem. Oto został mi dany komplet wspomnień i wyłącznie ode mnie zależało, na którym z nich skupi się moja uwaga. Wszystko było w wielkiej światłości skąpane, której jednak źródła dostrzec nie mogłem. Natychmiast pojąłem, że jaskrawość przewodniczką w owych wspomnieniach mi będzie. Przyłgnałem też całym sobą do niej starając się stopić z nią w jedność, czując jednocześnie, że nie do końca mi się to udaje. Było to działanie jakby asymptotyczne, dające zadowolenie jedynie w tym, iż posiadało się świadomość obejmowania jasności w większości. Równocześnie odczuwało się ową większość jako dotkliwą niepełność. Im bardziej też starałem się stopić z jaskrawością w jedność, tym bardziej mi się to nie udawało, przy czym starania te przynosiły świadomość, że owo coś dzielące, jest nieduże, w zasięgu własnej możliwości. By je przekroczyć wystarczyłaby odrobina większej koncentracji. Gdy jednak ze wszystkich sił starałem się bardziej skoncentrować okazało się, że jest to niemożliwe, a droga wiodąca do celu wydała mi się nieskończoną. To jednak, co osiąść zdołałem, napełniało mnie poczuciem szczęśliwości, łagodności i dobroci. Przez ten pryzmat jałem wspominać rzeczy nieraz najpaskudniejsze i ohydne, jakie każdy na drodze swego życia bez liku popełnia, aliści bez winy i upokorzenia, a tylko z wyrozumieniem, dobrocią i humorem nawet. Miałem uczucie, że jaskrawość przemawia do mnie moim wewnętrznym głosem. Lecz nie były to żadne słowa z rodzaju tych jakie słyszy się nieraz w sądzie czy z ambony: to jest dobre, to jest złe. Rozumiało się, iż złe jest po prostu nie najlepsze, a dobre - nie za dobre, lecz i niezbyt złe. Tak jakby mi jasność groziła palcem, lub jak gdybym sam począł sobie grozić palcem jako uprzykrzonemu brzdącowi nie bardzo poważnie jednak grożenie to traktując. Jakby to, co groziło mi owym palcem było starsze ode mnie i mądrzejsze. To zaś wszystko, co we wspomnieniach mi się objawiać zaczęło, widziałem jako zgoła figle niedojrzałego smyka, którego właśnie z powodu owej niedojrzałości miłować i chronić trzeba. Więc pojąłem, iż jeśli istnieje niebo, tedy znajduję się w niebie. Jednak nie niebo to było. Jasność uśmiechnęła się do mnie jakby przez tę dobrotliwość dając mi przeczuć, że prawda jest inna, że poznam ją jeśli będę chciał, lecz nie na tym etapie.

Zaraz też zastanawiać się począłem nad życiem swym widzianym we wspomnieniach, rozważając ewentualność mego powrotu w cielesność. Jakby mi postawione zostały pytania: „Gotowyś tam nie wracać?”, „Wszystkoś już w życiu spełnił?”, „Chcesz-li pozostać ze mną?”

Weronikę poznałem jako żonę podporucznika I.C. Niezwykła ta istota o wejrzeniu błękitnym, w granat wpadającym, substancji była wiotkiej. Jej drobne stopy oraz nieprawdopodobnie piękne dłonie, zwieńczone nerwowymi palcami o wypiełgnowanych paznokciach, dodawały jej niezwykłemu ciału zmysłowości straszliwej jakiejś, nakazującej mężczyznom myśleć o całowaniu drapieżnym i nagłym. Żona podporucznika I.C. doskonale wczuwała się w owe męskie fluidy, raz po raz namiętności rozjątrzając błahymi na pozór gestami. A to zaszeleściła jedwabiem, to pończochami o się potarła, to nie opadły pukiel włosów nagle i przeciągle poprawiała. W takich wypadkach jej lewa ręka unosiła się nieco w górę bezradnie, jakby szukając męskiego ramienia a gdy na owe trafiła, natychmiast przywierała doń miękko, naciskając lekko lecz zupełnie. Odnosiło się wtedy wrażenie, że dłoń owa smukła przenika do mięśni, coś szczególnego przekazując. Była też kobietą, której stale się coś odpinało, nadrywało, ugniatało, bo też wszystkie sprzączki, paski i guziki - nieodłączne akcesoria kobiecego stroju - stale na jej niespokojnym ciele na ruch narażone, ocierały się, zazębiały, naciągały, rozchyłały i zrywały.

Zastałem ją szamoczącą się z paskiem od pantofla. Spojrzała na mnie tak jakoś bezradnie i zarazem nakazująco, iż mimo że się szczególnie tego dnia śpieszyłem, przystanąłem pytając w czym mogę jej

pomóc. I była w głosie moim jakaś impulsywna intencja okazania się natychmiast, przez głosu samego timbre, typem niezwykle interesującym, szlachetnym a tajemniczym - co, jak się okazało później, wydało jej się okropnie śmieszne. Lecz wtedy dostrzegałem jedynie jej uśmiech i te niesamowicie napięte usta, w które od razu zapragnąłem się wgryźć.

- Głupstwo, proszę mnie tylko podtrzymać, widać sprzączki się zacięły.

Podąłem jej ramię czując, że osobowość moja przez tę jej nerwową i drapieżną dłoń po raz pierwszy została poważnie nadgryziona. Przez chwilę tak staliśmy i był to epizod zaledwie, lecz teraz wisząc nad jej głową pod sufitem dostrzegłem, że był to przypadek pełen znaczenia.

Od śmierci ojca, po raz pierwszy odczułem tak silnie gębrowo. Ponieważ matka umarła przy moim porodzie, jedynie ojciec w rodzinie mej roznosił gębrowo. A gdy i on umarł któregoś jesiennego dnia, okazało się wtedy, że dzień ten pamiętają wszyscy jako moment szczególny, skażony piętnem odczuty głęboko, w świadomości zapadłym i od dni przyszlých odrębnością rzeczy dokonanych i zamkniętych się różniący. Jakby zostało nam odebrane dzieło sztuki, zaś w jego miejsce wstawiono połyskujący werniksem falsyfikat. Więc niby przedstawiało się gębrowo tak samo. A jednak, pozbawione mego ojca jednocześnie pozbawione zostało istoty swej. Niczym wykonany ze starego mosiądzu świecznik, potrafił ojciec mój nadać płomieniowi gębrowo sens głębszy i niejednoznaczny, przy czym tylko z pozoru nieefektywna to była głębia. Nie z owych, nagle się zapadających głębi, gdzie, idąc zatrzymujemy się z okrzykiem: „Ależ dziura!” Głębiami mego ojca była głębią przepastną i mięsistą. Oceaniczną wręcz była, spokojną i groźną zarazem, gdzie ostateczne utonięcie wynika nie z owego przypadku, lecz niemożności dobrnięcia gdziekolwiek. Raz ugrzęzły w głębi mego ojca, kąpiący się natychmiast przekształcał się w topielca. Pozbawione też ojca gębrowo jakby zaczęło się zapadać, jednocześnie odbierając licznym topielcom przedmiot ich pogrążania. Synem będąc, widać nie potrafiłem obejść się bez gębrowa, zaś odejście ojca spowodowało, że zamiast wynurzyć się, tonąc jałem, w głąb zapadać potęgowe Wgnieceniu, pchaniu i ściskaniu się odczuwać począłem instynktowną wręcz rozkosz. Jakby pęd ten był moim odwiecznym pragnieniem, celem istnienia mego. Przyszło to na mnie wraz ze świadomością patologii, w której, jak zbłąkany ogień, tliła się jeszcze pamięć rzeczy jakichś minionych i ważkich, odczuwanych mgliście na kształt owego niepokoju, jakiego doznajemy niekiedy w nowym lecz jakby znajomym fragmencie rzeczywistości. Jego odejście, pozbawiając mnie, ugrzęzłego, substytutu grzęźnięcia, pozostawiło mi wszak jego sprawnie działający mechanizm. Toteż nie posiadając prócz siebie nic jałem grzęźć w sobie samym.

W takim to stanie ducha poznałem Weronikę, żonę podporucznika I.C., do której od razu zapalałem gorącym uczuciem. Czas mijał dzień po dniu i kolejne poranki zastawały mnie coraz bardziej pogrążonego w miłości, coraz też bardziej bolesnej. Z natury nieśmiały, nie byłem w stanie się przemóc, by dać jej jakiś znak, który by uczucie me symbolizował.

Przypadek zdarzył, że po raz drugi ujrzałem ją w kawiarni siedzącą koło męża, niezwykle urodziwego mężczyzny, który »jakby chcąc dodać kontrastu swym olśniewającym zębom nosił starannie przystrzyżony czarny wąsik. Widać było, że kocha się też w swoich równo przyciętych paznokciach, piłowanych co dzień pieczołowicie, na które coraz to popatrywał. Dłonie zaś miał suche i ciepłe, a gdy je komu podawał przytrzymywał i nie puszczał, trzymając dłużej tak, aby gestem nadać powagi, zaś sobie pozorów stateczności. Tych zaś potrzebował najwięcej, albowiem uroda jego sprawiała, iż zwracając powszechną uwagę kobiet gdziekolwiek będąc, stawał się natychmiast ośrodkiem zainteresowania. Czując na sobie stale czyjś palący wzrok ruchy miał sztuczne, pod kontrolą... To wszystko w połączeniu ze starannie wyprasowanym, wiecznie jak spod igły mundurem powodowało, że wszyscy, którzy się z nim bliżej zetknęli, odchodzili jakby zawiedzeni z równą chyżością z jaką przedtem, widząc go tylko z daleka, doń przylegali. Dzięki temu podporucznik I.C. nie posiadał żadnych bliższych znajomych, przyjaźni,



zadowolając się przelotnymi, do których był jakby stworzony. Oprócz tego bliższe kontakty z poszczególnymi osobami męczyły go niebywale i bywało, że nagle się zrywał od towarzystwa dyskutującego o sztuce, wychodząc niby gdzieś zadzwonić. W rzeczywistości wychodził po prostu i nie wracał. Często też ubolewał wśród osób wojskowych nad ograniczonością cywili utrzymując, że nie potrafi z nimi rozmawiać. Po części była to prawda, bowiem umysł jego od młodości do komend i rozkazów nawykły wytworzył już tyle trwałych połączeń i sprzężeń, że na to, by je pozrywać, potrzeba by było bodaj drugiego życia. Lecz jaki był podporucznik naprawdę, nie dowiedziałem się nigdy. On sam zmienić się nie myślał oblatując coraz to nowe maszyny (bo z zawodu był oblatywaczem), a jego życie podzielone pomiędzy samolot i dom sprawiało, że życiowe credo miał proste. W samolocie czuł się władcą nieba, w domu zaś - żony.

Sądzę, że jedynie przez wzgląd na ową profesję, działającą niekiedy jak narkotyk na wyobraźnię osób wrażliwych, Weronika trwała przy nim nie zwracając na nikogo większej uwagi. Raz tylko, gdy wzrok nasz się zetknął, poczułem, że zostało mi przekazane jakoweś wołanie. Głos ten, znany mi jedynie z symptomów i sennych przeczuć, poruszył mnie do głębi i chyba wtedy również ona ze wzroku mojego odebrać musiała podobne wołanie, bowiem ilekroć ją później spotykałem, nigdy już w twarz moją bezpośrednio nie ośmielała się patrzeć i tylko rumieniec, przyśpieszony oddech świadczył, że ten głos mój, owo wołanie do niej, nie jest jej niemiłe.

Miłość nasza pozostałaby zapewne nie spełniona, gdyby nie przedwczesna śmierć podporucznika, który podczas kolejnego oblatywania na skutek zacięcia się sterów wyrznął prototypem maszyny w wieżę radarową, kładąc trupem na miejscu siedmiu z obsługi i samemu śmierć ponosząc. Dowiedziałem się o tym dopiero w dniu jego pogrzebu, przeglądając przypadkiem gazetę codzienną z zamiarem pobawienia się z samym sobą w grę zwaną „trupki”, który to nawyk pochodzący z czasów studenckich nawiedzał mnie jeszcze niekiedy szczególnie w dni ckiwe lub w stresy obfitujące. Gra polega na tym, że zakrywając w nekrologu wiek zmarłego, z reszty tekstu staramy się dociec, w jakim wieku przyszło nieboszczykowi oddać ostatni dech, przy czym wygrywa ten, kto pomyli się o najmniejszą liczbę lat. Zabawa ta, szczególnie popularna przed egzaminami, nieraz już okazywała się pomocną w trudnych momentach, powodując, że skupieni nad błahostką (czymże jest czyjaś śmierć w młodości) zapominaliśmy o rzeczach uciążliwych i nieprzyjemnych. Tak było i wtedy. Po nieprzespanej nocy spędzonej w mocach żądź do żony podporucznika, chcąc owe dotkliwie wizje do reszty odpędzić siedziałem w kuchni i pijąc trzecią już z kolei kawę grałem w „trupki” sam z sobą. Wtem wzrok mój padł na nekrolog, w którym nieutulona w żalu Weronika C. wraz z rodziną donosi o tragicznej śmierci męża, podporucznika I.C., który zginął śmiercią lotnika w trakcie pełnienia służby. Wyprowadzenie zwłok odbędzie się z kaplicy św. Barbary o godz. 11. Pod spodem widniała dzisiejsza data. Poderwałem się z krzesła i jak szalony wbiegłem do pokoju rozwierając szafę z nie używaną garderobą. Z szafy buchnęła na pokój ostra woń naftaliny. Spośród ubrań wybrałem czarny garnitur nieco już przykrótki, wyniosłem go zaraz na balkon, by przewietrzał. Ogoliłem się, szczęściem zacinając się jedynie raz. Do wdzianej białej koszuli dobrałem czarny jak smoła krawat. Woń naftaliny w garniturze zelżała już nieco, aliści nie do końca. Nie czekając już dłużej założyłem go spieszenie i wybiegłem z mieszkania w kierunku postoju taksówek.

### 3. Miłość

Weronika ujrzała mnie dopiero pod koniec ceremonii, w owym pełnym symboliki momencie ciskania grudkami ziemi w otwartą czeluść grobu. Mimo żałości i smutku uwznioślonego ceremoniałem, spojrzenia nasze skrzyżowały się i na sobie zawisły. Znowu posłyszałem wołanie głębokie pochodzące ze żreń. Schyliłem głowę dając jej znak, że oto czuwam i jestem. Odpowiedziała mi skinieniem nikłym lecz znaczącym, a wszystko to odbywało się przy akompaniamencie ponurego dudnienia grudek ziemi o trumienne wieko.

Po pogrzebie Weronika zniknęła mi z oczu na blisko trzy miesiące. Gdy zasięgałem o niej wieści, jedni twierdzili, że wyjechała, inni natomiast powiadali, że powróciła do nauki, której jakoby oddała się bez reszty. Widząc moje zdziwienie dodawali, że właśnie dla męża zrezygnowała z kariery naukowej. Zamiast czynić coś, aby ją odnaleźć, desperowałem i coraz częściej szukałem ulgi w kieliszku. Aż pewnego dnia przechodząc koło uniwersytetu zobaczyłem ją. Ani ona nie знаła jeszcze wtedy mego imienia, ani ja jej. Do tej pory zamieniliśmy z sobą zaledwie kilka zdań. Na jej widok serce podeszło mi do gardła lecz, przełamując się, pozdrowiłem ją sztywno.

- Pan był znajomym mego męża? - zapytała.

- Nie... - zaprzeczyłem czując, jak wszystka krew odpływa mi z głowy. Dopiero teraz spostrzegłem, że nie nosi żałoby. Jąłem pilnie obserwować jej oczy, czy nie odezwie się znów owo wołanie z głębi. Lecz nie odezwało się. Staliśmy tak milcząc, czując jednocześnie narastające skrępowanie i własną wobec niego bezradność. I nagle stwierdziłem, że mówię. Było to coś, czego nie kontrolowałem. Oto moje gardło przemówiło samo, artykułowało słowa, nad którymi nie potrafiłem panować. W miarę jak mówiłem widziałem, że twarz jej poczyną grać różnymi uczuciami. Z początku przeważały negatywne, potem wystąpiło zdziwienie, a gdy ono minęło, na jej twarzy pojawiło się coś na kształt rozbawienia. Zaraż też nadciągnęło uczucie przekory, podszyte wszak przychylnością.

- ...ufając sercu. Znam panią dopiero od roku a wydaje mi się, jakbym znalazł całe życie. Przez ten rok stałaś mi się droższa niż ktokolwiek. Zbudowałem sobie w sercu twoje wyobrażenie... nie bój się... pozwól...

- Ależ my się w ogóle nie znamy!

Przemawiałem do niej nieskładnie, chropawo, ale było to przecież zarówno dla niej jak i dla mnie novum. Nikt do niej jeszcze tak nie przemawiał ani ja do nikogo tak nie przemawiałem. Czas płynął, a słowa niczym dłuto artysty cierpliwie przecinały jej skrupuły. Wiązanie powiązaniu... aż nadszedł ów moment, kiedy odsłonięte zostało Miejsce i w Miejscu otworzyły się Drzwiczki. Zamilkłem i czekałem w napięciu czując, że nieważne są słowa wobec rozmowy oczu. Oto wiązała nas oczu naszych rozmowa płynąca z głębi, a moje mówienie sprawiło tylko tyle, że pozwoliło dostatecznie długo oczom z sobą obcować. Przekroczyliśmy razem próg duchowego złączenia, za którym rozpościera się glebro. W tym psychicznym stanie słowa dopiero później nabierają znaczenia, podobnie jak statyczny związek chemiczny przekształcony transkonetycznie uaktywnia się nagle i każda jego drobina znaczyć może dla organizmu tak wiele.

- Przyjdź dzisiaj do mnie-powiedziała wolno, patrząc mi w oczy, bezwiednie poprawiając rozpiętą torebkę. Nie potrafiąc wyrzec słowa niemo kiwnąłem głową. Z otwartej torebki wyjęła kartkę, na której

zapisła adres. - Wieczorem.

Jakiś czas niepotrzebnie mocowała się z uszkodzonym zamkiem a następnie uśmiechając się jakby przepraszająco wsunęła nieszczęsną torebkę pod pachę i zniknęła w bramie uniwersytetu. Stałem ogłupiały, jeszcze nie wierzący, a dusza moja z wolna pogrążyć się jęła we wspaniałość. Uszczęśliwiony pobiegłem do najbliższej restauracji. Usiadłszy przy barze wypilem pod rząd dwa kieliszki wódki. Już przy trzecim zrozumiałem, że odnajdując Weronikę odnalazłem w niej utracone po śmierci ojca gębrow. Począłem pić pod szczęście, pod radość, na odwagę i znowu na szczęście. Barman co raz zerkał na mnie objawiając mi swą przychylność mrużeniem powiek. Przy kolejnym kieliszku zagadnął:

- Musiałeś pan chyba wygrać milion.

- Prawda - krzyknąłem w uniesieniu - a zresztą co mi tam pieniądze.

Klienci zwrócili ciekawe twarze w naszym kierunku, a barman nalał do pełna. Spojrzałem na wiszący przy wejściu zegar. Zrobiło się późno. Zapłaciłem i wyszedłem na ulicę a potem przywołałem taksówkę. I kiedy na schodach mego domu poczułem się pijany, uprzednia radość przemieniła się w rozpacz. Resztki świadomości nakazywały, by nie pokazywać się w tym stanie u Weroniki. Do wizyty pozostała już tylko najwyżej godzina. Godzina minęła a ja siedziałem w łazience obserwując bezmyślnie lustro. Wezbrany mój żołądek bulgotał złowieszczo wtłaczając w krwioobieg ostatki alkoholu. Włożyłem głowę pod kran z zimną wodą, a potem zbierając resztki świadomości przywlokłem się do pokoju i runąłem koło tapczanu. Leżałem urżnięty. Mój system nerwowy przestał odbierać bodźce.

W tym czasie Weronika nerwowo oczekiwała mego przybycia. Chwilowe oszołomienie minęło jej już a kolejne decyzje, jakie podejmowała świadczyły, że nie bardzo wie, jak się ma w stosunku do mnie zachować. Była zdecydowana nie otwierać mi, ale już po pięciu minutach zmieniła zamiar postanawiając jednocześnie, że otworzy mi, ale będzie nieprzystępna i zimna. Minuty wlokły się wolno, a ja nie nadchodziłem. Oczekwała jeszcze pół godziny. O godzinie ósmej sięgnęła po pierwszy kieliszek. Po drugim postanowiła nie myśleć o mnie więcej. Lecz pijąc siódmy myślała nadal. Broniąc się przed myślami postanowiła utopić je w alkoholu. Do łóżka położyła się mocno wstawiona i przez większość nocy nie mogła zasnąć.

Tymczasem ja obudzwszy się nazajutrz poczułem się całkowicie chory. Oprócz potwornego kaca bolało mnie gardło i czułem wysoką gorączkę. Myślami byłem przy Weronice. Targała mną złość i gniew. Wyrzucałem sobie wczorajsze upicie się, lecz jednocześnie usprawiedliwiałem się przed sobą. Co, nie było okazji? Przecież była. Musiałem. To przyszło tak niespodziewanie! Wkładając ubranie czułem rosnącą gorączkę. Nie daj Boże zapalenia płuc. Wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko mnie. Czułem, że jeśli teraz się nie odezwę i jej nie przeproszę, to ją stracę. Potem przyszło mi na myśl, że moja choroba może być znakomitym usprawiedliwieniem. Usiadłem przy stole i napisałem krótki list z przeprosinami. Następnie udałem się do sąsiada rencisty prosząc go, by powiadomił lekarza i przy okazji zaniósł list na pocztę. Mój wygląd musiał go przerazić, bo po godzinie wrócił z doktorem. Leżałem w łóżku mającąc w gorączce. W pół godziny później straciłem przytomność.

Pierwszą rzeczą jaką zobaczyłem otwierając oczy były jej usta. Mrugnąłem kilkakroć, by przekonać się, czy nie śnię. Usta wisiały nadal i wpatrując się w nie dostrzegłem ich niezwykłość. Zorientowała się, że jestem przytomny. Starłem się wydobyć z siebie jakiś głos, lecz nie mogłem.

- Proszę nic nie mówić i leżeć spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

Tak oto zaczęła się ta wielka i straszliwa miłość. Choroba moja trwała trzy miesiące, a po następnych dwóch miesiącach mojej rekonwalescencji wdowa po podporuczniku I.C. stała się moją żoną. Przez pół roku miłość nasza dojrzewała i wzbierała, by po następnym półroczu osiągnąć szczyt. Osobą mącą owe pełne miłosnych uniesień chwile była teściowa, kobieta posepna i tępa, posiadająca ów niezwykle rzadki dar stałego poruszania się w skrajnościach bez używania słów. Gdy tylko na nią spojrzałem, przyoblekała

swoją zwiędłą twarz w uśmiech złośliwy i szyderczy, którym kąsała mnie najbardziej, gdy byliśmy sami. Prawdopodobnie pragnęła spowodować, bym stracił panowanie nad sobą. Ów uśmiech, w którym wyczuwałem niebywałą wredność doprowadzał mnie do tego, że oczy zachodziły mi krwią i pulsowały skronie. Nie mogąc go znieść odwracałem głowę i jeszcze kątem oka zdołałem, bywało, uchwycić szyderstwo, które jej w takich chwilach triumfu wyłaziło na twarz i rozlewało się po całym ciele. Niekiedy, nawet gdy stała odwrócona do mnie tyłem, wydawało mi się, że jego resztki drzenią w jej plecach, nogach, rękach. A nawet wówczas gdy się odwracał i wybiegał z pokoju jej szyderstwo nie opuszczało mnie, szydził ze mnie pozostawiony w przedpokoju jej kapelusz, jej parasolka. Wydawało mi się czasami, że oba uczucia-wstrętu i nienawiści do teściowej oraz miłości do jej córki są jakby z sobą sprzęgnięte. Potem odwiedziny teściowej stawały się coraz rzadsze, a jeśli Weronika się gdzieś ze swoją matką spotykała, to ja nic o tym nie wiedziałem. Jednocześnie czułem, że czegoś zaczyna mi brakować, tak jakbym dzięki owej nienawiści odczuwanej do teściowej trwać mógł w mym obłądnym żony umiłowaniu. Podświadomie jednak czułem, że stan ten nie może się długo utrzymać. Pierwsza nie wytrzymała Weronika. Któregoś dnia nabrzmiała do granic możliwości miłość jej ku mnie pękła niczym balon wypełniony wrzątkiem i spłynęła na Docenta, parząc go straszliwie. Moja miłość wyszła z tej katastrofy cała. Przestało mi już brakować nienawiści. Oto miałem żonę, którą mogłem kochać miłością prawdziwą, nienawidząc zarazem. I gdy moja miłość stale wzrastała, jej przelana została na kogoś innego i żona moja zachowywać się jęła jak przetwornik miłości. Wszystkie nadmiary mych psychicznych uniesień miłosnych spływały na Docenta, nieco inaczej tylko przetworzone. Zrazu nie pojmowałem, że nie ma już płomienia glibro w mej żonie. Zorientowałem się dopiero po swoim częstszym do wódki sięganiu. Było już jednak za późno. Moja uporządkowana do tej pory psychika, podobnie jak energia przez płomień, szukała ujścia w chaosie. Znowu zacząłem szwankować na zdrowiu. Tymczasem Docent kwitł. I stało się, że nagle Śledziona moja zapadła się w „śledzioność”, a Wątroba w „wątrobość”. Im bardziej organy te czułem, tym bardziej jakbym ich nie czuł. W jakiś czas później Serdeczny Mój Palec grząźć począł w „serdeczności”. Potem przyszła kolej na Żołądek, Trzustkę, Brzuch, Ramiona, Serce i Głowę. I ugrząźłem oto w przepastności swej, a moje organa poczęły się Pchać, Ścisnąć i Zgniatąć. Raz z miejsca swego ruszona Nerka jęła się poruszać w „nerkość” i była to podróż jakaś, w Wszechświat Nerczyny w swym zapadaniu nieskończony, posiadający przestrzeń, czas i gwiazdy. Minąłem Księżyc Nerki swej i Słońca, a czerń Nerczynego Kosmosu, mimo że w istocie nadal czernią pozostała, bielą się mi wydawać poczęła. Jednocześnie zacząłem odczuwać Narastanie. Było to uczucie dławiące i nieprzyjemne. Im bowiem bardziej w „nerkość” swą się pogrążałem tym intensywniej się w owym zapadaniu rozprzestrzeniałem. Przez Nerkę odczułem się nagle dwoisty: Upchany, Zapadły, Zgnieciony oraz Rozproszony, Narosły, Rozprzestrzeniony. A ponieważ proces ten objął wszystkie me organy, poczułem, że Mózg mój tracić poczyna Kontrolę a oszalałe Serce zatrzepotało by stanąć w końcu i nie drgnąć więcej, w „sercowatości” swej zapadłe. Raz też drgnęły jeszcze Synapsy i. Neuryty mrowiem Impulsów przeszyte, by utonąć w Istocie swej, a z Wolnych Przestrzeni Międzykomórkowych wylała się acetylocholina.

#### 4. Próba przebicia się

Nadal znajdowałem się pod sufitem unosząc się nad głowami żony i teściowej. Przypatrując się swemu minionemu życiu ze wszystkich sił starałem się jak najpełniej zjednoczyć z jasnością. Z teściowej emanowało złośliwe zadowolenie i pewność siebie. Satysfakcja, przeczuwana na razie i niepełna, była jednak na tyle silna, iż nie pozwalała mi poznać myśli mej żony. Wytwarzana przez teściową szydercza aura stanowiła mur otaczający szczelnie Weronikę. Widziałem żonę swoją siedzącą na ławce z twarzą bladawą, jakby nieobecną, i mimo przeszkody czułem, że myślami jest przy mnie, aczkolwiek całkowitej pewności nie miałem. Gdy w mej jaźni pojawiać się jeły pytania: „Gotowyś nie wracać?”, „Chceszli tu pozostać?”, myśli moje obracać się poczęły wokół ich treści. Przede wszystkim zastanawiałem się, czy na myśl o pozostaniu nie odczuwam żalu czy tęsknoty za tym, co pozostawić mi oto przychodzi. Mimo wysiłków nie potrafiłem jednak żalu w sobie wykrzesać. Moje cielesne życie wydało mi się płaskie i niepełne. Czułem, że gdybym powrócił, nie byłbym już sobą. Brakowałoby mi owej beczasowości, nadzwyczajnej lekkości, łagodnej radości, wszystkich niewysłowionych nastrojów, wzmożonej bystrości myślowej, gdzie wobec braku czasu przyczyna staje się skutkiem i gdzie poznanie odbywa się w sposób natychmiastowy i pełny, bezgraniczny, zależny jedynie od własnej woli. Oto czułem, że gdy tylko zechcę jaźń moja rozszerzy się w nieskończoność, obejmie wszystkie zakamar - ki wszechświata i tak rozproszona trwać będzie poza czasem, poza tym co ludzkie. 1 widziałem całą ograniczoność swojej poprzedniej egzystencji. Otwierał się przede mną świat nowy i ogromny, pełen wspaniałych doznań i myśli, świat przepełniony wszelkim dobrem i wszelką mądrością. Czułem, że nie chcę stąd wracać. I gdy zdecydowany oddałem się bez reszty jasności, poczułem, że otula moją istotę szczelnie i poczynają wchłaniać.

Znalazłem się jakby na łące, podążając po trawie w kierunku jakiejś rzeki. Na jej drugim brzegu dostrzegłem tłum istot, które przywoływały mnie do siebie. Przybliżywszy się rozpoznałem je jako Wszystkich Moich Drogich Zmarłych, przy czym najbliżej brzegu stał ojciec. Wyczułem, że bardzo się cieszy ze spotkania ze mną. Zwrócił się do mnie ze słowami, które mogły brzmieć jak ostrzeżenie:

„Dotarłeś do granicy, do której dociera każdy człowiek. Próg ten jednak nie każdy potrafi przekroczyć”. Gdybym się bardziej nad ostrzeżeniem ojca zastanowił, być może zawahałbym się, lecz nie posiadając matki przywykłem do działań natychmiastowych, powodowanych odruchami utrwalonymi przez ojcowskie wychowanie w dzieciństwie. Jednym z takich odruchów był sprzeciw na wszystko co pochodziło od ojca. Było tak zawsze odkąd pamiętam, nawet później, kiedy dorosłem, na każde ojcowskie polecenie reagowałem odruchem sprzeciwu i przekory. Ilekroć zdawałem się na ten impuls, przeważnie marnie na tym wychodziłem. Tym razem sytuację rozstrzygnął przypadek. W momencie, gdy ojciec ostrzegał mnie przed pochopnym przekroczeniem Progu, po drugiej stronie rzeki załśniła mi znajoma osobowość Alfreda, przyjaciela mego z lat młodości, który zginął w wypadku samochodowym dziesięć lat temu. Zamiast skupić się nad informacją przekazywaną mi przez ojca, myślami byłem już z Alfredem. Wszedłem do rzeki zanurzwszy się zrazu po pas i brnąc przed siebie zanurzałem się coraz bardziej. Chłodna ciecz, w której się pogrążyłem, sięgała mi już szyi. W momencie, gdy otchłań zamknęła się nade mną, coś na kształt żalu za ukochaną żoną, ścisnęło psychiczny odpowiednik mego serca lecz wobec nowych, błyskawicznie następujących, późniejszych doznań

natychmiast o tym zapomniałem.

Alfreda znalazłem po drugiej stronie, gdzie stał otoczony Wszystkimi Moimi Drogimi Zmarłymi. Przez cały czas miałem świadomość, że pozostaję w jedności z jasnością, w którą wtopieni są również i oni. Rozumiałem, że jasność ta to ogrom przerastający moje możliwości poznawcze. Na razie dała mi się poznać od strony dla mnie najbliższej - przez psychikę Wszystkich Moich Drogich Zmarłych. Wyczułem wszakże, że oni sami są już O Wiele Dalej. O ile więc przed wstąpieniem do rzeki wydawali mi się bliscy, tak teraz, po jej przekroczeniu, wydali się nieosiągalni. Ich aura towarzyszyła mi na razie, coraz to jednak zmieniając swoją postać. Po jakimś czasie odniosłem wrażenie, że przekazują mi wspólnie Coś Ważnego, czego jeszcze nie pojmuję i zaledwie przeczuwam. W sposobie tym było coś Uczniowskiego i Szkolnego. Miałem uczucie, że ktoś Manipuluje w Założeniach mojej osobowości. To nie ja miałem się Czegoś uczyć. Po prostu zrozumiałem, że powinienem się Sam Przekształcić By Wiedzieć. Poznanie i wiedza czekają na mnie, jako Coś stałego i niezmiennego. Brakuje jednak Klucza, który tkwi w mej psychice na razie w formie Nieodpowiedniego Kształtu. Jednocześnie miałem przeświadczenie, iż moja psychika obecna posiada kształt Za Obszerny, nie mieszczący się w owej Dziurce od Klucza, że oto muszę się Czegoś Wyzbyć. Domyślność moja okazała się jednak ograniczona, bo kiedy zacząłem się zastanawiać Czego by się należało Wyzbyć, niczego nie mogłem znaleźć. Obecność Wszystkich Moich Drogich Zmarłych towarzyszyła mi przez cały czas tych usiłowań i uzmysłowiłem sobie w końcu, że Oni w Jakimś Sensie oddziałują. Oto spostrzegłem, że okruchy prawdy objawiają mi się najpełniej w momentach odczuwania Ich Bliskości. Kiedy zrozumiałem, że powinienem się Czegoś Wyzbyć, niebywale wzrosło poczucie Ich Bliskości. Kiedy zaś błądziłem, odsuwali się jakby ode mnie. Pomagali mi jak w zabawie „Ciepło-Zimno”, toteż zrozumiałem, że w Świecie tym Obowiązuje System dwójkowy. Jakby na potwierdzenie wniosku odczułem ich zbliżenie. Jeśli tak jest - myślałem - świat ten będę mógł pojąć. Nadal nie wiedziałem Czego mam się Wyzbyć. Począłem się zastanawiać, czy aby mój umysł Nawykły Do Logiki jest Odpowiednio Przystosowany. Ponieważ - myślałem - logika obowiązuje w świecie Przyczynowo-Skutkowym, więc w Takim, w którym aby z Przyczyny powstał Skutek, musi istnieć Czas, może się zatem Okazać, że w Tym Bezczasowym świecie logika Jako Metoda staje się bezużyteczną. Doszedłszy do tego wniosku pilnie jałem się wczuwać we Wszystkich Moich Drogich Zmarłych, lecz stali w Miejscu nie przybliżywszy się nawet na cal. Zrozumiałem, że błądzę. Potem jałem Przyglądać się owemu błędzeniu. A może Czas płynie Tu Bardzo Wolno? Obowiązywałby zatem łańcuch przyczynowo-skutkowy i logika Jako Metoda. Jakże w innym razie mógłbym myśleć? Przecież gdyby czas Nie Obowiązywał, musiałbym już Wszystko Wiedzieć. Byłbym prawdą. Bo skoro Mijanie mnie nie dotyczyło, wszystkie prawdy musiałbym wiedzieć w Sposób Natychmiastowy. Więc i Tę, nad którą rozmyślałem. Wszyscy Moi Drodzy Zmarli jakby się przysunęli z czegom wniósł, że podążam we Właściwym Kierunku. Istota Wyzbycia Się pozostawała nadal nie odsłonięta. Postanowiłem na razie wszystkie te wątki odłożyć dopóki nie zrozumiałem, czego się ode mnie żąda. Jałem analizować. Oto jestem w świecie „dwójkowym” gdzie obowiązuje zasada: informacja - brak informacji. Nie liczą się żadne Stany Pośrednie, Półinformacje, Czwierćinformacje, Co Jest informacją, a co Nie Jest informacją? Gdzie szukać Kryteriów? Jakby w odpowiedzi, jasność zbliżyła się do mnie. Był to jakby symbol, nagroda. Powinienem zatem Myśleć Atomistycznie, Rozkładać Zjawiska na części, Rozkręcać je, a moja psychika Winna się wczuwać w Ich Bliskość. Analizując doszedłem do wniosku, iż żeby wiedzieć Czego Się Wyzbyć, wpierw należy Wiedzieć. Zatem wiedza. Do tej pory kojarzyła mi się z Nauką. Lecz z czym kojarzy się Moja Wiedza? Z Moją Nauką? Postawiłem sobie jeszcze dwa pytania:

- Co Wiem?

- Czy to wystarczy do tego, By Wiedzieć Czego się Wyzbyć?

W tym momencie na osobowość moją natarli Wszyscy Moi Drodzy Zmarli i wydawało mi się, że

emanuje z nich wielkie zadowolenie.

## 5. Definicje i ponowna próba przebiccia się

Jak na egzaminie jałem się z wiedzy swej przepytować, starając się jednocześnie ją uporządkować, a następnie ukierunkować na Odkrycie fragmentu mej psychiki, który Nie Pasuje do Dziury. Na psychiczny nasz świat składa się strumień informacji stale w naszej jaźni przetwarzany, kumulowany. Zatem możemy mówić o konsumpcji psychicznej. Docierające do nas informacje są dwojakiego pochodzenia: z zewnątrz i od wewnątrz. Rozumiałem tedy, o ile wśród docierających z zewnątrz rozróżniamy informacje zmysłowe, a więc postrzegane za pomocą zmysłów zjawiska fizyczne oraz produkty psychiczne przetworzone (dzieła), o tyle informacje dochodzące do nas od wewnątrz mogą być natury autoracionalnej, emocjonalnej, mogą to być też wrażenia introspektywne, czyli będące efektem „wpatrywania się w siebie”. Porządkując Swoją Wiedzę czułem przychylną Bliskość Wszystkich Moich Drogich Zmarłych. Porządkowałem więc dalej. Pamięć - pula informacji utrwalonych. Co znaczy wzrost percepcji? Wzrost umiejętności porządkowania i zapamiętywania uzyskiwanych informacji? Czy wynika to ze wzrostu ostrości postrzegania? Spośród wielu pojęć wyłoniło się następne - adaptacja, którą rozumiałem jako swoistą dynamikę zmian matrycy pojęciowej, owej osnowy dziania się psychicznego. Wszystko to musiałem uwzględnić, by móc w końcu myśleć o właściwej produkcji psychicznej, dziele, przy czym rozumiałem, że dzieło, to nie tylko owe „wyniki psychiczne” - etap poznania wynikający z ekonomiki psychicznego dziania się, bardziej mechaniczne niż twórcze, które rozumiałem tak, jak owe skóry węzowe co jakiś czas przez organizm zrzucane, lecz same w sobie będące raczej produktem ubocznym. Z drugiej strony myślałem o dziele „na rozwój” o charakterze odkrywczym lub wręcz prekursorskim. I wreszcie o dziele jako symbolu i pomniku, uogólnieniu ostatniego rzędu „noszącego charakter prawdy”. Charakterystyka osobniczej psychiki nie byłaby wszak pełna, gdybym nie wprowadził pojęcia Respiracji Psychicznej albo inaczej Oddychania Psychicznego. Będzie to ta część konsumpcji psychicznej, która przekształca się w odprężenie. I wreszcie Ekskrecja Psychiczna - to ta część Psychicznego Balastu (nadmiaru informacji), którą osobowość wydala jako nieprzydatną lub też, pochodzącą z wymiany wewnętrznych wartości i prawd. Przypomniałszy sobie to Co Wiem jałem myśleć dalej, starając się wyłowić Wiedzę potrzebną Do Wyzbycia Się Czegoś. Znaleźć wskaźnik - myślałem - Coś, czym Da Się Manipulować. Co to znaczy organizm psychicznie wydajny? To taki, który jak największą część konsumpcji psychicznej przekształca w produkcję, zaś odprężenie uzyskuje „spalając” Psychiczny Balast. A zatem musi istnieć swoista Przyswajalność Psychiczna - myślałem - to, co stanowi o chłonności naszej osobowości. Balast - myślałem - balast... Odpowiedź załśniła mi nagle w umyśle, przy czym Bliskość Wszystkich Moich Drogich Zmarłych stała się prawie namacalna. Zatem balast...

Jednocześnie pojąłem, że odkrycie to nie sprawia mi prawie żadnej przyjemności. Owo spostrzeżenie, po raz pierwszy tak wyraźnie zarysowane, wyłoniło cały szereg refleksji. Oto uprzytomniłem sobie, że psychiczne Dzianie Się w Cieleśności różni się od psychicznego Dziania Się w Psychiczności. Wykreowana bowiem na substytucie cielesności psychika część swej struktury przeznaczona na sterowanie ową cielesnością. Część ta, uzależniona od wewnętrznych bodźców pochodzących z wewnątrz, nie może być wprzęgana w ciąg życia cielesnego w sferę czystej psychiki. Oto pozbawiony zostałem ciała, lecz nie psychiki. Moja psychika pozostała nienaruszona. Obecnie - myślałem - posiadam



nadmiar psychiki. Jest to ta część, która nie pozwala mi Przejść Przez Dziurę, więc muszę się jej Wyzbyć. Pewny, że oto odkryłem kształt klucza pasujący do jasnej dziury, poczułem się intensywnie wczuwać w Bliskość Wszystkich Moich Drogich Zmarłych. Owszem, Bliskość to była, lecz nie dość jeszcze bliska. Pojąłem, że prawda odsunęła się ode mnie. Powróciłem do Balastu. Czymże jest Balast? Informacją przypadkową? Oto słyszymy słowo, którego treści nie rozumiemy, bo nie leży w naszej specjalizacji. Osobowość psychicznie mało wydajna nie skojarzy go z niczym i tym samym odrzuci. Tymczasem osobowość psychicznie wydajna na drodze dowcipu skojarzy niezrozumiałe słowo ze słowem zrozumiałym. Owa zaś śmieszność, wynikała ze skojarzenia, wywołała reakcję psychicznego odprężenia. Czymże jest Balast, jak nie irracjonalną emocją? Czymże jest poczucie humoru? Pozostajmy więc przy emocjach związanych ściśle z Cieleśnością. Lęk przed śmiercią, jako czynnik ukierunkowujący produkcję psychiczną, poprzez śmierć został z psychiki mej wyeliminowany. Zatem nienawiść i miłość?

Gdym pomyślał „miłość”, zrozumiałem, że została odkryta przeze mnie Wiedza Potrzebna Do Wyzbycia Się. Wszyscy Moi Drodzy Zmarli naparli na mnie z taką siłą, że poczułem, iż otwierają się we mnie jakby wrota, że oto wniknęli do mnie i napełnili moją jaźń sobą. Zrozumiałem też, że ostateczna wędrówka w głąb Jasnej Dziury uzależniona jest wszak od wiedzy. Przez samo Uświadomienie nie wyzbyłem się jeszcze psychicznego Nadmiaru z poprzedniej egzystencji. Niepełna Bliskość Wszystkich Moich Drogich Zmarłych wydawała się to potwierdzać. Jakoż okazało się, że nie wszyscy weszli we mnie w sposób zupełny. Na zewnątrz mojej psychiki wystawały psychiczne odpowiedniki nóg i rąk Alfreda (głową wszak był pogrążony). Rozprzestrzeniał się we mnie na poprzek. Oto poczułem w sobie ojcowską dłoń, zaś w okolicy żołądka znajdowały się psychiczne odpowiedniki nóg mego stryja. Zmarła rok temu wujenka umiejscowiła się pod łopatką, a w kolanie odkryłem ze zdumieniem małą główkę Poldeczka, który za mych dziecinnych lat utopił się w stawie. W sumie psychikę moją przenikało około osiemnastu psychik Wszystkich Moich Drogich Zmarłych, przy czym dziewiętnasta krążyła dość niedaleko, zaczepiona za ledwie o paznokieć.

## 6. Likwidacja teściowej

Zlokalizowałem więc tę część swej psychiki, która winna ulec destrukcji. Powstała w ten sposób przestrzeń psychiczną należało wypełnić Nowymi Treściami (psychicznymi). Jakie to mogą być Treści - nie wiedziałem. Postanowiłem na razie nie zaprzętać sobie tym głowy i bezzwłocznie przystąpiłem do Usuwania Nienawiści. I znów jałem wnikać w siebie, przetrząsać pamięć, wyławiać elementy, których istnienie można byłoby tłumaczyć nienawiścią. Na pierwszy ogień poszła moja teściowa. Począłem tedy sobie nakazywać zapomnieć o teściowej, aliści po pewnym czasie mych niefortunnych usiłowań zrozumiałem, że nie mogę tego pamięci swej rozkazać. Im bardziej starałem się teściową zapomnieć, w tym ostrzejszych szczegółach jej postać przed oczyma mi stawała, a jej twarz wykrzywiona w najbardziej złośliwym uśmiechu wydawała się szydzić ze mnie o wiele otwarciej niż za życia. Wydawało mi się, że psychiczna postać teściowej noszona w mojej pamięci wie swoje odrębny żywot, niezależny od żywota właściwej psychiki teściowej w cielesności. Jakby moja obecna teściowa była ideą tamtej. Jej wąskie, zimne wargi koloru błękitnawego w momentach szczególnego nasilenia szyderstwa zaciskały się w jedną linię prostą i wydawało się, że to nie wargi opierają się o siebie, lecz dwie zimne brzytwy. Tak, jak za życia, ścigał mnie obraz teściowej, gdy odwracałem głowę, tak i teraz obmierzły jej wizerunek nękał mą psychikę. Jeśli więc nie mogłem jej zapomnieć i tym samym z osobowości mej wymazać, postanowiłem zatem ją pamiętać. Jałem więc przypominać sobie wszystko, co teściowej dotyczyło. W myślach swoich odtwarzać zacząłem wszystkie rozmowy, jakie z nią wiodłem, lub przy których byłem obecny. Starłem się również odtworzyć, co o niej mówili znajomi. Nie omieszkałem nawet przypomnieć sobie treści niektórych dokumentów rodzinnych i listów, które przypadkowo w moje ręce trafiły. Skompletowałem oto całą Swą Wiedzę o Teściowej. Czyniąc to miałem nadzieję, że Wskrzeszając teściową w Pośmiertności wywołam reakcję łańcuchową, w której lawinie utonie. Lecz Próba Utopienia Teściowej w lawinie informacji nie powiodła się. Przyczyną był fakt, iż nie dysponowałem Ładunkiem Krytycznym. Wręcz odwrotnie, w tym, co zdołałem sobie przypomnieć, objawiał się wyraźnie Niedosyt, który spowodował, iż zamiast wymazać z pamięci, jej wizerunek jakby się bardziej utrwalił szydząc ze mnie straszliwie. Wszyscy Moi Drodzy Zmarli chwiać się poczęli we mnie i wiercić wykazując jakby zniecierpliwienie, a mała główka Poldeczka ukąsiła mnie nagle w psychiczny odpowiednik kolana. Bezradny i zniechęcony zacząłem raz jeszcze nad nienawiścią do teściowej się zastanawiać. Nic mi jednak na myśl nie przychodziło. I wtem, nie wiedzieć czemu, wizerunek teściowej skojarzył mi się z wodopójką, przy czym rzeczywisty wizerunek wodopójki (małego zwierzęcia wodnego) nic do owego skojarzenia nie miał. Pasowało ono natomiast do wyobrażenia dziecięcego wodopójki - skojarzenia, które powstało, gdym znał tylko nic nie znaczącą nazwę. Było więc odniesieniem do owych dziecięcych wizji - radosnego świata wczesnych psychicznych doznań, gdzie zewnętrzny świat znany jest w większości li tylko z nazw, do których dorabiamy sobie dowolne wyobrażenia. Widocznie skupienie moje i koncentracja spowodowały, iż jaźń, moja sięgnęła do rezerwy nie spalonego balastu doznań dziecięcych. Oto przypominałem sobie ów dziecinny obraz wodopójki. Zwierzę-Niezwierzę wyglądało w nim jak coś niezwykle chudego i cienkiego, zakończonego baniastą główką, w której widniały cztery pary oczu. Pierwsza para zajmowała większość baniastej główki, przy czym odnosiło się wrażenie, że oczy te są głęboko zapadłe i mroczne. W miejscu ich źrenic usytuowana była druga para oczu. Były to

oczka małe i tłuste, niezwykle złośliwe i iskrzące. W mej dziecięcej wyobraźni te małe i przerażające oczka stale robiły krzywdę owym wielkim, niejako dorosłym. Ciągłe też dorosłe oczy płakały. Owóż te małe, niedobre oczka, twory dziecięcej wyobraźni w oczy teściowej się wgryzły i poczułem się nagle odprężony, jakby ten pamięciowy balast w psychice mej się spalił. Teściowa wydała mi się nagle niegroźną i zgoła szyderstwa pozbawioną. Po raz pierwszy ujrzałem ją jako osobę starą i pomarszczoną. Jej kruche naczynia krwionośne z wolna jeno krew przepuszczając sprawiały, że mózg jej był stale Wpółuduszony. Siedział w Wyschniętej czaszce niczym w od lat nie wietrzanej celi, przeżarty błakającymi się resztkami zapachów starych, wysuszonych owoców, nie noszonych ubrań i pończoch. Wszyscy Moi Drodzy Zmarli stłoczyli się i poczułem jakby się bardziej w psychiczność mą wepchnęli. Nikczemny obraz teściowej skurczył się, jak gdyby malująca go nienawiść zmieniła blejtram na mniejszy, jednakże całkiem go wymazać nie zdołała. Teściowa zmniejszona i rozmyta trwała nadal. I gdym zastanawiał się, co by tu jeszcze zrobić poczułem, że bliski jestem odkrycia. Oto wypróbowałem już trzy metody pozbycia się teściowej: Poprzez Wymazanie, Poprzez Utopienie i Poprzez Duszenie. Zatrzymałem się przy ostatnim sposobie rozumując, iż jeśli jej umysł stale był podduszony, to i jej reakcje zewnętrzne mogły być wynikiem owej psychicznej astmy. Droga, po której się teraz poruszałem, wydawała się prosta i krótka. Trzeba za wszelką cenę Zrozumieć Mechanizm Podduszania. Zaraz też pojawiły się wątpliwości: „Czy to, co działo się z jej twarzą było rzeczywiście szyderstwem?”, „Azali nie było w niej szyderstwa?”

- Jakkolwiek nie było - myślałem - To Coś powodowało, że ze mnie nienawiść buchała. „A może nienawidziłem sam siebie?” „Czy Miałem Prawo teściowej swej nienawidzić?” W gruncie rzeczy za co ją tak nienawidziłem? Czyżby za to, że nie akceptuje mych niestabilnych cech, owej płochości, która tak niekorzystnie wpłynąć może na przyszłe dzieci? Widocznie jej poprzedni zięć, porucznik I.C., był tworem idealnie zoptymalizowanym, wtopionym w tło społeczne, posiadającym ową barwę ochronną stwarzającą pozory wyróżniania się, a w gruncie rzeczy wtapiania w ów obszar społecznych zintegrowani, dzięki którym rodzina żyje pozbawiona napięć? A co ja? Czyż przez te wszystkie miesiące naszego małżeństwa nie miotałem się bez ustanku? Gdzież mi było budować? Tak myśląc i rozpamiętując cielesny mój byt spostrzegłem, że uśmiech teściowej traci swój szyderczy wyraz, znika zeń Złośliwość i Wredność a na ich miejsce wypływa Zmartwienie i Starość, sama zaś postać teściowej poczyną się z wolna rozplýwać i zacierać w innych wspomnieniach. Pojąłem, że Niechęć moją zastąpi Wyrozumienie, a Nienawiść - Łaska. Wszyscy Moi Drodzy Zmarli wepchnęli się głębiej i poczułem, że robię się psychicznie o wiele szczuplejszy. Natychmiast podjąłem próbę przebicia się przez jasną dziurę. W pierwszej chwili jakby mi się to udało. Zanurzwszy się jednak głębiej utknąłem czując nadmiar swej psychiczności. Wycofałem się tedy z dziury i począłem rozmyślać, w jaki sposób pozbyć się miłości do żony. Zrozumiałem, że przedmiotem mego zmagania będą żądze. Jałem więc pytać siebie, w jakie to uczucia należy je zmienić. Czego chce się ode mnie? Jasność udowodniła mi, że nienawiść jest rodzajem pychy tkwiącej w nas samych, a jej źródła szukać należy w egoizmie. Czyżby miłość miała podobne oblicze? Czy kochać żonę znaczy siebie? A gdzież są owe poświęcenia, od ust odejmowania, gdzie jest ów świat doznań minimalnych ale jakże zarazem wielkich? Co mi się chce tu wmówić? Że kocham wyłącznie siebie? Czy wypada traktować owe ustępstwa, cały ten kompromis duchowy wyłącznie jako formę egoizmu?

Stłoczeni we mnie Wszyscy Moi Drodzy Zmarli jęli protestować, jakby chcąc dać mi do zrozumienia, że błędę, a mały Poldeczek przyłączając się do ogólnego protestu ukąsił mnie powtórnie pod kolanem. - Co mi tam! - zachnąłem się coraz bardziej zaperzony. - Co on mi tu stara się imputować! Tyle się pisze o miłości wzajemnej i szlachetnej. Czyż za przykładem owych ideałów nie pragnąłem naszą miłość przekształcić w świątynię?

Wujenka klepnęła mnie w łopatkę, zaś ojciec wymierzył mi małego kuksańca w psychiczny

odpowiednik żołądka. Opamiętało mnie to nieco. Staralem się ochłoniąć z mego zacierzenia lecz przychodziło mi to z trudnością. Uświadomiłem sobie, że od mej śmierci wyobrażenie mojej małżonki tkwiło przez cały czas na dnie psychiki. Przecież od czasu mego ożenku jej obraz towarzyszył mi wszędzie, ani na chwilę się z nim nie rozstawałem. Widać stan ten trwał dostatecznie długo, by zadomowić się w mej psychice na stałe i stać się tym samym niedostrzegalnym. I dopiero teraz, gdy zmagalem się oto ze swoją miłością, pojałem sens ojcowskiego ostrzeżenia. Nie wyznałem prawdy. Zadałem więc sobie pytanie, które mi jasność podszeptowała, gdym stał nad brzegiem owej rzeki: „Azali nie żal ci niczego z twej cielesności?” I oto niepokój mnie chwycił za odpowiednik mego psychicznego gardła. Lecz przemogłem się i zakrzyknąłem:

- Żal mi kochania, pieśczenia, całowania, żal mi rozkoszy i zmęczenia, żal mi mej fizyczności!

Wszyscy Moi Drodzy Zmarli drgnąwszy gwałtownie znieruchomieli a następnie (co prawda bezgłośnie) wykrzyknęli chórem:

- Zaprawdę, zapytujemy cię, azali nie jesteś w stanie zaprzecić się miłości do żony?

Jak żywa stanęła mi przed oczami małżonka. Jej oczy błękitne w granat wpadające, wargi drapieżne i zmysłowe, zęby, falujące włosy, ów niezwykle pulsujący punkcik na szyi, znamię pod pachą. Zobaczyłem owe meszki na wargach widziane pod światło, nerwowe palce. Potem wizja ma skoncentrowała się na stopach i udach. Azali mam się tego wyrzec? Nigdy więcej nie pieścić? Wahałem się wahaniem ciężkim i niezdecydowanym. - Umarłeś - krzyczała psychika - po co ci ciało! I gdym już prawie zdecydowany postanowił okroić swą osobowość z miłości, jakby ostatnim impetem wyobrażenia moja wyczarowała jej niebawale piersi. Zatrzęsło mą psychiką straszliwie i poczułem, że zaraz stanie się coś potwornego. Ciągle mając w wyobraźni owe piersi, zebrawszy całą odwagę krzyknąłem:

- Przenigdy!

Zapadła cisza absolutna trwająca wszak niedługo. Bo zaraz w psychice mej powstało straszne zamieszanie. Oto poczują że Alfred stara się wyswobodzić, Ponieważ usadowiony był w niej Na Poprzek, przychodziło mu to z trudem. Jego ręce i nogi wystawały Na Zewnątrz. Chcąc się ze mnie wydostać, musiałyby wprzód ręką zaczepić o mą Wewnętrzność. Lecz po to, by zrobić To, musiałyby Bardziej Do Mnie przeniknąć. Lecz on za wszelką cenę zrobić chciał Coś Odwrotnego - Opuścić. Nagle poczułem, że miotając się i szamocząc Zaczepia Łokciem o Śledzionę jednocześnie przyduszając któregoś z wujów akurat za śledzioną się rozprzestrzeniającego. W tym samym czasie wujenka, która znalazła sobie niezbyt wygodne lokum pod odpowiednikiem mej Psychiczej Łopatki zaczęła napierać potwornie. Psychiczny odpowiednik mej Kości okazał się jednak równie twardy. Nie mogąc się Wydostać, drogą najkrótszą, Na Wskroś, jęła wujenka wykonywać Manewr Omijający, bacznie uważając by zachować Taki Sam procent Pograżenia Się we mnie. Nie przyszło jej to łatwo, bo Przestrzeń Wokół łopatki zajmowały bliźnięta. Jedyłą korzystną ich właściwością była ich psychiczna Znikomość, bowiem umarły będąc jeszcze niemowlętami. Tak oto klucząc pomiędzy głowami i kończynami jęła się wujenka ze mnie Wydostawać. Pierwszy wydostał się Poldeczek. Wyskoczył on spod kolana bardzo sprawnie i natychmiast Się Oddalił jakby bał się, że go powtórnie porwę. Po jakimś czasie wypadła z moich pleców na pół przytomna wujenka trzymająca w obu rękach bliźnięta. Nie mogąc precyzyjnie się obok nich zabrała niebożątka ze sobą. Potem z piersi mej wyskoczył Alfred z charakterystycznym cmoknięciem, a na jego psychicznym odpowiedniku twarzy malowała się ulga. Wszyscy Moi Drodzy Zmarli opuszczali mnie jeden po drugim i w momencie, gdy ojciec zdjął rękę z mej psychicznej piersi, stało się, że opuścili mnie wszyscy. Oddaleni ode mnie stali teraz przyglądając mi się jakby ciekawiło ich to, co zrobię. Stałem samotny w trawie rozumiejąc, że oto przyjdzie mi wracać w cielesność.

## 7. Zwierzenia w świetlnej klatce

Gdy spojrzałem za siebie zobaczyłem, że rzeki już nie ma. Pojąłem, że przeniesiony zostałem w Głąb. Psychika ma poprzednio wypełniona, teraz zionęła pustką. Wiedziony nagłym impulsem spróbowałem przywołać wizerunek teściowej. Pojawił się, lecz bez nienawiści. Zrozumiałem, że to co się stało jest nieodwracalne. Nie odczuwałem żalu, ale też nie czułem się szczęśliwy. Jasność trwała nade mną, lecz jakby odsunięta, pozbawiona jasnej dziury, przez którą nie udało mi się przedostać. Moje myśli i uczucia stały się jałowe. Wygasła poprzednia dążność do zjednoczenia się z jasnością. Moje poznanie było niezupełne. Doszedłem do wniosku, że muszę się Cofnąć.

Płynąłem nad łąką to wznosząc się, to opadając. Przemierzałem wielką przestrzeń. Pode mną rozciągała się łąka. Była idealnie gładka i nie posiadała żadnego charakterystycznego szczegółu, który odróżniałby jedno Miejsce od drugiego. Wszystkie Miejsca były Takie Same. Byłem na niewielkiej wysokości, skąd mogłem dostrzec poszczególne źdźbła, dzięki czemu wiedziałem, że płynę. Gdy tylko nabierałem ponownie wysokości, szczegóły zacierały się i czułem się tak, jakbym zawisł w próżni. Poruszałem się przed siebie, a moją jaźń, nie wiadomo skąd, wypełniało przekonanie, że się Oddalam. Wszyscy Moi Drodzy Zmarli zniknęli i tylko Jasność, niczym oko opatrności, czuwała nade mną z jednakowym natężeniem. W pewnej chwili poczułem, że Coś się zbliża. Uczucie to, podobne do lęku, nie było wszak lękiem. Przybliżywszy się nieco, poznawać jąłem psychikę człowieczą. I obca to była psychika, jakby dawniejsza. Zatrzymaliśmy się obaj nieufnie psychicznym wejrzeniem popatrując na siebie. Wiele pytań cisnęło mi się na usta a ponieważ nieznaną psychiką milczała postanowiłem również milczeć, czekając aż sytuacja rozwiąże się sama. Niedługie to było czekanie, bo w pewnym momencie padło pytanie:

- Co wasze robisz?

- Czekam - odpowiedziałem.

- A na co?

- Nie wiem.

Przez chwilę milczeliśmy obaj.

- Szukasz wasze czegoś? - zapytał nieznajomy.

- Rzeki.

- Cha, cha, cha - zaśmiał się, - trza coś zrobić!

- Co?

- Nie wiem...

Teraz ja się z kolei zaśmiałem. Zawtórował mi zaraz i oto stało się, że staliśmy na łące pustej i nieskończenie ciągnącej się, zrazu zwyczajnie jak ludzie, którzy nagle dostrzegli ukrytą w zdarzeniu śmieszność. Lecz wraz z upływem czasu śmiech nasz przekształcać się począł w psychiczny skowyt. Skręcałem się ze śmiechu, który targał me wnętrzości pozostając jednak w stosunku do niego jakby w opozycji. Nie zgadzałem się nań. Śmiech jednak trwał, potężniał i narastał. Ilekroć starałem przestać się śmiać, wybuchał ze zdwojoną siłą przerażając, paraliżując. Jasność skupiła się nagle nad nami, wypuszczając ze swego niewidocznego centrum promienie, które na kształt prętów świetlnych otoczyły nas i jednocześnie zamknęły. Śmiech zamarł nam na ustach. Przybliżyliśmy się do owej bariery i biła z

niej jakowaś aura, która paraliżowała nasze ruchy. Zostaliśmy Zamknięci.

- Jak cię zwali? - zapytał nagle towarzysz.

- Lipką - odpowiedziałem.

- Dusza ma pragnie wrócić do onych smoków, którym ze wszystkich istot umiłowałem najbardziej.

Smoki bowiem w swej naturze mniej umysłowo chyże, bardziej są podstępne i zdradliwe. Aliści przez głupotę jeno, przez ową natarczywość...

Tu towarzysz mój zamyślił się głęboko a i ja się nie odzywałem przejęty nadzwyczajnością jego wypowiedzi.

- Mają one zwykle głów kilkanaścioro - podjął - lecz jeden rozum. Nasamprzód w młodości wedle krzyżów on się znajduje. Zrazu młode smoki niemowlętami będąc jedną głowę wszak posiadają, która sama jedna przypada na rozum. Te umiłowałem najbardziej. Kiedy im głowy nowe porastać zaczynają, rozum nadal jeden pozostaje, jako ów cesarz na zamku albo monarcha, któremu monarchia się rozrasta i, któremu rycerstwo wciąż nowe ziemie do monarchii przyłącza. Im tedy więcej głów na jeden rozum przypada, tym owe głowy głupsze są i do zdjęcia mieczem ostrym szykowniejsze.

Zapytałem.

- Jak i kiedy umarłeś?

- Był brzask, kiedy idąc przez dni siedem, spiesząc się bardzo przyszedłem pod górę wielką, którą Rasztak albo Dzień Odpoczynku zwą. Rasztak zwą odpoczywaniem wśród pochodu, pośród drogi, pośród zacnego kwiecia, pośród zacnej macierzanki... Takeśmy nic z owego rasztakowania nie mieli, jenośmy złuzowali rzemienie. Przez cały dzień ustawicznie idąc, o zmierzchuśmy na sam wierzch góry dotarli ostatnim dechem. Ledwo zaćmiło i noc nasza, natychmiast przyszła wielkość smoków, potworów, lwów i węzów, które jęli nas dręczyć i kąsać do krwi czystej. Wielem owej nocy głów węzowych nazdejmował mieczem ostrym, wielem też głów potwornych toporzyskiem rozchylił i krwi utoczył. Jakoż smoki owe, potwory, lwy i węże po czasie niezbyt dużym respekt do mnie widać poczuwszy, mniej się mi we znaki dawać jęli. Z rzadka, snadź niekiedy przez zapomnienie, pamięć krótką, któreńś się w moją stronę gibnął. Alem też czujny był i oręza z garści nie puszczał. Aliści od smoków onych, węzów, lwów i potworów trzech towarzyszy szlachetnych i zacnych pomarło YZREY wołając. Od węzów onych tęchłych giermek mój nad ranem oczy zawrzał i dech ostatni puścił. Iściem pochylon nad nim będąc, ucham silnie nastawiał takim YZREY posłyszał, jakoby je wypowiedziano. Tak tedy giermek mój zszedł nad ranem. O świtanu było, kiedy od nas smoki, węże, lwy i potwory odstąpiły, kiedyśmy we mgłach gęstych jęli grześć towarzyszków naszych i giermka zwanego Hully. Odstąpiwszy od mogił natychmiast ujrzeliśmy głowy smoków, węzów, lwów i potworów - przeciwników naszych. Tedy rozkazałem je wiązać i zżec ogniem. Schodząc bardzośmy płakali po lasach mocnych, w niszach szczodrych, pośród drzew słonecznych; płakalim gorzko towarzyszków miłych i giermka żałując...

Nieznajomy zamilkł. Albo to - myślałem - rycerz jakiś zmarły w wyprawie krzyżowej, albo dusza opanowana idee fixe - Potem przywiódłem ich w dolinę obszerną, gdzie zbolałym członkom odpocznienie raczyć dalim. Potem przywiedli przede mnie smoka bardzo szpetnego mówiąc:

„A gdy chcielim runa wziąć leśnego, przyszedł on, smok wielki na ciele i na obliczu zwierzęcy, i zgrzytał zębami, jakoby wieprz”.

Odpowiadając im rzekłem:

„Obaczcież, azali nie bóstwo”.

Odpowiedzieli:

„To jest tak a tak”.

Tedy rzekłem im:

„Dajcie mu owoców poniektórych a mięsa, iżbyśmy ujrzeli czy jest łaknący”.

Dali mu tedy owoców i mięsa. Smok ów szpetny łaknienie jął sycić jakoby zwierzę, drzeć woniące mięso, kości łamać, skrząstki trzeć a poniektóre owoce łykać. A owe mięsiwo pożarłszy i poniektóre owoce, jął to tam to sam ochłapki iskać z ziemi a zagarnawszy w kupki, pochłaniać. Tedy rozkazałem, iżby okazali azaliż to samica zwierzęca. Pochwalili rozum mój i przezorność, albowiem wielkość piersiów nie tylko u samic lecz i u samców obszerna jest i widoczna. Zatem przystąpili do owego smoka leśnego i uczynili siłę przeciwko niemu spoglądając pomiędzy nogami. Natenczas weźrzenia im się odmieniły i ujrzałem iżby zbledli i strwożeli natychmiast biec poczynając na stronę. Zawołałem Skyrę, kata naszego, rzekąc:

„Tego oto smoka leśnego zetni”.

Ten to Skyra ostrym mieczem swym zdjął smoczą głowę i trzewia z żywota puścił, a wówczas okazało się, że to samica brzemienna. Dziecię ono smocze potwornie na nogach swych postawać jęło z łoża matczynego się nicując. A rozerwawszy pępinę natychmiast biec jęło w wielki las. Ale kat nasz Skyra gibką strzałę na cięciwę złożył i w ono dziecię smocze puścił, lecz nie trafił. Rozkazałem Skyrze brać dziecię żywcem, bo mł się udało. Potem przyszli towarzysze rzekąc:

„Gdzież jest ów smok leśny?”

Rzekłem im tedy:

„Który to jest smok, który w sercach waszych bojaźń i zwątpienie posiewa?”

I widząc one pojmane dziecię nad resztkami ohydnyh matki swej kwilące, zasromali się wstydząc bojaźni swej a Hymna rzekł:

„Coż kcesz czynić?”

„Jako swoje odchowac”.

Odwróciły się ode mnie ich oblicza, gdyż nie chcieli bym widział, iż są zagniewane. A wracając do domów swych czynili swary i gwałty. I stało się, że przystąpili do mnie rzekąc:

„Nie kcemy ci służyć ani z tobą wojować, bo odwróciło się twoje serce i ponad nas wynosi dziecię smocze”. I kazali mi wybierać pomiędzy onym smoczątkiem a sobą. Z bólem przywiodłem ono dziecię katu. A kat nasz Skyra ponownie strzałę na cięciwę złożył i w smoczątko puścił iż jego czaszka na pień stromy potylicą zażgnawszy została przybita. Spokoju też więcej nie zaznałem, a piersi me jęła trawić jakowaś gorąca żałość za smoczątkiem. Spotkawszy przeto czarodzieja, jąłem pobierać nauki tajemne, gdyż ów rzekł mi:

„Kceszli mieć smoków wielkość, pokumaj się z dyabłem”. Tak tedy kumając się z owymi dyablami z wolna dobiegałem mego kresu ciągle za smoczątkiem się oglądając. Wszelkie też szkaradziejstwa imać się mnie jęły. Grzeszyłem w kościele, bogobojnych mężów na gardłach znacząc. Aż mnie pojmano i ścięto roku pańskiego 1228 na wiosnę.

- Smoków nie znalazłeś?

- Co tam mówisz, wasze?

- Pytam, czy smoki znalazłeś.

- Bodaj by były, nie ma ich tu. Smoki jeno ziemski żywot wiodą... Ale się miłości swej ku nim nie zaparłem, chociaż przywiedzono mnie na pokuszenie...

Wtem do klatki wpłynęła czyjaś psychiczność, która natychmiast nawiązała ze mną kontakt:

- Kiedy się zmarło? - zapytała.

- Ledwo co.

- Świeży... A próbował już jasnej dziury?

- Tak, ale się nie udało.

- Jako i mnie, chociaż byłem na samej krawędzi. Widzę synu, żeś rogata dusza. Takich im widać nie trzeba. Tak sobie myślę, że oni tam nasze uczucia mają za nic. Brzydzą się nimi. Chcieliby zapomnieć, iż

wszelka istota wywodzi się od zwierzęcia. Jeśli nie wyprzesz się uczuć, tedy nic im po tobie. Wręcz obawiają się takich, którzy poznanie opierają na emocjonalnej części swojej osobowości. Poznanie intuicyjne jest synu poznanem skumulowanym i sprawia, że w zupełnie nowej kreacji myślowej dostrzegamy nagle rzeczy ostateczne, jakby w kosmicznym oddaleniu. Precyzja intuicyjnego poznania dotyczy zatem konturów, owych zarysów całości, nie zaś detalu. W wyobraźni obiekt poznania objawia się nam niczym odległa planeta, do której teleskopy zmysłów dopasowują ostrość szczegółowego widzenia. Może się zdarzyć (i zdarza się, synu, często), iż rwący potok informacyjnych szczegółów niczym fala burzowa intuicyjną wizję zdoła rozproszyć, zanim zostanie utrwalony. Zdarza się również, że płynące ze zmysłów szczegóły nie pasują do owej całościowej wizji i złożone w mozaikę tworzą obraz różny od intuicyjnego konturu. Aliści okazuje się później, że w międzyczasie zaszło Pewne Wydarzenie, Przypadek Znaczący. Z Jakiegoś Powodu owe teleskopy przesunęły się o ułamek stopnia dalej, zaś badany za ich pomocą obiekt jest niewłaściwy. Zdarzyć się może, że zmysły nasze odzwierciedliły detal nie dość precyzyjnie. Więc niewielki błąd powielony w kosmicznych wielokrotnościach przekształcić się może w błąd kosmiczny. Na to oni pozwolić sobie nie mogą, albowiem mogłoby to zachwiać równowagę całego układu. W przyrodzie, synu, jedynie z rzadka obowiązuje liniowa zależność zjawisk. Niektóre szczegółowe błędy powstałe na skutek niedoskonałości aparatu postrzegającego, niczym w powielaczu świetlnym, wyzwolić mogą w sferze czystej psychiki reakcję potęgować. I wtedy przyszedłby koniec. Reakcja taka pochłonięłaby olbrzymią ilość energii psychicznej i tak jeszcze nie do końca, z istot żywych, pośmiertnie przechwytywanych. Więc gdyby glibro przekroczyło swym zapotrzebowaniem pewną wartość krytyczną, która utrwaliła się w wiekowym procesie ewolucji - zachwiana równowaga pomiędzy tym, co żywe w cielesności i tym co żywe w psychiczności, spowodowałaby zniszczenie sfery cielesnej, przy czym niekoniecznie znaczyć by to musiało koniec jasnej dziury - wszechświatnej przystani dla intelektu.

- Więc to jest sztuczny twór?

- Nie wiem synu, wielu rzeczy nie wiem. Podobnie jak ty nie zmieściłem się w standardzie. Wiem tylko jedno, dziura jest tworem ograniczonym. Jej egzystencja uwarunkowana jest pozostałymi komponentami piramidy troficznej. Jest jakby komponentem piątego rzędu łańcucha troficznego. Za życia byłem filozofem i zwano mnie Druzel. Owóż przez swoją indywidualność, której kazano mi się wyrzec, nie mogę przedostać się W Głęb. Myślę, że dziura jest tworem ewolucji aury. Nie każdy organizm żywy posiada aurę. Posiadają ją jedynie te umysły, które w rozwoju swym przekroczyły pewien próg komplikacji. W rozwoju człowieka aura pojawić się mogła dopiero na pewnym etapie rozwoju jego świadomości i prawdopodobnie sięga najwcześniejszych naszych kultur, które rozwinęły dostatecznie silny system religijny. Czym jest religia dla owej najstarszej filogenetycznie sfery człowieka widać najlepiej na przykładzie miłości. Jest czynnikiem „na rozum” i powoduje, że owe dzikie i chaotyczne siły coraz bardziej są przetwarzane przez jej przeciwność, sferę racjonalną, i coraz bardziej od niej są uzależnione. Bez religii miłość podobna byłaby do ognia spalającego w intelektualny popiół wszelki porządek pochodzący od sfery racjonalnej osobowości naszej. Miłość zaś objęta okowami religii przemieniona została w niewielki płomynek palący się równo i spokojnie. Obwarowana wszelkiego rodzaju przykazaniami upodobniła człowieka do zdalnie sterowanego mechanizmu. Tak pojęta i przeżywana miłość pogłębia Suchość Osobowościową lecz wyostrza Postrzeżenie. Czymże jest miłość platoniczna, jak nie tęsknotą intelektu do ideału. A czy religia w intencji swej do takiej właśnie miłości nie zmierza? Czy owo Wyróżnienie i Łaska nie są w gruncie rzeczy brakiem cech osobowościowych? Czy tak kreowana psychika ludzka nie zmierza do uzyskania Kształtu dziury? Cechy, które się liczą to Wiedza oraz miłość pozbawiona owej siły przebiccia. Miłość jako czynnik konieczny w rozwoju gatunkowym, lecz ograniczony w sferze podmiotowej do minimum, a jednocześnie rozbudowany w sferze



przedmiotowej do maksimum. Tak skonstruowana piramida troficzna staje się sprawnym konwektorem energii i zapewnia byt psychicznym konsumentom piątego rzędu.

- Co można zrobić?

Mędrzec milczał, spoglądając przychylnie.

- Nic synu, niestety nic. Możesz tylko słuchać. Powróćmy do naszego poznania. Odrzucając poznanie intuicyjne, opierając się na rozbudowanej sferze emocjonalnej, odrzucamy konkretną wiedzę o świecie. Podejrzewam, że jasna dziura nie postrzega na zewnątrz. Obraca się wokół wewnętrznych pojęć przynoszonych co prawda z zewnątrz, lecz przetworzonych. Niejako stworzyła w swej Wnętrznosci Wtórny Zewnętrzność. Wydawać by się mogło, że za pomocą jednego (modelowego) zmysłu, obdarzonego Jedną sensoryczną cechą, uzyskać możemy tylko jednorodną informację odpowiadającą natężeniu owej zmysłowej sensorycznej wartości. Ponieważ Cechy występują w Zespołach i nigdy Pojedynczo, badając ingerujemy w ich dynamiczny stan, którego równowagę zaburzymy. Ów zaburzony stan rzeczy z wolna powraca do Nowej Równowagi, która różnić się może (niekoniecznie musi) od poprzedniej - o czym nigdy nie jesteśmy się w stanie dowiedzieć. Poznanie intuicyjne pozwala nam Przeczucić dynamiczny stan rzeczy bez ingerencji w nich. Poznanie nasze, zasklepione w empiryce zmysłowych doznań, obejmuje jedynie statystykę zjawisk, gdzie poszczególne obrazy objawiają nam się w znieruchomieniu. Tak powstały film puszczony przez psychiczny projektor ujawnić może zjawiska różne od rzeczywistych.

- Jaka jest zatem rola uczuć w rozwoju świadomości? - zapytałem.

Druzel uśmiechnął się.

- Uczucia, synu, mają charakter motoryczny w rozwoju świadomości, lecz tylko na wczesnym etapie, i w miarę rozwoju ulegają zanikowi. Nikną natomiast zupełnie wraz ze zjawiskiem psychicznej ekspansji. Żeby taka z kolei nastąpiła, ustępująca jakość musi być dostatecznie zróżnicowana. Co wywołuje zjawisko psychicznej ekspansji - oderwania się od cielesnego substytutu? Ponieważ siły psychiczne są przetworzoną formą materii, muszą zatem podlegać prawom fizycznym. Owóż sądzę, że ekspansja psychiczna to po prostu odpowiedź materii na „głód” energetyczny, objawiający się spadkiem „psychicznej energii swobodnej”, (a więc emocji) zużywanej w pogłębiającym się procesie zróżnicowania się świadomości. Lecz gdyby owa ekspansja nie wystąpiła, osobnicza świadomość uległaby rozproszeniu wchodząc jednak do ogólnej puli świadomości społecznej drogą pośrednią, na innym (niższym) poziomie troficznym, oraz przez pozostawione dzieło (produkty psychiczne). Wtedy też cały proces zaczyna się od początku. Rozpatrzmy teraz bliżej reakcję podmiot - przedmiot. Jak wiadomo, podmiot oddziałuje na przedmiot. Te stare prawdy wobec jasnej dziury nabierają znaczenia. Człowiek działając rozwija jakąś dziedzinę: wiedzę, handel, kulturę itp. Jest to oczywistym przykładem owej relacji, której odwrotność (przedmiot oddziałuje na podmiot) ma miejsce np. w religii. Więc w miarę „starzenia” się świadomości proporcje ulegają przeistoczeniu. Im bowiem świadomość jest młodsza, tym podmiot oddziałuje na przedmiot silniej, im zaś starsza, przedmiot oddziałuje silniej na podmiot. Gdy więc dochodzi do zjawiska psychicznej ekspansji, dawny podmiot przeistacza się w przedmiot, przy czym sam podmiot winien ulec rozproszeniu - co wydaje się logiczne i pesymistyczne...

- Więc cywilizacji ziemskiej grozi fizyczna zagłada?

- Na to by wyglądało - odpowiedział filozof.

- Co się stanie wtedy z jasną dziurą?

- Będzie trwała nadal, „nauczywszy” się uprzednio sama kreować psychiczność. Jej ewolucja pójsć bowiem musi w kierunku skrócenia łańcucha troficznego. Bardzo stara jasna dziura kreować będzie psychiczność pominąwszy etap cielesności, zaś energię na podtrzymanie procesów psychicznych nauczy się czerpać prosto z gwiazd. Trudno też przewidzieć, czy jasna dziura to ostatni konsument piramidy

troficznej. Być może istnieją we wszechświecie konsumenci n-tego rzędu.

- Po co więc istnieje świadomość-zapytałem impulsywnie.

Druzel dotknął mojej głowy.

- Błahość tego pytania wynika z natury ludzkiej. Nie musisz się więc go wstydzić, tak samo jak nie powinieneś się wstydzić tego, że jesteś człowiekiem. Słowo „dlaczego” jest wyrazem emocjonalnego zaangażowania świadomości w otaczającą ją rzeczywistość. Jest pierwotnym zdziwieniem. Zamiast słowa „dlaczego” supermózg zadowala się pojęciem „świadomość”. Muszę posłużyć się dygresją. Przekazywanie informacji między ludźmi odbywa się przy użyciu symboli (mowa, pismo itd). Ponieważ symbole te są bardziej lub mniej prymitywne (uproszczone), wynikające stąd stany emocjonalne będą również w jakimś sensie prymitywne. Możemy zatem powiedzieć, że prymitywny symbol powoduje prymitywną emocję. Wzajemnie oddziałując na siebie wzbogacają nasze środki przekazu. Na czym polega jednak ograniczoność mowy? Głównie na ograniczonym zasobie słów. Aby określić nową sytuację trzeba stworzyć nowe słowo albo posłużyć się omówieniem, angażując się emocjonalnie w stopniu wprost proporcjonalnym do nietrafności owego omówienia. Optymalnym wyjściem z sytuacji byłby taki układ symboli (nieskończenie wielki), za pomocą którego można by było określić każdą nową rzecz, stan czy zjawisko. Owóż taki układ od dawna mamy pod ręką, lecz nie umiemy w stopniu dostatecznym z niego korzystać. Jest nim matematyka, będąca sama w sobie najdoskonalszą formą przekazu. Ale czy przydatną dla konsumentów czwartego rzędu? Ten właśnie język prawdopodobnie jest językiem jasnej dziury. Język, jak go nazwiemy - „odczłowieczony” umożliwia obustronną wymianę informacji ze wszelką psychiką wszechświata. Tam też, myślę, nastąpić może właściwy kontakt z obcymi cywilizacjami. Bardzo stara jasna dziura, zbliżona do prawdy absolutnej, nie musi zadawać sobie pytania „dlaczego”. Być może, po emocjach pozostanie jedynie ślad jakiś, szczątek, coś na kształt zadowolenia „Ja wiem”. Psychika ludzka, chcącą wniknąć w głąb jasnej dziury winna wyzbyć się ludzkich kryteriów. W świecie tym proces zbliżenia się do prawdy odbywa się jednocześnie poprzez ewolucję i recesję świadomości. Przykładem owej recesji jest nasz przyjaciel opanowany idée fixe - smokofilią, która jest jednak o wiele bardziej przydatna dla jasnej dziury, niżli twoja miłość do żony. Jej korzenie bowiem sięgają o wiele płycej niż, w twoim wypadku, instynkt przetrwania gatunku. W tobie przyroda domaga się zachowania gatunku. Co jednak stymuluje ewolucję świadomości? Owa intencja do komplikowania układu. Natomiast recesja świadomości wpływa zawężająco na ewolucję, a tym samym powoduje, iż proces ten odbywa się skokowo. Zawężony proces ewolucji zwiększa siłę przebiccia w elementach nie objętych owym zawężeniem. U człowieka recesja świadomości jest wyrażona już na etapie pytania „Kim jestem? (odnośnik matematyczny.  $2+2=?$ ). Odpowiedź na pytanie to brzmi zawsze jednakowo: „Kim byłem” (odnośnik matematyczny  $2+2=4$ ). Człowiek wie jednak, że nie jest ową „czwórka”. Był „czwórka” (odnośnik matematyczny.  $2 + 2 = 4 + 1 = 5 + 1 \dots = n + 1$ ). O ile „n” jest ilością cech składających się na osobowość człowieka w chwili gdy zadał sobie pytanie „Kim jestem”, „jedyńka” oznacza kontekst cech zmienionych przez uświadomienie sobie zadanego pytania.

- A co z wolnością? - krzyknąłem.

- Ludzkość jest zdeterminowana procesem poznania.

Wolność, synu, rozumieć należy jako nieskrępowaną dążność do prawdy. Prawda zaś znajduje się w jasnej dziurze, podporządkowany procesowi poznania człowiek musi się dostosować do wymogów jasnej dziury. Inaczej, musi ulec rozproszeniu na niższym poziomie troficznym, by w ten sposób, pośrednio, przysłużyć się jasnej dziurze. Stoisz więc przed koniecznością. Albo wyzbędziesz się miłości do żony, albo zrzucony zostaniesz w cielesność i na trzecim poziomie troficznym przekształcisz się w zwierzę. Wybieraj zatem!

To powiedziawszy filozof podszedł do świetlistego pręta i wtopił się weń. Poczułem, że klatka znika,

a z oddali napływają Wszyscy Moi Drodzy Zmarli. Zrozumiałem, że sama wielka jasność przybrałszy postać filozofa rozmawiała ze mną, starając się mnie nakłonić, bym wyrzekł się miłości do żony.

Wtem zagrziała muzyka i Wszyscy Moi Drodzy Zmarli jęli śpiewać w jej takt psalmy. Po raz ostatni ujrzałem też postać Weroniki, żony mej najdroższej pogrążonej jakby we śnie, której piersi młode i bujne spływały na brzuch uśpiony jeszcze snem pompejskim, a sutki niczym agresywne reflektory przemierzały mrok nocy w poszukiwaniu nieprzyjacielskiego samolotu... Więc postać tę odczuwaną przecież bezgranicznie mam poświęcić dla dziury?! Odrywając się od wyobrażenia wpilem swój nienawistny wzrok w jasność. Lecz zamiast przerazić, nienawiść moja sprawiła jasności jakby satysfakcję. Poczulem nagle, jak zapadają się dźwignie i psychiczne zapadki, jak uruchamia się pewien dziwny mechanizm, a moje mimowolne „aaa” łączy się z glebro ponad głowami wszystkich Moich Drogich Zmarłych i nienawiść moja sprawia, że jasność poczyna pałać, pałając tym bardziej, im bardziej nienawidzę. I wyczerpawszy nienawiść wysysać poczyna glebro, a wchłonawszy jego płomień naruszać poczyna ów tajemny ocean miłości...

Na szczęście psalm kończył się już owym gotyckim crescendo, nakazującym dźwignąć wzrok w górę, w niebo, wzbić się w przestworza i trwać tam, nasłuchując Owego Głosu, w nadziei na To Nowe Życie, które przyjść powinno. Wraz z psalmem przestało istnieć zjawisko wysysania i oto jak dziecię od piersi, zostałem odłączony od wielkiej jasnej dziury...

## 8. Szczur

Zakład Psychoz. Instytut Psychiatryczny. Wywiad z chorą Weroniką C. (lat 32):

„targnęła się na życie w przyływie ostrej psychozy z objawami osiowymi (zaburzenia pamięci). Po śmierci dwóch kolejnych mężów chora przeżywała silne stany depresyjne. Z zawodu jest pracownikiem naukowym Instytutu Neurofizjologii, Prowadząc badania w zakresie lokalizacji ośrodków pamięciowych u szczurów doznała urojeń. Jeden z badanych szczurów wydał jej się niedawno zmarłym mężem. Stwierdzono u chorej zakłócenia funkcji porządkującej pamięci, zaś występujące otępienie wskazywałoby na nasilenie procesów destrukcji zapisów pamięciowych. Psychoza Weroniki C. ma wyraźny charakter reaktywny, nie wyklucza się jednak, iż z formy ostrej przekształcić się może w przewlekłą. Zalecana terapia...”

Tymczasem Szczur zajadłe konsumował podsunięty mu przez laboranta długi palec granulatu. Jego mała główka naznaczona świeżą blizną, ciągnącą się od ucha ku potylicy, nadawała jej wyraz wiecznego zdziwienia. Skończywszy granulat zwierzę podeszło do ścianki winidurowego pudła i uniosło się na dwóch łapkach, wystawiając nos ponad krawędź. Małe szczurze oczka spojrzały przed siebie przeciągle i wydawało się laborantowi, że z ich głębi wydobywa się jakieś nieme przeraźliwe wołanie.

Nieobecność

*Lepiej kłamać niż milczeć.*

## Rozdział I.

Aleksander Noel mieszkał na Krakowskim Przedmieściu. Mieszkanie miał niewielkie, lat czterdzieści osiem, pracę spokojną, zdrowie nie najlepsze. Wstawał każdego dnia o świcie, mył się, ubierał, jadł i pił, i nim wybiła siódma rano punktualnie siadał za biurkiem w niedużym przedsiębiorstwie. Stemplował, podpisywał, liczył. W przerwie pracy wyglądał na ulicę, popijając herbatą rozmyślania.

Był rok 1973. Grudzień. Świt. Noel zszedł z małego tapczana, w łazience oddał się porannej toalecie i, gdy zaparzona kawa zaczęła stygnąć na stoliku w kuchni, pierwszy raz tego dnia poczuł się nie najlepiej. Serce pracowało zbyt szybko - zrezygnował z kawy na śniadanie. Dla zdrowia zjadł kawałek białego sera. Po śniadaniu zapatrzył się na moment w czerwoną łunę na niebie.

Gdy zawiązywał krawat przyjrzał się uważniej swojej twarzy w lustrze. I oczy wyglądały niedobrze. Nie pomyślał o zwolnieniu. Przez dwadzieścia pięć lat pracy nigdy tego nie zrobił. Odetchnął tylko głębiej i smutniej niż zwykle. Założył kapelusz, otulił się płaszczem zimowym i wyszedł.

Na schodach spotkał dozorczynię z wiadrem. Ukłonił się. Oddała mu ukłon. Zapytał, co robi tak wcześnie. Odpowiedziała, że chuligani zatkali zsymp, więc odtyka. Pan Aleksander ze zrozumieniem pokiwał głową.

Na przystanku czekał posłusznie i cierpliwie jedenaście minut, nim nadjechał numer 116. Wsiadł do autobusu. Pojechał.

Na skrzyżowaniu z Nowym Światem mały fiat wpadł w poślizg, wjechał na chodnik i uderzył w róg sklepu muzycznego. Autobus stał dwadzieścia minut.

Nasz urzędnik zdążył jednak na siódmą do swojego przedsiębiorstwa. Zawsze wliczał w czas dojazdu do pracy te nieprzewidziane dwadzieścia minut.

Gdyby autobus przybył planowo, Noel poszedłby na spacer. Właśnie tak zrobił wczoraj, i wczoraj właśnie spotkał wśród drzew ładną kobietę. Nieśmiały był lecz dowiedział się, że to wdowa. Na imię miała Emilia. Można więc sobie wyobrazić, co czuł dzisiaj w autobusie stojącym na skrzyżowaniu, gdy czas uciekał i spacer, na którym mógł spotkać Emilię stawał się coraz mniej prawdopodobny. Pragnął go bardzo, z całych sił. Spotkać wdowę między drzewami. Zdjąć swój kapelusz, pocałować jej dłoń. Oddać się na kilka minut fascynującej rozmowie. Samotny Noel od wczoraj żył tym spotkaniem. Wyobrażał je sobie, przedstawiał w wyobraźni kilkanaście wariantów uchylen kapelusza i pocałunków w rękę. Ale nic takiego dzisiaj nie mogło już się wydarzyć.

Zajął miejsce przy biurku i patrzył przez okno na drzewa. Odnalazł miejsce wczorajszego spotkania. Emilii nie było. Wiedział, że o tej godzinie już jej tam być nie może. O siódmej trzydzieści zaczynała pracę w kawiarni na placu Trzech Krzyży. Była kelnerką. Mogła mieć czterdzieści lat, lecz wyglądała młodziej. Nie miała dzieci.

Serce Noela nie było zajęte przez nikogo. Zabolalo go. Młoda dziewczyna pisząca na maszynie po jego lewej stronie przerwała stukanie. Odgarnęła włosy, przyjrzała mu się.

- Pan się źle czuje? Wzruszył ramionami.

- Pan taki blady, jak nigdy.

- Ma pani rację. Udaję się do lekarza - odpowiedział Noel i wstał.

Dwie teczki do akt przełożył z lewej na prawą stronę biurka, podarł i wrzucił do słomianego kosza

starą korespondencję, na szuflady włożył pióro i ołówek. Wyszedł z biura.

Lekarz zakładowy urzędował na parterze. Jakby czekał na Noela. Ostukał, posłuchał, odłożył stetoskop.

- Serce.

- Co „serce”? - zapytał Aleksander.

- Serce - powtórzył lekarz. - Trzeba oszczędzać. Powinno się je szanować, unikać wzruszeń, panie Noel - ożywił się. - Wiele razy chciałem spytać: Noel to francuskie nazwisko? Pan ma rodzinę we Francji, w Paryżu?

- Matka miała siostrę w Paryżu. Mieszkała tuż przy Łuku Triumfalnym.

- Co pan powie? - zdziwił się.

- Tak - odpowiedział Aleksander.

- Oszczędzać. Do widzenia.

- Do widzenia.

Aleksander wrócił do biura. Maszynistka przerwała stukanie. Spojrzała ciekawie. Miała na sobie zieloną sukienkę z białym szalikiem.

- Pomogło?

- Pomogło.

Tego dnia w pracy nie zdarzyło się nic szczególnego. Drugie śniadanie zjadł o odpowiedniej porze, obiad spożył w stołówce, ukończył pracę, pozamykał szuflady, pożegnał maszynistkę...

Do domu nie pojechał autobusem. Szedł całą drogę i zawitał do mieszkania, gdy zmierzch okrył niebo. W czasie spaceru myślało Emilii. Przeszkadzało mu, że jego wybranka ma na imię jak dom meblowy.

Odebrał z kiosku „Express”, kupił dwie paczki „Sportów”. Na klatce tuż przy skrzynkach na listy napotkał znajomego z drugiego piętra. To ten młody chłopak, dwudziestoletni blondyn, miły, zajmujący się piłkarstwem. Noel powitał go, pochylając się równocześnie nad skrzynkami.

- Jak się pan ma? - odrzyknął chłopiec i wybiegł z piłką na ulicę.

- Niedobrze - cicho powiedział do siebie Noel.

Począł oglądać listy. Były dwa. Upomnienie z biblioteki i życzenia noworoczne od dozorczyń. Wdrapał się po schodach. Otworzył drzwi mieszkania. Zapalił światło, uważnie zamknął drzwi na zasuwę, zdjął buty. Przeszedł przez pokój i zasłonił okno. Nie lubił jednoczesnego światła księżyca i żarówki.

Umył ręce, otworzył puszkę gulaszu i nastawił wodę na herbatę. Odgrzał gulasz, mieszając w garnku drewnianą łyżką. W pokoju nastawił radio. Tańce Podlasia i Kurpiów. Gdy jadł gulasz, w radiu rozpoczął się recital Erica Claptona. Słuchał i jadł. Zmył starannie naczynia po kolacji. Rozebrał się. Wszedł do łazienki. Mył ciało pół godziny. Postanowił, że jutro wstanie bardzo wcześnie i spotka Emilię wśród drzew. Serce zabolalo, poczuł się słabo. To widocznie zbyt gorąca woda. Para okryła lustro. Puścił strumień zimnej i opryskał usta. Łóżko nie pościelone przyjęło go miękkością i ciepłem. Przed snem nastawił budzik. Dochodziła dwunasta. Wysłuchał ostatnich wiadomości: „Przemysł, prowokacja, stadion, produkcja, wizyta przyjacielska, rocznica, nagroda”. Hymn.

Zamknął oczy znużony. Otworzył i jeszcze przez chwilę patrzył na okno. Przez skrawek nie zasłoniętej szyby wpływał do pokoju blask nocy. Leżąc przypomniał sobie, że nie przejrzał gazety, ale nie chciało mu się wstać po nią. Myślał przez moment o zapaleniu papierosa, lecz nie. Poczuł, jak sen okrywa go całego, jak zapada się w biały, nieskończenie długi lej.

Spadał z zawrotną szybkością w dół.

Świt. Noel zszedł z tapczana, umył się i gdy zaparzona kawa zaczęła stygnąć na stoliku w kuchni,

pierwszy raz tego dnia poczuł się nie najlepiej. Nie pił więc dzisiaj kawy za to zjadł trochę białego sera. Po śniadaniu zapatrzył się chwilę na czerwoną lunę za oknem.

Wyszedł. Na schodach spotkał dozorczynię z wiadrem. Chuligani zapchali zsyp, więc odpychała. Czekał na przystanku jedenaście minut. Nadjechał autobus 116. Noel wsiadł. Na skrzyżowaniu z Nowym Światem mały fiat wpadł w poślizg. Spowodował dwudziestominutowy korek.

Niecierpliwiał się, bo wczoraj spotkał przy gmachu między wami ładną wdowę, kelnerkę. Denerwował się - przez ten wypadek nie spotka jej dzisiaj. I rzeczywiście. Był co prawda punktualnie w pracy lecz Emilia skończyła już spacer. Nie widział jej wśród drzew.

Z rozmyślań wydobył go głos maszynistki ubranej na zielono.

- Pan się źle czuje? Pan taki blady, jak nigdy.

- Ma pani rację, udam się do lekarza.

- Serce - powiedział lekarz po badaniu.

- Co „serce”?

- Serce. Trzeba oszczędzać. Powinno się je szanować, unikać wzruszeń, panie Noel.

Potem zapytał o pochodzenie Noela. W biurze maszynistka spytała:

- Pomogło?

- Pomogło.

Po skończonej pracy postanowił pójść do domu piechotą. Idąc myślał o Emilii. Gazetę i dwie paczki papierosów kupił w kiosku przy bramie domu. Spotkał na klatce znajomego piłkarza.

- Jak się pan ma?

- Niedobrze.

Listy były nieważne, nijakie. Wszedł do mieszkania. Ugotował sobie gulasz na kolację. Jedząc słuchał recitalu Erica Claptona. Mył się pół godziny. Serce zabolęło. Para okryła lustro. Widocznie za gorącą miał wodę. Położył się. Dochodziła dwunasta. Głos spikera podał wiadomości: „Przemysł, prowokacja, stadion, produkcja, wizyta, przyjacielska, rocznica, nagroda”. Hymn.

Zamknął powieki. Chciał jeszcze przejrzeć gazetę i zapalić papierosa, ale nie zrobił tego. Poczuł, jak sen okrywa go całego, jak zapada się w biały, nieskończenie długi lej. Spadał z zawrotną szybkością w dół.

I nagle ocknął się. Powieki Aleksandra uniosły się w jednej chwili, jakby dwie niewidoczne nitki przyczepione do powiek zostały gwałtownie szarpnięte. Nie spał. Roześmiał się w duchu - miał wrażenie że jego cielesna powłoka zniknęła. Nie czuł rąk ani nóg. Było tak lekko. Przypomniał sobie sen. Zdawało mu się, że śnił jedno i to samo przez bardzo długie godziny.

Świt. Zbliżył się do lustra... nie znalazł w nim swojego odbicia... zniknęło. Chciał zapalić światło... nie miał ręki... Świt jaśniał.

Aleksander Noel umarł.

Blisko godzinę błąkał się po mieszkaniu, jak zamknięty w klatce ptak. Wreszcie przez szparę w drzwiach wy dostał się na klatkę schodową. Drzwi w hallu trzaskały od wiatru. Leciał wzdłuż poręczy wolno i bezszelestnie.

Chciał odnaleźć swoje ciało. Dokąd je zabrali? Jak długo spał? Mijał dachy domów, ulice, na których nie było żywej duszy, brudne anteny sterczące jak las igieł.

Zaczął się na skrzyżowaniu jednej z ruchliwszych ulic. Powoli miasto budziło się do życia. Zaczęły częściej kursować autobusy i tramwaje, przybywało przechodniów.

- Czemu mnie nie widzą?

To była pierwsza myśl, uparta, nie milknąca, pytanie bez odpowiedzi. Noel leciał nad cmentarzem. Bródno. Bramy jeszcze zamknięte. Zwiędłe kwiaty i trochę świeżych, wczorajszych. Ani jednego



człowieka.

Naokoło Aleksandra zawirowało. Różowe, przezroczyste... ledwo widoczne.

- Meduzy? Wy jesteście meduzami?

Roześmiały się.

- Ty też tak wyglądasz. Ale nie zobaczysz tego w ziemskim lustrze.

Przypatrzył się im. Jakby różowobiałe tkaniny.

- Jesteście kobietami?

- Nie ma kobiet. I nie ma mężczyzn.

Rozwiały się. Poleciał nisko nad granitami nagrobków. Wiatr kołysał drzewami. Nie czuł chłodu.

Śmiech zjaw, które uciekły, przypominał dźwięk dzwonek.

- Czemu ludzie nas nie widzą, a my ich widzimy?

## Rozdział II

Wszechobecność, wieczność i nieskończona wędrówka. Sen nie nadchodzi, nie ma pragnienia i głodu. Noel zajmował kilka milimetrów różowego pyłu niewidocznego dla ludzkich oczu. Tym był.

Pochylił się nad swoim grobem.

- Umarłem. Śniłem uparcie ostatni dzień będąc już martwy. Ale przebudzili mnie. Chciałbym wrócić i opowiedzieć o życiu... takim. Pamiętam, że ostatnia myśl przed śmiercią dotyczyła papierosa. Potem biały lej...

Aleksander w jednej chwili przeniknął w głąb ziemi. Ujrzał swą ludzką postać.

- Jaka śmieszna, skurczona...

Był przysypany ziemią. Martwe ręce, głowa między ścianami trumny, sztywny i zimny tułów. Teraz dopiero zobaczył, że był niewysoki... niższy niż mu się zdawało... wcale nie taki brzydki, jak pokazywały lustra. Nie czuł smutku. Patrzył na swą postać bez zaangażowania, jakby to nie on leżał przysypany brązową gliną, toczony przez żyjące w ziemi organizmy. Zrozumiał, że umarł na atak serca. Szybko i bezboleśnie. Jacy śmieszni wydawali mu się teraz ludzie. Ich ceremonie związane ze śmiercią. Pogrzeby, procesje, karawany, kwiaty, czerń i płacz, cisza nastrój podniosły i uroczysty. Jacy niewinnie głupi ci ludzie straszący śmiercią niegrzeczne dzieci.

Noel wzbił się nad cmentarzem. Strzelił w niebo, głęboko w chmury. Wzrok miał teraz lepszy niż przedtem i dającą większe możliwości perspektywę widzenia. W jednej chwili ogarnął wzrokiem aktualnie przeprowadzane pogrzebowe uroczystości. Wzrok - jak teleobiektyw przybliżył jeden obraz:

Wioska Lower Halbrock w pobliżu Ipswich. Kapłan niósł krzyż, za nim wtaczano na dwukołowym wózku trumnę. Dwoje dzieci i kobieta, piękna jeszcze, acz zniszczona wiekiem, płakała.

Noel chciał krzyczeć. Gdyby mogli usłyszeć: Przelatujący obok niego różowy pył zatrzymał się.

- Jestem Geofry - usłyszał Noel. Zobaczył Geofry'ego. Nie odezwał się.

- Polecisz ze mną? - podjął tamten. - Oprowadzę cię po Ziemi.

- Po Ziemi? - zdziwił się Noel.

- Tak nazywamy ten świat.

- Ależ jesteśmy w powietrzu. Jeśli dobrze widzę, jakieś czterdzieści tysięcy metrów nad powierzchnią ziemskiej kuli.

- Jesteśmy na Ziemi. To twoja Ziemia - powiedział Geofry. - Lećmy.

Polecieli. Noel przyjrzał się uważnie przewodnikowi. Rozróżnił po jakimś czasie coś na kształt siatek skłębionych w różowym kłębku. Pomyślał, że to skrzydła, bezskutecznie szukał oczu, zarysu postaci...

- Ilu nas jest? - zapytał nieśmiało.

- Wszyscy - odpowiedział Geofry.

- A jakim sposobem ze sobą rozmawiamy?

- Rozmawiamy na innej częstotliwości fal. One sprawiają dla ludzkich uszu wrażenie ciszy. Ale kiedyś nas usłyszą.

- Ludzie usłyszą ciszę? - zapytał naiwnie Noel. Wznosili się wyżej i wyżej.

- Jak się wszyscy tu mieścimy? Muszą nas być miliardy?

- Miliardy, ale Ziemia jest olbrzymia, a my tacy mali - odpowiedział pył-Geofry.

- Czy ja nigdy już tam nie wrócę? Do ludzkiej postaci? Trudno się z tym pogodzić.

Pod nimi Ziemia. Aleksandrowi przyszedł na myśl krawiecki stół. Tak, podobne. Metalowe nożyce - to rzeki, zielone sukna traw, nici-strumyki, szpule - to góry, zobaczył nawet centymetr, mydło i porozrzucane guziki.

- A guziki? Czym są guziki? - zapytał.

- Nie poznajesz miast? Wyżej i jeszcze...

- Pewnie niepokoisz się, że nie spotykamy innych?

- Nie, wcale się nie niepokoję.

- No tak - roześmiał się Geofry. - Tak mówimy tylko - niepokój. On rzeczywiście nie istnieje. Nie matu smutku, sumienia... Jak cię zwali?

- Noel.

- Kocham cię, Noel.

- Ależ ty jesteś mężczyzną? - zawahał się.

- Jak to „kocham”? Nazywasz się Geofry, byłeś mężczyzną, miałeś kobiety w swoim życiu. A teraz... ty... mi, a jak to tak? Dlaczego mnie kochasz?

- Bez powodu.

- Czy to nakaz?

- Tu nie ma nakazów.

- Aha, bez nakazów sobie żyjecie. I każdy ma kochać?

- Każdy będzie - rzekł Geofry.

- I nie ma innej możliwości? - Noel wydawał się przestraszony. - Ja tam kocham. Emilię. Co prawda imię jak dom meblowy, ale kocham Emilię.

Geofry nie zrozumiał chyba. Nic nie odrzekł.

- Porozmawiamy o polityce? - zagadnął Noel.

- O czym?

- Jaki tu ustrój?

- Drobnny - odpowiedział Geofry.

- Co „drobnny”? - Noel zaczynał się złościć. - Równość jest?

Geofry zastanawiał się chwilę.

- Ma się rozumieć - odpowiedział stanowczo.

- No to przynajmniej podobnie - pomyślał Aleksander Noel.

Lecz leciał przestraszony nadal tą obietnicą miłości. Geofry jakby zrozumiał jego stan.

- Nie złość się - poprosił.

- Będę - uparł się Noel. - A dlaczego ty się nie złościysz? Mówisz bez żadnego zaangażowania uczuciowego. Coś ty taki natchniony? Co, Geofry? Coś się tak napuszył? Dlaczego nie gadasz po ludzku?

- Czas - odparł krótko. - Myślę, że na Ziemi żyjemy zbyt krótko, by pamiętać takie odcienie uczuciowe. I ustroje i potylicę...

- Politykę - poprawił Noel - Ważna rzecz.

- Ja żyłem czterdzieści lat na ziemi. Dawno, setki lat temu. Mało pamiętam.

- Ale obserwujesz Ziemię i wiesz co się tam dzieje?

- Obserwuję i nie wiem. Ja tego nie rozumiem. Tam się dzieją dziwne rzeczy.

- Co prawda, to prawda - westchnął Noel.

- Patrz! - krzyknął Geofry.

Przed Noelem przeleciała jakaś ławica różowych siatek. Okryła niebo, oblepiła kolorowo i zniknęła.

- To byli młodszy.

- Młodszy?

- Nauczysz się rozpoznawać wiek - zapewnił towarzysz wędrówki. - To jest jedyna rozpoznawcza cecha.

- Po czym się rozpoznaje wiek? - spytał Aleksander.

- Po szybkości lotu.

- A ci młodszy, ile mieli lat?

- Dwa do trzech tysięcy. Chcesz ich zapytać o coś? Dogonimy.

- Nie - odparł Noel i zdawał się być zalekniiony. - Gdzie lecimy?

- Zobaczysz.

Któryś szczebel drabiny musi być szczeblem ostatnim; Ustawiona pionowo, wbita w ziemię, a drugim końcem w niebo, prostą i czarną linią znaczyła tor lotu. Aleksander i Geofry wspinali się po niej. Nie czuli zmęczenia. Nie istniały trudy podróży. Noel zobaczył wkrótce obraz zdumiewający. Dotąd otaczały go chmury, pusty, pełen przezroczystości krajobraz ulepiony w białym kolorze. Jak mgła lekko przetykana zawieszinami, jak mąka, mleko. Naraz, zupełnie niespodziewanie, wyłonił się piaszczysty brzeg i ogromne, spokojne morze. Na piasku suszyły się w słońcu różowe sieci. Dostrzegł, że sieci poruszają się. Żywa sieć.

- To jest nasz brzeg - oznajmił Geofry.

Skierowali się w kierunku morza. Sieć zerwała się nagle i wzbijała w górę, zawisała w powietrzu, a potem rozprysła na tysiące fruujących, identycznych jak Noel i Geofry, zjaw.

- Witają cię - rzekł Geofry.

- Bez ciebie nigdy bym tu nie trafił.

- Trafiłbyś. Tylko tu mógłbyś przylecieć. Wszyscy muszą tu przybyć.

Słońce nad tym dziwnym, ogromnym wybrzeżem było czerwone, w kształcie elipsy. Musiało prażyć niemiłosiernie, ale obecni nie czuli gorąca. Otoczyli kołem Noela. Poczuli prawie ich spojrzenia. Geofry gdzieś zniknął.

- Geofry! - krzyknął Noel. - Nie zostawiaj mnie. Geofry! Ale przyjaciel zniknął bez śladu. Być może ukrywał się w tej nieprzebytej różowości, jaka obstępowała Aleksandra z czterech stron.

- Cholerne, różowe gówna - zezłościł się.

Słyszał wokoło urywane krzyki, śmiechy przelotne i szepty. Gdyby mógł zatkać uszy, gdyby miał ręce i uszy. Odleciał na znaczną odległość od zwariowanego tłumu ptakopodobnych, pyłkowatych sieci. Za sobą usłyszał głos:

- Nowy?

- Tak. Dopiero co przybyłem. Czy to ty, Geofry?

- Nie, nie - głos był inny. - Nazywam się inaczej. Usłyszałem, że przybyłeś niedawno. Tobie musi być tu ciężko, wiem. Dlatego powinno ci się objaśnić i wytłumaczyć kilka spraw. Przez dwa dni jeszcze musisz rozmawiać tak głupio, bo będziesz czuł po ludzku. Następnie proces zapominania zacznie następować silniej. I poczujesz się lepiej. Przestanieś na przykład przywiązywać się do nas. Imiona będą nieważne, rozumiesz? O, ja będę twój Geofry. Przez dwa dni nie opuści cię tęsknota za domem na Ziemi i dawną ludzką postacią, ale po tym okresie zmienisz się, obiecuję, nie do poznania. Tak jak ja i my wszyscy tutaj. Tworzymy związek, wspólnotę i, jak zauważyłeś, nikt nikogo o nic nie pyta, nikt niczemu się nie dziwi. Jutro rano zostaniesz przedstawiony na górze Ara, tam wiedzą o tobie... To rodzaj oficjalnego przyjęcia w nasze szeregi.

- Mówisz - jutro? - przerwał Noel. - Więc tu panuje noc?

- Nieziemska noc. Słońce zmienia kolor i to jest noc - pył zamierzał odlecieć - Tobie musi być ciężko,

wiem. Zapewne drażnić cię będzie zachowanie i rozmowy innych, te zaloty, brak odpowiedzi na pytania, piski i całe to życie. Ale, wierz mi, czekają cię radosne dni. Jak przemienisz się w jednego z nas..

- Stój, nie odlatuj. Czy te dwa dni... zanim stanę się do was podobny to czyściec?

- Nie nazywamy tego tak.

- A te radosne dni dotyczą wszystkich? Źle mówię... Czy wszyscy, nawet ci źli, podłoty, gnoje, chamy, skórkojady zafajdane?

- Bluzgasz, mały.

- Mówi się bluźnisz - poprawił nauczyciela Noel.

- Nie. Mówi się bluzgasz - poprawił nauczyciel Noela. - Nie bluzgaj.

- No dobrze. Czy te radosne dni dotyczą też złych? A gdzie sąd?

- Jutro na górze Ara.

- To właśnie sąd ostateczny?

- Sąd.

- A jeśli ja...

Noel przestraszył się, spojrział na górę Ara, która wyłoniła się na horyzoncie morza.

- Tam wiedzą o mnie?

Nauczyciel skurczył się, zatoczył koło przy Noelu, odleciał.

- No dobrze - myślał Aleksander. - A jeśli się nie sprawdzę? Co będzie, gdy mi wypomną, tego...albo tamto z tym... cholera, nikt uczciwy do końca nie jest... albo z tamtym... Co dla nich dobre, co złe? Ten Geofry to pętał. Pewnie się bawi w te siatki na piasku. A ten nauczyciel nie lepszy. „Tobie musi być ciężko, wiem”. Słońce zmieniało kolor - nieziemska noc zbliżała się.

- Przez dwa dni być ni to ni owo. Takie O! Co ja jestem?

Głosy dochodzące od strony wybrzeża cichły.

- Pętał ten Geofry. Zalecał się do mnie i uciekł.

Zielone słońce schowało się za wielką wodę.

- I to ma być raj? A może ja nie lubię zielonego koloru?

Wiatr układał piasek w wydmy.

### Rozdział III

Było takie miejsce na plaży, gdzie morze wdierało się wąskim i długim językiem w piach. Tu właśnie Noel przyczał się i czekał nadejścia jutra. Czuł zapach wodorostów i smoły. Zupełnie jak na małych mazurskich przystaniach. Zielona tafla spokojnego morza i rozpościerająca się nad nią góra znajdowały się przed nim, z tyłu niekończący się piasek, po obu stronach zaś widział swoich różowych przyjaciół, ukształtowanych w sieci rozciągnięte na plaży.

- Dlaczego jesteś sam?

Noel miał dość różowych zjaw. Nie odpowiedział na pytanie. Pył zakołysał się przy nim.

- Zostaw mnie - powiedział Aleksander. - Nie mam ochoty na rozmowę.

- A ja mam - zapewnił wysoki głosik. - Umarłam sześć dni temu, a ty? Byłeś już na górze?

- Nie - warknął na odczepnego Noel.

- A ja byłam.

- Zainteresował się.

- Żyłaś jako kobieta?

- Tak.

- Nareszcie mogę porozmawiać z kobietą.

- Jak to nareszcie?

- Dotychczas gadałem z mężczyznami. Ale co to za gadanie mężczyzny z mężczyzną.

- A na Ziemi?

- Brakowało mi odwagi.

- Jakoś teraz ci nie brakuje.

- Teraz to co innego. Ja się przyzwyczaiłem do innej powierzchowności kobiet. Ta właśnie powierzchowność mnie onieśmielała na Ziemi.

- Słyszę, że nie zapomniałeś jeszcze o Ziemi. Tęsknisz? - zapytała.

- A jak - zapewnił gorąco.

- Odwiedziłam górę Ara i już nie tęsknię. Wszystko, co przeżyłam, wydaje się takie oddalone i małe.

Noel poruszył się ze zniecierpliwieniem:

- Mnie nie. Mam interesy w biurze. I nie załatwiłem prywatnych spraw z jedną kobietą. Jak można człowieka tak w środku czegoś zabierać?

- Biura, kobiety - zaśmiała się. - To nieważne.

- Dlaczego się śmiejesz? Jakże to może być nieważne? Wiesz ile miałem lat? Czterdzieści osiem. A ile kobiet w życiu? Jedną. I to dawno. I przez przypadek. I w dodatku jeden dzień. A ile pracowałem w biurze, masz pojęcie? Dwadzieścia pięć lat. Przez ostatnie osiem lat bez podwyżki. Po Nowym Roku miałem dostać dziewięćset pięćdziesiąt złotych podwyżki, dwie trzynaste pensje i premię okolicznościową na sumę dalszych czterystu złotych. A poza tym Emilia mi sprzyja. Wiszę jak głupi nad tym piaskiem i zadręczam się.

- Może wrócisz - powiedziała.

Spojrzał na nią. Przysunął się bliżej. Ściszył głos do szeptu:

- A to można stąd wrócić na Ziemię?

- Widzisz tę górę? Ara nie przyjmuje wszystkich. Żli odsyłani są z powrotem. Prosto ze szczytu góry lecą do Słońca. Przelatują przez nie i spadają na Ziemię. Jest to straszna kara.

- Kara?

- Gdy uzna się ich za winnych, otrzymują ponownie dar, jakim jest ludzka postać. Słońce ich pali i oni to czują. Droga przez Słońce trwa długo.

Noel zastanowił się nad czymś:

- No, a jakby tak ominąć urzędową drogę i obok przelecieć, co?

Dopytywał się ze wzrastającym zaciekawieniem. Ara pokryta obłokiem znad morza zniknęła z pola widzenia.

- Musiałbyś o to poprosić - zaśmiała się. - Ja nie prosiłam.

- Dlaczego?

- Już nie pamiętam dlaczego. Myślę, że na świecie nie byłam zbyt szczęśliwa. Została mi w pamięci ulica, na której mieszkałam. Brudno i nędznie musiało się żyć.

- Jak miałaś na imię?

- O, nie wiem. Teraz wołają na mnie Lilia.

Noel poczuł, że gdyby mógł, na pewno by się teraz uśmiechnął.

- Lilia to ładne imię.

- Będziemy się kochać? - spytała. - Nie bój się. To bardzo przyjemne. Oczywiście może nie dla ciebie, bo ty jesteś jeszcze niepełnowartościowy. Zrób to dla mnie. Wystarczy się zbliżyć do siebie na bardzo bliską odległość i połączyć kolory. Róż z różem - zaśmiała się jeszcze raz.

Zezłościł się za „niepełnowartościowego”. Lilia śmiała się jak kilkanaście dzwoniących dzwonek. Pełno miał w niewidzialnych uszach tego dzwonięcia.

- Wydaje mi się, że już rozumiem - podjął temat z przekąsem. - Te siatki, tam, to zakochani?

- Tak.

- No tak. Już jeden chciał się ze mną kochać. Geofry miał na imię. I co? Nie ma go!

- I już go nie będzie. Jesteśmy tacy podobni. Jak wśród setek milionów cię znajdzie?

- To po co mówił?

- Tak wszyscy mówimy - odparła poważnie.

Zamyślił się, wpadając w coraz gorszy humor.

- I to znaczy, że będziemy się kochać, ty odleciez i nigdy cię już nie ujrzę?

- No oczywiście. Taki jest rachunek prawdopodobieństwa.

- Na takie coś to ja nigdy nie przystanę. Za kogo mnie masz? Nie znoszę przelotnych flirtów. Ja się zakochuję na poważnie. Przelotna miłośćka. Ty sobie polecisz, a ja będę do końca świata szukał cię w tej różowej ciżbie i wykrzykiwał: Lilia, Lilia...? Śmiała się i powtarzała: Lilia, Lilia...

- Dobranoc - powiedziała na koniec. - Czeka cię jutro wielki dzień.

Nie chciał się przyznać, że wcale mu nie tak pilno do rozstania. Odleciała, a on smętnie wodził za nią wzrokiem, póki nie zginęła w zielonym świetle.

- Jeślibyś chciała, moglibyśmy się nie rozstawać - powiedział ze smutkiem.

Bardzo niespokojnie ją oglądać przestrzeń, w końcu jednak zatopił się w rozmyślaniach.

- Tak, tak, powiem im wszystko. Jutro na tej górze. Czuję w sobie mnóstwo siły. W sam raz tyle, by poprosić o powrót. Nie boję się nawet ognia. Do licha, śmieszna rzecz, mam teraz więcej odwagi niż przez całe czterdzieści osiem lat razem wziętych, nie pomijając wojennych wyczynów. Z taką odwagą mógłbym na przykład oświadczyć się Emilii. Czy aby nie zaczynam się zmieniać? Tak, przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Obchodzę się z powodzeniem bez nóg i rąk, już nawet zapomniałem, że kiedyś były mi potrzebne. Wcale mnie nie dziwi mój teleskopowy wzrok i zdolność fruwania. Obyczaje

w tej krainie nie przejmują mnie lękiem ani niczym. Przyzwyczajam się - wzbił się w górę, na znaczną wysokość. - Jutro im powiem. Muszą wysłuchać Aleksandra Noel. Będę odważny jak nigdy. Pewnie mają dziennie mnóstwo przyjęć, ale ja zabiorę im więcej czasu.

Opadł i zastanawiał się, czy jutrzejsza zbyt długa przemowa nie pociągnie za sobą poważniejszych konsekwencji.

- Bardzo możliwe, że na Ziemi ludzie czekają na narodziny i śmierć tylko dlatego, że na górze Ara trwają rozmowy...

- Trzeba solidnie argumentować swoje wystąpienie. Musi być wypowiedziane bez zająknięcia. Na pewno ci na Ziemi czekają... Po jakimś czasie słońce zaczęło tracić swój zielony kolor. Początkowo bladło jak trawa z każdym dniem jesieni, następnie zaróżowiło się, by w końcu wypłynąć czerwoną plamą na niebo. Ara o poranku stawała się najbardziej widoczna, obłoki znad morza pierzchły, więc odbijała się światłem od tonacji nieba. Nie była zbyt wysoka, ale smukła i strzelista. Szczyt góry, lekko zabelony, ośnieżony może, znajdował się na wysokości około trzech tysięcy metrów nad poziomem morza.

Dzień rozpoczął się. Od południa podniósł się pisk - miliony różowych zjaw pomknęły w górę nieba. Inna część przeleciała nad Aleksandrem i podążyła wzdłuż wybrzeża. Z nim pozostali nieliczni, skupili się w małe obłoczki. Ara miała ich przywołać. Jakoż po chwili rozległ się donośny dźwięk dzwonu. Ptakopodobne, mgliste meduzo-pajęczynowe-siatki poderwały się do lotu. Ara wypuściła ze szczytu cztery smugi ognia. Na morzu ujrzano cień góry. Nadszedł ich czas.

Lecąc Aleksander starał się prowadzić ten dziwny klucz ptaków, prędko został jednak prześcignięty i zostawiony. Jakiś maruder lecący na samym końcu ponaglił go.

- Lecimy! Nie warto być ostatnim. Noel krytycznie ocenił ich szansę.

- Przyzwyczajony jestem do kolejek. Poczekamy...

- Zapewne, zapewne - maruder był rozkojarzony i za wszelką cenę starał się lecieć szybciej. - Jestem Lars Björn. Szwecja.

- Aleksander Noel. Polska - rozczulił się. - Toż to prawie tak, jak rodaka spotkać.

- Wypadek samochodowy. A pan?

- Nie miałem samochodu - zawstydził się Noel. - Zwykły atak serca. Wpłaciłem na malucha, ale dopiero sześć lat temu.

- Aha - zdawał się rozumieć kapitalista.

Z daleka ujrzeni wyraźne kolory góry. Blask, jakim promieniowała, zaczynał odbijać się w wodzie.

- Srebro? zapytał sam siebie Noel.

- Kupa pieniędzy - odpowiedział maruder Björn. Chmury zjaw obsiadły już szczyt. Zaróżowiły go. Gdy Noel i Björn dolatywali, sąd rozpoczął się. Widzieli, jak wiatry i wiry morskie rozpoczęły swój taniec. Niebo wzburzyło się, dalsze smugi ognia ze szczytu napełniały przestrzeń. Ci wszyscy ludzie-nieludzie na szczycie umarli w ostatnich dniach. Tu miało ich czekać wieczne zapomnienie i łaska Nieba. Ara przestała płuć ogniem, Noel znalazł dla siebie jakieś miejsce na szczycie, Björn zgubił się o chwilę później w różowości.

- Pęta ten Björn - pomyślał Noel. - Mógłby się trzymać blisko. Powtarzał w myślach przygotowaną wczorajszego dnia mowę. Czuł, że jest to mowa wspaniała, wzruszająca i śmieszna jak trzeba. Nikt z oczekujących nie wiedział, co za chwilę się stanie. Popatrywali na siebie, napięcie i podniecenie rosło.

Niebo zasnuły szare chmury i tylko isierki ognia z wulkanu Ary rozświetlały skąpo szczyt. W takiej atmosferze, w ciemności prawie zupełnej i ciszy zdarzyło się, że kilka kamieni ze szczytu potoczyło się z łoskotem do morza. A wtedy ludzie, jeden przez drugiego, zaczęli mówić... Aleksander inaczej to sobie wyobrażał. Religijne oleodrukowe obrazki w twardych dębowych ramach tworzyły w ziemskich



kościółach obraz świata zupełnie innego, niepodobnego, nieprawdziwego. Nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że oni wszyscy są słyszani. Słowa zlewały się ze sobą, przechodząc w jeden gruby pomruk, a jednak co jakiś czas ludzkie dusze-niedusze, odlatywały z góry Ara w kierunku słońca lub piaszczystego brzegu. Nikt się nie pojawił, obcy, nieznany ktoś sterował z ukrycia mrowiskiem ludzkich słów, ktoś je zapamiętywał, ważył na szali i wygłaszał wyrok.

- Zacznę mówić - myślał Noel. - Teraz ja...

Lecz nie miał odwagi zacząć. Szeregi przerzedziły się. To, co niedawno przypominało jedną wielką plamę; stanowiło teraz kilka małych różowych punkcików, plamiących gdzieś ośnieżony szczyt.

- Zacznę mówić ostatni.

Słońce zmieniło się, a on nie wyrzekł jeszcze ani jednego słowa. Dopiero, gdy na szczycie nie pozostał nikt, przemówił...

- Jestem Aleksander Noel - i umilkł zdjęty trwogą. Z goryczą pomyślał, że w tłumie byłoby mu lepiej zacząć, upodobałby się do gromady gruchających gołębi i miał to za sobą...

Minęło sporo czasu zanim odważył się wypowiedzieć następne zdanie.

- Pewnie wiecie o mnie, kim byłem, co robiłem, co czułem, ale wszystkiego nie wiecie.

Przestraszył się swojej bezczelności i poprawił:

- Najważniejsze nie jest wam wiadome. Ja chciałbym wrócić na Ziemię. Przerwał i sprawdził jakie to wywarło wrażenie. Spokój. Odetchnął z ulgą:

- Pracowałem w biurze, ale nie byłem biurokratą, takim co ma kłapy na oczach, liczydło w głowie i cyfry mu się sypią z rękawa...

Zorientował się, że zbyt poetycko zaczął i przeszedł w prozę:

- Widziałem wszystko, co się dzieje na Ziemi. Telewizora nie miałem, ale radio mi grało i wystarczało, żeby sobie jaki taki pogląd wyrobić. Otóż nie było na Ziemi dobrze - głodno, chłodno i nędznie, oszukiwani byliśmy, wojna za wojną bez końca trwały i wnoszę, że niewiele się zmieniło od czasu, gdy Ziemię opuściłem. Kłamstwo i zło, bieda, alkoholizm, nieszczęścia na każdym kroku pełno, a dobra niewiele się dzieje. Przerwał na moment, potoczył wzrokiem po pustej przestrzeni i rozpoczął głośniejsze, a pewniej:

- Wybaczcie mi, że tak mówię nieskładnie i rymy się robią, ale to tylko nerwy. Tak więc kłamstwo, zło, bieda i oszustwo... lecz chcę wracać. Rodziny dawno nie posiadam. Dwadzieścia lat miałem, jak się wojna skończyła. Jedyne brat w lesie zginął, a rodzice przed wojną jeszcze odeszli... pewnie gdzieś tutaj na piasku żyją, bo to byli dobrzy ludzie. Dzień po dniu żyłem nadzieją założenia rodziny. Przez dwadzieścia pięć lat od wojny codziennie czekałem na zdarzenie, które mi odmieni życie. I takie nastąpiło dokładnie w dniu mojej śmierci.

Nie mam żadnego poczucia przeżytych lat, nie zaznałem miłości ani wielu innych rzeczy. Dlatego chciałbym jeszcze raz spróbować. Przybrać taką samą postać i wrócić... do Emilii. Jako dziecko nie grałem w piłkę, jako chłopak nie byłem zakochany, w dorosłym wieku nawet pensja okazywała się nie wystarczająca do bytowania. Nie mam wyobraźni, prześwietny sędzie, bo może i lepiej będzie mi tu, gdy już się całkiem prze - mienię w takie różowe i latające, ale że nie mam wyobraźni - pozwólcie wrócić. Myślę sobie tak: nie prosiłbym, gdyby to zwykła tęsknota za bliskimi. Tak w życiu jest - trzeba odchodzić. Pożył człowiek, naweselił się, nacierpiał i jak pora iść, niech idzie. Tu przecież wspanialszy świat. Nie żał małych dzieci, które tu przychodzą, nie żał bardzo starych ani nawet ludzi młodych. Ale takiego ofiary jak ja, powinno wam być żal.

Stała się rzecz niesłychana, dopiero tu jestem odważniejszy, pewniejszy siebie, a na Ziemi taki nie byłem.

W szkole przedwojennej po łapach liniałem za byle co dostawałem i w ogóle niesłusznie, a nie

potrafiłem powiedzieć. Na poczcie głosu nie podniosę, jak się ktoś przede mnie wepcha. Gdy do taksówki wsiądę, to zawsze ze strachem, że mnie zawieźć nie zechce, bo kurs krótki i muszę napiwkami sobie pomagać. W pracy nigdy kierownikowi nie powiedziałem: zasługuję na więcej. A należało się nieraz. U rzeźnika za każdym razem mnie z kolejki wybodał, przed kinem boję się od konika bilet kupić. Tchórzem podszyty, zdiadziały, a przy tym ofiara losu. Taki jestem. Chciałbym inaczej żyć. Tramwajowego nie skasuję, Emilii do nóg padnę, kierownika złapię i powiem, co mi się należy. Pokażę prawdziwą twarz kilku łobuzom, którzy masę krzywdy mnie i innym wyrządzili. I opowiem, jak tu jest. Jaka kara grozi miernocie. Gdybyście mnie puścili do domu nie przez Słońce, ale tak trochę obok, byłbym wdzięczny. I tak przecież zjawię się tu jeszcze raz, sąd mnie nie minie, a po co dwa razy sądzić? Zresztą myślę, że mnie droga przez tę czerwoną kulę ominie. Niech wam się zrobi żal, takiego... takiego, do którego dozorczyńni nawet mówi „Alciu” i klepie wiadrem po pośladkach jak jakiegoś idiotę.

Teraz wiem, gdy przychodziłem na świat, trzeba mnie było mocno wstrząsnąć, jak lekarstwo przed użyciem i dopiero między ludzi wsadzać. Podziałałbym..

Emilii mi żal - pijaków obsługuje. W oczach jej widziałem, że chciałyby spędzić ze mną szczęśliwe życie. Samiuteńka żyje na świecie, a ja dobrze wiem, co to takiego samotność. Wszystko jej oddam, dobrym będę, a przy tym mężczyzną się okażę za jakiego chciałyby mnie uważać. Może dzieci mieć będziemy. Zabawki kupować, prac pieluchy, z wózkiem chodzić, na wywiadówki do szkoły. A jak dzieci dorosną i w świat pójda, to także będę szczęśliwy. Dajcie mi spróbować.

Widzę, że i tu i tam nie jestem taki niezbędny, ale jeśli ewidencja ma się zgadzać, to lepiej tym na Ziemi niech się zgadza. To są dopiero biurokraci. Liczą daty, godziny, sekundy, dni, liczą pieniądze, stopnie w szkole i na termometrze, wyliczają jedzenie, kary, zasługi... Niech im się więc zgadza. Tu jest inaczej. Naprawdę bardzo pięknie, ale gdyby ode mnie coś zależało, już bym sobie poszedł.

Szczery ze mnie człowiek. Mówię co myślę. Dajcie odejść koło Słońca, nie przez środek. Dobry jestem i szczery. Póki się nie przemienię w takie różowe i latające, co nic nie pamięta, będzie bardzo żal. Słyszałem, że już jutro mam się stać innym. To więc ostatnia pora, by o to prosić. Urządzimy sobie z Emilią dom, nigdy nie miałem prawdziwego domu. Dla was to proste, abym się znowu w łóżku znalazł, w mieszkaniu na Krakowskim Przedmieściu. Nikt mnie prawie nie znał, dozorczyńni i piłkarzowi z mojego bloku wytłumaczą, że to żarty. Nie powiem ani słowa, że tu byłem, jeśli chcecie.

Wstrzymał oddech i czekał. Jakaś sita powinna go skierować w kierunku Słońca lub brzegu.

- Odpowiedzcie! - krzyknął.

Echo odpowiedziało mu kilka razy. Potem zrobiło się wokoło niego bardzo cicho i ciemno.

- Ja naprawdę bardzo kocham Emilię. Możecie sprawdzić, zapytać. Jestem dla niej wymarzonym mężem, nie piję, palę mało.

Ara nieruchoma, wiatry i wichury uśpione.

- Zamieszkamy u mnie - Noel mówił już byle co. - Czyste firanki w oknach, obiady w niedzielę. Jedni mówią, że to nudne życie, ale nie mają racji, bardzo się mylą, albo po prostu nie znają mojego życia. Tak, nawet na pewno zamieszkamy u mnie. Na razie, póki nie przyjdzie na świat dziecko, jeden pokój musi nam wystarczyć. Potem pomyślimy. Pewnie zamienimy mieszkanie jej i moje na jedno większe. Tak ludzie robią najczęściej. A do czasu narodzin wynajmiemy jej mieszkanie. Tak ludzie robią najczęściej.

- Pensja Emilii i moja wystarczy, by się jakoś urządzić. Odniósł wrażenie, że nikt go nie słucha, kamienie milczące, wiatry i wichry nie były Bogami.

Lecz mówił, już bardziej ze sobą rozmawiał. Opowiadał sobie swoje życie, snuł plany na przyszłość.

Na niebie działały się rzeczy dziwne. Pojaśniało znacznie. Niewidzialna ręka wylała na nie kilka słoików intensywnych, oleistych farb. Mieszały się ze sobą, rozprzestrzeniały w zawrotnym tempie, płynęły poziomo, ściekały wolno w dół ku morskemu horyzontowi, stygły w najdziwniejszych

kształtach i barwach. Nieznana ręka ścierała farby, wylewała wciąż nowe, coraz bardziej jaskrawe. Przy nich nawet mocny kolor słońca wydawał się blady.

Noel nie czuł strachu. Bał się przedtem, zanim odwiedził szczyt, zupełnie teraz ośmielony i dziecinnie jakoś szczęśliwy gapił się na niebo z zachwytem mamrocząc bez ładu i związku.

- Emilia... Krakowskie... piłka... a przecież domy... kochany... kochany... Alciu... co to jest?

Przyglądał się niedawno różowemu zjawom i widział jak podmuch wiatru zabierał je stąd. Czekał na taki podmuch. Jakikolwiek miał być wyrok, musiało go coś z Ary zabrać. Myśli krążyły wokół Geofry'ego, Lili, Björna. Björn pewnie ma już inne imię i opala się na plaży, albo pali się w słońcu za karę, za ten samochód... Kto wie, jakich przestępstw się dopuścił na Ziemi?

Pomyślał o sobie. I swojej sytuacji. Chyba nie wezmą go za buntownika? Nie wiedział co myśleć o położeniu, w jakim się znalazł.

Wzbił się w górę na znaczną wysokość i zatoczył łuk nad szczytem. Potem jeszcze raz i opadł.

- A gdybym tak odleciał i nie czekał na wiatr?

Trzeci raz zrobił rundę w powietrzu, ale skończywszy ją nie wylądował na szczycie. Zawieszony nad nim, chwilę popatrywał w cztery strony świata. Myśl przemknęła jak błyskawica. Najpierw wolno, stopniowo szybciej oddalał się i kierował w stronę Słońca. Właściwie był pewny, że przeszkodzą mu w ucieczce. To była przecież ucieczka. Prawie już czuł trąbę powietrzną dosięgającą uciekiniera, wciskającą w skłębioną powietrzną dziurę.

Ale nic takiego się nie działo. Leciał swobodnie, płynnie, lekko, Ara oddalała się, morze niknęło za chmurami, piaszczysty brzeg zasłaniały kolory rozsypane w obłokach. Zdolność teleskopowego widzenia przybliżyła mu obraz Słońca. Czerwony kolor i wszędzie pusto. Ani jednego różowego pyłu nie napotkał po drodze.

- Uciekłem - kołatało w myślach.

Całkiem zniknęła kraina Ary i morze, i brzeg. Jak następna, nowa stronica książki z obrazkami zamajaczyła przed nim droga wędrowki. Świat był już inny.

Krajobraz mniej urozmaicony. Dwa łańcuchy skalne po obu stronach tworzyły wąwóz, w którym leciał. Skały przedstawiały się posepnie, żółto, żółto-czerwono, były ostre. Szczyty cienkie, wydłużone, w nienaturalnych proporcjach. Otaczało go powietrze mniej przezroczyste, zgęszczone. W pewnej chwili, gdy Słońce zdawało mu się bliskie, postanowił zmienić kierunek lotu, by je ominąć. Bał się promieni, niewinnych jeszcze w tej odległości, a jednak przestrzeliwujących na wylot skały wąwozu. Zapowiadających swą moc.

Pod kątem czterdziestu pięciu stopni przeciął wąwóz, wyfrunął z niego i obrał nową drogę, bezpieczniejszą. Zamierzał ominąć Słońce nie oddalając się jednakże od niego. Cały czas będzie się starał nie zgubić sprzed oczu czerwonej plamy. Wędrowka zaczynała być uciążliwa. Zdumiał się. Czyżby odczuwał zmęczenie? To niemożliwe. A jednak wyraźnie czuł ból tam, gdzie powinien znajdować się kręgosłup. Rozrywał mu piersi, oczy bolały, powiększały się? Ujrzał swoją dłoń, poruszał palcami. To była jego dłoń, nie zmieniona. Dawna nowa dłoń... i cała ręka. Zobaczył nogi, które wyrosły przed chwilą, kołyszące się śmiesznie w powietrzu. Rękami objął głowę. Śmieszna w dotyku, wydawała się większa niż przedtem. Dotknął brwi i powiek, nosa, ust. Boże, gdyby mógł zobaczyć swe odbicie. Wystarczyłaby tafla wody, jezioro, mała rzeka... Rozstawił szeroko ręce, głowę wtulił w ramiona, nogi złączył. Płakał nawet z radości, leciał w jednym kierunku z wiatrem.

- Jestem... Aleksander Noel - powiedział wzruszony.

Po krótkim czasie kości przestały boleć, zdrętwiałe ręce i nogi nie przyzwyczajone do lotu nabrały wprawy. Ręce rozgarniały masy powietrza, nogi i tułów ze świstem przeciskały się przez chmury, stopy lekkimi ruchami w górę i w dół przyspieszały lot.

- Jestem znowu człowiekiem.

I czuł powiew wiatru na policzkach, łązy piekły i schły momentalnie, włosy rozwiane, w uszach szum nieustający, który usypiał. Kołysanie wiatru zwiększyło się, spróbował obrócić się na plecy. To było wspaniałe. Ręce założył pod głowę, patrzył w górę. Nad nim przesuwały się wielkie obłoki. Wąwozu nie było w zasięgu widzenia, tylko Słońce dostrzegał po lewej stronie, a po prawej błękit.

Nagle przypomniał sobie słowa Lilii. Więc dano mu ludzką postać by się spalił w czerwonej kuli? To miał być początek kary? Za co? To nie jego wina, nie uciekł, dano mu odlecieć.

- Teraz wiatr skieruje mnie w sam środek Słońca. Wyobraźnia podsunęła mu najstraszniejsze obrazy.

- Nie mam tej wyobraźni za wiele, ale to, co mam, wystarczy - pomyślał z goryczą. Ale wiatr mający wykonać na nim karę nie pojawiał się. Noel był zdenerwowany do tego stopnia, że każdy najlżejszy nawet podmuch wywoływał skurcze w żołądku. Dreszcze, myśli nie dawały spokoju, na nowo drętwiało całe ciało, ze strachu głowę mocniej wtulił w ramiona, odwrócił się z pleców na brzuch i dał się nieść przepływającym falom. Nie walczył już o swoje życie.

Otworzył oczy. Czerwone Słońce oddalało się. Nie mógł powiedzieć ile czasu leciał. Bardzo długo. Kilka dni. On myślał, że przespał się na chwilę.

- Nie spalą mnie, nie - powtarzał.

I czuł jak odsuwa się od czegoś strasznego, powiew śmierci zaledwie go muskał, ostrzegał. Omijał Słońce. Z radości krzyczał. Śpiewał. Wymachiwał kończynami jak pajac. Wyobrażał sobie, jak już blisko do domu. Czekala go jednak wędrówka w niewiadome, ogromna przestrzeń, nieznana, nie przebyta przez nikogo.

## Rozdział IV

Serce wzbierało mu wdzięcznością. Największą przyjemność sprawiłby mu teraz ktoś, komu mógłby podziękować. Wyjęty spoza zasięgu sił ludzkich i boskich, zawieszony pomiędzy światem jednym a drugim, płynął Aleksander Noel przed siebie w poszukiwaniu brzegu.

To nieprawda, że niebo jest puste. Lecąc teraz po nim jako człowiek z krwi i kości nie zapominał, że będąc milimetrowym pyłem dostrzegał świat, bogactwem, barwą i kształtami dorównujący ziemskiemu. Świadomość, że być może przelatuje w tej chwili nad wzgórzami, oceanem, polami, lasami, mija ławice różowych zjaw, których nie widzi, napawała Noela lękiem. Doznawał dziwnych i sprzecznych uczuć, podróżując na pozornie pustym niebie, monotonnym w swym kolorycie, cichym i złudnie bezpiecznym. Jedyne ocalałe z dawnego świata Czerwone Słońce przypominało mu o istnieniu czegoś pozaziemskiego. Prowadził go instykt zwierzęcy, chciał przeżyć za wszelką cenę i odnaleźć zostawiony dom.

Nagle, na odległym od niego o jakieś kilkanaście kilometrów przesuającym się wolno sinym obłoku dostrzegł poruszających się ludzi. Zbliżając się był prawie pewny, że są to ludzie. Widział wyraźnie trzy głowy, ręce wymachujące w jego kierunku, płataninę nóg. Wyglądali jakby splątano ich ze sobą i zostawiono na tym obłoku. Ale nieporadność ich ruchów przypominała Noelowi własne niedawne przeżycie.

Byli to trzej mężczyźni. Jeden, najniższy, łysy i garbaty o twarzy pomarszczonej i złej okrzył nieufnie Noela. W jednej chwili znikła jego radość ze spotkania. Twarze dwóch pozostałych, bardzo podobnych do siebie mężczyzn, również nie wróżyły nic dobrego. Ich nagość nie zdziwiła go, sam był nagi. Ich zachowanie zdziwiło. Obojętnie, co czuli w tej chwili, powinni się ze spotkania na tym odludziu cieszyć. Od bardzo dawna nie spotkał człowieka, prawdziwego człowieka.

- Wy przylecieliście z Ary?

- Tak, miły panie - zaskrzeczał garbus - Chwilę przed spotkaniem z tobą zwrócono nam nasze ludzkie postacie.

- Lecimy na Ziemię - powiedział jeden z młodszych.

- I ja tam zdążam.

- Lećmy razem.

Popatrzył na nich.

- Nie.

Zaśmiali się. Ci młodszy ujęli go za ręce. Stary śmiał się z uciechy. Noel szarpnął. Trzymali. Starzec wyprzedził ich. Utworzyli figurę przypominającą trójkąt, po środku mając Aleksandra. Miotał się, lecz na próżno.

- Dlaczego? - wyszeptał, zrozumiałwszy że jego wysiłki są daremne. Lecieli wolno, bardzo wolno. Noel nic nie rozumiał. Kręcił głową i patrzył smutno przed siebie.

- Dlaczego?

To spotkanie było upiornym snem. Napastnicy rozmawiali między sobą. Słyszał basowe głosy młodszych i skrzeczący tenor starego. Wymiana zdań przeszła w kłótnię.

- Który z nas? - spytał stary przyglądając się bacznie młodszemu.

- Ja - odezwał się jeden z nich.

- Ja - powtórzył drugi - Jestem starszy...

- Nie jesteś starszy - krzyknął staruch - Obaj macie po tyle samo lat. Cholerne bliźniaki!

- Ja - odezwał się pierwszy z bliźniaków.

- Ja! - krzyknął na nich staruch - Co wy macie? Dieter Holt - przemysłowiec idiota i jego brat bliźniak, komiwojażer jakiś...

- Hoppe, milcz - przerwał staremu bliźniak Dieter - Takiś sam nagus jak i my.

- Losujmy, Hoppe - poprosił bliźniak nazwany przez starego komiwojażerem.

- Jak i czym? - roześmiał się ponuro starzec - Przypomnijcie sobie, kto wam na Ziemi pomagał?

Wyplątywał z każdej opresji? Kto? Ja, stary, niedoceniany Hoppe. A kto was niańczył, cholerne bliźniaki?

- Jesteś naszym ojcem, Hoppe i to ty powinieneś iść.

- Ojciec i dwaj synowie - gorzko zaklął staruch - Nie z jednej matki. Z dwóch dziwek jesteście poczęci.

- Nie obrażaj nas, ojcze.

- Nie mów do mnie ojcze - wrzasnął Hoppe - Na Ziemi byłem waszym ojcem, teraz nie chcę się do tego przyznawać.

Zamilkli. Synowie popatrywali po sobie. Ojciec ich niespokojnie rozglądał się. Noel nadal nic nie rozumiał. Dopiero gdy stary pokazał coś ręką synom, zaczynał powoli pojmować. Wskazywał ciemną plamę snującą się daleko za nimi, po prawej stronie nieba.

Kłótnia rozpoczęła się na nowo. Już bardziej zażarta, groźniejsza. Bracia trzymali Noela mocno, ręce drętwiały. Zorientował się, że nie lecą, a stoją w miejscu.

- Nabroiłeś dość.

- I wy.

- My jesteśmy młodszy.

- Też jestem młody! - krzyczał ojciec.

- Boję się - powiedział ten nazwany komiwojażerem.

- Trzeba ponieść karę, synku - obłudnie wymamrotał stary. - Karę za grzechy.

- Nie oddalaj się ojcze - ostrzegawczo rzucił Dieter.

- Więc jeszcze nie powzięliście decyzji? Ojca swego chcecie zgubić? Żaden z was nie pomyśli, aby go ratować? Ja wam dałem życie, cholerne bliźniaki.

Olbrzymia ciemna ściana chmur leciała ku nim, popychana przez wiatr. Zabierała ze sobą wszystko, co napotykała po drodze.

- Kochaliśmy się i byliśmy zgodni - wskazał Noela, - dopóki nie pojawił się on.

- Macie okazję uratować ojca - nie rezygnował stary.

- Czemu nie mnie, tato? Zostawiłem na ziemi żonę i psa.

- Ech - posiniał z gniewu Hoppe. - Biłeś jego i ją. Nie płakała na pogrzebie, przypomnij sobie, przecież to widzieliśmy. Kundel nie skowyczał, wydawał się nawet zadowolony, uszy stulił, ogon podwinął i zasnął szczęśliwy, że jego pan w niebiosach. A żonka trzy razy wyrzucała cię z domu za przygody z Britt. Gdzie chcesz wracać? Twój interes był marny, dochodu czystego tyle przynosił co nic.

- Twoją spółkę akcyjną, tato - czekał Dieter - podzielono jak ser, na trzy kawałki. Zostały ci już okruchy, przypomnij sobie, przecież to widzieliśmy.

- Gdy wrócę, dobiore się do nich - zapewnił Hoppe. Lara, Ralf i Schner zapłacą za swój pośpiech. Zobaczyli starego w grobie i pośpieszyli się. Zrobię im nie lada przyjemność.

- Przecież ty już się na niczym nie znasz, ograbiają cię na każdym kroku - przemawiał Dieter. - Nie potrafisz odróżnić kwitów dywidendowych od rachunku procentowego.

- Ja też mam interes, - wmieszał się drugi syn. - Prosperuje nieźle, wiecie o tym. Firma żegluga śródlądowej przyłączyła się przed czterema miesiącami do nas. Do nas, a nie do Opoczyńskiego czy Lewermana. I mamy w kieszeni kontrakt z Holandią.

- Wsadź sobie ten kontrakt - przerwał ojciec. - Ty w życiu nie widziałeś na oczy prawdziwego kontraktu. Kilka podpisów głupców potrafi cię tak zakręcić, że nie wiesz, którą ręką się złapać za ucho. Twoja firma daje ci dochód, ale dla psów na chrupki starczy. Z twojej doli nie byłbyś w stanie opłacić życia matce.

- Jaka tam matka? Sam powiedziałaś, że to dziwka. - Dwie dziwki - dodał drugi brat.

Noel poczuł, że uścisk rozluźnił się.

- Słuchajcie, cholerne bliźniaki. Wasze życie tam nie warte było funta kłaków. Nikt się z wami tak naprawdę nie liczył. Weźcie pod uwagę: weszliśmy razem do „Holi”, na obiad. Warn kłaniali się kelnerzy przy wejściu. A do mnie po autograf przyszedł sam maître d’hôtel. Pamiętacie, piliście wtedy gnoje na koszt firmy? A sprawił to autograf starego Hoppe. Wspaniałego, wpływowego Hoppe.

- Teraz - przemknęło w myślach Noela.

Wyrwał się, przepłynął pod nogami Dietera. Uderzył głowę w pierś starego. Miał zamiar rzucić się do ucieczki, ale mocna dłoń komiwojażera złapała go za szyję.

- Trzymajcie go chłopcy.

- Wiatr się zbliża.

- Czego ode mnie chcecie? - Noel głos miał zduszony. Uścisk na szyi był mocny.

- Jak to czego chcemy? - stary zbliżył się do niego i spojrzał mu w twarz - Widzisz ten wiatr? Ma zabrać trzech. To żywy wiatr. Ma zabrać trzech w kierunku Słońca. Chyba rozumiesz, co tam się stanie?

- Ale mnie nie - krzyczał Noel. - Nie jestem przeznaczony.

- A my tak. No i co z tego? Dlaczego ty nie? Dzięki tobie jeden z nas uratuje się. Ten wiatr ma zabrać trzech. On nie wyróżnia, kogo. To już zostało zrobione. Działa jak topór kata, wiatr jest tylko narzędziem kary.

Ściana chmur była blisko.

- Odlatuję chłopcy - krzyczał Hoppe, oddalając się.

- Nie - krzyknęli.

Ruszyli za nim, we dwóch trzymając Aleksandra.

- Muszę walczyć o życie. Gdzieś się zagubił Bóg w tym świecie. Już go nie ma wśród nas.

- Tato! - krzyczał Dieter. - Na wszystkie świętości!

- Nie uznaję świętości!

- Tato - wtórował komiwojażer - Zatrzymaj się!

- To zginiemy we czwórkę, cholerne bliźniaki!

Noel zamknął oczy. W ten sposób najlepiej czuł, kiedy uścisk rozluźnia się. Zamierzał jeszcze raz spróbować, ostatni. Twarze przerażającej trójki, zdeformowane wściekłością, nakładały się jedna na drugą. To była jedna twarz. Po prawej stronie sunęła ściana. Musiała mieć kilka pięter wysokości, szeroka na kilkaset metrów. Noel obliczał, ile czasu potrzebuje na ucieczkę przed nią. Obliczył, w którym momencie musi spróbować uwolnić się z więzów. Liczył sekundy. Stary Hoppe został złapany. Synowie trzymali go w podobny sposób, co Noela. Czworokąt był zamknięty. Głowy ojca, synów i Noela niemal dotykały się czołami. Patrzono sobie w oczy, a w nich nic prócz wściekłości, bólu i napięcia.

- Och, tato, zawsze nas źle traktowałeś.

- Prałem pieluchy, kupowałem zabawki - majaczył ze strachu Hoppe.

- Och, tato, ten pan na nas patrzy. Bądźmy zgodną rodziną.

- Mojego synka zawsze trzymały się żarty.

- Ostatni raz bądźmy zgodni.

- Nie ma zgodnych rodzin. Na świecie nie ma rodzin! - krzyczał Hoppe. - Każdy sobie pan. Tylko w ten sposób można przeżyć. Mówiłem wam o tym wiele razy. Powtarzałem jak modlitwę przed snem. Nawet tu moje prawdy sprawdzają się. Zawsze słuchajcie ojca.

- Zwariowałeś, tato.

- To wy zwariowaliście. Bez różnicy dla was, czy mnie wiatr ogarnie.

Noel otworzył oczy. Mięśnie miał napięte do granic możliwości. Ostatnie myśli skierował ku Ziemi.

- Jeśli nie uda mi się... jeśli nie... jeśli nie...

- Czemu mamy wracać? - mówił Dieter. - Do głupiej żony? Do Britt lubiącej się bawić plastikowymi kolejkami?

- Lepiej nam będzie w Słońcu. Nie zmarzniemy nigdy. - powariowaliście - powtarzał Hoppe zbieleńcami wargami - Noel na całą szerokość rozpostarł ręce, głową szarpnął, zanurkował w dół prawie pionowo, wymknął się.

Nikt z nich nie ruszył za nim w pogoń. Trzymali się razem. Dieter obejmował brata - komiwojażera, komiwojażer ojca. Zaczęła się szarpanina.

- O, nie! Nie uciekniesz!

- Ty także nie! Trzymam cię mocno!

- A ja ciebie!

Noel uciekał wzdłuż ściany. Czuł zimny i przenikliwy powiew. Wiatr dotykał jego stóp, kolan, sięgając aż do pasa. Muskał rytmicznie ciało Noela, jęzorem mokrym, parzącym jak stal. Noel starał się, by wiatr nigdy nie dosięgnął wyżej. W ten sposób utrzymywał prędkość, miał świadomość szybkości pogoni. Obejrzał się. Zobaczył płataninę rąk i nóg. Taki sam obraz ujrzał za pierwszym razem. Tylko że teraz nie widział już dokładnie.

Ściana przypominająca łopatę koparki, zakrzywioną u dołu, nabierającą piach by przerzucić w inne miejsce, dosięgała ich.

Nie patrzył dłużej. Dobiegły go stłumione głosy, przedostające się rozpaczliwie przez wiatr. Nie potrafił powiedzieć, jak długo to trwało. Dość, że gdy obejrzał się za siebie po jakimś czasie, nie widział ani starego, ani synów, ani ściany. Jedynie Czerwone Słońce krążyło tam i z powrotem po niebie.

Najedzone do syta Słońce.

Przeniesiony na spokojną drogę w przestrzeni leciał niczym po jasnym gościńcu, któremu Słońce ciepła, a cienie chłodu użyczały. Im mocniej szukał zapomnienia, tym bliższe i wyraźniejsze obrazy przeżytych chwil nachodziły go, strasząc, męcząc. Nie mógł uwolnić się od przetwarzanych przez wyobraźnię zdarzeń. Zostały w nim na zawsze, jak pamięć o najgorszym. Nie chciał już spotykać ludzi i nikogo. Samotność na pustkowiu była lepsza. Bezwietrznie, cicho, samotnie.

Noel nie wiedział, jaką część drogi przebył, jaka do celu została. Wiedział jedno: gdy tylko ptaki ziemskie piskiem obwieszczą mu swe istnienie, będzie blisko. Zapadła noc, słońce schowało się. Ciemność nie była ciemnością. Raczej ciemną poświatą, ciemnymi płomieniami, zmieniającymi kolor w zieleń, czerń i granat. Przed sobą zobaczył góry. Z bliska zorientował się, że to pomyłka. Przed sobą zobaczył miasto.

To musiał być miraż. Załamanie światła w powietrzu o różnej temperaturze. Opowiadali mu kiedyś o tych cudach w Cieśninie Messyńskiej i Zatoce Toyama. Z tym przekonaniem leciał prosto w fatamorganę. Chciał ją przebić na wskroś, uwolnić się od zjaw, sennych mar. Miasto wyglądało dziwnie. Wieża kościoła górowała nad lichymi domkami i jedną szeroką ulicą. Latarnie czerwonymi światełkami kropiły ściany werand, schody i dachy domów. Miasto spało. Psy czekały, koty miauczały. Po brukowanej ulicy jechał jakiś konny wóz. Tu i ówdzie paliły się światła w oknach. Spiczaste dachy, powyginane rynny,



krzywe płoty, nawet kwiaty w ogrodach rosły krzywo.

Zatrzymał się na początku ulicy. Zastanawiał się czy przejść przez miasto, czy je ominąć. Konny wóz nadjeżdżał. Skrzypienie kół było coraz głośniejsze. Końskie kopyta trzaskały po bruku. Wyteżył wzrok. Na ulicy niczego nie było. A hałas wzrastał się. Wóz podjeżdżał. Słyszał okrzyki woźnicy i strzelanie z bata.

- Czy jest tu ktoś?

Zapukał w drzwi pierwszego domu. Okno rozjaśnione, ktoś tam nie spał. Kroki, kroki, zajęczały otwierane drzwi. A stały głuche, zamknięte.

- Czy jest tu ktoś?

Zajrzał przez szybę do wnętrza domu. Pokój okrywały pajęczyny. Warstwy kurzu obsiadły meble. Były bardzo staroświeckie, ciężkie, drewniane i metalowe. Odsunął się od okna. Zajrzał do innego domu - pajęczyny, kurz, ani śladu życia. To samo w następnym i następnym. Dwa psy ciągle szczekały, potem szczekanie przeszło w skowyt. Dzwonnica skrzypiała. Nie czuł wiatru, a jednak słyszał huczenie huraganu. Spojrzał do okna ostatniego domu miasteczka. Zamarł. Kilkudziesięciu ludzi, kobiety, mężczyźni, starcy, dzieci siedziało stłoczonych w jednej izbie. Zapukał w szybę. Stary wieśniak wstał i nie patrząc na Noela otworzył drzwi. Aleksander wszedł do środka. Nie odzywali się do siebie. Wszyscy ubrani jednakowo w brązowe sutanny z kapturami, siedzieli na ustawionych rzędami ławach. Zaduch w izbie panował potworny. Pajęczyny i kurz pokrywały nie tylko ściany, ale i głowy siedzących. Milczenie. Noel bał się przerwać tę ciszę: siedzący pilnie słuchali czegoś, skupieni na odgłosach dochodzących z ulicy. Wzrok mieli martwy, zastygły. Najczęściej patrzono na drzwi i podłogę.

Noel usiadł. Nasłuchiwał z nimi.

Cisza, wóz jadący po ulicy, szczekanie, skowyt, miauczenie kota. Wreszcie kroki. Głośniejsze, cichsze, oddalały się, zbliżały. Na twarzach ludzi panował spokój, graniczący z obojętnością na wszystko, co się działo.

Ale to nie była prawda. Oto, po kilku minutach siedzenia, Noel i mieszkańcy miasta usłyszeli krzyk noworodka.

Fala śmiechu napełniła izbę. Podawano sobie ręce, całowano się. Wznoszono wiwaty na cześć nowo narodzonego dziecka. I znowu cisza. Spokój na twarzach. Nasłuchiwanie. Wreszcie rozległy się dźwięki imitujące brzęk naczyń, siorbanie zupy, zgrzyt noży i widelców. Noel spojrzął na nich i o mało się nie roześmiał. Poruszali wargami, jedząc niewidzialne potrawy, podawali sobie wymaglinowany chleb, kroili go, roznosili zupę w wazach, wino w krągłych butelkach. Te czynności wykonywali z niesłychaną precyzją. Noel bez trudu zgadywał nie tylko kształty naczyń ale i rodzaje mięs i zup. Wino kręciło w głowach, kluski w zupie były grube, cielecina tłusta i pachnąca. Gdy skończyli jeść, nastąpiła pora na sen. Ludzie zamknęli powieki, kiwając się sennie na ławach.

Przebudzeni ze snu gongiem schylali głowy do ziemi. Zatrzepotało wiele białych chustek, po policzkach płynęły łzy. Uderzenie w bęben i pogrzebowe modły skończyły się z chwilą gdy w powietrzu dał się słyszeć szum naśladujący przesypywanie piasku... zabręczały łopaty.

I znowu w ruch poszły butelki, zapalono świece, częstowano żałobników słodkim ciastem.

Po stypie przysła kolej na pracę. Krowie mleko płynęło z wymion wprost do blaszanych wiader. Noel słyszał ścinanie trawy, wozy z sianem wyjeżdżały i wjeżdżały po brukowanej ulicy. Wreszcie sen... mieszkańcy miasta strudzeni dniem zapadali w sen mocny i długi.

Noel przesunął się do wyjścia, podniósł pajęczynę z podłogi owinął nią klamkę, zatrzasnął za sobą drzwi. Idąc czerwoną ulicą słyszał znowu ten sam wóz, którego nie było. Szczekanie psów, miauczenie kotów, skrzypiącą dzwonicę. Uniósł się nad dachami domostw, okrążył wieżę kościelną, popatrzył na zapalone światła we wszystkich prawie mieszkaniach. Opuścił prędko to miasto.

Jakże się cieszył gdy zniknęło mu sprzed oczu.

Jakby z dołu, z Ziemi dobiegł go głos:

- Hej, przyjacielu!

Zniżył się.

- Przyjacielu, do mnie, tak do mnie.

Gotował się do lądowania. Zmniejszył prędkość.

Jeszcze nic nie widział. Zasłaniały chmury.

## Rozdział V

Chmury rozstały się, mała, okrągła, ogrodzona drewnianym płotem wyspa usiana była ptasimi piórami. Pośrodku niej, pod drzewem wyrosłym na wyspie nie wiadomo jak, skąd i po co, stał człowiek w długim, szarym płaszczu. Wziąć go można było za stracha na wróble. Jednak strach ruszał się, machał do Noela rękami jak opętany.

- Pierwszy raz od bardzo dawna widzę człowieka. Człowieka na moim poletku. Żywego i gołego człowieka - stwierdził z satysfakcją.

Noel usiadł na ziemi.

- Nie dziwi się pan, że mnie znajduje tutaj? - spytał mieszkaniec tej wyspy.

- Przestało mnie dziwić wiele rzeczy - westchnął Noel. - A więc dobrze, co pan tu robi?

- Świetne pytanie, znakomite pytanie. Chowam ptaki.

- Raki?

- Widzi pan, one nie mają swoich cmentarzy. Po śmierci są niczym. Dlatego zapewniam im na ziemi przyzwoity pochówek.

- Jak się pan tu znalazł?

- Ech, goły mój latawcu, zupełnie mi psujesz zabawę tym swoim zniechęceniem i sennością. Naprawdę się nie dziwisz?

- Nie - zaśmiał się Noel. - Próbuję odpędzić od siebie wszelkie przywidzenia. Pana też uważam za wytwór wyobraźni, razem z tą całą wyspą do chowania ptaków.

- Pan z góry Ara?

- Tak - rzekł Noel.

- Leciałem stamtąd na Ziemię. I nie doleciałem. Zostałem tu.

- Jak to? Nie doleciał pan?

- Właściwie doleciałem, to już blisko stąd, ale wróciłem.

- Niech pan mi o tym opowie.

Zdjął szary płaszcz i przewiesił przez płot, bawił się ptasim piórem, obracając nim w dłoni i dmuchając.

- Na górze Ara wyprosiłem powrót. Trzy dni po moim ślubie z najwspanialszą, najładniejszą kobietą poraził mnie prąd i umarłem. Ale pozwolono mi polecieć na Ziemię - do młodej żony. Rozpaczała po mojej śmierci tak strasznie. Gdy przybyłem ujrzałem zasuszoną, ślepą staruszkę. Zestarzała się o czterdzieści lat. A mnie, głupiemu, wydawało się jakby to były trzy dni. Tu czas, mój panie, biegnie inaczej niż ziemski. Pan zdąży na Ziemię?

- Tak.

- I pewnie zdaje się panu, że zastanie żyjących, zdrowych i młodych przyjaciół? Takich samych jakich pan pozostawił?

- No, tak.

Oparł się o płot i patrzył przed siebie.

- To niech pan zdąży.

- Powiedz mi, czy mówisz prawdę?

- Świetne pytanie, znakomite pytanie. Niech pan leci. To już blisko. Na pana miejscu zrobiłbym to samo. Dopiero później żałowałbym.

- Nie dręcz mnie. Ja mam swoich bliskich.

- A któż ich nie ma? Gdybym spotkał wtedy kogoś takiego jak pan i pan powiedziałby mi, że na Ziemi nikt na mnie nie czeka, nie uwierzyłbym i poleciał mimo to - wpił wzrok w Noela. - Przez wieki całe, słyszysz, wieki nie mogłem przyjść do siebie. Dopiero to zajęcie przywróciło mi równowagę i spokój. Chowam ptaki.

- Chowam ptaki - powtórzył Noel odchodząc na bok. W jednej chwili pociemniało mu w oczach. Z letargu wydobył go głos człowieka.

- Proszę się uspokoić. Nazywam się - umilkł. - Ach, zresztą nie ma to znaczenia, jak się nazywam. I wcale nie zamierzam pana dręczyć, opowiadając swoje wspaniałe, pełne przygód życie. Nie będę opisywał mej kobiety... nie...

Zasłonił oczy ręką. Noel podszedł.

- Bardzo pan... nieszczęśliwy? - zapytał naiwnie.

- Ja się pogodziłem dawno temu - opuścił rękę. - Chodzi mi o pana. Proszę ze mną zostać. Zajęcie jak zajęcie. Przecież i tak wszystko co robimy na Ziemi służy zabiciu czasu i nudy. Egoistycznie polepsza samopoczucie. Chowanie ptaków jest czymś dla mnie odpowiednim, wyśmienicie daje zapomnieć, utrzymuje nastrój smutku, lecz nie beznadziejności.

- I nie chce pan nigdy wrócić?

- Jeśli zdarza mi się bardzo chcieć, chowam więcej ptaków.

- A dziś?

- Wróble i przepiórki. Trzysta sztuk. Najlepiej poprawiają samopoczucie jastrzębie. Ale o nie trudno.

Noel rozpostarł ręce. Człowiek otworzył szeroko oczy.

- Opuszcza mnie pan?

- Tak.

- Myślałem, że przekonam pana. Wygląda pan inteligentne. Jak chcesz, człowieku. Sam wybrałeś. - Muszę polecieć. Jestem tak blisko - odparł Noel.

- Lepiej zrezygnować ze złej drogi w porę, niż zabrnąć w uliczkę bez wyjścia. Zostań pan ze mną. Pochowam pana jak ptaka. O, proszę łaskawie spojrzeć. Pióra im kładę na grobach i staram się aby jak najbardziej kolorowe były. Poletko moje małe, ale dla każdego miejsce jest. Zostań pan ze mną.

- Polecę już.

Od pewnego czasu Noel cofał się. Nie miał wątpliwości, że szalencie chce spełnić swą propozycję.

- No jak? Zrealizujemy mój pomysł? Z ptakami najlepiej, najkolorowiej. Ogrodzenie mocne, kolczaste, spokój wieczny zapewniam - Noel był już w powietrzu.

- Hej, przyjacielu.

- Słucham?

- Niepotrzebnie siedzisz tak wysoko. To przeszkadza w rozmowie!

- Nie chcę już rozmawiać!

Człowiek zdjął z płotu swój płaszcz i włożył na siebie. Zadzierał przy tym głowę i machał wciąż na Noela.

- Hej, przyjacielu. Zejdź do mnie. Niepotrzebnie tak wysoko wlałeś.

- Odlatuję! - krzyczał Noel. - Jesteś szalonym człowiekiem. Okłamałeś mnie!

- Chciałem, żebyś ze mną został. Tylko dlatego kłamałem. Nie odlatuj. Celowo cię straszylem.

- Czemu?

- Patrzyłeś na mnie wrogo. Bałem się. Wierz mi, bałem się. Jediną formą obrony jest atak. A ja chcę

tu żyć.

- Chciałeś, żebym został i jednocześnie straszyles mnie?

- Świetne pytanie, znakomite pytanie. Tak właśnie było. Chciałem z tobą być i bałem się. Boję się wszystkich. Wiesz jak wyglądała prawda? Przybyłem na Ziemię i nie miałem odwagi wejść w krąg ludzkich spraw. Już pierwszego dnia wędrówki z góry Ara, żałowałem mego powrotu.

- Powinieneś więc wrócić na górę Ara.

- Jak? Stałem się już człowiekiem. Nie mogłem.

- Leć ze mną - rzekł Noel.

- Nie - uśmiechnął się człowiek. - Ze strachu nie wzniosłbym się w górę.

- Czego się boisz?

- Ludzi - usiadł na ziemi. - Jedynie ptaki potrafią być wdzięczne.

Noel odlatywał. Nie miał wątpliwości. To był szaleniec. Zatrzymał go w miejscu pisk ptaków. Chmara kolorowych wróbli gołębi, papug i kruków ukazała się na niebie.

- On rzeczywiście wybudował dla nich cmentarz - pomyślał ze zdumieniem.

Zobaczył, jak ptaki obsiadły ręce tego człowieka, jak bawiły się przy jego nogach. Nadlatywały z piskiem, coraz ich więcej i więcej. Okrągła wyspa na niebie przypominała wysadzaną cekinami czapkę. Pośrodku niej stał człowiek w długim, szarym płaszczu.

- Tylko one potrafią być wdzięczne - krzyczał do Noela. Noel długo się nad tym zastanawiał.

## Rozdział VI

Leciał teraz bardzo wysoko. Pod i nad sobą miał chmury.

- Niebezpiecznie lecieć nisko, samoloty - rozmyślał Noel. - Muszę znajdować się blisko Ziemi, skoro widziałem ptaki. Chmury rozproszą się i zobaczę starą, dobrą Ziemię. Wybiorę małą wieś, a w niej stojącą na uboczu stodołę lub zwyczajny laszek. Odpocznę przez noc i wystaram się o łachy. Nie mogę iść po ulicach w takim stroju. Pomyślą, że przybyłem z zaświatów. Przy okazji: jest zima. A jeśli ten człowiek z wyspy nie kłamał? Oto odnajduje w Polsce lata dwudziestego pierwszego wieku. Nie, on kłamał. W dobrej wierze, ale kłamał. Biedny człowiek... jest zima, grudzień, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci rok.

Biedny człowiek... na wyspie oszalał. Mądry i biedny. Kiedy wreszcie rozproszą się chmury? Emilio, gdybyś ty wiedziała.

Twoi zabiedzony Noel, takie nic, wyprosił życie od Boga, walczył o życie, zwyciężył. Gdybyś ty wiedziała, Emilio. Czasami bardzo krótkie okresy w życiu zmieniają ludzi. Jak wrócę, nie znasz mnie żałuję, że mnie przed śmiercią lepiej nie znałaś.

Spadł deszcz. Wyjątkowo długo padał na głowę Noela. Deszcz był tak oddalony od Ziemi, że chyba jej nie dosięgał. Noel zmókł do suchej nitki.

- Tak, muszę jak najprędzej wystarać się o ubranie. Cudownie byłoby zmoknąć do suchej nitki. Nie mogę się wprost doczekać spodni, koszuli, płaszcza. Suknia zdobi człowieka. Wypatrywał. Na próżno. Po deszczu widoczność była lepsza, ale... na próżno. Ziemi nie było.

Widziałem ziemskie ptaki. Gołębie, wróble. To co, że bardziej kolorowe niż zwykle? Musiały pochodzić z Ziemi.

- Handlarz! Kupuje, sprzedaje... Handlarz!

- Ej, handlarzu? - zawołał Noel.

Handlarz pchał taczkę z ubraniami. Sam będąc nie ogolony i brudny ciągnął ze sobą garderobę królów. Błyszczało bogactwem. Pachniało wodą kwiatową.

- Kręci w nosie, co?

Miał twarz lisa i najbardziej lisie z lisich oczu.

- Nie pytam, skąd się pan tu wziął, tylko od razu proszę o ubranie.

- Dlaczego pan mnie nie mógł spotkać? Czy tylko na Ziemi widuje się ludzi handlujących? Tylko tam spotyka się takie jak ja monstra? Gównianych człowieczków? Małych, lisich? Zafajdanych paskudnymi sprawkami, słuchających i szepczących? Gumowe ucha, niebezpiecznych, łagodnych, podsiwiałych zboczeńców? Pedaków, narkomanów, sadystów, złodziei, morderców dla przyjemności i dla sprawy? Takich ot ludzików, żyjących po to, aby kupić i sprzedać? W międzyczasie zjeść, zwalić odchody na kupę, umyć zęby, wygładzić włosy i ponownie kupić i sprzedać. Sprzedać i kupić. Czy tylko na Ziemi spotyka się tchórzów, niewiernych przyjaciół, wiernych wrogów? Rozbijających rodziny dla kurew, sprzedających swój tyłek, sumienie, serce...

- No wie pan...

- Słuchać! Wymieniam dalej! A czy tylko tam widzi się popleczników, poklepywaczy, wszystkopijców, dupojabłeczników? Ten ostatni to mieszanina męskiej ladaczniczy z amatorem kwaśnych

jabłek. Czyli inaczej dziwka i poeta. Gówno i filozof. Poezja i zielony ogryzek. Czy więc, aby tylko tam pijani dzień w dzień? Ci od piwa, ci od wódki, ci od wody kolońskiej? Od wina, koniaków, spirytusu, denaturatu, szampana? Tam, wywrotowcy, rewolucjoniści, ideowi, policjanci, żołnierze? Czy tylko na Ziemi spotykamy małych, lisich człowieczków? Siepaczy, matkobójców, ojcobójców, rakarzy, psy gończe, donosiciele, zdrajców, nieubłaganych, nielitościwych, nietolerancyjnych, ślepych, niemądrych, nieodpowiedzialnych ludzi? Czy tylko tam? Odpowiem panu - tak. Handlarz po tych słowach pchnął silniej taczkę i oddalił się.

- Handl...

Noel nie miał odwagi krzyknąć. W rezultacie nie kupił ubrania. Przypomniawszy sobie przy okazji, że nie posiada pieniędzy. Z tego co powiedział mu handlarz o ludziach, domyślał się, że za darmo niewiele mógł otrzymać. Zapach wody kwiatowej przepłynął koło niego. Skrzypienie taczki ustało.

- Spać - pomyślał Noel. - Liczę na to, że ta noc będzie ostatnią nocą spędzoną przeze mnie na niebie.

Zimno mu było, ale wygodnie. Nie ma tak miękkiego posłania, jakim jest łoże w powietrzu.

- Niech się pan obudzi! Otworzył oczy.

- No, niechże pan wstanie.

Mały chłopiec o kędzierzawych i złotych włosach szarpał go za rękę.

- Kim jesteś, dziecko?

- Wstaniesz, czy nie?

Noel wstał.

- Nie spotkałeś Joanny? - spytał mały chłopiec, posyłając mu miły uśmiech. - Czy po to kazałeś mi wstać?

- Po co?

- Żeby mnie zapytać o twoją Joannę - odrzekł oburzony Noel i zamierzał położyć się z powrotem.

Chłopiec powstrzymał go skinieniem ręki.

- Joanna nie jest moja. Należy do nas.

- Do kogo?

Trzy dziewczynki i czterech chłopców wyłoniło się zza pleców kędzierzawego malca. Dziewczynki były ubrane w żółte, letnie sukienki i białe podkolanówki, chłopcy nosili niebieskie, dobrze skrojone garniturki niczym mali dżentelmeni z Harrow. Wszystkie dzieci miały długie włosy.

- Agnieszka, Anna, Alicja, Albert, Andrzejek, August, Alfred a ja Apolinary jestem.

Dzieci skłoniły jasne główki. Ich niebieskie piękne oczy zachwyciły Noela.

- Same tu jesteście?

Agnieszka rozplotła warkocz, miała anielską śliczną twarz, Alicja zdjęła podkolanówki, Andrzejek i August podskoczyli równocześnie w górę jak dwie piłki. Zdawali się nie rozumieć pytania.

- Żyjecie tu bez rodziców?

- Oczywiście - powiedział Apolinary, czesząc swoje złote włosy małym grzebykiem. - Z dorosłymi jest nie do zniesienia.

- Uciekłyśmy - powiedziały dziewczynki.

- Uciekliśmy - zawtórowali chłopcy.

- Czy chcesz odwiedzić nasz dom? Znajduje się blisko, tylko mały kawałek drogi.

Apolinary wcisnął dłoń w dłoń Noela.

- A ty jak masz na imię - wyczekiwali z przejęciem na odpowiedź, jakby chodziło o coś ważnego.

- Aleksander.

- Cudownie - roześmiały się dziewczynki.

Agnieszka zaplotła warkocz, pozostałe dwie włożyły prędko podkolanówki. Chłopcy również

wyglądali na zadowolonych Patrzoneo na Noela przyjaźnie. Szli w towarzystwie okrzykowi chichotów. Mała dłoń Apolinarego była ciężka i chropowata.

- Ależ ty masz odciski, chłopcze - powiedział Noel po drodze. - Pracujesz ciężko?

- Robię wszystko - rezolutnie rzekł Apolinary. - Mam szorstkie dłonie, zauważyłeś? To od rąbania drewna.

- Czy blisko do Ziemi. Skąd bierzecie drzewo?

- Drzewo jest na miejscu, w domu. Rąbamy psujące się meble.

Stanęli przed dwupiętrowym, kwadratowym blokiem mieszkalnym o ośmiu kwadratowych oknach. Stał w powietrzu, nie miał fundamentów. Okna zalepione zostały krepiną, nie posiadały szyb. Szara cegła domu nie pasowała do kolorowych strojów dzieci.

- Smutno wygląda ten dom - ocenił go Noel. - Zieleni żadnej w pobliżu.

- To dorośli wymyślili, że potrzebna przy domach zieleń. My mamy inny gust.

Weszli do obszernego przedpokój0, w którym umieszczono skrzynki na buty, wieszaki i podręczne szafki. Z przedpokoju przeszli do sali. Niczym się nie różniła od typowych ziemskich świetlic.

Chłopcy posłusznie podążyli do małej umywalni. Nad jednakowymi umywalkami wisiały szare ręczniki. Dziewczynki zajęły się kolacją, Apolinary nie opuszczał Noela. Wskazał mu miejsce. Siedli na krzesłkach dla lalek. Na drewnianym stoliku pojawiły się niebawem garnuszki i talerzyki - zabawki. W nich trochę ryżu i pomidorowej zupy.

Chłopcy wyszli gęsiego z umywalni i zasiedli przy drewnianym stoliku.

- Proszę jeść - Apolinary siedział koło Noela.

- A dziewczynki? - spytał Noel.

- Nie siądą, póki mężczyźni nie skończą. Agnieszko, podaj serwetki na stół.

Biegały wokoło stołu przynosząc to sól, to inne przyprawy.

- I tak... cały czas... bawicie się w dom?

- Nie bawimy się - poważnie odpowiedział Apolinary.

- Dlaczego nie macie rodziców?

- Odeszli od nas.

- Ejże, nie wierzę. Od was wszystkich odeszli rodzice? Naraz stała się rzecz dziwna i śmieszna zarazem. Apolinary odłożył sztućce, powiódł wzrokiem po siedzących, zatrzymał wzrok na Noelu, trzasnął pięścią w stół, aż dziecinne naczynia podskoczyły i krzyknął:

- Janie kłamie!!!

Noel opanował przypływ wesołości.

- Przepraszam, powinienem wiedzieć - skłonił głowę, zagryzając równocześnie wargę, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Jedzmy - rozkazał Apolinary i machnięciem ręki zakończył incydent.

- Słuchajcie dzieci, nie macie przypadkiem jakiegoś ubrania?

Agnieszka, która właśnie w tej chwili zabierała brudne naczynia do kuchni, postawiła je, zbliżyła się do Noela, ujęła jego głowę delikatnie w ręce, przechyliła i spojrzała prosto w oczy.

- Nie jesteśmy dziećmi - upomniała Noela łagodnie.

To były oczy dorosłej kobiety. Zaśmiał się z przymusem, zmieszany bardzo. Po kolacji dostał kawę w plastikowym kubku. Bardzo słodka kawa.

- Dużo słodzimy, prawda? - spytał Andrzejek -.To nawyk z dzieciństwa. Żyjemy jak dorośli, a jesteśmy łakomi. Bardzo lubimy cukier pod wszelkimi postaciami. Cukierki, ciasta, miód.

- Rozumiem - pokiwał głową Noel - Powiedzcie, dlaczego nie żyjecie na prawdziwej Ziemi?

- Całe życie z rodzicami - roześmiał się August. - Nie, nie...



- W końcu dzieci odchodzą od rodziców i usamodzielniają się.

- Musisz przecież wiedzieć, jakie są kłopoty mieszkanie, we na Ziemi. Ludzie w wieku dwudziestu, trzydziestu lat mieszkają z rodzicami i zachowują się jak słodkie maleństwo, -: Wracają o wyznaczonej porze do domu, na palcach przechodzą przez pokój, by nie zbudzić mamusi. Nie kochają się, bo każda przyprawiona do domu osoba po tygodniu życia ucieka z ciasnoty. I tak dzieciennieją, posłuszni są coraz bardziej i ulegli. A my chcemy się usamodzielnąć.

- Jest w tym sporo racji...

- Przyszłą siłą narodu jesteśmy...

- Ale wydaje mi się, że jeszcze macie czas na usamodzielnienie się. Nie jest wam tęskno?

- Świetna kawa - pochwalił dziewczynki Apolinary, a te aż podskoczyły i jak kotki zaczęły łasić się przy nogach.

Zmywanie nie zajęło wiele czasu. Dziewczynki wyczyściły małe talerzyki. Potem same zjadły w pokoju swą kolację. Nałożyły sobie oczywiście mniej, jak na przyzwoite panie domu przystało.

Apolinary poczęstował Noela papierosem. Założył nogę na nogę.

- Palisz? - zapytał Noel.

- Czasami - Apolinary podał ogień. - Cieszymy się, że masz na imię Aleksander. Posiadamy swoje dziwactwa i jednym z nich jest skłonność do osób o imionach zaczynających się na literę A. Słyszałem, że na Ziemi nie lubi się osób na literę K. A my nie lubimy wszystkich prócz tych na A.

- Jest dużo brzydkich imion na K - Noel zamierzał kontynuować tę śmieszna rozmowę.

- Kolorowi, co? - klepnął się po kolanie Apolinary. Wszyscy chłopcy palili. Kłęby dymu napełniły salę. Noel ziewnął.

- Kolorowi, kolorowi...

- Spać ci się chce? - Apolinary uśmiechnął się. - Na piętrze są wygodne łóżka. Weź Agnieszkę, ma na ciebie ochotę. Nie patrz tak dziwnie. Jest wolna, nie ma męża. Teraz jesteś spokojny?

- Ile... ona ma lat?

- Jedenaście. Jest świetna.

Agnieszka przeszła przez salę i rzuciła Noelowi jedno ładne spojrzenie. Chłopcy trącili się łokciami patrząc to na Agnieszkę, to na Noela.

- Zaraz, zaraz, koledzy - Noel zerwał się z miejsca. - Tak nie można!

- Siadaj, Aleksandrze. Głupie są twoje skrupuły. - Zrób jej przyjemność jeśli jesteś mężczyzną.

- Kpisz ze mnie? Przecież to jeszcze dziecko?

- Mówiłem ci, że nie jesteśmy dziećmi - rzekł z naciskiem Apolinary.

- Nie jestem dzieckiem - Agnieszka wyszła z kuchni i zbliżyła się do Aleksandra.

- Jak chcesz skorzystać z gościny, bierz łóżko i ją. A jąkanie, idź z Bogiem w swoją stronę.

Noel wstał. W tym samym momencie drzwi od sali otworzyły się i jedna z dziewcząt wprowadziła za rękę małą zapłakaną istotkę.

- Schowała się za domem.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie, Joanno? - zapytał Apolinary.

Spojrzała, wstrzymała oddech, czerwoną od płaczu twarz ukryła za pobrudzonym fartuszkiem.

W jednej chwili dziewczynki i chłopcy zrobili koło. Joanna stała w środku tego koła.

- Opuść fartuszek, Joanno - rozkazał Apolinary.

Wahała się.

- Opuść fartuszek.

Spełniła rozkaz. Nie płakała już. Tarła oczy w pośpiechu.

- Rano Andrzejek zobaczył ciebie za domem. Bawiłaś się lalką.

- Egzamin - krzyknęły dziewczynki.

- Egzamin - krzyknęli chłopcy.

- Dobrze, egzamin - Apolinary wstał i przechadzając się z założonymi w tył rękami od ściany do okna, mówił:

- Joanno, masz brzydkie imię i tym bardziej powinnaś na siebie uważać. My nie ręczymy za siebie. Wykazywaliśmy dużo dobrej woli w stosunku do twojej osoby i nasza cierpliwość się kończy. Wiesz o tym dobrze, Joanno. Kiedyś zdarzy się tak, pamiętaj, że będziesz musiała zdać egzamin przed innymi ludźmi ze swej dorosłości.

- Uwaga, zaczynam Joanno! - Dzieci! Apolinary rzucił hasło.

Joanna w okamgnieniu wyprostowała plecy, stanęła na baczność, wzrok utkwiała w oknie, recytowała...

- Plemniki i komórka jajowa...

- Taksydermia?

- Sztuka wypychania zwierząt.

- Hormon wzrostowy?

- Somatotropina.

- Gdzie widnieją Bogowie olimpijscy?

- Fryz na Partenonie.

- „Tu jestem i tu zostaję”?

- Słowa marszałka Mac-Mahona na wzgórzu pod Sewastopolem, tysiąc osiemset pięćdziesiąty piąty rok.

- Więc czemu Joanno jesteś niegrzeczna? Kazałem dawno wyrzucić klocki i lalki. Nie zabraniamy ci jeść słodczy, ale co za dużo Joanno to...

- Niezdrowo - dokończyła Joanna.

- Właśnie. Czemu, Joanno, niepokoisz nas i smucisz? Odpowiedzialność za ciebie spływa na nas wszystkich. Gdzie znalazłaś lalkę?

- Znalazłam w kuchni, szmacianą.

- Szukaliśmy cię cały dzień. Spójrz na nas. Agnieszka, Anna i Alicja zaniepokoiły się nie na żarty. Albert, Andrzejek, August, Alfred i ja nie jedliśmy przez ciebie obiadu.

- Przepraszam - powiedziała zakrywając twarz fartuszkiem.

- Opuść fartuszek - ciągnął Apolinary. - Odpowiedzią na twoje postępowanie może być tylko bat. Ach, Joanno, czy musi tak być?

Stała nieruchomo, czterech chłopców wzięło ją za ręce i ogi ją położyło na małej gimnastycznej skrzyni. Nastąpiła zmodyfikowana zabawa w marynarza. Joanna miała otrzymać trzysta pięćdziesiąt batów.

- Nie wytrzyma tyle - wołały dziewczynki. - Trzysta!...

Trzysta!

- Trzysta dziesięć! - wołali chłopcy.

Apolinary uciszył ich szybko. Guma była ciężka i długa. Dziewczynki przysunęły się bliżej skrzyni. Zaczęły częstować się cukierkami. Chłopcy stali pod ścianą pilnując Joanny. Zapach malinowych landrynek przemieszał się z zapachem mokrej skóry, którą obita była gimnastyczna skrzynia.

- Będziesz płakała? - zapytał Apolinary.

Joanna objęła skrzynię rękami. Przytuliła do niej wargi.

- Nie będę.

- W takim razie otrzymasz trzysta sześćdziesiąt uderzeń gumą. Wytrzymasz?

- Wytrzymam i przepraszam.

Po pierwszym, strasznym uderzeniu rozległ się płacz Joanny. Noel roztrącił dziewczynki, porwał ze skrzyni Joannę i trzymając ją w ramionach wybiegł z domu.

- Nic się nie bój, nic ci nie będzie. Zabiorę cię ze sobą! Oni cię nie osiągną!

Leciał z nią nad chmurami. Joanna nie płakała, przyglądała się Noelowi z ciekawością.

- Po co mnie zabrałeś? - spytała.

- Ach, Joanno, nie możesz tam przebywać.

- Nie musisz tak na mnie wołać.

- Jak?

- Joanno, Joanno. Mam na imię Aniela.

- Aniela? A dlaczego oni mówili o tobie Joanna?

- Bo dzisiaj ja jestem Joanną. Jutro przyjdzie kolej na Alicję. Jutro ona będzie miała na imię Joanna. I będziemy ją bić...

- Dlaczego tak się bawicie? Nie mogę pojąć co was do tego skłania?

- My się nie bawimy...

- Płaczesz, boli cię, a jednak się na to zgadzasz?

- Musimy się zgadzać.

- Dlaczego?

- Bo tak jest.

- Dlaczego?

- Nie wiem, dlaczego tak jest.

- Odpowiadaj, jak cię pytam - rozgniewał się Aleksander. - Robicie złe rzeczy, skończcie z tym.

- Czemu złe?

- Nikt tak nie robi. To nieludzkie.

- Nikt tak nie robi? - Aniela wzruszyła ramionami. - Dlaczego?

- Bić kogoś bez powodu?...

- Są powody. Lalki i klocki.

- Wyrzucicie je i skończy się cała komedia.

- Lalki i klocki? Nie możemy ich wyrzucić. Dorośli ciągle nam donoszą.

- Widujecie dorosłych?

- Przychodzą w czwartki, piątki i soboty, Odwiedzają.

- Mieszkają na Ziemi?

- Nie. Mieszkają z nami.

- Nie wiedziałem.

- Jak to? Nie widziałeś Alberta i Agnieszki i Anny... Jutro ja będę dorosła. Dziś jestem dzieckiem, małą Joanną. Bardzo lubię być dorosła.

- Dziwna z ciebie dziewczynka...

Stanęli.

- Puść mnie.

- Wracasz?

- Jasne, że wracam. Czekają na mnie.

- Czy wy lecieliście z góry Ara na Ziemię?

- Tak, ale zostaliśmy w tym internacie. Nie chcemy wracać na Ziemię.

Noel podał jej dłoń.

- Dziwny z pana gość.

- Dlaczego?

- Wcale nie stara się pan zrozumieć dzieci.

Po tych słowach odleciała i szybko ślad po niej zaginał. Noel leciał przed siebie, niepokój znowu wzrastał.

- jeszcze nikt ze spotkanych ludzi nie doleciał. Zatrzymują się po drodze i zostają. Dlaczego? Czy moja upragniona Ziemia istnieje?

Unosił się i opadał jak fala. Prądy powietrzne sterowały nim, popychały w przód, czasem zatrzymywały. Wpływał w nowy świat i nie był to wcale świat ziemski.

## Rozdział VII

Zobaczył most. Most kamienny przerzucony nad wyschniętym korytem rzeki. Roślinności na brzegu nie było, jedynie pod grubym jak słoniowa noga filarem mostu oplątywało kamienie trochę winorośli. Na moście, oparta o balustradę, stała jakaś para. Ona w długiej pomarańczowej sukni, w kapeluszu takiego samego koloru o szerokim rondzie i z parasolką przeciwsłoneczną w dłoni, on w płaszczu przeciwdeszczowym z lornetką na szyi. Zauważyli go.

- Dzień dobry państwu.
- Dzień dobry panu - ucieszyła się kobieta.

Głos miała melodyjny, oczy tajemnicze, mokre. Delikatny zarys wiśniowych ust, długie włosy, spięte wysoko, by ukazywały smukłą szyję. Jej partner był niższy, brzuchaty o twarzy zielonej żaby. Pluł przez zęby za balustradę na wyschnięte dno rzeki.

- Spieramy się z mężem czy będzie słońce, czy deszcz. Mąż uważa, że deszcz...
- Pani liczy na słońce?
- Niebywała inteligencja, panie...
- Noel.

- Spozrzegawczość i tyle uroku, panie Noel. Mam na imię Anabella. Uściśnij dłoń pana Noel, Cyrylu.

Cyryl poprawił szybkim ruchem pasek od lornetki, wyciągnął pulchne paluchy i uściśnął dłoń pana Noel.

- Mieszkamy niedaleko za łąką - mówiła Anabella swym melodyjnym głosem. - Często przychodzimy nad tę wodę, popatrzeć jak biedna schnie.

- Obawiam się, że już wyschła całkowicie.
- Czy ja wiem? Co o tym sądzisz Cyrylu?
- Pan ma rację - stwierdził Cyryl i dla poparcia tych słów splunął uroczyście i fantazyjnie przez balustradę.

- Polubił pana - powiedziała konfidencjonalnym tonem. - Jakże się cieszę. Zostanie pan na pewno przyjacielem męża. On lubi ludzi mądrych i stanowczych. Kieruje się pan na Ziemię, prawda?

- Istotnie. Czy nie orientują się państwo jak daleko jeszcze?
- Dwa dni drogi, Noel - powiedziała mrużąc powieki. - Bliżej niż dalej.

Zaśmiała się zalotnie.

- My z mężem nie chcieliśmy wracać.
- Nim pani to powiedziała, byłem pewny, że państwo nie chcieli zobaczyć Ziemi.
- Niebywała intuicja - powiedziała dama.
- Jeszcze nie zdarzyło mi się do tej pory spotkać ludzi chcących tam wrócić.
- Co pan powie? - zaśmiała się. - A czy pan, podróżujący przecież od tak dawna, nie miał podobnych myśli? Nie odechciało się panu?
- Muszę wrócić na Ziemię.
- Ma pan rodzinę?
- I tak i nie. Zamierzam ją mieć.

Cyryl podniósł lornetkę do oczu, odszedł i oparł się o przeciwną balustradę mostu.

- Dwadzieścia lat temu założyliśmy rodzinę z Cyrylem - zwierzała się półgłosem Anabella. - Jako nowożeńcy opuściliśmy górę Ara. A tu, przy tym moście, dwa dni drogi od ojczyzny, zbudowaliśmy naszą własną pustelnię, prywatne zacisze. Mąż od dawna marzył o domku letniskowym. Teraz taki domek jest na Ziemi oznaką bogactwa, prawda?

- No, chyba tak.

- Jesteśmy bogaci - klasnęła w dłonie. - Obawiam się...

- Słucham?

- Ośmielam się zauważyć, że taki domek stanowi dodatek do miejskiego domu.

- Miejski dom posiadamy na Ziemi, a tu naszą wypoczynkową altanę. Co prawda, wypoczywamy już od dwudziestu lat, ale nie czujemy się zmęczeni.

- Chyba że tak - bąknął Noel.

Wyjęła spinki z włosów. Krucze loki posypały się na szyję i kark. Patrzył na kobietę zachwycony. Rozpięła trzy perłowe guziki pod szyją. Oddychała pełną piersią.

- Patrzysz na mnie, Noel?

- Skąd? Nie.

- To dobrze - uśmiechnęła się.

Długimi, czerwonymi paznokciami zdrapywała farbę z poręczy mostu. Cyryl oglądał spokojnie niebo, jego brzuch wznosił się i opadał.

- Od czasu do czasu przechodzą tędy ludzie - zaczęła rozmowę - Anabella. - Pierwszy raz ktoś tak przystojny jak pan.

- Nie jestem wcale przystojny, proszę pani. Jestem taki sobie zwykły...

- Niezwykły - położyła palce na jego ramieniu. - Niezwykły Noel.

- Mąż pani...

- Powiedz, co masz powiedzieć.

Upajał się jej zapachem. Oczy Anabelli patrzyły na niego tajemniczo.

- Nie mogę tego powiedzieć, brak mi odwagi.

- Nie przejmuj się moim mężem.

- Anabelle, ja chyba panią kocham.

- Co we mnie widzisz takiego? Zwykła kobieta...

- Oczywiście, oczywiście, szyja, włosy. Całą ciebie kocham.

Przysunął się blisko niej. Pozwoliła się objąć. Zawirowało mu w głowie. Zaschło w gardle. Anabella delikatnie dotknęła policzkiem jego rzes.

- Kochasz mnie?

- Kocham.

- I na co miałbyś ochotę?

- Ochotę? Nie mów tak, uczucie moje...

- Śmieszny Noel.

- Anabelle.

- Kochany Noel, załęczniony.

- Anabelle.

- Mów mi dużo przyjemnych słów.

Przechyliła głowę, ujął smukłą szyję kobiety, przybliżył usta... pocałował raz, drugi... Z niespotykaną siłą odepchnęła Aleksandra i krzyknęła:

- Cyryl!!!

Noel ze zdumienia otworzył usta. Cyryl odwrócił się jakby na to czekał. Anabella rzuciła mu parasolkę. Cyryl złapał ją, metalowym ostrzem skierował w gardło Noela. Zbliżał się krok po' kroku.

- Zabij go - krzyczała histerycznie kobieta zaciskając palce na poręczach balustrady.

- Zabiję cię za to, co zrobiłeś z moją żoną.

Cyryl zacisnął usta. Jego pulchne palce nerwowo kręciły rączkę parasolki.

- Przebij mu gardło! - krzyczała Anabella. - Pchnij, Cyryl, pchnij!.

- Odsuń się kochanie.

Zręcznie przerzucił parasolkę z lewej ręki do prawej. Anabella przyglądała się z boku. Noel czuł za plecami balustradę. Odchylił głowę do tyłu. Metalowy szpikulec parasolki krążył niebezpiecznie koło jego oczu i szyi. Cyryl uśmiechał się jak szczęśliwe z zabawy dziecko.

- Teraz, Cyryl! Uderz!

- Zaczekaj, kochanie. Wpierw zamienię z nim kilka słów. Ty...!

- Nie chciałem, nie chciałem.

- Ale zrobiłeś to.

- Nic! Błagam!

- Błagam? Nic? Anabelle, co o tym sądzisz?

- Zabij go, całował mnie i szarpał.

- Oczywiście, że go zabiję. Czemu nie krzyczysz, szanowny panie?

- Krzycz! - wrzasnęła na Aleksandra Anabella.

- Nie - odparł spokojnie. - Nie boję się was.'

- On się nie boi? - roześmiał się Cyryl donośnie. - A to paradne. Nie boisz się szanowny panie? Podniosłeś rękę, wzrok i usta na kościół, świątynię miłości, ostoję rodziny, kwiat, który raz zakwita i nie boisz się? Kradniesz najcenniejszą rzecz męża, zabierasz mu poczucie siły i bezpieczeństwa. Łamiesz przykazania, naśmiewasz się z prawdy.

- Tyle zrobiłem?

- Nie boisz się szanowny panie?

- Skończ z nim.

- Nie chcemy niczyjej krwi. Pragniemy żyć w spokoju, miłości i szczęściu. Oddaliliśmy się od świata i nie dano nam spokoju. Na moście w biały dzień ludzka krzywda błaga o pomstę. Kobiety wyciągają ręce do nieba i płaczą. Nie słyszysz tego szlochu? Dudni. Nie widzisz tych łez? Napełniły całą rzekę. W rzece pod nami będzie płynąć od tej pory słona woda łez. Biało-czerwona woda, bo i twoja krew tam spłynie. Ścieknie po filarze mostu, zabarwi kamienie. Czemu nas prześladujesz, dręczysz, naśmiewasz się? Za to, co zrobiłeś nie minie cię kara - wzniosł oczy do nieba. - Boże, nie dałeś mi tolerancji, nie uczyniłeś ślepym. Widzę i karzę. Przyszedł obdartus i zagroził szczęściu mego domu. Daj mi tyle miłosierdzia, bym nie musiał zabijać.

Cyryl czekał w milczeniu na miłosierdzie.

- Ach, więc nie dasz mi go?

Wyprostował rękę z parasolką. Pchnął prosto w gardło Noe - Ja. Ten odbił nadgarstkiem szpikulec. Parasolka upadła na most. Anabella podbiegła, podniosła ją. Noel ssął krew z dłoni. Podała broń mężowi.

- Nie pozwól mu odejść - poprosiła Cyryla spojrzeniem. Lecz Noel stanął na poręczy balustrady, odbił się od niej j przeleciał nad głowami ludzi.

- Powinno was zabrać słońce - krzyknął do nich.

- Bronimy naszego szczęścia i spokoju.

Cyryl podniósł lornetkę do oczu. Anabella zasłoniła twarz parasolką. Wzięli się pod ręce i tak stali

na moście przerzuconym nad wyschniętym korytem rzeki. Wiatr rozwiewał suknie kobiety, mężczyzna pluł pod nogi z wściekłością.

- Dwa dni. Jeszcze tylko dwa dni podróży i usiądę w swoim domu, zasłonę firanki, zapalę światło. Dwa długie albo krótkie dni. Smakuję zapach herbaty, słyszę szelest koszuli, którą włożę po przyjściu do domu. Za oknem przejeżdżają autobusy, będę stał w oknie godzinami i patrzył...

Podróżował nad rozległymi polami usianymi drewnianymi wiatrakami. Nad trzema jeziorami przelatywał, omijał lasy.

- Nienaturalność krajobrazu to kolory. W jaki sposób kora drzew może być zielona? Woda czarna, a zboże niebieskie. Powinienem zabrać Anabelli kapelusz. Jestem nagi i męczy mnie to. Zaczynam odczuwać coraz więcej wstydu. Nigdzie śladu ludzi. Aleksander cieszył się z tego. Niedawno widzi; dwie stare sarny goniące psa. Ale to trwało chwilę i mogło być przywidzeniem.

- Zatrzymaj się!

Młody, nagi chłopiec, nie więcej jak dwadzieścia lat liczący, siedział na polnej drodze.

- Nie mogę, nie chcę, spieszę się.

- Pomóż mi.

Zatrzymał się.

- Czego ode mnie chcesz?

- Lecisz tam?

- Tak.

- Po drodze spotkasz dziewczynę. Powiedz jej, że będę czekał na nią w starej kopalni złota, za jeziorem. Ona wie, gdzie to jest. Niech przyjdzie jutro wieczorem. Nie zapomnisz? Jutro wieczorem.

- Jeśli ją spotkam, powtórzę. A dlaczego ty sam nie możesz tego zrobić?

- Nie zrozumiesz nigdy - odparł chłopiec. - Leć!

Spieszył się, serce biło coraz mocniej. Ostatni dzień podróży. Kolory stawały się naturalniejsze, jeszcze nie ziemskie, ale już podobne. Ptaków pojawiało się na niebie więcej. Minął dwa wiadukty zbudowane tu nie wiadomo jakim sposobem, jeszcze jedno jezioro i jedną rzekę.

- Zatrzymaj się.

Młoda dziewczyna siedziała na pniaku. Rozpuszczone włosy, opalona twarz, uśmiechała się. Noel usiadł przy niej.

- Słuchaj - mówił spiesznie. - Tam czeka twój chłopak, albo narzeczony. Masz być jutro wieczorem w starej kopalni złota. Podobno wiesz, gdzie to jest.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Nie mogę jutro. Czy nie mógłbyś polecieć do niego i przekazać wiadomość, że czekam na polanie za wzgórzem, pojutrze rano?

- Nie mogę, nie chcę, spieszę się. A dlaczego sama mu nie powiesz?

- Nie zrozumiesz nigdy - odparła dziewczyna. - Leć! Noel nigdy nie zrozumiał. Ale był pewny, że tych dwoje nie spotka się w życiu. Ostatniego dnia, pod wieczór Noel ujrzał ziemski Księżyc. Oglądał ten mały odłamek srebra z namaszczeniem. Wzruszony zagwizdał cicho.

- Nie zmieniłeś się.

Tak był zajęty oglądaniem Księżyca, że nie usłyszał wrzawy. Tysiące ludzi, nagich jak on, dobijało się do metalowych ścian, przewyższających rozmiarami wszystko, co Noel widział. Uderzano pięściami, nogami, laskami, pniami drzew, kamieniami i węglem. Wśród tłumów kręcił się człowiek z długą brodą. Był nagi jak inni, jednakże głowę miał ozdobioną narciarską czapką z pomponem.

- Co tu się dzieje? - zapytał Noel.

- Nic. Co ma się dziać? Oni są z góry Ara.

- Czemu dobijają się do tych ścian.



- To są bramy, nie ściany. Pańska omyłka jest zrozumiała. Bramy są tak ogromne że nikt jeszcze nie ogarnął ich wzrokiem.

- To skąd wiadomo, że to bramy a nie ściany, skoro nikt nie widział?

- Ludzie mówili.

- Źle mówili. To musi być ściana.

Człowiek w czapce z pomponem wlaźł na ramiona jakiegoś staruszka i przekrzykując tłum, rozpowiadał:

- Ludzie, słuchajcie! To nie jest brama, lecz ściana!

Tłum wrzasnął z podniecenia. Ale trudno było rozpoznać, ile w tym wrzasku kryje się radości, a ile gniewu. Człowiek w czapce zlaźł z pleców staruszka.

- Jest ich trzydzieści osiem tysięcy dwieście osób - powiedział Noelowi. - Ani mniej, ani więcej.

- Co za różnica, czy to ściana, czy brama? - zapytał Noel.

- Żadna. Ale oni od czasu do czasu potrzebują nowinek. Każdą tego typu wiadomość muszą im natychmiast przekazywać. Zapewniam pana, że to ich odmładza.

- Czemu oni tak walą w tę bramę?

- Bo ona dzieli niebo na połowy.

- I co?

- Za bramą jest Ziemia.

Noel roześmiał się.

- Pan uważa że Ziemia jest tam? - zapytał ze śmiechem Noel.

- A gdzie?

- Nie widzi pan Księżyc. Tu, po lewej stronie. Księżyc. A tam kula ziemską. Na miłosierdzie Boskie...

- Pan się myli - szeptem powiedział człowiek w czapce. - Ziemia znajduje się po drugiej stronie tej przeszkody.

- Proszę powiedzieć ludziom, że ich zaprowadzę na Ziemię. Proszę powiedzieć, że Ziemia jest tam. Wolna droga.

- Nic nie będę mówił, pan też im chyba nie powie?

- Dlaczego nie?

Noel wdrapał się na ramiona nieszczęsnego staruszka.

- Ludzie!

Zachwiał się, przewrócił, odbił o coś.

- Po co ja mu wlażem na plecy? - pomyślał. Człowiek w czapce trzymał Noela za rękę.

- Niech pan tego nie robi.

Pociągnął go za sobą na bok.

- Zabijają pana, niech się pan opamięta.

- Zabijają? Za co?

- Dobijają się od czterech tysięcy lat. Niech pan im tego nie mówi, dobrze radzę. Zlinczują pana, ukamieniają. Cóż innego pan by zrobił na ich miejscu? Walą pięściami od czterech tysięcy lat i czekają aż się otworzy. Nagle przychodzi człowiek i z całym spokojem stwierdza, że droga do celu wcale tędy nie prowadzi. Nie można tego zrobić.

- Aż ciężko uwierzyć, głowa mi pęka...

- Leć człowieku na swoją Ziemię i daj nam spokój.

- A pan? - spytał Noel. - Pan także uważa, że Ziemia kryje się za tym metalem? Niech pan odpowie?

Człowiek w czapce z pomponem milczał. Popatrzył w końcu na kulę ziemską, Księżyc, zerwał z

głowy czapkę.

- Obojętnie, co myślę. Nie zostawię ludzi. Chciałbym lecieć z panem, lecz nie potrafię.
- Pilnuje ich pan?
- Tak. Czuwam nad nimi.
- I co im pan powtarza?
- Otworzą się bramy Ziemi.

Noel odleciał. Okręcały nim wiatry, spadał w nieskończenie długi i biały lej.

Świt. Noel zszedł z małego tapczana, w łazience oddał się porannej toalecie i, gdy zaparzona kawa zaczęła stygnąć na stoliku w kuchni, pierwszy raz tego dnia poczuł się nie najlepiej. Zrezygnował z kawy na śniadanie. Pożywił się tylko kawałkami białego sera. Po śniadaniu zapatrzył się na moment w czerwoną lunę na niebie.

Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego czerwone słońce przykuwa jego wzrok.

Dnia siedemnastego grudnia, tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku Aleksander Noel, zamieszkały w Warszawie, przeżył śmierć kliniczną, która trwała trzynaście minut. Uratowany został dzięki szybkiej pomocy lekarskiej.

Lekarze powiadomieni zostali o wypadku przez gospodynię domu, w którym mieszkał.

W trzy miesiące po tym wypadku Aleksander Noel poślubił Emilię Gajewską.

„I nastąpiła noc, a potem poranek, dzień pierwszy”

*(fragment powieści)*

1.

Pet zaklął po raz setny w przeciągu ostatniej godziny pokładowej. Setny raz również jego kod wywoławczy utonął w przestrzeni bez odpowiedzi. Nagle poczuł, że nie jest już sam w sterowni.

- Anna! - pomyślał bez entuzjazmu.

- Dziczejesz - odebrał w odpowiedzi. - Przyszłam tutaj, bo nie mogłam wytrzymać tych twoich przekleństw.

- Od kiedy to jesteś taka delikatna?

- Od zawsze.

- Czyżby? - Pet przez chwilę skupiał się, by nagle wtargnąć zniecacka w jej pamięć wewnętrzną. Zanim zastosowała blokadę mentalną, zdążył jeszcze wyłowić część potwornej kłótni, jaką miała na Hildorze z Ogazą - wiceprzewodniczącym Rady Głównej Planety.

- Świnia!

- Mam powtórzyć dla przypomnienia? - zapytał.

- Następnym razem zaogniskuję w tobie całe pole - zagroziła.

- Nie zrobisz tego - odparł, choć wiedział, że nie jest to Wcale takie pewne. Musiała to zresztą odebrać, bo tylko wzruszyła pogardliwie ramionami i nadała:

- Spróbuj!

- Chciałem ci udowodnić, że nie ma sensu robić z siebie nagle świętoszki. Nie do twarzy ci z tym.

- Ty już się przyzwyczyłeś do swej podłości.

- Ty też nie zasiadasz w Radzie tylko dlatego, że cię tak wszyscy lubią.

- Cyniczna świnia - powiedziała na głos - i na dodatek pozbawiona cienia skrupułów - dodała już w myślach.

- Daj spokój! - Pet nagle zdał sobie sprawę z bezsensu ich kłótni. - To te trzysta lat podróży nas tak wykończyło. Musimy się wziąć w garść. Jesteśmy u celu.

- Masz rację - odparła, - co wcale nie zmienia mojego zdania o tobie - dodała.

- Zachowajmy więc swoje opinie i pomyślmy, co teraz zrobić? Ziemia milczy.

- Lecimy dalej. Po to tu przylecieliśmy.

- Sprawdź wskazania czujników! - Pet był spokojny.

- To chwilę potrwa. Bądź cierpliwy i nie klnij. Pet nie odpowiedział na zaczepkę.

- Naprawdę mnie to denerwuje. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest - dodała Anna po dłuższym milczeniu.

- Przepraszam - odparł Pet.

Naprawdę było mu głupio. Przez te trzysta lat podróży zdążyli się z Anną zniecierliwić tak, jak to jest tylko możliwe u ludzi, ale jednocześnie Pet zdawał sobie sprawę, że połączeni zostali ze sobą na zawsze. Tym silniej, że obydwójce byli telepatami i jedno cały czas wiedziało, co czuje drugie. Dla nich słowa były ubogim narzędziem, dobrym dla dzikusów. Nawet teraz, mimo że zasadniczo wymieniali konkretne myśli, obydwójce odbierali jednocześnie całą masę innych wrażeń, niemożliwych do opisanego zwykłymi słowami. To się po prostu czuło albo nie. Oni to czuli.

Tymczasem na głównym monitorze komputer zsyntetyzował wskazania przyrządów. Zasadniczo

wszystko się zgadzało. To znaczy było dziewięć planet - tyle ile powinno być. Tylko że przestrzeń wewnątrzukładowa była absolutnie pusta. Żaden z przyrządów nie wykrył najmniejszego nawet statku kosmicznego. To było nienormalne. Przecież w Układzie powinno być rojno, jak dawniej na autostradzie.

- Minęło trzy tysiące lat od naszego startu. Nie zapominaj o tym.

Anna oczywiście doskonale wyczuła jego myśli. To było właśnie to, co ich tak łączyło. Żadne nie potrzebowało się wysilać po to, żeby wyraźnie sformułować myśl.

- Masz coś?

- Duże źródła energii na Marsie, Ziemi i Wenus. Stacja na orbicie Plutona. Może zatrzymamy się tam na chwilę?

- Nie. Nie podoba mi się to milczenie. Wyślemy sondę.

- Włącz ekran ochronny - Anna również zrobiła się nagle strasznie ostrożna.

- Przez trzy tysiące lat mogli się nauczyć przebijać dowolny ekran - odparł Pet, naciskając jednocześnie dźwignię bezpieczeństwa, uruchamiając w ten sposób pełną osłonę „Feniksa”.

- Co z sondą? - zainteresował się po chwili.

- Gotowa do startu.

- Pal!

- To jeszcze nie wojna. Nie wczuwaj się tak w rolę. Tymczasem sonda zbliżała się szybko do stacji na Plutonie.

Pet i Anna obserwowali dziwne kształty tego tworu, które w niczym nie przypominały stacji, do jakich byli przyzwyczajeni. Przede wszystkim brak w niej było jakiegokolwiek platformy ładowniczej. Tak, jakby nie była przystosowana do przyjmowania rakiet.

- Może to stacja automatyczna? - pomyślał Pet.

- Czujniki wskazują, że są tam ludzie - odparła Anna.

- Nadałaś nasz kod?

- Cały czas go emituję.

- Jakie było zadanie tej stacji za naszych czasów? - Petowi przyszła nagle do głowy nowa myśl.

- Kontrola podejść do Układu Słonecznego.

- Może oni nas biorą za Obcych?

- Bzdura!. Przecież w byłe jakim rejestrze mogą sprawdzić, że nasz statek to „Feniks”.

- Chyba, że nie używają już takich statków.

- Pozostaje jeszcze kod. Te wielkie anteny przecież do czegoś służą.

Sonda zbliżyła się w międzyczasie na odległość stu kilometrów od Stacji. Wtedy właśnie Pet zauważył, że stracili nad nią wszelką kontrolę.

- Zawróć ją. Natychmiast!

Za późno - Anna jeszcze przez chwilę mocowała się z urządzeniem awaryjnego sterowania sondą.

- Mogę ją tylko zniszczyć - przypomniała Petowi.

- Zostaw.

Przez chwilę nic się nie działo. Obydwoje odbierali tylko swoje uczucia. Przeważał w nich lęk pomieszany z rozczarowaniem. Żadne nie wiedziało, co to mogło oznaczać.

- Lecimy trzysta lat, aby otrzymać od nich pomoc, a tymczasem czuję się jak intruz. - Anna pierwsza wyraźnie sformułowała to, co myśleli obydwójce.

- Przygotuj meldunek na Hildora - polecił sucho Pet. - Prześlij wszystkie zapisy, jakie nagromadziliśmy.

- Myślisz, że już zbudowali drugiego „Feniksa”?

- Nie, ale powinni wiedzieć wszystko, co my teraz wiemy.

- Co ty knujesz? - zapytała Anna. - Od kiedy zrobiłeś się taki lojalny?

. - Nie wygłupiaj się. Tu chodzi o los nas wszystkich.

- Ostrzegam cię, że wyślę ten meldunek do wszystkich członków Rady.

- Nie przeszkadza mi to.

- Co robimy? - zapytał Pet po krótkim milczeniu.

- Lecimy na Ziemię - odparła Anna z dziwną zawziętością. - Jeśli ta historia z sondą miała być ostrzeżeniem, to pokażemy im, że nie boimy się.

- Zgoda, ale wprowadzimy poprawkę. Zaprogramuj komputer na niszczenie wszystkiego, co jest mniejsze od raket patrolowych używanych przed naszym startem, a co znajdzie się w odległości mniejszej niż milion kilometrów od „Feniksa”.

- Nie tak wyobrażałam sobie nasz powrót na Ziemię - pomyślała Anna programując komputer.

- Niech szlag trafi tego, kto zechce się do nas zbliżyć w jakiejś łupinie. - Pet czuł się znów tak, jak za dawnych czasów kolonizacji Hildora.

- Nie gadaj tyle - nadała Anna. - Prowadzisz wielki krążownik, a nie szalupę kosmiczną.

Pet wydusił z „Feniksa” wszystko, co się dało wydusić w tak zaśmieconym Układzie, jak Słoneczny. Dostało się przy tym paru asteroidom, które roznieśli po drodze w pył. W zamian już po godzinie byli na orbicie okołoziemskiej. Nikt nie próbował im nawet wchodzić w drogę.

- Dżungla? - Obydwoje patrzyli w zdumieniu na rozciągający się pod nimi krajobraz.

- Co mówią czujniki?

- To, co poprzednio. Obecność ludzi i źródeł energii.

- Widzę tylko dżunglę. Może budują miasta pod ziemią?

- Najbliższe źródło energii znajduje się w okolicy równikowej - wyjaśniła Anna.

- Może być i równik - odparł, manewrując ostrożnie „Feniksem” we wskazanym kierunku.

Po paru minutach oczom ich ukazała się olbrzymia czarna wieża. Musiała mieć około trzech kilometrów wysokości i ze dwa kilometry średnicy.

- Czegoś takiego nigdy tu nie było - zauważył zdumiony Pet.

- Wciąż zapominasz, że minęło trzy tysiące lat.

- Lądujemy tu, czy obejrzymy sobie resztę?

- Polatajmy sobie najpierw.

Odkryli w sumie trzysta takich samych wież na całej planecie. Znakomita większość znajdowała się w okolicy równika. Wszystkie były podobne do siebie jak dwie krople wody.

- Kod pozostaje wciąż bez odpowiedzi - przypomniała Anna.

- Daj spokój z tym kodem. To bez sensu.

Nagle w głośniku usłyszeli jakiś chrobot. Anna błyskawicznie przełączyła nadajnik na największe zasilanie, podczas gdy Pet włączył wszystkie urządzenia odbiorcze. Chrobot jednak się nie powtórzył. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Pet zdecydował się. Stanowczym ruchem wziął mikrofon do ręki:

- Halo Ziemia, tu „Feniks”. Wracam ciągiem awaryjnym z plejad. Wystartowałem w roku 3522 z trzydziestoosobową załogą na pokładzie. Wracam z dwoma osobami. Proszę o namiar do lądowania. - Przez chwilę czekał na odpowiedź, ale ponieważ nic się nie działo, nadawał dalej:

- „Feniks” do Ziemi. Zostałem zaatakowany przez stację na Plutonie, żądam wyjaśnień.

- Trudno powiedzieć, żebyś był szczerzy. - Anna zaśmiała się złośliwie. - Członek Rady Hildora, Pet, ma wreszcie godnego siebie przeciwnika.

- Ty również potwierdziłaś swoje zalety, jako członek tej samej Rady - przypomniał jej.

Wreszcie z głośników odezwał się ludzki głos, przerywając im zaczynającą się sprzeczkę.

- Tajna Rada do „Feniksa”. Czekać na dotychczasowej orbicie na namiar. Wiemy o Plutonie.

Wszelkie wyjaśnienia zostaną wam dostarczone po wylądowaniu. Cieszymy się z waszego powrotu.

- Mów do mnie jeszcze o swojej radości - Anna najwyraźniej zaraziła się od Peta podejrzliwością.

- Poczekamy trochę.

- Nadaj komunikat na Hildora - przypomniała mu. Potem obydwój siedzieli otuleni blokadą mentalną, czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

2.

Noor przedzierał się powoli przez kłębowisko lian, jadowitych paproci i jadowitych insektów w stronę obozu. Mimo swoich wyważonych i wolnych kroków śpieszył się. Po prostu dżungla nie tolerowała nieostrożnych. Każde przyspieszenie kroku mogło doprowadzić do przeoczenia któregoś z tysiąca niebezpieczeństw, jakie czekały na nieuważnych. Najgłupsze, co można było zrobić w dżungli, to zacząć biec. Najszczęśliwsi dobiegali, co najwyżej, na odległość połowy lotu strzały. Noor mimo to postanowił zaryzykować i przyspieszył kroku na tyle, na ile pozwalał mu instynkt samozachowawczy Łowcy. Miał przeczucie, że coś ważnego wydarzy się dzisiaj w obozie. Nie wiedział, skąd się bierze to przeczucie, ale ufał mu. Nigdy go jeszcze nie zawiodło.

Nagle stanął w miejscu, czujnie nasłuchując. W nieprzeniknionych zaroślach koło niego coś się kryło. Wiedział o tym. Nie próbował nawet zgadnąć, co to mogło być. Po co? W dżungli trzeba najpierw działać, a dopiero potem zastanawiać się. Powoli obrócił się w stronę, gdzie czaiło się niebezpieczeństwo i napiąwszy mocno łuk zamarł nieruchomo, oczekując ataku. Przez cały czas modlił się w myślach, żeby to nie był algor. Algor potrafił latać i to była jego najstraszliwsza broń. Gorsza nawet niż jego jadowite pazury, czy potężna paszcza uzbrojona w potrójny garnitur kłów. W momencie, kiedy potwór wypadał na swoją ofiarę, gwałtownie podrywał się na swoich krótkich łapach nad nieszczęśnika, ażeby po chwili spaść na niego jak kamień i zanurzyć swoje jadowite pazury w jego ciało. Rzadko kto zdążył strzelić i trafić w gardło, które było jedynym nieochronionym miejscem tego potwora.

Noor stał wciąż nieruchomo. Nagle z gęstwiny wypadł olbrzymi kodar - podobna do tygrysa bestia z paszczą krokodyla. Noor odczekał chwilę, aż kodar otworzy swoją wielką paszczę - zawsze tak atakował. Dopiero kiedy można było zobaczyć dno gardzieli potwora, Noor wysłał swoją strzałę, uskakując gwałtownie na bok. Było to szalenie ryzykowne, ale nie chciał przypłacić tego pojedynku ranami zadanyymi przez zęby martwego już stwora. Wolał zaryzykować. Udało mu się. Przez chwilę patrzył na leżące koło niego cielsko, uśmiechając się pogardliwie. Kodary były szalenie głupie.

Był już koło obozu, najwyżej trzy strzały z łuku, kiedy po raz drugi wyczuł coś niezwykłego. Rozejrzał się uważnie wokół siebie, ale nie wyczuł żadnego bezpośredniego zagrożenia. To musiało być coś innego. Spojrzał z kolei na niebo. Tylko gdzieniegdzie tkwiły delikatne nitki chmur. Poza tym nic. Nagle dostrzegł daleko czarny punkcik, przybliżający się z dużą szybkością. Co to może być? Porusza się zbyt szybko, jak na samolot. Samoloty, to były olbrzymie stworzenia, których długość przekraczała nawet wysokość najwyższych drzew dżungli. Bardzo niebezpieczne. Latały zawsze w grupach po pięć, sześć i nie było przed nimi żadnej obrony. W tej okolicy zdarzały się jednak szalenie rzadko.

Tymczasem obiekt przybliżył się na tyle, że Noor mógł dokładniej przyjrzeć się jego kształtom. Był to dziwny aparat o kształcie podobnym do samolotu, ale o wiele mniejszy. Był cały czarny, tylko w przedniej części miał jakby złote obicie, w którym odbijało się słońce. Poruszał się bezszelestnie. Po chwili zniknął zupełnie z pola widzenia. Noor jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Aparat musiał niewątpliwie pochodzić z Czarnej Wieży. Dziadek opowiadał mu jeszcze za życia, że w czasach jego młodości często widywano takie pojazdy, które czasami lądowały nawet w obozach. To było jednak bardzo dawno temu. Prawie sto pięćdziesiąt lat wstecz.

Kiedy dotarł wreszcie do obozu zorientował się od razu, że zaszło coś szalenie ważnego. Opiekun



przywdział bowiem swój strój rytualny, składający się z dziwnej, obcisłej tkaniny przylegającej dokładnie do ciała. Z daleka wyglądało, jakby Opiekun był nagi. Cały ten dziwny kostium był czarny jak wieże. Na ołtarzu leżał świeżo upolowany kodar, podobny do tego, którego Noor zastrzelił przed chwilą. Ołtarz postawiony tu w niepamiętnych czasach był czarną skrzynką, ustawioną na dziwnie powyginanym, przezroczystym postumencie. Nikt nie wiedział kto i kiedy go tu przyniósł i postawił. Nawet Opiekun. Po prostu odkąd ich plemię zamieszkiwało ten teren, ołtarz zawsze tu był. Teraz cały mienił się kolorowymi światełkami wypływającymi magicznym sposobem z jego powierzchni. Bóg musiał się mocno gniewać na nich. Opiekun stał na czele całego plemienia przed ołtarzem i śpiewał pieśń przebłagania. Noor przyłączył się w milczeniu do reszty współplemieńców i jak oni rzucił się na ziemię, przykrywając kark złączonymi rękoma. Nagle głos Opiekuna zamilkł. Noor ostrożnie uniósł głowę, żeby zobaczyć, co się stało. Ołtarz przybladł. Na jego powierzchni widać było tylko jedno - światełko w kolorze czerwonym. „Coś musi się teraz wydarzyć” - przemknęło mu przez myśl. Nic się jednak nie stało. Tkwił, jak wszyscy, nieruchomo na ziemi jeszcze długą chwilę, zanim wreszcie usłyszał głos Boga wydobywający się z ołtarza: „Niechaj wszystkie kobiety i mężczyźni do dwudziestej wiosny stawiają się jutro o wschodzie słońca u stóp Czarnej Wieży. Taka jest wola Herthsa”.

Głos zamilkł. Wszyscy leżeli jeszcze długo na ziemi, bojąc się poruszyć. Wreszcie Noor podniósł ponownie głowę. Ołtarz był ciemny jak zwykle. Powoli wszyscy dostrzegli to samo co on. W końcu Opiekun dał znak, żeby się podnieść. Noor powstał wraz z innymi, ale nie bardzo mógł się otrząsnąć z szoku, w jaki go wprawiła usłyszana wiadomość. Więc Czarne Wieże są jednak zamieszkane. Mimo że od prawie stu pięćdziesięciu lat nikt nie dostrzegł żadnych śladów życia. Noor usłyszał stłumione szepty wokół siebie. Wszyscy powtarzali sobie z przejęciem usłyszana nowinę. Słysząc było coraz głośniejszy płacz kobiet. Starcy mówili, że w czasach, kiedy żyli ich dziadowie, takie głosy odzywały się często z ołtarzy i że nigdy ci, którzy weszli do Czarnej Wieży nie powrócili z niej do swoich plemion. Jedni twierdzili, że wszyscy oni zginęli, inni zaś, że żyją do dziś w szczęściu, bo wieże te są siedzibą Herthsa. Tych ostatnich było jednak mniej.

\* \* \*

Noor stał, jak inni u stóp Czarnej Wieży. Po raz pierwszy widział ją z tak bliska. Wydawało mu się, że sięga ona nieba. Obok niego stało jeszcze trzydziestu współplemieńców. Czekali już od godziny.

Dokładnie z ukazaniem się pierwszych promieni słońca mur przed nimi drgnął i bezszelestnie ukazało się w nim olbrzymie wejście. W głębi był korytarz.

„Wejdźcie” - usłyszał nagle głos, wydobywający się jakby z powietrza. Przez chwilę nikt się nie poruszył. Stali jak przed chwilą, nie mogąc nawet drgnąć. Głos ich nie ponaglał. Wreszcie Noor zebrał się na odwagę i przekroczył próg. Wewnątrz było tak jasno jak na powietrzu. Noor obejrzał się i zamarł z podziwu. Od środka nie było żadnego muru. Widać było niebo. Noor opanował swój chwilowy strach. W końcu, w siedzibie Boga musiały istnieć cuda jakich nie widział nikt ze śmiertelnych. Po chwili nie był już sam. Reszta, zachęcona jego przykładem, zdecydowała się, na przejście zaklętego dla nich progu. „Idźcie” - usłyszeli ten sam głos i jednocześnie otworzył się przed nimi korytarz skąpany w czerwonym świetle. Ruszyli powoli. Nagle Noor usłyszał za sobą jakiś chrobot. Obejrzał się. Tam, gdzie poprzednio było wejście, nadal widać było dżunglę, ale Noor przysiągłby, że wrota zostały zamknięte. Nie mieli już odwrotu. Noor instynktownie napiął mięśnie. Był znów Łowcą, tylko, że tym razem, musiał stawić czoło nie dżungli, a Herthsowi.



3.

Loop leciał z najwyższą szybkością do Centrum. Zdarzyło mu się to, czego się zawsze obawiał. Statek galaktyczny w obrębie Układu. Ostatni raz naciął się na coś takiego Hop II, tysiąc lat temu, kiedy wróciła Druga Wyprawa na Syriusza. Wracali na „Jedności”, z opóźnieniem dwustu lat. Wszyscy już zdążyli ich pochować. Hop II zostawił dokładne sprawozdanie z tej historii w Kronice Rady. O ile Loop przypominał sobie, trzeba było podjąć drastyczne kroki w stosunku do załogi, która nie mogła pogodzić się z Wielką Zmianą.

Teraz ten „Feniks”. Brak o nim jakichkolwiek danych w Kronice. Historycy zdążyli tylko sprawdzić, że jest to statek klasy galaktycznej, zbudowany prawdopodobnie trzy tysiące lat temu. Baza na Plutonie przekazała, że chodzi o jednostkę o napędzie podświetlnym typu dziewięciu dziewiątek po zerze.

- Skąd oni wracają po tylu latach? - pomyślał lekko zaniepokojony. - Mówią, że z Plejad, ale przez tyle lat mogli równie dobrze dotrzeć o wiele dalej.

Tymczasem widać już było gołym okiem olbrzymią wieżę Centrum. Wylądował od razu na poziomie ośrodka lotów. Wsiadając stwierdził, że cała Tajna Rada czekała już na niego.

- Strach ich obleciał - przemknęło mu przez myśl.

- Cześć Loop - powitał go Nazon.

- Gdzie oni są? - zapytał omijając konwenanse.

- Na orbicie - odpowiedziała Lara.

- Macie z nimi kontakt? - zapytał.

W odpowiedzi Lara kiwnęła tylko głową w kierunku pulpitu łączności, przy którym siedział Bor, czwarty i ostatni członek Rady.

- Kazałem im czekać na orbicie - odezwał się Bor, obracając się wraz z fotelem w ich stronę.

- Mówiłem, żeby poczekać z tym na mnie - Loop z trudem opanował złość.

- Trzeba było powiedzieć tym z Plutona, żeby zostawili ich w spokoju - wtrąciła się Lara. - Zabrali im sondę.

- Przelecieli cały Układ jak wariaci, niszcząc po drodze wszystko, co im weszło w drogę - poparł ją Nazon.

To zmieniało oczywiście sytuację. „Feniks” postanowił wylądować na Ziemi i jak widać nie miał zamiaru dać się zatrzymać czemukolwiek.

- Trzeba było wprowadzić na ich pokład nasze grupy kontaktowe - powiedział Loop.

- Włączyli jakieś dziwne pole ochronne, przez które nie możemy się przebić - tym razem odezwał się Bor.

Loop postanowił nie przeciągać struny. Cała trójka najwyraźniej miała własną koncepcję załatwienia tej sprawy. Moment był nieodpowiedni, żeby doprowadzać do jakichkolwiek napięć w łonie samej Rady.

- Co proponujecie? - zapytał.

- Dać im zezwolenie na lądowanie i zobaczyć, co to za jedni - powiedział Nazon. - Doszliśmy do wniosku, że mogą nam się przydać.

- Lecieliby trzy tysiące lat - wtrąciła się Lara. - Tego nikt jeszcze nie dokonał.

Loop uspokoił się trochę. Reszta też miała te same obawy co i on. Miał tylko nadzieję, że nie wynikną

z tego żadne kłopoty. Wielka Zmiana tkwiła wciąż w swym stadium początkowym.

- Każ im lądować na zapasowym kosmodromie - polecił Borowi. - W jakim stadium jest Nabór? - zapytał Larę.

- Już skończony. Wszyscy są w Wieżach.

- Cóż, lećmy więc ich przywitać.

4.

- Ziemia do „Feniksa”. Dajemy wam namiar. Do lądowania za dwadzieścia minut - przerwał ich medytację ten sam głos co poprzednio.

Anna pierwsza ocknęła się z zamyślenia. Sprawnymi ruchami włączała odpowiednie sekcje, potrzebne przy całej operacji. Przez chwilę zawahała się nad dźwignią wyłącznika ochrony.

- Zostaw - zdecydował Pet. - Czujniki meldowały o próbach przebicia się przez nasze pole ochronne, lepiej nie ryzykujemy.

- Meldunek na Hildora już poszedł, niczym nie ryzykujemy.

- Dotrze do nich dopiero za 250 lat. Nie mam zamiaru przejść do historii jako męczennik Sprawy.

- Zdrowo myślisz - zgodziła się Anna.

- Przejmij namiar - rzucił sucho Pet. - Skończyła się zabawa.

Namiar doprowadził ich w pobliże jednej z Wież. Znajdował się tam kosmodrom. Maleńki, akurat na jeden statek typu „Feniks”. Teraz był pusty.

Wylądowali jak na ćwiczeniach. Elegancko. Nawet nie zapalili dżungli, rozciągającej się wokół. Przez chwilę trwali w milczeniu. Nie tak wyobrażali sobie swój powrót. Za bardzo przypominał on zwiad na terytorium wroga.

- Ktoś powinien po nas przylecieć - pomyślała Anna.

- Koniec z telepatią - odezwał się na głos Pet. - Od tej pory mówimy jak oni.

- Zgoda.

Przez chwilę nic nie mówili, wpatrując się w milczeniu w obraz roztaczający się przed ich oczyma.

- Chciałabym się wykąpać w jakimś strumieniu - powiedziała z rozmarzeniem w głosie Anna.

- A ja w morzu. Takim prawdziwym słonym morzu.

- Potem poturlalibyśmy się w piasku i śpiewali,

- Czemu śpiewali? - zaoponował Pet. - Ja nie umiem śpiewać.

- No to ja bym śpiewała.

- A potem byśmy się kochali - stwierdził autorytatywnie Pet.

- Z tobą? - zapytała Anna ze zgrozą.

- Oczywiście, przecież bylibyśmy sami.

W tym momencie ukazał im się spory pojazd bez skrzydeł o wyglądzie spodka.

- Nie wiem, czy miałabym na to ochotę - odpowiedziała Anna, wskazując jednocześnie na pojazd, który właśnie wylądował jakieś pięćdziesiąt metrów od „Feniksa”.

- Uciekniemy im - powiedział z przekonaniem Pet.

- Blokada! - usłyszał nagle głos Anny w swoich myślach. Znowu przeszła na telepatię. Nie bardzo wiedział co się stało, ale natychmiast zastosował blokadę mentalną. W ostatniej chwili. Nagle poczuł, że ktoś próbuje wdrzeć się w jego myśli. Pole było jednak bardzo słabe. Przez chwilę udawał, że się poddaje, żeby wyczuć przeciwnika. Ten jednak nie zorientował się w fortelu. To by znaczyło, że nie umiał stosować blokady. Po prostu całą swoją siłę stosował do wdarcia się w ich myśli. Był to bardzo prymitywny rodzaj telepatii. Pet znużył się wreszcie zabawą z niewidocznym przeciwnikiem i przesunął dźwignię pola ochronnego na maksimum. Obcy nie potrafił oczywiście przebić się przez pole.

- Spokój - mruknął, śmiejąc się z lekceważeniem.

- Zdradziliśmy się przed nimi.

- Skądże, powiemy im, że pole wzmocnił komputer - powiedział Pet, włączając jednocześnie radio.

- „Feniks” do Ziemi. Lądowanie zakończone. Odnotowaliśmy próbę przebicia się przez nasze pole ochronne. Żądamy wyjaśnień.

- Ziemia do „Feniksa” - odezwał się natychmiast znany już głos. - Potwierdzam lądowanie.

Przepraszamy za zamieszanie. Próbowaliśmy skontaktować się z wami telepatycznie.

- „Feniks” do Tajnej Rady. Mówi Pet, dowódca „Feniksa”. Proszę o połączenie mnie z waszym szefem.

- Szef Tajnej Rady, Loop, do Peta. Czemu nie wychodzicie? - odpowiedział natychmiast inny głos. Ostry, beznamiętny głos, przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

- Słuchaj, Loop - odezwał się Pet po krótkim milczeniu - zostałem zaatakowany na Plutonie, potem na Ziemi coś próbowało przebić się przez moje pole ochronne. Mówisz, że to telepatia. Może. Nie znam się na tym. Czy możesz dać mi gwarancję, że nic nas nie zaatakuje po opuszczeniu pokładu?

- Żądasz dziwnych rzeczy.

- Po prostu nie jestem pewien, czy panujesz nad sytuacją. Przyjmując oczywiście założenie, że jesteście tu mile widziani.

- Rozumiem. Rzeczywiście masz podstawy, żeby tak sądzić - odpowiedział mu Loop z odcieniem, jak się wydawało Petowi, uznania. - Jeżeli to cię uspokoi, to mogę ci zagwarantować, że jesteś mile widziany na Ziemi i, że nic ci z naszej strony nie zagraża. Dowodem tego niech będzie fakt, że w tej chwili oczekujemy na wasze wyjście z „Feniksa” w grawilocie, stojącym tuż obok.

Pet spojrział na Annę. Przez chwilę obydwójce wahali się. W końcu Anna podniosła się zdecydowanie z fotela.

- Nie będziemy tu przecież tkwić wiecznie - powiedziała.

- Wychodzimy, Loop - odezwał się Pet po krótkim zastanowieniu. - Uprzedzam cię, że zostawiamy pole ochronne włączone i ktokolwiek, oprócz załogi, będzie próbował je sforsować, zmusi „Feniksa” do obrony.

Po chwili znaleźli się w śluzie wyjściowej. Broń zostawili na miejscu. I tak nie byłaby przydatna, a do indywidualnej obrony mieli pola.

- Witaj, domu rodzinny - mruknęła Anna.

Stali przez chwilę w windzie, upajając się zapachem dżungli i świeżego powietrza.

- Dość tych sentymentów! - odezwał się wreszcie Pet. - Zjeżdżamy.

- Nie sądziłam, że tak się rozkleimy.

- Trzy tysiące lat - odpowiedział jej Pet, - to w końcu kawał czasu.

Tymczasem od strony grawilotu zbliżało się do nich czworo ludzi. Wszyscy ubrani byli na czarno, w długie, luźne tuniki. Jediną ozdobą były ciężkie łańcuchy okalające szyję. Dopiero kiedy się zbliżyli, można było zauważyć duże, niezgrabne pierścienie zdobiące palce wskazujące prawej ręki.

- Jakaś mania czerni - pomyślał Pet.

- Kiepska komedia - mruknęła Anna.

Nie dane im było kontynuować tej ciekawej dyskusji, bo witający zbliżyli się do nich na odległość jakichś trzech metrów i zatrzymali się, obserwując uważnie przybyszów. Loop stał pośrodku, po jego lewej stronie Lara, obok niej Bor, a po prawej stronie Loopa - Nazon. Odruchowo przyjęli oficjalny porządek. Bor był namiestnikiem Tajnej Rady na Europę, Lara na Azję, Nazon na Afrykę. Loop natomiast, jako szef całej czwórki, sprawował kontrolę nad obydwoma Amerykami. Po dłuższej chwili milczenia przedstawili się wreszcie Petowi i Annie.

- Zapraszamy was do Centrum - odezwał się Loop. - Tam przygotowaliśmy wam kwatery.

- Centrum? - zdziwiła się Anna.

- To ta wieża, która znajduje się w pobliżu - wyjaśniła Lara.

Drogę do Centrum spędzili w milczeniu. Loop prowadził osobiście grawilot. Pet obserwował uważnie jego automatyczne ruchy. Nie miał z pewnością dużo do roboty, ale Pet potrafił wyczuć na kilometr dobrego pilota. Nie ulegało wątpliwości, że Loop był dobry. Poza tym był groźny, a nawet niebezpieczny, pet wyczuł to bez trudu. Nie było przecież łatwo zostać członkiem Rady Hildora i utrzymać się w niej przez tyle wieków. Stanowisko to wymagało doskonałego wyczucia przeciwników.

Zerknął na Annę i wiedział, że jej ocena była taka sama. Pozostali byli również groźni, ale Pet miał wrażenie, że potrafi się z nimi uporać. Kiedy spojrzął ponownie na Annę, mógłby przysiąc, że mimo blokady mentalnej, jaką obydwójce stosowali, Anna prowadzi telepatyczną rozmowę. Skupił się i ostrożnie włączył się w jej myśli.

- „Miała rację!” - pomyślał z satysfakcją. - Nareszcie mamy godnego przeciwnika.

Okazało się, że Anna podsłuchuje rozmowę, jaką prowadzą między sobą ich przewodnicy. Telepatycznie! Pole było równie prymitywne, jak to, które próbowało sforsować osłonę „Feniksa”. Rozmowa była za to ciekawa. Pet nie odważył się, co prawda, czytać w ich myślach, bo byłoby to zbyt ryzykowne, ale i tak konwersacja była szalenie pouczająca.

- Co o nich sądzicie? - pytał Loop.

- Kłamią - odpowiedziała Lara. - W każdym razie coś ukrywają.

- Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tym locie „Feniksa”.

- To jakaś eksperymentalna jednostka - stwierdził Bor.

- Na dodatek nie można czytać w ich myślach.

- Niewykluczone, że też są telepatami - zauważył Na - zon.

- Nie sądzę - odpowiedział Loop. - W tych czasach nikomu się o tym nie śniło.

- Poza tym wyczulibyśmy ich obecność - przypomniała Lara.

- W każdym razie ciekawi mnie, dlaczego nie potrafimy się z nimi połączyć - upierał się Nazon.

- Przestańcie wreszcie panikować - uciął dyskusję Loop.

- Lecieli trzy tysiące lat. Zgoda. Jest to wspaniałe osiągnięcie, ale nie zapominajcie, że siedzieli przez ten czas zamknięci w „Feniksie” i na dodatek w stanie anabiozy. Brakuje jeszcze tego, żebyście zaczęli ich uważać za nieśmiertelnych.

- Sam się ich boisz - odcięła się Lara.

- Czytałaś, co pisał Hop II w Kronice? - zapytał Loop.

- O „Jedności”? - włączył się Nazon.

- Wtedy Wielka Zmiana dopiero się zaczynała - przypomniała Lara.

- Loop myśli o kontestatorach - wtrącił się Bor.

Na nieszczęście dyskusję przerwało pojawienie się wieży Centrum. Loop osadził grawilot w wąskim tunelu, który nie wiedzieć kiedy otworzył się przed nimi, z maestrią, której mu pozazdrościł nawet Pet.

Po wyjściu z pojazdu czekało na nich kilka osób w białych tunikach, bez żadnych ozdób. Sądząc z oznak szacunku, jaki okazywali ich przewodnikom, Pet doszedł do wniosku, że byli to zwyczajni pracownicy Centrum.

- Zaprowadzicie naszych gości do części mieszkalnej i zostanieie tam do ich dyspozycji! - rozkazał władczo Loop ludziom w białych tunikach. - Myślę, że życycie sobie teraz trochę odpocząć - dodał zwracając się do Peta i Anny.

- Z chęcią - odpowiedziała Anna.

- Zjawimy się niedługo u was - oświadczyła Lara. - Z pewnością macie wiele pytań.

Kiedy wreszcie znaleźli się w części mieszkalnej, która okazała się potężnym apartamentem złożonym z sześciu pokoi, poczuli zmęczenie. Napięcie parunastu ostatnich godzin zaczynało wreszcie dawać o sobie znać. Anna pierwsza rzuciła się na łóżko z westchnieniem ulgi.

- Nareszcie będę mogła się porządnie wyspać - powiedziała.

- Niezły pomysł - odparł Pet.

- Do twarzy ci w tej tunice - zauważyła Anna.

Była to aluzja do ich nowych strojów. Gdy bowiem zostali zaprowadzeni do swojej kwatery, przewodnicy Loopa zaproponowali im zamianę kombinezonów na tutejsze tuniki. Obydwójgu przydzielono stroje w kolorze czarnym, jaki przysługiwał członkom Tajnej Rady.

- Tobie również, choć uważam ją za mało seksy - odpowiedział Pet, przyglądając się Annie ze sztuczną powagą.

- Teraz lepiej? - zapytała, wysuwając jednocześnie nogę z fałdów spowijających jej ciało.

Pet uważnie przyglądał się tej nodze, wzniesionej wysoko ku górze. Anna miała, niestety, najpiękniejsze nogi spośród nóg, jakie znał. Niestety, bo potrafiła je wykorzystywać nie tylko w celach czysto transportowych. Przekonał się o tym jeszcze na Hildorze. Teraz równie uważnie oglądał tę zgrabną linię, tak doskonałą, jakby nie stworzoną naturalnie. Jedynym mankamentem, jaki znalazł, był fakt, że przedłużenie tej nogi było nadal zakryte przez tunikę.

- O połowę lepiej - odpowiedział z grymasem.

- Tego ci brakowało? - zapytała Anna z kpiącym uśmiechem, wydobywając na światło dzienne również swoją drugą nogę.

- O wiele gorzej!

- Czemu?

- Pojawiły się nowe fakty, z których wynika, że obraz stał się jeszcze bardziej niekompletny.

- Nienasycony!

- Po prostu ciekawy - odpowiedział Pet przybliżając się powoli do Anny.

I to co miało się stać, stało się. Lecz potem, kiedy leżeli obok siebie zmęczeni, Anna przypomniała sobie, że ich sytuacja nie jest do końca jasna.

- Co o tym sądzisz? - zapytała.

- O czym?

- Wie rób sobie specjalnych nadziei! - odparła, wywijając się z jego objęć. - To wszystko stało się tylko przez nasz powrót. Po prostu rozkleiliśmy się. Ale nie zmieniłam swojego zdania o tobie.

- Przyjąłem do wiadomości - odparł sucho Pet, - choć jestem zdania, że nie należy zwałać wszystkiego wyłącznie na nasz powrót.

- Słuchałeś ich rozmowy? - zapytała telepatycznie Anna, tak jakby nie usłyszała ostatniej wypowiedzi Peta.

- Ty również.

- Myślisz że słuchali nas? - zaniepokoiła się Anna.

- Prawie na pewno. Teraz pewnie sądzą, że zasnęliśmy.

- Ich telepatia jest bardzo prymitywna - stwierdziła z lekceważeniem.

- Na początku myśmy również nie mieli lepszych osiągnięć.

- Nie wiedzą nic o nas ani o Hildorze. Wszystko zapomnieli.

- To tylko kwestia czasu. Z pewnością mają jakieś archiwum. Założę się, że już w tej chwili ktoś tam siedzi i uparcie szuka.

- Myślisz, że pozwolą nam zajrzeć do dokumentów historycznych?

- Raczej tak. Tylko, że z pewnością nasza interpretacja nie będzie po ich myśli. Tu się dzieje coś



niedobrego. Te ich Wieże, ludzie żyjący w dżungli! Ta pustka w przestrzeni!

- Co to była ta Wielka Zmiana? Kto to są kontestatorzy? To są dwie rzeczy, których musimy się dowiedzieć jak najszybciej. Poza tym, dlaczego się nas boją? Co się stało z załogą owej „Jedności”?

- Daj spokój! - przerwał wreszcie tę wyliczankę Pet. - Trzeba poczekać na Loopa.

- Nie wiem, czy masz takie samo wrażenie - odezwała się Anna - ale sądzę, że ta cała Tajna Rada kłóci się ze sobą o wszystko.

- To może się nam kiedyś przydać - zgodził się Pet.

- Czy powiemy im o Hildorze?

- A jak sądzisz?

- Jeszcze nie czas.

- Więc im nie powiemy - zgodził się Pet.

\* \* \*

Loop siedział w swoim gabinecie wraz z Lara. Bor z Nazonem polecili do wieży historyków szukać szczegółów lotu „Feniksa”.

- Właściwie czemu ich się tak boisz? - zapytała Lara.

- Bo są obcymi w naszym świecie, a jednocześnie są ludźmi. To bardzo niebezpieczne połączenie. Hop II pozwolił załodze „Jedności” poruszać się po całej Ziemi i prawie natychmiast wybuchły zamieszki. Kom - dowódca statku - zaczął głosić, że Wielka Zmiana jest zbrodnią, że można żyć inaczej, tak jak żyło się za czasów Korna. To chwyciło wówczas i może chwycić również dzisiaj. Niech tylko dowiedzą się o „Feniksie” kontestatorzy.

- Dzisiaj jesteśmy silniejsi, niż za czasów Hopa II - zauważyła Lara.

- Nowych ludzi jest o wiele mniej - przypomniał Loop. - To przez te wasze hasła: „Prawo do wiedzy dla całego gatunku” - dodał z nienawiścią.

- Nie zaczynaj wszystkiego od początku! - Lara sprężyła się jak kocica, gotowa własną pierśią bronić swych pozycji. - Wiesz dobrze, że to było nieuniknione.

- Następnym krokiem będzie z pewnością prawo do teleportacji dla całego gatunku.

- Tego też nie unikniemy.

- Nie za mojego życia - stwierdził spokojnie Loop. O wiele za spokojnie.

- Nie kombinuj Loop! - ostrzegła go. - Jesteś sam.

- Za mną są wszyscy Nowi Ludzie.

- Gdybyś interesował się trochę więcej historią wiedziałbyś, że nie można być dyktatorem bezkarnie.

- Mówisz jak kontestatorzy.

- Nie sądziłam, że będziesz próbował tak miernych sztuczek - Lara wzruszyła pogardliwie ramionami.

- Po prostu ostrzegam cię.

- Przyjęłam do wiadomości. A co zrobimy z naszymi gośćmi?

- Myślałem, że możemy ich przyłączyć do Naboru.

- Oszalałeś! Przecież to nie są dzikusy.

- Nie myślałem o pełnej transformacji - odparł Loop uspokajająco.

- Więc o czym?

- Dzicy otrzymują na początku pełny zestaw wiadomości ogólnych plus wiadomości zawodowe, w zależności od wykrytych w testach zdolności. Dla nich proponuję to samo, ale bez zmiany ciał. W zamian

wszczepimy im hipnotyczny zakaz wszczynania jakichkolwiek kroków przeciwko ustalonemu porządkowi i naszym osobom.

- Czysto i higienicznie! - Lara była raczej zadowolona z propozycji. - Nie sądziłam, że tyle jest w tobie wielkoduszności - dodała kpiąco.

- Ty dawałaś swoim wrogom jeszcze mniej szans - przypomniał jej Loop.

- Ty im nie dajesz żadnej.

- Ale nie zmuszam ich do biegu przez dżunglę.

- To nie był mój pomysł, tylko Nazona - odparła wzruszając ramionami.

- Ale ty go wprowadziłaś w życie.

- Sam zakładałeś się z Borem, kto z nich dobiegnie najdalej.

- Dajmy spokój - mruknął Loop. - Ciekaw jestem, co Nazon i Bor odkryją w archiwum.

- Połącz się z nimi!

Przez chwilę trwała cisza, w czasie której Loop manipulował licznymi przyciskami swojego biurka, łącząc się z wieżą Historyczną - wreszcie otrzymał połączenie.

- Nie mamy jeszcze właściwie nic - odpowiedział mu Bor. - Wiemy tylko, że „Feniks” był jednostką eksperymentalną i że jego lot miał być właściwie lotem próbnym. Poza tym jest tu odnośnik do jakiegoś Hildora. Ustaliliśmy, że był to genetyk z czasów ich odlotu. To wszystko.

- Więc nie mamy nic - podsumował Loop.

- Przeglądamy teraz działy medyczne i biologiczne.

- Sprawdźcie w raportach rządowych! - dorzuciła Lara.

- Co ty wiesz? - zainteresował się nagle Loop.

- Nic. Zwykłe przeczucie.

- Chodźmy więc zobaczyć, jak przebiega Nabór - rzucił Loop, nie do końca przekonany co do szczerości Lary.

5.

Wuur siedział w sali kontrolnej i przyglądał się w milczeniu maszerującym dzikusom. Nienawidził ich, mimo że sam pochodził z Naboru. Był to jednak przedostatni Nabór, a Wuur był już dziesiątym pokoleniem żyjącym w Wieżach. Tajna Rada na przykład wywodziła się z Nowych Ludzi, którzy pochodzili z tak dawnych Naborów, że praktycznie można było powiedzieć, że byli w prostej linii potomkami twórców Wież.

Wuur westchnął z nostalgią. Marzenia o zostaniu Nowym Człowiekiem były niebezpieczne. Zwłaszcza, jeśli tak jak on nie umiało się panować nad swoją telepatią. Linia Wuura otrzymała prawo do telepatii dopiero w poprzednim pokoleniu.

Tymczasem na ekranie pojawił się szczególnie wysoki dzikus, o spalonej słońcem skórze, nadmiernie rozbudowanych mięśniach, rozbieranym wzroku i tym szczególnym kroku, po którym natychmiast rozpoznawało się Łowców. Gdyby nawet Wuur nie zauważył tych wszystkich szczegółów, to i tak nie mógłby nie dostrzec potężnego łuku, który dzikus trzymał w lewym ręku.

- Tego mi brakowało - mruknął ze złością łącząc się jednocześnie z dyżurnym psychologiem.

Łowcy prawie zawsze sprawiali kłopoty w procesie adaptacyjnym. Z reguły trzeba im było wymieniać osobowość.

- Jena - mruknął w mikrofon łączący go z psychologiem. - Mam Łowcę. Zezwól na depersonifikację.

- Zrobiłeś testy adaptacyjne? - usłyszał w odpowiedzi.

„Za kogo ona się uważa?” - pomyślał ze złością. „Przecież wie, że Nabór dopiero się zaczyna”.

- Wiesz dobrze, że nie zrobiłem - rzucił do mikrofonu, nie kryjąc rozdrażnienia. - Oni dopiero zbliżają się do sali adaptacyjnej. Mają dużego pietra i wloką się jak żółwie - dodał niezupełnie na temat.

- Zrób mu najpierw testy! - usłyszał głos Jeny.

- Przygotuj więc zestaw hipnotyczny! - warknął Wuur i rozłączył się.

To ostatnie było już czystą złością, ponieważ zestaw hipnotyczny podlegał jemu, jako dyżurnemu technikowi. Jena była jednak dopiero dziewiątym pokoleniem i przez to stała niżej w hierarchii społecznej. Wuur nie bardzo wiedział, dlaczego udało jej się zejść wyżej niż jemu. Miał prawo rozkazywać osobom pochodzącym z późniejszych Naborów i postanowił to wykorzystać, bo Jena go zdenerwowała tym swoim idiotycznym pytaniem o testy.

- Wuur! Powtórz swoje polecenie na taśmę! - usłyszał ponownie jej głos w głośniku.

- Nie mam obowiązku tłumaczyć się takim jak ty - odpowiedział jej z całą złością, jakiej nabrał w trakcie swoich rozmyślań.

- Twoje polecenie wykracza poza zakres moich obowiązków i nie mogę go przyjąć - odpowiedziała mu, bynajmniej nie wyprowadzona z równowagi. - Ponieważ jesteś dziesiątym pokoleniem, więc z uwagi na tradycję jestem zmuszona je wykonać. Mam jednak prawo żądać potwierdzenia takiego polecenia na taśmie.

- Proszę bardzo - Wuur bardzo lubił wykazywać swoją wyższość każdemu. - Powtarzam: zlecam ci przygotowanie zestawu hipnotycznego.

- Dziękuję. Przyjęłam.

Lekki trzask przełącznika oznajmił mu, że się wyłączyła. Spojrzał na ekran. Dzicy doszli tymczasem

do sali adaptacyjnej i stali teraz zagubieni, nie wiedząc zupełnie, co robić. Wuur zaklął pod nosem. O mały włos przeoczyłby ten moment. Szybko wduśił przycisk uruchamiający roboty adaptacyjne. Po chwili na sali pojawiły się roboty człekokształtne, ubrane w stroje rytualne. Sprawnie rozpoczęły rozbieranie przybyszów. Kłopoty zaczęły się przy Łowcy, który nie chciał oddać łuku.

- Jak on się nazywa? - zapytał Wuur.

- Noor - odpowiedział mu robot, szamoczący się akurat z niesfornym Łowcą.

- Uśpić! - rozkazał Wuur, klnąc w myślach.

Jena oczywiście musiała robić te swoje testy, a on miał przez nią same kłopoty. Reszta dzikusów tymczasem rozpoczęła już układać się w pojemnikach adaptacyjnych. Bali się, ale jeszcze bardziej bali się zbuntować w najmniejszym nawet stopniu.

Nagle Wuur poczuł, że ktoś wszedł do sali kontroli. Był pewien, że to Jena.

- Mówiłem, żebyś przygotowała zestaw hipnotyczny - powiedział z rozdrażnieniem, obracając się jednocześnie z fotelem w jej stronę.

To nie była jednak Jena, która w tym momencie włączyła się mówiąc, że zestaw hipnotyczny jest przygotowany i że może zaczynać, kiedy zechce. Wuur próbował coś powiedzieć, ale po prostu nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Przed nim bowiem stali Loop i Lara.

- Na Herthsa! - przemknęło mu przez głowę. - Tajna Rada!

- Kontynuuj program Naboru! - odezwał się Loop, jakby nie zauważył wrażenia, jakie ich wizyta zrobiła na techniku.

- Taaak, Czcigodny - wykrztusił Wuur, prawie po omacku wciskając przycisk uruchamiający właściwy proces adaptacyjny.

- Jeżeli pamiętam procedurę Naboru, przygotowanie zestawu hipnotycznego należy do dyżurnego technika - zauważyła bezosobowo Lara.

- Miałem kłopoty z Łowcą, który znalazł się w mojej grupie - odpowiedział niepewnie Wuur, czując jak pot zaczyna mu ściekać po całym ciele.

Był zły na siebie. Po jakiego diabła chciał koniecznie wykazać Jenie swoją wyższość?

Loop i Lara stali tymczasem nieruchomo. Poczuł z przerażeniem że oboje czytają w jego myślach.

- Myślę, że się nadaje. Ambitny. Głupi. Prymitywny. Wysoce rozwinięty instynkt hierarchii. Nie umie samodzielnie myśleć - podsumował go w myślach Loop.

- Na tyle głupi, że może się potem wygadać - dodała Lara. - Może spróbować z tą Jeną?

- Nie, to dobry fachowiec. Myślałem nawet, żeby za parę lat przyłączyć ją do Nowych Ludzi - odparł Loop.

- Co z nim zrobimy?

- Teraz będzie służył nam, a potem w dżunglę.

- Tylko nie mów, że to ja podsunęłam ci ten pomysł - odpowiedziała mu w myślach i już głośno dodała:

- Przygotuj dwa dodatkowe zestawy adaptacyjne z zestawem informatyczno-historycznym. Bez zamiany ciał.

- Tak jest, Czcigodna - usłyszała w odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że po raz ostatni zdarza ci się zapominać o obowiązkach - odezwał się Loop. - Gdyby nie Nabór, musiałbym cię usunąć. W tym wypadku daję ci szansę. A tego Łowcę potraktuj jak innych! Nie chcę słyszeć o żadnej depersonifikacji - dodał, znajdując się już w drzwiach.

Oboje wyszli, a Wuur przez dłuższą chwilę nie był w stanie nic zrobić. Kiedy się wreszcie otrząsnął, połączył się z Jeną.

- Przygotuj dwa dodatkowe testy! - rozkazał.

- Wiem - odparła i wyłączyła się.

- U niej widać też byli - pomyślał Wuur z odrobiną żalu. Przypomniało mu to, że nikt nie jest niezastąpiony na tym najlepszym ze światów.

\* \* \*

Pet siedział w głębokim fotelu ustawionym w ich apartamencie i wpatrywał się w widok roztaczający się z okna. Dookoła królowało morze zieleni. Cudowna dżungla o fantastycznej roślinności, drzewach sięgających niekiedy stu metrów wysokości i kolorze liści zmieniającym się od zieleni aż po szkarłat. Z wysokości wieży widok był wspaniały, a nawet wzniosły. Czarna budowla musiała dla obserwatora z zewnątrz stanowić pomnik potęgi, władzy i pychy.

Z tej wysokości nie było widać, czy w dżungli ktoś mieszka, czy nie. Ale nawet z bliska nikt chyba nie byłby w stanie tego stwierdzić bez odpowiedniej aparatury. Ta myśl wyrwała Peta z lekkiego rozmarzenia w jakie wprawił go roztaczający się przed nim krajobraz i ciepło prawdziwego słońca wpadające przez ściany, które stały się przezroczyste po naciśnięciu kilku przycisków znajdujących się w pokoju.

Anna leżała na wielkim łóżu bezwstydnie naga i opalała się. Twierdziła, że jeśli ściany są przezroczyste, to z pewnością przepuszczają ultrafiolet. Chyba miała rację, bo inaczej twarze wszystkich napotkanych dotąd osób byłyby blade jak papier. Fakt, że nie widzieli zbyt wielu z nich, był do nadrobienia.

Pet przez chwilę przyglądał się Annie, która podłożyła sobie obie ręce pod głowę i twarz z zamkniętymi oczyma zwróciła ku niemu. Nie był pewien, czy oczy jej są tak do końca zamknięte. Anna zaś, nieświadoma jego myśli, kiwała stopą, tak jakby bezdźwięcznie nuciła sobie jakąś piosenkę. Pet patrzył na ten widok z lekką nostalgią. Od ponad trzech tysięcy lat ziemskich i ośmiuset lat ich życia indywidualnego, nie zdarzyło im się wpaść w stan tak kompletnego odprężenia. Najpierw Ziemia i Hildor zmuszały ich do ciągłego napięcia, potem lot i awaria, wreszcie te ponad czterysta lat kolonizacji Hildora i powrót na Ziemię. Cały ten czas był okresem napięć, walki, rywalizacji, głównie w obcym i wrogim środowisku. Pozwolenie sobie na luksus odprężenia mogło kosztować życie. Tak zginął Jeni - pierwszy dowódca „Feniksa” - w czasie próby uruchomienia reaktorów w dwa lata po awarii. Tak zginęła pierwsza wyprawa zwiadowcza na Hildora, który wtedy jeszcze był tylko jedną z sześciu planet gwiazdy MCX/120873 w Plejadach. Tak zginęła prawie połowa Rady Hildora w czasie pierwszego i drugiego buntu młodych.

Pet poczuł się staro. Podwójnie staro. W liczbach bezwzględnych był prawie tak stary jak Czarne Wieże, a właściwie nawet starszy od nich. W latach biologicznych był natomiast starszy od najstarszych z żyjących obecnie na Ziemi ludzi. To samo dotyczyło Anny. Obydwoje byli nieśmiertelni, przynajmniej w rozumieniu mieszkańców Czarnych Wież. Sami zresztą nie wiedzieli, jakie są dokładne granice ich życia. Hildor twierdził, że mogą przeżyć od tysiąca do dwóch i pół tysięcy lat. Przedział był ogromny, ale dla nich bez znaczenia. Po ośmiuset latach życia i pewności nadejścia śmierci poglądy na to ostatnie pojęcie zostają obdarte z lęku. Dzięki anabiozie mogli przecież przedłużyć swoje życie do granic niewyobrażalnych dla normalnych ludzi. Liczyło się tylko to, co zrobili dla Hildorczyków. Tajna Rada również musiała żyć dłużej niż przeciętni Ziemianie. Pet wyczuł to na podstawie ich zachowania. Pewność siebie, wyniosłość, dostojność i wreszcie to spojrzenie pełne doświadczenia, znajomości życia i pewnego, z trudem zauważalnego, zmęczenia.

Anna tymczasem przekręciła się na pośłaniu i wystawiła do słońca plecy. Dopiero teraz można było w pełni docenić wspaniałość linii jej ciała. Pet potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie smutne myśli. Spojrzał jeszcze raz na dżunglę. Tam żyli ludzie. W Czarnych Wieżach również. Czy byli tacy sami? Było to jedno z najważniejszych pytań, na jakie musieli z Anną znaleźć odpowiedź.

- Co byś zrobiła, gdyby na Hildorze zjawił się statek z Ziemi, który w żadnym przypadku nie powinien dolecieć tam, a już na pewno nie z Ziemi? - zapytał telepatycznie.

Nie obawiał się podsłuchu ze strony Tajnej Rady, bo obydwójce z Anną umieli od dawna sterować długością fal telepatycznych, ich mocą i mnóstwem innych rzeczy, o których Ziemianie nie mieli najwyraźniej pojęcia.

- Czy ty nigdy nie przestaniesz kombinować? - zapytała go rozleniwionym tonem, choć również telepatycznie.

- Ja też się rozklejam - odparł, - ale musimy szybko zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, bo mam wrażenie, że nasze przybycie nie jest tu mile widziane.

- Słodki eufemizm. Oni się nas boją.

- Więc co byś zrobiła?

Anna uniosła się lekko na łokciach i spojrzała na niego uważnie.

- Zniszczyłabym statek natychmiast po pierwszej łączności fonicznej.

- Czemu?

- Bo nie ma już dla nas miejsca na Ziemi. Jesteśmy zbyt inni i jest nas zbyt dużo. A teraz, po naszym przylocie na Ziemię, na Hildorze minęło prawie tysiąc pięćset lat. Jest nas więc jeszcze więcej. Ich przyłot mogliby wykorzystać młodzi, wszyscy śmiertelni, czy ja wiem w końcu kto. Wreszcie sami Ziemianie mogliby zacząć głosić swoje idee, nie zastanawiając się, czy te idee nadają się do naszych warunków. Pod tym względem my z „Feniksa”, niczym szczególnym się od nich nie różnimy.

- Z rozmowy, którą podsłuchaliśmy, wynika, że oni mają te same problemy. Ich błąd polega na tym, że dopuścili do naszego lądowania i do rozkolportowania tej wiadomości. Nie mogą więc nas zabić.

- Przynajmniej na razie.

- Słusznie. Ale nie pozostaną bierni. Zaczną coś robić. Musimy się dowiedzieć co!

Pet uśmiechnął się przewrotnie. Popatrzył przez chwilę na dżunglę.

- Mam kilka pomysłów - dodał z tym samym uśmiechem.

- Zajmiesz się Lara? - zapytała Anna.

- Jest to myśl, ale na początek mogłabyś popodsłuchiwać. Na Hildorze potrafiłaś odbierać myśli z trzech tysięcy kilometrów.

- To byty myśli adresowane do mnie osobiście. Odbieram fale telepatyczne lepiej niż ty, ale nie potrafię zdziałać cudów. Tu, na Ziemi, nie sądzę, żebym mogła przekroczyć jakieś pięćset kilometrów.

- Chodzi tylko o Czarną Wieżę.

- Nie sądzisz chyba, że ktoś zaadresuje myśl specjalnie do mnie.

- Oczywiście, że nie. Natomiast w obrębie trzech kilometrów możesz odebrać praktycznie wszystkich.

- Ty również.

- Ja już próbowałem i nic mi z tego nie wyszło. Nie mam żadnego punktu zaczepienia. Wiesz przecież, że muszę wiedzieć, kogo poszukuję. Tu znamy tylko tę ich Radę, a na podsłuchiwanie Rady nie mogłem się odważyć, bo byłoby to zbyt ryzykowne. Ty natomiast odbierasz wszystkich.

- Na Hildorze nie miałaś takich pomysłów.

- Nikt ich nie miał. Jak sobie wyobrażasz podsłuchiwanie telepatów, którzy kontrolują praktycznie każdą myśl? Tam się robi zwykłą blokadę, tu nikt o tym nie wie.

- Będziesz musiał mi pomóc - odparła Anna po krótkim namyśle. - Jeśli zgodzisz się być przekaźnikiem, to mogę spróbować.

- Chcesz, żebym odbierał całe spektrum? - zapytał Pet z lekkim niepokojem.

- Inaczej nie da rady. Ty musisz ściągnąć każdą myśl, do jakiej uda ci się dotrzeć, a ja będę je selekcionować i kiedy trafię na coś interesującego sama się włączę. W ten sposób będę miała kierunek.

Pet nie lubił tej metody. W czasie całej akcji będzie praktycznie zdany na jej łaskę.

- Boisz się? - zapytała go Anna ze złośliwym uśmiechem.

- Znam cię zbyt dobrze.

- I mimo to boisz się?

- Właśnie dlatego - odparł krótko i spokojnie podniósł się z fotela.

Przez chwilę zastanawiał się jeszcze nad sytuacją. Jeżeli ich wrażenia były słuszne, to Loop w tej chwili już rozkręcił całą machinę, która miała ich unieszkodliwić. Pet nie widział przyczyny na tyle ważnej, żeby mieli razem z Anną stracić życie dla ciemnych interesów Tajnej Rady. Nie miał wyjścia. Podeszedł do Anny, która bez słowa posunęła się trochę na swoim łożu, robiąc mu miejsce obok siebie. Położył się i przez chwilę leżeli nic nie mówiąc.

- Możemy zacząć albo od Tajnej Rady, albo od Wielkiej Zmiany - odezwała się wreszcie Anna. - To są nasze dwa najmocniejsze punkty zaczepienia.

- Wielka Zmiana nic nam właściwie nie mówi. To jest zbyt mgliste pojęcie - zauważył Pet. - Proponuję zacząć od Loopa.

- Zaczynaj!

Pet skupił się i powoli nastawiał swój mózg na wszystkie myśli jakie docierały do ich pokoju. Na początku odczuwał bezładny chaos. W jego mózgu krzyżowały się tysiące myśli bez twarzy, bez adresata. Miłość, złość, zawód, rozpacz i setki bardziej subtelnych, bardziej poplątanych uczuć. Powoli zaczynał włączać się swoim mózgiem w ten chaos, zstępując coraz głębiej w podświadomość nadawców, którzy w większej części nawet nie zdawali sobie sprawy z tego faktu, że nadają telepatycznie. Nagle poczuł jakiś szczególnie silny strumień myśli, należący do wielkiej grupy ludzi. To był strach. Jego świadomość wyłączyła się nagle - zadziałały mechanizmy obronne mózgu. Dopiero w tym momencie do akcji włączyła się Anna. Najpierw wślizgnęła się w jego osobiste odczucia. To było nie fair, ale w stosunku do Peta mogła sobie na to pozwolić. Zaczęła od jego myśli na jej temat. Nie mogła się od tego powstrzymać. Najpierw odczuła lekką obawę, potem nienawiść i wreszcie miłość. Pet ją kochał. Tak, jak mógł kochać telepata, który znał większość jej myśli i który przez czterysta lat był członkiem Rady Głównej Hildora. Była to miłość tłumiona, odrzucana, zwalczana w imię racji wyższych, w imię dobra Hildora. W głębszych warstwach podświadomości, odpowiadających ich lotowi na Ziemię, znalazła podziw dla siebie, uznanie i nienawiść.

Jeszcze głębiej odnalazła troskę o nich oboje, ale przede wszystkim o nią. Odczuła coś w rodzaju wstydu i szybko wycofała się. Chociaż nigdy nie przyznałaby się do tego, jej uczucia względem niego były prawie identyczne. On również zresztą nigdy nie przyznałby się do nich, gdyby go o nie zapytała.

Anna spojrzała czule na jego twarz pokrytą dużymi kroplami potu. Widać było, że Pet długo już nie wytrzyma tego totalnego naporu myśli. Trzeba było działać szybko. Otarła delikatnie jego wilgotną twarz. Skupiła się ponownie i znowu włączyła w jego myśli. Szybko przeleciała całe masy rozbieganych spostrzeżeń, odczuć. Wreszcie znalazła coś interesującego. Dotyczyło to jakiegoś Wuura, kierującego jakimś Naborem. Mówił Loop. Anna delikatnie wcisnęła się w ich fale. Bardzo płytko, ale nawet to było szalenie ciekawe. Loop zlecał przygotowanie dwóch dodatkowych zestawów adaptacyjnych. Była pewna, że tyczy się to bezpośrednio ich osób. Potem Loop mówił do Lary o jakiejś Jenie i o tym, że trzeba ją będzie promować do rangi Nowych Ludzi. Nie miała odwagi wejść głębiej w ich myśli, żeby

poznać szczegóły. Dowiedziała się jeszcze, że Bor i Nazon szukają szczegółów o Hildorze i o „Feniksie”, i zaraz potem straciła kontakt. Musieli wejść w jakiś obszar tłumiący fale telepatyczne. Skupiła się na owym Wuurze. Od niego dowiedziała się, co to jest Nabór i on zwrócił jej uwagę na kogoś o imieniu Noor. Postanowiła zaryzykować i weszła bezpośrednio w myśli Wuura. Podejrzewała, że co najwyżej będzie on podejrzewał Tajną Radę i nie omyliła się. Dzięki temu zapoznała się z całą procedurą Naboru. Mogłaby nawet zastąpić Wuura.

Pet tymczasem zaczął oddychać coraz ciężej i głośniej. Pot lał mu się strumieniami po całym ciele, a twarz nabiegła krwią. Anna błyskawicznie zastanowiła się, czy może go jeszcze wykorzystać. Postanowiła zaryzykować i odnalazła myśli owego Noora. Na początku odczuła tylko strach przed jakimś Hert - hsem, który paraliżował wszystkie jego odczucia. Zastosowała jedyną rzecz, jaka była w tej sytuacji możliwa do zrobienia. Wtargnęła bezpośrednio w podświadomość i zneutralizowała czasowo wpływ jego osoby. Umysł Noora był praktycznie pusty. Miał trochę obrazów jakiegoś urzędnika, które również napawało go strachem, ale na tym kończyła się jego wiedza techniczna. Posiadał za to olbrzymią wiedzę o dżungli i o niebezpieczeństwach, jakie w niej grożą. Anna zaczęła trudny proces przyswajania tej wiedzy w całości. Nie miała czasu na analizę informacji. Postanowiła więc przyswoić ją sobie en bloc. Zbliżała się do końca, kiedy poczuła, że Pet słabnie. Błyskawicznie roztoczyła nad nim blokadę mentalną, uniemożliwiającą mu jakikolwiek odbiór informacji. Odczuła jego fizyczną ulgę i nagłe rozprężenie wszystkich mięśni. Pet musiał już od dłuższego czasu ciągnąć ostatkiem sił i tylko dzięki swojej potwornej sile woli nie pozwolił na przerwanie odbioru. Teraz zemdlął.

Anna chciała się podnieść, otrzeć mu pot i zrobić masaż, lecz nie mogła. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Była również mokra od potu. Jedyne, co mogła zrobić, to utrzymać cały czas blokadę nad mózgiem Peta. Miała nadzieję, że za jakieś pół godziny odzyska on świadomość. Nie mogła przecież wezwać pomocy Loopa, czy któregoś z jego ludzi, przydzielonych do ich dyspozycji.

\* \* \*

Tajna Rada zebrała się w komplecie w gabinecie Loopa. Bor kończył właśnie porządkować dokumenty, które znalazł w Wieży Historyków. Nazon uśmiechał się tajemniczo, z lekkim odcieniem szyderstwa, ale nic nie mówił. Loop, który doskonale widział ten uśmiech nie reagował nań zupełnie, a raczej udawał, że nie reaguje. Nikt nic nie mówił. Bor wreszcie uporządkował swoje papiery i raczył spojrzeć na zebranych.

- Zaczynaj! - przynaglił go Loop.

- „Feniks”, jednostka eksperymentalna typu dziewięć dziewiątek po zerze, zbudowana na dwieście lat przed pierwszą rewolucją biologiczną, w roku trzy tysiące pięćset dwudziestym drugim starej ery. Wystartował w pięć lat później z trzydziestoosobową załogą pod dowództwem Admirała Jeni, mającego na swym koncie cztery wyprawy gwiazdne, w tym pierwszą na gwiazdę Barnarda. Celem lotu był Procjon. W pół roku po starciu stracono z nimi kontakt w czasie planowej łączności z Centrum Lotów na Księżycu. Zdażyli tylko nadać, że mają awarię silników. W dwieście lat później oficjalnie uznano „Feniksa” za zaginionego.

- Odnalazłeś skład załogi? - zapytała Lara.

Bor przez chwilę grzebał w dokumentacji. Wreszcie znalazł jakąś pozółtkłą fotokopię.

- Jeni, admirał sił zbrojnych Układu Słonecznego. Lat czterdzieści dziewięć. Nieżonaty. Studia z astronomii i fizyki skończył...



- Najprawdopodobniej nie żyje - uciął wyliczankę Loop - tak samo jak pozostałe dwadzieścia osiem osób załogi. Nie mamy czasu na mowę pośmiertną. Przejdź do naszych gości!

- Anna. Lat trzydzieści dwa w chwili startu. Cybernetyk i pilot. Studia skończyła z wyróżnieniem na dziesięć lat przed startem. Brała udział w piątej wyprawie na Proximę jako nawigator. Brak adnotacji o ukończeniu odpowiednich studiów. Niezameżna. Bezdzienna. Są odnotowane jej prace z dziedziny genetyki. Również brak danych na temat studiów z tej dziedziny.

- Pet. Kapitan sił zbrojnych Układu Słonecznego, brał udział w wyprawie na Proximę. Brak adnotacji, o którą wyprawę chodzi. Zastępca szefa Sztabu Sił Zbrojnych. Studia fizyczne i matematyczne skończył na czternaście lat przed startem „Feniksa”. Brał udział w akcji ratunkowej Drugiej Wyprawy na Alfę Eridani. Brak szczegółów na ten temat. Ma tytuł inżyniera automatyka. Brak adnotacji o studiach z tej dziedziny. Wzmianka o pracach z genetyki, ale również brak szczegółów. Nieżonaty. Bezdzienny.

- To wszystko? - zapytał Loop.

- Współczynniki inteligencji u całej załogi w przedziale 180-195. Nasi goście mieszczą się na górze tego przedziału. U wszystkich adnotacja S. W tej chwili moi ludzie szukają jakiegoś wyjaśnienia na ten temat.

- Kiedy ostatnio z tobą rozmawiałem, mówiłeś coś o jakimś Hildorze - przypomniała mu Lara.

- Brak szczegółów. Genetyk z ich epoki. Prawdopodobnie bardzo znany i nie akceptowany. Dotąd nie natrafiliśmy na żaden ślad tego nazwiska, jeśli nie liczyć jednej adnotacji zrobionej w czterdzieści trzy lata po ich odlocie, że informacja została wymazana na polecenie rządu.

- Jedyne, co ich łączy - odezwał się wreszcie Nazon - to fakt, że cała załoga, z wyjątkiem Jeni, publikowała prace z dziedziny genetyki. U wszystkich brak jakichkolwiek danych na temat ukończenia odpowiednich studiów. Wygląda na to, że „Feniks” miał załogę złożoną z samch genetyków, którzy tylko przypadkiem znali się również na czymś innym.

- Co oni robili przez cały czas od pozostawienia ich w pokojach gościnnych? - zainteresował się Loop.

- Gadali o bzdurach, kochali się. Teraz śpią i chyba śnią im się koszmary, bo obydwójce się strasznie spocili - odpowiedziała Lara, która zajmowała się doglądaniem gości.

- Nic więcej? - zdziwił się Nazon.

- Owszem. Pet siedział pół godziny patrząc w okno, a Anna się opalała. Żałuj, żeś tego nie widział. Jest bardzo ładnie zbudowana.

- Czyli lepiej niż ty - podsumował jej ostatnią uwagę Bor.

- To w końcu dzikuska w porównaniu z nami! - Lara była wyraźnie zaszokowana porównaniem.

- Jak dużo osób wie o ich przybyciu? - zapytał Loop.

- My, załoga stacji na Plutonie, Wenus, Mars, wszyscy Nowi Ludzie, mieszkańcy Wieży Historyków i naszej. Prawdopodobnie dowiedzieli się o nich kontestatorzy. Nie widzę możliwości pozbycia się ich bez szumu - ubiegła jego myśli Lara.

- To absolutnie nie może wchodzić w rachubę - poparł ją Bor, a Nazon w milczeniu przytaknął im głową.

- Tak tylko myślałem - wycofał się Loop. - Czy podejmowano próby dostania się na ich statek? - zapytał na wszelki wypadek, bo sam nie zlecał przecież takiej akcji.

- Owszem, zleciłem taką próbę - odparł spokojnie Nazon. - Myślałem, że może znajdę coś w dokumentach pokładowych - dodał tytułem wyjaśnienia.

- I co? - zapytała Lara.

- Wynik negatywny, jak poprzednio. Nasze grupy kontaktowe nie mogą się zmaterializować w obrębie pola, które chroni ich statek. W czasie prób zginęło dwóch naszych.

- Mam nadzieję, że to byli twoi ludzie - stwierdził raczej, niż zapytał Loop.

- Twoi przecież nie wykonaliby moich poleceń.

- Oni są o wiele bardziej niebezpieczni, niż sądziliśmy - odezwał się Bor.

- Myślisz o tym polu? - zapytała Lara.

- Od chwili powstania grup kontaktowych nie udało nam się znaleźć skutecznego sposobu ochrony przed nimi - przypomniał Bor. Dobrze jest oczywiście posiadać możliwość natychmiastowego przenoszenia się z miejsca na miejsce, ale wywołuje u mnie poczucie niepokoju świadomość, że nie umiem się przed tym bronić. Nie lubię broni absolutnych i nie wierzę w nie. Ich pole jest najlepszym na to dowodem. Mogą się śmiać z naszych grup kontaktowych.

- Przesadzasz - stwierdził stanowczo Loop. - Włączyli pole dopiero wtedy, kiedy zabraliśmy im sondę. Zrobili to na wszelki wypadek, nie mając zielonego pojęcia, że ktoś może im się zmaterializować na pokładzie. Dalej o tym nie wiedzą, więc nie musimy się obawiać, że kiedykolwiek zastosują to pole przeciwko nam.

- Słusznie - zgodził się Nazon. W końcu lecieli cały czas w tym swoim statku. Nie obawiałbym się tego. Problemem są ewentualne następstwa ich przybycia na Ziemię. Nie możemy im zabronić kontaktu z innymi ludźmi, niż nasze światłe grono, bo ci inni zaczną nas podejrzewać o najgorsze. Nie możemy również pozwolić im na swobodne poruszanie się po Ziemi, bo powtórzy się sprawa „Jedności”.

- Racja. Hop II pozwolił Kornowi na głoszenie poglądów sprzed dwóch tysięcy lat i okazało się, że to chwyciło - poparł go Bor.

- Winny nie był Korn, tylko my. Wielka Zmiana posuwa się zbyt wolno. Nasze struktury społeczne praktycznie się nie zmieniły i na tym właśnie wygrywiają kontestatorzy - wtrąciła się stanowczo Lara. - Transformacja gatunku jest z pewnością olbrzymim przedsięwzięciem, ale wywołuje określone niesprawiedliwości. Myślę tu o dzikusach, o naszym systemie kast, etc. Sami to dobrze znacie. Wielka Zmiana stała się w pewnym sensie pustym frazesem. To nam sprawia kłopoty i będzie je nam sprawiało jeszcze długo, jeśli nie zaczniemy działać.

- Znam twoje postulaty - uciął jej wypowiedź Loop.

- Mówiliśmy o nich niedawno.

- Ma rację - poparł ją Nazon.

- Nie czas na kłótnie - zażegnał powstający spór Bor.

- Musimy ustalić, co zrobić z naszymi gośćmi.

- Mówiłem o tym z Lara - odparł Loop. - Proponuję przyłączyć ich do Naboru. Kazałem nawet przygotować zestawy adaptacyjne dla obojga. Dostaną pełną wiedzę historyczną z małym uzupełnieniem. Wszczepimy im zakaz jakichkolwiek akcji wywrotowych i nakażemy im głośić, że są zachwyceni Wielką Zmianą.

- To wymaga dość skomplikowanego programu hipnotycznego - zauważył Nazon.

- Zajmie się tym Lara, razem ze mną - uspokoił go Loop.

- A jeżeli nie zechcą się poddać zabiegowi? - zaniepokoił się Bor.

- Jego konieczność wytłumaczy im Lara, chyba, że ktoś z was chciałby ją zastąpić - uspokoił go Loop tonem, w którym przebijała pewność siebie.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli dowiedzą się o tym kontestatorzy, a nawet Nowi Ludzie?

- Naborem w tej wieży kieruje technik Wuur - odezwała się Lara. - Dziesiąte pokolenie. Małe szansę na szybką adaptację do poziomu Nowych Ludzi. Nastraszyliśmy go trochę z Loopem i sądzę, że będzie trzymał język za zębami - jej głos zabrzmiał również pewnie.

- A jeżeli nie będzie trzymał? - zaproponował Nazon.

- Myślisz, że utrzymasz go w milczeniu tylko czarem swojej osoby?

- I tak nie masz u mnie żadnych szans - stwierdziła Lara z lekką, choć niezbyt ukrywaną pogardą w głosie. - A po zakończeniu procesu adaptacyjnego Loop chce wysłać go w dżunglę.

- To w końcu jeden z nas - zauważył bez przekonania Bor. - Poza tym, jak to usprawiedliwić?

- Awaria silnika. Panika po lądowaniu. Zawiodły go nerwy. Zaczął biec i zginął - odpowiedział Loop tonem, jakim się ogłasza komunikaty oficjalne.

- Od stu dziesięciu lat nie było żadnej awarii - przypomniała Lara. - Chyba wiesz o tym?

- Najwyższy czas, żeby się zdarzyła. Da nam to pretekst do kilku zmian personalnych, a przy okazji zajmujemy czymś personel techniczny.

- Mały przegląd bieżącej sytuacji w tej dziedzinie bardzo nam się przyda - poparł Loopa Bor. - Zauważyliśmy pewne rozluźnienie dyscypliny, zarówno na Ziemi, jak i na Planetach. Przy okazji trzeba zastosować jakieś sankcje wobec tych na Plutonie. Ten ich pomysł z sondą był czystym niewypałem.

- Więc mamy rozwiązanie - podsumował Loop. - Niech Lara zajmie się gośćmi!

- Proponuję jednak poczekać na zakończenie pierwszej fazy Naboru - dodał Bor.

- Nie mam nic przeciwko temu - zgodził się Loop, patrząc pytająco na resztę.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu, ponieważ oczekiwanie na zakończenie zmiany ciał było rzeczywiście dobrym pomysłem. W ten sposób Nabór nie był w żadnym wypadku zagrożony.

\* \* \*

Pet leżał wciąż z zamkniętymi oczami. Jego oddech stawał się jednak bardziej równomierny. Przystał się również pocić. Anna natomiast wróciła do formy na tyle, że bez nadmiernego wysiłku mogła podnieść się i zrobić Petowi masaż. Przez cały czas musiała jednak utrzymywać nad nim blokadę mentalną. Jego mózg był jeszcze zbyt wycieńczony. Wreszcie Pet zaczął się ruszać.

- Dawno tego nie robiłem - odebrała jego pierwszą świadomą myśl, nasyconą jeszcze niewyobrażalnym dla zwykłych ludzi zmęczeniem i ulgą.

- Ponad trzysta lat - odpowiedziała nie przerywając masażu.

- Mogłaś to przerwać trochę wcześniej - w jego myślach wyczuła podświadomy wyrzut, płynący raczej z wycieńzonego ciała niż z racjonalnych przemyśleń.

Naprawdę, to chciał zapytać Annę o coś zupełnie innego.

- Odpocznij trochę. Potem przekażę ci wszystko, co wiem - uprzedziła jego pytanie.

Przez chwilę opierał się zmagającemu go zmęczeniu, by wreszcie zasnąć. Był to sen bardzo niespokojny i przerywany co chwila okresami pół - jawy. Anna przyglądała mu się tkliwie, ocierając z czoła resztki potu. Wciąż utrzymywała blokadę nad jego mózgiem. Tymczasem w pokoju zrobiło się ciemno. Spojrzała w okno. Na dworze była noc. Piękna, bezchmurna, prawdziwa. Na chwilę zapomniała o wszystkim i wpatrywała się w ten widok, który obudził w niej dawno zapomniane i odrzucone wspomnienia. Podeszła bliżej do okna. Gdzieś w dali zajaśniało migotliwe światło. „Obozowisko Noora” - pomyślała i zdziwiła się skąd jej to przyszło do głowy.

Wtedy przypomniała sobie seans telepatyczny. To stamtąd przybył tu Łowca wraz z towarzyszami. Tam też miało miejsce spotkanie Noora z owym kodarem. Anną wstrząsnął dreszcz na myśl o tym, że mogłaby znaleźć się w owym miejscu w nocy, sama i bez broni. Ludzie - ci „dzicy”, jak ich nazywał pogardliwie Wuur - żyli tam na co dzień, mając za jedyną broń swoje śmieszne tuki. To jej przypomniało, że powrót „Feniksa” nie był radośnie oczekiwany, że najprawdopodobniej czekała ich walka. Spojrzała

jeszcze raz na niebo, na którym świecił teraz Księżyc. Nie zauważyła go wcześniej, nie wiedzieć czemu. Była pełnia, a Księżyc stał już wysoko. Musiała być co najmniej dziesiąta. Jeszcze raz spojrzała na satelitę, który przez całe wieki był natchnieniem poetów i kochanków.

- Czy teraz oni mają poetów? - pomyślała.

Złapała się na tym, że myśli o ludziach, jako o „nich”. Nie potrafiła się z nimi utożsamić. Ucieczka „Feniksa” z Ziemi, bo przecież to była ucieczka, mimo wszystkich użytych sloganów, mających na celu ubranie tego faktu w słowa, znowu zawładnęła jej myślami, tak jak tyle razy w ciągu tych wieków. Hildor miał dwa satelity i one stanowiły wspomnienie jej ojczyzny. Księżyc był piękny, ale było to piękno obiektu turystycznego, który podziwia się i o którym się śni czasami w momentach chandry, ale z którym nie łączy człowieka nic więcej. - Szkoda, że tego nie można słyszeć stąd - pomyślała o tym, czego dowiedziała się od Noora. Dżungla była pełna życia, które przecież musiało stwarzać w nocy swoistą muzykę. W dzień nigdy nie odczuwało się takiego wrażenia.

- Dziękuję ci - odebrała nagle Peta.

Myślał o blokadzie, którą wciąż utrzymywała nad jego mózgiem. Był już w o wiele lepszej kondycji.

- Radź sobie teraz sam! - odparła zdejmując blokadę.

- Kiedyś, jeszcze na Ziemi, byłem w dżungli. Na takiej małej wyspie na Pacyfiku - odezwał się ponownie Pet.

- Świnia. Jak zwykle podsłuchujesz - nadała z nadspodziewanie silną nienawiścią. Czują, że Pet odruchowo zastosował blokadę. Teraz już samodzielnie.

- Przypadek - wyczuła w jego tonie coś na kształt zawstydzenia.

- Zepsułeś wszystko - odparła z żalem, choć już bez gniewu.

Pet musiał rzeczywiście włączyć się w jej myśl przypadkiem, zaraz po przebudzeniu.

- Co wiemy? - zapytał nagle, sztucznie bezosobowo. Za tą bezosobowością Anna wyczuła zakłopotanie. W przypadku Peta był to wyjątkowy wypadek.

- Jesteś jeszcze za słaby, żeby wchłonąć to wszystko.

- Określ więc sytuację swoimi słowami.

- Dobrze.

Zbliżyła się do niego, nie mogąc się jednak powstrzymać od rzucenia jeszcze jednego spojrzenia w okno. Siadła na łóżku tuż koło niego, odrzuciła ręką kosmyk czarnych włosów, który zasłonił jej oczy i rozpoczęła krótkie omówienie swojej wycieczki telepatycznej.

- Oni robią eksperyment genetyczny na skalę całego gatunku. Zaczęło się to w jakieś tysiąc lat po naszym odlocie i jak mi się wydaje, ma na celu zmianę ludzkości w przeciągu pięciu tysięcy lat. Podstawą stało się wynalezienie przez niejakiego Herstha czegoś w rodzaju uniwersalnego zarodnika. Poddaje się go odpowiednim zabiegom, które wpisują w jego kod genetyczny wszystko, co odnosi się do danego człowieka. Następnie zarodnik rozwija się w przeciągu sześciu godzin w dokładną kopię człowieka, którego zapis został w nim zakodowany. Z tą tylko różnicą, że możliwości takiej kopii są praktycznie nieograniczone. Natomiast oryginał ginie, przekazując całą zawartość mózgu do pamięci kopii. Ten właśnie zabieg wykonuje się na tubylcach w czasie Naboru, z tym, że oni sami nie zdają sobie sprawy z faktu zamiany ciał. Jest to zresztą absolutną tajemnicą. Obiegowa wersja głosi, że transformacji dokonuje się przez odpowiednie napromieniowanie zwykłymi cząstkami alfa, które odpowiednio ukierunkowane wywołują mutację. Tubylcy otrzymują dodatkowo wiedzę potrzebną im do wykonywania czynności, do których zostali zakwalifikowani na podstawie wstępnych testów. Przy okazji wszczepia im się przekonanie, że ich poprzednie życie jest godne potępienia i że w żadnym wypadku nie mogą wracać do swoich rodzinnych szczepów.

Wież jest trzysta i żyje w nich średnio po trzy miliony ludzi. Dzikich jest około półtora miliarda. Na

Marsie i Wenus żyje w sumie około pięciu milionów ludzi. Na Księżycu i stacjach kosmicznych zaledwie trzy tysiące.

- Więc Hildor miał rację - przerwał jej Pet z zadowoleniem.

- Wątpiłeś w to?

- Czasami - odparł, uważnie wczuwając się w jej myśli, w których szukał potwierdzenia faktu, że ona wątpiła również.

Nie dała mu jednak tej satysfakcji.

- Co jeszcze? - zapytał tym samym sztucznie bezosobowym tonem.

- Oficjalna interpretacja faktu istnienia dzikich powołuje się na potrzebę wzmocnienia fizycznego ludzi jako rasy. Nieoficjalna przyczyna jest bardziej prozaiczna. Wyprodukowanie uniwersalnego zarodka zajmuje prawie sto lat. Przy maksymalnie dużej produkcji, którą zresztą osiągnięto niedawno, w warunkach pełnej tajemnicy, nie można wyprodukować ich jednorazowo więcej niż czterdzieści tysięcy. Tyle wynosi dokładnie jednorazowy Nabór, z tym, że obecnie zarodniki produkowane są w procesie ciągłym, tak że Nabór będzie można przeprowadzać, co jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat. Obecna liczba Wież wystarczy na jeszcze bardzo długo, ponieważ mogą jednorazowo pomieścić trzykrotnie więcej mieszkańców.

- Gdzie jest w tym wszystkim miejsce Tajnej Rady? - przerwał jej Pet ze zniecierpliwieniem.

- To ma związek ze strukturą społeczną. Jak mówiłam, kopie mają nieograniczone praktycznie możliwości. W chwili obecnej jednak udało się uzyskać tylko długowieczność, telepatię i teleportację. Wszystkie trzy możliwości osiągnęło jednak zaledwie około dwudziestu siedmiu tysięcy ludzi, których nazywają Nowymi Ludźmi. Ci stoją w hierarchii najwyżej i z nich wywodzi się Tajna Rada. Reszta posiada pewne zdolności telepatyczne, z których największe miałeś możliwość podziwiać u Tajnej Rady, i przeciętną życia od stu pięćdziesięciu do około czterystu lat. W zależności od posiadanych zdolności każdy człowiek stoi wyżej lub niżej w hierarchii. Dużą rolę odgrywa tu również liczba pokoleń, od których żyje się w Wieżach. Nowi Ludzie pochodzą z reguły z najwcześniejszych Naborów.

- Dowiedziałaś się czegoś o owych kontestatorach?

- Bardzo ogólnie. Wuur, osobnik, z którego mózgu czerpałam większość tej wiedzy, wie na ich temat bardzo mało. Zaczęło się to jakieś dziewięćset lat temu od człowieka zwanego Korn, który przybył z gwiazd. Zginął on za szerzenie poglądów o bezsensie całego eksperymentu, który oficjalnie nazywa się tu Wielką Zmianą. Od tej pory przez cały czas w którejś z Wież podnoszą się głosy o słuszności tego stwierdzenia. Tajna Rada boi się ich, ale nie za bardzo. To już jest jednak tylko wrażenie, jakie odniosłam podsłuchując Loopa.

- Udało ci się może wejść w myśli Tajnej Rady? - zainteresował się Pet.

- Tylko raz. W sumie kilkuminutowa rozmowa z owym Wuurem, o którym mówiłam. Nic konkretnego. Dopóki nie dowiemy się dokładnie, jakie oni mają możliwości w dziedzinie telepatii, boję się wkraczać bezpośrednio w ich mózg. Wuur natomiast niewiele wie na ten temat. Telepatię uzyskał dopiero dwa pokolenia temu, na skutek krzyżówek w obrębie mieszkańców Wież.

- Same ogólniki - podsumował Pet. - Dalej nie wiemy nic na temat Rady, Naboru, a przede wszystkim tego mnóstwa szczegółów, które składają się na codzienne życie. Trafiliśmy na sytuację szczególną, a mianowicie ten Nabór...

- Bardzo ciekawie mówisz - przerwała mu uprzejmie.

- Wybacz - zreflektował się Pet - zagalopowałam się.

- Wiem jeszcze sporo rzeczy na temat życia w dżungli. Na dzikich możemy stosować wszystkie nasze sztuczki. I jeszcze jedno, dzicy uważają owego Herthsa za Boga. To się może nam jeszcze przydać.

- Nie mam zamiaru zwiedzać dżungli.

- Szkoda. To bardzo pouczające.

- Dla kogo?

- Dla nas. Tam zaszła jakaś potworna mutacja.

- Nic o naszych skromnych osobach? - Pet najwyraźniej wracał do formy i z minuty na minutę stawał się taki jak dawniej.

- Loop z Lara kazali przygotować dwa dodatkowe zestawy adaptacyjne. Mówi ci to coś?

- Czysto i sprawnie - Pet z podziwem pokiwał głową. - Mówiłaś, że oni wszczepiają dzikim nakaz pozostawania w Wieżach?

- Coś w tym właśnie rodzaju.

- Humanitaryzm jednak nie zginął - Pet nadawał z wyraźnym uznaniem.

- Z punktu widzenia Tajnej Rady, jeśli rzeczywiście chcą nas unieszkodliwić, takie rozwiązanie jest najsprawniejsze i najczystsze - przytaknęła Anna, - ale zamiast podziwiać ich, radziłabym coś zrobić.

- Już ciemno? - zdziwił się Pet. - Szybko nam minął ten pierwszy dzień na Ziemi.

- Ciemno jest już od paru godzin. Jeśli nie chcesz rozmawiać ze mną o naszych skórkach, to ja idę spać. Mam w nosie wszystko. Jestem potwornie zmęczona.

- Spałaś prawie trzysta lat - Pet wrócił już całkiem do formy i Anna wyczuła w jego myślach pewną zaczepkę.

- Jak chcesz - mruknęła, nie wiedząc czemu na głos, a zaraz potem dodała w myślach: - Jeśli jesteś taki sprytny, to masz pięć minut czasu na zajrzenie w moje myśli i przyswojenie wszystkiego, co wydusiłam z naszego seansu. Potem idę spać.

Powiedziawszy to, zręcznie przeskoczyła przez niego i zvaliła się z westchnieniem ulgi na łóżku.

Przez dobrych kilka minut nic nie mówili. Pet wykorzystał ten czas rzeczywiście na przyswojenie sobie jej świadomości. Gdy skończył, gwizdnął z uznaniem.

- Sporo tego!

- Sporo?! - usłyszał znów złowrogi szept.

- Mnóstwo! - poprawił się zaraz.

Nagle usłyszeli mocne pukanie do drzwi.

- Myślałam, że są dźwiękoszczelne - powiedziała zdziwiona Anna.

- Nie myśl tyle - poradził jej Pet, podnosząc się ciężko z łóżka. - Ale jestem skonany! - mruknął, przeciągając się pospiesznie.

Anna poszła w jego ślady. Również nie czuła się najlepiej. Powoli podeszła do swojej tuniki leżącej bezwładnie na podłodze, jako niemy świadek ich popołudniowych igraszek. Podniosła ją, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie i zaczęła po - N spiesznie nakładać ją na siebie.

- Pruderia? - odezwał się Pet, idąc w stronę drzwi.

- Zarozumiałość - odparła wyniośle. - Nie chcę bulwersować naszych gości - dodała z przewrotnym uśmiechem.

Pet tego już jednak nie słyszał lub udał, że nie słyszy. Zamiast tego oblekł swoją twarz w miły uśmiech, jakiego często używał na Hildorze w czasie oficjalnych wystąpień. Uważał, że w ten sposób robi wrażenie „swojego” człowieka. Otworzył drzwi, za którymi stała Lara.

- Widzę, że tajna Rada przysyła nam swojego najmilszego przedstawiciela - przywitał ją tonem, w którym wyraźnie odczuwało się uznanie dla piękna Namiestnika Azji.

Lara skinęła mu wdzięcznie głową, na której tkwiła misterna konstrukcja z jej czarnych włosów, podkreślająca doskonale perfekcję jej twarzy i przede wszystkim szyi. Przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w Peta wzrokiem beznamietnym, ostro kontrastującym z jej urodą. Potem dystyngowanie weszła do pokoju i spojrzała na Annę, która nawet nie próbowała ukryć złości za poprzednią wypowiedź

Peta.

- Widzę, że jesteś żywym przykładem galanterii swoich czasów - powiedziała wreszcie tym samym dwuznacznym tonem, co Pet i z oczu jej znikła wreszcie owa beznamiętność, ustępując miejsca cieniowi kokieterii.

Pet spojrzął na nią uważnie, również skłaniając głowę w geście uznania, a kątem oka zerknął na Annę, której wzrok wyraźnie wskazywał, że mimo swoich stanowczych stwierdzeń sprzed paru godzin, nie będzie tolerowała zbyt długo jego zalotów do Lary.

Ta ostatnia również dostrzegła jego spojrzenie.

- Po trzech tysiącach lat musisz być spragniony towarzystwa - stwierdziła czule.

- Myślę, że potrzeba mu przede wszystkim podnieć intelektualnych - włączyła się Anna również troskliwym tonem, nie zdradzając ani trochę swoich prawdziwych uczuć. Z tego, co zdążyłam zauważyć, będzie mu bardzo trudno je zaspokoić - dodała, uśmiechając się do Lary ze współczuciem.

- Siadaj! Proszę - Pet wskazał pospiesznie Larze stojący w pobliżu fotel. - Z chęcią zaproponowałbym ci coś do picia, ale niestety nie wiem, jak to się tu załatwia.

- Nie dano wam nic do jedzenia? - zdziwiła się Lara.

- Pewno kucharka niezbyt dokładnie zapisała twój przepis - wtrąciła się Anna z udanym smutkiem. - To mi się też zdarzało - dodała uspokajająco.

- Tylko dzicy sami przyrządzają swoje potrawy - odparła Lara z pogardą w głosie, po czym starała się zatuszować sens swych słów, dodając: - W Wieżach nie mamy na to czasu.

- Myślę, że z przyjemnością byśmy coś zjedli - odparła Anna.

Lara popatrzyła na nią dziwnym wzrokiem, ale nic nie powiedziała, tylko podeszła do zestawu przycisków w ścianie, nacisnęła jeden i kazała przynieść obiad na trzy osoby.

- Teraz sobie przypomniałam, że również nic nie jadłam - wyjaśniła, powracając na swoje miejsce. - Siadajcie proszę - dodała, przypominając obojgu, kto tu rządzi.

- Zwrócę uwagę waszym opiekunom - ciągnęła dalej. - To niewybaczalne. W ten sposób potraktować takich gości!

Przez parę minut rozmawiali na tematy neutralne, jeśli za neutralny można uznać pojedynek obu kobiet na słowa, z których każde było obliczone na zadanie jak największego ciosu w miłość własną przeciwniczki. Jeżeli Lara była w tym dotąd niezrównana, to teraz musiała przyznać, że znalazła godną siebie rywalkę. Pet nic nie mówił, tylko uważnie przypatrywał się pięknemu Namiestnikowi zastanawiając się, czy tę rywalizację będzie można wykorzystać dla ich celów. Ich - to znaczy Anny i jego. Doszedł do przekonania, że próżność Lary i jej absolutna ignorancja uczucia przegranej może im się jeszcze przydać, choć nie byłby w stanie powiedzieć dokładnie, do czego i kiedy.

Wreszcie przyniesiono żądane potrawy i po kilkuminutowej ciszy - podczas której ludzie w białych tunikach ustawiali je na stole, rozmowa zesłała na konkretniejsze tematy.

- Domyślam się, że macie mnóstwo pytań - zaczęła Lara.

- Mamy nadzieję, że ty nam na nie odpowiesz - odpowiedziała Anna. - Będzie to namiastka prawdziwych podnieć intelektualnych, których obydwójce z Petem szukamy.

- Tylko nieliczni są w stanie wchłonąć jednorazowo wszystko, co powinniście wiedzieć - odparła Lara tonem, w którym wyraźnie czuło się, że Anna z pewnością do tej grupy nie należała.

Gdyby ktoś w to wątpił, wystarczyłoby, żeby spojrzął w oczy Lary, w których można było wyczytać uroczyście zapewnienie, że jeśli tylko Anna znajdzie się w jej mocy...

- Ty rządzisz tą Wieżą? - zapytał Pet, nie zwracając uwagi na odbywającą się w dalszym ciągu wymianę spojrzeń między paniami.

- To jest Wieża Loopa - odparła. - Moja znajduje się na terenie dawnego Pekinu.

- Po co te wieże? Macie przecież mnóstwo wolnego miejsca - zdziwił się Pet.

- To długa historia - Lara zamilkła na chwilę, zastanawiając się nad czymś. - Myślę, że najpierw powinniście wysłuchać tego, co mam wam do powiedzenia - dodała.

- Mów więc! - odezwała się Anna poważnym już tonem, bez cienia drwiny.

- My już od dawna nie przekazujemy wiedzy za pomocą mikrofilmów, czy metod ustnych. Stosujemy nauczanie hipnotyczne. Myślę, że najprościej byłoby, gdybyście zgodzili się na ten sposób zdobycia wiadomości. Jeśli potem coś wyda wam się niejasne, to będziecie mogli mnie zapytać.

- Hipnotycznie? - zdziwił się Pet.

- Zrobiliście ogromne postępy - dodała Anna.

- Zapewniam was, że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa.

Pet spojrzał pytająco na Annę. Ta przez chwilę zastanawiała się, po czym rzekła z determinacją w głosie:

- I tak będziemy musieli dostosować się do waszego świata.

- Słusznie, lepiej zacząć od razu - przytaknęła jej Lara z uznaniem w głosie.

- Mówiliście coś o telepatii - włączył się ponownie Pet. - Zaraz po wylądowaniu - dodał tonem wyjaśniającym.

- Tak, umiemy czytać myśli - Lara spojrzała na nich z wyraźną wyższością. - Chociaż nie wszyscy - uznała za stosowne dodać po krótkiej chwili.

- Możesz czytać w moich myślach? - w głosie Anny niedowierzanie mieszało się ze strachem.

Lara przez chwilę milczała, walcząc z poczuciem prawdy i chęcią zniszczenia rywalki. Wreszcie lekko wzruszyła ramionami i przyznała:

- Nie wiem czemu, ale z odczytaniem waszych myśli mamy kłopoty.

Nie miała przecież powodów, by kłamać w tej kwestii, a poza tym, takie kłamstwo i tak szybko wyszłoby na jaw. Nie chciała więc dawać Annie jakiegokolwiek satysfakcji.

- Taak - powiedział przeciągle Pet z wyraźnym rozmarzeniem w głosie, - to już tyle wieków.

- Mówiłeś przez radio, że wracacie z Plejad, a przecież celem waszego lotu był Procjon. Skąd taka rozbieżność? - Lara przeszła wreszcie do prawdziwego celu swej wizyty.

- Więc nie zapomnieliście o nas? - ucieszyła się Anna.

- Po tej historii ze stacją na Plutonie myślałem, że bierzecie nas za jakieś potwory - Pet przypomniał jej o potrzebie wyjaśnienia niektórych incydentów, niewyjaśnionych pomimo ich seansu podsłuchującego.

- Oni was rzeczywiście wzięli za obcych - Lara roześmiała się szczerze. - Prawdę mówiąc, gdyby mieli rację, to narobiliiby nam sporych kłopotów. Przecież to była jawna agresja - dodała z lekkim strachem w głosie. Widać było, że odpowiedź na to pytanie miała przygotowaną zawczasu.

- I to wasze milczenie - westchnęła Anna z wyrzutem robiąc wrażenie, jakby zupełnie zapomniała o niedawnej rywalizacji z Lara.

- Wybaczcie, my już od dawna nie latamy w kosmos. Co najwyżej na Marsa czy Wenus, gdzie istnieją ziemskie kolonie. Mamy tak napięty bilans energetyczny, że łączność jest prowadzona tylko raz na tydzień i tylko w uzasadnionych wypadkach.

- Właśnie, zauważyliśmy, że Układ jest pusty - Pet powiedział to z żalem. - Za naszych czasów ruch był tak gęsty, że czasami na lądowanie czekało się po parę godzin.

- Minęły trzy tysiące lat - przypomniała im Lara.

- Co to jest? - zapytała nagle Anna, wskazując na wielokolorową galaretę podaną na przezroczystym półmisku. - Bardzo smaczna - dodała, biorąc sobie drugą porcję.

- Róża wiatrów - odpowiedziała Lara, bynajmniej nie zdziwiona nagłą zmianą tematu. - Nie pytajcie mnie z czego to się składa, bo nie wiem - dodała z przeproszającym uśmiechem.



- Czemu róża wiatrów? - zapytał Pet.

- W czasach, kiedy częściej lataliśmy w Kosmos, bardzo podobnie wyglądał ekran wskazujący położenie w przestrzeni.

- Naprawdę świetne - powtórzyła Anna. - Radzę ci spróbować - dodała wskazując na pusty talerz Peta.

- Skoro obie mi to polecacie - odparł tonem pełnym galanterii i nałożył sobie sporą ilość galarety.

- Rzeczywiście - stwierdził po chwili - ma bardzo oryginalny smak.

- Myślę, że powinniście powiedzieć trochę o sobie - Lara nie dawała się zwieść dygresjom kulinarnym. - Wiemy, że mieliście awarię silników - dodała. - A co było potem?

Pet przybrał żalobną minę i pozwolił sobie na chwilę zadumy.

- To tragiczna historia - rzekł powoli, z trudem zmuszając się do mówienia.

Anna przestała jeść swoją różę wiatrów i odsunęła gwałtownie talerz.

- Tylko my przeżyliśmy - wyznała drewnianym głosem.

- Wszyscy zginęli. Wszyscy! - dodała i oczy jej zaszklily się niebezpiecznie.

- Wybacz! - interweniował w tym momencie Pet. - To dla nas bardzo ciężkie wspomnienia. Przez całą trasę powrotną udało nam się nie myśleć o zmarłych. Teraz ty znowu przywołałaś nasze wspomnienia.

Lara patrzyła na nich z nie ukrywanym współczuciem. Nawet wydawało się, że i Anna odzyskała w jej oczach odrobinę zrozumienia.

- To wy mi wybaczcie! - odezwała się wreszcie z zakłopotaniem. - Nie powinnam was tak brutalnie wciągać we wspomnienia. Powieście mi o tym, jak trochę się oswoicie z Ziemią.

- To byli wspaniali ludzie - powiedziała Anna z głębokim przekonaniem, jakby wcale nie słyszała ostatniego zdania Lary.

Pet spojrzał na nią ze zrozumieniem i w milczeniu ujął jej dłoń, leżącą bezwładnie na stole. Odwzajemniła mu uścisk i uśmiechnęła się do niego niezręcznie. W jej oczach robiło się coraz bardziej mokro i Pet zaczął się obawiać, że zaraz naprawdę się rozpłacze.

- I tak musimy przez to przejść - rzekł miękko, wciąż trzymając dłoń Anny. - Chociażby ze względu na ich pamięć - dodał uroczyście.

- Wybaczcie! Za duże tempo, jak na mnie - Anna wyswobodziła swoją dłoń i uśmiechając się przepaszająco poprawiła włosy w nerwowym i absolutnie niepotrzebnym geście.

- Mieliśmy awarię zespołów sterujących silnikami - rozpoczął nagle Pet. - Straciliśmy nad nimi kontrolę przy pełnym ciągu. Przez dwa lata lecieliśmy z trzykrotnym przyspieszeniem. Dopiero Jeni, nasz dowódca, zdecydował się zaryzykować i wszedł do głównego stosu, aby ręcznie zablokować dopływ energii do silników. W godzinę później umarł. W tym czasie leżeliśmy w większości w hibernatorach, czekając na wyniki kolejnych prób naprawy zniszczonych zespołów. Po obudzeniu okazało się, że lecimy w zupełnie innym kierunku niż zamierzaliśmy. Wtedy postanowiliśmy ustalić dwuletnie dyżury trzyosobowe, w czasie których dyżurni mieli zająć się głównie naprawą zespołów sterujących i aktualizacją mapy nieba. Po prawie trzystu latach znaleźliśmy się na skraju Plejad. Na Ziemi upłynęło ponad tysiąc pięćset lat. Piętnaście wieków...

- Teraz już trzydzieści - sprostowała Anna.

- Hildor też zginął? - zapytała nagle Lara.

- Hildor? - Anna potrząsnęła ze zdziwieniem głową. - Przecież on nie leciał z nami.

- To staruszek wybrał się jednak w kosmos? - zainteresował się Pet.

- Mamy bardzo niepełne informacje o waszym locie - Lara uśmiechnęła się przepaszająco. - Jego nazwisko występuje w informacjach o „Feniksie”, ale bez żadnych szczegółów”. Myślałam, że leciał z wami.

- On był tak stary, że nie wiemy, czy przetrzymałby taki lot - powiedziała z powątpiewaniem Anna.

- A czym się zajmował? Według naszych danych był genetykiem - Lara powiedziała to lekkim tonem, jakby w ogóle nie przywiązywała do tej informacji żadnej uwagi.

Pet wątpił w to jednak. Anna najwyraźniej też - bo odezwała się z wyraźnym zachnięciem.

- Genetykiem?! Macie chyba duże braki w waszym archiwum. Hildor był odkrywcą nowego systemu hibernacji. Tego właśnie, który zastosowano w „Feniksie”.

- Widocznie dane nasze są pomieszane - zgodziła się z nią Lara. Trzydzieści wieków to szmat czasu.

- On chyba rzeczywiście kiedyś zajmował się genetyką - rzekł z wahaniem Pet. - Ale było to ładnych kilkadziesiąt lat przed naszym odlotem.

- Wy również robiliście jakieś prace z tej dziedziny? - zapytała Lara.

- Chyba archiwiści w naszych czasach byli naprawdę niezbyt wykształceni - wtrąciła Anna, wzruszając lekko ramionami. - Pisaliśmy parę artykułów o zaletach systemu hibernacji Hildora, To rzeczywiście było wspaniałe osiągnięcie. Usypianie i powrót do życia trwają zaledwie po dziesięć minut. Dotąd ten proces zajmował do kilku dni - wyjaśniła dalej tonem zapaleńca. - W wypadku awarii, czy w ogóle potrzeby natychmiastowego przebudzenia załogi, proces Hildora był niezastąpiony. Dawał załogom jakieś realne szanse walki o życie. Dotąd uśpiona załoga była praktycznie zdana na los szczęścia. Ale... wy teraz pewnie macie lepsze metody. - dodała nagle uświadamiając sobie, że jej wiedza pochodzi z czasów prehistorycznych.

- Obawiam się, że nie - mruknęła Lara. - Mówiłam wam, że od dawna nie latamy już w kosmos. Będziesz musiała kiedyś wyjaśnić mi to szczegółowo.

- Z przyjemnością - odparła Anna, jakby ucieszona, że mimo upływu czasu nie jest jednak aż tak zacofana. - Kiedy zechcesz - dodała tonem dziewczynki, ucieszony zainteresowaniem, jakie okazał dla jej pomysłu ktoś strasznie dorosły.

Lara uśmiechnęła się lekko do siebie, ale nic nie powiedziała.

- Najprościej będzie, jak polecimy razem na pokład „Feniksa” - zaproponował Pet. - Tam sobie wszystko obejrzysz dokładnie.

- Z przyjemnością - ucieszyła się tym razem Lara.

- Myślę, że najwyższy czas zostawić was teraz samych. Najlepiej idźcie spać, bo już strasznie późno. Jutro wrócimy do naszej rozmowy.

To mówiąc podniosła się od stołu. To samo uczynili Pet z Anną. Już przy drzwiach Lara zatrzymała się na chwilę, jakby coś jej się przypomniało.

- Jakbyście się zdecydowali, to jutro z rana moglibyście zostać poddani procesowi nauki, a dopiero potem polecilibyśmy na „Feniksa”. W ten sposób wiedzielibyście tyle co ja. To by wam znakomicie ułatwiło poznawanie nowej Ziemi.

- Myślę, że nie ma sensu tego odwlekać - zgodził się Pet.

- Ale nie wcześniej niż po południu - dodała Anna. - Jestem potwornie zmęczona.

- A więc do popołudnia - odparła Lara z uśmiechem i wyszła wyraźnie zadowolona ze spotkania.

Pet powoli zamknął za nią drzwi. Przez chwilę obydwój milczeli, patrząc na siebie w zamyśleniu.

- Bardzo miła kobieta - odezwał się wreszcie Pet.

- Tak, nawet mi trochę głupio, że się tak pokłóciłyśmy - odparła Anna, patrząc uważnie w oczy Peta.

- Skończmy wreszcie tę farsę! - dodała w myślach.

- Nie przejmuj się - uspokoił ją Pet, nie zwracając uwagi na jej uwagę telepatyczną. - Obydwój jesteście mocno podnieceni powrotem. Przecież marzyliśmy o nim...

- Chodźmy lepiej spać, jak nam radziła Lara - powiedziała Anna. - Czuję, że jeszcze trochę, a się rozpłaczę - dodała na głos, a w myślach dorzuciła: - Ze wzruszenia nad twoimi zdolnościami aktorskimi.

- Tak jakbyś była gorsza ode mnie. Myślałem, że naprawdę się rozpłaczysz na wspomnienie o śmierci reszty załogi - nadał jej Pet, a na głos dodał zmęczonym tonem:

- Masz rację. Ja też jestem padnięty.

Przez parę następnych minut nic nie mówili i nie myśleli do siebie. Obydwoje starali się ułożyć jak najwygodniej na łóżku.

- Nie wiem, czy się pomieścimy tu razem - odezwała się nagle Anna. Może lepiej będzie, jak przejdziesz do drugiego pokoju?

- Co ci się stało? - pomyślał zdziwiony Pet..

- Jestem zazdrosna o Larę. Kobiety nie zapominają tak łatwo o zdradzie - nadała mu z kpina, w której wyczuł jednak odrobinę szczerości.

- Gdzie się podziała twoja precyzja? Nie ma jeszcze mowy o żadnej zdradzie.

- Ale nie jest to twoją zasługą.

- Nie gniewaj się! - powiedział na głos. - Przecież nic nie było między mną a Larą.

- Widziałam, jak ona na ciebie patrzyła - odpowiedziała mu Anna również na głos.

- Wybacz! - mruknął, pochylając się, aby ją pocałować. Wywinęła mu się z ręcznikiem.

- Ta scena najwyraźniej ci nie wyszła - nadała w myślach z nie ukrywaną kpina.

- śpijmy lepiej! Jutro czeka nas mnóstwo spraw. Dobranoc - powiedział na głos i położył się na boku.

Przez chwilę nic nie mówili, nawet w myślach. Wreszcie Pet uznał, że musieli przekonać wszystkich obserwatorów, że już zasnęli i zaczął pierwszy właściwą rozmowę.

- Co sądzisz o tej wizycie? - nadał.

- Mamy czas jutro do dwunastej. Czyli jakieś dziesięć godzin.

- Jeśli się poddamy hipnozie, to obawiam się, że nie uda nam się jej oprzeć.

- Tej, której używają w procesie przekazywania myśli między kopiami a oryginałem, z pewnością ulegniemy. Nie wiem jednak, czy w naszym wypadku zastosują ten sam proces.

- Z pewnością. Przecież kazali przygotować dwa zestawy adaptacyjne w zespole zajmującym się Naborem.

- Racja.

- Więc co zrobimy?

- Możemy oddziaływać na większość ludzi tu obecnych bez ryzyka zdemaskowania. Na telepatów, takich jak ten Wuur również, jeśli zrobimy na nich wrażenie, że to Tajna Rada przemawia do nich.

- Jeśli zaś nie zgodzimy się na propozycję Lary, to obudzimy ich podejrzania.

- Dzikim możemy wszczepić nasze własne polecenia. To już coś.

- Możemy to zrobić każdemu. Tylko, że nie możemy się z tym zdradzić.

- Nie sądzisz chyba, że potrafimy rozkazywać telepatycznie miliardowi ludzi jednocześnie. O taką megalomanię mimo wszystko cię nie podejrzewałam.

- Dzikim rozkazują przez radio.

- Można im nawet rozkazać zdobyć Wieże. Wiem o tym.

- Nie wygłupiaj się! To poważna sprawa.

- Myślałam, że chodzi tylko o zabawę. Chciałbyś bawić się z nimi w kotka i myszkę. Powiedz, że o tym tylko marzysz.

- Minęło już kilka cennych minut z tych dziesięciu godzin - przypomniał jej z wyrzutem i wyraźną wściekłością, - a ty wciąż robisz z siebie idiotkę.

- Myślisz, że możemy swobodnie wchodzić i wychodzić z naszych pokoi?

- Nie wiem - zawahał się na moment. - Raczej tak.

- Ci faceci, co wnosili naszą kolację, wyglądali na tych samych, których Loop nam przydzielił po

przylocie. Oni chyba cały czas siedzą pod naszymi drzwiami.

- Jest ich zaledwie czterech.

- Musimy się, niestety, zdemaskować.

- Chcesz ich zgładzić?

- Musimy od nich dowiedzieć się wszystkiego o rozkładzie tej Wieży. Plan, zabezpieczenia, system kontroli, liczba strażników, sposoby wyjścia z niej.

- Najpierw trzeba ustalić, co zamierzamy zrobić.

- Myślałam, że to jasne.

- Udaremnić zamiar Tajnej Rady - to jedno, a zrobić to tak, żeby nie zauważyli - to drugie.

- Sabotaż? - zapytała zaciekawiona.

- Bardzo subtelny - odparł, starannie unikając bliższego sprecyzowania swojej myśli. - Ci pod drzwiami z pewnością nie są telepatami. Loop nie poszedłby na takie ryzyko - dodał.

- Możemy nakazać im wszystko, co tylko ci przyjdzie do głowy.

- I zrobimy tak. Jak przedstawia się dokładnie sprawa wiary w tego Herthsa?

- Wiesz tyle co ja.

- Ty lepiej wyczuwasz tę wiedzę - przypomniał jej z lekkim żalem.

- To coś w rodzaju religii dla dzikich.

- W Wieżach panuje pełny racjonalizm?

- No wiesz, pozostały pewne ślady w obiegowym języku - tu zawahała się na moment. - Zresztą to tylko wrażenie.

- A ściślej?

- Mówi się, w niektórych sytuacjach „na Herthsa”, nic więcej.

- Jak myślisz, czy życie codzienne bardzo odbiega od naszych wyobrażeń sprzed trzydziestu wieków?

- Chyba nie zmieniło się zbyt wiele - znów zawahała się.

- Pytasz mnie o rzeczy, o których nie wiem. Nie mam nawet żadnego wrażenia - dodała z rezygnacją.

- To ty sondowałaś myśli Wuura.

- Nie bądź dzieckiem! Wiesz tyle co ja. Byłeś przecież w moich myślach.

- O jednym jestem przeświadczony - odezwał się wreszcie. - Tych czterech musimy pozyskać dla siebie. Potrafimy wprowadzić zmiany w ich myśli i musimy to zrobić.

- A konkretnie?

- Przylecieliśmy z czasów, w których żył Herths. Wiemy, jak wyglądały jego prawdziwe zamierzenia i nie podoba nam się to, co robi dziś Loop i reszta.

- Tego właśnie chce uniknąć Loop.

- I musimy w nim umocnić poczucie słuszności jego decyzji. Oni powinni rozsiać plotki na ten temat po całej Wieży. Więcej, powinni dawać do zrozumienia, że Tajna Rada robi wszystko, żeby nas zneutralizować.

- Jest to do zrobienia. Jeśli kontestatorzy są rzeczywiście taką potencjalną groźbą, jak to wynikało z rozmowy Loopa z Radą w gawilocie, to muszą już teraz o nas wiedzieć i powinni to w jakiś sposób wygrać do swoich celów. To, co proponujesz, ułatwi im tylko zadanie. Tym bardziej, że Rada niezbyt się jednak nimi obecnie przejmuje.

- Teraz trwa Nabór. Dojdzie czterdzieści tysięcy nowych ludzi. Oni będą głównym celem rozgrywek kontestatorów i Tajnej Rady.

- W takim razie musimy dokonać tego samego zabiegu na dzikich, którzy przechodzą Nabór w tej Wieży.

- Ryzykowne. Nic praktycznie nie wiemy o zwyczajach tych ludzi - zaproponował Pet. - Nie wiem też,

czy potrafimy odpowiednio zrekonstruować strukturę ich myśli.

- Takie samo ryzyko odnosi się do tych czterech pod drzwiami.
- Może masz rację - Pet dalej nie był przekonany.
- Ryzyko jest takie samo. Jeśli je podejmować, to na jak największą skalę.
- Zgoda - wyczuła w jego myślach dawną determinację z czasów podboju Hildora.
- Musimy się dostać do Wuura.
- Najpierw tych czterech - przypomniał jej Pet.
- Pojedynczo?
- Tak będzie lepiej.

Następne pół godziny upłynęło im na wnikaniu w myśli czterech strażników, pilnujących ich pokoi. Już na samym początku okazało się, że Loop nakazał meldować sobie o wszystkich czynnościach Peta i Anny. Najpierw więc upewnili się, że wysłali już wiadomość, iż obydwójce zasnęli. Cała ta czwórka pochodziła z ostatniego Naboru i praktycznie nie umiała stosować nawet telepatii, dokładnie jak to przewidywał Pet. Po półgodzinnym zabiegu każdy z nich był przekonany, że Pet i Anna są jakimś wyjątkowym, wiedzącym o Herthscie więcej nawet niż Tajna Rada, która postanowiła ich z tego powodu zgładzić. Mieli oni również jasność co do faktu, że przybysze potępiają działalność Rady. Ich zadaniem było przekazanie tej wiedzy wszystkim zainteresowanym, to znaczy każdemu, do którego mogą mieć zaufanie, że nie doniesie o rozmowie komuś z Nowych Ludzi. Przy okazji dowiedzieli się, że Tajna Rada co tydzień urządza narady w tej właśnie Wieży i że za przywódcę kontestatorów uważany jest niejaki Kuffa, historyk mieszkający w Wieży leżącej na terenie Brazylii. Okazało się również, że Lara sprzyja po części kontestatorom, a w każdym razie gotowa jest ich wykorzystać do swoich celów. Wszystkie te wiadomości były rezultatem plotek wśród bezpośrednich współpracowników i personelu technicznego Loopa. Od nich też Pet z Anną dowiedzieli się najlepszej drogi dojścia do Wuura.

- Trzeba iść! - rzekł Pet po krótkiej chwili odpoczynku, jaką sobie zaofiarowali po zakończeniu sondowania myśli strażników.

- W sali kontroli zainstalowany jest system rejestrujący dźwięk i obraz w czasie całego Naboru. Pamiętaj o tym! - Anna zrobiła się nagle nerwowa.

- Czego się obawiasz? - zapytał zdziwiony Pet. - Przecież, jak dotąd, wszystko poszło doskonale.

- Nigdy nie próbowaliśmy zmieniać czyichś myśli na taką skalę. Nawet na Hildorze były to sporadyczne wypadki.

- Tam byli nasi.

- Tak, masz rację. Rozumiem - zreflektował się Pet. - Ale sama wiesz, że nie mamy wyboru. W tej rozgrywce nie będzie remisu. Albo Tajna Rada podda nas zabiegowi i wykorzysta do własnych celów, albo uda nam się uniemożliwić ich zamiar. W tym celu musimy iść na maksymalne ryzyko. To też już nie są ci sami ludzie, co przed trzema tysiącami lat.

- Chodźmy więc - westchnęła cicho Anna i pierwsza skierowała się w stronę drzwi...

Arsenał

*(fragment)*

1.

Mleko, ocean mleka. Niesiony niewidzialnym prądem zbliżałem się ku powierzchni, wysyconej słonecznym światłem. Kaskady promieni załamywały się na mlecznych cząstkach i rozsypywały dookoła, otaczająca mnie przestrzeń składała się prawie wyłącznie ze świetlnych mikrowybuchów. Leżałem w promienistej poświacie, która była ich efektem, otoczony nią szczelniej niż kokonem - i tylko warstwa mleka dzieląca mnie od powierzchni systematycznie zmniejszała się. Czułem ciepło i leniwą bezwolność w całym ciele.

Wypływałem nadal. Światło stawało się coraz intensywniejsze, tempo wynoszenia nie malało, a jednak do zupełnego wynurzenia nie dochodziło. Spięty oczekiwaniem na nie, poddawałem się bombardowaniu promieni, godzących bezkarnie w moje ciało i powodujących w skórze bolesne mrowienie.

- Wystarczy, Glaser - usłyszałem daleki głos. Doznałem olśnienia. Glaser! Zanurzono mnie w komorze pęcherzykowej, wypełnionej mlekiem, po to żeby... Ale nie. Wyładowania znikły i równocześnie proces wynurzania się z musującego mleka ustał: jasność światła ustaliła się. Czekałem, co będzie dalej.

- Daj spokój, Nyad - rzekł wyjątkowo zrezygnowanym głosem Chief Tenega. - Kogo chcesz oszukać? Przecież tu wszystko widać.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim zorientowałem się, że słowa Chiefa Tenega tym razem były skierowane do mnie.

Uświadomiłem sobie wreszcie, gdzie jestem. Mój wzrok wyostrzył się i ocean wody wapiennej, momentalnie skryształizowany w profilowane, matowe szkło, nakrył mnie od góry półokrągłym wiekiem. Nad nim paliły się lampy. Chief Tenega jeszcze raz powtórzył wywołanie, po płycie krypty, w której się znajdowałem, przesunęło się kilka cieni.

- Udaje obrażonego - poznałem głos Glasera. - Zostawmy go, komandorze, niech leży. Dotąd doskonale radzieliśmy sobie sami, poradziemy sobie i teraz.

Chief Tenega wyraźnie się wahał.

- Mam wrażenie, że błaznujemy tutaj niepotrzebnie - perorował Glaser. - W końcu nikt nas nie zapewnił, że to właśnie Nyad...

- Nie, Glaser - Chief Tenega zdecydował się. - Musimy próbować do ostatka. Historia nigdy by nam nie wybaczyła, że nie wykorzystaliśmy wszystkich możliwości.

Słuchałem z rosnącym zaciekawieniem. Historia. No, proszę. Musiało zajść coś ważnego. Chief Tenega - typ bardziej polityka niż naukowca - nie stronił od dużych słów, których znaczenia często nie rozumiał, ale o historii mówił przy mnie po raz pierwszy. Musiało zajść coś cholernie ważnego. Postanowiłem nie dać poznać po sobie zainteresowania, o nic nie pytać, nie indagować. Jeśli byłem im aż tak potrzebny, prędzej czy później sami powiedzą, w czym rzecz.

- Nyad! - powiedział Chief Tenega. Cienie znowu przesunęły się po wieku krypty. Nie odpowiedziałem i płyta zaczęła odjeżdżać wzdłuż prowadnic. Światła oślepiały; zanim nad wnętrzem anabiozera pojawił się wianuszek ciekawych twarzy, zamknąłem oczy.

Byłem ich bardzo ciekaw, a jednak postanowiłem nie podnosić powiek. Wytrzymałem w ten sposób kilka sekund, potem - wbrew sobie - zacząłem się uśmiechać.

Otworzyłem oczy.

- O - powiedziałem tonem pełnym zdziwienia. - Kogo widzę? Sarroz, Coellan, Szklarz... o, i sam komandor... - uśmiechałem się do nich kolejno, do Glasera szczególnie serdecznie. - Witam, witam. A gdzie Nehemah, nasz kochany oprawca?

- Tu jestem - zawołała Nehemah zza zwałów aparatury. Po chwili pochylała się nad kryptą. - Jak się czujesz?

- W porządku. Dolatujemy, co? Najwyższy czas zrobić rachunek sumienia...

- Nie - uciął Chief Tenega, wyraźnie zły. - Na razie krążymy wokół Tytana. Wstawaj, jesteś potrzebny.

- Chwileczkę - skrzyżowałem ręce na piersiach. - Do czego potrzebny? Kiedy zamykano mnie tu na pański rozkaz i opowiadano liczne bajki na dobranoc, obiecał mi pan święty spokój do samej Ziemi. Co prawda później czekał mnie proces i wyrok, ale przystałem na nie w zamian za te parę godzin krzepkiego snu... Aż tu raptem zmienił pan zdanie. Jestem potrzebny! - parsknąłem z oburzeniem w stronę zgromadzenia i opadłem na nagrzane dno krypty.

- Więc nie zamierzasz stąd wyjść? - twarz Chiefa Tenegi poczerwieniała.

- Ani mi się śni.

- Odmawiasz wykonania rozkazu?

- Odmawiam. Mnie już nic nie zaszkodzi - z satysfakcją patrzyłem na przestraszone twarze Sarroza i Marty Coellan. Nehemah jak zwykle robiła wrażenie, jakby niewiele rozumiała z tego, co się działo. Chief Tenega łapał powietrze i łykał na mnie przekrwionym wzrokiem, w którym malowała się niema prośba o zakończenie przedstawienia.

- Źle pan zrobił sprowadzając tu całą załogę - poradziłem. - Niech pan pomyśli, jak ucierpi na tym pański autorytet. Hortiz i Lloney pewnie na wachcie, co? Wezwij ich tutaj, Nehemah, trochę się rozerwą chłopaczyska...

- Ani kroku! - warknął Chief Tenega do Nehemah, która już zmierzała w stronę interkomu. Był wściekły. Sarroz i Marta Coellan patrzyli nań z trwogą, gotowi na jedno skinienie lizać mu buty. Tylko Szklarz uśmiechał się pod wąsem, choć i on nie wyglądał na przesadnie ubawionego sytuacją. Coś obmyślał.

- Wie pan co, komandorze?, - powiedziałem pojednawczo, chcąc uprzedzić Glasera. - Porozmawiajmy w cztery oczy. Niech pan wyrzuci stąd tych tam - pokazałem wzrokiem. - A nuż okaże się, że pogawędzimy sobie jak za dawnych czasów?

- Wyjdźcie - powiedział Chief Tenega. Odczekał, aż zamkną się drzwi. - O co chodzi?

- Nie domyśla się pan? - pokręcił w milczeniu głową, więc dodałem: - Rozkazał pan zamknąć mnie tu i uśpić, zapowiedziawszy pokazówkę przed Izbą Kosmiczną. A na razie przyszedł pan do mnie - jako kto? Dowódca? Przyjaciel? Kolega? Przyszedł pan rozkazywać - czy prosić? Nie należę do załogi, jak pan to ładnie ujął, więc pana gadanie obchodzi mnie tyle co nic.

- Wycofałem złożony Izbie raport - powiedział - i przywróciłem ci prawa członka załogi. Liczę, że zastanowi cię to i skłoni do zmiany sposobu bycia. Na poważniejszy.

- No, za to nie mogę ręczyć. Nie może pan żądać, żebym udawał kogo innego.

- Posłuchaj, Nyad: sprawa jest wielkiej wagi. Jeśli nam nie pomożesz, nie tylko skaże cię Izba, ale i każdy normalny sąd. To nie wszystko - spotka cię powszechne potępienie opinii publicznej. Nie będzie na Ziemi miejsca, gdzie mógłbyś się ukryć ze swoją niesławą. Wybieraj.

Gwizdnąłem.

- Brzmi to groźnie, ale raczej mało konkretnie. Sądzi pan, że się przelęknę?

Odsunął się bez słowa od brzegu amabiozera. Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi.



Kończyłem się ubierać, kiedy weszła Nehemah. Kazała mi zdjąć koszulę, czułem zimne liźnięcie trąbki stetoskopu i miękki dotyk jej dłoni, ślizgających się po mojej skórze. Oczywiście żadnego parszywego choróbska nie wykryła, czułem się znakomicie. Składała instrumenty na niewysokim stoliku, postukując metalem o szklaną tafłę; podszedłem cicho, capnąłem ją z tyłu i przycisnąłem do siebie. Westchnęła przeciągle. Poluźniłem uchwyt, a ona obróciła się w moich ramionach. Zdziwiająco smakuje pocałunek po okresie pogłębionej anabiozy.

- Jak długo spałem?
- Pięć i pół miesiąca.
- Dlaczego Chief Tenega mnie zbudził?
- Nie domyślasz się? Jesteś mu potrzebny.
- Tyle sam wiem. Ale do czego?

Wzruszyła ramionami i zapatrzyła się gdzieś w bok. Zbyt dobrze ją znałem, żeby dać się nabrać na tę kiepską sztuczkę.

- Nie udawaj, że nie wiesz - powiedziałem surowo. - Zdradź mi zaraz tę wielką tajemnicę - całowałem jej małe ucho mając twarz zanurzoną w pachnącej chmurze włosów. Przywarła do mnie całym ciałem.

- Niedługo sam się dowiesz - była coraz bardziej wiotka. Mój Boże, jak to cudownie po pięciu miesiącach znowu poczuć w rękach kobietę.

- A jeśli oni szykują na mnie pułapkę?

- Nie szykują.

- No, dobrze - zostawiłem ucho w spokoju i zająłem się szyją. Szyja Nehemah stanowiła przykład wyjątkowo dobrej roboty natury, a pośrednio również i jej rodziców. (Z powodu samej szyi można się było w Nehemah zakochać). Zjeżdżałem po niej wolno wargami, aż do wgłębienia przed obojczykiem, które najbardziej lubię.

- Och - powiedziała Nehemah.

- Co robiłaś, kiedy leżałem w anabiozerze?

- Nic takiego...

- Przychodziłaś codziennie przetrzeć ścierką wieko? Przynosiłaś mi kwiaty? Siadałaś wieczorami obok i śpiewałaś dla mnie piosenki?

- Wiesz przecież, że nie umiem śpiewać. Odsunąłem się, żeby widzieć jej twarz. Ładna dziewczyna, bez dwóch zdań. Pomyślałem, że to chyba jej ostatni lot - czas pomyśleć o domu, mężu i dzieciach, osiąść w jakimś spokojnym miejscu na Ziemi... tak jak to robią wszystkie.

- Z kim sypiasz aktualnie? - spytałem:

- Z Hortizem.

- Powiedz mi, że dzisiejszy wieczór masz już zajęty.

- Dobrze.

Na książkach, półkach, na podłodze w kabinie osiadła cieniutka warstewka kurzu. Chodziłem między sprzętami dotykając zmatowiałych powierzchni końcami palców, odnawiając stare znajomości. Moją drogę znaczyły lśniące smugi na blatach, wyrwane z monotonii równych rzędów grzbiety, przesunięte statuetki, po których zostawały czworokątne, ciemniejsze ślady. Wszystko tkwiło na swoich miejscach, tak jak to zostawiłem.

Znalazłem ścierkę, wytarłem dokładnie blat biurka i okładki ułożonych na nim książek. Po namyśle postanowiłem na tym poprzestać. Usiadłem na tapczanie, wziąłem z półki nad nocną szafką ostatni model Canona - ostatni oczywiście przed odlotem z Ziemi, teraz pojawiły się na pewno nowsze. Dmuchałem na futerał, który momentalnie okrył się suchą mgiełką, wyjąłem aparat. W środku jeszcze był film. Ani rusz

nie potrafiłem przypomnieć sobie, jaki temat fotografowałem pięć i pół miesiąca temu. Postanowiłem dowiedzieć się za wszelką cenę - nagle stało się to ważniejsze od wszystkiego innego. Kilkanaście klitek, które zostały do końca, wystrzelałem w ciągu pięciu minut, robiąc do obiektywu najstraszliwsze miny, wykrzywiając się ordynarnie, szczerząc zębiska i przewracając oczami. Od razu poczułem się lepiej. Wręcz ulżyło mi.

Czekając na wywołanie filmu przerzucałem sfatygowane magazyny, które ktoś urzędujący tutaj wcześniej przyniósł ze sobą do ciemni i zostawił. Najnowsze nosiły daty sprzed dwóch lat. Pięć i pół miesiąca temu znałem niektóre z nich na pamięć; przypomnianie sobie wielokrotnie obejrzanych fotografii pachniało powrotem do dawno minionych lat i było nawet do pewnego stopnia przyjemne. Rozkoszowałem się wypełniającą mnie atmosferą niefrasobliwości. Z połyskujących w słabym świetle stronic śmiały się do mnie rozneglizowane pannice, spoglądali sztywni politycy ze swymi żonami, brodaci artyści. Było mi dobrze, nie wiadomo właściwie, z jakiego powodu; przewracając strony, manipulując przy koreksie, przeglądając naświetlone klatki starałem się wykonywać jak najmniej ruchów, aby nie spłoszyć niefrasobliwego nastroju, który się we mnie rozgościł.

Powiesiłem film, żeby wysechł, i ciągle jeszcze mając przed oczami onyksowe figurki Nehemah ujęte w prostokąty klitek wywołałem numer Lloneya. Nie odezwał się. Zbyt dobrze znałem jego zwyczaje, aby przypuszczać, że opuścił o tej porze obserwatorium; wolałem raczej uznać swoją omyłkę. Wykręciłem jeszcze dwukrotnie numer kabiny, a potem, dowiedziawszy się od automatu, że pamięć mnie nie zawiodła, jeszcze raz obserwatorium. Lloney najwyraźniej grał sam ze sobą w rozbieranego pokera, bo nie miał ochoty podnosić słuchawki.

Wobec tego poszedłem do obserwatorium. Było zamknięte. Stojąc przed drzwiami zastanawiałem się, czy Lloney po prostu nie chce nikogo widzieć, czy też śpi z czołem wspartym o okular. Wzruszyłem ramionami; jego nieobecność niczego nie psuła. Zabrałem z magazynu paczkę folii dużego formatu, wróciłem do ciemni. Ustawiłem powiększalnik tuż nad krawędzią stołu, na podłodze rozłożyłem ekran - i czekając po dziesięć minut za każdym razem naświetlałem mało czułe folie do odbitek zdjęć gwiazd - własną wykrzywioną fizjonomią. Dwie ostatnie poświęciłem Nehemah.

Wyszły - wszystkie - znakomicie. Te z Nehemah powiesiłem nad tapczanem w kabinie, do pozostałych dorobiłem podpisy i wyszedłem na korytarz. Na tablicy ogłoszeń przyklepiłem najlepszą - Flip i Flap, Charlie Chaplin, Buster Keaton i Fernandel w jednej osobie: „Adam Nyad - mąż opatrnościowy”. Obok sterowni: „Los cywilizacji w rękach bohaterskiego astronauty” - i moja gęba na ścianie. „Czy mądry i dzielny Nyad wybawi ludzkość z opresji?” - i twarz, której nawet szalenie nie posądziłby o dziesięć deko dobrych intencji. Na przeciwko kabiny Marty Coellan dałem wizerunek, który wydał mi się najbardziej uwodzicielski - niech wie, co straciła. Podpis: „Pogromca siedmiogłowych potworów”. Z arkusza powieszzonego na samym końcu wbijałem straszliwy wzrok prosto w drzwi Chiefa Tenegi, a z moich uśmiechniętych ust wydobywał się dymek: „On z nami - my z nim!”

Po tej robocie zabarykadowałem się w kabinie; leżąc na łóżku przyglądałem się rozciągniętej w skotłowanej pościeli, młodszej o pięć miesięcy Nehemah i rozmyślałem, jak zareagują lecące na tym statku żywe symbole, których mózgownice nie znosiły krzty dowcipu, a które właśnie wystawiłem na kolejną próbę. Czekałem aż do kolacji i stopniowo ogarniała mnie złość - nikt nie dzwonił, nie przybywał, żeby się awanturować, nikomu moje fotogramy nie wydały się naruszeniem dobrego smaku i atmosfery codziennej wydajnej pracy. Jakby wisiały co najmniej od tygodnia.

Wyślizgnałem się z kabiny żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś postępujący zaraz za mną nie pozdejmował obrazków ze ścian - ale nie. Wisiały co do jednego. Obszedłem całą wystawę dwa razy; wracając natknąłem się na Martę Coellan, pod rękę, a jakże, z Sarrozem. Minęli mnie nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na tablicę ogłoszeń z wielką płachtą zdjęcia, o mnie samym nie wspominając.

- Hej - krzyknąłem za nimi - idziecie na kolację?

Sarroz obejrzał się, ale nie odpowiedział słowem; trzymając się za ręce skręcili za róg i choć wyszli prosto na następny plakat, na próżno oczekiwałem kaskady ochów i achów Marty. O mało nie zawróciłem i nie pobiegłem za nimi z pretensjami. Wściekły zamknąłem się w kabinie. Ślepi, czy co?

Na kolację umyślnie spóźniłem się półgodziny; przekroczywszy z miną jak grób próg jadalni zobaczyłem Hortiza manipulującego coś niemrawo przy automatach i Nehemah zapatrzoną w blat stołu. Przed nią stały talerze z prawie nietkniętym posiłkiem.

Usiadłem obok i patrzyłem, jak koniec palca Nehemah rozmazuje po stole białawy kleks mleka w, skomplikowany labirynt ścieżek, plan miasta, w którym nie sposób się rozeznać nawet po trzydziestu latach udawania, że jest się jego mieszkańcem.

Nie jadłem nic; po pięciu miesiącach spędzonych w anabiozerze apetyt wspomina się jako coś niesłychanie odległego i niepotrzebnego. Czułem się jak wyrzeźbiony z kawałka wyschniętego drewna, nawet nieszczęsny Hortiz w kącie nie mógł wzbudzić we mnie odrobiny politowania. Zdjąłem rękę Nehemah z bardzo już odległego centrum kleksa elementu szalonej mozaiki i nie patrząc jej w oczy poprowadziłem za sobą. Mijając ciągle pochylonego przy automacie do wydawania kawy Hortiza zarejestrowałem tylko jego szklany wzrok. Pragnąłem z całej duszy, żeby się odezwał - wtedy mógłbym dać upust wypełniającej mnie wściekłości, o której wiedziałem, że wzięła się z oczekiwania na coś, czego nie byłem pewien, a co miało się zdarzyć za godzinę, za dobę lub za chwilę, z przeczcucia czegoś, o co nie chciałem więcej pytać - i jeszcze stojąc przed drzwiami, żeby przepuścić Nehemah, obejrzałem się chcąc dać mu szansę, ale on w tym samym momencie spuścił wzrok i z wielką gorliwością zajął się swoim automatem.

Usiłowałem być miły dla Nehemah, ale nie potrafiłem. W efekcie przez pół nocy nie odezwaliśmy się do siebie słowem. Wreszcie poczułem ów cudowny stan pogodzenia ze wszystkimi i wszystkim, i przewróciwszy się na plecy spytałem ją czy Lloney pojawił się na kolacji. Nie odpowiadała tak długo, że pomyślałem w końcu, iż nie dosłyszała pytania albo swoim zwyczajem nie zwróciła na nie uwagi.

- Nehemah, czy...

Kłęb gorąca u mego boku poruszył się i westchnął ze zniecierpliwieniem:

- Lloney wyleciał tydzień temu... i nie wrócił - długa przerwa. - Jak myślisz - przerwa - co on tam robi tak długo?

2.

Człowiek po pięciu miesiącach spędzonych w anabiozerze staje się kimś zupełnie innym, w każdym razie w porównaniu z facetem, którym wydawał się kiedyś. Zmiany zaczynają się od fizjologii: tętno spada do czterdziestu uderzeń na minutę i na Ziemi potrzeba kilku dni, by wróciło do normy. Na statkach typu „Megahicle” okres ten wydłużał się do miesiąca. Oprócz tego przez czterdzieści osiem godzin miałem przypominać sobie, że swego czasu dysponowałem apetytem - na razie poza płynami nie brałem do ust żadnego pokarmu. Tyle samo utrzymać się miało znaczne stopień wrażliwości sensorycznej - dopiero teraz pojąłem, że świat mój był przede wszystkim światem dotyków. Biorąc w rękę jakikolwiek przedmiot odnosiłem wrażenie, jakbym chwycił go przez grubą rękawicę. Chodząc zataczałem się lekko. Na zdecydowanie wyższym poziomie znalazło się libido i nawet zastanawiałem się, czy Nehemah nie poszła ze mną do łóżka ze względów, powiedzmy, terapeutycznych, ale w końcu wolałem przyjąć, że zrobiła to z miłości. Z obniżonym znacznie progiem wrażliwości na bodźce dotykowe, lżejszy o dziesięć kilogramów - czułem się stworzony do sprawiania radości kobietom.

Adam Nyad: rzeźba z lekkiego tekowego drzewa, wysuszona i stara, obdarzona przy tym - jak żadna z rzeźb - możliwością ruchu. Słyszałem każdy szmer, w ciemnościach widziałem lepiej od kota - i tak miało pozostać jeszcze przez tydzień. Gdyby nie to, że mimo zmęczenia nie potrafiłem zasnąć, byłbym istotą doskonałą.

Dłuższa anabioza zawsze powoduje kilkudniową bezsenność; prawdę mówiąc tej jednej rzeczy na serio się bałem, kiedy Chief Tenega ostrzegał mnie przy wszystkich i groził zapuszkowaniem. Wszystko można wytrzymać, łącznie z syndromem rzeźby, jak fachowcy określili stan poanabiotyczny - z wyjątkiem tych kilku nocy, które należało spędzić w samotności. W końcu przecież wypadało przestać zebrać o uwagę innych ludzi - i zostawało się nawet bez tego kruchego wsparcia, jakie daje rozmowa. Mimo kobiety oddychającej równo u mego boku miałem cierpieć samotnie, skazany na wiodące donikąd deliberacje. Leżałem wpatrzony w mrok, przygotowany na wiele nudnych godzin ze sobą - w przypływie rozpaczliwej determinacji chciałem budzić Nehemah; nadludzkiem wysiłkiem zdołałem powstrzymać się w ostatniej chwili i tylko mocniej objąłem jej gorące ciało. Przywarło do mnie leniwym ruchem - i to było na razie wszystko, na co mogłem z jej strony liczyć.

Anim się spostrzegł, jak zwerksłowałem na wydarzenia minionego dnia. W zasadzie nie miałem sobie nic do zarzucenia. Zacząłem się zastanawiać nad drugą stroną medalu: skoro podczas mojej pięciomiesięcznej drzemki coś na „Megahicle” zaszło, mogłem tego dochodzić jedynie na podstawie słów i dziwnego zachowania Chiefa Tenegi oraz całej reszty. Nieplanowane budzenie oraz zdumiewająca skwapliwość, z jaką Chief Tenega przystał na moje warunki, dawały do myślenia. Nie miałem też pewności, czy łatwość, z jaką Nehemah zgodziła się pójść ze mną nie wynikała na przykład z polecenia. W dodatku ta jej cholerna tajemniczość... Nehemah nigdy dotąd nie bawiła się w ten sposób. Po raz pierwszy odkąd się poznaliśmy próbowała coś przede mną ukryć - i chyba przed kimkolwiek. Z drugiej strony nie zamierzała wcale udawać, że nie ochrania żadnego sekretu...

Zaplątałem się w jałowe roztrząsanie wrażeń i prawie zapomniałem o głównej sprawie. Wywnioskowałem absolutnie poprawnie, że mnie potrzebują; czemu jednak stosują znowu milczenia, skoro tak czy owak stałem się znowu - lub stanę się w najbliższych dniach - jednym z nich? Nehemah

powiedziała, że się dowiem - lecz czemu zwlekali? Co przeszkadzało Chiefowi Tenedze wygarnąć wszystko od razu i albo zatrzasnąć kłapę, albo rozmrozić mnie do końca? Nie mieli do mnie zaufania. Ha, trudno było wymagać od nich aż tyle... a może po prostu na coś czekali?

Znienacka olśniło mnie. Czekali - przecież to jasne jak słońce - na Lloneya, który nie wracał. Dokąd poleciał? Utwierdzałem się w przekonaniu, że po usunięciu mnie z załogi coś musiało się zdarzyć. Coś... dużego. Chief Tenegani kiedy nie panował nad retoryką, jego wypowiedzi zawsze należało dzielić przez dwa, ale tym razem wydał mi się autentycznie zaaferowany. Jak człowiek - cholernie dobre spostrzeżenie - który pojął, że nie dorósł do okoliczności. Że trafiła się sprawa, która go przytłacza - i chętnie bym poszedł o zakład, że kiedy stał nad anabiozerem, jego oczy nabrały innego wyrazu. Uświadomiłem sobie dopiero teraz, że biła z nich rozpacz. Nie byłem mu potrzebny; byłem jego ostatnią szansą. Oprócz Lloneya, rzecz jasna.

Przypatrzyłem się wywodowi - wydawał się poprawny. Ciągłe jednak nie wiedziałem najważniejszego - nie znałem powodu, który wywołał całe zamieszanie. Co najgorsze, nie spodziewałem się, bym zdołał go wymyślić. Był jeszcze ostatni element: pozostawiony bez reakcji dowcip z fotografiami. Spodziewałem się wywołać śmiech, oburzenie, posądzenie o kabotyństwo, błazeństwo, dziecinadę - jednym słowem oto, o co posądzano mnie przy okazji wszystkich dotychczasowych dowcipów. Ale brak reakcji, kompletne milczenie odebrałem prawie jak kamień obrazy. Jakby efekt mojej parogodzinnej pracy zwyczajnie nie istniał. Jakbym ja sam nie istniał. Jakbym nadal leżał pod mlecznobiałym, wypukłym wiekiem anabiozera.

Starłem się myśleć o tym spokojnie, nie ulegać emocjom. W gruncie rzeczy plansze z moją gębą i głupawymi podpisami były nie tyle próbą rozbawienia kogoś, ile - po wygłoszonym w obecności Chiefa Tenegi credo - bezpośrednim, namacalnym dowodem, że podczas pięciu miesięcy przymusowego leżenia bykiem nie zaszły w moim myśleniu żadne zdecydowane zmiany. Cała akcja stanowiła manifestację suwerenności; dałem odpór i Chief Tenega wiedział już, że będzie miał ze mną trudności. A pozostali? Niemożliwe przecież, żeby nie dostrzegli, co kryje się za paroma błazeńskimi plakatami. Może otrzymali od Chiefa wyraźną instrukcję? Zostałem przy tym domyśle z konieczności; na potwierdzenie hipotezy, iż podlegam obecnie jako egzemplarz przydatny teoretycznie do czegoś tam - specjalnemu traktowaniu, brakowało po prostu dowodów.

Pomyślałem, że jestem egocentrykiem. Egocentryzm przylepił się do mnie, chciałem czy nie - wszędzie mi towarzyszył.

Nawet pięć i pół miesiąca anabiozera nie dało mu rady. Zostawiłem za sobą cały mój poprzedni świat, do którego miałem prawo czuć się przywiązany; nowe sprzęty, przedmioty, sytuacje, wymagały porzucenia ulubionych nawyków - a on jednak przetrzymał. Mogłem na niego liczyć. Jedyne pewnik na tej karuzeli - na siłę można było próbować szukać oparcia w tej stałości.

Wystartowaliśmy jesienią, to znaczy na półkuli północnej trwała wtedy jesień. Wyszedłem z hotelu, w którym spędziłem bezsenność, samotną noc, w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu z kapturem, kilkanaście kroków - i wsiadłem do podstawionego pod samo wejście transportera. Większość załogi tkwiła już na miejscach, siedząc niemal w kompletnej ciemności, rozświetlanej tylko refleksami aerodromu. Czekaliśmy zdaje się na Martę i Nehemah. Kierowca wyglądał jak odlany z metalu posąg; ćmił papierosa. Raz na jakiś czas ogień przed jego twarzą jarzył się i przygasał; zielonkawy poblask od zegarów oświetlał złożone na pulpicie, nieludzko spokojne ręce.

Przegapiłem moment, kiedy nadbiegły. Wnętrze transportera od razu rozbrzmiało głosami. Jacyś ludzie zostali na płycie trzymając nad głowami czarne skrzydła parasoli; w napięte, śliskie, jakby tłuste czasie siekły miarowo strugi deszczu. Nie wiem, czemu zapamiętałem właśnie tę scenę. Jedna z przybyłych usiadła tuż obok i ni to nachylając się, ni to trącąc mnie porozumiewawczo barkiem

powiedziała:

- Cześć.

- Cześć, Marta - odburknąłem.

Płyta aerodromu poruszyła się i pomknęła w tył. Jechaliśmy może pół minuty. Zamknąłem oczy, złożyłem głowę na bufiastą poduchę za karkiem. Czułem tylko dalekie, wytłumione wstrząsy, kiedy kabina transportera wędrowała na uchwycie podnośnika w kierunku luku promu.

- Od tej chwili obejmuję dowództwo - odezwał się Chief Tenega. - Proszę o zapięcie pasów.

Szarpnąłem klamrą; prócz mojego szczęknięcia nie usłyszałem żadnych innych. Jak na komendę. Zakołysaliśmy się miękko na wspornikach, po chwili do kabiny dobiły łagodnie trzpienie zabezpieczenia. Uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu słyszę granie silnika. Otworzyłem oczy; Marta siedziała zwrócona w zupełnie inną stronę, w szczupłej ręce opartej na poręczy fotela ścisnęła kosmatą maskotkę. Nie wiadomo dlaczego poczułem złość. Marta uśmiechnęła się w moją stronę - lub raczej wyobraziłem sobie, że się uśmiechnęła. Panował półmrok, mało co mogłem dojrzeć.

Potem nastąpiło to, co zwykle: włączenie w fotele, przyspieszone trochę oddechy, nagły moment nieważkości i szarpnięcie - prom zacumował na „Megahicle”. Wróciło ciężenie. Podnieśliśmy się z miejsc, żeby odejść do kabin. Anabiozer - zasypianie i w sekundę później budzenie. Na statku minęło pięć miesięcy. Ekran wypełniony ogromną tarczą Jowisza.

Pierwsze spotkanie załogi rozpoczęło się w dwie godziny po rozhermetyzowaniu ostatniego z anabiozerów. Mieliśmy celebrować odtąd z wielką pieczołowitością wspólne posiedzenia, na których piło się hektolitry kawy, soków i pożywek, oglądało coraz to nowsze zdjęcia, dyskutowało sto razy przedtem przedyskutowany i przyjęty program, proponowało zbędne poprawki, które prowokowały kaskady słownych utarczek. Wytaczało się gromady argumentów, ściągając na pomoc filozofów, a nawet literatów. Znikły prywatne rozmowy, w obserwatoriach utrzymywał się nastrój dętej powagi. Od samego początku nie podobało mi się to przedstawienie; rozsierdzony sztucznością sytuacji przy byle okazji ruszałem ostro do kpin, na zebraniach dekowałem się w kącie starając się przybrać znudzony wygląd. Zbędne pytania kwitowałem opryskliwością, nie kryłem zniecierpliwienia.

Trzeciego, a może czwartego dnia po przerwaniu anabiozy - 4owisz zalał już największy ekran - odniosłem wrażenie, jakbym odkrył źródło dewiacji. Graliśmy. Zachowywaliśmy się jak aktorzy. Jak ludzie wykonujący gesty, wypowiadający słowa wyłącznie na pokaz. Robiliśmy to dla kogoś, kto nas obserwował - lecz nie obserwował nas nikt. Po tygodniu spędzonym w sposób, który uznałem za jałowy, wpadło mi do głowy coś, czego na dobrą sprawę mogłem się ucześcić. Rozumowałem mniej więcej tak: odlecieliśmy poprzedzeni potworną reklamą. Każde z nas, wyłonione rzekomo z tysięcy kandydatów (w rzeczywistości nie było prawie żadnych selekcji, decydowało mianowanie - więc rodzaj protekcji) zostało obdarzone zaufaniem tłumów oraz mass - mediów i ponosiło część odpowiedzialności za MISJĘ. Opinie, jakie na nasz temat włączała ludziom propaganda obróciły się, w części przynajmniej, przeciwko nam: w jakimś fragmencie uwierzyliśmy sami w to, co o nas rozgłaszano. I to już nie byliśmy my. Straciliśmy autentyczność, więc i poniekąd tożsamość. Przemyciliśmy na „Megahicle” we własnych głowach stereotyp wyprawy - dla każdego niby odmienny, choć z grubsza łatwo dałoby się wyróżnić wspólne cechy. Każdy hołubił wizję swego udziału w programie - i robił co tylko mógł, żeby jej dorównać.

Rzecz jasna nie przyznawaliśmy się przed sobą do tych oczywistości. Stereotypy „jednostkowe” składały się jednak na stereotyp wyprawy, MISJI - co do którego wszyscy milcząco się zgadzali, więcej, akceptowali go. Nikt nas nie obserwował; oglądaliśmy się sami przez okulary indywidualnych wyobrażeń na temat udziału w MISJI. Śmieszne, lecz prawdziwe - kiedy zdołałem sobie uzmysłowić tę farsę, wydała mi się tak nieprawdopodobnie żalosna, że chciałem o niej zapomnieć. Ale następne dni

kazały mi do niej wrócić. Czuję się podle; widziałem coś, czego inni starali się nie dostrzegać. Każde, nie tylko wspólne, spotkanie umacniało mnie w szalonym przekonaniu.

W końcu nie wytrzymałem. Przepraszając za brak delikatności, za męczenie i zakłócanie ciepła bluznąłem ze swojego kąta stekiem inwektyw. Już wypowiadając je wiedziałem, że nie osiągnę niczego. Przemyślenia wydały mi się zniecierpliwione naciągane, starannie ułożone zdania - mało przekonywujące. Ucichło; czternaście par oczu gapiło się z niedowierzaniem do kąta, skąd głosiłem herezje.

- Właściwie na dziś skończylibyśmy - powiedział Chief Tenega głosem, który mnie zmroził. - Jeśli nikt nie ma nic do dodania, zamykam posiedzenie.

- Zaraz, zaraz - wyrwałem się znowu. - Może byśmy podyskutowali?

- Dziękuję kolegom - powiedział spokojnie Chief Tenega. Ludzie podnosili się z foteli i wychodzili. Stałem jak głupi uświadomiwszy sobie nagle, że próbuję nakłonić ich do tego, za co gromiłem jeszcze pięć minut wcześniej.

- Proszę zgłosić się do mnie za kwadrans - rzekł wymijając mnie Chief Tenega - musimy porozmawiać.

- Nie moglibyśmy tutaj? - spytałem odrobinę za głośno.

- To rozkaz! - syknął.

„Megahicle” od początku wyprawy, ba! od pierwszych ćwiczeń w symulatorze przypominał mi wagon kolejowy. Trochę obszerniejszy niż zwykły wagon - ale jednak wagon. Patrząc na napierające zewsząd ściany, powstrzymywane kruchymi rozporkami, poczułem irracjonalny strach.

- Niech pan spocznie - powitał mnie Chief Tenega. Opadłem na gąbczastą wykładzinę, z której z sykiem wyszło powietrze. Siedział naprzeciwko mnie przyglądając się splecionym rękoma leżącym przed nim na blacie.

- No i co pan wyprawia? - powiedział z nagłą złością, ciągle nie patrząc mi w oczy. - O co panu właściwie chodzi?

Milczałem. Czekałem, co nastąpi dalej.

- Zadałem panu pytanie - smagnął mnie ciężkim spojrzeniem.

- Wszystko, co miałem do powiedzenia, wyłożyłem w konferencyjnej.

Teraz on wydawał się grać na zwłokę.

- Czemu się pan wygłupia, Nyad? - westchnął wreszcie. - Nie ma pan nawet pojęcia, ile pan zepsuł.

- Nie bardzo rozumiem, panie komandorze.

- Niech pan nie udaje. Zastanawiam się, czy zrobił pan to świadomie, czy... - zawahał się - przez głupotę.

- Jak pan woli - wyrwało mi się. Nie zareagował.

- Widzi pan - powiedział powoli, - rozmaici specjaliści od psychologii, terapii grupowej i tym podobnych dyrdymałów zrobili co mogli, żeby ze zbieraniny bądź co bądź przypadkowych ludzi zmontować jakiś zespół. Trzeba było przebadać po kolei nasze charakterystyki psychologiczne, podatność na stresy, zdolność do logicznego działania w sytuacjach ekstremalnych, potem ustalić, na jaki typ motywacji jesteśmy najbardziej podatni, a w końcu wybrać kompromisowy, jeden dla wszystkich system perswadowania - w zamiarze wywołania u każdego zbliżonych odczuć i postaw odnośnie wyprawy. To musiał być zespół, Nyad, reprezentujący maksymalnie zbliżone poglądy na cele i sposób przeprowadzenia wyprawy. Musieliśmy zatem, choć z żalem, pozbyć się największych indywidualistów, wyeliminować tych, którzy przejawiali inklinacje do zbyt samodzielnego, więc nie uporządkowanego i nie podporządkowanego celom wyprawy myślenia. Niech się pan nie śmieje - sztabowi wyprawy wydawało się, że taka zgodność warunkuje powodzenie. Więc niech pan uszanuje tę wielką pracę, jeśli nawet odnosi pan wrażenie, że zdała się ona psu na buty.

Starał się mówić do mnie moim językiem, musiałem mu przyznać.

- To mi nie trafia do przekonania - pokręciłem głową. - Przecież nie wiecie pan tutaj stada baranów, które poza tym, że zajmują się astronomią, geologią, matematyką i świata nie widzą spoza kalkulatorów - kompletnie okastrowano ze zdrowego rozsądku. Jeśli spostrzeżenie na głos dość oczywistej cechy naszych dętych, niepotrzebnych konferencji rozwali panu załogę, lepiej zawrócić od razu.

- Myli się pan - rzekł z naciskiem. - Te konferencje spełniają oprócz innych, merytorycznych celów rolę integrującą. Wie pan - ludzie są próżni. Tylko książki pełne są papierowych bohaterów zapominających o sobie. Jaw takich ludzi nie wierzę. - Jako odpowiedzialny za sukces całości muszę zerować na słabostkach ludzkich i wygrywać je w imię celów wyższego rzędu. Pan tę robotę psuje. Mam prośbę - niech pan tego więcej nie robi.

Chciałem powiedzieć, że to wszystko nie trzyma się kupy, ale znowu musiałbym się powtarzać. Może - mimo pozorów szczerości - Chief Tenega coś jeszcze ukrywał przede mną? Poszedłem prosto do kabiny Marty, ale drzwi zastałem zamknięte. Postąpiłem na korytarzu, rozłożyłem ręce, dotknąłem gładzi przeciwległych ścian i zawróciłem do siebie. Rzuciłem się na tapczan nie zapalając światła. Zasnąłem w ubraniu.

Obudził mnie sygnał interkomu.

- Halo, Adam - poznałem głos Lloneya. - Nie byłeś na kolacji.

- Jakoś tak wyszło - wymamrotałem przecierając pięściami oczy. - Która godzina?

- Jeszcze wcześniej - odrzekł. - Prawie ósma. Słuchaj, masz trochę czasu? To wpadnij do obserwatorium.

Nie zastanawiałem się specjalnie nad jego zaproszeniem. Obserwatorium astronomiczne było najbardziej wysuniętym punktem „Megahicle”; Lloney okraczył małe, wysokie krzeselko i przeglądał najnowsze fotografie nieba, które wykonał w ciągu pierwszych dni po anabiozie.

- Znakomicie wyszły, nie? - przerzucił szeleszczące płachty pomarszczonymi dłońmi. Stałem mu za plecami, przyglądałem się czarnym kleksom i proszkowi na przezroczystych arkuszach. Kiwnąłem głową, ale nie zauważył.

- Patrz w niebo - mówił zupełnie do siebie, jakby o mnie zapomniał. - Taak. Resztę zanalizuje komputer. Obserwuj gwiazdy... W nich tkwi cały sens świata.

Już chciałem powiedzieć, że chyba przesadza, ale Lloney zwinął negatywy w zgrabną tutkę. Wręczył mi ją wskazując etażerkę o blaszanych półkach, całkiem pustych; umieściłem rulon na najwyższej. Lloney odepchnął się piętą od podłogi, odjechał daleko od blaszanego stolika.

- Więc twierdzisz, żeśmy się zasugerowali filmami i gazetami... że usiłujemy dorównać wizjom stworzonym na użytek tych, co się z nami nie zabrali. Masz pretensje, że nie jesteśmy naturalni, że za mało w nas spontaniczności... Tak to formułowałaś?

Nie pytał, stwierdzał raczej, choć jego określenia trochę odbiegały od moich.

- Jakież to wszystko - szukałem odpowiedniego słowa - nieuczciwe.

- Bo nasza sytuacja nie jest uczciwa. Znajdujemy się w kosmosie, w sztucznych warunkach. - Dlatego otoczenie cię drażni. Miejsce człowieka jest na Ziemi. Zmiana środowiska, dość gruntowna, - nie sprowadziła się, niestety, tylko do modyfikacji rozkładu dnia, sposobu odżywiania czy myślenia. My ciągle nie umiemy uwierzyć w realność tej puszki sardynek, choć ona istnieje obiektywnie. Można oszukać zmysły, wyrugować stare przyzwyczajenia, ale nie sposób z dnia na dzień odmienić świadomość ukształtowaną od tysiącleci. Byłeś w otwartym kosmosie? Ja też - więc niby mieliśmy okazję, żeby się przyzwyczaić. Wiesz, kogo przypominamy w gruncie rzeczy? Zwierzęta wyprawiane na orbitę w pierwszych sputnikach. One też czuły się nieswojo i niczego nie rozumiały.

- No, jest jakaś różnica - uśmiechnąłem się. - My wpędziliśmy się w to sami.



- Właśnie - i wiemy, że zakłócenia równowagi psychicznej wynikają z nienaturalności sytuacji, w jakiej przyszło nam działać. Zgadzam się ogólnie z twoją diagnozą, ale bronię ludzkiego prawa do przesady z jednej strony i do bezradności - z drugiej. Nowa sytuacja ewokuje nowe typy zachowań, niektóre tak przesadne, że aż groteskowe - i tak będzie, póki człowiek nie poczuje się w kosmosie jak u siebie.

- To jeszcze długo zejdzie - wypaliłem.

Lloney poruszył się na krzeselku.

- Ty się po prostu boisz - powiedział spokojnie.

3.

Bałem się, ale on bał się również. Nie usiłował udawać bohatera, kiedy wyznawał mi swój strach zaraz potem. Być może poszukiwał w naszym dubeltowym odczuciu jakiejś wspólnoty, która pomogłaby mu łatwiej znosić to wszystko. Miał swoje

lata, więcej życia za sobą niż przed - a jednak i on nie potrafił poradzić sobie z nową sytuacją.

Nie wiedziałem, czy cieszyć się z tego sojuszu, czy nie. W końcu moje położenie zmieniało się bardzo nieznacznie przez to tylko, że było nas dwóch. Zaglądałem do Lloneya codziennie, zastając go za każdym razem niezawodnie na miejscu.

- Chcesz to obejrzyć z bliska? - manipulował przy okularze teleskopu i popatrywał na mnie z boku, pokazując kciukiem gdzieś za siebie. Spojrzałem tam i dopiero po długiej chwili zrozumiałem, że szło mu o ten cały cyrk, w który się wpakowaliśmy. Astronomia nigdy mnie specjalnie nie pasjonowała; skinąłem głową bez entuzjazmu.

Tej nocy kładłem się wstrząśnięty. Zobaczyć - to uwierzyć. Co innego wiedzieć o czymś z książek i telewizji oświatowej, a co innego dotknąć tego przez własne zmysły. „Megahicle” wszedł na orbitę okołojowiszową i okręzał boga planet wpasowany między Ganimesa i Callisto. Widziałem przesuujące się wolno po rozgwieżdżonym nieboskłonie cztery kamiennolodowe bryły, z Których najmniejsza, Europa, dorównywała prawie rozmiarami Księżycowi. Patrzyłem ze wstrzymanym oddechem, jak dogania ją Io, mija, zakręca i znika za olbrzymią, rozlaną tarczą Jowisza. Parę dni później obserwowałem na tle tej tarczy przejście wszystkich trzech wewnętrznych wobec nas księżyców. Regularność i rozległość tego mechanizmu, jaki się przede mną roztoczył, przerastała o parę wysokości moją zdolność pojmowania. Ten świat istniał sam dla siebie - jeszcze nie było człowieka, a on już kręcił się jak olbrzymi zegar zbudowany nie wiadomo przez kogo i po co.

- Niesamowite - stwierdziłem odrywając się od okularu, kiedy nic specjalnego się nie działo. - Patrząc na nie można zwątpić we wszystko.

- Albo uwierzyć w Boga - rzucił spokojnie znad swoich fotografii. Grzebał w nich bez pośpiechu, jakby upajał go sam szelest arkuszy.

Byłem wcieleniem cierpliwości.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o tak zwanym Bogu fizyków? - zapytał. - Bóg utożsamiony z prawami przyrody. Bóg jako los, jako prawidłowość, wyższa siła rządząca tym światem, dzięki której nic nie dzieje się tu bezcelowo, choć my z tego, co się dzieje, niewiele rozumiemy. Einstein wierzył w takiego Boga.

- I co?

Lloney wzruszył ramionami: - Zdaje mi się, że on tu jest. Kiedy otwieram teleskop, mam wrażenie, jakbym zaglądał w jego przedpokoje. Czuję się jak barbarzyńca, jak... świętokradca. Nasza bezczelność musi go zdumiewać.

Pomyślałem, że przyszła moja kolej. Nie mogłem tylko siedzieć i słuchać.

- Odbieram to trochę inaczej - zacząłem. - Wyrośliśmy i zostaliśmy ukształtowani w cywilizacji, gdzie każdy przedmiot, każdy twór powoływany był ze względu na człowieka. Nawet Księżyc wydawał się wisieć wyłącznie po to, by świecić zakochanym. Nasz świat - z niewielkimi wyjątkami - traktuje

człowieka jako podmiot, najważniejszy element. Tu - zastanawiałem się przez moment - nikt nas nie oczekiwał. Żyliśmy przez długie lata o sześćset milionów kilometrów stąd, teraz przylecieliśmy z wizytą. Pobędziemy tutaj, odleciemy z powrotem, narodzą się nasze dzieci i wnuki, potem wnuki naszych dzieci i wnuki naszych wnuków - a tu ciągle, bez najmniejszych przestojów będzie działać ta przeraźliwie dokładna i samowystarczalna maszyna.

- Czasem zdaje mi się - powiedział jakby nie słysząc, - że on jest gdzieś w pobliżu. Ze ta okolica wyjątkowo nadaje się na jego pałac.

- I ty to mówisz? - uśmiechnął się zaskoczony. - Ty, astronom?

- A dlaczego nie? Strach nie wyklucza zachwytu, wiedza - wiary. Wprost przeciwnie. Wiesz, kiedy wybierałem kierunek studiów - właśnie taki - w moim motywowaniu aż kłuła w oczy przypadkowość. Uzasadniałem wybór dziesiątkami argumentów, powymyślanych najczęściej z cudzych ust. Potem, przez całe studia i dalej - gdy brnąłem przez życie - nie przestawały mnie trapić wątpliwości. W końcu wymyśliłem, że zostaję astronomem nie dla pieniędzy czy sławy - to żadne pieniądze i mizerna sława - ale po prostu dla wrażeń estetycznych. Dla piękna ukrytego w tej nauce i jej przedmiocie. Rozparł się łokciami na blaszonym stole.

- Wtedy nie rozumiałem jeszcze, co to oznacza. Co rzeczywiście kryje się w tak uzasadnionym wyborze. Teraz, kiedy zdaje mi się, że rozumiem, kiedy doszedłem, dlaczego jest to prawdą, nie czuję żadnej radości. Nic. Raczej przygnębienie, nawet przykrość.

- Przykrość?

- Dziwisz się? Czy to nie przykre: zrozumieć pod koniec życia, dlaczego się żyło? I, że to miało sens? Nie, nie - wykonał gwałtowny gest, żeby nie przerywał. - Nie w tym rzecz, że tak późno. Dobrze, że w ogóle. Ale - zamilkł na chwilę - teraz, kiedy to odkryłem, chciałbym żyć wiecznie, żeby móc zawsze oglądać takie widoki. A tu trzeba po prostu umrzeć.

To były jego sprawy i jego zmagania; dość miałem własnych. Niemal czułem, jak powoli coś się we mnie przełamuje. Niebo zacieniało się miejscami z ziemią. To, w co do tej pory wierzyłem pełną parą, zaczynało mnie śmieszyć. To zaś, czego wymiaru nie byłem dotąd w stanie przewidzieć ni objąć, zaczynało przygniatać. Jowisz, ten kocioł z kipiącą farbą sprawił, że nie potrafiłem wrócić do równowagi. Sarroz, mający jako drugą specjalizację wpisaną psychologię, rozłożył ręce. Rozprawiał o dysonansie poznawczym, któremu jakoby uległem, zalecał dystansować się... i czekać. Nigdy przesadnie nie szanowałem psychologii, ale teraz nie dałbym za nią funta kłaków. Sarroz, usłyszawszy tę opinię w mało oględnej formie, usiłował uczynić z tego symptom mego stanu. Wyśmiałem go. Odszedł urażony.

Z tego okresu pamiętam jeszcze krótką rozmowę z Chiefem Tenegą. Zagadnął mnie z głupia frant, niby jowialnie i niby przypadkowo.

- No, Nyad, co u ciebie słyhać? Jak tam zdrowie?

- Nietęgo. Jestem bardzo, bardzo chory, panie komandorze.

- Nie opowiadaj - czekał na jakiś znak, objaw złamania konwencji. Wychodziłem ze skóry, żeby się nie uśmiechnąć i nadać swemu wzrokowi wyraz bolesnej, skupionej uwagi. Obserwowałem z satysfakcją, jak wydłuża mu się mina.

- A na co... jesteś chory, Nyad? Nie wiesz przypadkiem?

- Proszę nie bagatelizować, panie komandorze. Czuję, że to poważna sprawa - gęba wyciągnęła mi się jeszcze bardziej. Odczekałem chwilę i palnąłem: - Przestałem wierzyć w cokolwiek, panie komandorze.

Może to i dobrze, że niczego nie zrozumiał. Nadal zawijałem do Lloneya. Zmienialiśmy często orbity, mogłem się napatrzeć do syta. Zadziwiające - po pewnym czasie zaczęły mnie frapować nie wulkany na Io, niezamarznięte do dna oceany na Callisto, nie rowy Ganimedesa - ale sam Jowisz. Tysiącrotnie

większa od Ziemi helowodorowa bania, „zimna gwiazda”, jak mówił Lloney, przyciągała wzrok i myśli. Obserwowałem zorze polarne i gigantyczne wyładowania, strefy burz stukrotnie intensywniejszych od najwściekłych huraganów ziemskich, wpatrywałem się godzinami w Czerwoną Plamę, rozmiarami przewyższającą rozmiary Ziemi, słuchałem objaśnień Lloneya, że to tylko gigantyczny antycyklon atmosferyczny, wirujący w kierunku przeciwnym do wskazówek zegarka, że jego czerwony kolor bierze się z wyniesionego z dolnych warstw atmosfery fosforowodoru, który pod wpływem słonecznego ultrafioletu rozpada się między innymi na czerwony fosfor... Nie wiedzieć czemu zmartwiłem się, że powodem niemożności lądowania jest nie olbrzymia grawitacja Jowisza, ale brak nieciągłego przejścia w atmosferze, skorupy, na której mogliby postawić stopę zdobywcy. Można było jedynie zanurzać się powoli w jego ciele, pod warunkiem dysponowania statkiem - batyskafem, odpornym na atmosferyczne tornada i potworne ciśnienie, skraplające gazy i zestalające je w metalowe jądro - serce tego olbrzyma. Nie zdołałem - mimo usiłowań - znaleźć w Jowiszu nic „ludzkiego”, za co mógłbym nabrać doń sympatii - i mimo, iż coś tam wiedziałem o nim, wysiłek pogodzenia tej wiedzy z urągającym z wnętrza okularu obliczem okazywał się dla mnie ciągle za wielki.

Jako inżynier pokładowy raczej nie narzekałem na brak zajęć, ale też praca nie stanowiła żadnej ucieczki. Godziny spędzane przy reaktorach i aparaturze dłużyły się niemiłosiernie. Wizyty w obserwatorium awansowały do rangi obrzędu. Czerpałem kabotyńską przyjemność z używania przy byle okazji specjalistycznego języka astronomów, nosiłem też i ostentacyjnie wertowałem prace na temat promieniowania Jowisza, hipotez o jego powstaniu - nabijałem sobie tym głowę - i tak mijały kolejne dni. Żegnałem je bez żalu, tak były do siebie podobne. Marta, po kilku aluzjach na temat zaniedbywania, przestała boczyć się kokieteryjnie i zaczęła mnie ignorować - przyjąłem zmianę ze spokojem.

Na naszych naradach zaczęło się przebąkiwać o opuszczeniu układu Jowisza, gdy razem z Glaserem wzięliśmy się za „bękartą” - mały reaktor energetyczny, mający znaczenie dopiero w przypadku poważniejszej awarii systemu głównego. Zgodnie z harmonogramem należało dokonać odpowiedniego przeglądu, połączonego z wymianą sekcji: skrajne miały iść do środka, a środkowe - po zbadaniu, co jeszcze da się wykorzystać i rozsypaniu reszty na uranowe pastylki - do zbiornika odpadów promieniotwórczych. Czekaliśmy znowu trochę próżni, program wyprawy przewidywał międzyorbitalny lot ku Saturnowi, wszystkie urządzenia „Megahicle” musiały być sprawne.

Nie cierpiałem Szklarza. Los zetknął nas jak na ironię wcześniej: studiowaliśmy razem na Akademii. Należał do tych ludzi, których nie znosi się od pierwszego wejrzenia i którym ma się ochotę dać w łeb za sam wygląd. Usiłowałem zwalczyć w sobie głupią emocję, zdając sobie sprawę z jej nonsensowości, perswadując diabłowi, co się we mnie na widok Glasera odzywał, że może to zupełnie fajny facet. Przy bliższym poznaniu wrażenie nie tylko nie osłabło, ale wzbogaciło się o nowe odcienie. Miał w sobie coś, czego nie mogłem zdzierżyć: sposób wysławiania się, gestykulowania, chodzenia, mizdrzenia się do kobiet, przeglądania gazet, nadszkakiwania przełożonym... Postanowiłem w końcu, że muszę go zgubić w labiryncie dni, bo tkwił przylepiony do moich pleców jak cień. Wykonałem więc w moim życiu kilka dzikich skoków, żeby go z siebie strząsnąć, nie mieć go obok i nie musieć absorbować nim myśli - na próżno. Odnajdywał się wkrótce i z najniewinniejszym uśmiechem wyrażał obłudną radość ze spotkania. Kiedy dowiedziałem się, że zdołał również załapać się na „Megahicle”, poczułem przypływ wściekłości - lecz i rodzaj szacunku zaraz pod spodem. Gra, o której wiedzieliśmy tylko my dwaj, zyskała szansę kontynuacji.

Psychologowie z Ośrodka Przygotowań Kosmicznych wręczyli mi na wstępie kupkę zdjęć i zapytali tylko, czy mam wobec tych ludzi jakiegokolwiek zastrzeżenia. Przekładałem zdjęcia usiłując skupić się na twarzach, z których kilka rozpoznałem. Przy Szklarzu aż mnie w środku zatrzęsło. Łypali podejrzliwie znad stołu, wreszcie któryś nie wytrzymał:

- Coś pan zauważył?

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Moje kamienne oblicze, jeśli idzie o eksponowanie uczuć, mogłoby wtedy konkurować ze stojącym nie wiedzieć dlaczego przed nimi popiersiem Cyncerona. Przełożyłem spokojnie zdjęcie Glasera pod spód i przyjrzałem się następnemu.

- Nie - odparłem znużonym głosem. - Myślałem tylko, że będzie więcej ładnych dziewczyn.

- Jeszcze nie obejrzał pan wszystkich - wtrącił inny z komisji, ale zaksięgował uwagę. Machnąłem ręką.

- I tak wiem, jak to się skończy. Te najładniejsze zostaną tutaj. A jeśli polecą, to najwyżej na Księżyc.

Konsoleta sterownicza, szyba ochronna, niżej niewidoczne osłony przeciwneutronowe. O dwa metry w dół lśniąca posadzka hali reaktora z wydrążoną w niej studnią. W studni nieczynny rdzeń „bękart”. Na posadzce obok studni srebrzysto - brzuchy manekin, w którego wnętrzu tkwił Glaser.

Nie odzywaliśmy się do siebie więcej niż potrzeba; on w milczeniu robił swoje przy sekcjach, opuszczając ostatnie do wnętrza „bękart”, ja przy kontrolkach musiałem sprawiać wrażenie faceta, który drzemie. W rzeczywistości uważnie śledziłem rozwój sytuacji i wypatrywałem odpowiedniego momentu. Na wyciągnięcie ręki pieściła wzrok matowym poblaskiem niepozorna dźwigienka; wystarczyło ująć ją w dwa palce, pokonać opór sprężynki - i czekać.

Szklarz zdawał się nie przeczuwać niczego. Geolog, biolog i, zdaje się, klimatolog - o reaktorach nie miał pojęcia. Straciłem na przygotowania cały poprzedni wieczór, wymówiwszy się nawet u Lloneya. Dłubałem głównie w sygnalizacji. Najtrudniej było dobrać się do wielkiego zegara wskazującego gęstość strumienia neutronów; odłączyłem go po prostu, a do wskaźnika doprowadziłem sygnał prosto ze sterówki, powodujący natychmiast maksymalne wskazanie. Musiałem niestety zepsuć jeden dozometr, ładując go do końca skali; podczas przerwy udało mi się podmienić go Szklarzowi. Gdyby przed rozpoczęciem ostatniej fazy prac przyjrzał mu się dokładnie lub choćby sprawdził numer, mój plan rozwiązałby się w mgnieniu oka. Aż drżałem z emocji. Ale nie - nie zwrócił uwagi. Zamyślony, rozmarzony nawet, jakby naczytał się przedtem poezji, włożył niezgrabnie do brzucha wielkiego skafandra, w czym demonstracyjnie udzielałem mu tylko najniezbędniejszej pomocy.

Właśnie opuszczał jedną z ostatnich sekcji i, nachylony nad studnią, próbował trafić w odpowiedni kanał, gdy sekcja urwała się z zaczepu i runęła w dół. Glaser szarpnął się do tyłu, chcąc uniknąć uderzenia, które mu nawet nie groziło, sekcja, hałasując niemiłosiernie, wpadła między inne. Nie mogłem marzyć o szczęśliwszym zbiegu okoliczności. Zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, moja ręka przełożyła szarawą dźwigienkę.

Mój pulpit milczał, ale hala reaktora ożyła. Zapłonęły na krótko lampki ostrzegania, a po chwili całe pomieszczenie zalała krwista łuna. Ciszę rozdarło głębokie buczenie; wskaźnik gęstości strumienia neutronów skoczył na łeb, na szyję i wyczerpawszy możliwości dalszego wzrostu stanął na samych dziewiątkach akurat wtedy, gdy Glaser, miotnąwszy się razem z krępującym ruchy skafandrem, spojrział w jego stronę.

- Nie stój jak dupa - powiedziałem na dół. - Życie ci niemiłe?

- Włącz pochłanianie - wychrypiał.

Czekał, aż odwali się kłapa osłony, mająca z racji masy sporą bezwładność.

- Jak? Sekcja uszkodziła układ sterowania. Wiej stamtąd, człowieku! - starałem się mówić spokojnie, bez ekscytacji.

Przypuszczam, że olśniła go myśl o mistyfikacji. Gdyby jej usłuchał, wyszedłby z tej sytuacji zwycięsko. Ale zbyt solidnie, zdaje się, wierzył w moją do siebie nienawiść, aby nie przypuścić, że oto postanowiłem go zabić.

- Osłony! - nie dawał jeszcze za wygraną. Ton jego głosu sprawił mi satysfakcję.

- Uciekaj - powiedziałem zimno.

Gramolił się z człekokształtnego kokona, blady, spocony, wodząc oczyma mniej więcej na wysokości moich piersi. Stałem z rękami w kieszeni fartucha, patrząc przez szybę na jego roztrzęsione ruchy. Dokładał starań, żeby nie pokazać po sobie paniki, ale walczył kiepsko.

- Zawiadomiłeś Nehemah? - dyszał ciężko, timbre jego głosu raz po raz dotykał jakiejś płaczącej nutki. Stanowczo nie był to twardy facet. Przynajmniej w tym momencie. - Powinna już tu przyjść - załkał.

- Po co? - zdziwiłem się. - Ty przecież już nie żyjesz.

- Nie żartuj - po co tak... takie żarty... Nie reagowałem.

- Adam - powiedział półgłosem. Tym razem przymierzył znakomicie. Odwoływał się do moich pokładów ludzkiej solidarności w obliczu sytuacji tak krytycznej, że niemal ostatecznej. A gdyby coś takiego wydarzyło się naprawdę?

- Uspokój się - warknąłem - i bez ciebie mam tu dość kłopotów. Trzeba sprzątnąć ten bałagan.

- Pomóż mi! - krzyknął. - Czy nie widzisz, że umieram?

Obracał w palcach wyjęty z kieszonki dozometr i wpatrywał się z niedowierzaniem we wzniernik. Potrząsał przyrządkiem, ale drucik nie miał prawa zjechać z maksymalnej dawki.

- Trup - powiedziałem z naciskiem. Wyłączyłem kaskadę świateł szalejącą wokół nory „bękart”, uciszyłem syreny, licznik gęstości strumienia pokornie zjechał do zera. - Ubieraj się z powrotem w ten pancerz i złaż na dół.

Mierzył mnie wzrokiem, w którym nienawiść walczyła o lepsze ze wstydem. Potem odwrócił się i wyszedł z izolatki. Usiadłem przy konsolce, oparłem łokcie o pulpit, zagapiłem się w szybę, w której rysowało się niewyraźnie moje odbicie. Machinalnie przełączyłem kilka razy niepozorną dźwigienkę, wywołując za każdym razem nad studnią efekty iluminofoniczne.

- Światło i dźwięk - powiedziałem do siebie. Nadal czekałem na wezwanie. Wreszcie nadeszło.

- Nyad, proszę stawić się niezwłocznie w moim gabinecie.

Na korytarzu spotkałem Martę Coellan.

- Komandor znowu za mną zatęsknił - uśmiechnąłem się do niej najładniej jak umiałem. Wszedłem i usiadłem bez pozwolenia. Chief Tenega - za biurkiem, Glaser - z prawej strony.

- Pan nam ciągle przeszkadza - powiedział surowo Chief Tenega. - Bez przerwy usiłuje pan dezorganizować. Tak pana denerwuje, że jakoś się nam wiodło do tej pory?

- Czy on - kiwnąłem głową w stronę Szklarza - musi i tutaj działać mi na nerwy?

- Wolałbym, żeby dyskusja odbyła się w gronie wszystkich zainteresowanych - słowa „wszystkich” i „dyskusja” Chief Tenega wypowiedział z naciskiem. - Jeśli pan Nyad, oczywiście, pozwoli. - Najwyraźniej czekał, że zacznę się tłumaczyć, ale nie bąknąłem słowa. - Co się z panem dzieje, do cholery?!

Wzruszyłem ramionami: - Żebym to ja wiedział - burknąłem.

- Proszę?

- Nie potrafię odpowiedzieć na tak nieprecyzyjne pytanie.

- Pan się wyraźnie uparł, żeby paraliżować życie naszego małego zespołu. Co pan zrobił przed chwilą przy reaktorze?

Udałem głęboki namysł.

- Ach, pan myśli o... Ha, ha! Taki niewinny, technokratyczny żarcik. Nikt rozsądny nie dałby się na to nabrać.

- Ten, jak pan twierdzi, żarcik, w poważnym stopniu narusza rytm życia i psuje dobrą atmosferę na statku. Powinien pan przeprosić kolegę, nie uważa pan? Ludzie, którzy tu pracują...

Przestałem słuchać. Słowa komandora przenikały przeze mnie nie czyniąc mi krzywdy. Nie natrafiały

na opór, na nic, o co mogłyby zaczepić i szarpnąć. Stałem się pusty, wydrażony wewnątrz - jak manekin do prac reaktorowych, z którego z taką trwogą wysiadł przed kwadransem Glaser. Gdyby ten manekin posadzić zamiast mnie na krześle, zapewne nikt nie spostrzegłby zamiany. Chief Tenega przemawiałby równie płynnie jak dotąd, a Szklarz popatrywałby ze swego miejsca wzrokiem usatysfakcjonowanego prymusa. Nic by się przez taką modyfikację nie zawaliło we Wszechświecie.

Opuściłem gabinet Chiefa Tenegi i wlokłem się korytarzem w stronę kabiny, starając się powłóczyć nogami tak, jakby to siedł pusty skafander do prac przy reaktorze. Pasjonująca zabawa. Zajęty dodatkowo dźwiganiem brzemienia nałożonej przez komandora nagany, której obiecał mi udzielić na najbliższej naradzie, wobec całej załogi, nie zauważyłem nawet nadchodzącego z tyłu Glasera.

- Skarżypyta - rzuciłem, gdy mnie wymijał. Nie zareagował.

Wlazłem do kabiny, zapaliłem światło i powoli, angażując wszystkie możliwe zmysły, z wielką uwagą zjeżdżałem regulatorem, aż w pokoju ustalił się półmrok. Stałem znowu z ręką - mi w kieszeni, bez jednej myśli w głowie. Byłem nadal tamtym skafandrem - z małą, rzecz jasna, różnicą. On mógł się jeszcze do czegoś przydać, ja...

Zadzwonił gong, znak, że ktoś czeka przed drzwiami. Nie zmieniłem pozycji. Nie miałem zamiaru z nikim się widzieć.

Drzwi rozwarły się szeroko, łysnęła w nich czerwona z gniewu gęba Szklarza.

- Ty skurwysynu! - wybuchnął. - Ja ci jeszcze pokażę!

Naprawdę mnie rozbroił. Parsknąłem śmiechem. Rżąc jak opętany siedłem w jego stronę, rechotałem coraz głośniej. Śmiech, śmiech - trzask zamykanych drzwi. Kaskady mojego rechotu waliły w napięte tworzywo, którym została obita płyta wejściowa, traciłem już oddech, lecz śmiałem się jeszcze bardziej szaleńczo. Ha-ha-haha!!! Chrypiałem z wysiłku, zachłystywałem się z przesytu tą obłąkańczą radością, do której powodów wcale nie było... Lecz i samej radości przeciw... Urwałem w połowie kolejnego spazmu. Oddychałem szybko, przyglądając się napiętemu tworzywu, co zagradzało drogę memu śmiecho-płaczowi, nie pozwalało mu wydostać się na korytarz i gonić za Glaserem. Cisza rwała spokój na strzępy. Osunąłem się na posłanie; byłem ogromnie, ogromnie zmęczony.

4.

Tak jak się spodziewałem, najpiękniejsze dziewczyny trafiły do baz księżycowych, a i to pewnie na krótko. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Martę i Nehemah, nawet się ucieszyłem. Cały problem sprowadzał się do zagadnienia, z którą najpierw - i kiedy. Nehemah, blondynka, podobała mi się bardziej; postanowiłem zatem zacząć od Marty.

No i na razie na Marcie skończyłem.

Leżeliśmy w zmiętej pościeli; w powietrzu rozświetlonym przyćmionym czerwonym światłem odkładały się pasemka papierosowego dymu. Srebrna miseczka na mojej piersi podnosiła się i opadała w miarę jak oddychałem, z niewidocznych głośników sączyła się leniwa muzyka. Marta wierciła się, jak gdyby pościel była nie dość gładka, papieros w jej ustach topniał, w przerażającym tempie. Nagle pożałowałem, że nie zdołałem sprostać groźbie samotnej nocy - rychło w czas. Popielniczka wgniotła mi skórę, potem uniosła się w powietrze na długim wysięgniku kobiecej ręki i przepadła w ciemności - takie małe UFO, kursujące między blatem nocnego stolika, łóżkiem i puszystym dywanem.

Poczułem na twarzy dotknięcie długich włosów. Błysk białek powracających z pościgu za metalowym zbiegiem z niedopałkiem na pokładzie. Gorący szept przy uchu:

- Złe wiadomości, staruszku. Postanowiłam dać ci następną szansę.

Ciekawa myśl zaświtała mi w głowie. Delikatnie uwolniłem się od naporu krągłego ciała, od którego buchało nasycone wonnościami i winem ciepło, zdjąłem przerzuconą władczo przez moje terytorium rękę, opuściłem nogi na dywan.

- Przyniosę coś do picia - nie czekając na aprobatę ruszyłem za ścianę, do szafek, gdzie chomikowałem alkohole. Mimo ciemności bez trudu namacałem butelkę szampana.

- Ciepły - zakomunikowałem półgłosem.

- Niech będzie - powiedziała Marta z rezygnacją.

- Nie chcesz chyba pić wrzącego szampana? - spytałem oburzony. Podstawiłem butelkę pod kran; szum wody zagłuszył odgłosy dalszych poszukiwań.

Pozwolono nam zabrać z Ziemi po dziesięć kilogramów osobistego bagażu, który w dodatku nie podlegał kontroli. Ubrania, żywność, książki, przybory do pracy - to wszystko czekało na „Megahicle”. W skład tych dziesięciu kilogramów miały wejść rzeczy, do których czuliśmy przywiązanie i bez których nasz komfort psychiczny byłby zagrożony. Jakoś nie mogłem niczego takiego znaleźć w moim otoczeniu. Przez całe życie poniewierałem się po pokojach hotelowych, otoczony rojem przedmiotów raczej przypadkowych, które gubiłem, zostawiałem, wymieniałem na nowe - jak tu mówić o przywiązaniu. Majtki, koszule z monogramami budziły we mnie obrzydzenie swą pretensjonalnością - zresztą kto miał haftować mi te monogramy? Zabrałem szczoteczkę do zębów, stary płaszcz kąpielowy, po namyśle jeszcze aparat fotograficzny z parą obiektywów („Na wypadek, gdybyśmy gdzieś wylądowali”, tłumaczyłem), trochę filmów. Okazało się, że idzie o rzeczy bardziej osobiste, intymne nawet, perorowali mi, bezradnemu małpoludowi, pełni cierpliwości psycholodzy z Ośrodka. Płaszcz, aparat, obiektywy, nawet szczoteczkę zaliczono do zestawu, w jaki wyposażono każdego członka załogi „Megahicle”. Wobec tego w przylądzie rozpaczy kupiłem wielką flachę koniaku, kilka butelek szampana i naturalnej wielkości atrapę fallusa z ciałopodobnego tworzywa. Zamierzałem przytwierdzić go w łazience i



wieszać na nim ręczniki albo coś w tym guście - nie zdążyłem. Do tej pory poniewierał się po dnie szafy. Straciłem na odnalezienie go nie więcej niż pięć sekund.

Zawinałem fallusa w ręcznik, szczęknąłem dla niepoznaki szklankami, ująłem przez frotę mokrą szyjkę butelki. Udało się dotaszczyć cały ładunek do Marty. Manipulując obok tapczanu, gdzie nie padało mdłe światło lampy, upuściłem gumową atrapę na rozkudłone podbrzusze dywanu. Łykaliśmy tego musującego płynu, niewiele zimniejszego niż przedtem - ale przecież nie miało to teraz żadnego znaczenia.

- To co - zagadnąłem sięgając poza tapczan - słyszałem, jak ktoś tu mówił o dawaniu.

- Czemuś ty taki zimny - westchnęła tylko.

Nie była to łatwa operacja. Na szczęście Marta, dostatecznie pijana winem i szampanem, nie zwracała uwagi na drobne uchybienia. Patrzyłem na jej plecy wstrząsane dreszczem rozkoszy, jakiej - dość melancholijna refleksja - nieczęsto doznawała w moim towarzystwie.

Pod wpływem nagłego impulsu targnąłem się z pościeli, jednym susem przeskoczyłem włochaty dywan. Kątem oka zarejestrowałem, jak plama pleców i bioder, co nie wiadomo skąd wzięty się dzisiejszej nocy w moim łóżku, obraca się leniwie ku światłu. Wpadłem do sąsiedniego pomieszczenia, dłoń na kontakcie, druga na uchwycie żaluzji barku, pod stopami chłód nagiej posadzki, oczy pełne niespodziewanie wyzwolonej jaskrawości. W lustrzanym wnętrzu równy szereg butelek, największa z nich, brzuchata, rozkołysana brunatną zawartością wyrывa się posłusznie w ślad za wzywającą ją ręką, do podstawionej z hałasem szklanej przezroczystości pluska radośnie miodowa ciecz. Teraz przyłożyć do ust i nie zajmować się więcej losem tej porcji materii, powtórka, kilka głębokich wdechów, jakieś cienie wirują pod powiekami - rozerwać te zrosnięte od wieków fałdy skóry, wrócić do wnętrza filmu, z którego nie sposób zbiec przed końcem seansu.

Na chwiejnych nogach ruszyłem z powrotem. W sypialni paliło się jaskrawe światło, Marta kończyła wciągać kombinezon. Coś uderzyło mnie w twarz jak tłusta, śliska ryba; przeleciało obok, zawadziło o ścianę i pacnęło ciężko na podłogę. Twarz Marty, jeszcze nie tak dawno uśmiechnięta, teraz wykrzywiona spazmem, do którego - wydawałoby się - niezdolna; otoczona burzą czarnych włosów. Usta, pięć minut temu obdzielające pocałunki, miotają teraz w moją stronę gwałtowne słowa.

- Ty potworze! Ty egoisto! Czy jest jeszcze dla ciebie coś świętego? Godnego szacunku? Coś, z czego byś nie potrafił zakpić? Spójrz na siebie: kim ty właściwie jesteś? Mały wyśmiewacz - śmieję się, jeszcze! No, czemu się nie śmiejesz? Przecież to wszystko śmieszne! Bez sensu! Śmieję się, pajacu!

Postąpiłem krok do przodu.

- Marta...

- Nie dotykaj mnie, ty potworze! - rzuciła się w kierunku drzwi, otworzyła je i wypadła na korytarz. Próbowałem ją pochwycić, wychylony dolotowy - podświadomie pamiętałem o swojej nagości - ale wywinęła się i ze szlochaniem pobiegła przed siebie. - Zabiłbyś własną matkę, byle tylko się dobrze ubawić! - wrzasnęła przyspieszając jeszcze kroku.

W perspektywie korytarza otworzyły się jakieś drzwi. Sarroz, zarejestrowałem machinalnie. Cofnąłem się do siebie, pozostawiając niewielką szparę. Usłyszałem kilka dalekich, zniekształconych słów - i cisza. Co mogłem zrobić? Powiodłem palcami po twarzy. Kilka sekund zupełnie nieruchomych. Domknąłem drzwi.

Kiedy zjawiłem się rano na śniadaniu, na mój widok zamilkły wszystkie rozmowy - a może tylko mi się wydawało. Usiadłem z boku; jadłem patrząc chyba przez kwadrans w jeden punkt na blacie, a kiedy wreszcie podniosłem głowę, w sali prócz mnie nie było nikogo.

Poszedłem zobaczyć, co z „bękartem”. Glaser zza konsoly sterował ruchami kogoś, kto tchnął swoje ciało w srebrzystobrzuchego. Zdecydowali odrzucić wszelki pozór pośpiechu. Utrata zajęcia nie groziła

im jeszcze przez dziesięć lat po zakończeniu wyprawy - pod warunkiem utrzymania tempa robót.

- Pomogę wam - zaproponowałem.

Zaszyłem się w skórę zdartą z przedpotopowego stwora rodem z innej planety, odgłosy rozmowy Glasera z Hortizem, który wypełził z trzewi brontozaura, dobiegały z daleka - jakby moją głowę ujęto ze wszystkich stron imadło o szczękach wyłożonych grubą warstwą waty. Zlazłem po drabince do rdzenia, zaczepiłem sekcję, obejrzałem, rozłożyłem, złożyłem, po stwierdzeniu, że sąsiednie sekcje są w porządku - wpuściłem do kanału. Przed wieczorem „bękart” stanął gotowy do prób.

Mogły upłynąć dwa dni, nie więcej. Podałem „bękart” próbom. Powywnętrzałem się u Lloney'a. Próbowaliśmy zaczepić Martę, ale traktowała mnie gorzej niż powietrze. Wreszcie przyłapał mnie osobiście na samotnej grze w bilard Chief Tenega - i jak przystało na dobrego gospodarza, co to nie potrafi zdzierzyć, by gdzieś w kącie marnował się solidny kawałek siły roboczej, od razu dał mi zajęcie.

Chief Tenega mianowicie wybierał się w otwarty kosmos. Reprezentacyjny skafander o bardzo dobrych parametrach, szerokokątny Hasselblat z kolorowym filmem w środku, zwój lekkiej, nylonowej liny, pistolet odrzutowy... Za pozór wycieczki posłużyło usuwanie awarii jakiejś anteny - do czego Chief Tenega miał mniej więcej takie kwalifikacje, jak ja do tańczenia w balecie. Moje zadanie polegało na asyście i pomocy w przygotowaniach. Od razu to zobaczyłem; stoję, potulny paź, obok swego pana, dociągam rzemyki przy srebrnych blachach napierśnika, reguluję popręgi, wkładam mu do ręki wierny miecz, do drugiej tarczę ze znakami rodu. Wymagano ode mnie oczyszczenia konia i naoliwienia bryczki, by mój władca osiągnął maksimum zadowolenia z wieczornej przejażdżki po swych posiadłościach.

Stawiłem się dokładnie o wyznaczonej porze. Rolę drugiego pazia pełnił o choczko Hortiz, zaś po pięciu minutach w pobliże śluzy przyplątał się - niby przypadkiem - Szklarz.

- Przygotujcie się, galernicy - powiedziałem na widok nadchodzącego Chiefa Tenegi. - Po południu kapitan będzie chciał trochę pojeździć na nartach wodnych.

Wszyscy trzej na te słowa zrobili takie miny, jakby od tygodnia męczyła ich niestrawność.

- Co pan właściwie chciał przez to powiedzieć? - zapytał oschle Chief Tenega.

- Nic. Po prostu przypomniał mi się stary, dobry dowcip.

- Czy aż taki dobry? Wie pan, kolego, różne słowa mają różne znaczenie w różnych okolicznościach. Powinno się myśleć, co się mówi, zwłaszcza przy przełożonych.

- Pięknie pan to ujął - ukłoniłem się. - Opanowanie tej trudnej sztuki uznaję odtąd za naczelny cel mego życia.

- Niech pan przestanie pytlować - powiedział ze złością Chief Tenega. - W aparacie tlenowym jest pusta butla - pokazał ręką. - Proszę przynieść pełną i dokonać wymiany.

Gdy wróciłem z magazynu, Hortiz i nie mniej od niego gorliwy Glaser upychali właśnie Chief a Tenegę we wnętrzu olbrzymiego próżniowego skafandra. Postawiłem świeżo przyniesioną butlę na stole i zająłem się wymontowywaniem pustej, starając się stracić na tę czynność jak najwięcej czasu.

- Nyad! - wydyszał z wysiłkiem Chief Tenega. Zwróciłem się ku niemu skwapliwie i z szacunkiem. - Chodź no pan tutaj.

We trzech, z gorliwym ponad wszelkie wyobrażenie Glaserem, bardziej przeszkadzaliśmy sobie niż pomagaliśmy. Lecz widocznie najmniej chodziło o skuteczność i sprawność; Chief Tenega po prostu lubił krzątaninę wokół siebie. Czuł się dobrze dopiero wtedy, gdy - mimo woli pomyślałem o Jowiszu - był jak on obiegany przez kilkunastu satelitów. Całkiem możliwe, że wydawał się sobie równie wielki.

Zakończyliśmy montować urządzenia skafandra, więc wróciłem do butli. Stały obok siebie na stole, dokładnie tak samo srebrne, z szerokim czerwonym pasem idealnie na tej samej wysokości. Nie różniło ich nic - poza zawartością; żadnego otarcia, rysy, odprysniętego lakieru. Przez moment wisiałem ręką w powietrzu.

Ta, którą ująłem, była pusta. Poznałem to po nadzwyczajnej lekkości - ważyła nie więcej niż puszka po piwie.

- Pospiesz się pan - sapnął z tyłu Chief Tenega. Wahałem się tylko przez chwilę. Zamontowanie butli w chwytakach, podłączenie zaworów, reduktora - w sumie najwyżej kilka ruchów. Tylko manometr nie dawał się oszukać: strzałka wskaźnika niesłychanie opornie odbiła od zera i zatrzymała się kilka kresek wyżej. Dla kogoś, kto kiedykolwiek miał na plecach aparat tlenowy, fakt założenia pustej butli dawał się wykryć z łatwością. W dodatku instrukcja wyjścia przewidywała kilkakrotną kontrolę wskazań manometrów.

Ponaglany gestami Chiefa Tenegi podniosłem stelaż aparatu tlenowego i zawiesiłem komandorowi na plecach. Hortiz ze Szklarzem błyskawicznie dopadli pasków, klamerek, karabinków, eklerków, zatrzasków - zapinali je i łączyli z wielkim zapamiętaniem, nie wypowiadając przy tym słowa. Zagapiłem się na ich biegające na wyścigi ręce.

- Hełm! - - poderwał mnie rozkaz Chiefa Tenegi. Zza okrągłego kołnierza ze złączem, niby z wnętrza wieżyczki transportera, wyglądała głowa pokryta rzadką szczeciną. Para oczu świdrowała mnie z uwagą. Przypomniałem sobie o butli i obdarzyłem głowę szczerym uśmiechem. Oczka zamrugały prędko. Z satysfakcją nakryłem całość plastikowo - szklanym kołpakiem.

- Brakuje jeszcze tylko pawich piór - powiedziałem. Szklarz mocował śruby złącza, więc hermetyczny kask obciął moje słowa. Powierzchnia szyby zaparowała błyskawicznie, nie mogłem nawet zobaczyć wyrazu twarzy komandora. Hortiz uruchomił klimatyzację wewnętrzną skafandra. Usłyszeliśmy głębokie westchnienie Chiefa Tenegi: znak włączenia radia i zarazem otwarcia instalacji tlenowej. Wilgoć zaczęła powoli znikać przed oblicza dowódcy.

- Pełna hermetyzacja - zakomenderował Hortiz.

- Jest, pełna hermetyzacja.

Jeszcze minutę wcześniej Chief Tenega dysponował szansą zdemaskowania niewiernego sługi - mógł włączyć pustą butlę. Instrukcja przewidywała zresztą kontrolę instalacji tlenowej, lecz gdzieżby tak doświadczony astronauta tracił czas na bzdury. Hortiz i Glaser ani razu nie rzucili okiem na manometry, których tarcze połyskiwały białawo na tle stelażu. Wtykali Chiefowi Tenedze do rąk Hasselblata, pistolet do manewrów i kamerę jednocześnie, potem odstąpili go z szacunkiem i komandor ruszył w stronę wjazdu do śluzy.

- Zapomniał pan skrzynki z narzędziami - rzuciłem za nim wesoło. Nie obejrzał się - nie mógł mnie słyszeć. Sekunda - i mięsista zasłona skryła go przed nami.

Ciągle się uśmiechałem, zakłopotany, bezradny - oto w mojej obecności realizował się najmniej prawdopodobny wariant przebiegu zdarzeń, zbieg okoliczności w normalnych warunkach niemożliwy do zaprogramowania. Tlen z jednej butli wystarczał na półtorej godziny. Mięśnie na mojej twarzy stężały; poruszyłem się w kierunku śluzy, jakbym chciał zatrzymać Chiefa Tenegę, bo z każdym jego krokiem mój dowcip nabierał powagi i już w ogóle przestawał być zabawny, nawet jeśli założyć, że był taki na początku, kiedy wszystko jeszcze dawało się łatwo odwrócić.

- Niebo jest bardzo pogodne - zażartował głośnik niepewnym głosem komandora. Na myśl, że można tak bezczelnie iść na efekt, pozorując luz i powszednie obcowanie z próżnią, poczułem irytację. Wziąłem ze stołu butlę ciężką od zamrożonego w środku gazu i trzymałem w dłoniach jej chłodne, lekko chropawe ciało.

Na ekranie pokazał się obraz oddalającego się „Megahicle”. To Chief Tenega, umocowawszy sznur, odepchnął się od krawędzi wjazdu i płynął swobodnie w przestrzeni; jak się dawniej mówiło - wśród gwiazd. Gdyby nie kiepska jakość transmisji telewizyjnej, widok na ekranie przypominałby meldunki popełniane tak często w latach pierwszych wypraw kosmicznych. Bania planety, w głębi rozgwieżdżone

niebo, na ich tle potężny ziemski owad z metalu. Brakowałoby tylko strug ognia z dysz.

Głos Chiefa Tenegi opowiadał przez radio, jak to w kosmosie ślicznie. Zdawało mi się, że gdzieś czytałem podobne sformułowania. Obraz podskakiwał, przesuwał się, w miarę jak zmieniała się orientacja ciała dowódcy.

- Przypomnijcie mu o antenie - zwróciłem się do Hortiza. - Może mu braknąć czasu - i złożyłem na jego wyciągniętych rękach ciężki walec z czerwonym pasem pośrodku. Zanim zdążył zareagować, byłem za drzwiami.

Przy bilardzie zastałem tym razem Nehemah. Celowała z wielką uwagą, ale sposób, w jaki trzymała kij, wykluczał z góry jakikolwiek sukces.

Podszedłem i najdelikatniej, jak umiałem, poprawiłem położenie kija, lecz kiedy tylko go puściłem, znowu z taką samą beznadziejną determinacją bódł sukno stołu. Uderzenie - i bile rozpełzły się po planszy.

- Wiem, co zaszło między tobą a Martą - powiedziała powoli, zgięta jeszcze nad stołem, z rękami wyciągniętymi w efekcie uderzenia. - Zwierzyła mi się.

- Nic nie zaszło - mruknąłem.

- To było nawet dowcipne - uśmiechnęła się. - Ja chyba nie zareagowałabym w ten sposób. Mnie by się to podobało.

- Tak? Nic prostszego. Jak się skupię, potrafię to powtórzyć.

Pokręciła głową.

- Tego rodzaju dowcipy są dobre na jeden raz. Powtórzone w tej samej scenerii, a zwłaszcza przy użyciu tych samych rekwizytów, przestają być śmieszne.

- W miarę możliwości zmieniam rekwizyty - pomyślałem o Chiefie i mimo woli roześmiałem się. Popatrzyła jak zawsze spokojnym wzrokiem, który tak łatwo wziąć za oznakę umysłowego rozpasania i wewnętrznego uładzenia. Kiedy się nie zna tajemnic kobiety, z niewiedzy można ją posądzić o bardzo górne przymioty. Przeważnie się chyba, lecz kiedy się trafi, siódme niebo leży u twoich stóp.

Napiliśmy się coca - coli, a potem poszliśmy do mnie. Trochę rozmawialiśmy. Nehemah oglądała książki, zaglądała do tomików z wierszami.

- Zrób mi zdjęcie - powiedziała bawiąc się moim Cannonem.

Pstryknąłem kilka ujęć, które nie mogły wyjść dobrze; jeszcze jej nie znałem. Nie wiedziałem, kiedy jej uroda najbardziej zyskiwała. Pozowała jak lalka - w jej oczach nie dostrzegłem żadnego ożywienia.

- Zdejmij te rzeczy, Nehemah - zaproponowałem. - Zrobię ci ładne zdjęcia.

Po południu „Megahicle” odbił od Jowisza. Z tej okazji Chief Tenega zapowiedział uroczystą kolację z alkoholem. Wydawało mi się śmieszne urządzenie kolacji z tego akurat powodu, tak jakby nie można było jej urządzić dzień wcześniej czy tydzień później, ale w końcu machnąłem ręką. Chcą - niech mają. Myślałem trochę o panice Chiefa Tenegi, kiedy dowiedział się - i sprawdził - że musi skrócić wycieczkę.

Przed lustrem w łazience Nehemah nakładała makijaż.

- Jak ci się podobam? - puste oczy lalki, twarz stężała w oczekiwaniu komplementu.

- Imponująco - usiłowałem ją złapać i przyciągnąć do siebie, ale zdążyła odskoczyć. Odbiegła, za sekundę wróciła, pochyliła się nade mną.

- Nie ruszaj się - czułem miękkie dotyk na powiece, łaskotanie rzęs, brwi. Taksowała efekt fachowo, odsuwając głowę i od czasu do czasu mrugając do mnie porozumiewawczo. Było to przyjemne; czułem falę miłego ciepła, rozlewającą się gdzieś pośrodku mózgu. Wtem zaśmiała się, w jej wzroku błysnęło coś w rodzaju wahania, lecz nie, tylko lekki odcień ciekawości, jak zostanie ocenione dzieło. Podała mi lusterko.

Oprawy mojego oka nie powstydzilaby się najtępsza dziwka. Drugie, nie tknięte nawet pastelem,

wyglądało przy tamtym jak Kopciuszek.

Weszliśmy do jadalni przed czasem, Nehemah w długiej sukni, ja w ciemnych okularach. Sarroz, Marta Coellan i Hortiz kończyli przygotowania.

- Może w czymś pomóc? - zaproponowałem. Nehemah zachichotała.

- Obejdzie się - powiedział zdaje się Sarroz.

Wobec tego usiedliśmy od razu przy stole. Po paru minutach zjawili się Glaser i Chief Tenega, po nich, strojny w wielką muchę przylepioną na białym gorsie, wkroczył Lloney.

Nehemah chichotała. Ująłem pod stołem jej piąstkę i ścisnąłem delikatnie.

Miejsca wokół stołu zapełniły się. Chief Tenega odczekał, aż ustaną wszystkie rozmowy, podniósł się z głośnym westchnieniem, potoczył usatysfakcjonowanym wzrokiem po zgromadzeniu.

- Moi drodzy - rozpoczął - zebraliśmy się tutaj przy okazji, że tak powiem, nadzwyczaj pomyślnej. Zakończyliśmy etap naszej misji, etap, którego nie musimy się wstydzić. Każdy - każde z nas wniosło w powodzenie naszego zadania określony wkład; nie czas teraz na wymierzanie jak wielki - mówiąc to patrzył Wyraźnie na mnie, kielich wypełniony szampanem zadrżał nerwowo w jego rękę. - Przed nami dalsze dni i dalsze miliony kilometrów, rejony, których nie tknęła stopa ludzka... - chyba zrozumiał, że coś tu nie gra, bo przerwał na moment, szukając straconego wątku. Nie mogłem przepuścić takiej okazji, skoro nadarzała się sama.

Zdjąłem okulary i z hałasem położyłem na blacie.

Czternaście par oczu opadło na moją twarz. Areopag ściętych oburzeniem lub tylko ciekawością masek. Nehemah zachichotała na cały głos. Nie wytrzymałem i też parsnąłem śmiechem.

- Spokój! - krzyknął Glaser, chociaż nikt się nie odzywał. - Okażcie litość idiotcie.

Kilka głosów zaśmiało się niepewnie. Cisnąłem w Szklarza trzymanym kieliszkiem. Sarroz uwiesił się mego barku; strząsnąłem go pod nogi, ale zużyłem zbyt wiele czasu. Po chwili miałem na plecach co najmniej trzech. Słyszałem wysoki pisk Nehemah i okrzyki Marty, usiłującej powstrzymać Sarroza. Zadawałem na ślepo potężne ciosy, szamotałem się w klatce utkanej z rąk, barków, nóg, karków; padając zobaczyłem jeszcze poważną twarz Lloney'a, siedzącego bez ruchu na swoim miejscu. Ta twarz, skupiona, z gorejącymi źrenicami - towarzyszyła mi długo, nawet wtedy, gdy poczułem na ramieniu zimne ukłucie i, ułożony w wąskiej niszy, począłem zapadać się w mleczny ocean, coraz zimniejszy, ku warstwom cieczy coraz bardziej odległym od życiodajnych promieni, aż zawisłem jak wrak w głębinie, gdzie nie docierało nawet wspomnienie spraw dziejących się na powierzchni. Twarz Lloney'a pierzchła po drodze - należała wszak do tamtego, nadpowierzchniowego świata.

Umarłem na pięć i pół miesiąca.

Wkroczyłem do gabinetu Chiefa Tenegi prawie z pieśnią na ustach.

„Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi

Iść... taką obojętność jak ja mieć dla świata

Być sternikiem duchami napełnionej łodzi

I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?” - ryczałem.

Chief Tenega obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem.

- Niezłe. Sam pan to ułożył? - zagadnął. W jego głosie było tyle zainteresowania, co w kupie złomu, wyglądającej od roku transportu do huty.

Kiwnąłem głową: - Dziś w nocy, między drugą a wpół do trzeciej.

- Zawsze twierdziłem, że jest pan - zdolny do wszystkiego. A teraz niech pan siada i słucha.

Dopiero teraz zauważyłem spoczywającą przed nim tekę z papierzyskami. Otworzył ją, zajrzał do środka. Kartki zanosły się suchym kaszlem pod jego palcami. W trakcie tych czynności jakby się rozmyślił.

- Co ja będę panu opowiadał - mruknął. - Tu jest wszystko napisane. Sam pan zobaczy.

Pchnął tekę w moją stronę. Nie poruszyłem się. Inaczej sobie wymalowałem w nocy to spotkanie.

- Nie chciałem pana uprzedzać... - rzekł widząc mój pytający wzrok. - Mógłbym coś niepotrzebnie zasugerować - dodał po sekundzie. - Brzmiało to ciągle mało przekonująco. - Popełniliśmy błąd - kontynuował. - Zresztą, kto wie, czy rzeczywiście błąd... Ale raczej tak. Zasugerowaliśmy się nawzajem. Każdy przecież widział i czuł co innego... i jakoś wspólnie, nie wiadomo kiedy, narzuciliśmy sobie interpretację.

- I dlatego przez cały wczorajszy dzień trzymaliście gęby na kłódkę?

- Między innymi dlatego.

- Co jeszcze? - Patrzył w bok, jak gdyby pytanie sprawiło mu przykrość. Wzruszył ramionami, niepewnie jakoś, po dziecinnemu. Wyparowała cała jego buta, jej miejsce zajęła bezradność. W jednej chwili zrobiło mi się go żal. - Nie chcieliście mącić mi dobrego samopoczucia?

- Właśnie - ożywił się. - Właśnie tak. Darowaliśmy panu jeszcze jeden dzień życia. Chcieliśmy, żeby pan trochę odpoczął. - To - pokazał palcem segregator - nie czyni człowieka szczęśliwszym.

Zostawiłem go, zafrasowanego, małego człowieczka. Korytarz opustoszał. Moje wygłupy wisiały nietknięte na ścianach. Ni stąd, ni zowąd poczułem złość na samego siebie. Wyciągnąłem rękę - opadła z powrotem. Ten gest nie miał żadnego znaczenia.

W połowie drogi przypomniałem sobie o najważniejszym - nie spytałem o Lloney'a. Wahałem się, czy nie zawrócić. Trwał ten postój dość długo; szczegół nabrał w jednej chwili pierwszorzędno znaczenia. W końcu wyperswadowałem sobie, że skoro w tej teczce jest wszystko, musi więc być i Lloney.

Zamknąłem drzwi kabiny na klucz. Światło na pół fula, nisko nad gładzią blatu, dokumenty (bo cóż innego?) - na stół. Rzuciłem się na tapczan, złapałem jakąś książkę i zacząłem kartkować bezmyślnie. Jeśli w teczce rzeczywiście było wszystko, wszelki pośpiech tracił sens. Dlaczego nie miałem darować sobie jeszcze kwadransa? Albo pół godziny?

Usiłowałem się skupić, ale wewnątrz mojej głowy stało się ciasne. Wypełniał je mętlik. Lloney... jego twarz, spokój rąk, wielkie wewnętrzne zrównoważenie - cechy człowieka wielkiego, który jednak nie spodziewał się po życiu niczego więcej. Co się stało, do diabła?

Zerwałem się, wpadłem w fotel, złapałem opasłą papierową cegłę, szarpnąłem za klamrę. Okładka podniosła się sama, pstryknąłem ją palcami, aż opadła na bok. W poprzek czystej kartki biegł rozstrzelonymi wersalikami jeden tylko krótki wyraz:

### ARSENAŁ

Znałem to słowo od wieków. To imię. Przeczynałem je. Dreszcz przeleciał mi po plecach. Wpadłem między kartki, z zapartym tchem wertowałem zdjęcia, wykresy. Kiedy, zdrętwiały, zamykałem segregator, zegarek wskazywał wpół do czwartej. Od Chiefa Tenegi wyszedłem parę minut po ósmej, przypuśćmy, że kwadrans. Niechbym o wpół do dziewiątej zobaczył po raz pierwszy znane od dawna słowo: ARSENAŁ. Siedem godzin jak obszył. Nawet nie zauważyłem, jak przeleciały. Ktoś zdaje się dzwonił do drzwi - wiele razy; dźwięk dolatywał zza siedmiu gór i rzek, przebijał się przez chmury, aż zniechęcony ucichł.

Dławiłem się obiadem. Nikogo nie spotkałem, cały „Megahicle” jakby się wyludnił. Zanotowałem to mimochodem, jak nieważny szczegół. Ja wiedziałem, od dawna wiedziałem o wszystkim. Czułem jego obecność - już tam, w pobliżu Jowisza. Dzielili nas miliony kilometrów - a ja go czułem. Nie wiedziałem tylko, że to on. Że właśnie tak wygląda. Byłem za to pewien - choć pewność lokowała się poza mózgiem - że nasze drogi się zejdą.

W jakiś miesiąc po mojej anabiozie Lloney, fotografując Schmidtem pewien sektor nieba w pobliżu Saturna, zauważył w rogu negatywu plamkę szarawego koloru. Wyglądało to na wadę kliszy i tak też sobie obecność plamki wytłumaczył. Dla pewności zrobił nowe zdjęcie. Poszukał plamki - znalazł. Opisał dokładnie tę scenę, tak że zamknąwszy oczy zobaczyłem ją bez wysiłku: siedział w obserwatorium z opuszczonymi rękami, przypatrując się zrolowanemu negatywowi. Siedział długo, bez jednego ruchu. Potem poszedł wyciągnąć poprzedni negatyw. Wyjął narzędzia i pomierzył średnice względne. Różniły się, ale to mogło wynikać z niedokładności pomiaru oraz z wzajemnego ruchu obiektu i „Megahicle”. Powtórzył pomiary i skoczył do obliczeń. Nie miał wątpliwości: obiekt pędził szybciej niż powinien.

Mimo dwudziestu kilku godzin spędzonych bez odpoczynku Lloneyowi nie chciało się spać. Nie odczuwał zmęczenia. Do wieczora miał zdjęcia w pasmach podczerwieni i ultrafioletu, przybliżoną orbitę, masę, rozmiary, widmo radiowe i spektralne - więc skład chemiczny powierzchni. Ale nic nie wskazywało, że Lloney znalazł się oko w oko z nowym, nie znanym dotąd księżycem Saturna. Raczej z obłokiem gazowym, z chmurą materii o niezbyt wielkiej gęstości. Największa sensacja wyszła na jaw nieco później: sfotografowany w podczerwieni obraz obiektu przypominał małe słońce.

Obiekt wysyłał ciepło. Lloney obliczył, ile powinno być tego ciepła, gdyby w grę nie wchodziła energia wewnętrzna. Wyszło, że nie powinno go być wcale. Ale w tej okolicy podobna anomalia zdarzała się: Jowisz emitował dwa i pół raza więcej energii niż otrzymał od Słońca, Saturn jeden i dwanaście setnych. Tylko, że w przypadku obiektu w grę wchodził współczynnik rzędu kilkudziesięciu.

Lloney, skrajnie wyczerpany, położył się w końcu spać.

Ale nie mógł zasnąć. Scena jak z ponurych powieści: śmiertelne zmęczenie, umysł prawie w malignie - i zwlekający z nadejściem sen. Pisał, że usiłował zmusić ciało do powstania, chciał wracać do obserwatorium, sprawdzić wszystko po kolei, jeszcze raz, krok po kroku... tak nagle, że tego nie zauważył, zapadł w stan będący jakby przedłużeniem jawy. Spało tylko jego ciało, mózg bawił się generowaniem pośpiesznych, rozgorączkowanych obrazów. Zbudziło go jaskrawe światło, otworzył oczy - w ciemności szalał dzwonek przy drzwiach. Sprawdził czas: minęły zaledwie dwie godziny. Od stojącego przed wejściem Chiefa Tenegi dowiedział się, że czternaście.

Przez następne tygodnie „Megahicle” nieuchronnie przybliżał się do Saturna. W obserwatorium

trwały gorączkowe prace. Chief Tenega na wieść o odkryciu, które zapewniało jego imieniu miejsce w encyklopediach, postanowił odkomenderować całą załogę do dyspozycji Lloneya, ale ten - zdaje się nie bez trudu - odwiódł go od tego zamiaru. Chiefowi nie bardzo trafiała do przekonania odmowa, zbyt przywykł - jak kiepski generał - do działań doraźnych. Skuteczność w mentalności Chiefa Tenegi zależała prosto od liczby zaangażowanych osób - na wieczornych naradach bez końca bito pianę na ten temat. Podziwiałem fragmenty ciętych filipik Lloneya. Towarzystwo podejrzewało go - choć nikt zarzutu nie sformułował wyraźnie - o chęć zachowania monopolu na odkrycie: oto jakimi kategoriami myślał zespół, który Chief Tenega tak troskliwie strzegł przed moimi destrukcyjnymi poczynaniami. Skończyło się pozornym kompromisem - Lloney oczywiście postawił na swoim i nikomu nie pozwalał włączyć na grządkę, którą uprawiał, ale zlecał załodze całe tony obliczeń. Z czasem Arsenał spowszedniał, załoga jęła narzekać na nadmiar czarnej roboty - i tym sposobem Lloney został sam na placu boju.

Czytałem o tym nie bez mściwej satysfakcji. Zapuszkowanie mnie do anabiozera ułatwiało Chiefowi Tenedze sterowanie załogą, bo niby wzmacniało jego połatany autorytet, ale z drugiej strony zabrakło kozła ofiarnego, na którego konto spisywałyby się winę za kłótnie i niesnaski. W takiej z grubsza atmosferze „Megahicle” dolatywał do Saturna.

W ciągu pięciu miesięcy Lloney zgromadził kosze dokumentacji na temat Arsenálu. Wiedział o nim wszystko - nie wiedząc nic. Struktura fizyczna obiektu nie tłumaczyła jego nadprzyrodzonych właściwości: okresowej zmiany objętości, jasności, a nawet masy. W rytmie zmian „nie odkryto żadnej regularności, z której cokolwiek by wynikało”. „Megahicle” wszedł na ciasną orbitę wokół Tytana, bilardowej kuli z niebem o czerwonych obłokach. Wokół tej samej kuli, po skomplikowanej trajektorii, na którą również nie było silnych, Arsenał przetaczał się jak wielka purchawka - fenomen niby naturalny, a jednak... Załoga „Megahicle” nie dawała sobie rady z klasyfikacją. Ponieważ potrzeba wpakowania Arsenálu do jakiejś szufladki okazała się przemożna, natychmiast zbito dla obiektu specjalną skrzynię z tabliczką „Niezidentyfikowany Obiekt Kosmiczny” - i w niej go na razie zamknięto. Pewnie - była w tym i nieściskość, i śmieszność, lecz chodziło bardziej o łaty dla dziurawych psychik, protezy dla światopoglądów i świadomości, nadwątlonych istnieniem cudu, czyli czegoś, co absolutnie i daleko wykraczało poza granice pojmowania.

Znowu zarżałem z satysfakcją: trzebaż było lepszej okazji, by zdemaskować umysłową ciasnotę i brak wyobraźni tych, co się znaleźli na „Megahicle”, a i tych, co się do ich nominacji przyłożyli? Odbierałem z nawiązką kwarty rekompensaty za leżenie w lodówce. Nie zdołała zgasić mej nikczemnej radości myśl, że sam zachowałbym się nie lepiej, uczestnicząc w tym ponurym karnawale. Wieko anabiozera podzieliło „Megahicle” na mnie oraz resztę - póki taki podział mi odpowiadał, nie zamierzałem zeń rezygnować.

Nigdzie nie znalazłem wzmianki, kto pierwszy zaproponował użycie „polipa”, czyli małej, jednoosobowej rakiety. Pomysł niby oczywisty - w lukach „Megahicle” znajdowały się dwa „polipy”. Czynnikiem odstręczającym było ryzyko - spore, choć trudne do oszacowania. Przeważył argument, że więcej znacznie groziłoby przy próbie zacumowania w pobliżu NOK-a całego statku, który istniał wszak tylko w jednym egzemplarzu.

Na pierwszy ogień poszedł Hortiz, który jako pilot najlepiej znał się na nawigacji. Celebrowano jego odlot, kilkakrotnie przekładano termin, ponieważ okazywało się, że w pośpiechu zapomniano przygotować, dopracować, ustalić. Zza skrupulatnie zapisywanych wydarzeń przebijała ogromna trema, lęk przed wykonaniem fałszywego ruchu - lecz nie dziwiłem się. W tydzień po upływie pierwotnego terminu Hortiz wystartował.

Śledzono lot z biciem serca, mało które, jak przypuszczam, wydarzenie w historii ludzkości dostarczyło naocznym świadkom tyle emocji. Początkowo Hortiz meldował tylko o normalnym przebiegu lotu, szarawy kłęb rósł na ekranie „polipa” -. Program, opracowany szybko, co nie znaczy, że byle jak,



przewidywał podchodzenie etapami. Hortiz postępował dokładnie w myśl wskazań, łączność na specjalnie dobranym kanale, poza pasmami aktywności NOK-a sprawowała się znakomicie. Ze strony obłoku nie dało się zauważyć żadnych objawów „zdenerwowania”.

Czekanie stawało się uciążliwe. Coś miało się zdarzyć - i nie działo się nic. Takiej ewentualności nikt nie przewidywał; sam potraktowałbym ją jako wielkiego kalibru niespodziankę. Hortiz okrążył NOK w przyzwoitej odległości, zacieśniając coraz bardziej pętlę. W centrum sterowania, zlokalizowanym dla wygody również w obserwatorium, zaczynało brać górę zniecierpliwienie: Hortiz nie mógł naprzykrzać się NOK-owi w nieskończoność. Albo należało rozkazywać mu wracać, albo... Rozległy się głośne szepty, spoglądano wyczekująco na Chiefa Tenegę.

Sytuacja rozwiązała się sama. Kiedy „polip” znajdował się po drugiej stronie NOK-a, zanikała kompletnie łączność - widocznie materia, z której składał się obiekt, posiadała własności pochłaniające. Chief Tenega polecił więc Hortizowi zaprzestać na ten czas meldunków. Od kilku więc okrążeń łączność z „polipem” ustawała, gdy ten chował się za brzuszysko NOK-a, a wznawiała, gdy pojawiał się po przeciwnej stronie.

I oto w okoliczności, kiedy należało koniecznie coś Hortizowi nakazać, ten nie ponowił meldunku. Jednocześnie „polip” przestał zacieśniać pętlę wokół NOK-. Zmianę mogły spowodować dwa czynniki: albo Hortiz uznał, że dalsze zbliżanie nie ma sensu bądź jest niemożliwe, albo stracił kontrolę nad sterami. Obie ewentualności nie oznaczały niczego groźnego - poza zagadką co do stanu pilota. Jeśli panował nad „polipem”, nie należało się przejmować. Jeśli, dajmy na to, zasłabł, jego funkcje przejmował automat, zaprogramowany w ten sposób, że prowadził „polipa”, według pelengu, z powrotem na „Megahicle”.

Przejęcie sterów przez automat następowało w wyniku braku reakcji pilota na powtarzającą się nieregularnie, w różnych kombinacjach, triadę bodźców: lampka - brzęczyk - lampka. Zadanie pilota polegało na wyłączeniu sygnałów; jeśli wyłączenie nie następowało, bodźce powtarzały się - intensywniej. Po trzeciej próbie automat odbierał stery.

Taka właśnie sytuacja nastąpiła obecnie. Trajektoria „polipa” uległa zmianie, rakiетка wpadła jeszcze na moment za obłok - i wystrzeliła stamtąd prosto w kierunku „Megahicle”. Łączności z Hortizem nie udało się odzyskać do końca.

Otworzono właz; Hortiz siedział w środku, w fotelu, pasy zapięte przepisowo. Nie spał, nie zemdlał, nie oszalał, nie był chory. Sprawiał wrażenie przytomnego, lecz spoglądał nieco nieobecny wzrokiem. Dał się wyprowadzić z łatwością i rozsądnie odpowiadał na pytania. Niektóre docierały doń z trudem i te trzeba było mu powtarzać. Wreszcie powiedział, że czuje się zmęczony i poprosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Niebawem zasnął, tak twardo, że nie reagował, gdy Nehemah ponownie mierzyła mu temperaturę i tętno. Nie miał gorączki, puls ciągle w granicach siedemdziesięciu.

Spał około czterech godzin, umieszczony dla pewności za szybą. Nikt nie wychodził z pomieszczenia przylegającego do izolatki. Wymieniano półgłosne uwagi, snuto przypuszczenia na temat przyczyny takiego właśnie przebiegu lotu „polipa”. Wreszcie Hortiz otworzył oczy i po prostu zapytał, co się stało.

W dokumentacji zaznaczono, że rozładował atmosferę. Przebiegu lotu od momentu ustania łączności nie pamiętał. Czy zasnął przy sterach? Nie czuł senności. Urwał mu się film? - przecież nie pił. Czy poczuł się źle? Nie, raczej nie. Co zażywał w przeciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin? Nic, nie cierpi antybiotyków.

Porzucono Hortiza na pastwę Nehemah i dla odmiany zajęto się „polipem”. Dokładny przegląd objął ważniejsze systemy, a przede wszystkim zapis „czarnej skrzynki”. Również te pracochłonne usiłowania nie wniosły do sprawy niczego nowego.

Po upływie paru dni NOK nagle ożył. Wykresy z wycelowanych weń bezustannie czujników zaroily

się od pików. Wzrosła emisja energii, masa i rozmiar. Wzrosła też - co paradoksalne - gęstość. Po pierwsze Lloney zaobserwował olbrzymie fluktuacje materii wewnątrz obiektu. NOK nabrzmiał, zachwiał się na orbicie, lecz po kilku zaledwie godzinach skurczył się do poprzednich rozmiarów. Lloney przeglądał wykresy, komputer łykał programy i wypluwał wyniki, z których nic nie wynikało.

Skazani tylko na siebie członkowie załogi „Megahicle” rozprawiali nerwowo na wieczornych posiedzeniach. Pojmowałem, jak musiało im doskwierać niezrozumienie fenomenu, który kpił arogancko z praw fizyki, odległy zaledwie o kilka godzin lotu „polipem”.

Po jednej z narad zgłosiła się u Chiefa Tenegi Nehemah z propozycją odbycia następnego lotu. Komandor spytał przytomnie, czemu ten lot ewentualnie miałby służyć; otrzymawszy wyczerpującą odpowiedź, popartą notatkami, spuścił z tonu. Wyznał potem, że zaskoczyła go determinacja dziewczyny. Nehemah, gdyby ktokolwiek w przybliżeniu szaleństwa postanowił mianować ją kapitanem „polipa”, znalazłaby się zapewne na liście kandydatur jako ostatnia i tylko niebywały kataklizm na „Megahicle” byłby w stanie cokolwiek zmienić w tej hierarchii. Chief Tenega uzależnił zatem dyplomatycznie decyzję od wyniku narady. Do następnego wieczora miał spokój, a gdy minęła doba, Nehemah wystąpiła z tak płomiennym przemówieniem, najeżonym argumentami, popartym opracowanym w szczegółach planem, że zebrani zaniemówili. Nikt nigdy nie widział takiej Nehemah.

Z grubsza, perorowała Nehemah, przy założeniu wpływu NOK-a na ludzki organizm, jedynym pomostem na drodze do poznania natury obiektu stał się człowiek. Po dyskusji nie zgodzono się z tym wnioskiem: gardłowano o braku podstaw do przypuszczenia o totalnej niemożności znalezienia innych sposobów, sugerowano niemożność „na razie”. Nehemah zaakceptowała uzupełnienie, po czym zaproponowała, by wystawić NOK-owi na przynętę jej własny organizm. Natychmiast pojawiły się soczyste od dwuznaczności komentarze, ale Nehemah nie pozwoliła utopić propozycji w śmiechu, dając odpór adwersarzom w zapierający dech sposób. Chief Tenega wstał z miejsca i głośno bił jej brawo, komplementując piękność i mądrość, które tak rzadko chodzą w parze na parze tak wspianiałych nóg.

Aforystyczno-kalamburowa inwencja Chief a Tenegi przyprawiła mnie o ból śródgłowa, dość jednak, że oczekano do najbliższego sprzyjającego układu ciał, odziano Nehemah w skafander, podłączono pół setki czujników - i wyprawiono dokładnie śladami Hortiza. Po osiągnięciu orbity, na której znalazł się pierwszy „polip” (Nehemah na wszelki wypadek leciała drugim) rozpoczęła się gonitwa wokół NOK-a - dokładnie jak poprzednio. I tak samo Lloney wraz z Martą Coellan czuwali przy wskaźnikach, a Chief Tenega z resztą śledzili wyczyny „polipa” na rysowanym elektronicznie schemacie.

Nie wydarzyło się nic. To znaczy nie wydarzyło się wtedy. Nehemah wirowała wokół NOK-a przez kilka godzin, zgromadzonym w obserwatorium stygły serca, ilekroć zanurzała się za obłok. Poprawnie gasiła kontrolki i odpowiadała na wezwania: normalnie, normalnie. Chief Tenega uzgodnił z nią maksymalne zbliżenie do obłoku. Nehemah zmieniła orbitę na eliptyczną i w periarsenaliu niemal ocierała się o kłęb ciemnej chmury, ta jednak nie dała się sprowokować i znosiła zaczepki pogodnie. Dalsze zbliżanie oznaczałoby wejście w strefę rozrzedzonej materii, otaczającej NOK, nagrzanie pancerza i uszkodzenie „polipa” - Chief Tenega nakazał Nehemah zawrócić.

Powrót odbył się bez przeszkód. Nehemah wyglądała na bardzo wyczerpaną, ale szczęśliwą - uśmiechała się, mimo iż oczy wpadały jej w głęb. Poprosiła o szklankę herbaty i nie napocząwszy jej nawet oznajmiła, że czuje się straszliwie zmęczona, po czym zasnęła niemal na stojąco. Doniesiono ją na posłanie. Niby nie powinno być powodów do obaw - a jednak, jak potem kolejno oznajmili członkowie załogi, czuło się w powietrzu niejasny niepokój. Może dlatego ułożono pannę Nehemah w izolatce.

Na tym kończyła się ogólna część dokumentacji. Dalej zostały wpięte raporty szczegółowe z lotów „polipów” ku NOK-owi, zatytułowane nazwiskami pilotów. Autor tego fragmentu opracowania przywiązywał spore znaczenie do swojej pracy, bo nazwiska, wypisane wielkimi ozdobnymi literami,

umieścił na kolorowych wyklejkach. Otwierały część raportową karty z nazwiskami Hortiza i Nehemah, kończyły - Lloneya i moja.

Raport „Lloney” składał się z informacji o terminie odlotu i kilku lakonicznych zdań, z których wynikało, że „polip” astronoma został wchłonięty przez obłok i nie wynurzył się. Ostatnia sentencja, dopisana odręcznie, uznawała pilota za zaginionego.

Za wklejką z moim nazwiskiem wpięto kartę z wydrukiem komputerowym. Słupek składał się wyłącznie z dat, którym towarzyszyły cyferki. Wywnioskowałem, że chodzi o godziny i minuty czasu „Megahicle”. Przyjrzałem się datom; niektóre pokrywały się z terminami wysyłania w kierunku NOK-a kolejnych „polipów”. Na wydruku wyszczególniono sytuacje astronomiczne, kiedy NOK i „Megahicle” znajdowały się, bądź będą się znajdować w najkorzystniejszym położeniu względem siebie - biorąc za kryterium łatwość przedsięwzięcia wycieczki między nimi. Powiodłem palcem wzdłuż równego rzędu znaków, zatrzymałem się przy trzeciej od końca linijce. Data wypadła następnego dnia, wieczorem.

Opadłem na oparcie fotela i zamknąłem oczy. Czułem się tak, jak może czuć się człowiek, któremu został jeszcze tylko dzień życia. Powinienem uważać się za szczęściarza, gdybym nie skończył tak jak Lloney.

6.

Oczywiście przysługiwało mi prawo do odmowy; wystarczyło zacząć obnosić się z własnym strachem. Odwracaliby się plecami na mój widok? Lepsze to niż pogrzeb w glorii. Tak znana opinia publiczna - też do zwalczania. Żadna komisja, żaden trybunał na Ziemi nie uznałby mnie z czystym sumieniem za winnego. A jednak... Są w życiu sytuacje, wobec których bezsilne pozostają normy ułożone dawniej. Kpiłem z nich bezpiecznie, chroniony jak murem nadzwyczajnością sytuacji właśnie. Ale bezkarny wobec kodeksów, wobec zgrai układu - czy paragrafów i innych interpretatorów, stawałem w końcu sam przed sobą. Tu moje szansę na unik malały do niewygodnego minimum - ani gdzie uciec, ani gdzie się schować. Jeśli zamierzałem kiedykolwiek jeszcze przejrzeć się w lustrze bez obrzydzenia, nie miałem wyboru.

Odegnąć deliberacje, co prowadzą donikąd, skoncentrować się na dokumentach. O ileż łatwiej żyje się miłośnikom konkretów! Każdy z raportów zawierał aneks, czyli jakby epilog lotu. Pierwszy z aneksów uderzał lapidarnością: nie więcej niż kilkanaście kartek. Następne rozrastały się, przewyższając objętością poprzedzające je raporty. Ulga towarzysząca każdorazowo powrotowi „polipów” okazała się przedwczesna.

Po zakończeniu lotu ocenionego jako pomyślny Hortizowi przyśnił się sen. Na naradzie nikt nie przywiązywał szczególniejszego znaczenia do wzmianki na ten temat. Dopiero późniejsze wydarzenia sprawiły, iż to, co uznano za fanaberie rozregulowanego mózgu Hortiza, zaczęło się jawić jako początek dłuższego łańcucha. Wydawało się, iż ciągnąc zań z odpowiednią siłą można ruszyć z posad bryłę NOK-a, toteż zarówno szczegółowa opowieść o treści snu, jak i relacja Hortiza o towarzyszących okolicznościach, nader mglista, zostały spisane i w formie stenogramu włączone do aneksu.

„Pytanie: - Czy kolega Hortiz potrafiłby określić dokładnie czas i miejsce marzenia sennego, o którym mowa?”

Hortiz: - Chciałbym raz jeszcze z całym naciskiem podkreślić, że to, co się rozumie pod określeniem „marzenie senne” niedokładnie odpowiada temu, co przeżyłem. W przypadku zwyczajnego snu odpowiedzieć na zadane pytanie byłoby łatwo, bo śni się wtedy, kiedy się śpi. Potrafię zatem odpowiedzieć, iż dwukrotnie śniłem fragmenty tego samego scenariusza, jeśli wolno użyć takiego sformułowania: raz bezpośrednio po powrocie na „Megahicle”, powtórnie podczas pokładowej nocy, zaraz po locie. Rzecz w tym, że mojego przeżycia nie da się sprowadzić do samego snu. W obu przypadkach odniosłem wrażenie, że jedynie przypominam sobie przeżycia wcześniejsze. Że mam do czynienia zaledwie z repliką zdarzeń, które zaszły wcześniej i, w których brałem czynny udział. Przepraszam, ale nie potrafię objaśnić tego w bardziej precyzyjny sposób.

Głos z sali: - A może w pytaniu chodziło o miejsce i czas rozgrywających się we śnie zdarzeń? (okrzyki „Po co?”, głośnie rozmowy, wybuchy śmiechu).

Pytanie: - Proszę koleżeństwa, ustalamy fakty. Prosiłbym o wstrzymanie się od dowcipnych komentarzy. (Chwila przerwy). Opowiedziana przez kolegę historia miała wszystkie cechy snu; nieuporządkowaną fabułę, nie całkiem racjonalne zachowanie bohatera, zdeformowanie świata, skoki w czasie. W jaki sposób odniósł kolega wrażenie, że coś takiego zdarzyło się kiedyś rzeczywiście? Jak mógł brać w tym udział? W jaki sposób można uczestniczyć we własnym śnie?

Hortiz: - Sam sobie zadaję to pytanie.

Pytanie: - Ze złożonego wcześniej raportu wynika, że podczas lotu stracił kolega przytomność...

Hortiz: - Nie przytomność, a świadomość. Utrata przytomności kojarzy się najczęściej z defektem fizycznym organizmu, występuje jako jego efekt. Nie uległem żadnej kontuzji. Po prostu nagle przestałem kontrolować lot.

Pytanie: - W wyniku przemęczenia? Rozumiem, że brak uwagi bądź ochoty nie wchodzi w rachubę.

Hortiz: - Nie czułem się zmęczony, raczej podekscytowany. Pamiętam, że spojrzałem na ekran, w całości zajęty przez obraz NOK-a. I od razu potem znalazłem się na „Megahicle”.

Pytanie: - W rzeczywistości minęło około czterech godzin. Czy możliwe jest, aby w tym czasie utrzymywał kolega dokładnie zerową aktywność mózgu? (śmiechy)

Hortiz: - Nie widzę nic śmiesznego. Jestem pewien, że przed lotem do NOK-a moja przeszłość była o to przeżycie uboższa. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Pytanie: - Kolega przyznał się do pewnej... ekscytacji podczas lotu. To by znaczyło, że mózg kolegi znajdował się wtedy w stanie... nierównowagi. Proszę o potwierdzenie bądź zaprzeczenie.

Hortiz: - Każdemu lotowi - ogólnie: działaniu - towarzyszy pewne podniecenie, które jednak jest do opanowania. Brak równowagi umysłowej nie ma tu nic do rzeczy.

Pytanie: - Ale to nie był pospolity lot. Proszę o potwierdzenie bądź zaprzeczenie.

Hortiz (po namyśle): - No... potwierdzam. Ale to nie świadczy...

Pytanie: - Przepraszam. W naszym postępowaniu obowiązuje ciągle zasada brzytwy Ockhama. W obliczu wielkiego wzruszenia emocjonalnego zdarzają się przypadki utraty przytomności lub stany połowicznej, a nawet całkowitej dezintegracji jaźni. Trafiają się także formy swoistego eskapizmu w wygenerowane ad noc projekcje, nie mające żadnego odniesienia w obiektywnej rzeczywistości. W ten sposób organizm ratuje swoje centrum dowodzenia przed destrukcją.

Hortiz: - Zaraz, zaraz, więc to znaczy, że oszalałem? (śmiechy)

Pylista droga, turkot kół, lśniące od potu końskie zady. Zwabiona ostrą wonią chmara much, bąków i gzów wiruje z bzykaniem wokół zaprzęgu. Spod kopyt podnoszą się kłęby gęstego kurzu, lgną do lepkiej skóry zwierząt. Twarz woźnicy wilgotna i czarna, wygląda jak maska.

Woźnica ściska w rękach lejce; nie wie, skąd wziął się na trakcie i dokąd zmierza. Pamięta jak przez mgłę chłód wczesnego ranka i złote wieże Pragi zostające z tyłu. Teraz słońce przetacza się wolno przez środek firmamentu, konie zwalniają tempo, w przydrożnych trawach na czas przemknięcia wielkich kół przestają grać świerszcze. Żółty obłok kurzu rozwiewa się powoli w powietrzu, drobinki ilastego pyłu opadają na nieruchome blaszki liści, polne koniki podejmują cykanie na nowo. W dali niknie kwadratowa rufa karety.

Lecz oto słońce, znudzone widać długim popasem w zenicie, spada gwałtownie w dół, jego tarcza nabrzmiewa, pęcznieje, nasycy się krwią w miarę zbliżania się do linii horyzontu. Woźnica wyciąga z kieszonki zegarek - ale i jego wskazówki przyspieszyły biegu. Powietrze ciemniejsze, oczy woźnicy lustrują okolicę spod czarnego okapu kapelusza. W dali, ukryte wśród rozpanoszonej zieleni, widnieją zabudowania folwarczne. Konie same skręcają w ich stronę.

Podwórze obejścia straszy nieładem, ale i pustką, przybysz waha się, nie schodzi z kozła. Lecz wtem - jak na zawołanie - wyłaniają się, skądciś dwaj zgarbieni mężczyźni, bez słowa chwytają uzdy, wyprzęgają konie, prowadzą za róg najbliższego budynku o poczerńiałych od deszczu ścianach. Pochyleni, skupieni na swym zajęciu, oczy utkwili w ziemi. Konie idą za nimi bez sprzeciwu. Przybysz, wpasowany w miękkie siedzenie, wydaje się drzemać na kozle, nagi dyszel karety bodzie wieczorne niebo.

Nic się nie dzieje. Żadnego ruchu, żadnego głosu. Świat pogrążony w kompletnym letargu zastanawia

się, czy warto jutro zacząć od nowa.

W mroku przesuwają się blade plamy - twarz podświetlona słabym promieniem lampy. Zachęcający ruch ręki, wahanie przybysza - zeskok na ziemię. Marsz w kierunku obejścia; z przodu kołyszą się w rytm kroków zgarbione, starcze plecy. Izba. Słodkawy - gęsty odór bucha przez otwarte na oścież drzwi, konglomerat dymu, bijących o sufit oparów z kotła, woni nie mytych ciał, nie pranej od dawna odzieży. Znowu gest - sekunda na konstatację, że to zaproszenie do stołu. Jadło dymi w misie, twardy chleb smakuje po królewsku. Dwie pary lokajskich oczu spoglądają w milczeniu od pieca - wokół jednej, nakrytej okrągłym czerepem, sterczą niechlujnie resztki zmierzwionych włosów. Druga przypomina młodszą i gorszą nieco replikę Mefistofelesa, z haczykowatym nosem wetkniętym byle jak między parę błyskających paciorków, bez reszty skoncentrowana na psim wyczekiwaniu dyspozycji gościa. Ten siorbie zalewając, zagryza chlebem, zamiata znad miski szerokimi spojrzeniami - w polu widzenia na chudych patykach nóg chwieją się dwie obszerne kapoty.

Przybysz pragnie, by zajęcia przy wieczerzy starczyło na jak najdłużej, ale ileż można przeciągać najprostsze czynności? Wielka łyżka przestaje skrobać puste dno, miska jedzie na środek stołu, spojrzenie w stronę pieca - i cóż dalej?

Ten z haczykowatym nosem sięga po lampę, znowu daje znak ręką, przybysz powstaje, by podążyć za nim. Mijając starucha przyklepionego do zimnych kafli skłania głowę; tamten odwraca wzrok. W ciemnej sieni przybysz słyszy wyraźnie tylko swoje kroki. Wydostają się na podwórze, z ciemności wrywa się wściekłe ujadanie psa, lecz stary ucisza je krótkim warknięciem. Wchodzą do poskładanego z bierwion budynku, w którym pachnie sianem i zbutwiałym drewnem, pchnięte drzwi odzywają się przeraźliwym skrzypnięciem zawiasów, po plecach gościa przelatuje mimowolny dreszcz.

Stół. Haczykowaty nos stawia lampę na krzywym blacie, pokazuje rozłożone w kącie legowisko. Na wbitych w belki hakach wiszą pęki zeschniętych ziół, co dawno straciły zapach, jakieś wizerunki czy obrazy o treści niemożliwej do uchwycenia przy tak marnym oświetleniu. Za niektóre powtykano zmięte arkusze pożółkłego papieru, zakurzone wiechcie szmat. Przybysz dziękuje skinieniem głowy za posługę, ale tamten ani kwapi się do wyjścia. W rękę trzyma obity blachą kufer.

- Bagaż jaśnie pana - mówi tubalnym głosem.

- Postaw tam - przybysz, zaskoczony, wskazuje na stół i haczykowaty posłusznie spełnia polecenie. Następnie życzy dobrej nocy, wycofuje się do drzwi balansując w niezgrabnych pokłonach. Tembr jego głosu nie pasuje do fizjonomii i postury, ale przybysz nie ma czasu się tym zajmować. Zbliży się do kufra, próbuje zwolnić zatrzaski zamków. Szpera bezmyślnie po kieszeniach, palce natrafiają na dzwoniącą wiązkę kluczy. Pasują. Rzeczywiście - konstataje zdziwiony - jego bagaż.

Wnętrze kufra wypełnione szczelnie miękkimi szmatkami. Drzemią w nich złote plasterki - wielkie i cienkie jak poobryzane denka od konserwowych puszek. Przybysz wyklada je na stół, zdumiony ich ciężarem. Wreszcie kufer świeci pustym wnętrzem, wszystko złoto co się świeci przez szmatki zajmuje połowę blatu. Obok złota - opadłszy na masywny zydeł - przybysz zamyśla się przepastnie, tak przepastnie, jakby wyzionął ducha.

Nie śpij, przybyszu, nie śpij, bo całe życie prześpisz. Spójrz tylko: wokół twej głowy rojno od widziadeł. Otaczają cię konterfekty o zakrzepłej mimice, tłoczą się sprzęty okulałe wskutek długotrwałej służby, między kątami zarosłymi pajęczyną Dolatują bezgłośnie nietoperze. Nie śpij! Za drzwiami odbijają się od ścian spieszne szepty, roztapiają, wsiąkają w szpary; tuż za nimi drążą ciemności następne. Para obszarpańców nasłuchuje: jeszcze nie pora. Lepiej jeszcze poczekać. W rozedrganych rękach srebrne czoło siekiery, palec na ostrzu: ty nam pomożesz, przyjacielu.

Obok wyglansowanego buta przybysza sunie ogromny żółw - na przełaj przez klepisko. Ach, zdrajco, oczajduszo, wysłanniku piekieł - po coś przyszedł? Na przespziegi? Słoneczny bąk zatacza łuk i wgryza

się w pomarszczoną szyję, tuż obok węzowej łepety z przestłoniętym skórą powieką okiem. Żółw, sięgnawszy łapą, dobywa pocisk, kładzie do schowka na brzuchu - ani na chwilę nie przerywając dziarskiego marszu. Kolejne krążki o najostrzejszych brzegach godzą w cel z poprzednią precyzją; żółw obraca ku gościowi ślepią wypełnioną wdzięcznością - skulona babuleńka wiechciem brzożowych witek drażni brzuch podłogi. Rozdziawione usta, gdzie dziąsła próbują uśmiechu, gruzłowate palce bezbłędnie wynajdują miotane zza stołu amulety.

Stop! Za oknem szelest, księżyc wielki jak balia ociera się o czarna framugę. W powietrzu niepokój, duszność, głowa nabrzmiała myślami. Szybka decyzja: ukryć skarb i uciekać stąd, dokąd poniosą oczy - dokąd doniosą nogi. Już kufer o blaszanych kantach połknął swój ładunek, kłapnął paszczą wieka, już ze skrzypnięciem rozdzierającym rozwarły się masywne wierzeje. Za progiem srebrny świat - żdźbła traw, starannie wykute w metalu, połyskują węzowymi grzbietami, pnie drzew z precyzyjnie odrobioną fakturą kory, w powietrzu ktoś rozpylił srebrzysty aerozol, który tak lekko daje się wdychać w płuca. Kwitnący krzak jaśminu - nie było go tu przedtem - z drugiego boku ciężkie kiście białego bzu. Wprawnymi ruchami niewidzialnego translokatora chata zbita ze srebrnych bali odpływa stopniowo w dal.

Wiśniowy sad, na gałęziach świeże listki, poutykane między mrowie kwiecia. Cóż z tego, że gdzie indziej kwitnienie skończyło się trzy miesiące temu - tutaj wiosna trwa wiecznie! Przestrzeń między ziemią a niebem wypełniają kłaczki srebra, na nich zawieszono chyboczą się białe płatki, co nigdy nie opadną pod stopy śmiertelników. Zapach przenika nozdrza - stój, na litość boską! Dokąd idziesz? Gdzieś podział skarb, głupcze?

Długie kontemplowanie pustych dłoni, pokrytych szarawym pyłkiem.

Z sadu samotną chatę widać jak na planszy. Dziwna otoczyła ją jasność, jakby w środku potężny czarnoksiężnik wypróbował wszystkie swe moce. Dobiec tam, wywlec za próg przeraźliwie ciężki kufer, porwaną z sieni łopatą odwalić plaster błyszczącej darni, kilkanaście ruchów - po kłopotcie. Potem wystarczy przybyć ze sprowadzoną z miasta policją, by wygrzebać swoją własność i oddalić się bez przeszkód, pielęgnując pod powiekami obraz oberwańców udających się w łańcuchach na katorgę.

Ale oto i oni: dwa długie cienie okrążające chałupę, czające się za węglem. Połyskliwa gładź siekiery to w jednych rękach, to w drugich. Trwa rytualny taniec, brzmia przeciągłe nawoływania. Niewidzialny translokator przybliżył plan zdumionym oczom.

Zapadł się pod ziemię cały srebrny świat. Księżyc dał nurka na poduchę czarnych chmur, wrosły w glebę krzewy jaśminu i bzu. Teraz ściana z grubych bali rozstała się bez żadnego odgłosu; z podłogi, w tym samym miejscu, gdzie spoczywał na stole drogocenny kufer, strzelił w górę szkarłatny płomień. Pali się z wesołym traskiem, buzuje między osmalonymi ścianami - lecz próżno przybliżać ku niemu zgrabiałe ręce. Liźnięcia krwawych jęzorów są zimne, w miarę upływu czasu znikają bez śladu belki, jak wyrwane w czarną przestrzeń. Za nimi dążą omszałe dźwigary, zniknął dach, rozwiały się w powietrzu ściany. Ogień zgasł; stąd aż po horyzont rozciąga się puste pole. Gdzie się podziały zgliszcza? Spod stóp wsiąkają w glebę resztki pogorzelska.

Pod nogami grube kłacza zarośli: szerokie liście łopianu, wąsate pokrzywy, oset, dziki chrzan i żółtlica. Zwrot przez ramię: szczeł jak zdmuchnięty sad, zabudowania folwarczne, podwórze, dwaj nieporadni rabusie. Wyrwy, głębokie na wiele metrów, szerokie jak bombowe leje - wypełnione wodą, zarośnięte zielskiem. Ramiona twarde jak konary drzew, oczy kłujące ziemię - może jeszcze tutaj? Albo tutaj? Tyle nie spenetrowanych miejsc, tyle szans pogrzebanych - pod podeszwami, a może tylko o metr dalej:

- Do dzieła, kopaczu! - głos nakazujący wrócić do pracy, nawykły do rozkazów, nie znoszący sprzeciwu. Ręce, gruzłowate od odcisków, ujmują posłusznie wyslizgane stylisko - jak drzewce sztandaru - i pewnie zanurzają zeszywniałą materię - jakie na niej znaki? - w obmiękkłe cielsko. Wyrwana stamtąd

ziemia zatacza łuk i za chwilę osypie się po zboczu świeżego kopca. Dół już całkiem głęboki, już kopać trudno - i ciągle nic. Ciągłe ucho nie chwyta tak oczekiwanego zgrzytu metalu o metal.

Znowu mijają wiele zamyślonych godzin. Może miejsce niedobre, kopanie zbyt płytkie? Zbocza wykopu zarastają powoli zielskiem, opadłe deszcze stroją dno w siną taflę, a kopacz stoi oparty na drzewcu swej chorągwi. On - chorąży bez wojska. Gdzie się podziali towarzysze?

Słońce wschodzi, przetacza się nad zrujnowanym krajobrazem. Jak okiem sięgnąć - zwały porosłej trawą ziemi gryzą niebo, obok przez głębokie wyrwy chmury zagładają w trzewia planety. Mijają lata: pod stopami to białe od śniegu, to seledynowo od świeżych kielków traw, to żółto - niebiesko od kwiatów, to brązowo od opadłych liści. Mróz ściska odziane chudą kapotą barki, pieści je deszcz, piecze słoneczny jęzor.

- Kop, kopa-a-czu! - znowu ten głos, władny wszystko rozkazać. - Szukaj swojej szansy.

Parę kroków w bok nowe zanurzenia stalowego ostrza w ciasto ziemi. Kwiczy pod naciskiem stali drobny żwir, rzezi z bólu wyrwany ze snu wiekowego kamień. Mocniej! Pęka na dwie połowy liść łopaty, pryska w drzazgi stylisko, obciążone nad miarę.

Zaraz pcha się w dłonie nowe narzędzie. Nawet nie ma czasu otrzeć czoła, trzeba kontynuować dzieło. I tylko ten przenikliwy szept nad uchem:

- No, kopaczu, nie czas na odpoczynek. To zbyt błahy pretekst. Kop! Nuże! Jeszcze dużo pracy przed tobą...

Ręce działają z precyzją automatu. Wymach - sztych. Wy - mach - sztych. Ta monotonna muzyka wciąga. Nie chce się jeść, nie myśli o odpoczynku. Od czasu do czasu pojawia się skrupulatny nadzorca ze swoim „No, kopaczu, pokaż ile zrobiłeś”.

Wiosny, lata, jesienie. Zimy. Wiosny, lata. Jesienie.

- Kop, kopaczu. Tyle jeszcze pracy przed tobą...

Już dawno zapomniałeś, czego szukasz. Zamieniłeś się w mechanicznego kreta, wyregulowanego tylko na jeden sygnał: zgrzyt metalu o metal. Tam w środku czekać miało na ciebie twoje złoto. Ile naprawdę dla ciebie jest warte?

- No, kopaczu, wystarczy tych deliberacji. Do dzieła! Ręce spokojnie wspierają się na wyslizganym trzonku.

Nowa myśl rozjarza mózg, nie pozwala nadal odwalać gruntu. Wolność.

- Kopa-a-czu - jakby z odcieniem uprzejmego zdziwienia.

Nagła fala gniewu bije od spodu o ciemność. Znienawidzone narzędzie wzniesione nad głową, wypuszczone ze straszliwą siłą, godzi w ziemię czołgającą się u stóp.

- Kopa-a-czu - cicho, jakby szemrał wyschły strumyk, sypka strużka piasku, dojrzały łan żyta. Zwrot przez ramię. Trącana podmuchami wiatru chwieje się na długim kiju uśmiechnięta, pełna życzliwości, żółta końska czaszka.

- Kopaczu - mówi z wyrzutem - przecież już byłeś tak blisko.

Wściekłość zasłania oczy czerwoną płachtą. Wyje powietrze roztrącane podniesioną łopatą. Opada lśniące ostrze na kościany policzek, razem z tysiącem kościanych kawałków rozpryskuje się sen.

Sen Hortiza.



7.

W piętnastej minucie snu Nehemah niespodziewanie odsunęła kołdrę, opuściła bose stopy na posadzkę, wyciągnęła ramiona w bok i ziewnęła szeroko. Następnie nie otwierając oczu sięgnęła po szklankę z chłodną herbatą i jednym haustem wychyliła zawartość. Podobno było w tej scenie coś niesamowitego. Z rozpuszczonymi włosami, bez makijażu, ze zmęczoną, nabrzmiąłą twarzą Nehemah miała wyglądać jak wiedźma. Precyzja, z jaką jej palce zacisnęły się na szklance, sugerowała rodzaj transu. Stojący wtedy za szybą pozostali członkowie załogi „Megahicle” zinterpretowali stan lekarki ze zdumiewającą jednomyślnością.

- Chodźcie tutaj - powiedziała Nehemah. - Coś wam opowiem.

Chief Tenega powiódł wzrokiem po twarzach, jakby próbował zasięgnąć opinii obecnych. Niewiele mu to pomogło.

- Mów, Nehemah. Słyszemy cię znakomicie.

- Nie będę mówić przez szybę. Chcę, żebyście tu przysli - w jej głosie dźwięczała osobliwa nuta: jakby nacisku i jednocześnie zdziwienia, że tak się upiera, i że nie potrafi przestać się upierać. Chief Tenega jeszcze raz spojrzął bezradnie dookoła i powiedział:

- W porządku, Nehemah. Już do ciebie idziemy. - Jednocześnie wyrwał z notesu kartkę i napisał na niej dużymi literami: BRONŃ. Kartkę wręczył Glaserowi. Ten skinął głową i zaczął powoli wycofywać się w stronę wyjścia.

- Napisał pan: BRONŃ - powiedziała Nehemah. - O Boże, skąd ja to wszystko wiem? - zachłysnęła się. - Glaser nie musi wychodzić. Nic wam nie grozi. Nie zrobię wam krzywdy.

Dopiero to zapewnienie łagodnej i kruchej Nehemah potwierdziło powszechną obawę. Grupa przeszła jednak do szklanej izolatki i rozlokowała się naprzeciwko łóżka. Izolatka była ciasna, zachowanie jak największego dystansu od kobiety w nocnej koszuli nastęrczało trudności. Glaser po krótkim wahaniu dołączył do pozostałych. Stał na wszelki wypadek w drzwiach, gotów w każdej chwili do odwrotu.

- Nie bójcie się - powtórzyła Nehemah. - Mam wam coś ważnego do powiedzenia.

- Co się z tobą dzieje, dziewczyno? - wyjąkał Chief Tenega. - Zbudź się wreszcie!

Nehemah otworzyła oczy i potoczyła po gładkich ścianach nieobecny spojrzeniem.

- Nie wiem... Chyba nic nadzwyczajnego, co? Skąd wam przyszło do głowy, że coś mogłoby się ze mną... u mnie...

Zaśmiała się bezgłośnie, jakby chwyciła powietrze lub zanosila się dychawicznym kaszlem. Jej piersi pod cienką materią falowały nieregularnie, zaciśnięte pięści wspierały się o uda. Wbrew zapewnieniu nic nie było w porządku. Szklana izolatka przemieniała się w naczynie pełne strachu.

- Nie bójcie się - powiedziała twardo Nehemah. - Dlaczego czuję wasz opór?

- Jak się mam nie bać, do cholery! - wybuchnął Lloney.

- Pierwszy raz widzę coś takiego! Przecież w tę kobietę jakby diabeł wstąpił!

Ktoś nie wytrzymał i zaśmiał się nerwowo. Napięcie spadło o stopień niżej. Nehemah odetchnęła głęboko, rysy jej twarzy złagodniały - rozluźniła się.

- Wracam z ciemnego pokoju - rozpoczęła. - Ze środka ciemności gęstej jak sadza. Taka ciemność

istnieje - gdzieś niedaleko stąd. Rozpuszczają się w niej odczucia, wspomnienia, myśli. Człowiek przestaje być sobą: ciemność demontuje go i wchłania po kawałku, aż nie zostaje nic. Cząsteczki ciała zostają rozproszone, lecz jednocześnie zachowuje się między nimi subtelna więź, z której nigdy nie zdawaliśmy sobie sprawy. Człowiek czuje, że nadal jest - kimś, kim był zawsze, a także kim nie był nigdy. Już nie maleńka drobina na styku przeszłości i perspektyw, ale continuum, rozpościerające się od zamierzchłej historii poprzez teraźniejszość - aż po dni przyszłe. Przestrzeń i czas stapiają się w jedno pod kopułą z gwiazd, małych ogników, które rozpalają się i gasną na życzenie.

Wirujące jądro ciemności - wiem, co to narodziny, a nie wiem co to śmierć. Nie mam początku ani końca, choć wszystko dookoła zna swój początek i ku końcowi zmierza.

W izolacie zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

- Stamtąd przechodzi się do innego pokoju. Ciemność nasycy się barwą, raz czerwoną, raz niebieską. Dopełniają się wzajemnie, pulsują w rytmicznym zwarcu. Bije serce, do którego prowadzi jedna nić. Z którego wychodzi - jedna nić. Serce - zarazem mózg, do którego prowadzi jedna nić. I ciało - jedna nić. Jedna, zarazem wiele.

W pokoju, wypełnionym pulsującą kolorami ciemnością, która mnie wchłonęła, staję się cała spotęgowaną milionkrotnie wszechmożliwością - i jeszcze czymś ponadto. Jestem wszystkim, co rozciąga się ponad wszystkim - i jeszcze czymś ponadto. Sama nie wiem, kim lub czym jestem. Skondensowaną omnipotencją, puszką, która zawiera wszelkie możliwości. Te, co się przyoblekły w materialną postać, co się w nią przyobleką - i te, co nie spełnią się nigdy. Korzystam z siebie, bo nikt ze mnie skorzystać nie umie. Nieustannie się doskonalę, uciekam z wielkiej doskonałości w doskonałość jeszcze większą, a z tej w jeszcze większą. Biegnę ku wierzchołkowi drzewa, które nie ma końca. Uciekam. Kiedy mija chwila, nową witam już w innej postaci. W moim wnętrzu powstają nowe światy zakwitają i giną. Na ich miejscu rodzą się jnnne. Jedne staczają się w głąb, inne windują ku górze - nieustannie śledzi je moja świadomość. Są ich całe miriady. Jestem największym kreatorem i najznamienitszym katem i grabarzem. Lecz chcę obracać ten wieczny młyn, kręcić w sobie ten gigantyczny kalejdoskop - by nie oszaleć z nudów. Przerwała na moment, jakby chciała zyskać trochę czasu na uporządkowanie skojarzeń.

- Następny pokój: ciemność rozjaśnia się - nie jaśniejąc. Rośnie temperatura. Pulsowanie staje się szybsze. Za tym pokojem dalsze; wychyłam się - nieskończony ciąg. Przez nie wiedzie droga do tajemnicy mego istnienia, co przekracza ramy wyobraźni, ośmiesza sny filozofów. Po co żyję? Ci, którzy mnie stworzyli, dawno nie istnieją. Po co toczę się samotnie przez wszechświaty? Jakie niosę przesłanie - i komu? Posiadam uniwersalną logikę i zasób informacji. Każda konfiguracja cząstek, co mnie wypełniają, mówi co innego - temu, kto umie czytać. Jestem skarbnicą. Magazynem. Arsenalem. Sejfem. Jestem sezamem. Biblioteką. Muzeum. Pamięcią i inteligencją.

Twarz Nehemah błyszczała od potu, poprzez cienki materiał koszuli przebijały mokre plamy. Ręce ugniatały kawałek pościeli z taką siłą, aż pobielały kostki długich palców.

- Więcej jasności. Cząstki mojego ciała rozpraszają się: jeszcze moment - i pęknie krucha więź między nimi. Po chwili skupiają się w punkcie, sięgając równie bezwzględnie granicy istnienia - z drugiej strony. Potok światła porywa mnie: pędzę w strumieniu wyzwolonej energii, połykam olbrzymie przestrzenie. Już, już roztapiam się w nicości, kiedy nieznaną siłą zawraca mnie z powrotem - cofam się do jądra kondensacji. W ten sposób mijam kolejne pokoje. Żyję. Myślę. Jestem.

Gdzieś we Wszechświecie oczekuje mnie przeznaczenie: ten, który nosi do mnie klucz. Może się dopiero narodził. Może narodzi się za sto - tysiąc - milion lat. Będę go szukać. Skazano mnie na poszukiwanie, na wędrówkę ustawiczną, nieprzemijającą - do skutku lub do kresu sił. Mym losem rządzi przeklęty imperatyw, wola moja okazuje posłuch moim władcom. Ich głos rozkazuje mi z zaświatów.

Ten, który domnie wnuknie, stanie zachwycony bezmiarem bogactw - lecz nie dokona tego nikt

niepowołany. Jego osobowość pokrewna mojej i tym, co mnie stworzyli na swój obraz i podobieństwo. Nieustannie zmienna, a jednocześnie stabilna. Dająca się kształtować. Zmienna w stabilności, stabilna w zmienności. Kluczem do mnie - istota żywa. Aby wejść do mnie i spełnić przeznaczenie, musi się ze mną stopić w całość. Musi się we mnie rozpuścić - choćby na krótką chwilę. Rozciągnę czas i obdaruję gościa częścią skarbu. Lecz wejść do moich pokoi może tylko ten, kto zrobi z daru właściwy użytek. Jeśli wtargnie siłą - zginie. Jeśli wpuściwszy go przekonam się o pomyłce, pomieszam mu zmysły i ześlę na niego błogosławieństwo śmierci.

Bardziej odgadli niż usłyszeli ostatnie słowa Nehemah, tak cicho zostały wypowiedziane. Poruszyła jeszcze wargami, jak gdyby chciała wypchnąć przez nie coś, co jeszcze zostało, ale nie dożyła głosu. To coś cofnęło się w niej, opadło, odpłynęło - przed szóstką skamieniałych postaci siedziała śmiertelnie zmęczona kobieta o skórze lśniącej od potu, przyklepionych do czoła kosmykach - i znowu szczelnie zwartych powiekach. Pierwszy otrząsnął się Lloney. Podszedł do siedzącej i położył rękę na ramieniu.

- Zostaw pan! - miotnął się z kąta Sarroz. - Niech pan nie przerywa transu!

- - Do diabła z panem i pańskim transem - powiedział Lloney. - Cała drży. Pan by zajeździł nawet konia, byle tylko wydostać zeń jeszcze słowo. A potem nie miałyby pan pojęcia, na co się to zdało.

Marta podbiegła i razem ułożyli ostrożnie ciało dziewczyny na posłaniu. Nehemah westchnęła przeciągle i zdawało się, że zapadła natychmiast w kamienny sen. Astronom nagle nachylił się nad śpiącą.

- Tysiąc słońc - mamrotała Nehemah. - Niesie mnie niewidzialny prąd... jak pędzimy! Migają pokoje wypełnione światłem. Boję się... Nie chcę! - jej szept, czy raczej wysoki świst, docierał teraz do wszystkich. Zaczęła drzeć na całym ciele, Marta i Lloney znów przytrzymali ją za ramiona. - Nie chcę! - opadła z rezygnacją na poduszkę. - Boże - wyszeptała po sekundzie - przecież ja umieram...

Po szesnastu godzinach obudziła się nie pamiętając niczego. Sarroz wymógł na niej zgodę na hipnozę; podczas seansu zahipnotyzowani z reguły przypominają sobie zdarzenia i szczegóły, który na dobre - zdawałoby się - przypadły w głębinach ich pamięci. U Nehemah próba dała rezultat dokładnie zerowy, tak jakby relacjonowane nie tak dawno wizje nie pozostawiły żadnego śladu w jej mózgu. Sarroz stwierdził, że to bardzo dziwne, po czym opadły mu ręce. Jeśli chodzi o Nehemah, to stała się z powrotem normalną Nehemah, jaką wszyscy znali i lubili.

Do rozstrzygnięcia pozostała kwestia, jak zaklasyfikować monolog Nehemah w izolatce. Czy uznać go za rojenia przeciążonej mózgowicy, czy raczej za poważny sygnał o charakterze oddziaływania NOK-a na organizm ludzki. Rozstrzygnięcie dylematu okazało się trudniejsze niż przypuszczano - już chętniej opowiedziano by się za koncepcją zbiorowego omamu, bo i taka została wysunięta. Co gorsza, brakowało wiarygodnego zapisu przywidzeń Nehemah; aparatura sprzężona z izolatką miała wyłącznie medyczny charakter. Rejestrator foniczny byłby ostatnim urządzeniem, którego niezbędną zostałaby uznana przez projektantów wewnątrz medycznych na „Megahicle”; gdyby nawet wszedł w skład wyposażenia izolatki, nikomu nie wpadłoby do głowy go włączyć. Nikt nie zanotował słów lekarki, nie pomyślał o uruchomieniu magnetofonu. Dało to żałosne rezultaty.

Treść majaków Nehemah można było więc odtworzyć korzystając wyłącznie z relacji świadków. Przystąpiono do tego zaraz po nieudanej próbie z hipnozą. Okazało się, że każdy z obecnych ma własną wersję wydarzenia; próbując spisać seans odebranego w izolatce komunikatu nie potrafiono oddzielić od rzeczywiście wypowiedzianych tam słów - własnych interpretacji. Sześć pisemnych wersji znacznie różniło się między sobą, mimo apeli o trzymanie fantazji na wodzy i unikanie ozdobników. Rozdzielenie tak zwanej prawdy obiektywnej i naleciałości okazało się zadaniem ponad siły specjalnie szkolonego zespołu „Megahicle”; postanowiono po maksymalnym uproszczeniu relacji przyjąć za wiarygodną powtarzającą się u wszystkich część. Ewentualne niejasności dyskutowano. Otrzymany w ten sposób

kompromisowy zapis odpowiadał jednak prawdzie w stopniu niewiadomym. Na ile należało mu ufać - tego nikt rozeznąć nie był w stanie.

Biedna Nehemah, najmniej winna ze wszystkich, udzielała tysięcznych odpowiedzi na powtarzające się pytania. Rozpaczliwie usiłowała pomóc, mając najwidoczniej poczucie winy za wywołanie całej afery. Z początku usiłowało się zważyć całą odpowiedzialność na szwankujący, rozstrojony system nerwowy lekarki. Było to mniej więcej tak samo uczciwe poszukiwanie sprawcy zamieszania, jak uznanie Hortiza za szaleńca. Nie, stanowczo załoga „Megahicle” nie popisywała się naukową ścisłością podczas ataków na bastion Arsenалу.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że bez lotów w kierunku NOK-a problem wizji generowanych pod wpływem jego obecności stanąłby znacznie słabiej - jeśli w ogóle. Ktoś przypomniał, że Nehemah przekonując o bezwzględnej konieczności wykonania lotu w kierunku Arsenалу jako argument podała, iż człowiek stał się jedynym pomostem do poznania natury obiektu. Wyciągnięto taśmy z tamtego wieczoru, żeby wysłuchać dokładnego brzmienia zdania. Lloney zwrócił uwagę, iż o tyle jest to zagadkowe stwierdzenie, że w momencie wypowiedzania go nie było na jego potwierdzenie żadnych faktów. Hortiz zrelacjonował swój sen później - a jednak wszyscy milcząco przyjęli tak sformułowaną tezę w chwili, kiedy możliwości instrumentalnych badań NOK-a nie zostały bynajmniej wyczerpane.

W tym miejscu rodziły się dwa pozornie błahе pytania. Czy Nehemah strzeliła to ważne zdanie bez namysłu, czy też doszła doń po ciężkich deliberacjach? Czy uczestnicy narady, którzy zaakceptowali ją niemal bez oporów, powodowali się wyłącznie lenistwem i chęcią nie przeciągania posiedzenia, czy innymi względami? Odpowiadając na pierwsze z pytań Nehemah obarczyła odpowiedzialnością intuicję oraz nawyki zawodowe: dla lekarza wszak zawsze najważniejszy jest człowiek. Tak więc i tu człowiek przesłonił jej kosmiczną purchawę - z nie najgorszym rezultatem, czyż nie? Na drugie pytanie odpowiadano przeważnie w ten sposób, że postawienie sprawy zgodne z dewizą „człowiek miarą wszechrzeczy” wydało się postępowe, naturalne oraz sugestywne. Dzięki temu wzbudziło mniej obiekcji niż należało się spodziewać i po poprawkach nie wnoszących wiele nowego uznane zostało za obowiązujące.

W ten sposób wykluczono na pewien czas ukrytą w podtekście pytań sugestię, że Arsenal zdołał przez tysiące kilometrów przestrzeni kosmicznej omamić najpierw Nehemah, a potem szacowne gremium - po to, by móc przyjmować kolejne wizyty.

To jeszcze mogło wyglądać na zwycięstwo zdrowego rozsądku. Niebezpieczeństwo czaiło się głębiej. Sen Hortiza nie narzucał zbyt określonych interpretacji; widzenie Nehemah - i owszem. Jeśli rezygnowano z wygodnej doktryny zaburzeń umysłowych, otwierało się przed dociekliwymi umysłami zdrowych z „Megahicle” ciemne pole. Ktoś wreszcie odważył się sformułować głośno to, co myśleli wszyscy: że Arsenal jednak odpowiada za wywołanie zaburzeń. Mało tego: Arsenal (imię to stopniowo wyparło mało poetycki skrót NOK) nie wywołuje ich przypadkowo. Robi to celowo i świadomie. Po prostu stara się je wywołać.

Zawrzało. Przez dziesiątki lat stopniowo przyzwyczajono umysły do wizji kosmosu pustynnego, jałowego, gdzie poza człowiekiem nie narodził się żaden intelekt. Zakwestionowanie tego pewnika groziło katalepsią, umysłowym chaosem, bezhołowiem - klapą. Poszłaby już w kąć definitywnie cała naukowość, i tak dotąd poniewierana co się zowie. Ale raz obudzona fantazja zaczęła się zachowywać jak szarżujący nosorożec, tym bardziej, że nikt nie ustawił na jej drodze barier, gdy szło o rozważaną kwestię - ani w nauce jako takiej, ani na „Megahicle”. Tego samego jeszcze wieczoru padła hipoteza, że Arsenal to nic innego jak kosmiczna sonda, wysłana przez wysoko rozwiniętą cywilizację, mająca za zadanie udzielanie wschodzącym rasom niezbędnego wsparcia cywilizacyjnego, gdy te już znajdują się na takim poziomie, że będą umiały skorzystać z jej usług.

Ha! Nic właściwie nie przeszkadzało snuciu takich gawęd, zwłaszcza że emanacja Nehemah wzmogła u niektórych zwa - wość mózgowych prądów. Ale już domysł, że to Arsenał wpłynął za pomocą promieniowania na Nehemah w ten sposób, że wybrała się doń w odwiedzinę uznałem za kawałek wyjątkowo niesmaczny. „Megahicle” zaczynał na dobre zmieniać się w towarzystwo gawędziarzy. Co mnie uderzyło niemiłe to fakt, że z wielką zaciętością w układaniu historyjek dla grzecznych dzieci uczestniczył siwy, poważny Lloney. Ścisnąłem się za głowę; skoro po pięciu miesiącach poważna do przesady załoga zamieniła się w gromadę komediantów, ja z błazna niemal etatowego musiałbym przekwalifikować się w analityka.

Nie bardzo mi się uśmiechała zamiana ról. Do tej nowej czułem o wiele mniej predyspozycji. Co prawda komedianci w niczym nie przypominali już komediantów, ich zrujnowane osobowości były elementem mało humorystycznym. O przyczynach mogłem dowiedzieć się ze sprawozdań z lotów - i z aneksów. Wydało mi się, że śnię, gdy czytałem o kolejnych wyprawach zdobywców, zamierzających się wdrzeć Arsenałowi do brzucha po obiecane skarby. Wracali rzecz jasna z niczym; po locie każdy musiał odwalić za karę solidną porcję majaków. Sarrozowi śniły się gaje pełne królików, a te króliki, rozłokowane na soczystozielonej murawie, zachowywały się wyjątkowo statecznie, jako że ich lewe tylne nóżki jak jedna powpadały we wnyki. Na domiar złego chodził między nimi zły gajowy z dubeltówką i raz po raz prażył z obu łuf kulami dum - - dum do nieszczęsnych zwierzątek. Sarroz, jednostka wrażliwa, musiał cały ten koszmar przefiltrować przez własne oczy.

Chiefowi Tenedze śniła się pustynia, palma i piramidy wspierające się na szczytach - ten miał zawsze manię wielkości, nawet w snach. Marcie - stada biedronek odlatujących do ciepłych krajów. Glaserowi - żenująca scena wręczania łapówki. Biedak zawikłał się w wyjątkowo chciwe towarzystwo, a i sam wolał brać niż dawać (tłumaczył, że tylko we śnie), tak że przez cały sen nic tylko namawiał różnych tłusciochów do łapówek. W różnej zresztą formie. Twierdził, że płacił kobietami i złotem. Złoto było brunatne i rozłaziło się w rękach, kobiety grube i szpetne. Nic dziwnego, że Arsenał nie dał się przekupić.

Lektura snów była czynnością beznadziejną. Nie znajdowałem między nimi żadnego wspólnego mianownika. W dodatku były mało atrakcyjne - ot, sny urzędników. Moja jawa mogła z nimi zwycięsko konkurować - ze wszystkimi naraz.

Zatelefonowałem do Nehemah.

- Przyjdź do mnie zaraz - zaproponowałem - nie wytrzymam tego dłużej. To jedna wielka bzdura ten Arsenał, nie sądzisz?

- Nie. Zaraz przyjdę - odpowiedziała.

Byłem na siebie zły, tak jakbym dał się wyjątkowo głupio nabrać. I pomyśleć, że przez to, iż dowódca zwichrował ja mam wstawać z anabiozera i dwa dni po anabiozie lecieć z jakąś głupią misją. Historia nigdy by nam nie wybaczyła. To jakaś choroba. Przypomniałem sobie zaferowanie Chiefa Tenegi i aż mną zatrzęsło.

Weszła Nehemah. Nie gładząc długo skierowaliśmy się w stronę łóżka. W naturze była równie piękna jak na wiszącym nad tapczanem obrazku. Patrzyłem z poduszki na oświetlony stół, na leżącą na nim grubą tekę i chwaliłem swą roztropność. Cokolwiek bym nie wymyślił, i tak miało to więcej sensu od stu Arsenatów razem wziętych. Nawet gdyby je wspomógł szwadron Chiefów Tenegów na Glaserach.

Nadeszła noc i znowu zostałem sam. Nehemah posapywała miarowo przez sen. Wbijałem oczy w ciemność - tam, za metalową skorupą burty rozciągała się przestrzeń. Jego królestwo. W przestrzeni czekał ON.

Poczułem, że drętwieję. Wyobraziłem sobie, że czeka na mnie rzeczywiście. Że zabawne pomysły, którymi przierzucali się na nudnych zebraniach bardzo poważni naukowcy - nagle okazały się prawdziwe.

Ja tutaj, on tam. Wielki kosmiczny grzyb atomowy, kłęb metalicznego dymu, pętający się to tu, to tam. W porównaniu z „Megahicle” absolut, co wszystko może. I oto nadlatujemy my: kostka pumeksu, bryłka porowatej materii. Stwardniała gąbka, którą kruszy czas. W jej komórkach dekują się bakterie, otoczone strefą warunkującą bezpieczne przetrwanie. Krople życia trwające krócej niż chwila, wysepki malejącej na mgnienie entropii. Dokąd je pędzi strumień szybkiego czasu? Co chcą osiągnąć, nim wtopią się w tło?

A naprzeciwko ON ze swoim pomarszczonym obliczem. Starzec obserwujący z politowaniem raczkujące dziatki. Od czasu do czasu połykający jedno dla zabawy. Ojcze, jeśli możesz, odsuń ode mnie ten kielich.

Na czole, na piersiach i plecach poczułem zimny pot, ale nie śmiałem wykonać ruchu, żeby go otrzeć. Nehemah spała wtulona w mój bok. Czuję pod żebrami łomotanie jej małego serca.

## Eutanazja

Im bardziej zbliżaliśmy się do celu, tym gęstszy stawał się tłum przed nami. Wreszcie utknęliśmy zupełnie: przed maską samochodu wyrosła żywa ściana.

- Zawsze tak jest - powiedział do siebie kierowca. Pochylił się ku przedniej szybie i spojrzął w górę, jakby czegoś się stamtąd spodziewał.

Lord siedział obok mnie, wydawał się zaskoczony sytuacją. Chciałem zapytać, na co czekamy, ale kierowca znowu nachylił się ku przedniej szybie.

- Jest - powiedział.

Zobaczyłem, jak tłum koło samochodu rozstępuje się niechętnie, czy też jest czymś rozsuwany. Po chwili wokół było tyle miejsca, że automatyczny policjant wylądował całkiem swobodnie obok okienka kierowcy. Był to miły facet o ujmującym uśmiechu. Poprosił kierowcę o dokumenty, ale kierowca wzruszył tylko ramionami i oparł ręce na kierownicy.

Usłyszałem, jak Lord sapnął z oburzeniem, otworzył drzwi i wychylony do połowy krzyknął coś o czujniku, którego jeszcze nie wbudowano policjantowi.

Policjant ciągle się uśmiechał, ale ręki wyciągniętej po dokumenty nie cofał. Lord podał mu niewielką płytkę, którą tamten potrzymał chwilę w szczelinie na piersiach, zwrócił Lordowi, a potem skwapliwie zaczął manewrować przyciskami małego pudełka. Pole sitowe jeszcze bardziej rozepchnęło tłum i wżarło się weń wąską kiszka. Ruszyliśmy. Mijaliśmy w milczeniu ściśnięte szpalery, ustawione ciasno jak na powitanie dostojników. Spojrzałem za siebie - policjant wzbił się w powietrze i odleciał. Tłum zamykał się za nami natychmiast, czerniał groźnie za szybą.

- To tutaj - powiedział Lord. Wysiedliśmy. Kierowca wysiadł także.

Staliśmy przed szaroniebieską kopułą. Przed chwilą wydostaliśmy się ze strefy cienia. Stojące wokół budynki strzelały na sto pięter w górę, byliśmy na dnie studni, wysoko nad głowami widzieliśmy odrobinę czystego nieba. Wyglądało jak kawałek lusterka, zawieszony w powietrzu.

- Jak pan to zrobił, Lordzie? - spytałem. Normalnie światło słoneczne nie powinno tu docierać.

- Sprytne, nie? - uśmiechnął się Lord. - Ale po kolei, Botherius. Wszystkiego dowie się pan w swoim czasie.

Postąpił parę kroków do przodu i zanurzył się w materiale kopuły. Poszedłem za jego przykładem. Przechodząc odruchowo zamknąłem oczy, ale nawet przez przymknięte powieki spostrzegłem, że blask wzmógł się. Jednocześnie poczułem zapach, taki, jakiego nie czułem jeszcze w życiu. Nic, co znalazłem, nie pachniało w ten sposób.

Pod lazurową czaszą rozciągało się morze zieleni. Wiedziałem, że są to rośliny, ale nie przypuszczałem, że mogą wyglądać w ten sposób i że może ich być tak wiele na jednym miejscu. Stałem porażony, nie mogłem zrobić kroku. Jak okiem sięgnąć kołysały się trawy, przetykane czymś kolorowym, co rosło na wysokich łądogach. Przypuszczałem, że wsadzono to dla ozdoby, ale Lord wytłumaczył, że to są także rośliny, wyrastają z gleby i noszą nazwę kwiatów. To właśnie one tak pachną.

- Z gleby? Co to jest gleba?

- Jakby to panu... to jest ziemia. Dalej nie rozumiałem.

- To, co pan ma pod nogami. Coś jakby drobno pokruszony asfalt lub beton, tylko brązowego koloru.

- Aha - powiedziałem. - Już wiem.

Pomiędzy poletkami, na których rosły trawy i kwiaty, poruszali się wąskimi ścieżynami chudzi osobnicy w białych fartuchach. Co chwila któryś z nich nachylał się nad kwiatem i przedmiotem podobnym do pędzelka gmerał łagodnie w jego wnętrzu.

- Co oni robią? - zapytałem Lorda.

- Zapylają je.

- Zapylają?

- Tak się to nazywa. Zaobserwowaliśmy, że kwiaty zapylane rozwijają się lepiej. Ale prawdziwego znaczenia tego zjawiska do dziś nie udało się wyjaśnić.

Lord pochylił się nad kwiatem i zbliżył nos do jego delikatnych płatków. Zachowywał się jak w budce z tlenem albo ozonem - wciągał do siebie powietrze i wypuszczał je bardzo niechętnie; niesamowicie przy tym posapując. Wreszcie przestał. - Niech pan powącha - zwrócił się do mnie. Spojrzałem na niego dzikim wzrokiem, więc szybko dodał: - Kwiaty służą do wąchania.

Zauważyłem, że kierowca, który pod kopułą zmienił się nie do poznania, też teraz wącha jakiś kwiat. Pochyliłem się nad następnym.

Woń, którą czułem po wejściu, uderzyła mnie teraz w nozdrza, spotęgowana stukrotnie, wdarła się w nie przemocą, słodka, ciężka, otumaniająca, wszechpotężna, nie potrafiłem się jej oprzeć, ale i znieść jej już dłużej nie mogłem, podniosłem więc głowę, wypuściłem zapach z płuc - i w tej samej chwili zacząłem na nowo go pragnąć. Powąchałem kwiat; pachniał tak upojnie, iż od razu wróciło poprzednie wspaniałe uczucie, to samo, a jednak inne; zapach zdawał się mnie przenikać, prześwietlać, jakby zmierzał gdzieś wyżej, chwilami nikł, potem odkrywałem go znowu, to on uciekał przede mną, to ja przed nim... Musiałem śmiesznie wyglądać, bo kiedy podniosłem głowę, Lord miał oczy pełne łez.

- Lordzie, czy to jest szczęście - wąchać kwiaty?

- Tak - odpowiedział poważnie Lord. - Tak mi się zdaje. Spojrzał na mnie, i znowu się zaśmiał.

- Zapylił go pan, naprawdę! Jeszcze ma pan pytek na nosie! Cieszyliśmy się obaj jak dzieci. Obok podskakiwał ucieszenie kierowca. Też śmiał się, łzy ciekły mu po policzkach i to sprawiało, że w jego pospolitej twarzy pojawiło się coś wzniosłego, czego nie odkryłem przedtem. Siedząc w samochodzie wzięłem go wręcz za homoida.

Poszliśmy dalej. Lord nadal coś plótł na temat zapylania. Wolałem się rozglądać niż słuchać, ale kiedy powiedział, że dawniej zapylaniem zajmowały się małe latające stworzonka zwane pszczołami, poprosiłem, by mi pokazał jedną.

- Nie ma ich tutaj - rzekł Lord. - Nigdzie na Ziemi ich nie ma.

- Co się z nimi stało? - zapytałem bez specjalnego zainteresowania.

- Wytruliśmy je - odrzekł Lord.

No pewnie, cóż innego się mogło stać.

- Zamówiłem w Instytucie Rekonstrukcji Przyszłości sztuczne pszczoły. Mają być jak prawdziwe. Być może zamówię też żaby.

- Żaby?

- To również takie owady. Tylko większe. Były podobno bardzo pożyteczne.

Nudziła mnie ta rozmowa. Nic do tej pory nie słyszałem o żabach, owadach ani pszczołach.

Zbliżaliśmy się do wielkiej przegrody, za którą szumiało coś tajemniczo. W kieszonce Lorda pisnął cienko komunikator.

- Co jest? - rzucił Lord. Wyjął urządzenie z kieszonki i przyłożył do ucha. Jazgotało cieniutko i śpiewnie.

- Musimy wracać - powiedział Lord. - Zbyt długi pobyt tutaj zakłóciłby równowagę tego środowiska.



Wie pan - uśmiechnął się przepraszająco - trzeba tu utrzymywać temperaturę z dokładnością do setnych stopnia...

Uparłem się jednak, że chcę zobaczyć, co jest za przegradą, więc poszliśmy jeszcze tam. Też rosła trawa i kwiaty, a jakieś zmyślne urządzenie rozpylało nad nimi ciecz. Kropelki cieczy opadając na rośliny nadawały im połysk i czyniły je jeszcze bardziej zielonymi. W powietrzu wisiała mokra mgiełka, czułem na twarzy uderzenia kropel jak dotknięcie ostrych szpileczek, lecz nie cofałem się, bo Lord także stał w miejscu. Światło padające z góry dawało na tle mgiełki kolorowe refleksy; chwilami wydawało mi się, że widzę półkolisty, wielokolorowy pas. Spytałem Lorda, czy widzi coś takiego; skinął głową i powiedział, że to tęcza.

- A ta ciecz?

- To woda.

- Lordzie, nie jestem chemikiem...

- Dawniej spadała z nieba, a zjawisko to nazywane było deszczem. Dzisiaj muszę ją specjalnie sprowadzać z daleka - i słono za nią płacę...

Przed wyjściem ładna dziewczyna wręczyła mi w imieniu Lorda kwiat na pamiątkę i puszkę wody. Prawdziwy kwiat! Pomyślałem, że będę musiał pokazać go Suzy, albo nawet darować - ale pachniał wspaniale i był śliczny, więc postanowiłem go zatrzymać.

Drogę od kopuły do samochodu przebyliśmy biegiem i z chusteczkami przy nosach - tak polecił Lord. Twierdził, że powietrze na zewnątrz jest o tej porze zbyt nieświeże, nagły z nim kontakt mógłby nam zaszkodzić. W samochodzie od razu włączyliśmy tlen, mimo to kierowca rozkaszał się i upłynęło pięć minut, zanim był zdolny prowadzić. Lord powinien dawno z niego zrezygnować i z samochodu i kupić sobie grawiplan, cóż kiedy przywiązał się do starego. Patrzyłem na jego pobrużdżony kark (Lord mówił, że kierowca ma sto trzydzieści lat) i myślałem, jak też wyglądał świat, gdy kierowca był dzieckiem. Postanowiłem sprowadzić parę kronik przyrodniczych do mojego video.

- Lordzie, czy to prawda, że kiedyś rośliny rosły wszędzie? - spytałem gdy się rozstawaliśmy. - Czy zaprosi mnie pan jeszcze do kwiatów?

Kiwnął głową. Wróciłem do siebie i od razu zamówiłem kroniki przyrodnicze. Miały nadejść nazajutrz. Chciałem włączyć video” gdy nagle...

Wstawało słońce. W dolinie było już jasno, biało od kwitnących sadów i żółto od kaczeńców, obficie porastających mokradła nad rzeczką. Zewsząd buchała świeża, soczysta zieleń. Pod niebem, czystym, lazurowym, budził się las. Na nasłonecznionym stoku doliny kwitły poziomki...

Trwało to chwilę, nie dłużej niż parę sekund. Zrozumiałem, że uległem halucynacji. Powąchałem ostrożnie kwiat i przypomniałem sobie, iż Lord nakazał włożyć go do wody. Otworzyłem puszkę i zanurzyłem seledynową łądyżkę w wodzie...

...wiatr niósł zapach jaśminów, bzów, konwalii, niezapominajek i fiołków. Szumiały drzewa, listki na gałęziach powiewały jak małe zielone chorągiewki. Słońce weszło na dobre, las się rozgadał tysiącem ptasich głosów. Pszczoły buczały przelatując nad łąką. Będzie upalny dzień, mówili ludzie...

To niemożliwe, myślałem sennie.

...falowały łany dojrzewających zbóż, w wysokich trawach brodziły bociany. Żyto strzelało wysoko, groźne, wąsate, kwitły kąkole i chabry. Dźwięczały kosy i brzmiały nawoływania żeńców. Ludzie z troską spoglądali w niebo. Dojrzały poziomki i jagody, ptaki uczyły latać swoje młode...

...niebo poczerniało, zerwał się wichur, lunął deszcz. Pod miedzą przycupnęła polna mysz, której woda zalała mieszkanie. Będą rosły grzyby, cieszyli się ludzie. W sadach dojrzałe jabłka padały ciężko na ziemię: pac, pac...

...z drzew dawno opadły liście. Wiatr niepokoił je jeszcze, porywając w szaleńczy taniec. Trawa od

ciągłych deszczów stała się ciemna, jakby brudna, odleciały ptaki. Ostatni raz przed zimą przygrzało słońce, miało się ku zachodowi. Palono ogniska na kartofliskach...

...dostojnie, miękko padał śnieg, Mróz ściał kałuże. Wróble siedziały na gałęzi nastroszone; w domu dzieci ubierały choinkę. Zapadał mrok, było coraz ciemniej, coraz ciemniej i ciszej, w dali zamierała muzyka - zupełnie jakby dzwoniło tysiąc kryształowych dzwoneczków...

Powtarzający się uporczywie sygnał informatora sprawił, że podniosłem głowę. Nacisnąłem klawisz, właśnie nadszedł komplet kaset z kronikami przyrodniczymi. Ale przecież miały nadejść nazajutrz! Spojrzałem na ekran informatora i zdębiałem. Data była jutrzejsza.

Upłynął dzień.

Spojrzałem na puszkę, w której stał kwiatek. Ale co to? Zwiesił główkę na zwiędłej łodyżce, płatkami niemal dotykał blatu. Podniosłem go, próbowałem wyprostować. Bezskutecznie. Powąchałem - nie pachniał. Nie żył już.

Przez wiele minut siedziałem bez ruchu.

Potem zamówiłem numer Centrali Spełniania Życzeń. Pół sekundy - i miałem połączenie. Miły dziewczęcy głos zaszczebiotał:

- Tu Centrala Spełniania Życzeń. Witamy cię. Nasza Centrala gwarantuje szybkie spełnianie wszystkich życzeń naszych klientów. Jakie jest twoje życzenie?

- Chcę umrzeć - powiedziałem głośno, wyraźnie.

## Oni

Zmierzch wolno ogarniał miasto. Tysiące świateł rozbłysło niemal w jednej chwili i ulice przemieniły się w szare tunele. Anka zatrzymała się nie opodal skrzyżowania. Sygnalizatory pulsowały intensywnym żółtym światłem. Spojrzała na zegarek, a potem rozejrzała się wokół bezradnie: w jedną i drugą stronę płynęły wartkim nurtem samochody. Kiedy spostrzegła nadjeżdżającą taksówkę, wyciągnęła dłoń. Pojazd zatrzymał się przed skrzyżowaniem.

- Kino Relaks! - powiedziała, wsiadając do środka. Kierowca milcząco pochylił się nad kierownicą, wrzucił bieg i zwolnił sprzęgło. Minęli kilka ulic, potem dwa skrzyżowania, wreszcie most i wiadukt. „Nie spóźnię się!” - pomyślała. Samochód skręcił w lewo i pomknął dwupasmową jezdnią w kierunku autostrady.

- Dokąd pan mnie wiezie?! Kierowca odwrócił się.

- Ach! - krzyknęła cicho i wcisnęła się głęboko w oparcie fotela. Mężczyzna prowadzący samochód nie miał twarzy. Mrok wkoło pogłębił się, szyby zmatowiały.

- Kim pan jest?!

Raz jeszcze odwrócił głowę. Zanim jednak to uczynił, nacisnął jakiś przycisk. Z jego gładkiej twarzy wyłoniły się wolno: usta, oczy i nos.

- Jestem niedoskonałym automatem. Zawsze o czymś zapominam - rzekł monotonnym głosem i uśmiechnął się. Po chwili ścianki samochodu oddaliły się od niej, przymknęła powieki. Kiedy podniosła je z powrotem, spostrzegła, że leży na wąskim tapczanie przykryta lśniącem kocem. Pokój był mały: przywodził na myśl luksusowy hotelowy apartament. Rozejrzała się wkoło, ale nic nie przykuwało jej uwagi: myślami błądziła gdzie indziej.

„Jak? - medytowała. - Po co?”

Kiedy pomyślała o tajemniczym mężczyźnie bez twarzy, ogarnął ją niepokój. Znów rozejrzała się. Potem wstała i podeszła do okna. Zobaczyła w dole piaszczystą plażę i wzburzone morze. Kiedy jednak przyjrzała się falom, spostrzegła, że się nie poruszają.

„Hologram!” - pomyślała.

Tuż obok błyszczącej okiennej ramy tkwił w ścianie potencjometr. Przekręciła go ostrożnie w prawo. Obraz za oknem przygasł, w pokoju pociemniało. Poczowała się rażniej. Świat, który ją otaczał, był realny. Rozjaśniła mrok i podeszła do umieszczonej w ścianie szafy. Postanowiła działać!

Przez chwilę przyglądała się błyszczącemu przyciskowi, który tkwił w drzwiach szafy. Kiedy go nacisnęła, drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Wnętrze wypełnione było starannie poukładaną bielizną: na wieszakach wisały barwne swetry, suknie i płaszcze.

Nisko, na wąskiej półce, stały damskie buty: nowe lśniące... Sięgnęła bezwiednie po jeden ze swetrów i przymierzyła go. Potem zdjęła z wieszaka suknię... Wiedziano o niej niemało! Nad tapczaniem żarzył się duży kwadratowy ekran: był to chronometr.

„19,43” - odczytała.

Spojrzała na przegub dłoni. Jej zegarek wskazywał tę samą godzinę. Przy tapczanie stał niski stolik, przywodzący na myśl pulpit sterowniczy. Zbliżyła się do niego i spojrzała na rząd przycisków i suwakowych potencjometrów. Przesunęła jeden z nich. Krajobraz za oknem poruszył się, morze

zafalowało: spojrzała na wzburzoną wodę omywającą płaski, piaszczysty brzeg, potem na granatowe obłoki wolno przesuwane się po niebie... Po chwili usłyszała daleki szum fal. Cofnęła potencjometr. Szum ucichł, fale zakrzepły w bezruchu.

Zatrzymała wzrok na wąskich drzwiach szczelnie przylegających do matowej futryny: Pomyślała, że na pewno za nimi znajduje się korytarz, lecz kiedy do nich podeszła, rozsunęły się bezgłośnie i oczom jej ukazała się schludna łazienka.

Stała przed lustrem i uważnie przyjrzała się swemu lustrzanemu odbiciu: potem spojrzała na wąską półkę, na której stały kosmetyki i zdziwiła się, że jest ich tak dużo. Kiedy odkręciła słoik z kremem, stwierdziła, że nikt go nie używał. Położyła krem na półce i omiotła wzrokiem pomieszczenie. Potem spojrzała raz jeszcze na swoje lustrzane odbicie. Jej duże niebieskie oczy były smutne. Wróciła do pokoju i rozejrzała się wkoło, szukając drzwi wyjściowych. Dostrzegła je niebawem w ścianie naprzeciwko okna złożone z dwu szczelnie do siebie przylegających połówek. Zbliżyła się do nich, lecz drzwi się nie rozsunęły. Kiedy przyjrzała się im uważnie, dostrzegła na wysokości wyciągniętej dłoni fioletową płytkę. Dotknęła jej, lecz drzwi nadal pozostawały zamknięte. Cofnęła się i usiadła na tapczanie. Medytowała przez chwilę, a potem wstała i podeszła do okna.

Kiedy usłyszała za plecami odgłosy stąpań, obróciła się.

Przed nią stał wysoki mężczyzna ubrany w błyszczący kombinezon. Jego talię spinał szeroki pas z dużą klamrą, na nogach miał sandały również spięte klamrami. Patrzył na nią przez chwilę, a potem rzekł:

- Bardzo mi miło gościć panią w moim instytucie.

- Jak to się stało, że się tutaj znalazłam? - zapytała, przyglądając się uważnie nieznanemu.

- Poddaliśmy pani ciało zabiegowi transformacji - odrzekł i dorzucił: - Nazywam się Met. Myślę, że będzie pani zadowolona ze współpracy ze mną.

- Ze współpracy z panem? Przecież nie przyszedłam tu dobrowolnie! Właśnie... Chcę wiedzieć, po co tutaj jestem!

- Powiem pani... lecz nie teraz. Może kiedyś... w przyszłości.

- W przyszłości!

Jego oczy pozostawały chłodne jak oczy manekina sklepowego. Wzruszył nieznacznie ramionami, lecz nic nie rzekł. Przez chwilę przyglądał się uważnie dziewczynie, potem wskazał niewielką szafkę stojącą w rogu pokoju.

- Zadbaliśmy także o pani żołądek. Proszę spojrzeć na te klawisze. Wystarczy nacisnąć jeden z nich i wysunąć szufladę, by z jej wnętrza wyjąć żądaną potrawę. O...

Zbliżył się do szafki i wcisnął jakiś klawisz.

- Zamówiłem omlet - rzekł.

Mówiąc to, wysunął szufladę i wyjął z niej rumiany omlet. Potem wsunął omlet z powrotem i nacisnął pulsujący czerwonym światłem przycisk.

- Omlet zniknął tak szybko, jak się pojawił - powiedział i dodał:

- Słyszała pani zapewne o powielaniu masy...

- Nie - odrzekła. Znowu wzruszył ramionami.

- O dwudziestej wyłączamy zasilanie układu holograficznego. Obraz morza przygaśnie. Za chwilę powinna pani znaleźć się w łóżku.

- ...w łóżku - powtórzyła bezwiednie i spojrzała na tapczan.

- Proszę się położyć. Jutro znów panią odwiedzę - mówiąc to, skłonił się i wyszedł. Stała przez chwilę na środku pokoju, patrząc bezwiednie na drzwi, za którymi zniknął, a potem usiadła na tapczanie i zwiesiła głowę.

Kiedy się obudziła odczuła ból w skroniach. Głowa ciążyła jej jak ołów. Przypomniała sobie sen,

dziwny i nedorzeczny. Śniło się jej, że podlicza niezliczone kolumny cyfr, że porównuje wyniki, że szuka ukrytych błędów... Podniosła się z trudem i usiadła na tapczanie. Za oknem falowało morze. Spojrzała na stolik pełen potencjometrów i przycisków, i stwierdziła, że ktoś w czasie jej snu manipulował nimi. Odczuła pragnienie. Wstała i podeszła do szafki. Odszukała klawisz z napisem „coca-cola” i wcisnęła go. Kiedy wysunęła szufladkę, zobaczyła na dnie szklankę wypełnioną brunatnym płynem. Po wypiciu coca-coli wstawiła z powrotem szklankę do szufladki, a potem nacisnęła czerwony przycisk. Szklanka znikła. Weszła do łazienki i przyjrzała się uważnie wyłożonej kafelkami wannie. Lubiła się kąpać: czynność ta zawsze sprawiała jej przyjemność. Patrząc w lustro, uświadomiła sobie, że jest więźniem... Znow pomyślała o kierowcy taksówki, który nie miał twarzy, i znow odczuła niepokój. Wszystko wkoło było groźne, tajemnicze i nedorzeczne. Nie miała ochoty na kąpiel, wyszła więc z łazienki, usiadła na tapczanie i objęła dłońmi twarz. Nie wiedziała, jak się tutaj znalazła. To stało się nagle.

„Transformacja”...

„Zostałam przetransformowana” - pomyślała.

Nie wiedziała, co to jest transformacja: usłyszała to słowo po raz pierwszy. A potem skojarzyła je z transformatorem i zaczęła się zastanawiać, jak działa transformator. Z rozmyślań wyrwał ją natarczywy dźwięk dzwonka. Spojrzała na chronometr wmontowany w ścianę nad tapczaniem i odczytała napis, który pojawił się tuż obok pulsujących czerwonym światłem cyfr:

„Śniadanie”.

Podeszła do szafki i długo przyglądała się białej klawiaturze. Po chwili nacisnęła klawisz z napisem „parówki na gorąco”, następnie wcisnęła „herbatę” i „bułki z masłem”. Kiedy wyciągnęła szufladkę, zobaczyła zaprogramowane potrawy. Przeniosła je na tacy na niewielki stolik stojący przy oknie i usiadła w fotelu. Kiedy skończyła posiłek, drzwi się rozsunęły i do pokoju wszedł mężczyzna w błyszczącym kombinezonie.

- Smacznego - rzekł, zatrzymując się na środku pokoju. - Smakują pani tutejsze potrawy?

Skinęła głową, a potem zapytała:

- Kim pan jest?

- Kieruję pracami instytutu. Jest pani na planecie Aronn kilka tysięcy lat świetlnych od Ziemi.

- Na planecie Aronn?!

- Tak. Byłem pewny, że nie sprawi mi pani zawodu. Dziś w nocy spisywała się pani znakomicie.

- Co?! - zapytała, przyglądając się uważnie nieznanemu.

- Pani mózg i energię biologiczną, którą emanuje pani ciało, wykorzystujemy jako nośnik informacji w procesie skomplikowanych wyliczeń matematycznych - znow przyjrzała się nieznanemu. -

- Miałem o tym nie mówić, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że nie ma sensu ukrywać prawdy.

Jest pani częścią wielkiego biologicznego komputera, który rozwiązuje skomplikowane równania.

Kiedy zmierzchało, odkryła lustrując pokój, że nóżki tapczanu tkwią w stalowych tulejach wmontowane w podłogę. Wyteżyła mięśnie, by dźwignąć tapczan i wysunąć nóżki z tulejek.

„Obwód zostanie przerwany!” - pomyślała.

Przypomniała sobie sen pełen nedorzeczności, w którym rozwiązywała skomplikowane równania i doszła do wniosku, że tylko w ten sposób uwolni się od konieczności współpracy z istotami z planety Aronn. Nie myliła się. Kiedy położyła się na tapczanie, nie odczuła narastającej fali senności. Przymknęła powieki i postanowiła czekać. Po godzinie drzwi rozsunęły się bezgłośnie i do pomieszczenia weszło dwóch identycznych mężczyzn ubranych w błyszczące kombinezony.

- Przebiegła dziewczyna! - rzekł jeden z nich, przyklękając przy tapczanie.

Anka otworzyła oczy.

- Nie macie prawa! - krzyknęła.

I wówczas jeden z nich - ten, który stał za klęczącym - skierował na nią niewielki dezintegrator. Odczuła obezwładniającą falę senności i przestała pamiętać.

Ocknęła się z silnym bólem głowy. Był ranek. Za oknem falowało morze i do pomieszczenia wdzierał się jego kojący szum.

Uklękła na parkiecie i postanowiła wyciągnąć nóżki tapczana z tulejek, ale tym razem już jej się to nie udało. Podeszła chwiejnym krokiem do szafki z potrawami i wcisnęła klawisz z napisem „coca-cola”. Z przyjemnością przełykała sporymi haustami brunatny napój, a potem zbliżyła się do tapczanu, usiadła i objęła dłońmi twarz. Ból w skroniach zelżał. Odetchnęła z ulgą.

Przeszła do łazienki i wzięła prysznic, następnie stanęła przed lustrem i długo przyglądała się swojemu odbiciu, a potem sięgnęła po szminkę i starannie podkreśliła usta. Kiedy wyszła z łazienki, dostrzegła Meta siedzącego w fotelu. Na jej widok wstał i skłonił się usłużnie.

- Nie mam zamiaru trzymać pani w tym pomieszczeniu. Zaprogramowaliśmy fioletową płytkę przy drzwiach w taki sposób, aby przy jej dotknięciu mogła pani wyjść swobodnie na korytarz. Pozna pani kilka innych dziewcząt.

- Dlaczego unieruchomiliście nóżki tapczanu?

- Przerwała pani obwód. Proszę tego nie robić. Mamy dosyć własnych kłopotów.

- Kiedy wrócę na Ziemię?

- Może kiedyś... w przyszłości. Cierpimy na chroniczny brak energii biologicznej.

Zmarszczyła brwi.

- Bardzo mi przykro, ale pani powrót na Ziemię jest teraz niemożliwy - dodał, widząc oburzone oczy dziewczyny.

- Wspomniał pan wczoraj o powielaniu masy. Czy mogę wiedzieć na czym to powielanie polega? - zapytała. Podeszedł do szafki i wcisnął klawisz z napisem „kawa”.

- Proszę - rzekł, stawiając przed Anką filiżankę. A potem usiadł na skraju tapczanu i dodał:

- Powielanie masy polega na przebudowywaniu atomów wody w dowolnie zaprogramowane wzorce innych mas. Na przykład po wciśnięciu klawisza z napisem „kawa” zaprogramowane w pamięci komputera układy atomów kawy zmieniają dopływającą do szafki wodę w najprawdziwszą kawę. Zarówno kawa jak i filiżanka po - wstawieniu na powrót do szafki ulegają rozkładowi na atomy wody i odprowadzane są do ścieków. Możemy powielać wszystko. Nawet ludzi. Jednak kopia człowieka powielonego pozostaje martwa, ponieważ energii biologicznej nie można powielać.

- Rozumiem - odpowiedziała Anka. Medytowała przez chwilę, zanim się znów odezwała.

- Po co tutaj jestem?

- Jest pani częścią wielkiego komputera biologicznego.

- Czy mogę zwiedzić budynek?

- Oczywiście. Od dziś może pani wychodzić na korytarz.

Kiedy Met wyszedł, wypić łyk kawy, następnie zaniósła filiżankę do szafki i wcisnęła pulsujący czerwonym światłem przycisk.

Filiżanka znikła. Postanowiła wyjść na korytarz. Z niepokojem nacisnęła fioletową płytkę, lecz tym razem drzwi się rozsunęły.

Zobaczyła przestronny korytarz z szeregiem drzwi po obu stronach. Na krańcach, w holograficznych oknach, falowało morze. Korytarz był pusty. Ruszyła w stronę okna. Odgłosy jej stąpań wywabiły z sąsiedniego pokoju młodą dziewczynę podobną wzrostem i wyglądem do Anki.

- Nazywam się Marta - powiedziała dziewczyna. - Jestem tutaj od niedawna. Mówią, że jesteśmy częścią wielkiego komputera, ale ja w to nie wierzę. Kiedyś Met powiedział, że Ziemia to ich pierwszy biologiczny komputer, doprawdy śmieszne! Co o tym sądzisz?

- Myślę, że to prawda - odrzekła Anka.

Po chwili dodała:

- Jak tutaj trafiłaś?

Marta uśmiechnęła się.

- Po prostu wsiadłam do taksówki.

- Nie przejmujesz się tym zbyttnio.

Marta znów się uśmiechnęła.

- Lubię przygody. Nigdy dotychczas nie przeżyłam nic godnego uwagi.

I po chwili:

- Myślę, że niebawem nas zwolnią. Po co mieliby nas tu trzymać.

- Czy odczuwasz po przebudzeniu ból w skroniach?

- Tak. Śni mi się, że podliczam niezliczone kolumny cyfr.

Anka skinęła głową.

- Wydaje mi się, że oni nie kłamią.

- Doprawdy?

- Czy widziałaś tutaj kogoś poza Metem?

- Nie.

- A ja widziałam. Widziałam dwóch identycznych facetów, którzy odwiedzili mnie w nocy - powiedziała Anka.

Po chwili z pokoju wyszła inna dziewczyna ładnie podobna do Anki.

- Cieszę się, że jest nas coraz więcej - rzekła i dodała: - Mam na imię Ewa, a ty?

- Anka - powiedziała Anka.

- W głębi korytarza jest winda. Ale drzwi są zablokowane. Chętnie poznałabym dziewczęta z innych pięter - powiedziała Ewa.

Kiedy Anka wróciła do pokoju, stwierdziła, że został dokładnie posprzątny. Nawet w łazience ktoś wymienił używany przez nią krem. Otworzyła szafę i wyjęła kilka sukienek, potem ściągnęła z tapczanu koc i rzuciła go na podłogę. Następnie nacisnęła klawisz z napisem „kawa” i postawiła filiżankę na stoliku. Potem wyszła na korytarz. Kiedy wróciła do pokoju, stwierdziła, że wszystko jest starannie poukładane. Ze stolika znikła filiżanka kawy, sukienki znalazły się w szafie, a koc na tapczanie...

„Powielane wnętrze!” - pomyślała.

Kiedy tylko opuszczała pokój, wnętrze odnawiało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Po kilku dniach przywykła do otoczenia i do poznanych dziewcząt. Któregoś dnia Met zjawił się wcześniej niż zwykle.

- Pokażę pani plażę - powiedział. - Jeśli chce pani popływać, proszę wybrać z szafy kostium.

Weszli do windy i ruszyli... w górę! Cyfry mijanych pięter migwały jak przesuwane w kalejdoskopie obrazy. Zatrzymali się na 106 piętrze. Met otworzył drzwi. Oczom Anki ukazał się przestronny hali pełen promieni Słońca. Nie było to jednak Słońce, lecz gwiazda Nova, która świeciła tutaj intensywniej, niż Słońce na Ziemi. Z hallu wyszli na wąską ścieżkę wijącą się wśród gęstego żywopłotu. W dali dostrzegła plażę i wzburzone fale wdzierające się na piaszczysty brzeg.

- Proszę nie zbaczać ze ścieżki - powiedział Met. - Czerpię energię z głównego induktora instytutu i nie wolno mi opuszczać wyznaczonych tras.

- Nie rozumiem? - powiedziała Anka.

- Nie jestem człowiekiem, ale elektronicznym biobotem - wyjaśnił.

- Doprawdy?! - zdziwiła się Anka. - Jest pan przecież najzwyklejszym w świecie Ziemiąninem!

- To złudzenie. W rzeczywistości wyglądam inaczej. - Kiedy dotarli do plaży, oznajmił, że wróci za

godzinę i oddalił się. Po raz pierwszy od kilku dni poczuła się szczęśliwa. Woda była ciepła. Miała zapach soli i przybrzeżnych wodorostów. Pobiegła w stronę morza i zanurzyła się w falującym żywiole. Po godzinie wrócił Met.

- Aby pobyt tutaj nie był dla pani nużący - powiedział - pokażę pani moje laboratorium.

Wrócili przez hali do windy i zjechali na 54 piętro. Anka znalazła się w obszernym pomieszczeniu wypełnionym jakąś aparaturą.

Met zbliżył się do pulpitu i wskazał kilka migoczących czerwonym światłem wskaźników.

- Bieg jałowy - rzekł. - W nocy wszystko wygląda ciekawiej.

Potem wskazał niewielką przezroczystą szafę.

- To transformator - rzekł. - Służy do utrzymywania kontaktu z Ziemią - naszym pierwszym biologicznym komputerem.

- Jak działa transformator? - zapytała.

- Przesyła impulsy elektryczne, a nawet atomy. - Anka przyjrzała się uważnie pulpitowi. Miała ochotę zadać kilka pytań, ale po namyśle zrezygnowała. W jej wyobraźni zrodził się szaleńczy plan ucieczki z planety Aronn. Postanowiła wykorzystać słabość Meta. Na wijącej się ścieżce był przecież bezbronny. Wystarczyło pchnąć go lekko w stronę żywopłotu. Gdy znalazła się na powrót w pokoju, zaczęła analizować szczegółowo cały plan. Raz jeszcze zobaczyła w wyobraźni wirujące bębny magnetyczne wypełniające laboratorium i skomplikowane pulpity sterownicze, którymi uruchomiano transformator. Postanowiła działać. Około dwudziestej położyła się na tapczanie i zasnęła. Ranek był taki sam, jak wszystkie inne. Śniło się jej, że podlicza skomplikowane rachunki... Objęła dłońmi obolałą głowę. Nie miała ochoty na śniadanie. Wyszła na korytarz i ruszyła w stronę windy. Ale drzwi windy nie rozsunęły się: były zablokowane. Kiedy zjawił się Met, poprosiła, aby zaprowadził ją na plażę. Przystał chętnie na propozycję Anki i ruszyli na 106 piętro. Gmach mieścił się w podziemiach wykutych w skale, z gruntu wystawało jedynie 106 piętro z obszernym hallem i wahadłowymi drzwiami. Kiedy znaleźli się na ścieżce, serce Anki zabiło żywiej. Idąc obok Meta, obserwowała go dyskretnie i wyczekiwała dogodnego momentu do działania. Minęli pierwszy zakos i szybko zbliżali się do następnego. Anka napięła mięśnie i pchnęła Meta w stronę żywopłotu. Zatoczył się na ścieżce.

- Tak nie wolno! - krzyknął i przewrócił się, gdy jego nogi dosięgły żywopłotu. Poza obrębem ścieżki był bezbronny. Energia z induktora już tam nie docierała. Powtórzył słowa „Nie wolno!” i zakrzepł w bezruchu. Anka spojrzała na leżącą postać, a potem rozejrzała się wkoło i pobiegła w stronę instytutu. Kiedy znalazła się w windzie, nacisnęła przycisk z cyfrą 54 i z niepokojem wyczekiwała chwili, w której dotrze do wyznaczonego celu. Winda zatrzymała się na 54 piętrze i drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Znalazła się w laboratorium. Podbiegła do pulpitu sterowniczego znajdującego się w zasięgu transformatora i z niepokojem zaczęła lustrować niezliczone ilości przycisków i suwakowych potencjometrów. Po chwili nacisnęła przycisk z napisem „transformator”. I wówczas obok suwakowego potencjometru zapłonęła lampka z napisem „Powtórzyć program”. Przesunęła potencjometr i weszła do transformatora. Szklane drzwi zasunęły się bezgłośnie. I wówczas zrozumiała, że popełniła błąd.

„Nie powtarzać programu!” - jęknęła zrozpaczona. Transformator rozbłysł jaskrawym światłem i Anka znalazła się w nowej, nieznannej rzeczywistości.

„Nie spóźnię się!” - pomyślała.

Samochód skręcił w lewo i pomknął dwupasmową jezdnią w kierunku autostrady.

- Dokąd pan mnie wiezie?!

Kierowca obrócił się.

- Ach! - krzyknęła cicho i wcisnęła się głęboko w oparcie fotela.

Mężczyzna prowadzący samochód nie miał twarzy...



## Powrót

- Jaka ona jest, Ambi? - zapytał Rem, przyglądając się kolorowemu zdjęciu Ziemi.

Ambi wzruszył ramionami.

- Nie wiem... Jest kulista... jak wszystkie inne planety. Rem zgasił wyświetlacz i zakrzepł w bezruchu.

Przez chwilę trwał w zadumie, a potem wyprostował się i rzekł:

- Jesteśmy, Ambi, na tym statku szóstą generacją...

- Szóstym pokoleniem - poprawił Ambi.

- Czy oni są tacy sami jak my? - zapytał Rem.

- Kto?

- Ziemianie.

- Dlaczego o to pytasz?

- Czytałem - wskazał regał z mikrofilmami - że długotrwałe przebywanie w Kosmosie zmienia nie tylko osobowość, lecz także wygląd kosmonautów. Wiesz... Niekiedy mam ochotę zajrzeć do przetrwalników.

Ambi powiedział stanowczo:

- Nie rób tego!

Z głośników umieszczonych w ścianie kabiny dobiegł ich przeciągły sygnał alarmowy.

- Na stanowiska! - powiedział Ambi.

Z trudem przecisnęli się przez wąskie przejście dzieląceabinę od sterowni i pośpiesznie zajęli miejsca w fotelach przed iluminatorem. Rem pochylił się i spojrzał na migoczące barwnymi światłami wskaźniki.

- Trzy stopnie w lewo! - powiedział.

Ambi wyłączył pokładowy komputer i przejął stery.

„Za chwilę się zacznie!” - pomyślał.

Rem nie spuszczał wzroku z monitora echosondy: tysiące świetlnych punkcików zbliżało się z olbrzymią prędkością do statku: ich ilość rosła z każdą chwilą, zwiększało się również natężenie światła.

- Teraz w prawo! - powiedział Rem.

- Ile?

- Dwa stopnie.

Świetlne punkciki przemieściły się z centralnej części monitora w jego lewy górny róg.

- Jeszcze stopień! - powiedział Rem.

Kiedy Ambi wykonał manewr skrętu w prawo, Rem cicho krzyknął:

- Ach!

- No? - zapytał Ambi.

- Znow napływają... tym razem pojawiły się w prawym górnym rogu!

Nigdy dotychczas nie natknęli się na tyle grudek materii.

- Obniż o dwa stopnie! - powiedział Rem.

- I?

- Znow są!

Kosmolot zadrżał.

- Dostaliśmy! - powiedział Ambi.

- Tak. Jeszcze stopień wprawo...

Ambi dotknął dźwigni sterującej działem antimaterii.

- Zostaw! - powiedział Rem. - Spalimy się! - Iluminator, przed którym siedzieli, przysłonił na moment pył kosmiczny. Rem znów spojrział w monitor.

- Natężenie światła maleje! - powiedział.

- Przedarliśmy się? - zapytał Ambi.

- Myślę, że tak.

Milczeli przez chwilę.

- Co to jest strach, Ambi? - zapytał Rem.

- Nie wiem - odpowiedział Ambi.

- To dziwne - ciągnął Rem - czytałem o kosmonautach, którzy odczuwali strach.

Grudki pyłu kosmicznego zsunęły się z powierzchni iluminatora i znów Ambi i Rem ujrzeli bezkresną czerń nieba, znaczoną gdzieniegdzie ognikami gwiazd.

Ambi włączył pokładowy komputer. Siedzieli przez chwilę, przyglądając się gwiazdom, a potem wstali i ruszyli w stronę kabiny.

- Zapytałeś: „Co to jest strach”? Dlaczego? - zapytał Ambi.

- Nie rozumiem tego słowa... i wielu innych słów.

- Zaczekaj - powiedział Ambi. - Zapytałeś o to w chwilę później, jak przedarliśmy się przez rój meteorytów.

- Tak - powiedział Rem.

- Dlaczego właśnie wtedy? - zapytał Ambi.

Rem sięgnął po małą kasetę z mikrofilmem i wsunął ją do czytnika.

- Posłuchaj! - powiedział.

„Znów sygnał alarmowy zawył przeciągle. Tysiące świecących punkcików zbliżało się do nas z prędkością światła... Patrzyliśmy w iluminator, mrużąc oczy. »Za chwilę się zacznie!«. Czekaliśmy, ściskając drżącymi dłońmi dźwignie sterownicze. Strach! Strach paraliżował ruchy naszych rąk...”

- Nie rozumiem - powiedział Ambi.

- I ja! - dodał Rem. - I to mnie niepokoi!

- Zastanówmy się - powiedział Ambi. - Strach! Może tym słowem określano rój meteorytów.

- Nie! - zaprzeczył Rem. - To „coś”, co nazywali strachem, tkwiło w nich.

- Nie powinieneś być tyle czytać, Rem! Zmieniasz się z godziny na godzinę! - powiedział Ambi.

Rem złożył głowę na oparciu fotela i popadł w kontemplacyjną zadumę.

„Strach paraliżował ruchy naszych rąk...” - pomyślał.

- Nie sposób doszukać się w tym zdaniu sensu: - powiedział głośno.

Z zadumy wyrwał go natarczywy dźwięk dzwonka.

- Awaria! - powiedział Ambi.

Wstali i ruszyli w stronę siłowni. W przestronnym pomieszczeniu wypełnionym aparaturą kontrolno - pomiarową migotały barwne lampki. Zatrzymali się przed blokiem sterującym procesem przyspieszania fotonów i przez chwilę przyglądali się świetlnym wskaźnikom.

- Mam! - powiedział Rem. - O tu! - dodał, wskazując palcem magnetyczny rylec, przesuwany się wolno po seledynowej tarczy.

- Musimy rozmontować cały blok! - powiedział Ambi.

- Szkoda... Tak bardzo polubiłem czytanie - westchnął Rem.

Przez chwilę mocowali się z oporną płytą, przylegającą ciasno do komory przyspieszenia, a potem zanurzyli dłonie w gmatwaniu kolorowych przewodów i zaczęli je oglądać.

- Włącz analizator - powiedział Rem. - Nie mam ochoty spędzić tutaj całej wieczności.

Ambi przyniósł analizator i wsunął go do komory przyspieszacza. Po chwili na niewielkim ekranie pojawiły się dwie faliste linie.

- Jesteś świetnym ekspertem, Rem. - powiedział z uznaniem Ambi.

Rem przyglądał się analizatorowi.

- Znam każdy przyrząd - powiedział - każdy blok, każdy wskaźnik... Wiem jak działa przyspieszacz. Nie wiem natomiast, co to jest strach. Nie wiem również, co to jest miłość?! Ambi wysunął analizator z komory przyspieszacza.

- Miłość - zapytał. - Cóż to takiego?

- Nie wiem - powtórzył Rem.

Kiedy wrócili do kabiny, Rem sięgnął po kolejną kasetę i wsunął do czytnika.

- Posłuchaj! - powiedział.

„Stali na pomoście przed przezroczystą ścianą, za którą rozciągała się nieprzenikniona czerń nieba znaczone gdzieniegdzie ognikami gwiazd. Ujął jej dłoń: ciepłą i gładką.

- Tu jest nasz dom - powiedział i dodał: - Nigdy dotychczas nie byłem zakochany. Miłość - to piękne uczucie! Kosmopot zmieniał kurs...”

- Miłość... to uczucie - powiedział Ambi.

- Myślę, że tak... Ale nie jestem pewny - odrzekł Rem.

- Miłość... to ciepło - dodał Ambi - „Ujął jej dłoń: ciepłą i gładką”.

- Co to znaczy „jej”? - zapytał Rem.

- Nie wiem - odrzekł Ambi.

Rem wyjął kasetę z czytnika i sięgnął po następną.

- Dostyc, Rem! - powiedział Ambi. Wstał i zatrzasnął regał z kasetami.

- Dawniej byłeś inny! Kiedy natknąłeś się na to - wskazał regał - zmieniłeś się!

Rem przez chwilę bawił się czytnikiem, - a potem wsunął go do wąskiej przegrody w ścianie.

- Masz rację, Ambi - powiedział. I po chwili: - Oni byli inni!

- Byli tacy jak my - powiedział Ambi.

- Nie! - zaprzeczył Rem i dodał: - „Wiatr rozwiewał ich włosy”. Nie rozumiem słowa „wiatr” ani słowa „włosy”... Nie wiem również co to znaczy „rozwiewał”.

- Zrozumiesz jak wylądujemy - powiedział Ambi.

- Ambi...

- Co? - zapytał Ambi.

- Zajrzyjmy do przetrwalników!

- Nie! - powiedział Ambi i dodał: - Zmieniłeś się, Rem... Bardzo się zmieniłeś!

- Tak - potwierdził Rem.

- Zagrajmy w szachy, Rem.

Rem skwapliwie przystał na propozycję Ambiego.

- Rem!

- Co?

- Nie myślisz! Odśloniłeś się!

- Ach! - westchnął Rem. Myśłami błędził wokół przetrwalników. Nie znał znaczenia słowa „prawda”, niemniej jednak szukał jej wiedziony jakimś dziwnym impulsem, którego mechanizmu działania nie mógł żadną miarą zgłębić.

- Chodźmy tam! - powiedział po chwili. Ambi skinął głową.

Minęli wąskie przejście i zatrzymali się przed wysokimi drzwiami, za którymi znajdowały się komory przetrwalników.

- Mechanizm czasowy - powiedział Ambi, kładąc dłoń na owalnym chronometrze wmontowanym w masywne drzwi. Rem skierował wzrok na podziałkę i świetlną wskazówkę.

- Niestety - powiedział Ambi. - Nie otworzymy tych drzwi.

- Zaczekaj - powiedział Rem i dodał: - Spójrz!

- Wskazówka balansuje w pobliżu zera - zauważył Ambi.

- Tak. Drzwi otworzą się samoczynnie.

- Kiedy? - zapytał Ambi.

- Nie wiem... Może za rok... Może za dwa!

Ambi raz jeszcze przyjrzał się wskazówce i podziałce.

- Nie! - zaprzeczył. - To stanie się niebawem!

- Tak - potwierdził Ambi.

- Za kilka godzin? - zapytał Rem.

Z głośników umieszczonych w ścianie dobiegło ich głośne syczenie. Ruszyli w stronę sterowni.

- To statek! - powiedział Rem, wpatrując się uważnie w iluminator. Na tle czarnego usianego gwiazdami nieba płynął przed nimi wysmukły kosmolot. Ambi włączył radio i wcisnął klawisz wybierający automatycznie częstotliwość. Wskazówka wolno sunęła po tarczy.

- ...ymi! - dobyło się z głośników.

- Stop! - powiedział Rem.

Ambi wcisnął klawisz. Wskazówka cofnęła się.

- Kim jesteście? - zabrzmiało w głośnikach.

- Mam na imię Ambi.

- A ja Rem - dorzucił Rem.

- Czy wasz statek nazywa się „Perseusz”?

- Tak - powiedział Rem.

- Nazywam się Ako - zabrzączał głośnik.

- Kim jesteś, Ako?

- Ziemianinem.

Ambi spojrział w iluminator i dostrzegł niewielką gwiazdkę, która rosła z każdą chwilą.

- To Słońce - powiedział.

- Tak. Słońce - potwierdził Ako. - Czekaemy na was.

- Słyszysz, Rem! - rzekł Ambi. - Czekaają na nas!

- „Wiatr rozwiewał ich włosy” - powiedział Rem.

- Co?

- Mówię, że wiatr rozwiewał ich włosy - powtórzył Rem.

- Nie rozumiem?

- Naprawdę? Zastanów się!... Już za chwilę dowiemy się, co to jest strach i miłość!

Głośnik zabrzączał.

- Czy profesor Berg jest z wami? - zapytał Ako.

- Profesor Berg?

- Tak.

Ambi sięgnął po niewielką kasetę z perforowaną taśmą i wsunął ją do komputera. Na ekranie pojawił się kolorowy napis: „Profesor Berg. Biolog. Od 270 lat w przetrwalniku.”

- Jest! - rzekł do mikrofonu.

Rem spojrział w iluminator i dostrzegł niewielką planetę zawieszoną nieruchomo na tle czarnego nieba.

- To Pluton! - powiedział, zerkając do katalogu.

- Tak - potwierdził Ako. - Witamy w Układzie Słonecznym.

Na orbicie okołoziemskiej dołączyły do nich trzy rakiety patrolowe. Ambi przejął stery.

- Ziemia! - powiedział Rem.

Przyglądali się z uwagą zielononiebieskiej półkuli, która wypełniała wolno cały iluminator. Kosmodrom pojawił się nagle.

- Trzy stopnie w prawo! - powiedział Ako. Kosmolot miękko osiadł na twardej betonowej płycie. Rem ruszył w stronę wjazdu. Mijając sektor przetrwalników, dostrzegł wolno rozsuwające się masywne drzwi.

„Ambi miał rację!” - pomyślał.

Z trudem zsunęli się po wąskiej drabince. Metaliczny tors Ambiego błyszczał w jaskrawych promieniach słońca. Rem zatrzymał się. Ziemianie wolno zbliżali się do statku.

- Oni są inni! - powiedział Rem. - Inni niż my!

- Roboty! - krzyknął ktoś z tłumu.

## Bramy szaleństwa

„Me thinks, I see... Where?  
- In my mind's eyes”.

*Shakespeare*

„Zdaje mi się, widzę...  
Gdzie? - Przed oczami duszy mojej”.

Mojej Małgorzacie

1.

Miałem wrażenie, że coś nadchodzi, coś mnie otacza. Wydawało mi się, że nie mam czym oddychać. Powietrze wciągane do płuc było ciężkie i bardzo gęste. Płynąc powoli, jak plazma, dokładnie wypełniało każdy zakamarek dróg oddechowych. Uczucie to pogłębiał nastrój osamotnienia, jakiejś nieokreślonej bezcelowości. Dziwne w takiej chwili wydaje się pragnienie kogoś lub czegoś. Nie czekałem na nic.

Wiedziałem, że dzień bieżący nie przyniesie mi żadnej zmiany. A przecież wszystko się zmienia, wraz z czasem posuwa się naprzód. Często wyrażałem się: „ja i otoczenie”. Otoczenie zmieniało się bardzo powoli, każdy nowy element musiał w mojej świadomości dobrze się zadomowić. Przyzwyczaiałem się do niego, traktowałem jak coś, co musi być. Następnie przychodził okres stabilizacji. Czasami dłuższy, czasami krótszy, ale zawsze był on przerywany pojawieniem się czegoś nowego, do czego ponownie musiałem się przyzwyczajać.

Byłem tylko obserwatorem, jednym z wielu elementów otoczenia. Bierność nie pozwalała mi na żadną ingerencję. Lubiłem długie spacerować. Tworzyłem dla siebie nowe pojęcia i nowe nazwy. Szedłem nie oglądając się za siebie. Nic mnie nie mogło zachwycić ani wprowadzić w zadumę. Byłem jakiś oschły i obojętny. Mój świat to ja i to, co jest wokół mnie. Nic nowego nie pojawiło się. Irytowały mnie jeszcze czerwone kule, uśmiechnięte usta i biały żalobny całun. Elementy te pojawiły się na mojej drodze, niedawno, ale już powoli, stopniowo zaczynałem przyzwyczajać się do nich i nie zwracać na nie uwagi.

Zamknąłem oczy. Opanowała mnie zupełna ciemność. Miałem ochotę przez chwilę iść w zupełnej czerni. Iść i nic nie widzieć. Zawsze towarzyszyła mi cisza, a przed chwilą usłyszałem muzykę tworzoną przez czerwone kule. Muzykę subtelną, delikatną i łagodną jak powiew wiatru. Otworzyłem oczy. Kul było coraz więcej. Po prawej i po lewej stronie mojej drogi. Uśmiechniętych ust już nie widziałem. Gdzieś tam jeszcze spod kul wystawał biały żalobny całun. Od pewnego czasu elementy zaczęły pojawiać się i znikać coraz częściej i szybciej. Nie wiedziałem już czy mam jedno, czy dwoje oczu.

Nagle na mojej drodze zauważyłem piękną kobietę. Była bardzo zgrabna, ale miała jeden mankament: zamiast twarzy miała bułkę. Zacząłem się śmiać, ale mój śmiech był pusty. Poczułem się bardzo nieswojo. Nie chciało mi się dalej iść. Usiadłem na jednej z większych kul i bez powodu zapłakałem. Tak szybka zmiana nastroju wywołuje u mnie melancholię. Zastanowiłem się nad sensem życia.

Czy po to żyję, aby ciągle iść drogą wyznaczoną przez wzrok? Mam jednak chyba dwoje oczu, bo wszystko mnie otacza panoramicznie, zapisuje się przestrzennie w moim mózgu. „Sens życia” tak banalne wyrażenie, jak „pada deszcz”. Dla mnie sens życia umyka jako nieuchwytna myśl, która błędzi wśród tysiąca pragnień i pożądań. Chyba nie chcę zdawać sobie sprawy z tego, że wkrótce lub za jakiś czas odejdę.

Moje rozmyślenia przerwał tętent konia. Z daleka rozpoznałem znajomą sylwetkę. Na białym koniu jechała do mnie Anna. Jak zwykle wyglądała bardzo pięknie i ponętnie. Pęd powietrza rozwiewał jej długie, jasne włosy. Wstałem z kuli i przerwałem spacer po świadomości. Zbliżyłem się do stojącego konia i pomogłem Annie zsiąść. Lekko zeskoczyła przy mojej pomocy na ziemię, ręką odsunęła opadające na oczy włosy, uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie:

- Jednak czekasz na mnie.

- Wiesz dobrze - odparłem i próbowałem uśmiechnąć się - przychodzę bo jesteś mi bardzo potrzebna. Przy tobie czuję się zupełnie inaczej. Wszystko zaczyna nabierać sensu. Nie pchają się pytania bez odpowiedzi. Przepraszam cię za wczorajsze zajście. Byłem wtedy zmęczony... Ten pośpiech rozstraja mnie nerwowo.

- Kocham cię Robercie - powiedziała Anna, a w oczach ujrzałem jakąś iskierkę radości. - Ja też czasami tracę nad sobą panowanie. Zresztą zapomnijmy o wczorajszym i chodźmy coś zjeść, jestem jeszcze bez śniadania. Sądzę, że ty też jeszcze nic nie jadłeś.

- Tak, masz rację, chodźmy! - odparłem zupełnie sprowadzony na ziemię.

Marzenia, rozmyślenia, wizje, wszystko pękło jak mydlana bańka. Koń Anny zmienił się w biały samochód, moje otoczenie przybrało wygląd normalnego parku. Po piętnastu minutach jazdy znaleźliśmy się przed barem. Anna zaparkowała samochód i weszliśmy do wnętrza pustej jeszcze jadłodajni. Usiedliśmy przy stoliku obok okna. Poprosiłem kelnera o menu, bowiem jadałem tutaj dość rzadko i nie znałem potraw, jakie zakład mógł dzisiaj serwować.

W oczy rzucał się duży napis:

### ŚNIADANIA FIRMOWE

1. Kule czerwone 450 g.

2. Uśmiechnięte usta 400 g.

Na specjalne zamówienie:

3. Białe żałobny całun 500 g.

Zdziwiło mnie to i przypomniało poranne rozmyślenia. Miałem wrażenie, że zakpiono z nas tutaj. Wzburzony pokazałem Annie menu. Spojrzała na mnie dziwnie i powiedziała nieco zirytowana.

- Czy ty od rana musisz się denerwować? Nie wiem co ci się tutaj nie podoba!?! Ja zamawiam jak zwykle czerwone kule, a ty jeśli nie chcesz, to nie jedz.

- Jak to: jak zwykle czerwone kule? - odparłem spokojnie. - Przecież zawsze jadałaś naleśniki lub jajecznicę. Co to za potrawa, jakieś czerwone kule.

Odniosłem wrażenie, że słowa „naleśnik” i „jajecznica” zabrzmiały jakoś dziwnie. Anna odwróciła głowę i przez moment patrzyła na mnie, jak na kogoś obcego, kogo widzi pierwszy raz w życiu.

- O czym ty mówisz Robercie? Przecież wiesz, że najbardziej lubię czerwone kule. „Naleśników”, czy jakiejś tam „jajecznicy” nigdy w życiu nie jadłam. Czy ty znowu szukasz powodu do sprzeczki?

- Ależ nie! - odpowiedziałem zdezorientowany. - Zresztą niech będą czerwone kule.

Zawołałem kelnera i zamówiłem dwie porcje czerwonych kul. Byłem już porządnie głodny i nie miałem zamiaru rozpoczynać z Anną kłótni o jakieś potrawy o dość głupawych nazwach. Zauważyłem, że siedzącemu przy sąsiednim stoliku mężczyźnie kelner przyniósł duże, galaretowate oko, które postawione na stoliku drżało jeszcze. Miało ono piękną niebieską tęczę i dużą ilość czerwonych żyłek. Zrobiło mi się niedobrze na ten widok i z niesmakiem pomyślałem o potrawie, którą zamówiliśmy.

Długo nie musiałem czekać, wkrótce ujrzałem na półmiskach po cztery dosyć duże, czerwone kule. Nie podano nam żadnych sztuczków. Byłem nieco zdezorientowany. Nie wiedziałem, czy to, co jest przede mną się je w całości, czy rozłupuje i coś wyjada ze środka. Z kłopotu wybawiła mnie Anna.

- Spójrz jakie to smaczne! - powiedziała głośno i błogo się uśmiechnęła. Wzięła do ręki zbyt dużą z pozoru kulę i zaczęła wpychać ją sobie do szeroko otwartych ust.

Patrzyłem na to zupełnie osłupiały. Nagle usta Anny rozszerzyły się, zajęły całą objętość twarzy. Nos i oczy skurczyły się i przesunęły gdzieś na sam środek czaszki. Kula zniknęła w buzi, która po połknięciu przyjęła normalny wygląd. Po chwili w podobny sposób z półmiska zniknęły następne trzy kule. Byłem zdumiony. Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć. Anna natomiast uśmiechnęła się i spytała:

- Dlaczego nie jesz. Byłeś chyba głodny? Kule są dzisiaj wyjątkowo smaczne.



- Nie chce mi się jeść - odparłem - zresztą chodźmy stąd.

Chwyciłem rękę Anny i wstałem przywołując kelnera, aby zapłacić za to dziwne śniadanie. Po uregulowaniu rachunku wyszliśmy na ulicę. Śpieszyłem się i lekko pociągnąłem Annę za rękę, aby szła nieco szybciej. W tym momencie jej ręka wydłużyła się nienaturalnie. Gwałtownie wypuściłem ją i z przestachem spojrzałem Annie w oczy. Twarz wykrzywił jej grymas bólu. Dłoń połączona była z tułowiem za pomocą niezwykle cienkiego ramienia. Po chwili ręka zaczęła się kurczyć, ramię skróciło się i przyjęło normalny wygląd.

- Dlaczego mnie szczypiesz? - zwróciła się do mnie gniewnym tonem. - Przecież zdążysz jeszcze do biura. Zresztą jesteśmy samochodem i chętnie podwiozę cię.

- Przepraszam - odpowiedziałem głupawo. Nic nie przychodziło mi nam myśl. Nie wiedziałem co się ze mną dzieje. Te dwa dziwne zdarzenia starałem się wytłumaczyć sobie jako moje przywidzenia wynikłe z przemęczenia.

Chciałem jak najszybciej znaleźć się w biurze i wypić mocną kawę, która orzeźwiłaby mnie nieco. Po chwili siedziałem już w samochodzie. Zauważyłem, że Anna zamiast kluczyka wyciągnęła zwykły ołówek, zatemperowała go i wsadziła do dziurki znajdującej się w miejscu, gdzie powinna być stacyjka. W ten sposób uruchomiła silnik. Ruch był już dosyć duży. Ludzie śpieszyli się do pracy. Spojrzałem na zegarek, aby zobaczyć ile mam jeszcze czasu. Niestety, niczego się nie dowiedziałem, bowiem każda wskazówka obracała się szybko w inną stronę. Nie zdążyłem się dobrze nad tym zastanowić, gdy uwagę moją przykuło coś innego: mężczyzna jadący samochodem z przeciwka miał tylko jedno oko. Było ono duże, takie jakie widziałem w barze, znajdowało się nad nosem i zajmowało prawie całą powierzchnię czoła. Twarz wydała się dziwnie wypukła. Wrażenie to sprawiał brak oczodołów. Inni kierowcy mijający nas mieli normalny wygląd, jednakże zaczęło pojawiać się coraz więcej zdeformowanych twarzy. Były one bardzo różne. Pojawiały się takie, które posiadały w miejscu, gdzie powinien znajdować się nos, ucho. Włosy miały różne kolory: od zielonego poprzez niebieski aż do fioletowego. Wyłoniły się również głowy wyglądające jak tęcza.

Przed chwilą minął nas samochód, na dachu którego siedziało dziecko i gryzło kajdany. Było ono nienaturalnie duże. Wpatrywałem się w ulicę jak w dziwny film. Każdy przedmiot był jakiś inny, dziwny. Dojechaliśmy do mojego biura i Anna zatrzymała samochód. Wsiadłem, pożegnałem się i ruszyłem w kierunku dużego wieżowca, wznoszącego się ponad willami, otaczającymi go z dwóch stron. Nie powiedziałem o której wrócę do domu. Byłem roztrzęsiony. Anna też zapewne myślała, że lepiej w tym stanie dać mi spokój, gdyż odjechała bez słowa pożegnania. Postanowiłem, że zadzwonię do niej z biura za jakąś godzinę.

Popsuł mi się chyba zegarek, bo w dalszym ciągu każda wskazówka obracała się w inną stronę. Nie spóźniłem się chyba pomimo obaw gdyż zauważyłem, że do budynku wchodzi jeszcze dość dużo osób. Wśród nich dostrzegłem Harleya - mojego przyjaciela i współpracownika. Przyspieszyłem kroku z nadzieją, że zastanę go jeszcze w kolejce do windy.

W ogródku koło willi, stojącej najbliżej biurowca, mężczyzna podlewał coś z uporem. Zwróciło to moją uwagę, bo niebo zachmurzyło się i lada chwila powinien spaść deszcz. Podeszedłem do ogrodzenia i spojrzałem na grządki. W ziemię powbijane były w szeregach duże, metalowe gwoździe. Mężczyzna tak długo już je podlewał, że zaczęło tworzyć się błoto.

- Co pan robi? - spytałem zdziwiony, zapominając o pośpiechu.

- Podleвам te gwoździe, co nie widzi pan? - odpowiedział nie zwracając na mnie uwagi. Nabrał wody do konewki i kontynuował swoją pracę. - Za chwilę powinny zakwitnąć, bo mają już takie duże pączki wskazał na główki.

- Aaa, tak - odparłem - ale za moment będzie padało.

- Deszcz deszczowi nie równy. A jak z nieba zacząć padać to świństwo, będę musiał wszystkie moje gwoździe przesadzić do inspektów, aby nie zmarniały - odpowiedział ogrodnik w dalszym ciągu zajęty podlewaniem.

Zostawiłem go i szybkim krokiem ruszyłem do biurowca. W drzwiach powitał mnie portier. W hallu był zegar. Wskazywał on godzinę 15.55. Nie mógł być zepsuty, bo pokazywał ten sam czas co zegar kontrolny. W drzwiach pojawiła się moja sekretarka.

- Dzień dobry. No, jednak zdążyłam. Taki ogromny korek powstał z rana na piątym skrzyżowaniu - zwróciła się do mnie. - Robercie, co ci jest? Że się czujesz? Jakoś tak dziwnie wyglądasz.

- Nie, czuję się dobrze. Tylko, widzisz, miałem dzisiaj bardzo dziwny poranek. Zobacz, zaczęło padać, a taki ładny był początek dnia - odrzekłem, starając nie dać po sobie poznać zmieszania. - Heleno, która jest godzina, bo mój zegarek chyba nawalił.

- Piętnasta pięćdziesiąt siedem, widzisz zresztą na zegarze kontrolnym - odpowiedziała wskazując ręką na ścianę. - Czy masz jakieś specjalne rozporządzenia na dzisiaj? Mówiąc to skierowała się do windy.

- Nie, dzisiaj chyba nie będzie nic specjalnego i pilnego. Będę kończył projekt nowej XBT. A, widzisz, prosiłbym cię zaraz o mocną kawę. Chciałbym rozjaśnić nieco umysł. Muszę rozwiązać kilka problemów, które nurtują mnie od rana.

- Dobrze zaraz ci podam - odrzekła Helena i otworzyła drzwi, bo właśnie winda zatrzymała się.

Wyszliśmy na korytarz prowadzący do mojego biura. Idąc spotkałem Harleya, który szedł chyba do Działu Głównego, bo widziałem, że niósł dokumentację.

- Cześć Harley! Wpadnij do mnie, jak wrócisz. Mam kilka spraw, które chciałbym z tobą omówić.

- Cześć! Dobrze, przyjdę za jakieś półgodziny. Muszę uzgodnić dwa detale do XBT, bo w tym co mam coś nie pasuje. Chciałbym, żeby projekt za trzy dni był skończony - powiedział i szybkim krokiem ruszył w kierunku windy.

Doszliśmy z Heleną do mego biura. Wyjąłem klucze i otworzyłem drzwi. Weszliśmy do środka, Helena podeszła do swojego stolika, ja zaś wszedłem do mego pokoju, zamknąłem drzwi, zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją w szafie. Podeszedłem do okna i uchyliłem je. Usłyszałem jednostajny szum deszczu. Na dworze ciągle padało. Zachmurzone niebo rzucało ponure spojrzenia. W takich warunkach widok był bardzo ograniczony. W powietrzu unosiła się szara, ciężka mgła.

Poczułem, że ogarnia mnie senność. Usiadłem za biurkiem i włączyłem radio. Helena przyniosła kawę. Rozkoszując się nią stwierdziłem, że bardzo jestem głodny. Wyjąłem drugie śniadanie i szybko je zjadłem. W radiu właśnie podawali wiadomości. Uważnie słuchałem prognozy pogody:

- „Na obszarze wschodniego rejonu będzie padał deszcz, albo nie będzie padał. Być może zaświeci słońce, ale to nic pewnego. Temperatura w granicach dwudziestu stopni. Może również wynosić osiemnaście, szesnaście lub dziesięć stopni. Wiatry słabe lub silne. Będzie może bezwietrznie”.

- Cóż za bzdury wygadują w tym radiu. Czy to jest prognoza pogody, czy jakaś zgadywanka? - spytałem siebie.

Wyłączyłem radio i starałem się dokładnie przemyśleć wszystkie zdarzenia dzisiejszego dnia. Każde wydarzenie zawierało się w granicach mej tolerancji umysłowej. Nie mogłem niektórych rzeczy zrozumieć, były zupełnie nowe i niespotykane. To, co ja dostrzegłem i co mnie dziwiło, Anna nie zauważając dziwności przyjmowała jako coś zupełnie normalnego, z czym styka się codziennie.

Dziwne uczucie. Wydaje mi się, że zachorowała rzeczywistość. Chora rzeczywistość i ja, czy normalna rzeczywistość i moja chora psychika? Wyobraźnia przesłania świat, jego normalny obraz. Tworzy ona nowe elementy, na siłę dopasowując je do rzeczywistości. Rzeczywistość pomyślana, wymyślona chorym umysłem. Tak, to ciekawe. Czasami wydaje mi się, że jestem, istnieję w dwóch

formach: ja cieleśnie, fizycznie i ja psychicznie, jako dusza. To dwa zupełnie różne stany. W świecie fizycznym muszę istnieć fizycznie, materialnie; natomiast w świecie myśli duchowo. Te stany powinny pozostawać dokładnie wyważone, nienaruszone. Nie może być przebić między myślą a materią. Każdy z nas jest schizofrenikiem zamkniętym, czyli duchowość jest u niego oddzielona od fizycznej egzystencji. Ale czasami jakiś szok powoduje otwarcie schizofrenii, w materialnym świecie pojawia się wytwór wyobraźni. Odbiera się go sugestywnie, ale ma się przekonanie o jego prawdziwości.

Rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Sekretarka zawiadomiła mnie że Harley już wrócił i że może się już ze mną zobaczyć. Po chwili był już w moim gabinecie. Przyjrzałem mu się wyraźnie. Był jak zwykle opanowany i spokojny. Siwiejące skronie nadawały mu powagę i jakąś pewność siebie. Znałem go dobrze. Pracowaliśmy razem już dziesięć lat. Usiadł wygodnie w fotelu i oczekiwał na moje słowa. Często spotykaliśmy się razem i omawialiśmy wspólne problemy i projekty. Maszyna XBT, którą w tej chwili konstruowaliśmy to aparat medyczny przeznaczony dla psychiatrii i psychologii. Ma on za zadanie współpracować w sprzężeniu zwrotnym z chorą psychiką w czasie leczenia i rekonwalescencji.

- Harley - odezwałem się pierwszy - czy zmieniłeś w projekcie moc elektrod? Uważam, że pole magnetyczne zbyt słabe nie będzie mogło likwidować przebić psychicznych. Bódźce należałoby doprowadzić do transformacji kołowej i pobudzić nieczynne komórki do pracy zastępczej.

- Tak, moc zwiększyłem do tysiąca megawatów. Sądzę, że to wystarczy. Współpracować z XBT będzie dodatkowy zasilacz. Moc w razie potrzeby będzie można potroić. Transformacja w takim polu powinna nastąpić samoczynnie - odrzekł i sięgnął po papierosy. Poczęstował mnie.

- Dziękuję, przestaję powoli palić. Wydaje mi się, że papierosy ostatnio mi szkodzą. Wiesz, miałem jakieś dziwne przywidzenia.

- Ty też?! - ze zdziwieniem w głosie spytał Harley.

- Jak to: „ty też”?

- Bo widzisz, dziś rano miałem kilka dziwnych wizji. Wstałem i poszedłem do łazienki, aby wziąć prysznic - zaczął opowiadać. - W rogu zamiast wanny znajdowała się emaliowana trumna. Wieko było bogato zdobione różnymi wschodnimi ornamentami. Na ścianach były wymalowane chimery i maskary. Płytki pokryte były ciemnym, zielonym szlamem. Powietrze było ciepłe, wydawało mi się, że jest bardzo ciężkie i lepkie.

- Wiesz, miałem podobne wrażenie, to niesamowite, ciężkie powietrze - wtrąciłem.

- Tak - opowiadał Harley w dalszym ciągu - to okropne uczucie. Oszołomiony wybiegłem na zewnątrz. Mój pokój był zupełnie normalny, bez żadnych zmian. Ponownie wróciłem do łazienki. Powoli otwierałem drzwi. Było to znów zupełnie inne pomieszczenie. W miejscu wanny znajdował się sarkofag. Wyglądało to jak grób faraona. Na wierzchniej płycie wy - rzeźbiona była sylwetka Tutenhamona. Poznałem od razu tę postać, bowiem fascynował mnie starożytny Egipt i dość dobrze znałem jego historię. Na ścianach tym razem wyryte były hieroglify. Powietrze wypełniała woń olejków i kadzidła. Na posadzce było dużo kurzu. W pewnym momencie wokół głowy faraona poczęła tworzyć się jasna aureola. Pojawiło się mnóstwo jakiegoś białego dymu. Poczułem wtedy, że nogi uginają się pod mną. Powoli zacząłem zapadać się w pustkę. Miałem wrażenie, że spadam ciągle dalej i dalej. Zupełnie tak, jakbym wpadał do studni bez dna. Potem nie pamiętam już co było. Ocknąłem się na podłodze w mojej normalnej łazience. Zlany byłem zimnym potem. Spojrzałem na zegarek. Straciłem przytomność na jakieś dwadzieścia minut. Nie miałem już czasu na kąpiel. Chwiejnym krokiem poszedłem do kuchni. Nie chciało mi się wcale jeść. Wypiłem tylko szklankę mleka i wyszedłem do biura.

Opowiedziałem dokładnie Harleyowi moje poranne koszmary. Spojrzałem na zegarek. Wskazywał godzinę siedemnastą. Mogła być w tej chwili dziesiąta.

- Którą masz godzinę? - zapytałem i poszedłem zamknąć okno, bo w gabinecie zrobiło się chłodno. -

Popatrz, przestało padać. A na wschodzie utworzyła się wspaniała tęcza.

Harley spojrział na zegarek. Nie wstawał z fotela, nie interesowała go tęcza.

- Chyba się zepsuł, bo wskazuje siedemnastą - powiedział sucho.

- U mnie też siedemnasta - pokazałem mój zegarek.

Przez chwilę panowała cisza. Nagle Harley westchnął i odezwał się:

- Mam wrażenie, że zachorowała rzeczywistość.

- Dochodzimy do tych samych wniosków - uśmiechnąłem się. - W moich porannych rozmyślaniach również pojawił się taki termin. Zastanawiam się czy nie są to czasami objawy przemęczenia, ale wydaje mi się, że pracujemy chyba tyle, co zawsze. Zresztą czuję się w tej chwili wyśmienicie. A jakie jest twoje samopoczucie?

Harley spojrział na mnie i rzekł:

- W porządku. Nie wydaje mi się abym był przepracowany i zapadał na jakąś psychiczną chorobę. Może to nadchodzi jakaś nowa paranoja. Nie wiem, ale gdyby to było...

Harley nie dokończył swojej wypowiedzi, bo do gabinetu weszła Helena i przyniosła korespondencję. W oczy rzuciła mi się duża koperta z napisem:

INSTYTUT INŻYNIERII MEDYCZNEJ  
ODDZIAŁ PSYCHIATRII - biura analityczne  
ulica rejon centralny - 45/23  
ROBERT TORROW - dział projektów  
24 MIDDLETOWN

Odwrociłem kopertę. Nadawcą były Elektroniczne Zakłady Kooperacyjne. Otworzyłem list, dokładnie przeczytałem tekst.

- Harley, będziemy dzisiaj musieli trochę dłużej popracować. Piszą, że wzmacniacz mocy i zasilacz do XBT dostarczą nam za trzy dni. Potrzebują jedynie na jutro dokumentację, bo po zmianach nie wiedzą, czy znormalizowane zostały wyjścia energetyczne i jak wyglądają zakończenia na obwodach kołowych - skomentowałem tekst pisma.

- Tak, na jutro będziemy musieli przygotować dokumentację dla nich. Projekt powinniśmy mieć jutro wieczorem skończony - rzekł Harley i zamyślił się. - Czy wierzysz, że XBT przyniesie sukces w leczeniu ciężkich schorzeń? Teoretycznie jest to możliwe, tak; ale czy w czasie zabiegów organizm nie zacznie reagować w sposób antagonistyczny? Jest to przecież współczesna chirurgia mózgu. A mózg to jednak w dalszym ciągu wielka niewiadoma naszego organizmu. Wiemy wprawdzie prawie wszystko o biochemii mózgu, o reakcjach i procesach, jakie w nim zachodzą, ale tu chodzi o świadomość, podświadomość.

- Wierzę, muszę wierzyć - odrzekłem po chwili. - Zastanów się, jaki sens miałyby nasza praca, gdybyśmy nie wierzyli w jej sukces? Jeśli coś mnie pasjonuje, coś robię, rozwiązuję jakiś problem, to zawsze wierzę, że do końca uwiecznionego powodzeniem. W wypadku niewiary rodzi się zwątpienie i niechęć. A to powoduje, że pod wpływem autosugestii negatywnej koniec dzieła jest bardzo daleki i tak trudno do niego dobrać. Rozwój nauki - ciągnąłem dalej - nie toczy się po linii prostej. Przypomina on mocno rozgałęzione drzewo z mnóstwem ślepych uliczek i odnóg. Nie zawsze możemy przewidzieć w jakiej chwili nastąpi sukces. Bywa tak, trudno jest powiedzieć w jakiej dziedzinie nauki, czy techniki znajdzie zastosowanie jakiś wynalazek. Czasami wynalazki czekają latami na swoje zastosowanie. Jednakże ci wszyscy, co ich dokonali, wierzyli, że to będzie musiało do czegoś służyć, że trud nie był daremny. Nie możemy kierować rozwojem techniki. Technika rozwija się sama w wyniku swojej ewolucji. Jest ona jednak związana z ludzkością. Nie... Może inaczej. Ludzkość jest z nią związana. Nasza społeczność musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niosą ze sobą niektóre odkrycia czy wynalazki. Na przykład aparat XBT mógłby być użyty nie do tego celu, w jakim my

go konstruujemy. Wystarczyłoby na przykład odpowiednio zakodowaną informację wprowadzić do mózgu człowieka. Przesłoniłaby ona instynkt, rozsądek, czy sumienie. Człowiek nie byłby zdolny do myślenia, w ogóle do jakiegokolwiek działania. Na przykład informacja: „musisz zabijać każdą żywą istotę” uczyniłaby z człowieka narzędzie zbrodni, robota bezwzględnie posłusznego woli kierującego. Taka osoba traci swoje człowieczeństwo. Kim jest? Zwierzęciem?... Nie! Bo zwierzę ma instynkt i nie niszczy, nie zabija bez potrzeby. Jakie jest jego miejsce w społeczeństwie? Wykasowanej świadomości nie można już przywrócić. Należałoby wykasować jeszcze zakodowaną informację. Jednakże to bardzo trudne. Ogarnia ona całą świadomość i potrzeba by bardzo dużej energii na jej zagłuszenie. Zresztą, być może organizm nie wytrzymałby tego zabiegu. A nawet gdyby to się udało, to byłby zupełnie kto inny: niemowlę. Wszystkiego taki człowiek musiałby uczyć się od nowa: chodzić, jeść, mówić. Gdzie byłoby dzieciństwo, młodość. Czas posuwałby się przecież naprzód. Powstałby paradoks psychicznej młodości w biologicznej starości.

Na chwilę przerwałem moje wywody i spojrzałem na Harleya. Słuchał mnie uważnie. Gdy przystanąłem na chwilę, wyciągnął papierosy i poczęstował mnie. Tym razem nie odmówiłem. Zaciągnąłem się dymem i kontynuowałem.

- Nasuwa się jeszcze jedno pytanie. Pomyśl, czy należałoby dokonać zabiegu, gdy w większości oznaczałoby to śmierć. A z drugiej strony, to co zrobić z takim osobnikiem? Trzymać go w klatce, w więzieniu? Przecież on niczemu nie jest winny.

- Masz rację - wtrącił Harley - ale nauka wymaga poświęceń.

- No, ale mimo wszystko musimy na razie dokumentację głównego pulsatora XBT przechowywać w sejfie z napisem: „ściśle tajne”. Bo to, co ci powiedziałem, nastąpiłoby niewątpliwie, gdyby dokumentacja dostała się w niepowołane ręce. Widzisz, istnieje wiele aspektów moralnych i prawnych naszej pracy oraz badań.

- Wiem - powiedział i po chwili dodał ciszej - rozumiem.

- Ty, jako lekarz, zajmujesz się sprawami medycznymi w czasie leczenia przy użyciu nowej aparatury - powiedziałem i podszedłem do okna. - Ja natomiast, jako główny konstruktor, muszę dbać o całość pracy, rozważać wiele elementów celowości działania. Dlatego też do tej pory w Elektronicznych Zakładach Kooperacyjnych nie mają nowej dokumentacji. W dalszym ciągu nie wiedzą o głównym pulsatorze XBT. Wyślemy im też tylko dokumentację obwodów kołowych.

- Tak, tak - odrzekł Harley i uśmiechnął się jakoś tak dziwnie. - Wyglądało to jak wykład z filozofii - aspekty norm moralnych. Tak rodzi się właśnie wynalazek.

Przez pewien czas panowała cisza. Każdy myślał o swoich sprawach. Tak kończyła się nasza dyskusja czy rozmowa. Harley wstał z fotela. Wydał mi się jakiś posepny, coś go musiało gnębić.

- Idę do swego gabinetu, muszę opracować te obwody kołowe. Jak będziesz miał coś nowego, to połącz się ze mną - poinformował mnie.

- W porządku. Wpadnij do mnie, gdy będziesz szedł na obiad - powiedziałem zmęczonym głosem.

Harley powoli podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł. Wydawało mi się, że się zawahał, że chciał coś jeszcze powiedzieć. Przypomniałem sobie, że mam zadzwonić do Anny. Chciałem powiedzieć, że się nieco spóźnię. Wczoraj po naszej popołudniowej kłótni Anna wybiegła z mieszkania i nie wróciła na noc. Spała chyba u siostry. Z Anną żyłem wspólnie jakieś cztery lata. Ale dziwne to było współżycie. Często dochodziło między nami do sprzeczek i kłótni. Powodem były głupstwa i błażostki. Ale mimo wszystko kochałem Annę i ona mnie chyba również kochała. Nie potrafiłbym bez niej żyć.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer telefonu przedsiębiorstwa, w którym Anna pracowała. W słuchawce usłyszałem jej miły, dźwięczny głos:

- Halo! Tu Przedsiębiorstwo Upłynniania Kryształów i Drżących Domów. Słucham.

Przez chwilę nie mogłem nic powiedzieć. Czyżby znowu te dziwne objawy?

- Halo! - powtórzyła nieco zdenerwowana Anna.

- Anno, mówi Robert, przepraszam za tę chwilę milczenia, ale coś z moim aparatem nie jest w porządku.

- Ach to ty. Co sobie życzysz dziś na obiad? Kupiłam pierogi i knedle. Przyjdź dzisiaj punktualnie. Zaprosiłam do nas na obiad Martę i Roya, może przyszedłby i Harley? - spytała.

- Mam wielką ochotę na pierogi, ale niestety muszę dzisiaj popracować dłużej. Muszę na jutro ukończyć projekt maszyny XBT. Bardzo żałuję...

- Trudno - przerwała mi Anna - Jak musisz, to pracuj. Obiad zjesz z nimi kiedy indziej.

- Dobrze, obiecuję, że wkrótce będę miał więcej czasu. No to na razie. Muszę kończyć projekt. Pa!

Odłożyłem słuchawkę.

- Że też ona nie skontaktuje się ze mną, jak chce zaprosić gości. Mogłaby zadzwonić i dowiedzieć się, czy nie mam zbyt dużo pracy - mówiłem do siebie i wyciągnąłem z sejfu dokumentację. - Zresztą skąd mogła wiedzieć, że akurat dzisiaj nie będę mógł przyjść na obiad.

Rozłożyłem moje zapiski przed sobą i całą uwagę skupiłem na głowicy pulsacyjnej. Zastanawiałem się jak dobrze skoordynować jej działanie z zasilaczem. Wydawało mi się, że niezbędne będą lepsze przęsła energetyczne...

2.

Zadzwoił telefon. W słuchawce usłyszałem głos Harleya:

- No co, idziesz na obiad? Już czas! Spojrzałem na zegarek, była czternasta.

- Ach, rzeczywiście. Byłem tak zaabsorbowany XBT, że nie zauważyłem jak minął czas. Zaraz wychodzę.

Jednak dobrze chodzi mój zegarek, albo cofnął się, albo przyspieszył. A zresztą, czy to ważne? Ranne przywidzenia wydały mi się snem. Wszystko chyba zaczęło posuwać się normalnie. Praca, dom, spanie i od początku. Taki normalny, codzienny kierat życia. Postanowiłem, że po ukończeniu projektu wyjadę z Anną nad morze. To by nam dobrze zrobiło.

Wyszliśmy z Harleyem z biurowca. Bar znajdował się niezbyt daleko, jakieś sto metrów. Nie braliśmy samochodu, bo po tak długim siedzeniu spacer nam dobrze robi. Dzielnica, w której pracowaliśmy była bardzo ciekawa pod względem architektonicznym. Biurowiec z trzech stron otaczały wille. Wznosił się on ponad nimi jak gigantyczny obelisk. Drugi wieżowiec oddalony był o jakiś kilometr. Był on również otoczony jednorodzinnymi domkami. Kamienna dżungla drapaczy chmur usytuowana była w zachodniej części miasta. W centrum zlokalizowane były główne instytucje, sklepy i domy towarowe. We wschodniej części mieścił się gigantyczny park. Tam też skryło się skupisko głównych lokali rozrywkowych.

Lubię Middle Town, nie jest to ani duże, ani małe miasto. Takie właśnie jak wskazuje jego nazwa. Bardzo dobrze również rozwiązana jest komunikacja. Można wszędzie dostać się przy pomocy podziemnej kolei. Piętrowe arterie pozwalają bez tłoku, bez kolizji, swobodnie poruszać się. Middle Town wprawdzie jest podobne do innych miast, ale ma swój niepowtarzalny nastrój. Czuję się tutaj dobrze i jakoś zżyty z całym otoczeniem. Często w wolnych chwilach jedziemy z Anną do parku. Tam zapominamy o wszystkich przykrych sprawach. Ale jednak mimo wszystko to życie wydaje mi się monotonne. Może zacznę więcej podróżować, bo ciągle nie mogę zdobyć się na dłuższą wycieczkę. Czuję jak czas mija i ogarnia mnie jakaś stagnacja. Tutaj nie czuję się wolny; jestem skrupowany codziennością i rzeczywistością.

Jeśli posmakuje się wolności, to potem trudno żyć i postępować według reguł wymyślonych przez władze i narzucanych jako prawa moralne. Każdy ma własną moralność taką, jaką dyktuje mu sumienie i humanizm. Nie powinien się zgadzać z modelem podanym jako niewzruszona prawda, jako ideał. Często bowiem ideały po upływie pewnego czasu rozpadają się i zostają zapomniane. Świat przecież się zmienia, czas idzie naprzód, a moralność jest pojęciem historycznie zmiennym. Śmieszne wydaje mi się to, jak możemy się czasami wspólnie okłamywać. Jest źle, a mówimy z kamiennymi twarzami: jest zupełnie dobrze, to tylko subiektywne wrażenia, które budzą jakieś tam wątpliwości.

Często trzeba rewidować swoje poglądy, swój punkt widzenia, do wielu rzeczy podchodzić z pewnym dystansem. Nie mogłem się na przykład pogodzić ze zniszczeniem starego, zabytkowego kościoła, który znajdował się obok baru. Przyznaję, że był on bardzo stary, wyglądał raczej jak ruina ale bądź co bądź był to zabytek, relikwiny naszej dawnej kultury. Niestety okrzyknięto, że szpeci on nowoczesną dzielnicę i rozebrano go. Wprawdzie takiego zdania była większość społeczeństwa, ale ja w dalszym ciągu nie zgadzam się z tym mniemaniem. Można byłoby przynajmniej spróbować odrestaurować go. W

miejscu gdzie stał wznosi się teraz wieżowiec. Możliwie właśnie dlatego miałem sentyment do tych ruin, że jako chłopiec lubiłem się tam bawić. Mury te kryły tajemnicę, były niedostępne i pobudzały wyobraźnię. Dawne dzieje zawsze były dla mnie okryte mgiełką tajemniczości i romantyczności.

Szliśmy w milczeniu. Wydawało mi się, że coś gnębi Harleya. Nie pytałem go dlaczego jest taki posępny, czekałem aż sam o tym powie. Ruch znacznie wzrósł. Zbliżały się godziny szczytu. Niebo było bezchmurne i słońce dość mocno przypiekało. Poczułem, że męczy mnie pragnienie.

W barze było pełno ludzi, lecz znaleźliśmy wolny stolik. Zamówiliśmy obiad.

- Robercie - posępnym głosem odezwał się Harley - czuję się taki samotny. Wczoraj Joan odeszła ode mnie. Powiedziała, że dłużej nie może żyć z lekarzem, pseudonaukowcem. Mówiła, że ostatnio siedzę tylko w biurze wśród papierzysk. Nie wiem... Chcę zapomnieć... Nie mogę... Była przecież dla mnie wszystkim.

- Jak to odeszła? - spytałem cicho. - Po tylu latach... Dziwna kobieta. Dlaczego?

- To prawda, że byłem bardzo zajęty. Jednakże robiłem dla Joan to, co mogłem. A ona, tak sobie spakowała walizki i odjechała.

- My z Anną często kłócimy się, jednakże wydaje mi się, że jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni. Nie wiem, może i my kiedyś rozejdziemy się - spojrzałem na Harleya i starałem się go pocieszyć. Był bardzo zmartwiony. Chyba mnie nawet nie słuchał. Miętosił serwetkę i patrzył przed siebie. Nic nie jadł.

Zrobiło mi się go żal.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem po chwili. - Wpadnij dziś do nas na kolację. Dlaczego nic nie jesz?

- Jakoś nie jestem głodny - zachnął się. - Przepraszam cię, rozkleiłem się. Rano było wszystko w porządku, muszę się pozbierać.

- Nie martw się, wszystko się ułoży. Spróbuj na razie zapomnieć - powiedziałem serdecznie.

W milczeniu kończyliśmy obiad. Harley tylko coś niecoś tknął, ale nic mu z talerza nie ubywało. W pewnym momencie przysiadł się do naszego stolika jakiś mężczyzna. Wydawało mi się, że gdzieś go już widziałem. Ubrany był bardzo schludnie i skromnie. Miał dużą twarz, mały nos i okrągłe, niebieskie oczy. Jasne, krótko przyszyżone włosy nadawały jego sylwetce stanowczość i jakąś pewność. Na pewno już gdzieś go widziałem, ale gdzie?

Mężczyzna spojrzał na mnie i odezwał się:

- Nazywam się Roy, pan mnie chyba jeszcze pamięta.

- Wydaje mi się, że pana znam - odpowiedziałem nieco zmieszany. - Ale nie bardzo pamiętam, kiedy miałem przyjemność...

- Doprawdy? - przerwał mi. Zauważyłem, że Harleya zainteresowała nasza rozmowa. - Śniłem się przecież panu pięć dni temu.

Następnie zwrócił się do Harleya:

- Niech się pan nie martwi, być może Joan wróci do pana.

Rzeczywiście teraz dopiero przypomniałem sobie, że widziałem tego Roya we śnie. Był to koszmar. Śniło mi się, że na Middle Town spadła kłęska. Wszędzie było pełno trupów. Domy waliły się, jakby zrobione były z klocków lub z papieru, środkiem głównej arterii płynęła rzeka krwi. Stałem w niej zanurzony do pasa i patrzyłem, jak z gruzów naszego domu na noszach wynoszą Annę. Roy wyszedł ostatni i powiedział do mnie: „Czas się zmaterializować. Pragnę uciec od mego stwórcy”. Po tych słowach zacząłem się topić we własnej krwi. Brakowało mi powietrza. Wtedy obudziłem się. Jak to możliwe, żeby siedział teraz przede mną? Nie, to chyba ktoś inny, ktoś kto jest podobny do sennej mary. Ale skąd on wiedział, że śnił mi się? Jak to możliwe aby wiedział o odejściu Joan; nie znał jej przecież, nie mógł znać.



- Przepraszam, ale ja nie bardzo jestem pewien, czy kiedyś pana poznałem - powiedziałem do Roya. Nie wierzyłem w swoje przypuszczenia. To, co mówił do mnie we śnie nie mogło istnieć w świecie materialnym, rzeczywistym.

- Powiedziałem ci Robercie, że mnie już znasz - stanowczo odezwał się Roy. - Wymyśliłeś mnie. Jestem wytworem twojej wyobraźni. Tak... Po prostu zmaterializowałem się. Wymknąłem się twojej kontroli. Stworzyłeś mnie w swojej wyobraźni i nie zajmowałeś się mną więcej. To tak, jakbyś uruchomił wielki mechanizm zegarowy i nie troszczył się potem o jego los. Ja zacząłem działać na własną rękę. I oto stoję przed tobą, przed obliczem mego stwórcy. Ja zbuntowany. Mogę działać w świecie, który tworzysz sobie w dalszym ciągu, w wyobraźni i w twym otoczeniu. Jestem od ciebie potężniejszy. Mogę więcej. Nie możesz mną już kierować. Nie możesz mnie już również unicestwić. Dzieło pozostawione sobie uniezależnia się od stwórcy. Jestem całkowicie wolny, cóż to za cudowne uczucie. W wyniku mojej działalności cała twoja myśl zostanie zmaterializowana. Cały twój wewnętrzny świat uniezależni się od ciebie.

- Stwórca bez wpływu na los swojego dzieła - ciągnął po chwili przerwy Roy, a my słuchaliśmy tego w osłupieniu. - Uwolnię również myśl Harleya. Dwaj bezsilni bogowie zdani na łaskę lub niełaskę swych stworzeń...

- Zamknij się! - krzyknąłem do Roya i wstałem od stołu. - Wynoś się stąd!

Wzbudziłem zainteresowanie swoim wybuchem. Czuję na sobie zirytowane spojrzenia ludzi.

- Czego się tak gapicie?! - wrzasnąłem w kierunku długiego rzędu stolików. - Popatrzcie na koryta ustawione przed wami!

- Nie panujesz już nad sobą - ironicznie powiedział Roy i uśmiechnął się. - Współczuję ci.

Byłem bardzo zdenerwowany i roztrzęsiony, sam nie wiem dlaczego. Zazwyczaj bywałem opanowany i rzadko unosiłem się, ale dzisiaj poczęła ogarniać mnie furia. Chciałem wyrzucić stąd Roya i porządnie dać mu po gębie.

W tym momencie zwrócił się on do Harleya. Wyciągnął jakąś fotografię i powiedział:

- Zobacz to jest ta twoja dziwka Joan. Śpi teraz na pewno z tym grubym facetem. Wyjechała właśnie z nim w góry. Po trzech dniach wróci do ciebie i będzie łaścić się jak suka prosząc o przebaczenie, aby wkrótce znów z kimś gdzieś wyjechać.

Herley zerwał się z krzesła. Zbladł, również cały był roztrzęsiony. Chwycił Roya za klapy marynarki.

- Won! Ty...! Ty...! - krzyczał. Wargi mu drżały. Nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie.

- Wyrzuć go stąd! - syknąłem Harleyowi do ucha. Mocne pchnięcie rzuciło Roya na dużą szybę okienną.

Ostry dźwięk tłuczonego szkła wypełnił bar. Roy wypadł na trotuar krzycząc:

- Nie pozbędziecie się mnie, jestem już nieodłącznym waszym towarzyszem! - i rozpląnął się momentalnie w powietrzu.

Kelner, który akurat przechodził, zbliżył się zwabiony krzykiem i podniesionym głosem zwrócił się do nas:

- Proszę stąd nie wychodzić, zawiadomiliśmy policję. Będziemy musieli spisać protokół z wyrządzonych szkód.

Kilku pracowników baru stanęło przy drzwiach. Kilka osób siedzących najbliżej wstało ze swoich miejsc i gestykułując krzyczało coś o wandalizmie i chamstwie.

Wydawało mi się, że jakiś krąg zaciska się wokół mnie. Ostrze jego podchodzi mi coraz bliżej pod szyję. Nie byłem chyba w pełni świadomy tego, co robię, ale czułem, że za wszelką cenę muszę się stąd wydostać. Przez drzwi nie mogłem wyjść. Zauważyłem drogę awaryjną mieszczącą się w samym końcu baru. Rzuciłem się czym prędzej w tym kierunku. Jakiś starszy mężczyzna zasłonił mi drogę. Moje silne

kopnięcie zważyło go z nóg. Po chwili byłem już na korytarzu prowadzącym do wyższych kondygnacji budynku. Harley podążył za mną. Słyszałem jego ciężkie kroki. Ktoś biegł za nami. Byliśmy już na przedostatnim piętrze. Teraz mogliśmy dojść do głównego korytarza mieszczącego mieszkania. Bez namysłu wsiedliśmy do windy i zjechaliśmy na parter. W klatce schodowej nikogo nie było.

Wyszliśmy na ulicę. Po obu stronach baru stały wozy policyjne. W barze panowało zamieszanie. Świadkowie scysji gorliwie opowiadali o całym przebiegu. W tym zamieszaniu nikt nie obstawił drzwi prowadzących do mieszkań. Nagle dwóch policjantów ruszyło w naszym kierunku. Za nimi szedł mężczyzna, którego kopnąłem. Głośno coś opowiadał policjantom. Doszły nas strzępy jego słów.

- ...potem zaczęli krzyczeć i ten drugi rzucił krzesłem w okno.

Odwróciliśmy się w drugą stronę i udawaliśmy lokatorów, którzy właśnie wyszli z domu. Nagle usłyszałem krzyk:

- To oni! Trzymajcie ich! Wsadźcie do więzienia tych bandytów!

Przechodnie zatrzymywali się w miejscu i przyglądali tej scenie. Z samochodu wybiegło dwóch policjantów. Dwóch innych biegło już z innej strony. Nie mieliśmy wyboru. Wbiegliśmy do tej samej klatki schodowej. Winda akurat była wolna. Bez namysłu wskoczyliśmy do niej i ruszyliśmy w górę. Nie wiedziałem gdzie dalej uciekać. W budynku nigdzie nie mogliśmy się schować. Miał on tylko dziesięć pięter i już był obstawiony policją.

Nagle winda zatrzymała się i zgasło światło. Znajdowaliśmy się gdzieś między piątym a szóstym piętrem. Specjalnie wyłączono energię elektryczną, aby nas sprowadzić w dół.

- Jesteśmy w kolizji z prawem - odezwał się Harley, który przez cały czas robił automatycznie to co ja.

- Tak, niestety - szeptem powiedziałem do ucha Harley - owi. - Właściwie to nie wiem dlaczego nie poczekaliśmy na dole na policję. Narozrabialiśmy tam przecież. Wszystko przez tego Roya.

- Nie mogę w to uwierzyć... Co on wygadywał o Joan... I to zdjęcie z tym facetem... Nie mogłem się opanować - nie wiem czy do mnie czy do siebie mówił Harley. - Co się właściwie z Royem później stało.

- Nie wiem, ale... - zastanowiłem się przez moment - wydawało mi się, że rozpląnął się w powietrzu. Jest on teraz moim wrogiem. Zazdrości nam, że urodziliśmy się jako ludzie, że jesteśmy... nie, byliśmy niezależni. Teraz musimy walczyć z własną wyobraźnią. Chce zrobić z nas niewolników myśli.

- Mam ochotę iść i zabić tego człowieka, który nas poznał - powiedział i zacisnął pięści. - To takie przyjemne móc wbić nóż w plecy tego, kto rzuci na ciebie złe spojrzenie. Chciałbym też zdemolować cały ten bar, tę stajnię, a kelnerów wytruć jak szuje. Żeby tak mieć rewolwer. Rozprawiłbym się z każdym, kto stanie na mojej drodze. Nie!... Co ja właściwie wygaduję?!

- Harley - złapałem go za rękę i zacząłem mocno ciągnąć - chodź, musimy iść do biura, trzeba skończyć projekty!

- Gdzie chcesz iść? - popatrzył na mnie błędnym wzrokiem. - Jesteśmy tu zamknięci. Musimy czekać, aż nas stąd wypuszczą. Albo nie!... Rozwalmy to pudło! - dorzucił przez zęby.

Spojrzałem na niego nieco zdezorientowany. On skoczył i zaczął tłuc pięściami w drzwi windy. Widząc to, również nie pozostałem biernym. Wyrwałem poręcz, rozbiłem szyby i zniszczyłem wszystkie przyciski. W pewnym momencie zaczęliśmy skakać i wykrzykiwać różne świństwa. W ten sposób mogłem wyładować swoją złość. Po pewnym czasie zmęczony osunąłem się na podłogę. Harley rozjuszony, ciężko dysząc przykucnął w kącie. Rozhuśtana winda wahała się niebezpiecznie.

Nagle powoli zaczęliśmy zjeżdżać. Uruchomiono hamulec i powoli ściągano nas.

Drzwi otworzyły się. W korytarzu stało pięciu policjantów. Wybiegłem z windy i chciałem uciekać, lecz dwie pary rąk mocno chwyciły mnie i poprowadziły w kierunku samochodu.

Harley szedł bez oporu.

- Panowie pojedą z nami - powiedział gruby sierżant. - Wyjaśnimy kilka spraw na komisariacie.

- Czego od nas chcecie?! - szamotałem się jeszcze. - Czego się wtrącacie do naszych prywatnych spraw? To miała być rozgrywka między mną a Royem. Jego aresztujcie, to on zmaterializował się!

- Proszę nie stawiać oporu, bo użyjemy siły - odezwał się policjant idący za nami.

- Stul pysk! - ogarniała mnie furia. - Nie dotykajcie mnie! Precz z łapami! Jakim prawem mnie męczycie?! Żądam wyjaśnień! Puśćcie mnie, bo śmierdzi od was! Wy... wy... wy gnidy! Harley, ratuj nas, te pomioty chcą nas uwięzić!

Zebrałem wszystkie siły. Chciałem się wyrwać. Udało mi się kopnąć jednego policjanta w brzuch. Nagle tępe uderzenie powaliło mnie na ziemię. Wszystko pociemniało, straciłem przytomność.

3.

Ocknąłem się na komisariacie policji. W pustej celi było już prawie ciemno. Leżałem na twardym, wąskim łóżku. Obok stał stolik z krzesłem. Pod sufitem wisiła starodawna, ogromna lampa. Harleya tutaj nie było. Zastanawiałem się przez chwilę, co z nim mogli zrobić. Gdzie on teraz mógł być? Byłem zupełnie spokojny, bardziej niż kiedykolwiek. Chwila braku kontroli nad sobą doprowadzić może do przykrych i groźnych skutków. Cóż mnie teraz czeka? Kara za zakłócenie porządku publicznego. Ale musiałem przecież walczyć w obronie swojego ja. Nie mogę być bezsilny wobec wrogiej działalności wyobraźni.

Nie stłumione uczucia i pragnienia wybuchnąć mogą w każdej chwili ze zdwojoną siłą. Jeśli Roy mógł zmaterializować się, to samo mogą zrobić inne wytwory. Cały świat po zmaterializowaniu się stanie w opozycji świata rzeczywistego. Cóż wtedy będzie? Nowa psychiczna wojna? A może ja też nie jestem stworzeniem materialnym? My wszyscy: Anna, Harley, policja i inni działamy w czyjejs wyobraźni, w wyobraźni naszego boga.

Skoro tak, to istnieje możliwość przejścia w świat mego stwórcy. Ale jak? Trzeba się chyba w jakiś sposób zmaterializować do tamtego świata. Byłaby to pewnego rodzaju reinkarnacja. Wejście na wyższy stopień. Skoro Roy wszedł w mój świat, to będzie chyba mógł wejść w świat mego boga. Czyli będzie to przejście w świat boga swego boga. Przejście przez dwa stopnie. Hm... To zupełnie prawdopodobne. Ale wtedy byłby on moim bogiem. Jest bogiem dla siebie i swoich myśli. Paradoks? Skoro nie, to ile jest stopni reinkarnacji węzłowej? Ile jest form podstawowych istnienia? Jeśli każdy stopień istnienia jest inny, to musi być początek i koniec. A gdy jest koniec, to kto stoi na ostatnim stopniu, na szczycie? Czy jeden jedyny Bóg? Lecz jeśli stopni jest nieskończenie wiele, to cóż rządziłoby całością tych dziwnych schodów, schodów nieskończenie długich, schodów do nieba, którego nie ma. A co znajduje się na pierwszym stopniu? Coś myślące abstrakcyjnie. A może początek jest zarazem końcem? Wtedy całość reinkarnacji węzłowej można przedstawić w postaci schematu kołowego, mającego możliwość nieskończonej ilości razy powielenia się i nakładania.

Każda wypadkowa istnienia byłaby inna, lecz żadna forma nie mogłaby być bardziej doskonała. Upadają wtedy wszystkie idealistyczne filozofie. Żyję w takim wypadku w niebie moich wyobraźni, w niebie Roya. Tak, wielka średnia przeciętna, ten sam świat, nic gorszego, nic lepszego.

Każda forma istnienia jest formą energii; również myśl, materia, przestrzeń to formy energii. Przejście z jednego stopnia na drugi wiąże się ze zmianą formy energii. Objawem tej zmiany jest śmierć. Czyli Roy umarł w mojej wyobraźni i dzięki temu przedostał się na wyższy stopień. W tej wędrówce nie można się cofać, jest jedyna droga: naprzód. Roy kłamał, mówiąc, że może żyć w dalszym ciągu w świecie moich myśli. Chciał mnie tylko w ten sposób przygnębić. Jeżeli każdy stopień jest taki sam, a wszystkie tworzą obwód kołowy, to egzystencyjny marsz oznacza postój w jednym miejscu. Zmieniają się tylko nazwy, formy, pojęcia. Cały wszechświat zamknięty jest w kole reinkarnacji węzłowej. Mijanie czasu jest tylko naszym wrażeniem. Mechanizm przesuwającego się zegara, to nie czas. Czas jest funkcją egzystencji. Egzystencja nie zmienia się. Zmienia się tylko nazwa, forma. Czyżby więc czas stał w miejscu? Nie, czas to chwila trwająca wiecznie. Wieczność to brak początku i końca w czasie egzystowania. Patrząc z drugiej strony dochodzę do wniosku, że czas jest tylko fikcją. Więc zaprzeczam niemożliwości cofania

się. Ale to nie ma żadnego znaczenia, bo cofanie się ze stopni wyższych na niższe, to istnienie w tym samym miejscu ze zmieniającymi się nazwami i formami. Wszechświat to egzystencja wiecznie młoda i wiecznie stara zarazem. Jakże pusta wydaje się wtedy śmierć. Ale również to jest nieistotne, bo tyle pytań ciśnie się jeszcze na usta, a większość z nich pozostanie bez odpowiedzi.

W celi było zupełnie ciemno. Jedyne przez okienko między kratami prześlizgiwał się blady promyk Księżyca. Celę wypełniał monotony jednostajny szum. Wreszcie podniosłem się z posłania. Tępy ból w tyle głowy odebrał mi wszelkie chęci na wstanie. Jednakże zebrałem wszystkie siły, przemogłem się i początkowo usiadłem, później stanąłem obok stolika. Zaświeciłem lampę i usiadłem na krześle. Byłem jeszcze dosyć słaby. Silne było to uderzenie. Ciekaw byłem który to policjant mnie tak urządził.

Byłem głodny i chciało mi się pić. Nie będą mnie chyba tutaj głodzili. Dziwne dlaczego nikt tu nie wchodził, nikt nie interesował się, czy odzyskałem przytomność. Muszę dać im znać, że już odzyskałem świadomość. Niech załatwią to, co muszą i wypuszczą mnie stąd. Podszedłem do drzwi i zastukałem w metalowe okucie. Nikt nie zareagował. Nacisnąłem klamkę i drzwi ustąpiły. Żółty blask lampy oświetlał puste wnętrze komisariatu. Na biurku leżały jakieś rozsypane papiery. Nikogo wewnątrz nie było. Krzesła przewrócone spoczywały w kącie. Nabity rewolwer pozostawiony na półce błyszczał metalicznie. Ruszyłem w kierunku łazienki, szum wzmógł się. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że wszystkie kurki są otwarte i cieknie z nich woda. Zamoczony po kostki zakręciłem krany. Zapanowała cisza. Otworzyłem lodówkę. Były w niej konserwy i trzy puszki z piwem. Zaspokoiwszy pragnienie i głód wyszedłem na zewnątrz. Wszystkie drzwi były pootwierane. Wyglądało na to, że policjanci w pośpiechu opuścili to miejsce i gdzieś wyjechali, bo nie było żadnego samochodu.

To dziwne, bo komisariat nigdy nie pozostaje pusty, a w dodatku z otwartymi drzwiami. Postanowiłem stąd uciec. Wróciłem do budynku i zabrałem broń; myślałem, że będzie mi jeszcze potrzebna. Wyszedłem na trotuar prowadzący w kierunku głównej arterii. Nikogo nie było, żadnych przechodniów, zupełnie pusto. Była dopiero dwudziesta, a ta część miasta należała do dosyć ruchliwych. Postanowiłem pójść do mego biura. W szafie, w marynarce zostawiłem dokumenty, klucze od mieszkania i od samochodu. Musiałem przejść spory kawałek drogi. Arteria była jasno oświetlona, lecz całkowicie pusta.

- Cóż mogło przykuć uwagę mieszkańców; nikogo tu nie ma? - rozmyślałem w duszy.

Wieżowce były ciemne. Tylko gdzieś tam słabe światło rozświetlało okna. Ogarnął mnie dziwny strach, poczułem się jakiś opuszczony i bardzo samotny. Człowiek przyzwyczajony do życia w tłumie nie potrafi bez niego czuć się dobrze i żyć. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że panuje okropna cisza; brak było dźwięku żyjącego miasta.

Zacząłem biec w kierunku schodów prowadzących do stacji kolei. Kroki potężnie dudniły po bruku i odbijały się echem o ściany budynków. Słyszałem swój szybki oddech i bicie serca. Stacja była również zupełnie pusta. Szyny błyszczały ponuro w sodowym blasku lamp. Kasy biletowe były zamknięte, a automaty nieczynne. Nagle w oddali usłyszałem kroki. Ktoś w tunelu biegł w moim kierunku. Widziałem już zarysy postaci. Chciałem podbiec do tej osoby, ale potknąłem się o jakąś rurę wystającą z posadzki i upadłem jak długi.

W tym momencie usłyszałem wystrzał i świst kuli przelatujące i tuż nad moją głową. Ten ktoś do mnie strzelił. Bez namysłu, instynktownie wyciągnąłem pistolet i nawet nie mierząc wypaliłem. Postać zachwiała się i po kilku niepewnych krokach upadła na tory. Wstałem i powoli podszedłem do zwłok. Należały one do pięknej, młodej kobiety. Nigdy jej nie widziałem przedtem, a tym bardziej nie znałem. Dlaczego usiłowała mnie zabić?

Ponownie ogarnęła mnie samotność. Miałem nadzieję, że spotkam wreszcie kogoś i zapytam dlaczego wszędzie jest tak pusto. Ale, niestety, pierwszą spotkaną osobą zabiłem. Nie zawsze bowiem ten, na kogo

się oczekuje jest przyjacielem, może on okazać się wrogiem i w sytuacji zupełnie nieprawdopodobnej strzelić w plecy.

Przypadkowy upadek uratował mi życie. Nagle ostry, wysoki świst wypełnił stację. Odruchowo w ostatnim momencie zeskoczyłem z torów. Z tunelu niesłychanie szybko wyłoniła się kolej i miażdżąc zwłoki dziewczyny przejechała bez zatrzymania stację. Stałem na drżących nogach pod ścianą i przez moment nie byłem zdolny do żadnego działania, do podjęcia jakiejkolwiek decyzji. Po chwili ruszyłem do wyjścia. Chciałem jak najszybciej znaleźć się na wolnym powietrzu. Kilkoma skokami przesadziłem schody i wybiegłem na ulicę. W dalszym ciągu było zupełnie pusto.

Aż do zmęczenia biegłem po głównej arterii. Przed oczami przesuwały się tylko szybko uciekające latarnie. Chciałem jak najprędzej dotrzeć do biura, wydostać się z tej pustki. Gdzie mógł być w tej chwili Harley? Co oni mogli z nim zrobić? Gdy zabrakło mi tchu, zatrzymałem się. Serce waliło jak młot. Po twarzy strużkami spływał pot. Koszula przykleiła się do pleców. Ręką przetarłem czoło i rozejrzałem się uważnie wokół siebie. U wejścia jednego z budynków siedziały cztery osoby. Wydawało mi się, że śpią, ale gdy podszedłem bliżej okazało się, że mają poderżnięte gardła. Był to mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci. Wywarło to na mnie przerażające wrażenie. Chwyciły mnie mdłości i zwymiotowałem. Szybkim krokiem ruszyłem dalej - przed siebie.

Po jednej stronie ulicy wszystkie szyby w oknach do wysokości trzeciego piętra powybijane były kamieniami. Zamknąłem oczy, bo już dość miałem tej rzeczywistości. Ponownie zobaczyłem cztery trupy i zwłoki dziewczyny miażdżone przez kolej. Przebyłem dopiero mały kawałek drogi, a byłem już wyczerpany. W skroniach rytmicznie pulsowała krew. Za rogiem usłyszałem czyjeś kroki. Ostrożnie wyjrzałem zza budynku. Po chodniku biegł słaniając się na nogach jakiś mężczyzna. Podbiegłem do niego i chwyciłem za ramiona.

- Co tutaj się dzieje? Gdzie są ludzie? Czemu tak pusto? - chciałem wyciągnąć jakieś informacje od tego człowieka.

Spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem. Twarz miał mokrą od potu. Dyszał ciężko.

- Tam... - wskazał za siebie i zemdlał z wycieńczenia na moich rękach.

Ogarnął mnie wielki pośpiech. Nie miałem czasu dłużej się nim zajmować. Zaciągnąłem go pod budynek, usadowiłem pod murem i ruszyłem przed siebie. Przeszedłem jeszcze kawałek i usiadłem na krawężniku. Było tutaj znacznie ciemniej. W dalszym ciągu pusto, jednakże więcej okien było oświetlonych. Musiałem zacząć działać, nie mogłem bezsensownie siedzieć. Wstałem i poszedłem do budynku, gdzie siedem okien świeciło bladym światłem. Wszedłem do budynku i spróbowałem przywołać windę, ale była nieczynna. Po schodach dostałem się pod jakieś drzwi. Zadzwoiłem, ale nikt nie otworzył. Chwyciłem za kłamkę i nacisnąłem. Drzwi ustąpiły.

Wszedłem do długiego, ciemnego przedpokoju. Światło dochodziło zza przymkniętych drzwi. Niepewnie wszedłem do pokoju. Panował w nim straszny bałagan. Do fotela przywiązana była dziewczyna. Usta miała zakneblowane. Na mój widok nerwowo potrząsnęła głową. W szeroko otwartych oczach dostrzegłem przerażenie.

- Nie bój się, nic ci nie zrobię - powiedziałem do niej łagodnie. - Spróbuję cię rozwiązać, - czy masz jakiś nóż?

Kiwnęła głową i wskazała na szafkę, gdzie na talerzyku obok połowy jabłka leżał nóż. Wziąłem go i najpierw uwolniłem usta dziewczyny, potem rozciąłem gruby sznur krępujący jej ręce i nogi.

- Dziękuję - odezwała się masując obolałe kończyny. - Skąd się pan tutaj wziął?

- Nazywam się Robert, Robert Torrow - odpowiedziałem. - Przechodziłem tą pustą ulicą. Byłem zmęczony i wszedłem do pierwszego lepszego domu, do mieszkania, które było oświetlone. Chcę dowiedzieć się co się tutaj wydarzyło, dlaczego wszędzie tak pusto. Byłem przez pewien czas

nieprzytomny. Po odzyskaniu świadomości nie mogę zorientować się co się stało.

Usiadłem na drugim fotelu i spojrzałem dziewczynie w oczy.

- Nie wiem co się stało. Po przyjściu z pracy zastałam w moim domu czterech mężczyzn. Żądali ode mnie pieniędzy. Włamali się tu wcześniej i przetrząsnęli cały dom. Przeprowadziłam się tu niedawno, kupiłam nowe meble i nie mam w tej chwili żadnej większej sumy - mówiła uważnie mnie obserwując. - Nie chcieli wierzyć, bili mnie i mocno związali. Wyglądali na jakichś maniaków. Starali się wyciągnąć kosztowności, gdy ich nie znaleźli jeden z nich uderzył mnie tak mocno, że straciłam przytomność. Gdy się ocknąłem nikogo już nie było. Na ulicy panował nieopisany hałas. Wszyscy gdzieś pędzili. Coś wyło przeciągle. Nie mogłam się stąd ruszyć. Siedziałam tak związana, w strachu, aż do tej chwili. Mieszkam sama i gdyby nie pan, to nie wiem jak długo bym musiała czekać na uwolnienie. Ale na szczęście już po wszystkim. Muszę zawiadomić policję o włamaniu - powiedziawszy to podeszła do aparatu telefonicznego i zaczęła wykręcać numer.

- To nie ma sensu - odezwałem się. - Tam nikogo nie ma - tak jak na ulicach, na stacji i w ogóle wszędzie. Idę właśnie stamtąd.

Dziewczyna po chwili wsłuchiwania się w sygnał odłożyła słuchawkę. Podeszła do okna, odsunęła firanki i powiedziała zdziwiona:

- Rzeczywiście, jak przeraźliwie pusto! Cóż się mogło wydarzyć? Pamiętam ten hałas, to było jak ucieczka...

Siedziałem w fotelu i jak przez mgłę słyszałem jej słowa. Było tutaj tak ciepło, cicho i przytulnie, że coraz bardziej ogarniała mnie senność. Broniłem się przed zaśnięciem lecz to było ode mnie silniejsze. Zapomniałem o wszystkich wydarzeniach i zasnąłem.

4.

Mocne szarpnięcie za rękaw wyrwało mnie ze snu.

- Niech się pan obudzi! - wołała dziewczyna.

Była przestraszona i bardzo ładna. W pokoju było jasno. Jasność biła z ulicy. Szybko wstałem i podszedłem do okna. Na arterii stała w milczeniu duża grupa osób. Ustawieni byli w kolumnie, tak jak w przygotowaniu do marszu. Ponad nimi na wysokości dziesięciu metrów unosiła się duża kula, bardzo jasno świecąca. Mieniła się różnymi odcieniami czerwieni. Nagle z tłumu wyskoczyły trzy osoby, tak jakby chciały uciec. Jednakże w połowie drogi między domem a tłumem dosięgnął ich promień światła wysłany przez kulę. Sylwetki tych osób przybrały malinową barwę i rozplynęły się w powietrzu. Nie zostało z nich nic.

- Cóż to znaczy? Co to za kula? - spytałem zdziwiony i równie przestraszony, jak dziewczyna.

Nagle tłum ludzi ruszył w kierunku wskazanym przez kulę i wszystko zniknęło za zakrętem.

- Gdy pan usnął, poszłam przygotować coś do zjedzenia - mówiła dziewczyna niosąc na tacy kanapki.

- Proszę niech pan je, jest pan na pewno głodny.

Postawiła tacę na stoliku, przyniosła dwie herbaty i postłodziła je. Wziąłem kanapkę, podziękowałem i zjadłem z apetytem. Była bardzo smaczna. Dziewczyna w czasie mojego snu zmieniła sukienkę, włosy upięła z tyłu głowy. Ukazała się teraz zupełnie inna twarz. Była naprawdę ładna. Delikatny makijaż wyśmienicie podkreślał jej urodę.

Zauważyła, że się jej przyglądam, uśmiechnęła się i dalej opowiadała:

- Następnie wzięłam prysznic. Po kąpieli usłyszałam na ulicy miarowe kroki. To szli ci ludzie prowadzeni przez kulę. Często z kuli wypływał jasny strumień światła i ludzie rozplywali się w powietrzu. Wyglądało to na egzekucję. Tak mnie to przeraziło, że pana obudziłam.

Stała przede mną i uważnie mi się przyglądała.

- Pan chyba teraz nie pójdzie! - wyczułem w jej głosie prośbę. - To niebezpieczne teraz wychodzić. Nie wiadomo co się dzieje. Lepiej poczekać do rana. Bałabym się zostać tutaj zupełnie sama. Nikogo w sąsiedztwie nie ma. Proszę, niech pan zostanie, Robercie...

- Muszę zatelefonować do domu - odezwałem się po chwili.

Podszedłem do telefonu i wykręciłem numer mojego mieszkania. Nikt nie podnosił słuchawki. Anna na pewno znowu pojechała do siostry. Zadzwoiłem jeszcze do Harleya, ale jego też nie było.

- Jeśli pani pozwoli, to zostanę. Ale jeszcze nie znam pani imienia - usiadłem ponownie na fotelu.

- Och przepraszam - odezwała się i usiadła obok mnie. - Nazywam się Joanna, ale wszyscy mówią do mnie Anna.

- Moja żona również na imię ma Anna.

- Czy długo jesteś żonaty? Przestańmy mówić sobie pan i pani. Czy masz dzieci? Opowiedz mi coś o sobie - domagała się Joanna.

- Jestem żonaty od pięciu lat, ale dzieci jeszcze nie mamy. W domu jest pusto. Chyba też dlatego tak często wybuchają między nami kłótnie. Nie ma po prostu tego ogniwa, które by nas łączyło. Pracuję od dziesięciu lat w Instytucie Inżynierii Medycznej. - Jeszcze raz przyjrzałem się Joannie. Była bardzo ładna. Nieco podobna do Anny, ale znacznie od niej młodsza. Miała chyba około dwudziestu lat. Wydawało mi



się że widzę Annę sprzed dziesięciu lat.

Poczułem, że jej ręka zbliża się do mojej. Bezwiednie nakryłem ją dłonią. Była miękka i bardzo delikatna. Zapomniałem w tym momencie o Annie, Harleyu, Royu, o pustce i o wszystkim.

- Mieszkam sama, bo niedawno po otrzymaniu pracy wprowadziłam się tutaj - celowo jeszcze raz to podkreśliła i odwróciła się do mnie bokiem.

- Chcesz, zrobię ci drinka? - wstała, podeszła do barku, wyciągnęła dwa kieliszki i wlała w nie alkohol. Wróciła do mnie, usiadła na poręczu fotela i podała napój. Oparła mi się na ramieniu i spytała:

- Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- To takie banalne.

Czułem, że ogarnia mnie wielka żądza, pragnienie tej kobiety wypełniło wszystkie moje uczucia. Powiedziałem łagodnie do Joanny:

- Czasami stawiam sobie inne pytania: potrzeba miłości, jej sens, znaczenie w życiu, a także miejsce w codzienności. Niestety te pytania pozostają bez odpowiedzi...

- Bo widzisz... - równie cicho rzekła Joanna. Przytuliła się do mnie, poczułem na twarzy musnięcie jej warg. Znalazła się w mych ramionach. Szepnęła mi jeszcze do ucha:

- To właśnie miłość jest tą jedyną odpowiedzią.

Oddaliśmy się szałowi miłości. Potrzeba biologicznej reprodukcji, ten największy zwierzęcy instynkt ogarnął nas całkowicie.

- Kocham cię, kocham - szeptała gorącymi ustami. - Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham Annę, moją żonę, a ciebie pożadam. Jesteś młoda, piękna. To normalne między mężczyzną a kobietą. Miłość to bardzo złożone uczucie. Ale wiesz Joanno, chyba jednak ciebie również kocham. Jesteś mi teraz bardzo bliska, a znam cię przecież od paru godzin - mówiłem delikatnie pieszcząc jej włosy.

Odwróciła się do mnie i odezwała się:

- Właściwie Robercie nie kochasz ani Anny, ani mnie. W jej postać włożyłeś swój własny ideał kobiety. Nie kochasz jej, tylko swój ideał. Jeżeli zamienisz Annę jako powłokę na inną kobietę, nawet mniej znaną lub zupełnie obcą, to będzie ona dla ciebie tą właśnie wymarzoną osobą. Tak, jeśli Anna zestarzeje się, to wystarczy wymienić ją na inny model, czy egzemplarz. Wygląda to jak przekładanie swojego drogocennego klejnotu z jednego pudełka w drugie. Osobiste cechy kobiety odgrywają drugoplanową rolę, tak jak kształt i kolor pudełka.

- Do czego zmierzasz? - Czy chcesz powiedzieć, że miłość nie znaczy nic? - spytałem cicho.

- Nie Robercie, ale miłość jest dla mnie równoznaczna z pożądaniem. Dzisiaj mogę powiedzieć, że cię kocham, ale jutro mogę zakochać się w twoim przyjacielu. Im więcej miłości, tym bardziej odrywam się od rzeczywistości, szybuję w wyobraźni wokół ideału kochanka, którego wkładam w osobę mojego tymczasowego partnera.

Słowa te brzmiały w ustach Joanny jakoś dziwnie przekonująco, jak filozofia dziwki tworzona na poczekaniu i rozwijana w czasie stresu. Dla mnie miłość była jakąś solidną podstawą, cokołem, na którym wznosiło się całe życie misternie budowane dzień po dniu. Nie miałem ochoty wdawać się z Joanną w dyskusje. Zostawiłem ją w niezachwianym przekonaniu o słuszności jej poglądów. Była jeszcze młoda i dużo o życiu nie wiedziała. Jednakże było mi u niej bardzo dobrze. Nie myślałem o minionych faktach.

Joanna przesunęła ręką po mych włosach:

- Śpij kochany, jutro czeka nas ciężki dzień.

- Wolę nie myśleć o jutrze - odezwałem się po chwili zagłuszając myśli o rozróbie w barze i innych wydarzeniach.

Powoli zapadałem w głęboki sen.

5.

Obudziłem się dosyć późno. W pokoju nie było nikogo. Joanna chyba wyszła już do pracy. Dlaczego mnie nie obudziła? Która może być godzina? Wstałem z łóżka, podszedłem do stolika i spojrzałem na mój zegarek. Była dziesiąta. Obok leżała kartka następującej treści:

„Wróć wieczorem. Jeśli zechcesz, możesz znów przyjść. Drzwi zatrzaśnij. - Joanna.”

Zgniotłem ją nerwowo. Muszę natychmiast iść do instytutu. Szybko ubrałem się i wyszedłem z mieszkania zatrzaszkując drzwi. Na klatce schodowej było pusto, z dołu usłyszałem donośny głos:

- Rozbicie na kwanty, długie cierpienie, rozbicie na cierpienie, potężna energia. O kulo, rozbicie...

Na schodach, przed wyjściem siedział człowiek. Wyglądał na żebraka. Był brudny, nie ogolony. Wznosił trzęsące się ręce w górę i ekstatycznie dalej wołał:

- Święta, potężna, ja sługa twój odpowiadam za trwanie w długich cierpieniach. Szczęśliwi, którzy w cierpieniach podążają za twym światłem.

Zobaczył mnie, zatrzymał i rękami pokazując na ulicę powiedział:

- Oto wypełnia się, doskonałość kształtu wybiera tych, którzy rozbudują jej moc. Słuchaj proroka człowieku, zasil szeregi wybranych, wstąp do przybytku chwały, idź za jej światłem.

- Przepraszam pana, ale spieszę się - odpowiedziałem i oswobodziłem się od jego uścisku. - Proszę zając się sobą i swoim zbawieniem.

Wyszedłem na ulicę. Ludzi na ulicach było niewiele, kilka samochodów jechało po pustej arterii. Od nikogo nie mogłem dowiedzieć się, co się właściwie wydarzyło. Przechodnie byli jakby na wpół obłąkani. Przy końcu skrzyżowania grupowała się dość duża liczba osób. Zbliżyłem się do tłumu. Starałem precyzyjnie się do samego centrum zamieszania. Nikt z ludzi nic nie mówił. Nabożnie i cicho stali w miejscu. Nagle zauważyłem, że na podwyższeniu ktoś leży związany. Gdy zbliżyłem się, poznałem tę osobę, była to Anna, moja żona.

Wystraszona rozglądała się wkoło. Gdy dostrzegła mnie w tłumie, spróbowała podnieść się, ale sznury, które ją opasywały nie pozwoliły na żaden ruch. Próbowwała chyba coś krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego głosu.

Rzuciłem się w jej kierunku wołając:

- Anno co tu robisz? Co się dzieje?

Kilka par rąk chwyciło mnie i mocno trzymało w miejscu. Nie mogłem w żaden sposób wyrwać się i zbliżyć do Anny. Nagle podszedł do niej jakiś mężczyzna ubrany w kapłańskie szaty. Wtedy tłum zaintonował pieśń. Tysiące męskich i żeńskich głosów po prostu zaryczało wokół mnie. Kapłan odwrócił się do swego ludu. Poznałem go. Był to Roy. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się szyderczo. Spróbowałem ponownie wyrwać się z objęć, ale niestety bez powodzenia.

Roy wznosił ręce do góry. Tłum zamilkł. Wtedy odezwał się podniesionym głosem wzmocnionym przez urządzenia nagłaśniające:

- Oto ludu mój trzymasz w rękach owoc jej grzechu. Wprowadźcie go do Świętej Radości.

Obok ołtarza pojawiła się klatka. Ręce porwały mnie i w ekstatycznym uniesieniu wprowadziły do niej. Znajdowałem się w odległości jakichś czterech metrów od Anny. Próbowiałem odgiąć kraty, ale były bardzo solidne. Z wściekłością złapałem za pręty i krzyknąłem:

- Czego chcecie ode mnie?! Puśćcie mnie i moją żonę!

Roy ponownie zwrócił się do tłumu:

- I oto mamy na ołtarzu dwie połowy grzechu, jak dwie brudne półkule. Musi być spełniona ofiara.

Prośmy Świętą, Jasną o przebłaganie za ich czyny.

Tłum odmówił jakąś modlitwę. Roy zwrócił się ciszej do mnie:

- Co, nie mówiłem? Jednak stało się. Twoja podświadomość generuje nową rzeczywistość.

Wszystkie twoje wyobrażenia, pragnienia i marzenia materializują się i tworzą twoje nowe otoczenie.

Jesteś już zupełnie bezsilny. Nie wiem, czy opłaca się ci jakakolwiek walka. Lepiej poddaj się i pozwól

na zwielokrotnianie się światów, które potrzebują twojej świadomości. Żerowanie na umyśle jest chyba lepsze od szaleństwa.

- Nigdy - syknąłem przez zęby. - Do końca walczyć będę o niezależność umysłu. A wierzę, że i ciebie w końcu pokonam.

Na te słowa Roy ponownie jako kapłan zwrócił się do tłumu:

- Niech będą nam odpuszczone zaćmienia i myśli o długich snach. O Świętą Jasności przyjmij tę skromną ofiarę.

Po tej prośbie ołtarz otoczyła gęsta mgła. Mieniła się ona różnymi odcieniami. Lud ponownie

zaintonował dziękczynną pieśń. Po pewnym czasie dymna kula uniosła się i zginęła w obłokach. Anny na

ołtarzu nie było. Sznurki, które ją krępowały bezładnie zwisając wahały się monotonicznie. Ciągle myślałem

o Annie.

Nagle przyskoczyło do klatki pięciu łysych mężczyzn ubranych w białe komże. Otworzyli ją i

brutalnie mnie z niej wyciągnęli. Nie zwracając uwagi na moje protesty przywiązali do ołtarza. Sznur

niemiłosiernie przygniatał mnie do blatu wrzynając się w ciało. Roy znów coś mówił o połączeniu się

dwóch części grzechu, coś wzywał. Wokół mnie poczęły tworzyć się kłęby dymu. Nic nie widziałem.

Słyszałem tylko pieśń śpiewaną przez lud. W pewnym momencie sznury puściły, a pieśń słyszałem coraz

dalej i dalej. Aż w końcu zapanowała zupełna cisza. Wiedziałem, że unoszę się jak Anna w przestrzeni.

Nie wiedziałem, czy długo znajdowałem się w tym stanie. Mogło to równie dobrze trwać cztery godziny

jak i dziesięć minut.

Odczuwałem dziwną lekkość i spokój ducha. Wcale się nie bałem. Było mi całkiem dobrze. Chciałem

trwać w tym stanie ciągle. Wszystkie troski znikły. Opadłem na miękkie podłoże. Po chwili okazało się,

że leżę wewnątrz obszernej pustej komnaty na białym, miękkim posłaniu. Sufit, podłoga i ściany świeciły

słabym, przyjemnym, białym światłem. Wstałem i podeszedłem do drzwi. Kroki me dźwięcznie brzmiały

na szklanej posadzce. Otworzyłem je i wszedłem do identycznego pomieszczenia. Przeszedłem wzdłuż

pokoju i otworzyłem następne drzwi. Znów znalazłem się w identycznej komnacie. Biegłem, chciałem jak

najszybciej wydostać się z tych pokoi. Przebyłem piętnaście, czy szesnaście podobnych pomieszczeń i

znalazłem się w bardzo rozległej i zupełnie innej od poprzednich, komnacie. Sklepienie mieniło się

różnobarwnym światłem, pośrodku znajdował się długi stół. Otaczały go głębokie krzesła. Kilkanaście

drzwi zajmowało przeciwległą ścianę. Zatrzymałem się i dysząc usiadłem na pierwszym z brzegu krześle.

Oparłem głowę na rękach i patrzyłem nieprzytomnie na szklaną posadzkę.

Nagle jedne z drzwi otwarły się i do pokoju weszła osoba niosąca w rękach tacę. Postać była

wysmukła, ubrana w białą, długą szatę. Na ramiona spadały jej jasne włosy. Gdy zbliżyła się do mnie

stwierdziłem, że jest to młody mężczyzna. Spojrzał na mnie swymi błękitnymi oczyma i powiedział:

- Jesteś głodny Robercie. Przygotowaliśmy dla ciebie mały posiłek. Zjedz i odpocznij.

- Kim jesteś? - spytałem niezbyt dobrze rozumiejąc moją dziwną sytuację. - Gdzie się znajduję?

- Dowiesz się w odpowiednim czasie. Nazywam się Auron. Proszę to zjeść - powiedział z naciskiem.

Za chwilę pójdziemy do sali Kwantor przed oblicze Jasnej.

Bezwiednie zjadłem potrawę nie mającą żadnego smaku i od razu poczułem się bardziej szczęśliwy. Auron zabrał tacę i ruszył do drzwi. Za jego nakazem poszedłem za nim. Weszliśmy do sali tłumnie wypełnionej podobnymi postaciami. Wszyscy nucili monstrualną modlitwę. Wyrażały się w niej podziw, strach i nadzieja.

Auron powiedział:

- Oto jesteś w sali Kwantor. Zachowaj się godnie.

Zbliżyliśmy się do piedestału spowitego powoli przierzędzającą się mgłą. Na cokole spoczywała duża kula. Nagle zmieniła się ona w starą kobietę, która zeszła z piedestału i siadła na dużym bogato zdobionym tronie.

- Ukłoń się - szepnął mi do ucha Auron.

Skłoniłem się i na znak dany przez kobietę podszedłem do tronu.

- Witaj Robercie w moim wiecznym królestwie. Kwantrozja przyjmuje cię godnie, jako ofiarę sekty religijnej złożonej z mych dzieci.

- Witaj pani - odpowiedziałem i odruchowo skłoniłem się ponownie. - Gdzie się w tej chwili znajduję? Co to jest Kwantrozja?

- Jam jest Jasna. - rzekła dobitnie. - Doskonałość doskonałości. Kształtem kula, mocą niezmierną. Znajdujesz się w tej chwili w siódmym wymiarze - Abstrakcji. Kwantrozja jest owocem wiary czterdziestu trzech tysięcy ludzi na Ziemi, wiary we mnie: Jasną Potężną Kulę.

- Czyli jestem w wyobrażeniach tysięcy wiernych, w ich niebie - mówiłem do siebie.

- Tak Robercie - Jasna podchwyciła moje myśli. - To niebo to właśnie Kwantrozja. Czy nie czujesz się szczęśliwy mogąc ze mną obcować? Jesteś niematerialnie materialny w Abstrakcji, w wymiarze, na który składa się wiele ideałów i kultur w historii religii. Każdy wytwór różnorodnych wierzeń znajduje tutaj swoje odbicie. Kwantrozja jako jeden z wielu modeli szczęścia wiecznego buduje Abstrakt.

- Czy to ty pani pokazałaś się w Middle Town i uśmierciłaś, tysiące ludzi?

- Tak to ja pojawiłam się w Middle Town. To było po prostu objawienie. A że uśmierciłam, no cóż, to była ofiara. A ja potrzebuję ofiar, ludzie powinni się czegoś bać.

Wokół nas zaczęły przesuwać się istoty i pozdrawiać Jasną. Śpiewały wspólnie chwalebne pieśni. Jasna przerwała rozmowę. Podniosła rękę w górę i mgłą powlekła swoje anioły. Po chwili znów zwróciła się do mnie:

- Zobacz jakże oni są szczęśliwi mogąc ze mną obcować. Czy chcesz jako ofiara wiernych stać się jednym z nich?

Możliwe, że im tutaj dobrze, ale ja nie mógłbym zostać tutaj na wieki, nawet za cenę nieśmiertelności. Chodzenie w kółko i śpiewanie pieśni wydało mi się niesłychanie nudne i monotonne. Wolę normalne ziemskie życie, które jednak mimo wszystko się zmienia. Każdy następny dzień nie jest pewny, nie wiadomo co przyniesie.

Na Ziemi raczej w nic nie wierzyłem, życie pojmowałem po prostu materialnie. Rozmyślałem o bogach, czy Bogu, o życiu pośmiertnym, ale jakoś w to nie wierzyłem. Tutaj całe to wieczne szczęście wydało mi się czymś bezsensownym. Ideał, Jasna, która potrzebuje aniołów, sług oddających ciągle jej chwałę, nie jest ideałem. Traci w pewnym stopniu swoją moc i potęgę. Osoba potrzebująca dowodów umiłowania i żądająca bezgranicznego uwielbienia jest zarazem despotyczna i pusta. Masy wiernych musiały reprezentować ograniczony, schematyczny sposób myślenia skoro właśnie w taki sposób wyobrażały sobie i apoteozowały szczęście trwające wieki.

Może jednak odbieram Kwantrozję bardzo subiektywnie i nie dostrzegam ekstatycznego szczęścia aniołów. Nie umarłem jeszcze chyba zupełnie. Zwróciłem się po tych rozważaniach do Jasnej:

- Będę musiał się nad tym zastanowić. Jestem bardzo przywiązany do Middle Town...

- Tak wiem, w nic nie wierzysz, tak po prostu sobie wyobrażasz. Kwantrozja nie odpowiada ci. Wymyśl więc sobie własny model szczęścia, ideału. Nie bój się, myśli twoje nie stanowią dla mnie żadnej tajemnicy. Znam twoje rozważania. Dla siebie, aniołów i wiernych jestem Ideałem, Jasną, Świecącą. Kwantrozja istnieje dzięki ich wierze. Ty znalazłeś się jako ofiara i dlatego jesteś godnie traktowany i możesz rozmawiać ze mną. Przyjmuje się każdą ofiarę, darów się nie wyrzuca. Skoro nie chcesz zostać aniołem, to bądź przez jakiś czas moim gościem.

- Dobrze, zgadzam się. Jeszcze chciałbym wiedzieć jedno: skoro każda ofiara jest przyjmowana, to gdzie w tej chwili znajduje się Anna?

- Nie ma jej tutaj. W czasie, gdy ołtarz ogarnął dym, Roy rozwiązał ją i umieścił pod ołtarzem w ukrytym pomieszczeniu. Anna była, że tak się wyrażę pułapką, która miała cię przyprowadzić w miejsce ich religijnego kultu.

- Jak to? - spytałem zdumiony. - W jaki sposób zgodziła się, nie stawiała żadnego oporu? Przecież się bała i chciała uwolnić, sam to widziałem!

- Najmniejszego, znała Roya już dosyć długo i dobrze.

A że się bała i nie stawiała żadnego oporu, no cóż - to była tylko gra, kobieta potrafi to bardzo dobrze i w każdej sytuacji. Roy był właśnie tą siostrą, do której tak często chodziła i uciekała Anna. Nie myśl, że ty pierwszy ją zdradziłeś. Ona robiła to częściej i od dłuższego już czasu.

Słowa te wyprowadziły mnie z równowagi. Powiedziałem przez zęby:

- Zabiję go! Jak Anna mogła?! Nie, to bzdura! Skąd o tym wiesz?

- Po pierwsze jestem Jasna i tak należy mnie tytułować. Po drugie jestem wszechwiedna i czytam w myślach mych wiernych. Roy jako najwyższy kapłan najczęściej może obcować z Abstraktem i Kwantrozją. Zrodził on się z myśli i przyjął materialne ciało, aby znów mógł połączyć się w Abstrakcie.

- W jaki sposób zrodził się z myśli? - zapytałem zdezorientowany. - Przecież ja go wymyśliłem we śnie, sam mi o tym mówił.

Jasna odpowiedziała już nieco znużona;

- A czym jest twój umysł? Tylko małą częścią Abstraktu, jego właśnie owocem jest Roy. Nie chce mi się już dalej rozmawiać z tobą. Muszę trochę potrwać w kulistej postaci. Auron zaprowadzi cię do twojej komnaty. Jak będziesz coś potrzebował przyjdź do mnie za godzinę.

- Jak za godzinę? Przecież tu jest wieczność i czasu nie ma.

- Dla jednych nie ma, dla drugich jest. Ty jesteś jeszcze żywym człowiekiem i dla ciebie czas wszędzie istnieje. Ja jako istota doskonała panuję nad czasem i istnieję ponad nim. Mogę również działać w czasie - to powiedziawszy Jasna przybrała postać kuli i spoczęła na cokole we mgle.

Aniołowie w dalszym ciągu powoli maszerowali wokół podium. Ręce wznosili w górę i wspólnie jednym potężnym głosem nucili pieśni dziękczynne. Na twarzach ich widziałem grymas zadowolenia. Oczy mieli zamglone, nic nie dostrzegające. Postacie wyłaniały się z jednego rogu sali, okrążały Jasną i znikwały w drugim końcu. Były do siebie bardzo podobne: identyczne szaty, włosy, twarze; różniły się jednakże czymś wewnętrznym. Wyczuwałem tę różnicę wyraźnie, bowiem ona potężnie emanowała z tych aniołów. Nie porozumiewali się ze sobą, byli bezgranicznie zaabsorbowani kultem.

Auron położył mi na ramieniu rękę i milcząco nakazał, abym szedł za nim. Wyszliśmy z sali Kwantron bocznym wyjściem. Przez główne wrota wchodzili aniołowie i wypełniali ją.

- Będą tam zaraz odbywać się jakieś ekstatyczne orgie - pomyślałem.

Przeszliśmy przez kilka komnat białych i lśniących. Potem wyszliśmy z tego pałacu o nieskończonej liczbie pokoi i mieszkań. Przez długi korytarz, który swym ponurym kształtem i wyglądem przypominał mi zwykły górniczy tunel dostaliśmy się do ciężkich obitych drzwi.

Auron otworzył je i powiedział:

- Tutaj odpocznij, a najlepiej prześpij się. Za jakiś czas przyjdę do ciebie.

Wszedłem do pomieszczenia, które w porównaniu z białymi salami wydało mi się malutkie i ciasne, jednak bardzo przytulne. Ściany świeciły pomarańczowym światłem. Na niewielkiej powierzchni mieścił się tylko stolik, dwa krzesła, tapczanik, szafka z książkami i umywalka z dużym lustrem, które mocno zniekształcało moją postać. Wygląd tego pomieszczenia skojarzył mi się z małym pokoikiem w podrzędnym hotelu. Usiadłem na krześle i chciałem coś niecoś dowiedzieć się od Auro - na. On szybko wyszedł i nim zdążyłem się zorientować zamykał już drzwi. Zerwałem się z krzesła i złapałem go jeszcze za rękaw szaty.

- Zaczekaj - powiedziałem - wejdź i usiądź na chwilę, chciałbym z tobą porozmawiać.

Bez słowa zawrócił, zamknął drzwi i ciężko usiadł na krześle. Zastanawiałem się od czego zacząć. Różne myśli plątały mi się po głowie. Co chwilę paraliżowała mnie ta o Annie, o jej zdradzie i znowie z Royem. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie Auron spojrzał badawczo i odezwał się:

- No słucham cię, co masz mi do powiedzenia?

- Dlaczego ty nie oddajesz jej hołdu jak inni aniołowie? - rozpocząłem niepewnie. - W czasie rozmowy wszyscy śpiewali w ekstazie dziękczynne pieśni, a ty stałeś posępny obok nas i nie angażowałeś się w nic. Czy nie odczuwasz szczęścia mogąc obcować z Jasną?

Auron zmarszczył brwi, nerwowo bębnił palcami po stole i po zastanowieniu się powiedział:

- Ja pełnię w Kwantrozji zupełnie inne funkcje; mam pewne uprzywilejowane stanowisko. Hm, jakby ci tu powiedzieć, wykonuję wszystkie jej polecenia i dbam o ład i porządek w czasie orgii. Jestem, można powiedzieć, jedną z rąk Jasnej. Nie mam czasu zajmować się trawieniem szczęścia - dziwnie to zabrzmiało w ustach istoty wiecznej. - Czuję, że oddaję jej cześć najlepiej z nich wszystkich, mogąc tak właśnie służyć i pracować.

- Pracować? - zapytałem zdziwiony. - Po co musisz wykonywać te wszystkie czynności? Jasna jest przecież wszechmogąca, doskonała i jednym tchnieniem, pragnieniem może utrzymywać porządek, dokonywać zmian i zajmować się wszystkim.

- Tak, może, jest wszechmogąca, ale wcale to nie znaczy, że musi się zajmować. Może jej się nie chceć.

- Jest po prostu leniwa - powiedziałem to, co przyszło mi pierwsze na myśl po jego słowach.

- Cicho! Nie możesz tak mówić! Dobrze, że ona teraz tego nie słyszy, bo trwa w postaci kulistej.

Moje stwierdzenie przestraszyło go. Twarz mu się wydłużyła w jakimś dziwnym grymasie.

- Czy jesteś na Ziemi szczęśliwy? - spytał trochę nieśmiało.

- Dlaczego pytasz? Przecież tu panuje wieczne szczęście. Aniołowie mogą z nim obcować. A na Ziemi niestety szczęściem są ulotne chwile, radości, zadowolenia z życia. Trudno nim się całkowicie nakarmić. Istnieje ciągła pogoń za nim. Ale tu to zupełnie co innego.

- Nie, Robercie - przerwał mi Auron - oni nie zdają sobie sprawy z tego szczęścia, które daje im Jasna. Chodzą z nim, ciągle obcuja i staje się ono ich jedynym narkotykiem, który niestety coraz bardziej i bardziej powszednieje. Ja staram się zachowywać trzeźwy sposób myślenia. Jestem bezgranicznie oddany Jasnej, ale nie poddaję się nastrojowi tłumu aniołów. Jestem bardzo skrepowany miłością do Jasnej i kocham tę słodką niewolę. Wiem, że to, co robię, robię dobrze.

Przerwał w tym momencie i zamyślił się ponownie. Ręką przygładził swoje długie, jasne włosy.

- Czy to prawda, że Anna zdradzała mnie z Royem? - zapytałem skonsternowany.

- Skoro tak mówiła Jasna, to prawda. Ona zawsze mówi prawdę i wie wszystko - wyprostował się nagle i przez moment nasłuchiwał. - Muszę już iść. Jasna mnie wzywa. Wrócę tutaj wkrótce i wtedy jeszcze porozmawiamy. Zrozumiesz być może cel swojego przybycia.

Wstał z krzesła i sprężystym krokiem wyszedł z pokoju. W drzwiach uśmiechnął się jeszcze jakoś

niezdarnie. Chrobot w zamku wypełnił ciszę pokoju. Podbiegłem do drzwi i nacisnąłem klamkę. Nie puściły. Auron zamknął mnie tutaj. Ale dlaczego? Z wściekłością uderzyłem pięściami. Głuche dudnienie wypełniło tunel.

- Otwórz Auron, otwórz. Chciałem abyśmy zostali przyjaciółmi - krzychałem na całe gardło. - Dlaczego tak ślepo jesteś posłuszny Jasnej?!

Przez moment nasłuchiwałem z głową przy dziurce od klucza. Ciszę wypełniały monotonne, coraz dalsze i dalsze kroki Aurona. Jeszcze raz mocno zawołałem:

- Wypuście mnie stąd, nie chcę tego waszego wiecznego szczęścia! Pozwólcie mi wrócić na Ziemię! Zawołanie moje pozostało bez odpowiedzi. Zrezygnowany rzuciłem się na tapczanik. Ze złością biłem pięściami w małe poduszki. Dlaczego on mnie tu zamknął? Czułem do niego nawet dużą sympatię, mimo tak krótkiej znajomości. Wydało mi się, że zostałem zdradzony.

Położyłem się na wznak i postanowiłem się opanować i przemyśleć moje położenie. Jednak żadne przypuszczenia i możliwości działania nie zadowalały mnie. W Kwantrozji wszystko jest możliwe, logika tutaj się gubi. Cóż mi pozostaje? Tylko czekać. A czekanie czasami jest najgorszą formą działalności. Wstałem z tapczanu i podszedłem do umywalki. Ciepłą wodą obmyłem ręce i twarz. Przyjrzałem się sobie w lusterku. Wydłużona głowa, bardzo szeroka i krótka szyja. Oczy szeroko rozstawione po obu stronach czaszki i długi, krzywy nos. Odbicie było podobne tak do rzeczywistości, w której teraz znajdowałem się, że wybuchnąłem głośnym, nerwowym śmiechem. W lusterku błysnęły krzywe, długie zęby.

Odwróciłem się na pięcie jak mały chłopiec i sięgnąłem po pierwszą książkę z półki. Była oprawiona solidnym materiałem. Jej tytuł brzmiał: „Wieczność a adoracja Jasnej - Eseje”. Była to praca zbiorowa. Przerzucałem kartki. Treść banalna i ujęta w specyficzny, naukowy styl. Nie zaciekała mnie ona, więc odłożyłem ją na półkę. Następny tytuł brzmiał: „Po - | tęga twórcza. Przemysłowe wytwarzanie bioplazmy”. Zaciekała mnie w tej książce jeden rozdział poświęcony możliwościom twórczym i produkcyjnym Jasnej. Chciałem dokładnie zapoznać się z jego treścią. Usiadłem na tapczanie i rozpocząłem lekturę. Nie przeczytałem jeszcze dwóch kartek, gdy poczułem zimny powiew, od którego zmarzły mi nogi. Musiał być tutaj szyb wentylacyjny. Odstawiłem książkę i zajrzałem pod tapczan. Rzeczywiście, na ścianie, tuż przy podłodze: umieszczona była duża krata.

Wielkość jej była wystarczająca, abym mógł się przecisnąć. Była to jedyna droga ucieczki z tej przytulnej celi. Ze zdwojoną siłą i energią odsunąłem kanapę, przykucnąłem i zacząłem manipulować przy kracie. Próbowałem ją odgiąć, niestety na próżno. Zdołałem uzyskać tylko niewielką szczelinę. Z góry widać określono cel pokoiku. Dość wytworne więzienie, bo w niebie. Mnie to jednak nie odpowiada. Wyprostowałem się i zamyśliłem. Po chwili miałem już pewien plan.

Wyłamałem z krzesła nogę. Było to solidne dębowe drewno. Wsadziłem nogę w szczelinę i spróbowałem w ten sposób wyważyć kratę. Z całej siły nacisnąłem i po kilku zgrzytach krata z trzaskiem wypadła na podłogę. Odstawiłem ją na bok i zajrzałem do szybu. Daleko w czerni jaśniał mały punkcik. Bez namysłu wsunąłem się przez otwór. Wiedziałem, że muszę się spieszyć, bo Auron lada chwila mógł nadejść.

Szyb był gładki i śliski. Powoli czołgałem się w kierunku światła. Ciężka to była droga, jak w koszarze. Chciałem jak najszybciej się stąd wydostać. Długo brnąłem do końca. Wreszcie wymęczony i mokry od potu chwyciłem rękami za brzeg otworu. Ostatkiem sił wygramoliłem się na zewnątrz. Znalazłem się na rozległej, betonowej płycie, zupełnie gładkiej i pustej.

Stojąc na drżących nogach rozglądałem się wokół siebie. Czarne, ugwieżdżone niebo stykało się w dali z lustrzaną powierzchnią tafli. Hen, pod samym horyzontem zobaczyłem zarysy jakiejś budowli. Z trudem oddychałem, powietrze było rozrzedzone. Wyraźnie widziałem mnóstwo gwiazd układających się



w nieznane konstelacje. Przetarłem ręką oczy i ruszyłem w kierunku budowli. Betonowa powierzchnia przypominała ogromne lotnisko lub kosmodrom.

Każdy krok rozdzierał panującą wokół ciszę. Szedłem już dość długo i nogi porządnie mnie bolały. Do budowli pozostawał jeszcze ciągle spory kawałek drogi. Nie było sensu zatrzymać się na tym pustkowiu, przystanąłem więc na chwilę, zebrałem wszystkie siły i ruszyłem ponownie. Po jakimś czasie nie szedłem już, lecz wlokłem nogi za sobą. W jakim celu tak idę? Ze zmęczenia myśli kłębiły się w głowie, ukazywały się obrazy z różnych stron, do góry nogami. Słyszałem słowa mówione wstecz, moje słowa, które dudniły w piersiach jak głęboka pustynna studnia. Kroki jak rok długie i jak rok krótkie skracały odległość powoli, lecz ciągle i równomiernie. Płaszczyzna jak intruz wpatrywała się we mnie moimi oczami, zaglądała w głębi, w duszę i szukała tam czegoś. To ona zrobiła ten bałagan w systemie kojarzenia. Domy załamane w perspektywie coś do mnie krzyczały, lecz ja byłem głuchy ciszą przerywaną krokami i sapaniem. Świst wydobywającego się powietrza, jak wąż okręcał się wokół mego ciała i krępował ruchy, które były coraz mniej płynne; oświetlane stroboskopem błędziły i tańczyły - w miejscu. W zaschłym gardle coś chrobotało lub piszczalo.

- Czy to moje „jestem”? - pytanie jak maź wysączyło się z krtani. - Chyba nie, to „jestem” jest gdzieś w głębi, w brzuchu albo w głowie.

Jestem teraz tak absolutnie sam w mym metafizycznym „ja”. Dotknąłem ręką skroni. Dudniąca krew rozsadzała żyły i pogłębiała grymas zmęczenia. Usta rozchylone, nabrzmiące, wyschłe i spękane jak ziemia podczas suszy łapały chciwie rzadkie powietrze.

- Czy oddycham przez sitko? A może tylko szczerzę zęby?

Kroki, kroki, kroki... Już niedaleko. Pełznąłem jak robak w gęstej cieczy, uciekający przed śmiercią. Nie, to nie są białe rękawiczki, to puste oczodoły chorej wyobraźni. Jaka kwaśna ta rzeczywistość, jak zielona cytryna koloru cytrynowego.

- Czy to kroki, kroki, kroki...? Nie to słowa, słowa, słowa... i myśli, myśli, myśli... Już blisko, już dotykam muru oczyma. Jeszcze kawałek, kilka ruchów nogami. O, już czuję chłód ściany - wypowiedziałem z zadowoleniem głosem bez słów i oparłem się o ścianę.

Czułem, jak mur głaszcze mnie po plecach. Zsuwałem się na beton, bo nogi z waty nie mogły utrzymać ciała, w którym wszystkie mięśnie drgały ze zmęczenia. Ciężkie powieki, jak metalowy szlaban opadły na oczy. Coś we mnie grało i śpiewało. Ujrzałem domy, ulice i biurowiec, jadłodajnię, grządki na których rosły gwoździe, park pełen ludzi, Harleya, Annę, Joannę i siebie siedzącego na wodzie w sadzawce. Usta i oczy miałem zaklejone plastrem, z uszu wystawała wata i wiła się po mętnej, zielonej wodzie falując i pluskając jak ryba. Moja równowaga była nietrwała, mogłem natychmiast opaść na dno lub unieść się w powietrze i pofrunąć jak motyl na kwiaty, przyjrzałem się sobie uważnie. Głowę miałem pękniętą. Wyciekająca ze szpary świadomość spływała po plecach, unosiła się bezradnie w powietrzu i ginęła za horyzontem. Byłem myślą wszędzie: tu i tam oraz gdzie indziej. Wszędzie wyrastały drzewa i oplatały gałęziami moje obolałe nogi. Dojrzałe owoce spadały na brzuch i dudniąc staczały się do przepaści.

Naraz wszystko poszarzało, ekran świadomości rzeczywistej zaciemnił się.

6.

Otrząsnąłem się zziębnięty i niezbyt jeszcze przytomny. Czuję się już nieco lepiej lecz w głowie mi jeszcze szumiało. Niebo w dalszym ciągu było ciemne i gwiazdziste. Potężny mur sterczał za moimi plecami i wraz z gwiazdami odbijał się w lustrzanej, betonowej powierzchni. Dotknąłem przegubu ręki i stwierdziłem, że nie mam zegarka. Widocznie zgubiłem go podczas przeciskania się przez szyb wentylacyjny.

Chyba na niezbyt długi okres czasu straciłem przytomność, bo konstelacje gwiazdne niezbyt się zmieniły. Ciekawe były moje halucynacje, w których widziałem Middle Town, Harleya i Annę... tak, niestety Annę. Wstałem i na chwiejnych nogach zacząłem szukać jakiejś przerwy, wejścia wiodącego w głąb budynku. Ruszyłem wzdłuż ściany gładkiej i lśniącej czernią. Dotarłem po pewnym czasie do wnęki wiodącej do słabo oświetlonego ciemnozielonym światłem korytarza. Ruszyłem prosto przed siebie. Korytarz często zakręcał raz w prawo raz w lewo. W końcu zakończyły go mocne metalowe drzwi, zza których dobiegał szum i jednostajne monotonne dudnienie. Z impetem pociągnąłem za uchwyt. Drzwi powoli, majestatycznie otwały się. Jasne światło przez moment oślepiło mnie.

Huk i zgrzytanie oraz masa innych dźwięków tak mnie przestraszyły, że chciałem uciekać. Lecz opanowałem się i wszedłem do środka. Drzwi natychmiast z suchym trzaskiem zatrzasnęły się. Znajdowałem się w dużej, bardzo przestronnej hali. Po obu stronach ścian rzędami ustawione były maszyny i urządzenia, które szybkim i nieustannym ruchem wywoływały ten hałas. Pośrodku, pod kloszem, znajdowała się jasno - czerwona substancja, która bulgocąc dawała wrażenie gotującej się mazi. Co chwilę kawałek odrywał się i rozpryskiwał się na kloszu. Następnie powoli spływał w sam środek gęstej wzburzonej cieczy. Od czasu do czasu następowały potężne wyładowania. Moc iskier jarzących się różnymi odcieniami opadała na plazmę jeszcze bardziej ją wzbudzając.

Stałem tak i próbowałem zrozumieć co się tutaj dzieje. Była to jakaś fabryka, w której nieustannie trwał w pełni zautomatyzowany proces produkcyjny. Przeszedłem wzdłuż rzędu maszyn. W powietrzu ciężkim i bardzo skondensowanym unosił się zapach smarów i przeróżnych olei. Na posadzce błyszcząły duże plamy z oliwy. W rogu hali ustawione były różne bryły geometryczne: sześciiany, stożki, walce i kule. Wykonane były z półprzejrystej masy plastycznej. Za bryłami usytuowane były drzwi, których z daleka nie dostrzegłem. Przecisnąłem się przez nie i znalazłem się w drugiej hali.

Była ona równie obszerna, lecz posiadała inne wyposażenie. Wypełniona była mnóstwem rusztowań. Przez środek przebiegała nieczynna teraz taśma produkcyjna. Spoczywały na niej różne części ciała. Od kości stopy począwszy, na oczach, uszach i włosach skończywszy. Po obu stronach taśmy na rusztowaniach spoczywały prefabrykaty. Z każdym krokiem ciało nabierało nowych elementów. Początkowo z rusztowań zwisały nagie czaszki, następnie była na nie naciągnięta skóra. Puste oczodoły były wypełnione niebieskimi oczyma. Uśmiechnięte usta powoli nabierały koloru czerwonego i wypełniały się zębami. Przy końcu postaci były już prawie gotowe. Zwisały na hakach między rusztowaniami. Były podobne do Kwantrozjan, lecz bardzo blade.

Zapewne ta fabryka to własność Jasnej. Tutaj dokonuje się akt stworzenia aniołów. Tylko dlaczego to następuje w fabryce? Widocznie Jasna jako wszechmogąca istota wybrała taki wariant tworzenia na skalę przemysłową. Lubi adorację, więc musi tworzyć sobie nowych wielbicieli - im więcej, tym lepiej.

Tu kończyła się taśma produkcyjna. W ścianie umieszczone były drzwi. Wyszedłem z hali i znalazłem się na przestronnej łące. Błękitne niebo uśmiechało się do mnie. Zielona, soczysta trawa cieszyła me oczy. Powietrze było lekkie, pachniało koniczyną. Odwróciłem się i stwierdziłem, że wyszedłem z malutkiej szopy zbitej z metalowych płyt.

- W jaki sposób takie ogromne hale, cały kosmodrom, mogły zmieścić się w tym malutkim budyńeczku? Ale cóż mnie to obchodzi! - krzyknąłem na całe gardło.

Opanowała mnie wielka radość. Cieszyłem się, że wreszcie wyostałem się z tej przytłaczającej rzeczywistości na zieloną łąkę. Rzuciłem się na trawę i z radości zacząłem czołgać się, fikać fikołki i skakać jak dziecko. Słońce, umieszczone wysoko na horyzoncie, rozlewało miłe ciepło. Wokół mnie tańczyły radosne dźwięki przyrody. Położyłem się na plecach i wsłuchiwałem w daleki szum lasu. Było mi tu dobrze, tak bardzo dobrze. Leżałem tak dość długo w pełnym rozluźnieniu. Nagle usłyszałem za sobą głos:

- Witaj panie oczekiwany przez wieki. Twoje przyście zostało zapowiedziane przez twych proroków. Dziękujemy ci, że chciałeś przyść, aby nam maluczkiem wskazać drogę ku tobie.

Podniosłem się na trawie i obróciłem głowę, by zobaczyć do kogo należał głos, który tak ciepło mnie powitał. W odległości dziesięciu metrów ode mnie klęczał starzec ubrany w bogato zdobione, powłóczyste szaty. Gdy zauważył, że patrzę na niego, pochylił się tak nisko, że dotknął czołem ziemi. Za nim, pokornie klęczał tłum ludzi. Wstałem i podszedłem do starca. Był on najwyższym kapłanem, a mnie uważał za mesjasza.

Nigdy nie byłem, ani nie starałem się być bogiem, ale obecnie, po pobycie w Kwantrozji miałem szaloną ochotę znaleźć się w tej roli.

- No cóż - pomyślałem - nie będę ani starca, ani jego ludu pozbawiał złudzeń. Często bowiem złudzenia ludziom są bardziej potrzebne, niż prawda.

Położyłem mu rękę na ramieniu i przemówiłem łagodnym głosem:

- Nie lękaj się mnie. Przybyłem aby wskazać ludowi drogę do mego Abstraktu - ze zdziwieniem stwierdziłem, że rola mesjasza wcale nie jest trudna.

Kapłan powstał z klęczek i bardzo nieśmiało zwrócił się do mnie:

- Panie pozwól do naszej Osady, lud czeka na ciebie. Twojemu przyśćiu towarzyszyły różne cuda. Liczne znaki mówiły, że przybędziesz właśnie dzisiaj z mocą twórczą zaczerpniętą ze swojej niebiańskiej potęgi.

- Prowadź mnie do waszej Osady. Chcę być sługą sług moich.

Po tych słowach ruszyłem z kapłanem w kierunku klęczącego tłumu. Lud zauważywszy, że się do niego zbliżam powstał i z radością pobiegł do lasu. Kilkanaście osób pozostało na swoich miejscach. Gdy podszedłem do nich, wynędniała kobieta na kolanach zbliżyła się do mnie i powiedziała nabożnym głosem:

- O panie wszechmocny, moje jedyne dziecko nie może chodzić - wskazała na chłopca siedzącego na prymitywnie zrobionych noszach. - Ty możesz przywrócić mu zdolność poruszania się, jeśli zechcesz.

- Tak, chcę - przerwałem jej i ciekawy będąc, co się stanie zwróciłem się do chłopca: - Wstań i chodź!

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że chłopiec wstał i podbiegł do matki. Kobieta płacząc podeszła do mnie i pocałowała mnie w rękę. Po tym wydarzeniu uwierzyłem, że rzeczywiście jestem bogiem tego ludu. Byłem pewien, że panuję nad matę -, rią w tym świecie. Zbliżyliśmy się do lasu. Idąc szeroką ścieżką weszliśmy w ciemne gąszcze. Mnóstwo różnorodnych ptaków śpiewając leciało nad moją głową. Po dwudziestu minutach marszu doszliśmy do szerokiej rzeki, rozdzielającej na dwie części ogromną polanę. Tutaj właśnie mieściła się Osada.

Kilka niezbyt dużych glinianych domków wznosiło się wokół głównego placu. Na samym środku usytuowana była świątynia wraz z malutką dzwonnica. Przybycie nasze było obwieszczone uderzeniami dzwonu. Kapłan zaprowadził mnie do świątyni, gdzie była przygotowana uczta powitalna. Najlepsze zbiory zgromadzone były na stołach. Kobiety przygotowały posiłek najlepiej jak potrafiły.

- Panie, posil się zbiorami swojej ziemi - zwrócił się do mnie starzec i wskazał mi miejsce pośrodku stołu.

Usiadłem, gdzie pokazał i rozejrzałem się wokół siebie. Świątynia napełniała się ludźmi, którzy we wcześniej wyznaczonym porządku zajmowali swoje miejsca za stołami. Byli oni zapewne wybrańcami, ludźmi najbogatszymi w tej Osadzie. Ubrali się w kolorowe, odświętne szaty. Kobiety, których przybyło znacznie mniej, we włosy powpinały kwiaty. Twarze miały nabożnie skupione i nienaturalnie poważne. Od środka emanowały one radością. Nikt nie ruszył pokarmu - czekano, aż rozpoczną ucztę. Wstałem i już chciałem powiedzieć coś o jedzeniu, gdy zobaczyłem biedaków przypatrujących mi się zza okien. Na wychudzonych twarzach błyszczały duże oczy. Nie pozwolono im wejść do środka. Jak zwykle wszędzie musieli być ostatnimi. Zrobiło mi się ich żal. Pomyślałem, że właśnie w tym momencie powinienem upomnieć bogaczy. Spojrzałem na nich surowo i rzekłem:

- Pozwólcie wszystkim biedakom wejść do świątyni i ucztować razem ze mną.

- Jak to Panie, mają oni razem z nami tu przebywać? Nie są oni godni wejścia do świątyni - usłyszałem kilka głosów protestu z różnych stron stołu.

- Powiadam wam, że to właśnie oni przez swoją skromność są bardziej godni od was obcowania tu ze mną. Wasza pycha, chciwość i wysokie mniemanie wiążą wam nogi i ręce, zamykają drogę do Abstraktu. Jesteście nieczuli na krzywdę. Zmieńcie swoje postępowanie, macie jeszcze na to czas - wyraźnie podkreśliłem „jeszcze”. - Podzielcie się waszym bogactwem z biedakami. Zasługują oni bowiem na miłość, bardziej są czystszy od was. Kochajcie się i pomagajcie sobie wzajemnie. Wyrzucie z serc waszych nienawiść wszelką. Dbajcie abyście zawsze dobro czynili.

To powiedziawszy usiadłem i napiłem się płynu, znajdującego się przede mną w dużym pucharze. Był to sok z jakichś owoców. Miał on kwaśnawy smak i działał orzeźwiająco. Wszyscy widząc to również rozpoczęli posiłek. Niektórzy byli niezadowoleni z moich uwag, właśnie ich najbardziej dotyczących. Jednakże wszystkich biedaków stojących na zewnątrz wpuszczono do świątyni i poczęstowano jadłem i napojem.

Nie byłem głodny. Spróbowałem tylko kilku wyśmienitych potraw. Najbardziej smakowała mi sałatka owocowo-warzywna. Wstałem od stołu i wyszedłem na plac. Wierni zostali w świątyni uczując w dalszym ciągu. Przesiedzą chyba do późnej nocy. Niech się cieszą. Skoro uważają mnie za swego boga, to panuję nad nimi, mogę jedną myślą, jednym grymasem zniszczyć ich. Przestać o nich myśleć i zaprzętnąć umysł innymi sprawami.

Przechadzałem się po pustych zaułkach między domkami. Powoli nadchodził wieczór. Słońce zaszło za horyzontem, stawało się coraz ciemniej. W ciepłym powietrzu fruwały muchy, natrętnie brzęczały koło uszu. Co pewien czas odganiałem je nerwowo, ale po pewnym czasie pojawiały się znowu. Byłem wszechmocny, więc zapragnąłem aby znikły, uciekły ode mnie. Moje pragnienia pozostały bez skutku, muchy w dalszym ciągu natarczywie mi dokuczały.

- Cóż się stało z moją mocą, czyżbym nie był już mesjaszem? - zapytałem cicho siebie.

Nagle z ciemnego wnętrza domu dobiegł mnie głos kobiety:

- Panie racz wstąpić do mego skromnego domu, brat mój jest bardzo ciężko chory. Mówi, że umiera i chce ciebie jeszcze panie zobaczyć.

Wszedłem do ich mieszkania. Nie było duże, ale nie sprawiało wrażenia ciasnego. W półmroku dostrzegłem zarysy kilku sprzętów: pieca, stołu, trzech łóżek i chyba jakiejś komody. Dziewczyna

uradowana podała mi stołek i zapaliła świecę. Błady, żółty płomyk oświetlił wnętrze izby. Dwie ćmy krążyły wokół świecy i rzucały na ściany duże, ruchome cienie. Teraz dopiero wyraźnie ujrzałem chorego. Stan jego był bardzo ciężki. Z czerwonej, mokrej twarzy patrzyły na mnie błagalnie małe, gorączkowo rozbiegane oczy. Wiedziałem, że bardzo cierpiało.

Pomyślałem, że gdyby umarł, to być może znalazłby się w innej, bardziej doskonałej rzeczywistości.

- Skonaj już, a może mniej będziesz cierpiało - wypowiedziałem w myślach. Lecz i tym razem wola moja nie została spełniona.

- Panie - zwróciła się do mnie jego siostra. - Jeśli on umrze, to co z matką będziemy robiły? Był naszym jedynym żywicielem. Nie pozwól Panie, nie pozwól aby umarł! Uzdrów go, błagam. Wierzę, że to potrafisz i to uczynisz.

Z pewnym niepokojem pomyślałem o tym, co mnie czeka. Jeśli go nie uzdrowię, to nie będę tym nieskończenie dobrym; a jeśli będę chciał go uzdrowić i nic z tego nie wyjdzie, to stracę w oczach ludu swoją moc, stracę po prostu twarz. Z wahaniem wolno wypowiedziałem słowa:

- Chcę abyś był zdrowy. Wstań ze swego łóżka, choroba straciła panowanie nad tobą.

Po tych słowach młody mężczyzna spokojnie usiadł na pościeli. Twarz jego przybrała normalne kolory. Ukłonił się nisko i uśmiechnął radośnie.

- No, jednakże nie straciłem swojej mocy - pomyślałem z pewną ulgą w duchu. - Widocznie wszystkie cudowne rzeczy, których mogłem dokonać musiały za cel swój mieć dobro. Jakiż byłem małostkowy i pusty życząc mu śmierci. Widocznie wszystkie moje cuda zachodziły na oczach świadków, a i to tylko w naszych świadomościach, a nie w materialnej rzeczywistości.

- Materialnej? - zastanowiłem się. - Czy w tej chwili istnieję w świecie materialnym, czy w czyjejs wyobraźni? Może ta matnia, którą czuję, jest względnym wyobrażeniem jakiegoś umysłu, umysłu mego boga, który mnie kreuje. A jego wymyśla ponownie bóg wyższego szczebla... I tak dalej. Po prostu kula w kuli, która zamknięta jest w jeszcze większej kuli. Podobnie wszechświat we wszechświecie wszechświata; atom w atomie. Makro i mikro układy materialne. Nieskończoność, ogrom, bezmiar.

Brak słów i rozum zbyt mały, aby całość tę pojąć, zgłębić i zrozumieć. „Po co?” - to ciągle pytanie pozostające bez odpowiedzi. Absurd, na który trzeba się zgodzić i który należy tolerować. Gdy głębiej zastanowić się nad światem w świecie i... Umysł szwankuje i sam dla siebie tworzy mnóstwo nowych rzeczywistości, więcej lub mniej prawdopodobnych, które mogą wspólnie istnieć tolerując się wzajemnie i czasami zachodząc na siebie. W końcu zaczyna się wierzyć w swój umysł, przyjmuje się go jako coś jedno jedyne, które istniało wiecznie. Wiecznie?

- Ach, mam już dosyć tych rozważań - powiedziałem półgłosem do siebie.

- Panie późno już - odezwała się dziewczyna. - W świątyni jeszcze uczują a ty jesteś zapewne zmęczony. Może zechcesz przenocować u nas. Miejsce dla ciebie jest przyszykowane. Dla nas byłby to zaszczyt.

- Dobrze, zostanę u was na noc - odezwałem się miękko i do siebie dodałem: - Dla was to zaszczyt. Oj, co ty możesz wiedzieć o zaszczytach, potędze rzeczywistości i mocy wszechświata? Żyjesz w swojej osadzie, dbasz tylko o dzień bieżący, troszczysz się o to, co włożyć do garnka, w co się ubrać, gdy szaty się zużyją. Ale cóż, takie jest twoje życie i przeznaczenie. Czasami chyba jesteś bardzo szczęśliwa.

Zaprowadzili mnie do drugiej izby, nieco mniejszej, ale bardziej starannie utrzymanej. Było to zapewne pomieszczenie gościnne. Przypomniało mi się, że zaprowadzono mnie już raz do pomieszczenia gościnnego, które okazało się więzieniem. Tutaj to co innego, posiadam przecież autorytet. Byłem przecież dla nich bogiem. Po chwili dziewczyna przyniosła miednicę i dzban z wodą. Umyłem się i życząc im dobrej nocy położyłem się na pościeli.

Po pewnym czasie nie wiedziałem już, czy leżę na łóżku, czy unoszę się na czarnym bezkresnym

oceanie. Falowanie miło mnie huśtało. Miałem wrażenie, że płynę gdzieś daleko. Oczy miałem zamknięte. Widziałem jasne prążki przelatujące z prawa na lewo i odwrotnie. Jasne koła nadlatywały z nieskończonych czerni i rozbijały się o powieki oczu. Spływały rozbite i miękkie, jak deszczowe krople po deszczu, zmywając nadzieję na ujrzanie jasności dnia.

Kiedyś będąc chłopcem chciałem uciec od nocy. Chowałem się wtedy do szafy i modliłem się aby nie nastąpiły ciemności. Broniełem się przed świadomą zgodą na rezygnację, lecz po pewnym czasie stwierdzałem, że to jest dobre i odpoczynek musi wypełnić puste luki świadomości...

Kilkadziesiąt skojarzeń przeleciało przez mój umysł. Jedno goniło drugie, często zawracały i to pierwsze zostawało w tyle. Potem wszystko się rozluźniło i senna rzeczywistość ogarnęła mnie i szczelnie przykryła swoim płaszczem. Była ona taka sama, jak wszystkie inne pozostałe rzeczywistości. Wystawały mi jedynie nogi, ale to było bez żadnego znaczenia.

Oto leżałem wygodnie na cokole, który miał kształt kowadła. Nad głową bardzo wysoko wisiał duży i chyba ciężki walec. Ponad nim w błękicie nieba między niewielkimi chmurkami latały sobie anioły w maskach przeciwgazowych. Ktoś za mną z tyłu ostrzył noże. Miarowy dźwięk powtarzał się zaciekle i uporczywie. Nie chciało mi się podnieść i spojrzeć za siebie. Wpatrywałem się w walec i zadawałem pytanie: Co było pierwsze: walec, czy gładka asfaltowa powierzchnia? Oczywiście, że walec, musiał on pierwszy ją wygładzić. Zadanie rozwiązałem bezbłędnie i szybko. Jestem więc bardzo inteligentny.

Nagle walec zaczął na mnie spadać. Leciał coraz szybciej i szybciej, a ja ze strachu zamknąłem oczy i już nie bałem się. Przez to udowodniłem, że jestem bardzo sprytny. Leżałem więc w pełnym spokoju i relaksie. Z nastroju tego wyrwał mnie upadek walca. Przygniótł mnie do kowadła i zaczął wałkować moje spojrzenie na świat. Stawało się ono coraz cieńsze. Tam gdzie pracował on najintensywniej, wydzieliło się dużo ciepła i spojrzenie było tak cienkie, że prześwitywały inne rzeczywistości.

Wstałem z kowadła i usiadłem na poręczy bariery przypadkowych zdarzeń. Miałem początkowo trudności z uniesieniem i utrzymaniem tak rozwałkowanego spojrzenia na świat. Ale szybko do tego się przyzwyczaiłem i było mi zupełnie dobrze, nawet lepiej niż przedtem. Uwypuklona zdolność dostrzegania pozazmysłowego ułatwiała orientację w biegu wydarzeń i pomagała każdy dzień w prawidłowym porządku zawiesić na kółko od kluczy. Jedynie wyjąłowiona pamięć nie potrafiła zmontować przyszłości, którą bardzo wyraźnie widziałem. Jutro w dalszym ciągu stało pod znakiem zapytania. Poczułem wielki niepokój i instynkt samozachowawczy kazał przenieść nogi na drugą stronę bariery. Wziąłem potężny rozmach i rzuciłem się w otchłań losu. W samą czeluść naczyń, w którym czas ustalał wszelkie możliwości wybiórczej działalności wolnej woli.

Spadanie moje trwało trzy sekundy, albo czternaście dni. Opadłem niezwykle lekko i delikatnie. Za dodatkowy amortyzator służyły mi mięśnie nóg. Jakoś niezdarnie zaplątałem się w spadochron, który owinał się wokół mnie. Straciłem równowagę i upadłem. Leżąc szamotałem się w złości. Przewracałem się z boku na bok i próbowałem uwolnić ręce, ale bez skutku. Czołgałem się jedynie w kierunku wysokiej, gazowej latarni. Szło mi to opornie. Spróbowałem wstać, ale to mi się nie udało. Obróciłem się na wznak i oczekiwałem czyjejś pomocy.

Łokcie i kolana miałem zdarte, jak podeszwy w starych butach. Targnął mną paniczny strach... Bałem się, że samotny przeleżę tak do końca świata. Wpatrywałem się z nadzieją w latarnię, jedyne światło w ciemnościach. Tak ją pokochałem, że zacząłem w nią wierzyć. Stała się ona moim ideałem. Bezwiednie wypowiadałem słowa modlitwy. Dotyczyły one wszystkiego, co potrafiłem nazwać po imieniu.

Jakaś ogromna dłoń wyłoniła się z ciemności. Była ona tak duża, jak pięć moich głów wziętych razem. Zbliżyła się i delikatnie uwolniła mnie ze splotów spadochronu. Gdy poczułem, że nie jestem skrepowany, zerwałem się z ziemi, stanąłem w rozkroku i skupiłem się. W ten sposób zahipnotyzowałem rękę. Była mi ona już całkowicie posłuszna. Dla pewności założyłem jej jeszcze kaganiec i długą,

skórzaną smycz, którą znalazłem w kieszeni podkoszulki. Miałem więc przyjaciela i nie byłem już samotny. Podeszliśmy do latarni i ręka zaszczekała. Nie chciała początkowo iść ze mną. Stała jakaś zagniewana i krnąbrna. Przemówiłem do niej po dobroci, nawet ją pogłaskałem po zmarszczkach między palcami. To ją chyba udobruchało, bo z pretensjami ale odezwała się ludzkim głosem. Powiedziała, że pójdzie ze mną wszędzie oprócz jednego miejsca, którym jest stół kuchenny. Nie znosiła widoku i obecności młynka do kawy. Wywoływał on u niej wysypkę, a nawet torsje. Objawy te występowały u niej od chwili, gdy zacięła się tępą żyłką przy goleniu. Zrobiło mi się jej żal. Spuściłem ją ze smyczy i pozwoliłem trochę pobiegać wokół latarni.

Ona, niewdzięczna i kłamliwa, na to tylko czekała. Powoli, jak gdyby nigdy nic, baraszkując oddaliła się o dziesięć kroków, przystanąła, obejrzała się i galopem rzuciła się do ucieczki. Strzelałem do niej jeszcze oczami, ale w ciemności kule nie wiedziały czego od nich się oczekuje i zdezorientowane padały na ziemię. Stałem więc w dalszym ciągu samotny, oparty o długie ramię latarni. Czułem, że wkrótce będę musiał się obudzić. Nie chciało mi się ruszać z miejsca. Senna rzeczywistość wypalała się jak świeca. Czekałem, aż ponownie pojawi się wokół mojej głowy aureola.

7.

Szarpanie, mocne jak podczas pożaru miasta, podobne do cięcia nożyc przerwało mój sen. Dziewczyna szybko, w przestachu budziła mnie. Teraz podawała mi na łyżce rzeczywistość, jak gorzkie lekarstwo, chcąc przywrócić mnie do świadomości.

- Panie, Panie, musisz uciekać. Bogacze i wszyscy będący pod ich wpływami chcą się ciebie pozbyć - mówiła nerwowo, ale starała się wyrażać jasno i przekonująco. Słowa układała w prawidłowy łańcuch wyrazów. - Wczoraj stwierdzili, że zaszła pomyłka, bo wszystkie znaki wskazywały przyjscie mesjasza na jutro. A ty Panie okrzyknięty, zostałeś zdrajcą i pomiotem. Musisz stąd uciekać. Lada chwila mogą tu przyjść, a wtedy...

- Tak, wiem - odparłem rozbudzony - Ci niewdzięczni przez swoje czyny zgubią Osadę. No cóż, sami do tego doprowadzą. Czy pomożesz mi przedostać się na łąkę do miejsca, gdzie znaleźliście mnie?

Ogarnął mnie strach. Zdawałem sobie sprawę z tego, co mogą zrobić rozwścieczeni, przekonani o swojej pozycji i bojący się jej utraty. Nie uśmiechały mi się tortury, bicie i publiczne wygnanie, a może nawet śmierć. Wolałem sam usunąć się z planu i powrócić do Middle Town, o istnieniu którego jeszcze nie zapomniałem.

Dziewczyna naturalnie zgodziła się pomóc mi stąd się wydostać. Włożyła długą, ciemną opończę. Wyglądała w niej, jak siostra nocy. Chwyciła moją dłoń, podała mi podobną opończę należącą do brata i wyprowadziła mnie z Osady. Szliśmy boczną dróżką biegnącą za domkami tuż przy rzece, której zapach mówił o czystej wodzie. Ciemność chciwie wdzierwała się pod powieki. Dostrzegałem jedynie szare kontury drzew. Dziewczyna zupełnie dobrze orientowała się w czerni. W powietrzu unosił się daleki szum lasu, do którego dotarliśmy szybciej niż się spodziewałem. Wędrówka w ciemnościach między drzewami napawała mnie strachem. To był dziwny lęk. Bałem się po prostu przyrody, wobec której byłem teraz bezbronny, bałem się, że może zemścić się za wszystkie szkody wyrządzone jej przez cywilizację.

Mocniej ścisnąłem rękę dziewczyny. Czułem jej miarowy, nieco przyspieszony puls. Ręka była zbyt delikatna, jak na wiejską dziewczynę. Zorientowałem się, że jeszcze do tej pory nie znam jej imienia.

- Dziękuję, że pomagasz mi w ucieczce - zwróciłem się do niej. Chciałem w jej umyśle zostawić wspomnienie o mnie, jako mesjaszu. - Wszystko zostanie policzone ci później po śmierci, gdy osiągniesz Abstrakt. Jak brzmi twoje imię.

- Nazywam się Joanna, ale wszyscy mówią na mnie Anna.

Słowa te wywołały u mnie lekki dreszczyk. W identyczny sposób przedstawiła mi się Joanna w Middle Town. W tej chwili uświadomiłem sobie, że jest ona podobna do tamtej dziewczyny, z którą spędziłem noc i która rankiem zniknęła. Starałem się nie dać nic po sobie znać.

Ona odezwała się nieco ironicznie przerywając drętą ciszę:

- No widzisz, nie musisz się już wysilać Robercie, nie jesteś już mesjaszem. Wiedziałam, że po tej jednej nocy nie będziesz umiał oderwać się ode mnie, że będę już zawsze i wszędzie ci towarzyszyć.

- Jak to?! - odezwałem się zdziwiony i nieco wzburzony. - Dlaczego nie wyjawiałaś swojej osobowości wcześniej. Pozwoliłaś mi odgrywać rolę mesjasza w Osadzie?

- Takie warunki wytworzyła tamta rzeczywistość. Twoje doznawanie było bardzo ograniczone i



dlatego też nie poznałeś mnie. Ta właśnie rzeczywistość kształtowała twoją świadomość, w której byłam i ja. Ty mnie nie dostrzegałeś, a ja ciągle wędrowałam za tobą, po bezdrożach twoich myśli. Wytworzona została między nami więź uczuciowa, z której obecności nie musisz nawet zdawać sobie sprawy.

Nie czułem się dobrze. Miałem chęć wrócić do Middle Town. Świat, w którym „są rzeczy o których nie śniło się nawet filozofom” porządnie mnie znużył i zmęczył.

- Joanno wracajmy do miasta, do życia, które nas ukształtowało!

- Nie mam pojęcia jak się tam dostać. Jestem zależna od twojej woli. Jeśli przestaniesz podświadomie się mną zajmować, to zniknę i usunę się sprzed twoich oczu, ale będę ciągle za tobą podążać. Rzeczywistości, przez które przechodzisz nie wybierasz sobie. One same się narzucają, często w zupełnie przypadkowy sposób, bez żadnej logiki i prawidłowości. Każda wymaga innej osobowości i przystosowania się do jej warunków. Jeżeli zapanujesz, lub stawisz opór, zostaniesz przez nią zmiażdżony. Ale mimo wszystko nigdy się nie poddawaj i nie dawaj za wygraną. Jeśli to potrzebne, to przykucnij, a potem wykonaj potężny skok.

- Skąd wiesz? Mówisz tak jakbyś znała początek, ostateczny cel i strukturę świata. Ja mam wrażenie, że ta struktura wytworzona jest przez wielki chory umysł.

- Nie zapominaj - przerwała mi - że ty jesteś częścią, wytworem tego umysłu. Podlegasz mu, ale również jesteś nim i ponad nim.

- To tak, jak nieskończona podzielność.

- Tak, ale z tą różnicą, że w nieskończoności występuje wszechobecność. Wiem to wszystko, bo penetrując twoje myśli natrafiam czasami na kontakt z inną psychiką, inną płaszczyzną wyobraźni. Podświadomość, o której nic nie wiesz, którą nie kierujesz, dla mnie nie kryje żadnych tajemnic.

Wyszliśmy już z lasu. Było dość duszno, mimo iż na polanie wiał lekki wiaterek. Niebo nieco się rozchmurzyło, bo ukazały się gwiazdy. Między chmurami prześlizgiwał się Księżyc. Od czasu do czasu oświetlał bladym, zimnym światłem polanę. Pośrodku widniał szałas, z którego wyszedłem.

Stanęliśmy z Joanną przed metalowymi drzwiami.

- Tu przenocujemy - powiedziałem i otworzyłem drzwi. Silny pęd powietrza wessał nas do wnętrza. Było całkowicie ciemno. Zupełnie straciłem nad sobą panowanie. Ręka Joanny wyslizgnęła się z mojej dłoni i zaczęła się oddalać. Grawitacja zupełnie zanikła.

Unosiłem się w przestrzeni lub poruszałem bardzo szybko w jednym kierunku; wnioskowałem to z silnego podmuchu powietrza, który utrudniał mi oddychanie. Słyszałem świst powietrza i miarowe, jednostajne buczenie. Stawało się ono coraz głośniejsze. Po pewnym czasie był to już huk, który przedostawał się do środka mózgu i świdrował całe moje ciało. Panowała duszność. Na czole poczułem nacisk. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, ale później coraz bardziej mi dokuczał. W końcu był tak duży, że wyciskał moje oczy z czaszki. Bałem się, że wypadną zupełnie. Szybko, obiema rękami wciskałem je z powrotem do oczodołów.

Potrząsnąłem kilkakrotnie głową nacisk momentalnie ustąpił. Zrobiło się całkiem znośnie. Grawitacja powoli powracała. Lekko, delikatnie opadłem na puszyste podłoże. Zapaliły się cztery różowe światła w rogach małego pomieszczenia. Rozejrzałem się dokładnie. Ściany i sufit obite były miękkim kożuchem pokrytym długim włosem. Nie było tu żadnych drzwi, ani okien, tylko sześć identycznych płaszczyzn zlepionych w prostopadłościan. Zupełnie jak klatka dla wariata.

- W jaki sposób się stąd wydostać? - Była to pierwsza myśl, która nasunęła mi się po obejrzeniu nowego więzienia.

Nagle usłyszałem ciepły, głos, wydobywający się ze ścian:

- No i co, wpadłeś?

- Gdzie ja jestem?! Co znaczą te słowa? - spytałem zdenerwowany i z trudem starałem się uspokoić.

- Sam do tego doprowadziłeś. Twoja obecność świadczy najlepiej o tym. Teraz masz możliwość przekonać się, jak bardzo jesteś słaby, jak bardzo się poddajesz wpływom otoczenia. Musisz się zmienić. Bierność w otoczeniu nowej rzeczywistości nie jest najlepsza.

- Właśnie postanowiłem nie być biernym. Próbuję walczyć, ale nie bardzo mi to wychodzi. Jestem obserwatorem w każdej nowej rzeczywistości. Nie znam bowiem reguł gry, a bez tego walka jest niemożliwa. Skąd mogę mieć pewność, że po nocy nastanie dzień, skoro wszystkie formy bycia są możliwe - próbowałem się przed tym głosem tłumaczyć.

W końcu nie wytrzymałem i krzyknąłem ostro:

- Ja jednak w dalszym ciągu nie wiem o co tutaj chodzi! Kim jesteś, do jasnej cholery!?

Miałem naprawdę już dość tych miejsc i sytuacji, których bytem uczestnikiem. Głos w dalszym ciągu łagodnie zaczął:

- Jesteś w sobie, we wnętrzu psychiki. Kiedyś tak bardzo chciałeś poznać jej tajemnice. Ja jestem twoją podświadomością, kreującą coraz to nowe rzeczywistości. Czemu to robię? Sama nie wiem, widocznie muszę, ale już czuję, że tego zaczyna być za dużo. Ciągłe wytwarzałeś sobie sytuacje konfliktowe, wpadałeś coraz bardziej w stany przygnębienia i zniechęcenia. Miałeś tak słabą wolę, że nie potrafiłeś wydostać się z przepaści, w którą wpadałeś z własnej głupoty. Ten twój oportunizm był jedną z głównych przyczyn. Staraj się być silnym! Mieć własne, niepodważalne zdanie. Bo ja mam dosyć! Dłużej nie wytrzymam tak dużego nawału stresów! Opamiętaj się! Ja mam dosyć! Dosyć! - ostatnie zdania krzykiem i dudnieniem wypełniły pomieszczenie.

- Dobrze, postaram się zmienić - powiedziałem przestraszony i gotów na różne ustępstwa, byle móc się wydostać.

- Dłużej nie mogę gromadzić twych konfliktów. Nie jestem beczką bez dna. Nie mogę wynajdywać wciąż nowych wyjść i rozwiązań. Też mam swoje granice...

Usłyszałem lekki szloch. Zrobiło mi się żal mojej podświadomości. Usiadłem skulony w kącie. Chciałem jakoś usprawiedliwić się, wytłumaczyć, ale nie mogłem dobrać sensownych słów. A zresztą, usprawiedliwiać się przed samym sobą.

Pomieszczenie ponownie wypełniło niskie buczenie, którego siła z każdą sekundą wzrastała. Obiema rękami mocno zatkałem uszy. Jednak mimo wszystko w dalszym ciągu nie cichło. Wdzierało się w umysł i jak twarde diamentowe ostrze przebijało świadomość. Zupełnie jakby wyjęto mózg z czaszki, postawiono na statywie i fotografowano ze wszystkich stron. Było mi bardzo niedobrze, brakowało tchu. Już dłużej nie mogłem tego znieść.

Nagle nastąpiła cisza. Kilka razy potężne światło oślepiło mnie, wszystko wokół zawirowało i rozplynęło się jak błona fotograficzna przy podgrzaniu. Ponownie unosiłem się raz w górę, raz w dół. Przeciążenie i nieważkość zmieniały się bardzo szybko, dręcząc moje ciało. Temperatura również rytmicznie wahała się przechodząc ze skrajności w skrajność. Raz byłem w piecu hutniczym, a za moment w lodowatej wodzie. Z oddali dobiegł mnie ten sam głos:

- Wypróżniam się! Wypróżniam się! Nabieram nowego hartu! Wypróżniam, wypróżniam się! - ostatnie słowa zaginęły w dalekim szumie oceanu.

Rozległ się plusk i wpadłem do słonej, chłodnej wody. Byłem zmęczony i z trudem utrzymywałem się na powierzchni. Woda wypełniała każdy zakamarek mojego ciała. Natarczywie wlewała się do ust, nosa i uszu. Chwilami krztusiłem się i nie mogłem nabrać powietrza. Gdy mi się to udawało, to tylko po to, aby jeszcze się nie utopić. Oczy przeraźliwie piekły. Walczyłem ze śmiercią w absolutnej ciemności. To była jedyna walka, na jaką było mnie stać.

Woda ponownie wlała mi się do płuc i przykryła mnie spienioną grzywą. Myślałem, że to koniec. Już się nie bałem. Wydawało mi się, że to nie ja się topię, że to tylko zabawa, że wszystko opisuję w

pamiętniku.

Nagle otoczyła mnie jasna piana, delikatnie świecąca słabym, białym światłem. Wypchała mnie na powierzchnię. Mogłem oddychać mimo, że była bardzo gęsta i ciasno mnie omotała. Robiło się coraz jaśniej. Szum ustąpił i do uszu moich dobiegły najpierw słabe, potem coraz bardziej donośne i liczne oklaski. W końcu piana zaczęła kruszyć się, pękać i znikać.

Zobaczyłem obszerną arenę, mocno oświetloną kolorowymi światłami. Wokół niej siedziało w rzędach wznoszących się po kopułę namiotu dużo osób w różnym wieku. Ja natomiast siedziałem w kucki w dużej emaliowanej miednicy. Nie zdążyłem ochłonąć i zorientować się, że znajduję się w dużym cyrku i jestem gwoździem programu, oklaski ucichły i tłum zaczął wspólnie wtórować:

- Witamy! Witamy! Witamy nowo narodzonego z piany aerozolu! - niektórzy mieli przed sobą teksty, inni sylabizowali z pamięci. - Nie jesteś Afrodytą, lecz przychodzisz jak ona. Witaj, witaj nowo narodzony!

W tym momencie nastąpiła przerwa, wszyscy wybuchali krótkim, spazmatycznym śmiechem i po chwili dalej wspólnie zaintonowali:

- Przybyłeś aby bawić się z nami. Jesteśmy bardzo weseli. To wspaniała rozrywka, roz-ryw-ka, roz-ryw-ka.

Po tych słowach wszyscy zamilkli i zamarli w oczekiwaniu. Dostrzegłem napięcie wyraźnie malujące się na twarzach siedzących w pierwszych rzędach. Pod kopułą zapłonął napis:

CYRK EGZYSTENCJALNEGO ABSURDU

Po chwili wyrazy rozpląnęły się i wybuchły jak fajerwerki nowe kolorowe litery:

OTO GWÓŹDŹ PROGRAMU:

PSYCHICZNA EDUKACJA BEZSENSOWNYCH ODCZUĆ HUMANITARNYCH

Ledwo to przeczytałem, podeszły do mnie trzy kobiety. Przyniosły na dużej tacy ciężki karabin maszynowy. Uśmiechnęły się bardzo życzliwie i wręczyły mi go. Wstałem z miednicy i trzymając karabin rozejrzałem się niezdarnie po arenie. Nie wiedziałem co mam robić. Oczekiwanie i napięcie dochodziły do punktu kulminacyjnego. Ciszę przerywały krótkie westchnienia widzów. Zdezorientowany spojrzałem pytająco na kobiety.

- No, niech pan ich zabawi! - powiedziała pierwsza i ciągle się uśmiechając poprawiła długie kasztanowe włosy.

Tylko ona została przy mnie. Dwie pozostałe wybiegły za kulisy. Uniosłem karabin, wycelowałem i powoli obracając się dookoła własnej osi wypuściłem długą serię w widzów stojących w pierwszym rzędzie. Kule ścinały ich z nóg. Padali ukazując zamarłych w oczekiwaniu ludzi siedzących w drugim rzędzie. Niektóre ubrania poplamione zostały jasną, czerwoną krwią. Gdy wszyscy z pierwszych rzędów padli martwi, cała widownia momentalnie huknęła salwą braw, okrzyków, gwizdów. Uzyskałem w tłumie taki aplauz, że niektórzy wstali z miejsc, skakali i krzyczeli. W moim kierunku posypało się mnóstwo kwiatów. Stwierdziłem, że masowe zabijanie wcale nie jest trudne. Wystarczy tylko nacisnąć spust.

Po chwili wszystko ucichło. Publiczność drugiego rzędu wstała z miejsc i w identycznym napięciu oczekiwała na moje następne popisy. Ponownie podniosłem karabin i wypaliłem serię obracając się w kółko. I znowu było to samo: spontaniczna, z nutką hysterii, reakcja i oczekiwanie. Dopiero gdy publiczność ostatniego rzędu padła ścięta gradem kul, uświadomiłem sobie, że przecież zabiłem tylu nieznanymi mi ludzi, tyle niewinnych dzieci.

- Spisałeś się cudownie - usłyszałem za plecami głos kobiety - był to jeden z lepszych wieczorów. Nie wszyscy bowiem wytrzymują do końca. Niektórzy załamują się przy trzecim rzędzie i potem strzelają sobie w łeb. Ale ty naprawdę jesteś silnym człowiekiem.

- Powinieneś na stałe podjąć się pracy w cyrku. Dobrze byś na tym zarobił - dorzuciła druga.

Trzecia bez słowa wzięła ode mnie karabin i głową wskazała mi wyjście z areny. Ruszyłem za nimi.

- Ja przecież zabiłem wszystkich - wycodziłem przez spieczone gardło.

- Przejmujesz się?! Cóż to śmierć? - ponownie głos zabrała pierwsza.

- Oni chcieli tego. Specjalnie zapłacili grube pieniądze, aby móc uczestniczyć w tym przedstawieniu.

Dla nich to było nagrodą. Mogli dzięki tobie wejść na wyższy stopień reinkarnacji węzłowej.

- No, nie przejmuj się - podeszła do mnie, delikatnie położyła ręce na mojej skroni i patrząc dziwnym wzrokiem powiedziała:

- Już się nie przejmujesz. Wszystko jest w porządku. Odzyskujesz ponownie dobre samopoczucie.

Stwierdziłem, że rzeczywiście po tych słowach tamto wydarzenie oddaliło się ode mnie, straciłem poczucie winy i było mi całkiem dobrze.

Przeszliśmy przez niskie drzwi zasłonięte ciężką kotarą. Wydało mi się to rozpoczęciem nowego okresu w życiu. Nowego? Cóż to znaczy? Cała teraźniejszość kreowana przez przeszłość już nie istnieje. Jest to bardziej nieuchwytnie, niż może się wydawać. Ależ bezsens! Gdzie ja właściwie się znajduję? Wszystkie zmiany rzeczywistości rozstrajają moją przeszłą stabilizację i przyzwyczajają do biernego poddania się losowi, który wytworzyć może każdą pomyślaną sytuację. Nie chcę się już zastanawiać nad tym. Może nie „nie chcę”, lecz nie potrafię. Zostałem doszczętnie ogłupiony przez następujące tak nagle i niespodziewanie rzeczywistości, że tracąc kontakt z otoczeniem coraz bardziej wcielam się w nie i staję się nowym elementem na czyjejś drodze.

- Chodź, zobaczysz naszą oranżerię - przerwała rozmyślenia kobieta niosąca karabin.

Wsadziła go do szafki ciasno wypełnionej podobnym sprzętem. Zgodziłem się bez słowa, lekko przytakując głową. Przeszliśmy przez ciemny korytarz kilka razy skręcając. W końcu stanęliśmy przed dużymi drzwiami. Otworzyły się one bezszelestnie. Myślałem, że zobaczę sporą grupę zwierząt. Jednakże w pomieszczeniu znajdowały się ludzkie woskowe figury.

Poznałem od razu. Nie musiałem nawet czytać tablic umieszczonych przed klatkami. Po lewej stronie stały Anna i Joanna. Obie zastygłe w pozie wielkiego oczekiwania i napięcia. Twarz Joanny wyrażała nawet pewien trudny do określenia niepokój. Miałem wrażenie, że boi się przyszłości i zarazem nie może się jej już doczekać.

- Jednak nie kochasz już Anny, swojej żony - odezwała się kobieta z kasztanowymi włosami. - Twoja podświadomość jest wypełniona myślami o Joannie i wspomnieniami spędzonej razem z nią nocy. Znalazłeś po prostu młodszą Annę i tam ulokowałeś swoje uczucia.

- Nieprawda. Kocham jeszcze Annę bo jest moją żoną. Skąd możesz wiedzieć co ja czuję? - zapytałem wzburzony.

- Twoja podświadomość rzuciła cię właśnie do cyrku abyś mógł wykonać ten popisowy numer. My trzy w tym momencie ujrzałyśmy całe twoje wnętrze jak gdyby w lustrzanych odbiciach. Spójrz teraz na prawo - powiedziała i objęła mnie ramieniem.

Po prawej stronie w majestatycznej pozie zastygł Roy. Wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć: „zwyciężyłem siebie, innych i tego, który mnie pokonał”. Było to tak wymowne, że mimowolnie zapytałem:

- Kto cię mógł pokonać? Sądziłeś zawsze, że jesteś uprzywilejowany i pierwszy na ostatnim kole niezmiennych przejść.

Na widok Harleya zrobiło mi się smutno. Twarz wyrażała żal. Oczy wypatrywały gdzieś daleko Joan. Dotąd nie rozumiałem powodów, dla których go rzuciła. Harley był zawsze taki...

Ale o czym właściwie tutaj mówić? Przecież to tylko jego odbicie uchwycone w pewnym momencie życia.

- Znasz ich, prawda. Dla ciebie również przygotowaliśmy tutaj miejsce. Jednak jest ono w osobnym

pomieszczeniu, bo zasłużyłeś w pełni na to po przedstawieniu. Zawsze robimy wystawę złożoną z artysty i osób towarzyszących mu w myślach - powiedziała dobitnie jedna z kobiet.

- Oczywiście, że ich znam - odparłem szybko. - Gdzie oni teraz są? Joannę straciłem w pomieszczeniu, gdzie grawitacja rządziła losem. Czy żyje ona jeszcze w tej chwili w moim realnym otoczeniu?

- Czy zapomniałeś już jak względna ostatnio była dla ciebie realność i przestrzeń. Joanna ciągle podąża za tobą po bezkresach świadomości. To, czy pojawi się przed tobą, zależy od twojej podświadomości. A jak chyba zdążyłeś się już zorientować, twoja świadomość i podświadomość to dwie zupełnie różne rzeczy. Nie możesz równocześnie być tu i tam. Losowo znajdujesz się raz tu, raz tam - odpowiedziała kobieta pozostająca w tyle za nami.

- Doszedłeś kiedyś do wniosku, że czas jest fikcją. Nie jest to jedyne określenie - powiedziała kobieta stojąca najbliżej mnie. - W pewnych sytuacjach czas jest tylko formą nieciągłych przejść w istnieniu. Jesteś teraz w mikroświecie wyobrażeń nakładających się pasmami. Wyobrażeń tworzonych w wyobraźni przez inne wyobraźnie.

- W jakim celu ciągle staram się w takim razie zapanować nad sytuacją? Każdą chwilę pragnę zrozumieć i chronologicznie uszeregować w pamięci. Każde nieciągłe przejście powoduje zmianę otaczającej mnie przestrzeni. Czy mam się biernie poddać losowi i zaufać przeznaczeniu? - zapytałem nieco rozkojarzony pragnąc w duszy stabilizacji nawet tak bezbarwnej i monotonnej jak życie w Middle Town.

- Nie możesz poddać się losowi, bo w tobie jest już zakodowana niezgoda na bierność. Jesteś typem człowieka, który ciągle do czegoś dąży. Pozornie wydawać się może, że pragniesz stabilizacji i spokoju. Lecz po ich nadejściu poczułbyś tak niesamowitą nudę, że każde działanie, nawet ucieczka w świat wyobraźni byłaby dla ciebie zmianą i czymś nowym, gdzie inne wartości nakreśliłyby dla ciebie nowe cele działania. Żyjąc w Middle Town pozornie wydawało ci się, że bierność nie pozwala na żadną ingerencję. Gdy bałeś się nowych elementów, był to strach przed samym sobą, przed odkryciem monotonii i zburzeniem piedestału stabilizacji.

- No, ale na nas już czas - odezwała się ta z kasztanowymi włosami. - Musimy iść i przygotowywać nowe przedstawienie. Jeżeli chcesz chodź z nami, a może chcesz jeszcze wziąć w nim udział?

Nie miałem ochoty uczestniczyć w podobnym widowisku. Chciałem przejść się, znaleźć się w lesie na łonie natury. Natury? Cóż to właściwie jest natura? Kawałek zielonej przestrzeni. Stwierdziłem, że staję się coraz bardziej niezrównoważony.

Powiedziałem sucho:

- Nie, nie chcę już uczestniczyć w przedstawieniu. Idę się przejść.

Bez słowa wskazały mi wyjście. Przez niezbyt duże drzwi wydostałem się na polankę otaczającą namiot cyrkowy. Przeszedłem kawałek i jeszcze raz się obejrzałem. Jedna z kobiet stała w wejściu i patrzyła na mnie. Uśmiechnęła się i pomachała mi ręką. W tym momencie wydało mi się, że tam stała Joanna. Taka sama sylwetka, taki sam uśmiech. Już zawróciłem i ruszyłem w jej kierunku. Ona jednak szybko zamknęła drzwi. Chciałem jeszcze raz ją zobaczyć, lecz bałem się ponownego wejścia do cyrku. Kilkanaście sekund wahałem się w końcu odwróciłem się na pięcie i pobiegłem w stronę lasu widniejącego na końcu polany.

Zbliżał się już wieczór. Słońce leniwie obniżało się i chowało za drzewa. Z przyjemnością wciągnąłem powietrze do płuc. Było rześkie, nieco wilgotne i zimne. Gdy dotarłem do pierwszych drzew, poczułem przyjemny zapach sosen. W głębi stała ławka. Był to zapewne duży park, bo cyrku w lesie na pustkowiach się nie umieszcza. Usiadłem, wygodnie oparłem się i spojrzałem w górę. Między koronami wysokich drzew prześwitywało granatowe niebo. Wokół ławki rosło dużo jagód. Schyliłem się

i zrywałem je. Były duże, soczyste i bardzo smaczne. Jadłem je do momentu, aż w parku pociemniało. Robiło się coraz chłodniej. Na moim ubraniu osiadły kropelki rosy. Poszedłem więc alejką prowadzącą z głębi parku na polanę. Dość szybkim krokiem szedłem po żuźlowej powierzchni. Kroki moje chrzęściły i dołączały się do rytmicznego szumu drzew. Robiło się coraz ciemniej i ciemniej. W mroku z trudem rozpoznawałem kontury skrzypiących coraz jękliwiej drzew. Alejka zwęziła się tak, aż powstała wąska ścieżka. W końcu pogрузyłem się zupełnie w ciemności i brnąłem na oślep. Sądziłem, że jeszcze kilkaset metrów i wydostanę się z parku. Wiatr przybrał na sile. W oddali usłyszałem potężny grzmot.

Nadciągała burza. Jednostajny szum wzrósł, zaczęło padać. Niezdecydowany stanąłem pod drzewem i drżałem z zimna. Myślałem, że za chwilę przestanie padać, burza przejdzie bokiem, a ja suchy wyjdę z parku. Czekałem już tak dobrą godzinę, a co chwilę oślepiały mnie coraz potężniejsze błyski. Gdy deszcz nieco zelżał, chciałem wrócić na polanę cyrkową. Było mi już wszystko jedno gdzie spędzę noc, byle nie pod gołym niebem.

Cała odzież była mokra, i w dalszym ciągu jak gąbka wchłaniała wodę. Nagle po lewej stronie między drzewami zauważyłem małe światełko. Skręciłem w tamtym kierunku. Odchylone gałązki krzewów uderzały mnie jak bicze po twarzy, lecz nie zwracałem na to uwagi. W pewnej odległości od oświetlonego budynku natknąłem się na wysoką siatkę. Idąc wzdłuż ogrodzenia doszedłem do małej bramy. Była ona uchylona, jakby na kogoś czekano. Bez namysłu wszedłem i po chwili stałem przed masywnymi drzwiami. Chciałem wysuszyć ubranie, napić się gorącej herbaty i coś niecoś przekąsić. Zadzwoiłem. Długo nie musiałem czekać.

Drzwi powoli uchyliły się. W jasnym, elektrycznym świetle ujrzałem dojrzałą, wysoką kobietę. Miała na sobie fioletową, obcisłą suknię. Włosy długie, nieco siwiejące, zgrabnie spięte wokół delikatnej jeszcze twarzy nadawały postaci powagę i majestatyczność. Patrzyła na mnie przenikliwymi i zarazem wesołymi oczyma. Usta lekko rozchylone w delikatnym uśmiechu zapraszały mnie do środka. Stałem tak i nie mogłem wymówić żadnego słowa. Chciałem wytłumaczyć swój wygląd i nadejście, lecz gdy nie ujrzałem w jej oczach zdziwienia, nie wiedziałem co powiedzieć.

Odezwała się pierwsza:

- Wejdz proszę, czekam na ciebie.

- Przepraszam - powiedziałem zdziwiony - zabłądziłem w czasie burzy. Ale jak to się stało, że pani na mnie czeka? Skąd pani wiedziała, że tutaj przyjdę?

- Mów do mnie Loran, Robercie. Karty powiedziały, że przyjdiesz dzisiaj do mnie.

Wzięła moją rękę w swoje wypielęgnowane dłonie, spojrzała na nią i lekko wciągnęła mnie do środka. Znalazłem się w niedużym pomieszczeniu.

- Tam jest łazienka, przygotowałam dla ciebie suchą odzież. Idź, przebierz się - wskazała na jedne z drzwi. - Ja zaparzę w tym czasie herbatę.

Zeszła schodami chyba do kuchni i zniknęła mi z oczu. Poszedłem we wskazanym kierunku. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w dużej, jasno oświetlonej łazience. Zdjąłem mokre ubranie i powiesiłem na wieszaku. Następnie wykąpałem się w gorącej wodzie i wytarłem ciało miękkim ręcznikiem. Włożyłem przygotowane ubranie i stwierdziłem, że spodnie i koszula idealnie na mnie pasują. Gdy skończyłem toaletę usłyszałem lekkie pukanie i głos:

- Proszę na herbatę, jeśli jesteś już gotowy.

- Już idę - odparłem przyczesując włosy. Wyszedłem z łazienki w dobrym humorze. Loran stała przy stoliku w pięknej wieczorowej sukni. Wyglądała teraz znacznie młodziej.

- Chodź na górę - chwyciła mnie za rękę i delikatnie krok za krokiem poprowadziła po schodach.

Wydała mi się trochę dziwna. Wróży z kart, wpuszcza nieznanego pod swój dach. Zachowywaliśmy się przez ten czas, jak para starych znajomych lub kochanków.

- Mieszkam sama, ale nie boję się samotności - powiedziała jak gdyby specjalnie informując mnie o tym fakcie. - Czasami przychodzą do mnie różni ludzie. Chcą, żebym im wróżyła.

To powiedziawszy przyjęła wyczekującą pozę. Przytuliłem ją do siebie i już wiedziałem, że spędzę z nią interesującą noc.

Siedzieliśmy na piętrze w zielonym, słabo oświetlonym pokoju.

- Czy zajmujesz się wróżbiarstwem? - zapytałem pijąc gorącą, mocną herbatę. Nigdy przedtem nie spotkałem kobiety o takim usposobieniu.

- Tak, jest to moje tymczasowe zajęcie. Niektórzy uważają mnie za jasnowidza, lecz ja się z tym nie zgadzam. Owszem, czasami udaje mi się coś trafnie przepowiedzieć ludziom, sobie. zresztą też. Na przykład wczoraj rozłożyłam karty i dowiedziałam się, że przyjdzie do mnie ktoś o imieniu Robert. Dlatego zniecierpliwiona czekałam na ciebie. Wyczułam, że będziesz przemoczony i zapragniesz napić się gorącej herbaty...

- I, że wspólnie spędzimy tę noc - przerwałem jej i wesoło się uśmiechnąłem.

- Nie wiem, ale to już zależy od ciebie. Może jednak zostaniesz. - Przepowiednia może się nie sprawdzić. Wszystko mogło być zbiegiem okoliczności.

- Co powiedziałaś? - zapytałem niezbyt rozumiejąc.

- Nic, po prostu czasami sama wątpię i nie wierzę w możliwość jasnowidzenia. Chociaż są takie chwile, że mózg jakby wzbijał się w górę i mógł obserwować przyszłość. Ale to tylko chwile. Wierzę w przypadkowość kierującą losami ludzi. A zresztą w tej chwili jest to nieistotne. Pragnę ciebie, pragnę normalnej miłości. Wróżki chyba też do tego mają prawo - oparła mi się na ramieniu. - Powiedz czy nie?

Była naprawdę ponętna. Pod obcisłym materiałem rysowała się jej kobieca sylwetka, jeszcze bardzo zgrabna.

- Tak Loran, ale proszę powróć mi z kart teraz, tutaj - ująłem ją delikatnie i posadziłem sobie na kolanach.

Loran wzięła karty, potasowała je, kazała dotknąć i rozłożyła na stoliku. Przez dłuższy czas wpatrywała się w nie w skupieniu. W końcu odezwała się:

- Nic nie mogę z nich wyczytać. Twój los, to dziwne, ale wygląda jakby był zawiązany na supeł. Twoje przeznaczenie jest dla mnie niewiadome. Z tego co widzę, wszystko jest możliwe i wszystko może zdarzyć się jednocześnie. To śmieszne, ale również wygląda tak, jakbyś przekroczył bramy zdrowego rozsądku i w jednym momencie znajdujesz się tu, tam, po prostu wszędzie. Ale ja ci tu głupstwa wygaduję... - przerwała wywody ze śmiechem. - Widzisz nie jestem jednak jasnowidzem.

- Dlaczego głupstwa? - wtrąciłem się. - To, co mówisz, jest bardzo interesujące i pasuje do mojej dziwnej sytuacji.

- Każdy tak sobie wyobraża i słowa wypowiedziane przeze mnie na siłę dopasowuje do sytuacji - powiedziała nieco ironicznie i dodała: - Jeżeli już jest się jasnowidzem, to trzeba umiejętnie i sugestywnie podać interesantowi opowieść wyczytaną z kart.

Przez chwilę panowała cisza. W tym czasie Loran podeszła do magnetofonu i puściła jakąś muzykę. Pokój wypełniły czyste, relaksujące dźwięki.

- A jednak w tym coś jest - przerwałem milczenie. - Nie uważasz? A moje przyjscie?! W jaki sposób mogłaś wyczytać z kart, że się zjawię. Przygotowałaś nawet ubranie mojego rozmiaru. Powiedz sama, karty to jednak nie wszystko, prawda?

- To ubranie należało do mojego męża - odpowiedziała. - Odszedł ode mnie dwa miesiące temu. A że na ciebie pasuje, to przypadek. Wielu ludzi jest podobnych do siebie. Wczoraj karty rozłożyły się w ten sposób, że wyczytałam imię Robert. Wtedy miałam wrażenie, że ktoś do mnie przyjdzie. Przez przypadek znalazłeś się w lesie, jesteś u mnie i masz właśnie na imię Robert.

- Ależ zbyt wiele przypadków - przerwałem.

- Możliwe. Musi być dużo przypadków. Bez nich los człowieka byłby wiadomym, a zależąc od przypadku jest niewyraźny i objawia się jedynie w przeznaczeniu. Może dlatego uważają, że jestem wróżką, bo potrafię czasami z ludzkich oczu wyczytać jakąś formę przeznaczenia - tu ściszyła głos i odwróciła się do mnie profilem. - Powiedz mi jednak coś o sobie, bo oprócz imienia nic o tobie nie wiem. Gdzie mieszkasz i dlaczego nocą znalazłeś się właśnie tutaj?

Nie wiedziałem co mam powiedzieć. Czy zacząć całą historię od wydarzeń w Middle Town? Lecz to było zbyt nieprawdopodobne, nie do przyjęcia. Powiedziałem tylko krótko:

- Mieszkam obok centrum Middle Town. Wybrałem się na spacer i znalazłem się w parku podczas burzy.

- Jak to. Spacerkiem przeszedłeś ponad tysiąc kilometrów? Chyba przyleciałeś do Montresu samolotem. Ty również chyba chciałeś przekonać się, że połączenie z Middle Town jest komfortowe i bardzo szybkie. Jesteś jednak nierozsądny mój drogi - słowa te wypowiedziała w taki sposób, jak Anna. Zrobiła również ten charakterystyczny ruch ręką. - Wybierać się bez niczego, pod sam wieczór do największego parku Montresu. Czy pomyślałeś jaką miałbyś noc, gdybyś do mnie nie trafił. Oj ty, byłeś taki przemoczony i zziębnięty - powiedziawszy to oparła głowę na moim ramieniu. Wydała mi się teraz taka samotna i bezradna.

- Dlaczego zawsze należy kierować się zdrowym rozsądkiem? - zapytałem i kilka myśli wcisnęło mi się zaraz do mózgu.

Po pierwsze: jeśli znajduję się obecnie w Montresie, to wystarczy jutro rano wsiąść do samolotu i za godzinę będę u siebie w Middle Town. Wreszcie odnalazłem jakąś drogę, aby tylko nie nastąpiło zawichrowanie rzeczywistości i nie rzuciło mnie w jakieś nowe światy. A może również to jest pewnego rodzaju złuda.

Po drugie: dlaczego w każdej kobiecie odnajduję Annę albo Joannę? A może one obie stanowią jedną osobę? Tak idealnie się uzupełniają i powielają. Anna mogła być Joanną w nie - ciągłym przejściu między rzeczywistościami. A Loran? Może i ona jest Anną, tylko w innej formie? Ale to nie ma teraz znaczenia. Chce ofiarować mi miłość.

- Czy kocham jeszcze Annę? - ponownie zadałem sobie to pytanie. Nie potrafiłem jednak na nie odpowiedzieć.

Po prostu obecnie nic nie wiem, tracę możliwość realnej analizy otaczającej mnie rzeczywistości.

- Robercie, ktoś cię woła - powiedziała Loran zdziwiona. - Któż to może szukać cię nocą w tym ogromnym parku?

Rzeczywiście, usłyszałem teraz dobitnie wypowiedane moje imię. Głos dobiegał z jakiejś głębi i był tak natarczywy, że zrobiło mi się nieswojo. Musiałem iść, nic nie mogło mnie zatrzymać. Zerwałem się z fotela i podbiegłem do drzwi.

- Czy masz zamiar wychodzić?! - krzyknęła zdziwiona i lekko przestraszona. Podbiegła do mnie i lekko chwyciła moją rękę. - Przecież mieliśmy... Przecież miałeś zostać, takie właśnie powinno być zrzędzenie losu.

Lekko szarpnąłem i wyswobodziłem się z uścisku.

- Wybacz, ale ja muszę... rzekłem stanowczo nieco jękając się z pośpiechu i podniecenia. Wiedziałem, że ten głos nigdy nie da mi spokoju jeśli nie wyjdę. - Idę, bo widocznie los zmienił swoją pozycję. To jest chyba nowe przeznaczenie.

- Wróć do mnie jak będziesz już mógł, będę czekała - krzyknęła Loran.

Wybiegłem bez słowa z domu w koszuli i poczułem, jak chłód przylepia się do mego ciała. Nie zwracałem na to najmniejszej uwagi, tylko szedłem w kierunku głosu. Było zupełnie ciemno. Od czasu do



czasu potykałem się o coś, ale szedłem dalej. W twarz mocno uderzały mnie gałązki. Z całej siły wytrzeszczałem oczy, ale w dalszym ciągu niczego nie widziałem.

- Robercie! Robercie! - wiodły mnie unoszące się w powietrzu dźwięki.

- Przecież idę! - wykrzyknąłem i zacząłem biec. Nie było już żadnych drzew i krzewów w moim otoczeniu. Biegłem po idealnie gładkiej powierzchni. Nie słyszałem również odgłosu kroków. Do uszu dobiegało tylko to natrętne wołanie.

Nagle poczułem, że tracę równowagę i z całym rozpędem padłem na podłogę. W tym momencie jakieś dwie silne dłonie chwyciły mnie mocno za plecy i zatrzymały.

- Oj mój kochany, musisz uważać. Mogłeś upaść i zrobić sobie krzywdę. Powinieneś być bardziej ostrożny. No, daj rączkę, poprowadzę cię. Musisz być grzeczny.

Dłoń chwyciła mnie i prowadziła powoli. Nie czułem niczyjej obecności, tylko tę rękę. Próbowałem dotknąć ramienia tej osoby, lecz trafiłem tylko w czarną, pustą przestrzeń. Trzymałem tylko dłoń i nic więcej. Ona prowadziła mnie ostrożnie i opiekowała się. Byłem jej za to bardzo wdzięczny.

W pewnym momencie zatrzymaliśmy się i ponownie usłyszałem ten przenikliwy głos:

- Przyszedłeś do Loran, ona przewidziała to i chciała ofiarować ci miłość. Ty byłeś zadowolony i już myślałeś w jaki sposób spędzicie tę noc. A czy zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tym, że zbyt łatwo brałeś od innych uczucie? Była Anna, Joanna; miała być Loran i wiele innych.

- Jestem już w pewnym stopniu zrezygnowany. Zacząłem w końcu rzeczywistość przyjmować jak napływającą falę - próbowałem się wytłumaczyć, lecz niezbyt dbałem o to, co się stanie. - A że przynosiła to i owo, to dlaczego miałbym nie brać?

- Tak, tak - słowa zawirowały wokół uszu - już wkrótce być może odnajdziesz siebie. Chwyciłam mocno i chciałam doprowadzić cię do celu. Jednak na razie mi to nie wyjdzie. Również dla mnie to, co ciebie otacza jest nie do przezwyciężenia. Nie mogę zbyt ostro ingerować. Kreowane przez ciebie światy nie poddają się mojej woli. A jak widzę, ty również się w nich gubisz. Musisz bardziej stanowczo brnąć do celu.

- Do celu? - zastanowiłem się. - Nie myślałem, że do czegoś dążę. Chciałem tylko ponownej stabilizacji: pracy, domu, Middle Town, Anny. Tylko jak do tego dotrzeć? Jak ci na imię?

- Jestem opatrność - głos nieco przycichł i ostatnie słowa ledwie mogłem dosłyszeć w napływającym szumie. - Wypadkowa kilku terażniejszości tworzonych przez super abstrakcyjny umysł wyrzuciła cię na zewnątrz z koła reinkarnacji węzłowej. Przez moment myślałam, że czas jest czymś nieubłaganym na tle wielotorowej rzeczywistości. Lecz teraz widzę, że to on mi się sprzeciwił. Nie wiem jak ponownie masz osiągnąć stabilizację. Musisz sam znaleźć drogę w rzeczywistościach przez siebie wygenerowanych. Teraz zostawiam cię samego. Nie mogę już dłużej wytrzymać tej formy istnienia...

Tutaj głos zupełnie ucichł w monotonnym szumie. Żeby to zagłuszyć zacząłem mówić do siebie:

- Jak mam się teraz zachować? Co mnie czeka? W końcu to, co się przed chwilą wydarzyło, nie ma absolutnie żadnego sensu. A może w tych bezsensownych zmianach rzeczywistości nabrało nowego sensu?

Nagle płaszczyzna, na której się znajdowałem poczęła wirować. W tym momencie uświadomiłem sobie, że każda płaszczyzna to rzeczywistość. Wiedziałem również, że nieskończona liczba płaszczyzn przemieszczała się pode mną i nade mną, zupełnie, jak sterówce. Bałem się zderzenia, lecz do tego nie dochodziło, bo płaszczyzny przenikały się wzajemnie i oscyływały we własnym istnieniu.

Usiadłem na płaszczyźnie i podciągnąłem nogi pod brodę. W tej pozycji lubiłem rozpatrywać zupełnie absurdalne zdarzenia. Nagle potężny snop światła objął moje otoczenie. Zrozumiałem, że moja płaszczyzna wyszła z mroku i wpadła na określony tor swojej wędrówki.

Zobaczyłem, że poza mną nic nie ma. Nie widziałem nic: ani nieba, ani jasnej lub czarnej przestrzeni,

nie było również horyzontu. To była po prostu pustka. Nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy, że pustka może graniczyć z przestrzenią. Myślałem, że konieczna jest forma ciągłego przejścia. Ale żeby takie wzajemne się przenikanie? Wpatrywałem się w pustkę, bo pierwszy raz ją widziałem. Próbowałem zrozumieć to wieczne nieograniczone nic. Widocznie tutaj czas doznał przekształcenia i stracił swoją ciągłość.

W pewnym momencie płaszczyzna kilka razy się załamała i zamknęła mnie wewnątrz dużego sześcianu. Dostrzegłem na ścianach swoje lustrzane odbicia. Siedziałem w samym centrum bryły i miałem dosyć głupawą minę. Moje odbicie zawirowało i ujrzało siebie siedzącego w Middle Town w biurze. Spojrzałem na siebie pracującego przy głowicach pulsacyjnych. Ja pracujący w instytucie spojrzałem na siebie siedzącego w sześcianie i wszedłem do sześcianu.

Widziałem, jak na miejscu mnie siedzącego w pracy pojawiłem się jadący nieco później samochodem i wszedłem do sześcianu. Potem ja o sekundę późniejszy zobaczyłem siebie siedzącego w sześcianie i wszedłem do sześcianu. Po pewnym czasie było mnie tyłu, że wszechświat lub ten sześcian wypełniony był całkowicie mną. Wtedy wszystkie pojęcia straciły swoje znaczenie.

Poczułem, że tracę poczucie teraźniejszości. Moja percepcja rozciągnęła się na przestrzeni pewnego wycinka czasu i od nowa odczuwałem wydarzenia sprzed mego pobytu w Kwantrozji, u Loran, ponownie byłem bogiem w Osadzie.

Wydarzenia nakładały się na siebie i przeżywałem to wszystko jednocześnie. Czas zatracił swoją potęgę i nieuniknioność. Czułem również przyszłość, choć z wielu rzeczy nie zdawałem sobie sprawy. Powstało wiele pojęć, które nie mogły znaleźć miejsca w umyśle. Słowa, dni, uczucia puste i pełne były zgromadzone w sześcianie, we mnie. Byłem wtedy chyba poza czasem. Nigdy nie myślałem, że przeżywanie absolutnego trwania, wyzbytego czasu, może być tak bardzo męczące. Upadłem wycieńczony i wszystko zaczęło powracać do poprzedniego stanu. Było tylko dużo bieli, coraz więcej bieli. Sześcian rozwinął się w płaszczyznę. Ja teraźniejszy leżałem ciężko oddychając. Nie wiedziałem już nic o przyszłości, a przeszłość była dla mnie tylko wspomnieniem. Bramy, które otworzyły się przede mną przed chwilą zamknęły się ponownie. Widocznie nie było mi jeszcze dane przez nie przejść. Ale wiedziałem, że chociaż przez moment, lecz poznałem wyższy wymiar.

Ponad trójwymiarową czasoprzestrzenią i czasorzeczywistością zapanowała wielotorowa rzeczywistość, przestrzeń z antyczasem, wieczną teraźniejszością zawierającą w sobie nieskończoną jedność przeszłości i przyszłości.

Powoli była wyłączana moja świadomość. Było tylko coraz więcej bieli. Białe krzesła, łóżka, stoliki, białe ubrania i fartuchy przelatywały obok moich oczu. Była też jakaś skomplikowana aparatura medyczna.

W tym momencie wszystko poszarzało i pociemniało.

8.

Ostry, wdzierający się w każdy zakamarek psychiki dzwonek wyrwał mnie ze stanu nieświadomości. Usłyszałem mnóstwo dziecięcych głosów. Panowała wrzawa i zamieszanie. Podniosłem głowę i zobaczyłem długi rząd ławek powoli napełniających się dziećmi. Na końcu umieszczona była długa, czarna szkolna tablica. Znajdowałem się w dużej, szkolnej klasie. Nagle jakieś dziecko zawołało:

- Uwaga! Idą! Jest ich czterech i mają nasz dziennik!

- Po tych słowach reszta uczniów usiadła w ławkach i zapanowała absolutna cisza. Nie wiedziałem co mam robić. Szkołę skończyłem już dawno i czułem się staro siedząc w ostatniej ławce. Wstałem i podszedłem do drzwi. Chciałem wyjść ze szkoły i zobaczyć gdzie znów rzeczywistość mnie rzuciła. Lecz w tym momencie do klasy weszło czterech mężczyzn. Nim zdążyłem cokolwiek zrobić usłyszałem za sobą szum krzesel i jedno przeciągłe „dzień dobry”.

Najgrubszy z mężczyzn usiadł za stolikiem, odpowiedział pozdrowieniem i ręką dał znak aby wszyscy usiedli. Trzej pozostali dosunęli krzesła i zajęli miejsca obok niego. Wtedy ten pierwszy zwrócił się do mnie:

- Jesteś nowym uczniem, tak? Dobrze, zajmij miejsce w pierwszej ławce i zaraz sprawdzimy twoje wiadomości. Przewidzieliśmy na dzisiaj pracę kontrolną. Zresztą mamy dzisiaj gości, którzy dokładnie sprawdzą co potrafisz.

- Ależ ja... - chciałem wytłumaczyć przypadkowość mojego tutaj pobytu, lecz nie zostałem dopuszczony do głosu.

- Proszę nie protestować - zwrócił się mężczyzna siedzący po prawej stronie grubasa. - Zresztą widzę po twoim wieku, że nie spieszno ci było do naszej szkoły. No, ale skoro już jesteś, to my jeszcze potrafimy ci czegoś nauczyć. Zresztą nie na darmo mówią o naszej szkole „szkoła geniuszy”.

Zaczęła mnie bawić ta rzeczywistość. Ja w szkole geniuszy. Skoro przedtem starałem się walczyć i przeciwstawiać, to teraz postanowiłem, że chociażby przez moment będę biernym obserwatorem. Chciałem zobaczyć co z tego wyniknie. Nie oponując zająłem miejsce w wyznaczonej ławce. Wtedy najniższy z mężczyzn rozdał wszystkim uczniom duże arkusze papieru.

- Dzisiaj w ramach pracy kontrolnej będziemy pisać wiersze. Temat jest dowolny - odezwał się najgrubszy, jak się zdążyłem zorientować nauczyciel i wychowawca tej klasy. - Wraz ze mną przyszedli panowie krytycy, będą oceniać wasze prace.

Podniosłem długopis leżący na ławce, zamyśliłem się i napisałem kilka skojarzeń ujętych w formę wiersza. Całość wyglądała mniej więcej w ten sposób:

BEZ WYMIARÓW

jak głęboki

jest czas

jak niebo

jak ziemia

a może to tylko

przywidzenie

kiedyś przychodzi

taka chwila,  
że patrzysz  
w przód  
i w tył  
i niczego nie jesteś  
już pewien

Spojrzałem na kartkę i pomyślałem, że to właśnie jest dobre i powinno się panom krytykom spodobać. Położyłem przed sobą długopis i oparłem się wygodnie. Jeden z krytyków widząc, że skończyłem podszedł do mojej ławki i spojrzał na kartkę. Zamyślił się i powiedział:

- Co, już skończyłeś? Przecież to zbyt chude i krótkie. Za takie coś możesz dostać dwóję.

- Ale pan mówił, że miał być jeden wiersz - próbowałem się bronić - Napisałem to co czułem i myślę, że wyraziłem tutaj wszystko.

- Ja jestem krytykiem i wiem co jest dobre. A jak ci powiedziałem, ten wiersz jest zbyt chudy. Masz przecież jeszcze pół godziny do końca lekcji. Napisz jeszcze jeden lub dwa, a my z tego wybierzemy coś i będziemy mogli cię ocenić - powiedział i poszedł na swoje miejsce.

Popatrzyłem na kartkę i pomyślałem, że skoro jest on krytykiem, to na pewno ma rację. Napisałem więc jeszcze dwa wiersze, bo im więcej, tym lepiej:

ROZPOCZĄĆ COŚ

jaki smak ma gorycz  
jakiego koloru jest czerwień  
chyba dobrze jest jechać na koniu  
w wysokim zbożu  
odbierać hołdy  
dobrze znać  
odpowiedzi na głupotę  
mieć lekarstwo  
na czas  
bowiem napięcie  
mija w drzeniu ciał  
kochankowie gardzą sobą  
tak to naprawdę dobrze  
rozpocząć proces  
zwany śmiercią

- No, ten tekst powinien być lepszy, bo nie jest taki chudy. Z góry jest nawet dość gruby. Fajne jest też zakończenie, takie obrazowe i niespodziewane. Na pewno dostanę piątkę - myślałem.

Zabrałem się do pisania następnego, ale jakoś szło mi to strasznie opornie. Najlepiej gdyby był podobny do tych dwóch i zawierał termin czas, to powinno chwycić.

Starłem się jak mogłem, aby ten wiersz nie był chudy. Niestety, mimo najszczerzej chęci nie mogłem go pogrubić. Również nie zdołałem umieścić w nim słowa czas. Jednak największe trudności miałem z tytułem. Siedziałem przez dziesięć minut i myślałem. Wiersz ten to było po prostu takie coś, więc tak właśnie zatytułowałem:

COŚ

to jest niekształtne  
i bez wyrazu  
jak plastelina

wykrzywiona w lustrze  
i mdła  
jak się to nazywa  
czy ma jakieś przeznaczenie  
to jest leniwe  
i głupie  
czy to jest powietrze  
czy to jest nicość  
sam nie wiem  
co ale to jest

Napisawszy i wymyśliwszy tytuł opadłem z sił.

- Pisanie wierszy jest jednak męczące - pomyślałem. Wziąłem jeszcze raz arkusz papieru i ponownie przeczytałem moje wypracowanie. Bardzo mi się te wiersze spodobały.

- Widocznie mam talent, skoro takie dobre rzeczy piszę - powiedziałem do siebie. - Na pewno dostanę piątkę!

Czułem się jak uczeń, przeżywałem prawdziwe emocje prac kontrolnych. Podałem się tej rzeczywistości tak, że były momenty, w których zapomniałem całkowicie o Middle Town, o Annie. Istniała dla mnie tylko szkolna tablica i ona była najważniejsza.

- Proszę podpisać się na kartkach, bo już zbieramy wasze prace - powiedział wychowawca klasy.

Napisałem w górnym rogu swoje imię i nazwisko i oddałem moje wypracowanie jednemu z krytyków. Uśmiechnął się do mnie. Byłem więc pewien, że wiersze są bardzo dobre, być może najlepsze w całej klasie.

- Proszę teraz wyjść na dziesięciminutową przerwę - powiedział wychowawca i sięgnął po papierosy. - My w tym czasie ocenimy wasze prace.

Wyszedłem z klasy. W obszernym korytarzu panował nieopisany hałas. Każdy u uczniów niósł przed sobą książkę i głośno powtarzał materiał.

- Czyżby na następnych lekcjach również miał być jakiś sprawdzian? - zaniepokoiłem się. - Muszę się kogoś spytać, może wtedy uda mi się czegoś nauczyć i dostanę następną dobrą ocenę.

Pod ścianą stały dwie dziewczynki z naszej klasy i głośno rozmawiały o wypracowaniu; Podeszedłem do nich i przez moment przysłuchiwałem się:

- Jestem bardzo zadowolona - powiedziała nieco niższa, z pięknymi włosami. - Udało mi się napisać dwadzieścia osiem wierszy. Nie jest to wprawdzie bardzo dużo, ale w każdym dwa razy użyłam terminu „gładkość szkolnej tablicy”. A jak tobie poszło Delaniu?

- Nie wiem co orzekną panowie krytycy, bo zbyt rzadko używałam tego terminu. Jedynym usprawiedliwieniem może być liczba, bo udało mi się stworzyć czterdzieści trzy wiersze i powtórzyłam siedem razy termin „zieloność szkolnych ławek”. No, ale zobaczymy jaką ocenę dostaniemy, na pewno będzie ona sprawiedliwa.

W tym momencie zauważyły, że się im przysłuchuję. Pierwsza odezwała się Delania:

- Cześć, co zapoznamy się? Ja jestem Delan, a to moja najlepsza przyjaciółka Bera - wyciągnęła do mnie rękę na przywitanie.

- Bardzo mi miło - odwzajemniłem uścisk. - Nazywam się Robert...

- Dlaczego jesteś taki stary? Mógłbyś być naszym ojcem - spytała Bera. - Ale dobrze, że w ogóle przyszedłeś do szkoły. Na pewno jeszcze cię czegoś nauczą.

- Słuchajcie, czy ma być dzisiaj jeszcze jakiś sprawdzian. Widzę bowiem, że każdy chodzi po korytarzu z książką i czegoś się uczy.

- Chyba nie, nic nam nie zapowiadali. Oni tak zawsze chodzą i uczą się. Nie marnują czasu, chcą prędzej zostać geniuszami. Opowiedz coś o sobie, dlaczego tak późno przyszedłeś do szkoły? - spytała Delan.

- Tak się złożyło, że wcześniej byłem zajęty innymi sprawami. Pracowałem w instytucie...

- Jak to, pracowałeś w instytucie? Nie będąc geniuszem? Chyba coś ukrywasz. Przyznaj się. Co, garowałeś przez dziesięć lat w specjalniaku? - zapytała nieco ironicznie Bera.

- Nie, nic podobnego...

W tym momencie zadzwonił dzwonek.

- Później o tym pogadamy, a teraz chodźmy do klasy! - powiedziała Dela.

Wchodząc do klasy dostałem wypieków z wrażenia. Usiadłem w ławce i z niecierpliwością oczekiwałem na wynik. Krytycy i wychowawca przez pewien czas jeszcze rozmawiali i przeglądali arkusze papieru. Pierwszy odezwał się wychowawca:

- Tak jak się spodziewaliśmy, prawie wszyscy napisali dużo bardzo dobrych wierszy i otrzymali bardzo dobre oceny. Najlepiej ze wszystkich napisał Krelan Pokanen.

- Tak właśnie - przerwał mu najniższy z krytyków - Krelan napisał sześćdziesiąt jeden wierszy. Wszystkie są o tematyce szkolnej. Opiewają szkolną klasę, podręczniki i inne pomoce naukowe. Są wśród nich ballady, sonety i wiersze białe. Przy czym jeszcze jedna uwaga: żaden z białych wierszy nie jest chudy ani krótki.

- W każdym z wierszy powtarza się wyrażenie „gładkość szkolnej tablicy” i „zieloność szkolnych ławek” - dodał inny krytyk. - Dlatego też postanowiliśmy, że Krelan dostanie dwie piątki i zostanie wydany specjalny tomik poetycki z jego wierszami. Wszyscy uczniowie obowiązkowo będą musieli nauczyć się tych wierszy na pamięć i przed każdą lekcją deklamować po jednym.

W tym momencie czterej mężczyźni podeszli do Pokanena i podali mu rękę gratulując. Wyróżniwszy najlepszego wrócili na miejsce i ponownie głos zabrał wychowawca:

- Niestety wśród waszych prac znalazła się taka, którą oceniliśmy bardzo nisko, a ucznia, który ją napisał postanowiliśmy ukarać.

Ciekaw byłem o kogo chodzi. Ja mimo, że miałem trzy wiersze, to zawartą w nich tematyką przewyższałem ich utwory przynajmniej o połowę. Zresztą jeden z krytyków nawet się do mnie uśmiechnął. Właśnie on też zabrał teraz głos:

- Uczniem tym jest przybyły dzisiaj Robert Torrow - w tym momencie dostałem gęziej skórki na plecach i pociemniało mi w oczach. - Przez całą godzinę lekcyjną zdołał on napisać jedynie trzy wiersze, chociaż trudno nazwać je wierszami. Mimo uwag, jakie otrzymał on w czasie wypracowania są one za chude i za krótkie. Oprócz tego ich tematyka jest nie do przyjęcia. W dwóch wierszach powtórzył termin „czas”, a jak wszyscy wiemy to słowo jest zabronione w wypracowaniach. Nie opiewał on również ani szkolnej tablicy, ani w ogóle żadnych innych klasowych sprzętów. Dlatego my, krytycy z całą odpowiedzialnością stwierdzamy, że jest on idiotą.

Po tych słowach przerwał swoją wypowiedź i kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza w płuca. Ja natomiast poczułem napływające do oczu łzy i mimo najszczerszych chęci zapłakałem.

- Płacz tutaj już nic nie pomoże - odezwał się ponownie. - Wyglądałeś w tej klasie jak ojciec tych dzieci. My również chcieliśmy, aby ci wreszcie dobrze poszło. Ale niestety, to co napisałeś jest karygodne. Nie może być mowy o jakimkolwiek wybaczeniu. Zostaniesz przykładnie ukarany. Naszą decyzją zostajesz ponownie odesłany do specjalniaka na pięć lat. Teraz możesz już stąd iść. Dostaniesz specjalne zaświadczenie, na podstawie którego nasza opieka społeczna odpowiednio się tobą zajmie.

Po tej informacji usiadł i zapanowała grobowa cisza pełna oczekiwania. Zrozumiałem, że muszę opuścić klasę. Ciężko wstałem, odwróciłem się jeszcze i uśmiechnąłem do Delanii i Bery. One zaś

opuściły wzrok nieco się rumieniąc.

- Nie mam więcej czego szukać wśród tych gówniarzy i napompowanych krytyków - pomyślałem i wyszedłem z klasy.

Na korytarzu wybuchnąłem głośnym śmiechem. Teraz dopiero stwierdziłem jak bardzo poddałem się tej rzeczywistości, jak bałem się, jak przeżywałem uczniowskie rozterki. Najśmieszniejsze z tego wszystkiego było to, że przejąłem się do łez tym, że zostałem nazwany idiotą. Zawsze najzabawniejsze jest, gdy idiota mówi do drugiego człowieka: „jesteś idiotą”.

Wyszedłem z korytarza na duże szkolne boisko. Słońce oślepiło mnie jak potężna jarzeniowa lampa. Czas ponownie utracił swoją ciągłość. Uniosłem się w mlecznobiałej przestrzeni. Obok mnie przepływały białe sprzęty, białe fartuchy i jasno świecące białe lampy. Bardzo bolał mnie mózg. Coś do niego tłoczono i coś wysysano zarazem. Ktoś chyba dokonywał jakiegoś zabiegu na mojej świadomości. Coraz bardziej mnie to bolało. Gdy zrobiło się tak jasno, że oślepiło całą moją świadomość i myślałem, że zaraz coś pęknie, momentalnie pociemniało, coś mocno gruchnęło, uderzyło mnie po głowie i ponownie wpadłem w stan nieświadomości.

Wybuchy jasnych ogni powtarzały się coraz częściej. Kolorowe światło przelatywało obok i ginęło w bezkresnej czerni. Dosyć długo leciałem w przestrzeni na promieniu. Byłem lekki i nieważki, nie miałem ciała, ale tym się nie przejmowałem. To nie miało żadnego znaczenia, rozkoszowałem się trwaniem wyzbytym ograniczeń. Forma bytu ograniczona przez ciało straciła swój sens. Przenikałem przestrzeń we wszystkich kierunkach.

To był chyba cały kosmos, mnóstwo gwiazd i różnych galaktyk. Wędrowałem przez opustoszałe układy planetarne, przenikałem wystygłe słońca, rozkoszowałem się gorącym olbrzymich gwiazd. Myśl była całkowicie wolna. Szukałem życia, chciałem zgłębić tajemnicę śmierci.

Wiedziałem, że właśnie teraz osiągnąłem absolutną wolność. Wiedza, jak otwierająca się brama, zapraszała mnie do siebie. Chciałem zażyć choć przez moment absolutnej wszechwiedzy. Mój umysł już zaczął przyswajać sobie nowe nazwy i pojęcia, gdy coś pękło. Kurczyłem się szybciej niż rozszerzałem. W oddali ujrzałem swoje ciało. Jakaś potworna siła, której nie umiałem się przeciwstawić wciągała mnie do ciała.

Byłem ponownie zamknięty w kokonie czaszki. Leżałem odrętwiały na olbrzymim komfortowym łożu. Miałem chyba gorączkę, bo całe ciało opływało falami ciepła. Wydawało mi się, że moje ręce napęczniały, palce jak ogromne balony unosiły się wokół głowy. Żaden ruch nie był możliwy... Przyjąłem już do wiadomości, że straciłem absolutną wolność. Do wszystkiego można się chyba przyzwyczaić, bo ciało moje wydało mi się czymś najlepszym na świecie.

Z trudem usiadłem na łożu i rozejrzałem się wokół siebie. Nikogo w zupełnie pustej sali nie było. Nawet nie próbowałem zrozumieć, mojej obecnej sytuacji. Tym razem było to już ponad moje siły. Całkowicie ogłupiły mnie rzeczywistości, sytuacje bez żadnego logicznego związku. Nagłe w głośniku, którego nie dostrzegłem wcześniej usłyszałem zapowiedź:

- Proszę bardzo o stawienie się za piętnaście minut na bieżni. Szatnia jest po lewej stronie.

Po tych słowach popłynęła delikatna muzyka, a ja wyszedłem do szatni. Na wieszakach wisały pasiaste piżamy. Bez namysłu włożyłem jedną z nich i wyszedłem na bieżnię. Zgromadziło się już tam dużo ludzi w podobnych piżamach. Natomiast cały stadion wypełniony był po brzegi ludźmi w białych fartuchach. Nie zwracałem uwagi na innych zawodników. Całą uwagę koncentrowałem na biegu. Wiedziałem, że muszę dobiec do końca, że będzie to bieg o najwyższą stawkę. Przymknąłem oczy i powoli przykucnąłem w bloku startowym.

Usłyszałem wystrzał i wystartowałem. Mięśnie kurczyły się i rozciągały automatycznie. Serce pracowało równo i rytmicznie, zupełnie jakbym widział to na ekranie encefalografu. Nie czułem fizycznego zmęczenia, tylko psychiczną udrękę biegu. Wprawdzie dystans nie był długi, ale bieżnia rozciągała się w nieskończoność. Bardzo dokuczała mi przeszłość. Ciągle miałem przed oczami minione wydarzenia.

W tylnej części mózgu występował rytmicznie w takt kroków ucisk. To było jak prasa hydrauliczna. Momentami zmieniało się to w bardziej natarczywe uderzanie pustą metalową rurą, którego echo wędrowało po wszystkich zakamarkach ciała. Wymyślałem różne zaklęcia, modliłem się do bieżni, aby to wszystko ustąpiło.



Przez załamane oczy widziałem sylwetki innych biegaczy. Jednakże było to dla mnie zupełnie nieistotne; chciałem dobiec do końca. Wiedziałem, że czegoś ode mnie oczekują, że bieg ten będzie zwycięstwem i niektórzy bardzo się z tego ucieszą i przez moment będą szczęśliwi.

Nastąpił kryzys. Już byłem gotowy stanąć lub usiąść byleby tylko psychiczne dolegliwości ustąpiły, jednakże jakby pragnienie życia pchało mnie do przodu. Wewnętrznie potrzebowałem osiągnięcia mety tak bardzo, że przestałem zwracać uwagę na ból, a w myślach powtarzałem: „musisz dobiec, musisz dobiec, musisz dobiec...” Słowa te działały jak hipnoza. Przestałem odczuwać dolegliwości, a osiągnąłem pewność dojścia do celu, który zacząłem odczuwać bardziej wyraźnie niż kiedykolwiek indziej. Był to powrót do domu, do Anny i do normalnej codziennej rzeczywistości.

Teraz dopiero zwróciłem uwagę na ciężkie kroki i głośnie sapanie. Było to jakieś takie bardzo mi znane. Odwróciłem się i ujrzałem ociężałe biegnącego Harleya.

- Harley! - wrzasnąłem na całe gardło - Co się z tobą działo? Dlaczego zniknąłeś z komisariatu nie obudzisz mnie?...

- Nie pytaj mnie teraz o nic! Ja już nie mogę, nie dobiegnę do mety! Nie mogę!

- Musisz! - przerwałem mu ostro. - Tyle już wytrzymałeś, to i to na pewno ci się uda. Teraz musisz zdać się tylko na własne siły, bo ja ci pomóc nie mogę. Bieżnia nas bada, rozgrywa się tutaj również walka o własny egoizm. Osiągnięcie mety oznacza zwycięstwo nad śmiercią i powrót do normalnego życia. Więc zbierz wszystkie siły i postaraj się osiągnąć cel. To jest najważniejsze i niech wypełni całą świadomość, poddaj się temu pragnieniu jak hipnozie.

- Nie mów tyle! - krzyknął Harley. - Sam wiem co dla mnie jest najważniejsze. Skoro wiem, że nie dam rady, to muszę zrezygnować. Trzeba również umieć zrezygnować. Ja nie potrafię dobiec do mety!

- To nieprawda, wmówiłeś to sobie. Wmów sobie lepiej, że koniec jest już niedaleko i z pewnością szybko dotrzesz do niego.

- Nie mogę! Nie mogę okłamywać siebie. Może nie jestem tak jak ty silny, ale wiem z całą pewnością na co mnie stać. Na razie żegnaj!

To powiedziawszy zrezygnowany zatrzymał się, zszedł na pobocze i usiadł na murawie. Po chwili straciłem go z oczu. Biegłem dalej w tłumie podobnych do mnie osób. Gnębiło mnie wspomnienie Harleya. Czy nie za szybko czasami człowiek rezygnuje. Właśnie słabości wychodzą bez ostrzeżenia na wierzch i zniweczyć mogą nakreślone plany. Przez cały czas myślałem, że Harley jest silniejszym człowiekiem, a może przeżył więcej niż ja i to go wykończyło.

Meta była już chyba niedaleko, bo pojawiło się dużo białego światła. Nie biegłem już po bieżni, lecz po długim białym korytarzu. Gdy dobiegłem do jego końca otwarły się przede mną białe bramy. Kiedy znalazłem się w środku, ponownie zostałem oślepiony tym cholernym światłem. Straciłem podłogę i przez chwilę unosiłem się w przestrzeni. Ból mózgu powrócił, był on bardziej natarczywy i nieznośny. Prześwietlano go promieniami a on pęczniał i pęczniał. Już nic nie pamiętałem. Przeszłość zatarła się całkowicie. Teraz mózg był duży jak balon i falował jak morze. Nagle ostre ukłucie w sam środek czaszki spowodowało kurczenie się mego umysłu. Z dzikim świstem wylatywało z niego kilkaset rzeczywistości związanych na supeł i przez pewien czas przeżywanych jako moje teraz; pozostały tylko wspomnienia, które jak dobra książka mówiły o przeszłości. Wracałem do siebie.

10.

Leżałem na twardym łóżku. Czułem obok siebie obecność kilku osób, ale nie wiedziałem kim one są. Nie mogłem jeszcze podnieść powiek, były zbyt ciężkie. Zatrzasnęły się na mych oczach, jak ciężkie metalowe bramy. Słyszałem głos dobiegający gdzieś z bardzo daleka, potem zupełnie z bliska:

- Pani mąż czuje się dzisiaj już lepiej, powinien lada chwila odzyskać przytomność. Wczoraj został on poddany zabiegowi i bardzo dobrze to wytrzymał. Maszyna XBT została po raz pierwszy użyta do leczenia tego typu schorzeń.

- Jak się to w ogóle stało, że coś takiego mu się przytrafiło - usłyszałem dobrze znajomy głos, była to na pewno Anna.

Ponownie próbowałem otworzyć oczy, ale w dalszym ciągu nie było to możliwe. Męski głos ciągnął dalej:

- Jak dowiedzieliśmy się od jego współpracowników, podczas prób z głównym pulsatorem XBT wystąpiły nieoczekiwane przebicia magnetyczne i pasmowa pulsacja ultradźwięków. Pani mąż i jego przyjaciel Harley Kalton pracując bez żadnych ochraniaczy ulegli wpływowi silnego pola magnetycznego i ultradźwięku. Wytworzony został u nich bardzo dziwny rodzaj schizofrenii. To wyglądało tak, jakby zostały otworzone przed nimi ogromne bramy szaleństwa. Na szczęście zespół Instytutu Inżynierii Medycznej dokończył prace nad aparatem XBT i dzięki temu mogliśmy dokonać zabiegu.

Poruszyłem kilka razy ręką. Widocznie to zauważono, bo usłyszałem gwałtowne:

- Siostrze, proszę natychmiast jeszcze jeden zastrzyk!

Poczułem mocne ukłucie w lewe przedramię i napływ nowych sił. Poleżałem jeszcze tak przez moment i po chwili spróbowałem otworzyć oczy.

Tym razem udało mi się.

Leżałem w dużej sali szpitalnej. Obok mojego łóżka stał Roy w białym fartuchu. Za nim stali Anna, Joanna i Loran.

- Anno co oni tutaj robią, a Roy?! - wypowiedziałem cicho, acz dobitnie.

- Robercie! - krzyknęła Anna i podbiegła do mnie. - Już wszystko w porządku. Już jesteś zdrowy. To jest Roy Alsen, lekarz, który dokonał zabiegu. Dzięki niemu jesteś już zdrowy, zdrowy. A tak się bałam. Nikogo nie poznawałeś, krzychałeś często i czegoś bardzo się bałeś.

- A one? - pokazałem na Joannę i Loran. - Jak czuje się Harley?

- Te panie to pielęgniarki z naszego szpitala. Przez cały czas opiekowały się panem - powiedział Roy.  
- A Harley?

- On niestety nie wytrzymał zabiegu. Organizm miał zbyt wycieńczony i słaby. Ale próbowaliśmy wszystkiego co w naszej mocy.

- A więc jednak. Sam zresztą mówił, że nauka wymaga poświęceń - powiedziałem do siebie i bardzo zrobiło mi się go żal. Nie mogłem jeszcze uwierzyć w to, że nie będę miał przyjaciela i współpracownika. Ale niestety tak w życiu bywa, że jedni poświęcają życie, aby inni mogli żyć.

Aparat XBT jest już w szpitalu w odpowiednich rękach. Dzięki niemu można będzie przywracać psychiczne zdrowie wielu ludziom. A więc nasz wynalazek znalazł zastosowanie i skutecznie może leczyć.

- Anno - zwróciłem się do żony - Teraz będziemy mogli wyjechać wreszcie nad morze lub w góry i porządnie wypocząć.

- Tak Robertcie, nareszcie - powiedziała Anna i delikatnie mnie objęła. - Tak bardzo się cieszę, że wszystko w porządku. Tak bardzo cię kocham.

- Ja również kocham cię - powiedziałem i poczułem, że ogarnia mnie zmęczenie.

- Teraz proszę zasnąć i wypoczywać - powiedział do mnie Roy i poprawił kołdrę. - Później ponownie zobaczy się pan z żoną.

Uśmiechnąłem się życzliwie i zamknąłem oczy. Po raz pierwszy od dłuższego już czasu zasypiałem normalnym snem.

## Lustro

Odłożyłem widelec opierając go o krawędź talerza. Poprosiłem o dołożenie ziemniaków, które wyjątkowo mi dzisiaj smakowały. Jolka uśmiechnęła się do mnie i, przysuwając w moim kierunku salaterkę, powiedziała, że mogę to sobie zrobić sam. Nałożyłem sobie kopiatą dokładkę, ale sosu było za mało. - Nie masz tam w garnku jeszcze? - spytałem uprzejmie. Jolka wstała od stołu zostawiając karmienie Beatki i wyszła z pokoju z sosjerką w ręku. Beatka obejrzała się za mamą, czknęła, po czym schwyciwszy garścią łyżkę, którą była dotąd karmiona, pacnęła nią w sam środek talerza z drugim daniem. Sos prysnął na serwetę. Szybko wsiąkał zostawiając brudnobrazowe plamy. Dziecku mało było pojedynczego efektu, więc jęło walić raz za razem, trzymaną w rączce łyżką biorąc szeroki zamach. Jolka wchodząc powiedziała tylko „Jezus Maria” i odebrała dziecku zabawkę. Mała odczekała chwilę i zawyla. Gdy Jolka polewała sosem moje ziemniaki dziewczynka ucichła, widać zainteresowana dziejącymi się na stole sprawami, ale zaraz wróciła do demonstrowania swego niezadowolenia. Ziemniaki na moim talerzu stygły, a ja musiałem zastanawiać się nad odpowiedzią na pytanie Jolki, jak mogłem pozwolić, aby dziecko bawiło się w ten sposób? Wzruszyłem w odpowiedzi ramionami. Od wychowania córek są matki i nie będę się wtrącał w nie swój interes. Zapowiedziałem to już kilka lat temu i trzymam się tej linii postępowania do dzisiaj. A niby co miałem zrobić? Teraz mała drze się jak opętana, nadyma się, krew napływa jej do twarzy, a z wykrzywionych ust spływa papka powstała z upakowanego w buzi pożywienia wymieszanego ze śliną i łzami. Cholera nie dziecko! Krzysiek siedzi wyprostowany i nie zwraca na nic uwagi. On często tak. Wdał się chłopak we mnie, daję słowo.

Przerywając jedzenie wstałem od stołu i podszedłem do telewizora. Nacisnąłem czerwony guzik i czekałem aż rozgrzeją się lampy. Jolka popatrzyła na mnie, jakby nie wiadomo co. Już nawet telewizji nie można spokojnie obejrzeć. Co z tego, że przy obiedzie? Zje się, poogląda się. Wszystko razem. Czas jest drogi, trzeba go oszczędzać. Teraz coraz więcej zależy od właściwej organizacji zajęć. Jedno niewłaściwe posunięcie i już zaczyna się zawalać cała organizacja dnia. A potem trzeba nadrabiać. Najczęściej miną, bo i jak inaczej można. Życie nie czeka.

- Zębami nie patrzę - powiedziałem do Jolki, ale ona nic nie odrzekła szczęśliwa, że wreszcie udało jej się uciszyć małą i wepchnąć jej następną porcję papu. Nie przeszkadzało jej nawet, że dziecko wyrywało jej właśnie włosy z głowy. „Matka to jednak matka” - pomyślałem wracając na miejsce, bo obraz już się pokazał i nawet nie skakał, jak to zwykle bywa po włączeniu. Ziemniaki wystygły, toteż odsunąłem talerz i rozejrzałem się za deserem.

- Skocz, Krzysiu do kuchni. - Chłopiec spojrzał na matkę, potem na mnie. - Tam stoi budyń - dokończyła wyjaśniającym tonem Jolka. Skinąłem mu głową, że ma robić co matka mówi. Budynie przyniósł prawie natychmiast, ale z jednego zdążył po drodze zlizać cały sok. Uczciwie jednak postawił go przed sobą. - Tata, czemu tak miga? - spytał, jakbym to ja miał wszystko wiedzieć. Miga, to miga. Odczekałem chwilę, a gdy obraz w telewizorze nie zechciał się sam uspokoić podszedłem do ekranu i pokręciłem trochę gałkami. Nie pomogło. Walnąłem więc pięścią w obudowę. Nie za mocno, tak w sam raz. Jolka spojrzała na mnie spod oka, ale nie odezwała się. A migać przestało. Niech się nie czepia, bo jeden magik od telewizorów tak mi kiedyś poradził. Coś się tam z czymś łączy, czy jak, dość, że prawie zawsze pomaga. Jak nie pomoże, to trzeba wezwać fachowca. Krzysiek patrzył na mnie, jakbym dokonał

bohaterskiego czynu. Ojciec powinien imponować synowi.

Ulicą przejechał samochód. Kredens zadrżał i podskoczyły w nim wszystkie porcelany, zaś piesek, kupiłem go na bazarze, bo się bardzo Jolce spodobał, pokiwał głową. Piesek jest obrzydliwy, ale ona go lubi, to specjalnie go postawiłem na tym kredensie, bo w zwykły dzień, gdy na ulicy jest ruch nie ma nawet chwili odpoczynku, tak tą głową kiwa.

Jolka zniosła dziecko do łóżeczka - wytresowała je tak, że zasypiało zaraz po obiedzie, co było dobre, jeżeli spojrzeć na to od praktycznej strony. Krzysiek wybiegł na podwórko, co też było zwykle dobre. Ja poczłapałem do kuchni po piwo. I to nie było złe. Jak tu narzekać w takiej sytuacji?

Usiadłem sobie na tapczanie, wygodnie, nogi wyciągnąłem i wsparty na haftowanych poduszkach jak sułtan sączyłem piwo z zimnej butelki. Weszła Jolka i podała mi szklanę. Taka kultura! Żeby nie było jak pod budką. A budki zlikwidowali. Nalałem więc sobie, pianę zliząłem, bo pociekła po palcach i sięgnąłem po papierosa. Jolka usiadła koło mnie oparta o ścianę. Ręce złożyła na podołku splótszy dłonie nerwowym ruchem, dłonie o cienkiej skórze, czerwonej, tak napiętej, jakby wewnątrz nich panowało nadmierne ciśnienie. Obserwowałem je z uwagą, jakkolwiek nie było powodu, dłonie jak dłonie. Spracowane. Zmęczone. Palce ponacinane drobnymi rysami tworzącymi siatkę - na prawym kciuku szczególnie wyraźną. Zdrapany częściowo lakier z paznokci. Tyle razy jej mówiłem, aby dbała o swoje ręce, bo w nich jest cała uroda kobiety. Ale jej można powtarzać coś od rana do wieczora, a skutek taki, jakby kto chciał ślimaka na baczność postawić.

Leżąc tak na tym tapczanie zastanowiłem się nad tym, że jest mi po prostu dobrze. Że też takie najzwyklejsze sprawy, proste stwierdzenie faktu, że nic nie uwiera, nie boli, że jest się po prostu szczęśliwym, najtrudniej przychodzi na myśl. I było mi po prostu dobrze. Czas leniwie płynie - zegar na komodzie pokazuje wciąż jeszcze wczesne popołudnie, telewizor działa bezbłędnie, w ręce mam szklanę z piwem, niedziela. Zwykle bardziej lubię sobotę, bo nie muszę myśleć o następnym dniu, ale dzisiaj nawet myśl o poniedziałku, o konieczności wstania rano do pracy nie bardzo mi przeszkadzała. Jakby jej w ogóle nie było, tak cicho się zjawiała i umknęła. Zapaliłem papierosa i otoczyłem się, jak to mówią w książkach, kłębam wonnego dymu. To był „Sport”, lecz dla mnie nie było teraz niczego, co by nie sprawiało mi przyjemności. Tylko Jolka siedziała obok milcząca. To niby dobrze, bo za nic nie chciało mi się rozmawiać, ale jej milczenie było nienaturalne, jakby bała się coś powiedzieć. Co tam, nie znam się na tych wszystkich rzeczach, denerwowała mnie po prostu. Ale to działało się gdzieś na marginesie świadomości. Leżałem sobie i paliłem. Aż zachciało mi się spać. Zdusiłem resztę papierosa w popielniczkę, szklaneczkę odstawiłem koło tapczanu na podłogę.

Coś wyrwało mnie z drzemki. W telewizji leciał jakiś film o mrówkach. Jolka się poruszyła. To chyba ona mnie przebudziła. Sięgnąłem po szklanę.

Jolka skubała końcami palców rąbek fartucha. Pachniała kuchnią i biło od niej ciepło. Czy ona chociaż na godzinę nie może z siebie ściągnąć tego fartucha. Co za nieładne słowo. Powiedziałem jej, żeby nie siedziała tak, bo aż przykro, żeby w niedzielę nie mogła się ubrać przyzwoicie. Posłusznie ściągnęła przez głowę przedmiot mojej niechęci, a ja popatrzyłem na skrawek jej uda, jaki odsłoniła zadarta spódnica. Dotknąłem zimną szklaną tego odkrytego miejsca i poczułem podniecenie. Jolka wzdrygnęła się i zasłoniła nogę wygładzając materiał całą dłonią. Położyłem rękę w tym miejscu i wsunąłem palce pod spódnicę. Nie zareagowała. Przesunąłem dłoń dalej aż końcami palców dotknąłem koronki, którą obszyte były jej majtki.

- Zostaw! - powiedziała i wyszarpnęła moją rękę. Zupełnie jakby była panienką, a nie moją ślubną od ośmiu lat żoną.

- No i co?! - spytałem niemiłym tonem, bo uraziła mnie jej reakcja. Odstawiłem niedopite piwo, bo przestało mi smakować i znów zapaliłem. Na ekranie zjawily się gęsi, takie domowe. Jedna pływała po

wodzie, a druga, kołyszając się z boku na bok, chodziła brzegiem jakby bała się zamoczyć. Ta pierwsza gęś widać znudziła się, bo też wylazła na brzeg i stały obok siebie jak łabędzie w parku. Spiker mówił, że gęsi są sobie bardzo wierne i potrafią całe życie nie zmieniać partnerów. Może i tak. Zgasilem papierosa. Wtem poczułem na włosach rękę Jolki? Głaskała mnie po głowie tak, jak kiedyś matka i było to zarazem przyjemne i przykre. Obraz się zmienił i na tle jeziora pokazali wzbijające się w powietrze ptaki. To były nadal gęsi, ale inne, tym razem dzikie. Poczułem, że położyła się przy mnie. Słońce miało się ku zachodowi i gęsi rozwijały się w długi sznur zataczając krąg nad jeziorem.

Zapytała mnie nagle, czy ją jeszcze Kocham. Głupie pytanie. Przecież jest moją żoną. Czy ja jestem jakiś niepoważny facet? Jasne, że ją Kocham, chociaż się nad tym nie zastanawiam. Jest moją żoną i to wystarczy. Powiedziałem jej to. Na to ona powiedziała, że przestała mi się już podobać, bo jest za gruba i że ją zaniedbuję, bo nigdzie nie wychodzimy, w ogóle nie mam dla niej czasu, a jak już jestem w domu, to tylko bym siedział przed telewizorem i spał. A inni, to mają różne zainteresowania, czytają razem książki i rozmawiają o tym, chodzą do kina, czy do teatru, przyjmują wizyty. No bo kto u nas ostatnio był? Nikt! W zeszłym roku, na imieninach był Zdzisiek z żoną. Powiedziała to wszystko jednym tchem, albo i jeszcze więcej, jakby się przygotowała do egzaminu.

- No zobacz, jaka jestem gruba! - Odsłoniła nogi i zaczęła się szczytać po udach i pokazywać ile ma sadła. Jak dla mnie, to była jeszcze w porządku, nie wiem, co za przyjemność można znaleźć w takiej kobiecie, która ciągle się martwi, że utyje, a ciała już w ogóle nie ma. Jak ta z dołu. Ładna, bo ładna, ale chuda jak szczapa. Sądzę, że to po to, aby można było więcej ciuchów na siebie włożyć. Te baby nigdy nie mają spokoju. Jak jest już dobrze, dzieci nakarmione, mieszkanie posprzątane, to muszą sobie znaleźć jakiś temat do martwienia się. Znam się na tym. Gęsi już odleciały, a teraz po śniegu chodziły pingwiny. Jak w marynarkach. Tylko im muszek brakuje. Powiedziałem to Jolce, a ona zaśmiała się, aż jej się te nogi zatrzęsły. Poklepałem ją po jednej nodze. A ona schwyciła moją rękę i pociągnęła tam, skąd mnie przed chwilą wyganiała. Co jej do głowy przyszło? Jezus, to już nie można niczego przewidzieć!

Rozebrała się całkiem do naga, jakby miała zamiar się tutaj kąpać. Położyła się z powrotem obok mnie. Zamknęła oczy, a usta jej lekko drżały. Leżała na wznak. Dotknąłem jej piersi końcem palca. Poruszyła się kolebiącym ruchem, znaczy - pierś - przypominając plastikową torebkę z mlekiem. Jolka drgnęła i mocniej przywarła bokiem do mojej nogi. Brodawka jej piersi skurczyła się i zaostrzyła. Pingwiny urządziły sobie ze śniegu zjeżdżalnię i z pluskiem wpadły w wodę. Wesole ptaki. Jolka wzięła znowu moją rękę i położyła sobie na brzuchu. Nic nie czułem, jakby obok mnie nie leżała kobieta tylko drewniana kłoda. Skóra na jej brzuchu miała podłużne kreseczki, jakby była spękana, a biała była jak śmietana. Czułem jej zapach podobny trochę do tego, jak pachniała Beata, gdy była jeszcze niemowlęciem. Odechciało mi się Jolki zupełnie.

- Ubierz się!

Zacęła płakać. O Boże, czy one nic nigdy nie rozumieją? Jak mówię, żeby się ubrała, to po prostu chcę jej powiedzieć, że po prostu nie chce mi się. Nic nie czuję. Jak była ubrana, ten skrawek jej skóry na mnie podziałał rzeczywiście mocno. Ale wtedy sam byłem trochę jak we śnie. Zasłoniła twarz rękami a łzy jej spływały po twarzy wyciekając pomiędzy palcami i wsiąkały w koc. Narzuciłem na nią szlafrok, który leżał na krześle, bo przykro mi było patrzeć i sięgnąłem po piwo. Zwietrzało już i smakowało metalicznie. Dopiłem i krzywiąc się z niesmakiem wylałem resztę z butelki do szklanki. Zapienilo się lekko. W telewizorze jakiś brodaty facet opowiadał o wyprawie na pustynię „Starem 28”. Pokazywał zdjęcia. Jedno mi się szczególnie podobało, bo była tam oaza, jakieś palmy i mężczyźni w krótkich spodenkach siedzieli nad ceberkiem moczając nogi. Ruszył film, ale mało było widać, bo obraz był ciemny. Jakieś ruiny, czy też może lochy. Jolka wciąż leżała nieruchomo, ale już nie płakała. Poprawiłem na niej szlafrok, bo nawet brzucha jej nie zakrywał, a ona nawet się nie poruszyła. Wyobraziłem sobie, że

umarła, a ja tak siedzę nad nią i czekam nie wiadomo na co. Wystraszyłem się tej myśli i potrząsnąłem ją za ramię.

- Jolka, śpisz? Jolka! - zawołałem. Poruszyła się. Twarz miała czerwoną i napuchniętą. Wstała, a szlafrok zsunął się na podłogę. Na plecach odcisnął jej się wzór z koca, na którym leżała. Śmiesznie wyglądała, jak tak szła wolno z tym wzorkiem z tyłu. Ale ładna jest, to prawda. I zgrabna, kiedy idzie powoli. Tylko czemu zaraz płakać? Nigdy jej się nie zdarzyło, żeby tak w dzień chciała się kochać. Od tego jest noc. Jak kiedyś, zaraz po ślubie chciałem, żebyśmy się kochali rano, to powiedziała, że rano jest robota, a nie jakieś tam figle. A ja też się chyba zestarzałem. Jak sobie przypomnę, jakie ja miałem myśli, zanim Jolka wyszła za mnie, to aż mi się samemu wstyd robi. Brzuch mi urósł.

Chyba znowu przysnąłem, bo w telewizji leciał jakiś film fabularny, a Jolka krzyczała do mnie z łazienki, żebym jej przyniósł szlafrok. Podałem jej go przez szparę i powiedziałem, żeby wstawiła wodę na kawę, jak wyjdzie z łazienki. Ciekawe, teraz nie chce przejść goła, a przedtem mogła.

Krzysiek chyba poczuł ciasto przez ścianę, bo przyleciał od razu, gdy Jolka postawiła talerz z szarlotką na stole. Kawa zapachniała w pokoju. Chłopiec porwał kawałek ciasta i natychmiast położył go z powrotem, gdyż Jolka dała mu po łapach i wyszła do łazienki, aby umyć ręce.

- Tata - powiedział po powrocie, pokazując mi umyte dłonie - przyjechało wesołe miasteczko, stoi na placu nad rzeką.

- Kiedy przyjechało? - ożywiła się niebezpiecznie Jolka.

Chłopak zatkał się ciastem i nie mogąc mówić wybałuszył oczy wskazując palcem w kierunku telewizora. A tam akurat był zegar, sekundnik przeskakiwał z działki na działkę, minęło jedenaście sekund zanim Krzysztof przełknął i biorąc do ręki następny kawałek wysapał, że wczoraj. - Chłopaki mówiły, że w jednym wozie są duchy i można je obejrzeć.

- Chłopaki mówili - sprostowała Jolka.

- Oni mówili, że się wjeżdża w takie drzwi i w środku można zobaczyć trupa. To znaczy, nieżywego, nie trupa, bo on jest z plastyku, ale zupełnie jak prawdziwy. I oddycha.

- Poszedłbyś z dzieckiem do lunaparku! Pojeździecie na karuzeli.

- Duży jest, niech sam idzie.

- Tata, chodźmy! - podjął chłopak i złapał mnie za rękę.

- Ojciec powinien chodzić z synem na karuzelę. Mój ojciec chodził ze mną.

- To mama była synem dziadka?

- Przebierz go - przeciąłem niepotrzebną rozmowę, zły na Jolkę jak wszyscy diabli. Tak się dobrze ta niedziela zapowiadała.

Stanęliśmy, bo chłopcu rozwiązał się but. Akurat obok różna, gdzie sprzedawali piwo. Kolejki nie było wielkiej, parę osób zaledwie. Zaproponowałem Krzyśkowi lody. Przyjął. Stałem.

- Ładnego masz chłopaka - powiedział ktoś za moimi plecami. To był Leszek, często spotykaliśmy się tu właśnie, w takiej jak ta kolejce, zanim mu się syn urodził. Teraz raczej nie mamy okazji do spotkań. - A twój gdzie? - zapytałem.

- Pojechał na wycieczkę szkolną.

- To masz dobrze.

- Nawet nie.

- Napijesz się?

- Przestałem. Szkodzi mi - skrzywił się. - A tobie widać służy. - Klepnął mnie po brzuchu. - Nic nie piję, nawet piwa. Tak już jest. Starzejemy się.

Wziąłem dwa piwa i najmniejszą kiełbasę, jaka była. Bez „konsumpcji”, jak było napisane na wywieszce, się nie obeszło. Leszek nie był głodny, ja też nie. Za to wokół budki kręciło się chyba z tuzin

psów. Jeden podszedł do mnie i poprosił. Mądra bestia. Piwa nie chciał. Porozmawialiśmy trochę o meczu. Piwo było ciepłe, ale miało swój urok. Pachniała trawa zdeptana przez tłum, jaki przewalił się tu w południe. Wiatr podniósł z ziemi kurz i zatrzepotał zużytymi talerzykami z tektury. Ktoś trzymał się balustradki okalającej kiosk i powtarzał z uporem, że nigdzie nie pójdzie, że mu tu dobrze. Nikt go nigdzie nie zabierał, ale facet uparł się. Właściwie, to wybrał najlepszą drogę - ma czego chce. Krzysiek był już z powrotem. Dogryzał resztę wafłowego rożka. Dopiłem piwo, oddałem butelki i pożegnawszy się z Leszkiem ruszyliśmy w kierunku wirujących karuzel i diabelskiego młyna.

Hałas panował tu nieziemski. Głośniki całą parą dudniły nad głowami, ludzie znudzeni i trochę śpiący snuli się po zakurzonym placu. W kasie nabyliśmy bilety: jeden na karuzelę, jeden na diabelski młyn i jeszcze jeden do zamku strachów. Krzysiek chciał do tego zamku, ale ja powiedziałem, że zostawimy sobie to na koniec. Więc usiedliśmy na karuzeli. Krzeselka skrzypiały, cała konstrukcja chwiała się lekko, chłopiec kiwał nogami. Przypiąłem go i sam też usiadłem na krzeselku. Po piwie zrobiło mi się jakoś tak spokojnie, jakbym się zamknął w sobie. Słońce prażyło, waliło się na głowę, wokół panująca wrzawa, chrypienie głośników - wszystko to otumaniło mnie i poczułem, że zasypiam na krzeselku, gdy karuzela ruszyła. Przypiąłem się do krzeselka, bo byłoby raczej głupio, gdybym spadł.

Ziemia kołysała się pod moimi stopami, gdy zesliśmy na ziemię. Krzysiek dokonywał wokół mnie dzikich harców i ciągnął do diabelskiego młyna. A ja miałem na razie dosyć ruchu. Najchętniej usiadłbym w fotelu i zdrzemnął się. To piwo mnie rozebrało. A właściwie, ten upał.

Zamiast do młyna poszliśmy do zamku strachów. Zawszeć to lepiej siedzieć i nie unosić się nad Ziemią. Przed nami stał jakiś pan z córeczką. Byli poważni oboje i dostojni. Krzysiek wyglądał, jakby chciał dziewczynkę kopnąć w kostkę, toteż uprzedziłem ewentualną awanturę i odciągnąłem go. Za chwilę przyszła kolej na nas. Ze zgrzytem podjechał po szynach, ułożonych na zbitym z desek pomoście, blaszany wózek, podobny trochę do balii, w której kapaliśmy Krzysztofą, gdy był jeszcze mały. Facet w dzinsach przedarł nasz bilet i kazał wsiadać. Potem popchnął nas na tor. Przez kilka sekund nic się nie działo i już myślałem, że się popsuło, gdy nagie wózek, szarpnięty od spodu, ruszył, ostro zakręcając w lewo. Przed nami pojawiły się blaszane drzwi, obite z farby w miejscu, gdzie zderzały się z ich powierzchnią kolejne wózki. Trzasnęliśmy w nie z hałasem i wjechaliśmy do ciemnego pomieszczenia. Oczy oślepione przez stonce nie mogły niczego rozeznąć. Zatrzymaliśmy się. Było mi trochę niedobrze, więc pomyślałem, że trzeba może było usiąść sobie raczej na ławce, a nie jeździć po jakichś ciemnych korytarzach. Po kilku sekundach, gdy wzrok już nieco przywykł, zobaczyłem, że znajdujemy się w długim baraku, tak długim, jak widać to byk) z zewnątrz. Jakże by mogło być zresztą inaczej. A spodziewałem się nie wiadomo czego. Przez szczeliny między deskami wpadało światło rozpraszające mrok. Nie było ono jednak potrzebne, bo sądząc po dekoracji, miały to być chyba jakieś lochy, czy coś takiego. Na deskach namalowane były zmurszałe cegły, u sufitu wisiała jakaś czarna płachta. Powiało wilgocią. Ale to było chyba złudzenie.

Rozległ się zgrzyt i jakaś siła popchnęła nas kilka metrów do przodu. Stanęliśmy. Po prawej stronie, tam gdzie siedział Krzysztof, ukazał się kościotrup z kosą w ręku. Zamachnął się na nas, ale widać coś się zepsuło, bo kosa stała w miejscu, a straszdyło kiwnąwszy się w miejscu wróciło do poprzedniego położenia. Na czasce szkieletu namalowana były cyfra 17. Po lewej stronie był bardziej interesujący obrazek. W trumnie, oświetlonej od dołu pełgającym czerwonym światłem, leżała jakaś postać o czarnej twarzy trupa wyciągniętego prosto z grobu. Nawet jakiś mech porastał jej czoło. Jej - znaczy tej kobiety, bo była to niewątpliwie kobieta. Ubrana w sparciałe koronki, lewą rękę przyciskała do piersi, która spazmatycznym ruchem unosiła się i opadała. Za każdym razem słychać było warkot silniczka elektrycznego, który tę plastikową kukłę napędzał.

Krzysiek miał zdegustowaną minę. Ja też chyba wyglądałem nieszczególnie, bo znowu się poczułem



gorzej.

Na szczęście nowe pchnięcie przesunęło nasz wózek do przodu. W kącie sali, do której końca już chyba dojechaliśmy, stał rycerz w zbroi. Kiwał się poskrzypując fragmentami opancerzenia. Po podłodze szedł karaluch, czy też inne czarne paskudztwo. Chyba on był prawdziwy. I to było już wszystko.

Nagle powietrze przed nami zmętniało i zjawiło się przed wózkiem lustro. Zajmowało całą przestrzeń od ściany do ściany.

Wózek, pchnięty przez mechanizm ruszył do przodu waląc wprost na to niezwykle lustro. Widziałem własną twarz, nie zdążyłem nawet przerazić się, gdy wpadłem prosto w nieskazitelną taflę. Widziałem jeszcze kątem oka rozradowaną minę Krzyśka i unoszące się nad naszymi głowami drobne światełka. Skąd się wzięły? Jak kolorowe komary. Pomyślałem, że chyba zatrąłem się tym piwem.

Nastała nagle absolutna ciemność. Tylko światełka krążyły wolno w miejscu, gdzie chyba znajdowały się nasze głowy. Czułem jednak, że siedzę nadal w blaszanym pudełku pojazdu. Sięgnąłem ręką w prawo i natrafiłem na ciało Krzysztofa. Malec przytulił się do mnie mocno. Powiedziałem do niego, aby się nie bał, że tak ma być, ale mój głos jakby wsiąkał w gęstą mgłę. Nie dotarł w ogóle do mego ucha. Jakbym wcale nie mówił. Na wszelki wypadek zamilkłem.

Naraz zrobiło się jasno. Siedzieliśmy na łące. To znaczy - wyglądało to jak łąka i wyglądało na to, że siedzimy, a przecież wiedziałem, bo czułem pod palcami krawędź blaszanej ławki, że wciąż tkwimy w wózku. Chłopca nie było obok mnie, to znaczy nie widziałem go, ale przecież czułem, jak jego palce wpijają się w moje ramię.

Przed mymi oczyma rozpościerała się szeroka równina, na której z lekka majaczyły jakieś konstrukcje, jakby szklane, albo mgliste. Konstrukcje te nie stały w miejscu, a powoli przesuwały się, jak obraz widziany z pociągu. Przesłaniały się wzajemnie, to znów pokazywały się pojedynczo. Najbardziej jednak niezwykle było niebo, barwy dojrzałej dyni, takie, jak przy zachodzącym słońcu. Nigdy jeszcze takiego nieba nie widziałem. Fioletowe obłoki, rwane wiatrem, sunęły szybko nad nami. Czułem na twarzy powiewy tego wiatru, miał zapach świeżo skoszonej trawy. Pod nami jednak nie było łąki, tylko bezmiar czegoś, co przypominało włosy, albo wodorosty, gdy rzeka swoim prądem rozgarnia je pasmami. Wisieliśmy w niewidzialnej skrzynce z blachy, ja i mój syn, o którym wiedziałem z dotyku tylko, że jest obok, ponad tą olbrzymią łąką, która przybierała momentami kolor kawy z mlekiem, a chwilami opalizowała zielono. Po sam horyzont rozpościerała się ruchliwa masa.

Na wysokości mojego ramienia pojawił się nagle mglisty kształt z wirującymi wewnątrz światełkami. Nie był większy ode mnie, raczej taki, że sięgałby mi do pasa. Nic się więcej nie działo. Ująłem rączkę Krzyśka, a on jeszcze mocniej przywarł do mnie. Najbardziej niepokoiło mnie to, że go nie widzę.

Kształt wykonał płynny ruch i oddalił się od nas o jakieś pięć metrów. Drgnął. Powietrze przed nami także drgnęło i nagle rozbłysło złotymi liniami. Runęły ogniem w górę zmuszając mnie, abym także spojrział w niebo. Nad nami wisiała olbrzymia tarcza słońca, ale tak wielkiej nigdy w życiu nie widziałem. Zajmowała chyba pół nieba. Jakby olbrzymia pomarańcza zawisała nad naszymi głowami. Nie była jednolita, jej powierzchnię przecinały poruszające się z wolna z prawa na lewo podłużne pasy, jakby przechodziły tam brązowe chmury.

Nagły ruch u dołu kazał mi spuścić wzrok. Coś się działo. W powietrzu przed nami wykwitwały barwne znaki, jakby ktoś w ciemności świecił latarką, coraz to zmieniając barwę światła: złote, zielone, czerwone, to znów niebieskobiałe. Drgały i skakały przed naszymi oczami, kreśliły linie proste, łamane, to znowu koła. Gdzieś tam rozkwitały barwne iskry, jakby fajerwerki.

Nie wiem, ile czasu to trwało. Uczułem, że wózek toczy się po niewidzialnych szynach i nieoczekiwanie cały obraz zniknął. Dojeżdżaliśmy do blaszanych drzwi. W baraku panował mrok. W kącie wciąż chwiało się poskrzypując rycerz w zbroi. Obejrzeliśmy się z Krzysztofem równocześnie. Za

nami nie widać było żadnego lustra, tylko w miejscu, skąd wyjechaliśmy widniał niewielki poblask, jak na ekranie telewizyjnym, gdy już się wyłączy odbiornik. Taka plamka, szybko gasnąca. A pod sufitem wirowała mglista chmurka, w której błyskały kolorowe światełka.

Wózek wykonał ostatni zwrot i z trzaskiem wyskoczył na słońce. Znowu było mi niedobrze. Krzysiek milczał, gdy wysiadaliśmy z wózka. Potem powiedział, że warto było dać dychę za takie kino. Zgodziłem się z nim. Powlokłem się w kierunku diabelskiego młyna.

Do domu wróciliśmy po zmierzchu. Bo jeszcze poszliśmy nad rzekę, żeby trochę odpocząć. Jolka czekała z kolacją. Miała na sobie sukienkę, tę niebieską, w której ładnie wygląda. Krzysiek z przejęciem opowiadał o spacerze i o lunaparku, a mnie zachciało się nagle jeść. Jolka uśmiechnęła się do mnie. Na kolację była zapiekanka z sosem pomidorowym.

## Koloryt lokalny

Nad ranem, kiedy temperatura we wnętrzu stacji obniżała się bardzo, tuż nad podłogą unosił się jak niespotykanej grubości dywan, obłok pary. Biały a zarazem przejrzysty kłębił się i wirował pod nogami zmierzającego do zewnętrznych kabin Donnera. Zaklejające oczy resztki snu, przenikliwe, mimo ciepłej koszuli i swetra, zimno i opary jakby wyjęte żywcem z baśniowych bagien tworzyły wraz z przyćmionym, nocnym światłem wystarczająco przygnębiającą atmosferę, by pozbawić go resztek dobrego samopoczucia.

Starał się jak najszybciej przebyć płataninę ponurych korytarzy i chociaż droga z jego pokoju do miejsca pracy nie była długa, to kiedy dotarł do przyklepionych bezpośrednio do zewnętrznego pancerza stanowisk wymienników, czuł w skroniach niespokojny rytm przyspieszonego tętna. O tej porze panowała tu temperatura nieco niższa od normalnej, jednak w porównaniu z lodowym chłodem wnętrza stacji, atmosfera wydawała się niemal tropikalna. Wszyscy dyżurujący w nocy już wyszli i w niewielkim, słabo oświetlonym pomieszczeniu zauważył tylko ślęczącego nad jakimiś papierami Dusty'ego i kogoś odwróconego plecami, zamykającego się w kabine wymiennika.

- Jest coś nowego? - spytał szukając swojej karty.

Dusty podniósł głowę znad papierów:

- Coś jest nie w porządku z odczytami i pobór mocy jest przekroczony o prawie pięć procent...

Donner wzruszył ramionami.

- Pytałem, co nowego. W tym wraku takie rzeczy słyszy się codziennie.

Nie otrzymał odpowiedzi, zresztą nie spodziewał się jej. Właściwie prawie nie znał Dusty'ego. Tak jak z innymi stykał się z nim w pracy i podczas posiłków, rzadziej w wolnym czasie. Ani stacja, ani w ogóle jakakolwiek praca w przestrzeni czy na dalekich planetach nie sprzyjała zacieśnianiu stosunków między ludźmi. Poza niecierpliwym oczekiwaniem na wygaśnięcie kontraktów konsolidowała ich jeszcze jednakowa u wszystkich chęć powrotu w bardziej ludne strony. Powrotu o tyle beznadziejnego, że nie mógł być ani długi ani trwały.

Wszyscy po pewnym czasie, dłuższym lub krótszym, wyruszali obojętnie tu czy gdzie indziej, pchani niezrozumiałym dla innych pragnieniem wyrwania się z monotonii normalnego życia, przejścia z jednego obszaru nudy do drugiego, ciągnięci nierozzerwalnymi pętami nie potrzeby już a nałogu. Nałogu nie obiecującego niczego poza nową nadzieją powrotu, który, chociaż nie niósł ze sobą żadnej zmiany, to jednak łudził przerwaniem bezbarwnego łańcucha dni, pozorną zmianą otoczenia, zmianą światła... Co do zmiany ludzi, nikt już nie miał wątpliwości.

Donner zamknął nad sobą pokrytą brudnoszarymi zaciekami klapę kabiny wymiennika. Przypiął się pasami do fotela, nastawił wyłącznik czasowy i włączył dopływ prądu. Jako pracownik z dużym stażem i takim samym doświadczeniem nie odczuwał tak dotkliwie jak początkujący, negatywnych skutków połączenia. Nie drażniły go elektrody wszczepione pod skórę, nie czuł zawrotów głowy ani uporczywych natrętnych myśli, które tak wielu zmusiły do zmiany zawodu. Niemniej, długotrwałe działanie aparatu powodowało, utrzymujący się często nawet przez kilka godzin po jego wyłączeniu, nastrój przygnębia i apatii trudny do przezwyciężenia nawet przy pomocy środków farmakologicznych.

Kiedy połączenie zostało dokonane, zespolił się psychicznie z jakąś prymitywną istotą spoczywającą

wśród wielu podobnych w płytkim szlamie pokrywającym większość obszarów tej planety. Kierując myślami, wołał czy raczej instynktownymi odruchami amebowatego stworu, poderwał go z dna błotnistej niszy i powoli wyprowadził na suchą równinę. Pokonując bierny opór kilkudziesięciotonowego stworzenia rozpoczął monotonne zbieranie radioaktywnych rud.

Tym razem jednak nużąca praca nie trwała długo. Nie zrobił nawet pełnego okrążenia pola kiedy poczuł opanowujące go uczucie bezwładności, znak, że urządzenie łącznikowe przestaje działać. Otaczająca go granatowa ciemność zaczęła się powoli rozjaśniać, aby potem, jakby prawem kontrastu powrócić znowu już w postaci bezimiennej czerni kabiny. Z chwilą gdy ustał ucisk w skroniach znowu stał się sobą. Nie mógł czuć się otepiały po tak krótkiej pracy więc raczej z przyzwyczajenia zażył zwykłą dawkę środków pobudzających.

W pustym poprzednio pomieszczeniu panował teraz gwar i tłok nie pasujący do nastroju Donnera. Wśród dyskutujących członków ekipy technicznej z trudem odnalazł Dustyego. Dotarł do niego jednocześnie z pracującym w kabinie obok Ryanem. Dusty jakby uprzedzając ich pytania zaczął się usprawiedliwiać:

- Nie wiem co się dokładnie stało, jest jakaś poważniejsza awaria. Na razie koniec pracy. Wątpię żeby dzisiaj to usunięto, lepiej jednak nie oddalajcie się zbytnio... - przerwał nad czymś się zastanawiając - albo nie, dam wam konkretną robotę.

Z szuflady pobliskiego biurka wyjął jakiś schemat i podał go Ryanowi.

- Sprawdź linię przesyłu mocy, jeśli uda ci się pootwierać te stare kasety to zwróć szczególną uwagę na złącza. Z różnic między rachunkami a prospektem firmy produkującej te urządzenia wynika, że zużywamy za dużo energii... Ty natomiast - zwrócił się do Donnera - mógłbyś sprawdzić jeszcze raz aparaty kontrolujące jałowy bieg...

- Przecież kazałeś mi to sprawdzać kilka dni temu, kiedy wysiadła centrala rozrządu - powiedział Ryan.

- Wiem, ale musi tam coś być nie w porządku, niekontrolowany wpływ energii wynosi obecnie prawie pięć procent, a pozostałe segmenty sam sprawdzałem. Tak duży pobór mocy mogą mieć już tylko urządzenia tamtej sekcji, trzeba to jeszcze raz sprawdzić.

Ryan wzruszył ramionami, spojrzawszy pytająco na Donnera, ale ten nie poparł go, zajęty własnymi myślami. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy sprawdzał urządzenia kontrolujące bieg jałowy...

- Musiało ci się coś pomylić, Dusty, nigdy nie byłem w tamtej sekcji - powiedział.

- Nie sil się na ironię, wiem, że to nudne, ale ktoś to musi zrobić a ja jestem zajęty tutaj.

- Ale ja naprawdę nie mogę sobie przypomnieć, że bym sprawdzał coś takiego...

- Tym bardziej trzeba to zrobić teraz - Dusty był w podłym humorze, usiadł za biurkiem i zaczął nerwowo przerzucać jakieś papiery co miało oznaczać, że nie są mu potrzebni.

Ryan zaskoczony popatrzył na Donnera i na zdenerwowanego Dusty'ego, potem uśmiechnął się i ruszył w kierunku drzwi. Donner odruchowo poszedł za nim. W drzwiach Ryan odwrócił się.

- To dobrze, że go przytemperowałeś, niech sobie nie wyobraża zbyt wiele, chociaż chwilę wybrałeś niezbyt odpowiednią...

- Mówiłem prawdę - odparł Donner.

- Dobra - Ryan klepnął go z uśmiechem po ramieniu - lepiej odpocznij. - Włożył trzymany dotąd w rękę schemat do kieszeni i ruszył w kierunku pomieszczeń reaktora.

Niewielkie pomieszczenia urządzeń kontrolnych w zasadzie nie różniły się między sobą niczym szczególnym, to jednak, w którym pracował Donner, rzadko odwiedzane odstraszało zwałami kurzu i pyłu, który nierównomiernymi warstwami pokrywał wszystkie aparaty. Teraz unosił się i wirował, drażniąc oczy i drogi oddechowe oraz potęgując z pozoru nieuchwytny zapach stęchlizny. Nie zamierzał przebywać tu długo, wyjął z rejestratora graficzną kopię zapisu pracy urządzeń, dokonał pobieżnej kontroli połączeń i wściekły na archaiczny klimatyzator mieszający tylko otaczający go pył, poszedł do pobliskiego klubu.

Spojrzał na zegarek, dochodziła siódma - o tej porze nikogo tu nie było. Granatowoszara ciemność za nielicznymi iluminatorami powoli zaczęła tracić swój głęboki ton, przechodząc w jaśniejsze odcienie. Mimo, że przyzwyczajono go do wczesnego wstawania, z trudem przystosowywał się do dziennego rytmu, w czym nie pomagała lurowata kawa z automatu ani nowa porcja środków pobudzających. Monotonne przeglądanie przyniesionych zapisów jeszcze spotęgowało nastrój senności. Dopiero kiedy dotarł do wykresu zużycia prądu zainteresowała go niespotykana regularność zarejestrowanych wychyleń pisaka. Nie spotkał się z czymś takim przy żadnej awarii. Jedynym wytłumaczeniem mogło być to, że ktoś musiał podłączyć jakieś urządzenie do linii przesyłu, cóż, zwykle nadużycie... A jednak niepokojący był niezwykle kształt linii wykresu. Wynikało z niej, że co najmniej od paru tygodni podczas jałowego biegu lub konserwacji wymienników, kradzież energii stale wzrasta i to o małe co prawda, ale mniej więcej równe wartości każdego dnia. Nie przychodziło mu na myśl żadne urządzenie o takim poborze mocy. Kojarzyło się to już raczej z powolnym wdrażaniem do pracy jakiejś wielkiej maszyny. O ile dobrze sobie przypominał niczego takiego, oprócz samych wymienników, na stacji nie było.

Od dłuższego czasu prześladowające Donnera podświadome uczucie powtarzania się sytuacji i myśli nasiliło się. Chociaż wydawało mu się, że nie ma natręctw myślowych ani innych bardziej odczuwalnych dolegliwości z racji swej pracy, jednak uświadomił sobie uporczywe odradzanie się starych, zatartych zadań, skojarzeń, a nawet całych ciągów myślowych - zdarzało się to ostatnio coraz częściej, a dzisiaj szczególnie ostro.

Trochę nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się po małej salce nie mogąc zatrzymać spojrzenia na żadnym konkretnym podmiocie. Wyszarżałe i wytarte obicia foteli, nie domykające się szafki, poplamiona czymś wykładzina i porysowane szkła iluminatorów uparcie podsuwały mu jakieś niejasne skojarzenia, których sensu nie potrafił uchwycić. Złapał się natomiast na tym, że od dłuższego czasu, usiłował policzyć ile razy ostatnio odczuwał w tak dotkliwy sposób powtarzanie się sytuacji. Liczby nie mógł oczywiście podać nawet w przybliżeniu, ale musiało następować to jednak bardzo często. Na pewno miewał przedtem, jak inni ludzie, niejasne uczucie, że już to wszystko przeżywał, ale nigdy nie była to tak jasna, sprecyzowana myśl jak teraz. Odruchowo wzruszył ramionami nie mogąc otrząsnąć się z tego nastroju. Odłożył na najbliższy stół trzymane w ręku papiery.

Nie mógł połączyć się z Dustym w sprawie swoich odkryć związanych z ubytkiem energii, linia była zajęta przez konsultujących się techników. Nie chciał wracać do i tak przepełnionych stanowisk, postanowił nagrać wiadomość na kasecie i wysłać pocztą pneumatyczną.

Otworzył szyfrowy zamek swojej szafki i wyjął magnetofon. Przewinął taśmę w kasecie do położenia zerowego i żeby sprawdzić co kasuje włączył odczyt. Po krótkim urywku jakiejś melodii rozległy się czyjeś ciche, ale brzmiące wyraźnie słowa. Upłynęła dłuższa chwila zanim zorientował się, że to jego własny głos: „- Wiadomość dla Dusty’ego. Podczas kontroli urządzeń regulujących pracę wymiennika na jałowym biegu odkryłem, że strata mocy odbywa się właśnie gdzieś na linii łączącej wymiennik z rozrządem lub w samym wymienniku. Trudno w tej chwili dokładnie oszacować poniesione straty, najprawdopodobniej wynoszą one od trzech do pięciu procent ogólnych nakładów energii. Poza tym

odkryłem, że straty energii podczas jałowego biegu stale rosną, zwiększając się codziennie o pewną stałą wartość”. Taśma przez chwilę jeszcze przesuwiała się w ciszy by po cichym trzasku powrócić do przerwanej melodii. Donner wyłączył magnetofon. Było coś w otaczającej go ciszy, w mdłej szarości świtu ledwie wydobywającego niewyraźne kształty za iluminatorami i w nim samym, co kazało mu w tej chwili szukać towarzystwa innych ludzi. Nie mógł uporządkować kłębiących się myśli ani dojść do ładu z wyobraźnią spiętrzoną ciągle nowe obrazy i wyjaśnienia, które odsuwał nie mogąc ich analizować lub bojąc się takiej analizy. Trochę podświadomie, jak skazany, który uspokaja się mając przy sobie drugą osobę, mimo, że nie spodziewa się od niej konkretnej pomocy, ruszył w kierunku pokoju ekipy naprawczej. Nie było tam tylu ludzi ilu spodziewał się zastać. Przy stole siedział tylko Dusty i doktor Merck. Po zaczerwienionych twarzach, nerwowych ruchach i stosie niedopałków w popielniczce poznał, że musieli się kłócić. Nie wiedział od czego zacząć w tej sytuacji. Uprzedził go Dusty.

- Niepotrzebnie szukaliśmy awarii w samym wymienniku, okazało się, że to awaria komputera... Nie wyłączyliśmy go w porę i teraz wszystko jest unieruchomione nie wiadomo na jak długo...

Przerwało mu wejście Ryana.

- Sprawdziłem całą linię - zaczął od progę - nigdzie ani śladu...

- To już nieaktualne - przerwał mu Merck - okazało się, że to awaria komputera.

Ryan wzruszył ramionami.

- Nie mogliście wcześniej uprzedzić? - Z niechęcią rzucił zarysowany różnokolorowymi mazakami schemat na stół przed Dusty'ego.

Przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się co ma powiedzieć, potem zwrócił się do Donnera modulując swój głos tak, aby brzmiał lekko, w którym mimo to można było dostrzec nutę niepokoju;

- Słuchaj, czy przed snem jest ci tak zimno, że chodzisz się rozgrzać do pomieszczeń reaktora?

Donner spojrzał na niego zdziwiony nie wiedząc do czego Ryan zmierza. Natomiast Merck wydawał się zelektryzowany usłyszaną wiadomością.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał.

- Nie, nic takiego... - Ryan zdawał się teraz żałować, że poruszył tę sprawę - po prostu znalazłem w przedsionku reaktora dwa zdjęcia Donnera, tam jest taki automat, który przy otwarciu zewnętrznej kłapy robi zdjęcia i notuje czas wejścia i opuszczenia przedsionka. - Rzucił na stół dwie fotografie.

- Nie wiedziałem nic o tym automacie...

- Ja też dowiedziałem się dopiero dzisiaj. To pozostałość po poprzednim użytkowniku stacji. Wykonywali jakieś doświadczenia w komorze reaktora i potrzebny był im zapis kto i jak długo tam przebywa'

Doktor Merck przeniósł wzrok na Donnera:

- Pokaż dozometr - powiedział sucho.

Przed podaniem go Merckowi, Donner zerknął na fosforyzującą tarczę. Mała żółtoczarna wskazówka wychylała się daleko poza pierwszą z trzech czerwonych linii. Trzy głowy pochyliły się nad wskaźnikiem. Ktoś gwizdnął. Merck pierwszy podniósł głowę.

- Dlaczego to zrobiłeś? Jeżeli musiałeś już tam leżeć, to czemu tego nie zgłosiłeś - rozglądał się przez chwilę jakby szukając odpowiednich słów - nie wiesz, że grozi ci białaczka.

Odwrócił się w stronę interkomu i wystukał numer ambulatorium.

- Właściwie chciałem porozmawiać z tobą już od pewnego czasu - odezwał się Dusty. - Przed twoim przyjściem właśnie, mówiąc łagodnie, sprzeczałem się z doktorem o...

- Może nie w tej chwili kolego... przerwał Merck - trzeba go zabrać do szpitala.

- Myślę, że właśnie chwila jest odpowiednia, wszystko to w jakiś sposób się łączy i jeśli nie wyjaśnimy całej sprawy może ona mieć poważne konsekwencje.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem po co poszedłem do pomieszczeń reaktora. Nie pamiętam, że w ogóle tam byłem - powiedział Donner, jakby dopiero teraz ocknął się z zaskoczenia. - Przecież nie wchodziłbym tam gdzie grozi mi niebezpieczeństwo, a gdzie nie ma nic, co...

- To prawda, że tam niczego nie ma - wtrącił Ryan - to pusta sala, coś w rodzaju nieużywanego od czasów naszych poprzedników magazynu. Nawet do właściwej komory reaktora nie da się stamtąd wejść bez wiedzy komputera...

- Skoro Donner utrzymuje, że nie pamięta swojej tam bytności skąd wie, że sala jest pusta? - spytał podniesionym głosem Merck.

- To żadna tajemnica, wszyscy o tym wiedzą - odpowiedział Ryan.

- Wszyscy? Dlaczego ja nic nie wiem?

Ryan coś mruknął i spojrzał wymownie na Mercka.

- Może potem o tym porozmawiamy - przerwał dyskusję Dusty - są jeszcze inne sprawy, które chciałbym poruszyć. W zasadzie nie zwróciłbym na to uwagi gdyby nie to, czego dowiadujemy się teraz... Od dość dawna niby przypadkiem albo żartem niektórzy ludzie skarżyli się, czy raczej dawali do zrozumienia, że Donner przedrzeźnia ich i naśladuje. Takie rzeczy są raczej trudne do zauważenia a tym bardziej do słownego skonkretyzowania, dlatego dość dziwne wydało mi się, że kilka osób poruszyło tę sprawę. Poza tym rzucił mi się w oczy postępujący regres w sprawozdaniach Donnera, z których trudno było cokolwiek wywnioskować, składały się bowiem coraz bardziej ze schematycznych zwrotów i formuł. Nigdy nie powiążałbym ze sobą tych faktów gdyby nie to, czego dowiedziałem się dzisiaj tuż po awarii. Jeden z techników parę dni temu widział Donnera gdy po pierwszej kontroli tych samych co dziś urządzeń nagrywał dla mnie wiadomość na taśmie o swoich odkryciach, które wydawały mu się ważne. Zdziwił się, że posłałem tam Donnera jeszcze raz, zdziwił się jeszcze bardziej gdy usłyszał, że nie dostałem wspomnianej wiadomości...

Mimo niskiej temperatury Donner poczuł spływające mu po twarzy grube krople potu. Spróbował je wytrzeć, ale z powodu drżenia rąk rozmazał tylko pot po gorącym czole.

- To prawda - głos z trudem wydobywał się ze ściśniętej krtani Donnera. - Przed chwilą znalazłem kasety z nagraniem wiadomością, była w mojej szafce... dzisiaj doszedłem do takich samych wniosków... - Nie mógł zdobyć się na wysiłek by w jakiś uporządkowany sposób przedstawić zdarzenia. - Ale naprawdę nie wiem jak mogło do tego dojść. Nie mogę sobie nic przypomnieć...

Zlustrował otaczające go osoby. Ryan stał z boku, niewiele zdaje się rozumiejąc, ale uczuciowo chyba solidaryzował się z Donnerem - może dlatego, że wykonywali ten sam zawód, może z podświadomej chęci przeciwstawienia się kierownictwu, tak powszechnej u wszystkich ludzi niżej postawionych, a może z jakiejś innej jeszcze przyczyny. Z zachowania Mercka wyraźnie przebijała niezbyt maskowana nieufność, było pewne, że nie wierzy w ani jedno słowo Donnera. Natomiast z twarzy Dusty'ego nic nie można było wywnioskować. On też pierwszy przerwał milczenie.

- Jeśli wszystko jest tak jak mówił Donner, to jest chyba tylko jedno rozwiązanie, które równocześnie tłumaczyłoby i jego zachowanie i nienaturalne straty energii w tym sektorze...

- Proszę mówić dalej, chętnie wysłuchamy tej hipotezy, choć osobiście nie łączyłbym wymienionych faktów - odezwał się Merck.

- Moim zdaniem jest to wykorzystywanie aparatury łącznikowej w kierunku przeciwnym, od zewnątrz.

- Co za bzdura... - mruknął Merck zakrywając, jakby w nagłym zmęczeniu, twarz dłońmi.

- Czy ktoś widzi inne rozwiązanie?

- Przecież istoty żyjące na tej planecie i wykorzystywane przez nas nie są inteligentne. Ich umysłowość sprowadza się do inteligencji ameby powiększonej tak aby ważyła kilkanaście ton. W jaki

więc sposób ci gigantyczni kretyni potrafiliby i to bez żadnej materialnej ingerencji opanować tak skomplikowaną aparaturę jaką stanowią wymienniki?

- Nie wiem i nie umiem udzielić pewnej odpowiedzi przed dokładnym zbadaniem urządzeń stacji. Myślę jednak, że gdy codziennie podczas pracy łączą się tak różne psychiki, nie jest trudno o dokonanie przeskoku, który może sprawić, że psychika ludzka nie będzie już dominująca. Wystarczył być może jeden przepalony przewód w wymienniku, tak mały, że nie zarejestrowały go urządzenia kontrolne. Najnowsze z używanych przez nas urządzeń mają co najmniej dziewięćdziesiąt lat, stąd, mimo konserwacji, tyle awarii i stąd być może wynika fakt, że po tak wielu przeróbkach nie w pełni nad nimi panujemy.

- Jak to możliwe, że wpływ człowieka na te istoty nie ulega przerwaniu po opuszczeniu kabiny wymiennika?

- Każdy, kto tam pracuje, ma wszczepione na stałe elektrody, w chwili gdy opuszcza kabinę wymiennika urządzenia przechodzą na bieg jałowy - kontakt więc nie ulega przerwaniu, a jedynie zmniejsza się do nie odczuwalnych wartości. Stąd też aby uzyskać normalny kontakt poza kabinami konieczny był wzrost pobieranej energii przy jałowym biegu. Dopiero po całkowitym wyłączeniu urządzeń kontakt się urwał.

- Nie wiem, jak na podstawie tak niewielu i tak trudnych do interpretacji faktów można wysnuć wnioski o obcej interwencji w psychikę Donnera. Ale nawet jeśli założymy, że tak się stało, jeśli założymy na przykład, że chcą w ten sposób opanować naszą stację, to jak wytłumaczyć bezsensowne zachowanie się osoby podporządkowanej woli tych istot?

- Przede wszystkim nie wiemy - odparł Dusty - i nie wie tego sam Donner, czego zdołali dotychczas dokonać. Znamy tylko kilka oderwanych fragmentów z bogatej być może działalności człowieka podporządkowanego ich woli. Poza tym nie możemy przykładać do nich ludzkiej miary, nie można dopatrywać się zrozumiałych dla nas celów u kogoś tak odmiennego... Nie widzę innego wytłumaczenia dziwnego zachowania Donnera, tych luk w pamięci...

- A właśnie - przerwał mu Merck - jak pan wytłumaczy owo „przedrzeźnianie”, postępujący regres jego sprawozdań i co się z tym wiąże, o ile dobrze pana rozumiałem, regres myśli i zachowań wśród innych ludzi?

- Nie mogę bez odpowiednich badań odpowiedzieć na to pytanie. Wszystko, co dotychczas powiedziałem, opiera się na nie sprawdzonej hipotezie, ale wydaje mi się, że w chwili gdy obca psychika zdominowała świadomość Donnera, musiała przejąć kierowanie jego zachowaniem. W jaki sposób to zrobić by nie odróżniać się od innych osób - to proste, starać się robić to co one - stąd „przedrzeźnianie”. Ale to nie wystarczało, nie zawsze można brać przykład z innych, dlatego trzeba było sięgnąć do pamięci Donnera, do przechowywanych tam starych myśli, zdarzeń, reakcji, czyli... czyli schematów, na których opiera się zewnętrzny obraz człowieka.

Merck nie panował już nad sobą, rozłożone na pulpicie przed nim ręce drgały lekko, ale zauważalnie. Zwrócił poczerwieniałą nagle twarz w stronę Dusty'ego:

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że można naśladować... co tam, stworzyć człowieka, podrabiając parę schematów zachowań? Czy składamy się z samych schematów?

- Zapewne nie. Ale obraz otaczającej nas rzeczywistości, a przede wszystkim ludzi odbieramy bardzo fragmentarycznie. W żadnej ze znanych sobie osób nie dostrzegamy bezpośrednio owej „istoty wyższej”, dociera do nas to, co przekazują nam swoim zachowaniem, to, co widzimy na zewnątrz. W zależności od tego jacy sami jesteśmy dobudowujemy i uzupełniamy nasz świat indukując go i deformując poprzez własny punkt widzenia. Jacy naprawdę są ludzie, wiemy tylko na podstawie naszych wewnętrznych domysłów. Dlatego może nie zawsze potrafimy dostrzec czy pod zasłoną słów i gestów naprawdę kryje się człowiek, czy tylko go tam dobudowaliśmy.



- Nigdy się z panem nie zgodzę. To nie jest możliwe... Rozstrzygnięcie tak abstrakcyjnych problemów wykracza poza nasze kompetencje...

- Może, ale jest też realny problem, nad którym trzeba się zastanowić. Chodzi o to czy mamy wznowić pracę po usunięciu awarii.

- Nie rozumiem.

- Mamy do dyspozycji kilka faktów, które ułożyliśmy w pewną hipotezę. Kwestia teraz w tym, czy zaryzykujemy i, opierając się na wnioskach do jakich doszliśmy, mimo całej niecodziennosci i nurtującej nas w stosunku do niego niepewności wstrzymamy dalszą pracę bez względu na konsekwencje, czy też podejmiemy ją bezpośrednio po usunięciu awarii nie bacząc na niebezpieczeństwo...

Merck podniósł się powoli.

- Domyślam się do czego pan zmierza, więc odpowiem panu z góry: nie, nie wiem, co spowodowało takie a nie inne zachowanie Donnera ale nigdy, powtarzam nigdy nie uwierzę w podobne brednie wyssane z palca. Pan nie jest osobą kompetentną do tworzenia takich hipotez. Może pan być pewny, że jeśli zostanie zwołane zebranie zarządu poświęcone temu tematowi, będę głosował za natychmiastowym podjęciem pracy po usunięciu awarii.

Szybkim krokiem podszedł do drzwi i otworzył je.

- Powiem panu jeszcze tylko jedno - odwrócił się w progu. - Nie jest możliwe sterowanie człowiekiem przez jakieś bezmyślne bydlę. Nikt i nic nie może rozkazywać ani podporządkowywać sobie rozumnych i świadomych istot jakimi jesteśmy... A my - zwrócił się do Donnera - chodźmy do ambulatorium.

Donner stał oparty o rdzewiejącą ścianę ze wzrokiem utkwionym gdzieś w niewyraźnej za zaparowanym iluminatorem przestrzeni na zewnątrz stacji, nie zauważając lub nie chcąc zauważyć z trudem maskowanych ciekawych spojrzeń jakimi obrzucali go obecni. Potem powoli, jakby brnąc przez ośrodek dużo gęstszy od powietrza ruszył w kierunku jedyne go zdawałoby się istniejącego dla niego punktu w przestrzeni - rozkazującego wzroku Mercka.

## Zakład Zamknięty

Kester wytarł ręce pobrudzone świeżą, lepką ziemią w poły kurtki. Tak wielkiego korzenia nikt jeszcze nie znalazł. Wyjął z kieszeni zaostrzony na kamieniu kawałek blachy i ostrożnie zaczął nim oskrobywać warstwę ziemi, za którą ukazała się biała powierzchnia zdrewniałej tkanki, ukrywającej jadalny miąższ. Obejrzał zdobycz dokładnie ze wszystkich stron, nie było śladu brązowych plam sygnalizujących zgniłe wnętrza. Schował blachę, służącą mu za nóż do kieszeni i ruszył w kierunku bungalowu. Był tak zadowolony, że prawie uśmiechał się mijając, rozgrzebujące rękami ziemię, grupki współwięźniów.

Dziś wagowym był Stolp. Kester nie cierpiał tego małego, zarozumiałego i pewnego siebie człowieka. Nie lubił go jak zresztą wszystkich pozostałych. Zdążył ich dokładnie znienawidzić w czasie przymusowego, wspólnego życia. Na pamięć znał stereotypy ich zachowań, ich reakcje, wszystkie przyzwyczajenia i nawyki. Nawet w jego świadomości tkwiły cudze wspomnienia, opowiadane w jesienne wieczory, kiedy nie można było zasnąć, bo cienkie, nieszczelne ściany bungalowów ugiwały się pod podmuchami wiejącego od strony pustyni wiatru i nie chroniły przed jego lodowatym tchnieniem.

Stolp był jak zwykle w dobrym humorze. Czekał przed drzwiami, wygodnie rozparty na podartym kocu rozłożonym wprost na ziemi. Zobaczywszy Kestera podniósł się dość szybko, jakkolwiek zaznaczając, że robi to od niechcienia. Na widok olbrzymiego korzenia tylko gwizdnął przez zęby. Pochwycił go chciwym ruchem i przez chwilę wydawało się, że schowa go dla siebie. Podobno robił kiedyś takie numery słabszym, ale rzut oka na szerokie bary Kestera, na jego potężne, silne dłonie i ten szczególny wyraz twarzy cechujący zdecydowanie i determinację, starczył, by ze spokojem - wszystko jedno udanym czy naturalnym - położył korzeń na wadze. Powoli, jakby celebrując każdy ruch zmieniał na drugiej szali odważniki.

- Cztery i pół kilograma - oznajmił wreszcie. Nie ma co, udało ci się stary. - Przez chwilę kreślił jakieś znaki na ziemi.

- To wychodzi trzynaście godzin i czterdzieści pięć minut. Ale masz szczęście, dziś już nie musisz nic robić, jutro cały dzień i jeszcze pojutrze masz prawie dwie godziny wolnego...

Kester nie słuchał dalej, wyminął gadającego Stolpa i wszedł do swojego baraku. Wnętrze pozbawione było niemal sprzętów i jeśli nie liczyć sześciu prycz oraz małego zbiornika z wodą, nic nie wskazywało na to, że jest to pomieszczenie mieszkalne. Brakowało nawet oświetlenia i gdyby nie wpadające przez szczeliny w dachu i ścianach promienie słoneczne byłoby tu całkiem ciemno. Niestety, katorżnicza z braku jakichkolwiek narzędzi, praca przy wydobywaniu korzeni, stanowiących jedyny na tym terenie pokarm, zużywała dokładnie wszystkie siły ludzi i nie pozwalała na dodatkowe zajęcia.

Kester podszedł do zbiornika z wodą. Bardzo starannie umył ręce i wytarł je do sucha. Potem z ulgą rzucił się na pryczę. Miał trochę wolnego czasu do momentu, w którym zasną się schodzący pozostali mieszkańcy, ale wiedział, że już nie zdąży zasnąć. Leżał, patrząc bezmyślnie w ciemniejący wraz z zapadającym mrokiem sufit, gdy weszła Mira.

- Cześć Kes - rzuciła od progu - słyszałam, że znalazłeś największy korzeń jaki kiedykolwiek widziano, czy to prawda?

- Czy myślisz, że wylegiwałbym się tutaj gdyby tak nie było?

- Ile czasu przypada ci za niego?

- Ponad trzynaście godzin.

Kester ciągle leżąc odwrócił głowę. Miry nie było w polu widzenia, musiał usiąść żeby ją zobaczyć. Była ładna, nawet bardzo ładna, szczególnie w porównaniu z dziewczynami, które tu widywał. Niestety jej atrakcyjność była tu tylko jeszcze jednym narzędziem w rękach władz. Mimo, że kobiety mieszkaly i pracowały wspólnie z mężczyznami, kontakty damsko-męskie zostały surowo zakazane. Była to jedna z tych wyrafinowanych form zdalnego oddziaływania na więźniów, form tym dokuczliwszych, że odkąd sięgała pamięć Kestera nikt nigdy nie widział i nie rozmawiał z żadnym z wielu strażników, ani z nikim z kierownictwa zakładu. Nie było kontaktów z najbliższymi, żadnych paczek, listów, żadnych wiadomości z normalnego świata. Był tylko Regulamin. Przestrzegany bezwzględnie, wszechmocny i wszechobecny. Przy zupełnym braku styczności z kimś z zewnątrz, więźniowie tworzyli tu małą samowystarczalną społeczność, która w paradoksalny sposób korzystała z pewnej swobody i niezależności. Bowiem ciężka praca spowodowana była nie nakazem zewnętrznym, ale ich własnymi potrzebami - nie dostawali żywności ani ubrań. Ta pozorna wolność rodziła pokusy, które Kester dobrze znał; nawet nie strach powstrzymywał go od złamania regulaminu, pożądanie było zbyt mocne, ale obsesyjna prawie pewność, że jest ciągle pod obserwacją. Irracjonalne wrażenie, że jest śledzony towarzyszyło mu, jak i innym więźniom wszędzie, chociaż brak było na to jakichkolwiek dowodów. Nawet zmęczenie spowodowane pracą ponad siły nie potrafiło przytłumić tego odczucia. Kester często myślał, że przy dożywotnim wyroku nic już nie może powiększyć jego kary, czy zmienić na gorsze panujących tu warunków, jednak ta beznadziejność sytuacji nie wprawiała go w determinację, raczej przeciwnie, osłabiała wolę i chęć czynu i tak już nikłą po tylu latach odbywania kary. Trud i monotonia dnia powszedniego sprawiły, że bezwolnie podporządkował się wymogom znanego na pamięć Regulaminu. W jego pamięci nieuchronnie zacierało się wspomnienie świata, z którego pochodził.

Spojrzał na Mirę. Mimo, że była młodsza o dobre kilkanaście lat przeżywała to samo. Poza zniszczonymi i spuchniętymi dłońmi - wyglądającymi jak wypchane nierównomiernie, o kilka numerów za duże rękawiczki i sfatygowanym, drelichowym kombinezonem, nic więcej nie odróżniało jej od normalnego człowieka, jeszcze na dnie jej oczu nie czaił się ten wyraz całkowitej rezygnacji, tak charakterystyczny dla większości więźniów.

Przedłużając się ciszę przerwała dziewczyna:

- Właściwie nie przyszedł do ciebie, żeby rozmawiać o korzeniu, w nocy przyszedł do nas jakiś ślepiec...

- Niewidomy? Nie przypominam sobie żebym tu widział kogoś takiego, a przecież...

- To nowy!

- Nowy? - słowo to wstrząsnęło Kesterem, nagle zupełnie dla niego niespodziewanie odżywać zaczęły dawno wyblakłe wspomnienia a niejasne pragnienia zaczęły krążyć po głowie, nie konkretyzując się jednak w świadomości prawie całkowicie podległej rutynie. Nowy... Odkąd pamiętał nie zjawił się tu nikt obcy, mówiono, że władze nie pozwalają na najmniejszy przeciek informacji z zewnątrz. Uznano, że kara tylko i wyłącznie wtedy będzie dostateczna, gdy izolacja będzie zupełna.

Z trudem opanowując wzruszenie zapytał, z góry znając odpowiedź.

- Jaki wyrok dostał?

Odpowiedź jednak zaskoczyła go.

- Mówi, że nie ma żadnego wyroku.

- To jak tu trafił - przez chwilę pobudzona ciekawość szybko przygasała. - To pewnie szpicel.

- Nie wygląda na szpicla, a poza tym kto miałby go wysłać Władze więzienia? Po co, skoro wiedzą o nas wszystko. A poza tym, gdyby nawet oni go wysłali czemu mieliby robić to tak nieudolnie, w sposób

budzący podejrzenia, czemu nie przysłali go jako normalnego więźnia? Nie wiem jak się tu dostał, zastanawiałam się, ale nie doszłam do niczego. Niczego sensownego w każdym razie. Właśnie przyszedłam cię prosić o radę, chciałabym, żebyś porozmawiał z tym człowiekiem.

- O czym mam z nim mówić?... Zaraz, ale dlaczego ja?

- Dlaczego ty? Bo tylko ty budzisz tu moje zaufanie, a poza tym byłeś przecież psychologiem, łatwiej będzie ci rozgryźć jego kłamstwa.

Kester uśmiechnął się samą twarzą, uśmiechem bez wesołości, dokładnie takim, jakim szczerzą zęby wszyscy więźniowie, których Kesterowi udało się widzieć, a na pewno wszyscy więźniowie tutaj. Owszem był kiedyś psychologiem, ale pamięć tak dalece odsunęła ten fakt, tak skutecznie zmieszała z innymi, że w pierwszej chwili nie uświadamiając go sobie, chciał zaprzeczyć. Czas zdążył dokładnie wymazać z osobowości Kestera-więźnia wszystkie tkwiące tam elementy Kestera-psychologa. Owszem miał jeszcze dużo wiadomości z tej dziedziny (przypuszczał czasami, że to one pomogły przetrwać i nie ulec częstemu w tych warunkach wynaturzeniu, jakiemu uległo wiele z otaczających go osób), ale same wiadomości nie tworzą lekarza ani naukowca. A tę właśnie nieuchwytną cząstkę czuł, że utracił już dawno.

Rozległy się kroki i przyciszone rozmowy wracających z pracy. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie.

- Muszę już iść, zobaczymy się jutro na placu jak wszyscy, bardzo cię proszę, porozmawiaj z nim wtedy...

Kiwnął głową, uśmiechnęła się.

- Muszę już iść - powtórzyła. - Cześć Kes.

Machnął jej ręką. Nie słyszał jak wyszła, usłyszał za to, jak waląc buciorami zwała się do bungalowu piątka jego współmieszkańców.

- Słuchaj Kes, ale ci się udało - to był Mayer najsilniejszy i najbardziej prymitywny z całej piątki, uważał się za najważniejszego w grupie, a także za coś w rodzaju przywódcy - nikt jak do tej pory nie wyprowadzał go z błędu. - Masz jutro cały dzień wolny, to rzadko się zdarza. Ale nie myśl, że nic nie będziesz robił, na popołudnie wyznaczono ci dyżur w kuchni.

Kester cicho zaklął, choć nie był specjalnie zły, spodziewał się tego. Zresztą bał się trochę zbyt długiej samotności i beczynności, musiałby zostać wtedy sam na sam ze sobą, czego ostatnio unikał.

Przybyli myli dokładnie ręce - było to konieczne przy tego rodzaju pracy i kolejno walili się na trzeszczące prycze. Nie było żadnych rozmów, po tak ciężkim dniu zasypia się na ogół dość szybko. Tylko Kester długo się męczył, dusząc się w atmosferze przesyconej zapachem potu i nigdy nie mytych ciał. Dręczyło go, z powodów, których nie mógł zrozumieć, wspomnienie rozmowy z Mirą. Raczej wyczuwał niż wiedział, że ciosem dla niego było wskrzeszenie pamięci o Kesterze-psychologu. Ten bilet powrotny do przeszłości, do której nie można powrócić, rozsadał cały spokój wewnętrzny, budowany z trudem przez tyle lat. Odżyły dawne rany, coraz straszniejszym wydawał się los, z którym myślał, że się pogodził.

Obudził go zwykły, poranny ruch. Zerwał się szybko, według Regulaminu nie wolno było leżeć rano zbyt długo. Według Regulaminu, którego nikt nie egzekwował, a który był z pewnością o wiele bardziej przestrzegany niż w innych, konwencjonalnych zakładach. Po złożeniu koców w kostkę i nalaniu świeżej wody do zbiornika, wyszli przed bungalow gdzie mieszała się z ludźmi zmierzającymi na plac apelowy. Było pewne, że żadnego apelu nie będzie, ale wszechmocny Regulamin nakazywał odstanie tam godziny. Doszli szybko, plac znajdował się niedaleko części mieszkalnej, na piaszczysto kamiennej płaszczyźnie ograniczonej z dwóch stron dość stromymi, skalistymi wzniesieniami. W wąskim prowadzącym na zewnątrz przesmyku rozkraczyła się niska i przysadzista wieża strażnicza, jedyna widoczna z tego

miejsca. O tej porze dnia słońce stało wprost nad nią wystrzając ponurą wymowę jej profilu i oślepiając wszystkich patrzących w jej kierunku.

Kester rozejrzył się dookoła. Mira już czekała, machała ręką. Podszedł bliżej, dopiero teraz zauważył stojącego tuż obok niej starca w ciemnych okularach na dużym, niedopasowanym do reszty nosie. Ani starość, ani małe czarne okulary nie zdołały zetrzeć z tej twarzy śladów inteligencji, owego charakterystycznego wyrazu, pozwalającego odróżnić jego właściciela w tłumie innych ludzi. Mimo kalectwa, w postawie ślepcy widać było pewność, pewność, jakiej Kester nigdy nie zauważył w obozie. Już na pierwszy rzut oka człowiek ten budził zaufanie. Kester nie poddał się temu uczuciu. Dziewczyna natomiast miała głęboko podkrążone oczy, twarz bladą i wymiętą. Była bardziej przygarbiona niż zwykle. Na pewno nie spała w nocy mimo całego dnia ciężkiej pracy. Na widok Kestera uśmiechnęła się, zaraz jednak jej twarz przybrała wyraz powagi.

- Wiesz Kes, powzięłam ważną decyzję, ale zanim ci ją wyjawię, chcę cię o coś spytać. Czy wiesz jak ten człowiek się tu dostał?

Wzruszył ramionami.

- On mówi, że wędrował skrajem autostrady z miasta do miasta, czasami jechał jak go ktoś zabrał, ale wczoraj czy raczej przedwczoraj właśnie szedł. Zaskoczyła go burza piaskowa, w której stracił swego psa przewodnika i zgubił autostradę, potem trafił tutaj... Ale co najważniejsze, przeszedł przez przesmyk, tuż koło wieży strażniczej i nikt go nie zatrzymał. Długo wczoraj rozmawialiśmy i... to wydaje się niemożliwe, ale doszłam do wniosku, że żadne więzienie nie istnieje, to jest..

- Co za bzdura! Czy chcesz powiedzieć, że jesteśmy tu z własnej woli? Że sami wymyśliliśmy to piekło?

- Świetnie to ująłeś Kes - krzyknęła - sami je poniekąd wymyśliliśmy! Ale nie przerywaj mi i nie odchodź, chcę cię jeszcze o coś spytać - powiedziała widząc jego reakcję.

- Czy pamiętasz jak się tu dostałeś?

Kester zastanowił się, ale jedyną refleksją jaka musie nasunęła był pewność, że nigdy dotychczas o tym nie myślał. Zaczął uporczywie przeszukiwać wszystkie zakamarki pamięci.

- A może wiesz za co cię skazano?

Od paru chwil jakaś myśl uporczywie wymykała się Kesterowi, gdy ją wreszcie uchwycił, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Tak, to właśnie ona nie pozwalała mu tak długo zasnąć - nie mógł dojść dlaczego przestał być psychologiem, dlaczego tu jest? Pamiętał, że nie był w stanie skonkretyzować tego pytania, udało się to dopiero teraz.

- Widzisz, nie możesz sobie przypomnieć, nie ty jeden zresztą. To samo jest ze mną i z kilkoma innymi osobami, które pytałam. Jak myślisz, czy to możliwe żeby nikt nie wiedział za co jest ukarany?

Kester popatrzył na nią z przerażeniem.

- Proszę cię Kes, odpowiedz mi, ale rzetelnie, na jedno pytanie: czy możliwe jest z punktu widzenia psychologii by grupa ludzi tak dalece uwierzyła w pewną nieistniejącą sytuację, że mimo faktów świadczących przeciwko niej wierzą dalej i wzajemnie podtrzymują się w tej wierze nie dążąc do odkrycia prawdy?

- Jako psycholog odpowiem: teoretycznie istnieje taka możliwość, choć w takich wymiarach jakie tu występują (jeżeli twój domysł okazałby się trafny), każdy psycholog odrzuciłby go definitywnie. Ale jako człowiek i współwięzień oświadczam, że bardziej nieprawdopodobnej historii nie mogłaś wymyślić, czy sądzisz, że te zasieki pod prądem, wieże strażnicze, wreszcie Regulamin są naszym wymysłem?

- Czy widziałeś kiedykolwiek jakieś zasieki albo wieże poza tą, którą oglądamy tylko wtedy gdy słońce świeci nam prosto w oczy? Czy widziałeś może jakiegoś strażnika albo kogoś z obsługi? Tak jak i Regulaminy istnieją tylko w rozmowach przerażonych ludzi!

- Dziewczyno, nie wiesz chyba co mówisz, jak według ciebie dostaliśmy się tutaj?

- Nie wiem, ale na pewno odpowiedzi nie znajdziemy tutaj, nie przyjdzie ona do nas sama, kiedy kopniemy bliscy obłądu ziemię, musimy zacząć jej szukać!

- Spodziewałem się po panu czegoś więcej jako po psychologu - odezwał się milczący dotychczas starzec - ale pan tkwi we własnych i to narzuconych mu przekonaniach - jak zwierzę pogodzone z klatką. Nie stać pana na rozumowe spójrzenie na świat, pozory zastępują panu fakty.

- A ty jesteś - Kester dawno już odzwyczaił się od formy „pan” - jednym z wyznawców zasady, że rozum sięga dalej niż wzrok, że...

- W moim przypadku to oczywiste, w twoim po prostu niewidoczne - wpadł mu w słowo ślepiec - stworzysz sobie przeszkody w przekonaniu, że ich nie pokonasz, prokurując nowe światy nie stajesz się ich panem, ale niewolnikiem, jesteś dalszy człowiekowi niż ziemia, w której ryjesz.

Kester wstrząśnięty odwrócił się, chciał odejść, aby pomyśleć w samotności, potrzebował czasu aby dojść ze sobą do ładu, aby móc uporządkować kłębek splątanych myśli jaki tworzyła teraz jego świadomość, ale stanął oko w oko z otaczającymi ich ludźmi. Nie zauważył kiedy ten tłum się zebrał, patrzył teraz na przyciągnięte krzykiem zmięte postacie, na bezmyślne, zrezygnowane twarze, nic nie rozumiejące, patrzące z obojętnością maszyn. Zauważył wśród nich Mayera, później Stolpa, tak odbijających się na co dzień, teraz stopionych w jedną całość z otaczającym ich tłumem, całość kierowaną jednakowymi impulsami, całość okazującą jednakowe reakcje.

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił się z powrotem do starca i Miry. Spojrzał na nią.

- Co chcesz zrobić?

- Przejdę przez przesmyk.

Spodziewał się tej odpowiedzi.

- To szaleństwo. - Zabrakło w jego głosie pewności, którą zamierzał weń włożyć, był to raczej szept, bezgłośny szept poruszającego ustami dziecka. „To szaleństwo” - tak powiedziałyby każdy z nich.

- Proszę cię, gdy już będę po tamtej stronie, przyjdź szybko, będę czekała.

Bezwiednie patrzył za oddalającą się dziewczyną. W tłumie rozległy się szepty, ktoś się roześmiał, ktoś powiedział: „Zaraz ją zastrzelą, ale będzie widowisko”. Wszyscy czekali w napięciu. Dziewczyna przebyła już ponad połowę drogi. Kesterowi nagle zrobiło się jej żal, zrozumiał, że nie może dopuścić by zginęła, musi ją natychmiast zawrócić. Rzucił się biegiem w kierunku przesmyku. Zbliżał się szybko, ale i ona szła szybkim krokiem, wieża była już bardzo blisko, jeszcze kilka kroków i zrozumiał, że nie zdąży. W chwili gdy do niej dobiegł przechodziła przez przesmyk. Z rozpędu wpadł na nią, przewrócił i potoczyli się oboje w dół po łagodnym zboczu urwiska. Kester zerwał się natychmiast. Szukał wzrokiem wieży strażniczej. Słońce, które miał teraz za plecami oświetlało dokładnie skały nad nimi, nie mógł dostrzec nic górującego nad terenem oprócz wielkiego głazu o dziwnych, ale nic nie sugerujących kształtach. Przeniósł wzrok na dziewczynę. Siedziała tuż obok rozcierając kolano, uśmiechała się.

- Jesteś - powiedziała krótko. Takiego odcienia w jej głosie jeszcze nie słyszał, a może nie zwrócił na niego uwagi.

- Chodźmy, zanim reszta tu przyjdzie, mam dość ich towarzystwa.

Kester też miał dość. Ruszyli najpierw wolno, potem coraz szybciej jakby nie mogąc się doczekać oczekującego ich świata, prawie biegli, gdy ukazała się autostrada.

Kiedy ludzie stracili z oczu Kestera i Mirę zapanowała pełna napięcia cisza. Słyszać było szybsze oddechy wielu płuc. Nie trwało to długo. Któraś z kobiet histerycznie krzyknęła:

- Wpadli do rowu z wodą, utopili się!

- Słuchajcie - zawtórował ktoś inny - Strzelają do nich!

Posypała się lawina okrzyków, cały tłum mieszał się i falował, nikt nie słyszał wołania ślepego starca

usiłującego przekonać ich, że nikt nie zginął, że powinni go wysłuchać i uspokoić się. Pod naporem tłumu cofnął się na pobocze, usiłował odejść. Zapomniano o nim - ale nie na długo. Ktoś krzyknął przenikliwym głosem wybijającym się nad ogólny hałas:

- To przez niego zginęli!

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę ślepcy choć wołający nie wskazał go palcem.

- Teraz strażnicy zemszczą się za ucieczkę.

Tłum zafalował. Nie wiadomo kto rzucił pierwszy kamień. Po kilku minutach, z wolna się uspokajając, ludzie ruszyli w kierunku korzennego pola.

## Wędrowiec

Minął już z górą rok od chwili, kiedy wraz z żoną i dwojgiem dzieci wyruszyłem na zachód. Pozostawiliśmy daleko za sobą rozpędzony świat nauki, techniki i codziennego pośpiechu, zgiełk zatłoczonych ulic, blask rozbieganych neonów, i wielkie aspiracje małego ludzkiego życia. Oprócz strzelby, naboju i paru stalowych narzędzi nie mieliśmy nic.

Wędrówka była długa i wiodła przez dziewicze lasy, rozlewiska rzek i krainy jezior, poprzez wyniosłe wzgórza, których rudożółta trawa przypominała zwierzęcą sierść i pełną śpiewu moskitów głębię wilgotnych dolin. Leżąc przy dogasającym ognisku widziałem wśród ciemnych zarośli przemykające kształty nocnych zwierząt, uważne ślepia drapieżników, a także duchy porzuconego przez nas świata. Wtedy czułem się spokojny, silny i wyzwolony. Przestałem być trybikiem wielkiej maszyny - stałem się panem samego siebie. Obok mnie spały głębokim i spokojnym snem żona i dwie córeczki.

Po wielu dniach wędrówki dotarliśmy nad ocean. Słony wiatr rozwiewał nam włosy i pieścił piersi i ramiona, a głuchy pomruk fal brzmiał przyjaźnie.

Tuż przy ujściu niewielkiej rzeczki ściałem kilkanaście dużych drzew o strzelistych pniach i rozpoczęliśmy budowę chaty. Nie było to proste zajęcie, zwłaszcza dla nas, niezwykajnych podobnej roboty. Ja stawiałem szkielet i ściany, żona uszczelniała szpary i dzielnie wykonywała lżejsze prace. Dziewczynki znosiły mniejsze sztuki budulca, a także bawiły się przystrajaniem ścian chatki leśnymi kwiatami.

Ranek spędzaliśmy pracowicie na poszukiwaniu pożywienia. Ja udawałem się na polowanie, żona próbowała łowić ryby w rzece, dzieci zaś wybierały jaja z ptasich gniazd, zbierały jagody lub szukały małż w płytkich przybrzeżnych wodach oceanu. Popołudnie wypełniała budowa naszej chatki, a wieczorem leżeliśmy przy trzaskającym ognisku i wpatrywaliśmy się w gwiazdy. Byliśmy spokojni i świadomi swojej niezależności.

Zima zastała nas dobrze przygotowanych. Mieliśmy zapas drewna i suszonego mięsa, a także odpowiednią ilość ciepłych skór, z których żona przygotowała okrycia dla nas wszystkich. Lód skuł naszą rzeczkę, za chatką nawiąło ogromne zasy śniegu, z dachu zwisały sople, ale w środku było przytulnie i ciepło. Życie upływało jeszcze spokojniej niż latem. Czasem chodziłem na polowanie lub uzupełnić zapas drewna, lecz długie godziny spędzaliśmy w chatce na celebrowaniu codziennych zajęć, a więc przyrządzaniu i spożywaniu posiłków, zabawie i kochaniu się, odpoczynku i rozmyślaniu. Byliśmy szczęśliwi spokojem i wolnością, lecz czasem gdzieś na dnie oczu żony dostrzegałem cień smutku. Nieraz, wpatrzony w gęstniejący za oknem mrok, przebiegałem myślami swoje dawne życie i widziałem całą jego przypadkowość. Patrząc z dystansu próbowałem uogólnieć, nie pędzony nieustanną gonitwą i nie powodowany chwilowymi celami. Sądziłem, że inaczej pisałbym teraz swoje felietony. Zwykle już w momencie układania tekstu uświadamiałem sobie bezsensowność tej czynności w nowych warunkach egzystencji.

Nadeszła wiosna, a jej witalność i żywiołowość całkowicie zagłuszyła nasze rozterki. Spod ciężkiego, mokrego śniegu dobiegał szmer setek strumieni i strumyczków, blade zrazu słońce przygrzewało coraz mocniej, wokół unosił się zapach wilgotnej ziemi. Dziewczynki goniły mewy po plaży i zbierały trawę morską, wyrzuconą przez zimowe sztormy. Żona unikała dźwigania ciężkich polan i



musiała nieco poszerzyć swoją skórzaną sukienkę. Ja sam zabrałem się do naprawiania chatki i częściej wyruszałem ze strzelbą, głównie po to, aby popatrzeć z podziwem i zazdrością na budzące się wokół życie. Nigdy nie mogłem oprzeć się myśli, jak nikłe i proste są wszelkie dokonania człowieka wobec dzieł natury.

Tak minął z górą rok od naszej ucieczki od cywilizacji. Któregoś letniego, spokojnego poranka, kiedy to słyhać tylko bzykanie much siadających na nagranych słońcem kamieniach, obudził nas dziwny i obcy dźwięk - warkot helikoptera. Gdy wybiegliśmy przed dom, wielka srebrzysta maszyna właśnie siadała na pobliskiej polanie.

Radości nie było końca! Nagadaliśmy się wtedy za cały rok samotności. Gdy po paru dniach samolot odlatywał, czułem ucisk w gardle, jakbym żegnał kogoś bliskiego. I później smutna pustka wokół, choć przecież było nas czworo, i tylko codzienne proste czynności zapewniające egzystencję.

Ze szczerą radością powitaliśmy pierwszych osadników. Pomagaliśmy im w wyborze miejsca pod budowę domu i staraliśmy się, aby nie znajdowało się ono zbyt daleko od naszej chatki. Służyliśmy radami i wskazówkami. Nie wiadomo kiedy, wokół nas wyrosła wieś, na wzgórzach pojawiły się domki wśród kwietnych rabatek, alejami jeździły samochody, a wzburzoną i mętną wodę rzeki pruły motorówki.

Zostałem redaktorem miejscowej gazety i pisałem artykuły, jakich potrzebowali tutejsi mieszkańcy. Poza tym piastowałem inne funkcje w naszym osiedlu, tak że praca absorbowała prawie cały mój czas. Zacząłem pobierać pensję i otrzymałem książeczkę czekową. W codziennym pośpiechu niewiele spokojnych chwil mogłem poświęcić rozmyślaniom i rodzinie. Kiedyś, gdy późnym wieczorem kończyłem jakieś sprawozdanie, napotkałem wzrok żony. Na dzień jej szarych oczu trzepotał niepokój.

Minął już z górą rok od chwili, kiedy wraz z żoną i trojgiem dzieci wyruszyłem na północ, ku górom...

„Położyłem się około jedenastej wieczorem po całym dniu wyczerpującej pracy. Konferencja okazała się bardzo trudna, partnerzy wymagający i drobiazgowi. Tego dnia udało nam się posunąć naprzód tylko w sprawach proceduralnych.

Byłem bardzo zmęczony, zapadłem więc natychmiast w ciężki sen. Nie wiem, jak długo spałem, ale w nocy obudziłem się nagle i wtedy usłyszałem te dziwne odgłosy. Trudno powiedzieć, czy właśnie one wyrwały mnie ze snu, choć sądząc po natężeniu dźwięku wydawało się to bardzo prawdopodobne. Czegoś takiego nie słyszałem nigdy przedtem - zza ściany dobiegały głośne, zawodzące jęki, które jednak nie miały w sobie wiele ludzkiego. Jedne trwały długo, inne parę sekund tylko, a wszystkie kończyły się pulsującą wibracją, ginącą w głębokich infradźwiękach.

Narzuciłem pośpiesznie szlafrok i wybiegłem na korytarz. W słabym świetle nocnych lamp lśniły szeregi zamkniętych drzwi, a przejmujący jęk niósł się wzdłuż nich, jakby w każdym pokoju dokonywano egzekucji. Przyłożyłem ucho do ściany - wyraźnie wyczuwałem głucho dudnienie. Podobne odgłosy mogłaby wydawać wielka ołowiana kula, toczona po podkładach torów kolejowych. Po paru minutach znów narastał przeciągły jęk.

Nagle zrozumiałem - przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Zbliża się trzęsienie ziemi! Znajdowałem się przecież w obszarze strefy sejsmicznej. Niedawno oddany do użytku potężny hotel o śmiałej konstrukcji, stanowiący szczytowe osiągnięcie techniki budowlanej, posiadał doskonałe zabezpieczenia przeciw wstrząsom podziemnym, jednak wolałem nie ryzykować. Narzuciłem płaszcz, chwyciłem teczkę i zjechałem na dół. Na niższych poziomach dołączyło jeszcze parę osób, podobnie jak ja zaniepokojonych sytuacją. W szybie zjazdowym odgłosy potęgowały się do nieznośnego, metalicznego wycia; wyczuwało się też nierównomierne drżenie konstrukcji.

Dotarliśmy szczęśliwie na dół. Pośpiesznie opuściłem hall i pobiegłem na otwarty teren pobliskiego parku. Temu zawdzięczam swoje ocalenie.

Dotychczas nie mogę zrozumieć, dlaczego tak nieliczni mieszkańcy hotelu opuścili budynek. Niezwykle silne jest przekonanie ludzi, że wszystko zawsze musi potoczyć się zwykłym trybem.

Na zewnątrz nie zauważyłem niczego nienormalnego - ziemia nie drżała, noc była ciepła i pogodna, ulicami przejeżdżały spóźnione samochody, ławki w parku okupowały gruchające pary. Musiałem wyglądać zabawnie w narzuconym na piżamę płaszczu i z teczką w rękę, lecz nie odważyłem się zawrócić. Strzelista wieża hotelu rozbrzmiewała przenikliwym, żalonym jękiem. I wtedy spostrzegłem, że zaczyna wyginać się w kierunku ruchliwej arterii miejskiej kreśląc swoim czarnym konturem wielki łuk na wygwieżdżonym niebie.

Nie wiem, co było dalej, bo padłem twarzą na trawnik i zatkałem uszy dłońmi. Usłyszałem jednak ogłuszający łoskot, ziemia zatrzęsała się, a w nocne niebo uderzył przeraźliwy krzyk i wycie syren. Na tym zakończę swoje zeznanie, ponieważ dalszy przebieg wydarzeń drobiazgowo relacjonowała prasa codzienna. Dodać muszę jedynie, że ani tej nocy, ani później w mieście i jego okolicach nie zaszło nic nadzwyczajnego, nie wystąpiło trzęsienie ziemi ani wróg zewnętrzny nie rozpoczął ataku. Po dokładnym dochodzeniu wykluczono również możliwość sabotażu”.

„Jestem chemikiem i od dawna piastuję stanowisko profesora w uczelni o znanej renomie;

szczegółowe dane wraz z dokumentacją dołączam do niniejszego doniesienia. Sprawa, o której piszę, jest niezwykle i niezrozumiała, a dla mnie miała i wciąż ma głębokie reperkusje w dziedzinie zawodowej. Swego czasu nieomal przyczyniła się do złamania mojej kariery naukowej, a i obecnie wielu kolegów nie ufa mi tak jak dawniej, jestem również rzadziej cytowany niż niegdyś.

Od dawna prowadzę zespół zajmujący się badaniem różnych problemów korozji. Nie muszę podkreślać, jak ważne są nasze prace; obecnie rocznie ulega utlenieniu, lub inaczej zamienia się w rdzę, aż 10% wszystkich wyrobów żelaznych na Ziemi! Tak, nasze badania mają ogromne znaczenie.

Oprócz prac podstawowych zespół udziela porad, dokonuje ekspertyz, opracowuje dane na specjalne zlecenia. Między innymi już dawno opublikowaliśmy tablice szybkości utleniania żelaza w różnych warunkach wilgotności, temperatury, kwasowości środowiska i tak dalej. Dane te cieszyły się dużą renomą w świecie i były szeroko stosowane jako podstawa do standardowych obliczeń i projektów.

I wtedy wybuchła bomba. Dwóch młodych naukowców, odbywających jeszcze strażę podoktoranckie, ogłosiło odmienne od moich wyniki analogicznych eksperymentów! Zignorowałem ich prace, lecz wokół sprawy wytworzyła się nieprzyjemna atmosfera. Ludzie zaczęli sami sprawdzać i szeptać za moimi plecami. Niektórzy sugerowali mi oględnie, abym powtórzył doświadczenie sprzed lat trzydziestu. Oni nie rozumieli, że nie mogłem się mylić! Zawsze każdy eksperyment powtarzałem wielokrotnie, a później robili to moi asystenci, zanim wyniki podane były do ogólnej wiadomości.

I wreszcie stało się, co się stać musiało: jeden z moich ludzi przeprowadził powtórne pomiary. Kiedy przyszedł do mnie zmieszany, nie mogąc wytrzymać mojego bezpośredniego spojrzenia, wiedziałem - otrzymał wynik naszych adwersarzy. Pracowałem wtedy sami przez całą noc, nastawiając próby, czuwając nad termostatami i dokonując obliczeń. I nazajutrz nie pozostało mi nic innego, jak przyznać się do popełnionej przed laty pomyłki. Fatalnej pomyłki, która kosztowała niewyobrażalne pieniądze i... zaufanie do mnie. Musiałem przyznać się, aby uchronić resztki reputacji i móc nadal pracować naukowo, lecz wciąż nie wierzę. Nie mogę uwierzyć. Czasami nie wierzę w siebie, a czasem - w naukę w ogóle. I wtedy jest mi najciężej, ponieważ nauka to moja jedyna pasja w życiu, więcej - jego treść i sens. Jestem bliski załamania nerwowego”.

„Nazywam się John Brown i jestem policjantem w Brighton. Służę nienagannie już od piętnastu lat Królowej w imię dobra publicznego.

Mój raport dotyczy pożarów, wybuchających w naszym mieście od trzech miesięcy ze zwiększającą się częstością. Podejrzewając akcje terrorystyczne, nasze grupy operacyjne podwoiły czujność. Zwiększyliśmy liczbę nocnych patroli, obserwowaliśmy osoby podejrzane, penetrowaliśmy środowiska anarchistyczne, lewackie i faszystowskie. Wszystko bez rezultatu.

W nocy z 14 na 15 sierpnia byłem świadkiem wybuchu pożaru. W wyżej wymienionej sprawie złożyłem nazajutrz raport, lecz nie dano mi wiary i wysłano na tygodniowy wypoczynek do sanatorium. Wiem, że to dla mojego dobra i że zasłużyłem sobie na urlop długoletnią nienaganną służbą, jednak mam niejasne wrażenie, że sprawę można było zbadać dokładniej. Mogłoby to okazać się ciekawe, ale może zbyt dla kogoś niewygodne? No cóż, w końcu prefekt najlepiej wie, co robi.

Piszę ten raport, korzystając z obiecaniej przez Was pełnej dyskrecji. Było to tak:

Tej nocy patrolowałem ulicę Czternastą. Stare kamienice czynszowe, nie najlepsza dzielnica. Na rogu znajdował się nowoczesny pawilon spożywczy, taki ze szkła i aluminium, a w środku pełno kolorowych pudełeczek. Przyglądałem się, jak go myją z zewnątrz długimi szczotkami z podłączonymi do nich węzami gumowymi. Wyglądał potem jak cacko wśród tych szarych zakazanych kamienic.

I wtedy, w godzinę po zamknięciu sklepu, coś zaczęło się dziać. Najpierw poczułem dziwny swąd, jakby przypalonej gумы. Potem z hukiem wyleciała jedna z wielkich szyb w tym pawilonie. Podniosłem alarm. W chwilę później posypały się następne szyby! A potem zaczęły dziać się rzeczy zupełnie

nierozumiałe. Gdybym sam nie widział wszystkiego na własne oczy i nie czuł bijącego żaru, nigdy bym w to nie uwierzył. Czysty, wymyty przed chwilą aluminiowy szkielet pawilonu począł dymić i buchnął płomieniem! I to kolejno w kilku miejscach. Wyciągnąłem ze środka gaśnicę i skierowałem ją na ogień, ale bez żadnego rezultatu. Po chwili zostałem zmuszony do wycofania się, ponieważ zajęło się wnętrze sklepu i wszystko stanęło w płomieniach. Gdy wreszcie nadszedły wozy strażackie i policyjne, ogień sięgał już drugiego piętra. Jeszcze raz proszę o dyskrecję, mimo że mój raport nie został zakwalifikowany jako tajny”.

„Niniejsze sprawozdanie piszę z mieszanymi uczuciami. Z wykształcenia jestem prawnikiem, jednakże podziwiam współczesne nauki przyrodnicze i zazdroszczę im krystalicznej jednoznaczności, która bardzo przydałaby się wielu naszym kodeksom. Uważam, że dyscypliny ściśle oparte są na solidnych logicznych podstawach i temu zawdzięczamy szybki i wszechstronny rozwój naszej cywilizacji.

Moja pewność i wiara w naukę nie została bynajmniej zachwiana wydarzeniami, stanowiącymi treść niniejszego raportu, nie pretenduję również do wystąpień z pozycji oskarżyciela względem przyjętych metod poznawania przyrody. Uważam po prostu, że przed badaczami stanął jeszcze jeden problem do wyjaśnienia, a co do jego wagi wolę nie wypowiadać się jako niedostatecznie biegły w przedmiocie jurysta.

Nie sądzę również, abym popełnił błąd podczas wykonywania eksperymentów lub obliczeń. Doświadczenia były względnie proste, a rachunki na poziomie elementarnym. Jednakże, aby całkowicie wyeliminować niebezpieczeństwo omyłki, proponuję powtórzenie badań przez bardziej kompetentne grono. Ale po kolei powróćmy do początku problemu.

Cała sprawa zaczęła się bardzo zwyczajnie, można by powiedzieć - banalnie. Mój dziesięcioletni syn wykonywał prace domowe, zadane mu w szkole. Uczył się od pierwszej klasy doskonale i nigdy nie miałem z nim żadnych problemów, zdziwiłem się więc wielce, gdy wszedł ze łzami w oczach do mojej kancelarii i począł uzalać się na swój ulubiony przedmiot, na matematykę. Okazało się, że w szkole obliczano liczbę  $p$ , która jest, jak wiadomo, stosunkiem obwodu koła do jego średnicy. I wszystkim dzieciom wyszło dobrze, tylko mój syn otrzymał inny wynik, mianowicie 3,13, zamiast prawidłowej wartości 3,14. Nauczyciel polecił mu powtórzyć pomiary w domu i skarcił za brak precyzji w doświadczeniach. Lecz w domu nadal wychodziło 3,13, co zdenerwowało i zniechęciło syna. Postanowiłem mu pomóc.

Użyliśmy blaszanej puszki po kawie i na nią nawijaliśmy cienki drut, którego długość mierzyliśmy po rozprostowaniu. Pomiar średnicy puszki nie nastęrczał trudności.

Dokonailiśmy kolejnych obliczeń, nawijając drut również wielokrotnie, tak by zmniejszyć błąd do minimum.

I proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, gdy prawie za każdym razem otrzymywaliśmy 3,13! Nie potrafiłem tego zrozumieć. Najpierw sprawdziłem w tablicach i encyklopediach, a następnie zatelefonowałem do mojego przyjaciela, fizyka z wykształcenia i zawodu. Obrócił on całą sprawę w żart, naigrawając się zwłaszcza z instrumentów, używanych w doświadczeniu. Z pewną niechęcią i tylko po usilnych naleganiach zgodził się na wspólny eksperyment w swoim laboratorium, aby dowieść niewzruszonej prawdy.

Nazajutrz wykonywaliśmy pomiary za pomocą o wiele precyzyjniejszej aparatury i przeprowadziliśmy obliczenia z dokładnością aż do siedmiu miejsc po przecinku. Byłem niemalże dumny, gdy wynik wynosił za każdym razem 3,13 w zaokrągleniu do dwóch miejsc. Mój przyjaciel długo wyjaśniał, że użyta aparatura nie została przystosowana do tego rodzaju badań, że drut i obręcz mogą kurczyć się i rozszerzać wraz ze zmianami temperatury, miał też wiele innych teorii, których nie zapamiętałem.

Wtedy coś zachwiało się w moim prostym i jednoznacznym obrazie świata. Dumny gmach nauki wydał się mniejszy, na jego murach zarysowały się pęknięcia i szczeliny.

Odczułem wielką ulgę mojego przyjaciela, kiedy wreszcie odprowadził mnie do furtki i powiedział »do widzenia«.

Wolał nie zajmować się tą sprawą, która mieszała mu szyki i powodowała zamęt w głowie. Tyle miał przecież przed sobą wygodniejszych i jeszcze nie ruszanych dziedzin badawczych, gdzie nikt nie odważy się kwestionować wyników, ba, inni zacytują je w swoich pracach! Byłem przekonany, że nikomu nie wspomni o eksperymentach przeprowadzonych tego wieczoru, chociażby z obawy przed narażeniem się na śmieszność.

Ja sam odpowiadam na waszą ankietę tylko dla spokoju własnego sumienia, ponieważ i tak nie wierzę, aby niniejsza wypowiedź spoczęła w miejscu innym niż kosz na śmieci.

Pragnę zakończyć swój list optymistycznym akcentem, dodam więc, że wciąż ufam nauce, jednakże musi ona stopniowo dojrzewać do wielu problemów, które już od dawna, świadomie lub nie, obejmuje swoim zasięgiem”.

Przekładałem grube teczki, pełne relacji i sprawozdań z całego świata. Dotyczyły niemal każdej dziedziny życia ludzkiego. W materiale, gromadzonym przez wiele lat, można było znaleźć opisy zdarzeń dziwnych, nieprawdopodobnych lub wprost zakrawających na fantazję. Odchylenia od precyzyjnie obliczonych trajektorii rakiet i pocisków balistycznych, nieścisłości w sprawdzonych i uznanych równaniach, sprzeczne dane na temat dawno wyliczonych i stabelaryzowanych wielkości, niewytłumaczalne cofanie się lub rozprzestrzenianie różnych chorób, zmiany w aktywności drobnoustrojów, relacje o wypadkach i katastrofach, które w zasadzie nie powinny mieć miejsca, nie stwierdzono bowiem żadnej możliwej do przyjęcia ich przyczyny - oto niektóre przykłady opracowań i doniesień.

Spojrzałem ponad plikami zadrukowanych kartek, z których każda kryła swoją tajemnicę, na pustą salę konferencyjną z półkolistymi rzędami foteli. Za niespełną godzinę przestronne pomieszczenie wypełni się ludźmi, naprzeciw mnie zajmą miejsca wybitni przedstawiciele światowej nauki. Czy wytrzymam ciężar ciekawych spojrzeń ludzi, zaproszonych na tę zakonspirowaną konferencję z wszystkich kontynentów? I co będę miał im do powiedzenia? Czy truizmy o świecie pełnym sprzeczności, czy może znaną prawdę, że w nauce każda odpowiedź rodzi wiele nowych pytań - nie wiedziałem. Wciąż nie mogłem zdecydować się na przyjęcie planu swojego wystąpienia.

Przedstawienie luminarzom nauki hipotez podważających, ich własne badania byłoby równie lekkomyślnym posunięciem, jak przyznanie się do niewiedzy. Niewiedzy biorącej swój początek w żalośnie skąpym strumieniu informacji, odbieranych przez nas z otoczenia.

Sala wypełniała się powoli. Każda z tych dumnych postaci nauki, dostojnie zajmująca należne jej miejsce, byłaby może skłonna zrewidować wiele hipotez i teorii, byle dostatecznie odległych od swojej profesji, a zwłaszcza od własnego dorobku. I choć kładłem głowę pod topór, musiałem przedstawić obserwacje, co do których znaczenia nie miałem żadnych wątpliwości. Wnioski praktyczne należało wyciągnąć bezzwłocznie, zostawiając korekty światopoglądowe na później, chociaż nie na ostatek.

Tak, ale od czego tu zacząć?

Zacząłem od powitania szacownego grona, które było uprzejmie przybyć z tak daleka. Następnie rzuciłem dowcipną anegdotę, czym miałem nadzieję zyskać sobie przychyłność audytorium. Jednakże towarzystwo naprzeciw mnie składało się ze starych bywalców seminariów, odczytów i konferencji, i wciąż wyczuwałem pełną nieufności rezerwę, która niestety pogłębiała się w miarę toku wykładu. Możliwe, że popełniłem błąd relacjonując na wstępie przypadki niezrozumiałe i niewyjaśnione, do których wielka nauka zwykłą odwracać się tyłem, nie wiadomo, czy z obawy przed śmiesznością, czy z

przeświadczenia o niemożności ich interpretacji. Wybitnym uczonym słuchającym mojej prelekcji nie wypadało czynić niczego innego, jak tylko uśmiechać się ironicznie lub wzruszać ramionami.

- Czy to zebranie sekty mistycznej? - spytał ktoś półgłosem. W sali narastały szmery i tłumiona wesołość.

- Szanowni państwo - podniosłem nieco głos - nie zabierałbym wam cennego czasu na pseudonaukowe spotkania. Wszystkie dane, które przed chwilą przytoczyłem jako pewnego rodzaju ilustrację do tematu zasadniczego, pochodzą z wiarygodnych i w każdej chwili sprawdzalnych źródeł. Istnieją drobiazgowo opracowania i raporty odpowiedzialnych organów, nie są to więc historie zasłyszane od osób trzecich.

Sala umilkła. Wszyscy czuli; że teraz powinienem odkryć karty.

- Chciałbym przedstawić państwu - kontynuowałem już nieco spokojniej - swoją koncepcję, łączącą w jedną całość przedstawione uprzednio oraz inne zagadkowe wydarzenia. Podkreślam z naciskiem, że jest to jedynie koncepcja, nie pretendująca do miana spójnej teorii. Moja nadzieja w tym, że właśnie najznamienitsze postacie dzisiejszej nauki - tu skłoniłem się kurtuazyjnie w stronę zebranych - krytycznie i twórczo ustosunkują się do prezentowanych danych i wyciąganych wniosków, a może nawet uzupełnią je swoim doświadczeniem lub, w przyszłości, badaniami. Wspólne działanie z pewnością pozwoli nam rozwikłać te problemy lub też odrzucić je i uznać za niebyłe.

Teraz dopiero zacząłem pozyskiwać sobie audytorium. Siwi profesorowie powyciągali notesy.

- Materię - przeszedłem od razu do meritum sprawy, wykorzystując przychylnie zainteresowanie sali - dzielimy wygodnie pomiędzy mikro - i makrokosmos. My, z naszymi codziennymi problemami, znajdujemy się gdzieś pośrodku. W każdym z tych światów rządzą nieco odmienne prawa inaczej zachowują się cząstki elementarne, inaczej gwiazdy. Jednak ogólna teoria pola pozwoliła nam zjednoczyć te, zdawałoby się zupełnie różne jakościowo, obszary. Obecnie mikro - i makroświaty jawią się nam jako kontinuum, jako wielki ciąg form istnienia materii wzdłuż osi wymiarów. Jego oba obszary brzegowe leżą w mroku nieznanego, lecz rozsuwają się w miarę wzrostu wiedzy. Odsłaniają wszakże wciąż nowe tajemnice.

Mamy więc kontinuum, dla którego obecnie jesteśmy w stanie ułożyć ogólne prawa. Wiemy dużo o ewolucji, makrokosmosu, o przemianach we wnętrzach gwiazd, gdzie z wodoru drogą reakcji jądrowych powstają coraz cięższe pierwiastki. Czerwone olbrzymy, białe karły lub gigantyczne wybuchy supernowych to nic innego, jak punkty przetwarzania, miejsca ewolucji materii. Wiemy sporo o tej ewolucji w odniesieniu do mgławic, gwiazd i planet. Lecz ciągle jesteśmy skłonni uważać atomy za maleńkie, w zwykłych warunkach niepodzielne i niezmiennie kuleczki, stanowiące podstawowy budulec materii. Jeśli mamy te same prawa dla całego Wszechświata, to pora zrewidować ten pogląd, proszę państwa!

Po sali podniósł się szmer niedowierzania i dezaprobaty. Audytorium zaklasyfikowało w tym momencie mój wykład do nieszkodliwych, lecz także nienaukowych ciekawostek i - słuchało dalej.

- Moją pierwszą tezę można ująć nieco pretensjonalnie, ale za to krótko: panta rei. Wszystkie formy materii ulegają ewolucji, począwszy od cząstek elementarnych (bo te na razie znamy jako najmniejsze), a skończywszy na skupiskach galaktyk. Przy czym, w przypadku na przykład atomów, nie jest to znana reakcja rozpadu i tworzenie się nowych pierwiastków. Proszę państwa, żelazo pozostaje żelazem, a krzem krzemem, lecz w sposób ciągły (lub swego rodzaju „kwantowy”) zmieniają się ich właściwości! Oczywiście, po dostatecznie długim czasie żelazo może ulec tak daleko idącej transformacji, że nie będzie przypominało już swojego pierwowzoru, a raczej poprzedniego etapu ewolucyjnego. W końcu cały układ okresowy może przesunąć się o jedno miejsce lub, kto wie, przemieścić się w zupełnie innym, trudnym do przewidzenia kierunku...

Na sali wybuchła wrzawa. Jedni żądali dowodów, inni okazywali swoje lekceważenie, część opuściła pomieszczenie; większość jednak chciała słuchać dalej i domagała się spokoju.

- Zmiany reaktywności poszczególnych pierwiastków, zwłaszcza metali - kontynuowałem - stwierdzone w wielu laboratoriach, zdają się potwierdzać moje przypuszczenia. I to jest pierwszy, ważny powód zwołania tego seminarium - mówiłem niezbyt głośno, lecz z naciskiem. - Należy przebadać i stale poddawać testom substancje i materiały używane w technice. Wprowadzanie ciągłych korekt jest wymogiem chwili, zwłaszcza wobec, jak mi się wydaje, przyspieszonej ewolucji pierwiastków w ostatnim okresie. Inaczej nasza cywilizacja może niebawem pogrążyć się w chaosie!

Głuchy szmer sali wyrażał tym razem aprobatę. Propozycja była jasna i do przyjęcia: należało wziąć się do badań.

- Proszę państwa, jeśli przyjmiemy hipotezę o ewolucji materii za punkt odniesienia, następny wniosek nasuwa się niejako sam. Poznane przez nas dotychczas prawa natury odnoszą się do materii, bez niej nie mają racji bytu. Jeśli materia ewoluuje, zmieniają się również wynikające z jej właściwości prawa rządzące zarówno mikro - jak i makrokosmosem. Wszystko jest zmienne! Znajdujemy się wewnątrz wartkiego nurtu istnienia i nie możemy zadowalać się chwilowym, statycznym obrazem świata. Osiągnęliśmy na to zbyt wysoki poziom rozwoju!

Sala odpowiedziała głuchą ciszą. Nikt nie rozmawiał, nie zadawał pytań i nie komentował. Tą ciszą audytorium domagało się dalszego ciągu.

- Stąd biorą się nieścisłości pewnych równań, które nie korygowane tracą po pewnym czasie swój sens fizyczny. Stosunek obwodu koła do jego średnicy wynosi teraz już tylko 3,13 i nadal maleje! To jest fakt, proszę państwa, a wytłumaczyć go możemy sobie w sposób najlepiej trafiający do naszych zmysłów. Na przykład zakrzywianiem się przestrzeni, co powoduje wzrost średnicy, mierzonej po jakiejś hipotetycznej dla nas powierzchni krzywej. Stąd stałe zwiększanie się liczby katastrof w najnowszym budownictwie, opartym na fałszywych obliczeniach.

W nienaturalną ciszę sali buchnął czyjś nerwowy śmiech, lecz urwał się nagle, nie podchwycony przez innych. Zainteresowanie osiągało punkt kulminacyjny.

- Dotychczas przedstawiałem państwu w zasadzie jedynie wnioski, wynikające bezpośrednio z obserwowanych faktów. Teraz pora na kilka hipotez. Z moich kilkuletnich badań wynika, że prawa fizyczne komplikują się i wzbogacają o nowe elementy, a pewne granice istnienia materii - ulegają ciągłemu rozszerzaniu. Na przykład prędkość światła zdaje się rosnąć, a zero absolutne, według wszelkich danych, stale obniża się na skali temperatury. Odkrywane w ostatnich czasach superciężkie pierwiastki z końca układu okresowego dawniej po prostu nie istniały, dopiero teraz nastał ich czas. Tę koncepcję można połączyć z teorią big bangu, czyli ciągłego rozszerzania się Wszechświata od momentu hipotetycznego prawybuchu. W miarę rozbiegania się przestrzeni materia komplikuje się coraz bardziej, rodzą się nowe formy jej istnienia, a dawne ulegają permanentnej ewolucji. Zakładam, że w punkcie zerowym owego wybuchu temperatura była nieskończenie wysoka i równała się jednocześnie chwilowemu zeru bezwzględnemu, prędkość światła wynosiła zero (więc nikt nie byłby w stanie dokonać jakichkolwiek obserwacji), zaś materia istniała tylko w jakiejś najprostszej, nieznannej obecnie postaci. Natomiast w hipotetycznej nieskończonej odległości od centrum prędkość światła jest nieskończenie wielka, temperatura może opadać bez ograniczeń, zmniejszając stale wartości obecnie jeszcze nie istniejących cech materii, która występuje w niewyobraźalnie wielkiej ilości form. Tak, proszę państwa, ale to jedynie hipoteza. Zapewne można tłumaczyć opisywane zjawiska na wiele sposobów. Mam nadzieję, że zajmą się tym tęzsze umysły niż mój.

Spojrzałem po sali. Wszyscy słuchali w skupieniu, choć napięcie opadło i poczęły pojawiać się ironiczne uśmiechy. Głos zabrał specjalista od niskich temperatur, wysoki zasuszony profesor z uczelni o

Światowej sławie.

- Na wstępie chciałem pana przeprosić. Byłem nietaktowny, a jedynym pocieszeniem jest fakt, że zrobiłem to po cichu. Po prostu sądziłem, że cały ten wykład to jeden kosmiczny lub kosmogoniczny stek bzdur, ale moją opinią zachwiała pańska uwaga o obniżającym się zerze bezwzględnym. Otóż, szanowni słuchacze, prowadziłem ostatnio eksperymenty około  $0^{\circ}\text{K}$ , i wyobraźcie sobie, że udało mi się zejść o cały stopień niżej od wartości podręcznikowej! Jak zareagowałem? Natychmiast wyrzuciłem asystenta, który robił eksperyment. Lecz kiedy drugiemu wyszło to samo, winę zważyłem na niedokładność aparatury. Teraz widzę, że może być trzecie wyjaśnienie, i choć nieprawdopodobne, to najbardziej prawdopodobne z tych trzech! Dziękuję.

Po sali przebiegła fala szeptów, ale nikt nie kwapił się do zabrania głosu. Postanowiłem więc zakończyć spotkanie. - Tyle byłoby obserwacji, wniosków i hipotez, szanowni słuchacze. Co należy robić dalej? Mam pewność, że tak dostojne gremium wie to znacznie lepiej ode mnie. A jakie wnioski płyną stąd dla wszystkich ludzi? Sądzę - zahałem się - taak, należy po prostu dostosowywać się do zmiennej rzeczywistości, stale uaktualniać dane i zachowywać czujność... Wiele może się zdarzyć, albowiem z moich obserwacji wynika, że szybkość zmian wzrasta. Jeśli nikt nie wyraża chęci zabrania głosu, uważam symposium za zamknięte. Dziękuję państwu za przybycie i życzę miłego powrotu.

Kiedy zajmowałem miejsce w samochodzie, dogonił mnie jeden z uczestników konferencji, mój stary znajomy.

- Słuchaj, znam cię zbyt dobrze na to, abyś robił takie uniki. Mnie nie nabierzesz.

- ...?

- Nie udawaj. Nie dokończyłeś wykładu. Z czegoś zrezygnowałeś w ostatniej chwili. Co to było?

- No; nic takiego istotnego...

- Stary, nie odgrywaj zbawiciela ludzkości, ale też nie oszczędzaj nas zbyt. Wszelka przesada nie prowadzi do niczego dobrego.

- Jak chcesz. I tak rzecz wyjdzie na jaw, może im prędzej, tym lepiej. Chciałem dodać coś o nas, ludziach. Widzisz... my też zmieniamy się. Ewolucja, mutacje. Myślisz, że to efekt promieniowania kosmicznego?! Bzdury. Wszystko płynie. Planety starzeją się, spójrz na Księżyc. A zmiany naszej świadomości? Są to rzeczy niepojęte, w zasadzie poza zasięgiem ludzkiego poznania. Jednak jesteśmy w stanie badać prostsze problemy. Na przykład strukturę węgla, który jest podstawowym budulcem naszego ciała. Pierwiastek ten występuje w organizmach głównie w stanie hybrydyzacji  $sp^3$ . Ale widzisz... ona zmienia się, powoli oczywiście, na  $sp^2$ . Tak, dobrze, opiszę rzecz prościej. Oznacza to kompletną zmianę właściwości chemicznych, która, według moich obliczeń, może nastąpić już za 300-500 lat! Nie ma mowy o przestrojeniu budowy i funkcji organizmu w tak krótkim czasie. Już teraz mamy pierwsze zwiastuny zmian: nowotwory. Zrozum, że dotychczas względną stabilność świat zawdzięczał ogromnej różnicy w szybkości obu procesów: „starzenie się” materii było nieporównanie powolniejsze od uwijania się takich mróweczek jak my. Teraz te pierwsze zjawiska zwiększyły swoją szybkość - dostaliśmy się, być może, w jakieś lokalne „zawirowanie przestrzeni”. I co ty na to?

- Z tego, co mówisz... Czyli właściwie możemy być jeszcze świadkami agonii życia ziemskiego?

- To dosyć pesymistyczne stwierdzenie. Kto wie, może dlatego właśnie stworzyliśmy cywilizację techniczną, aby umożliwić sobie wyjście z podobnych sytuacji? Mam na myśli coś w rodzaju ewolucyjnej przypadkowej celowości. Według tej hipotezy cała działalność ludzką w okresie nowożytnym byłaby jeszcze jednym ogniwem ewolucji, końcowym etapem przystosowawczym życia ziemskiego. Etapem, który oby nie zakończył się zbyt późno.

- Masz na myśli walkę z rakiem?



- Mój drogi, widocznie nie wyrażam się dostatecznie jasno. Tu chodzi o rozwiązanie globalne, nie o drobne środki leczące objawy. Rozwiązań może być wiele; sądzę, że właściwą drogę odnajdziemy w nadchodzących latach. Trudno o prognozy przy obecnym szaleńczym wyścigu cywilizacyjnym, ale jego cel stał się obecnie dla mnie jasny: jest to kwestia przeżycia. Wykładnicza krzywa rozwoju oznacza po prostu morderczy bieg o przetrwanie.

Wciąż patrzył na mnie pytająco, aż w końcu dałem za wygraną.

- Nie chcę bawić się w proroka, ale dam ci dwa przykłady dróg, jakimi mogłoby pójść dalej ziemskie życie. Temat przeniesienia świadomości ludzkiej do maszyn cyfrowych stanowi wdzięczną pożywkę dla wielu komiksowych opowieści, ale w rzeczywistości niebawem będzie to realna możliwość. Gdybyśmy zaś chcieli pozostać przy obecnych formach białkowych, należałoby zastosować nieznaną dotychczas prawa fizyki, a w efekcie zahamować lub nawet zawrócić lokalną ekspansję Przestrzeni. Odbyć jedyną realną podróż w czasie, byle nie za daleko, bo odmienne cechy materii mogłyby znów rozstroić nasze organizmy. Być może wtedy, tak jak ci się marzy, odnieśliśmy totalne zwycięstwo nad rakiem, żelazo stałoby się nierdzewne, ale nie sposób przewidzieć, co stałoby się z naszą świadomością.

Miał dosyć. Pożegnał się pospiesznie i odszedł, a ja jechałem najpierw krótką cienistą aleją, aby po chwili wydostać się na lśniącą lustrem gorącą drogę wśród ruchomych piasków.

*Październik 79*

## Zręby władzy

Otworzyłem drzwi obite grubą warstwą dźwiękochłonnego tworzywa i wszedłem. Profesor, kwadratowy łysy mężczyzna o stalowych oczach, siedział za masywnym biurkiem zavalonym papierami. Rozmawiał właśnie przez telefon, składając komuś uniżenie podziękowania i życzenia, lecz dostrzegł mnie po chwili i zaprosił nieznacznym gestem do zajęcia miejsca. Gdy skończył, zaproponował mi kawę, po czym zamówił ją u sekretarki. Nie wiedziałem, po co mnie wezwał, on zaś zdawał się smakować tę chwilę mojej niepewności, którą niezbyt dobrze maskowałem obojętnym wpatrywaniem się w rozrzucone po biurku ołówki. Wreszcie, nie spuszczać ze mnie ciężkiego wzroku, odezwał się niskim głosem:

- Panie kolego - tu zaciągnął się papierosem - jak idą pańskie badania?

Oho - pomyślałem - trochę za dużo teatru i oficjalnego stylu jak na zwykłą rozmowę. Tylko o co mu chodzi?

- Doskonale, panie profesorze - starałem się, aby mój głos brzmiał swobodnie - właśnie rozpocząłem próby nad elektrycznymi właściwościami włókien nerwowych w obniżonych temperaturach. Sądzę...

- Taak - przerwał mi profesor cichym, lecz nie dopuszczającym sprzeciwu głosem. - Rozpoczął pan, sądzi pan. To też ciekawe. Ale - i tu ton jego głosu podniósł się nieznacznie - mnie teraz interesują wyniki już otrzymane. Chciałem zauważyć, że właśnie upływa pół roku pana a stypendium. Słucham pana.

Wejście było ostre, nie spodziewałem się właściwie takiego ataku. Straciłem więc nawet tę uprzednio wymuszoną swobodę, i o to pewnie staremu chodziło. Pierwsza runda była przegrana.

- A więc, panie profesorze, zaraz po okresie wstępnego instalowania się rozpocząłem próby, to jest badałem procesy chemicznej transmisji impulsów przez nerwy w różnych temperaturach.

- I...?

- Stwierdziłem, że już w okolicach zera stopni Celsjusza zanikają one zupełnie, a kilka prób w temperaturach niższych nie wykazywało wzrostu aktywności, co było, to znaczy, co przewidzieliśmy uprzednio.

- Ej; panie kolego, znów ten brzydki żargon naukowy profesor pokręcił z niesmakiem głową, a ja pomyślałem z satysfakcją, że taki łysy to już niedługo pożyje. - Pan może być w okolicach Koziej Wólki, ale nie zera stopni. Ale wracajmy do meritum sprawy. Młody człowiek na pana miejscu, z pana aspiracjami, może sobie pozwolić, aby spośród dziesięciu eksperymentów jeden, no powiedzmy dwa były nieudane lub negatywne. A pan przychodzi po pół roku pracy i mówi mi, że owszem, parę doświadczeń panu nie wyszło, a inne są w planie. To jest sygnał, że trzeba się poważnie zastanowić.

Byłem coraz bardziej zdenerwowany, maska wystudiowanej obojętności dawno ze mnie opadła. Czułem w ustach suchość języka, a nieprzyjemna chryпка przeszkadzała w mówieniu. - Ależ, panie profesorze, w tej nowej dziedzinie każdy wynik...

- Byle jaki wynik nie jest dobry w żadnej dziedzinie stary wszedł mi w słowo. - Liczą się dobre wyniki, i tylko takie - dodał z naciskiem. - A samymi hipotezami daleko nie zajedziemy. W związku z brakiem wyników w dotychczas badanym przez pana kierunku - zaczął znów spokojnym niskim głosem - proponuję zmianę tematyki. Będzie to dla pana jeszcze jedna szansa wykazania się.

- Panie profesorze, ja właśnie zacząłem najważniejsze doświadczenia!

- W naszym Instytucie - głos szefa grzmiał teraz donośnie po wszystkich kątach gabinetu - nie

przeprowadza się doświadczeń nieważnych. Wszystkie bez wyjątku są ważne zakończył konfidencjonalnym szeptem, jakby zdradzał tajemnicę państwową. - To byłoby wszystko, panie kolego - znów zahuczał gromko - za pięć minut mam zebranie, przepraszam, ale muszę już iść. Aha, proponuję, aby zajął się pan preparatami ułatwiającymi przejście w stan hibernacji. Doktor Agira wprowadzi pana w zagadnienie. Życzę powodzenia i wydajniejszej niż dotychczas pracy spojrział niemal wesoło; wstając. Nie dał mi żadnych szans.

Przez grubą szybę okienną, nastawioną przez kogoś na maksimum przepuszczalności, wpadało czerwone światło wieczoru i załamywało się obłymi krwistymi refleksami w szkłe ustawionej aparatury. Przypatrywałem się bezmyślnie tym barwnym plamom o karminowych wnętrzach i żółknących obrzeżach, pełzającym po kolbach i chłodnicach w rytmie zachodzącego słońca. Wypełniony aparaturą pokój tonął w mroku, tylko w odległym kącie pracował przy swoim biurku Stef. Jego lampa jawiła mi się jako przewodnie światełko u kresu ciemnego szlaku, wiodącego wśród nieokreślonych kształtów i niezrozumiałych zdarzeń.

Stef odwrócił się, jakby moja zmaterializowana myśl dotknęła jego ramienia.

- Hallo. En! - zawołał do mnie. Dlaczego En? Nie mogłem sobie przypomnieć, kto pierwszy tak mnie nazwał. Potem przyjęło się. - Nie słyszałem, jak wchodziłeś. Co masz taką grobową minę? - gadał wesoło, podchodząc z rękami w kieszeniach. - Oho, widzę, że nie na żarty przejąłeś się Starym. A w dzisiejszych czasach...

- Zażądał zmiany tematu - przerwałem jego potok słów. Twarz mu spoważniała, ale widać było, że usilnie szuka dla mnie jakiegoś pocieszenia. Poklepałem go po ramieniu.

- Nie jest tak źle, stary - mój głos zabrzmiał nawet dosyć swobodnie. - Dam sobie radę, nie martw się o mnie. Dziś idę się zabawić, nie mam już ochoty na pracę, a jutro na przekór wszystkiemu i wszystkim skończę ten eksperyment, być może kluczowy dla całego problemu.

- To jest męskie podejście do sprawy - Stef uśmiechnął się zadowolony, że nie musi występować w roli pocieszyciela. - Jutro mam trochę luzu przy moich próbach, pomogę ci.

Wyszedłem w szarość korytarza, również gęsto zastawionego aparaturą i sprzętem pomocniczym. Na chropowatej betonowej ścianie przymocowany był telefon. Nakręcałem kolejno numery kilku moich przyjaciół lub znajomych, lecz żadna z tych, które zgłosiły się, nie miała wolnego wieczoru. Zły, odwiesiłem słuchawkę. Przyjdzie mi upić się samemu - pomyślałem, lecz jednocześnie narastał wewnętrzny bunt. I nagle, wtedy po raz pierwszy, doznałem tego niesamowitego uczucia.

Głowę przebiegały mi naprzemienne fale gorąca i zimna lub raczej - zgęszczonej rozrzedzonej materii. I choć zjawisko trwało krótko, zdawało mi się pod koniec, że czaszka staje się elastyczna niby balon napełniony wodą, a deformują ją w jednostajnie identyczny sposób dwa szeregi przemykających z obu stron, swobodnie zawieszonych walców. Na płaszczyznę zamazanego pola widzenia wpłynęły świetliste punkty, rozlały się szeroko jak kręgi na wodzie i wsiąkły w obraz.

Dolegliwości ustąpiły, pozostał jedynie lekki ból w skroniach. Nadal stałem oparty o chropowatą ścianę tuż przy telefonie. Na szczęście nikt nie zauważył tej chwilowej niedyspozycji jeszcze brakowało, żeby zaczęto mnie cucić! Byłby temat do żartów w całym Instytucie.

Ruszyłem przed siebie. Czułem się dziwnie lekki, nogi jakby same niosły mnie naprzód. Przypisywałem to doskonałej kondycji fizycznej, co z kolei wprawiało mnie w dobry nastrój. Zmory dzisiejszego popołudnia prysły i miałem nadzieję, że nie będą zakłócały zbliżającej się zabawy. Nie wiedziałem jeszcze, dokąd i z kim pójdę, ale miałem pewność, że wieczór będzie udany.

Aksamitny, wilgotny zmierzch opadł już na trawiaste boisko, pod którym rozlokowane zostały trzewia cyklotronu.

Spóźnieni biegacze w swoich odcinających się od tła białych szortach powracali z wieczornego

treningu. Pod jasną płachtą pomarańczowo-zielonego nieba zawisły nieruchomo małe, rozświetlone od dołu chmury.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem ostro; rozkoszowałem się prędkością. Odczuwałem fizyczną przyjemność, gdy stalowe cielsko maszyny z łatwością wnikało w masy napływającego naprzeciw chłodnego, wieczornego powietrza.

Czułem się znów dziwnie lekki, chwilami zdawało mi się, że, to kto inny prowadzi wóz, że obce ręce dotykają kierownicy, a ja przyglądam się z boku. Może ktoś podsunął mi papierosa z marihuaną?

Pędziłem w kierunku swojego hotelu, kiedy nagle zauważyłem z boku wystawowe okna centrum handlowego. Zahamowałem gwałtownie i skręciłem na parking. Ależ to jasne! Że też wcześniej nie wpadłem na ten prosty pomysł.

- Dobry wieczór, panno Krystyno - zacząłem, opierając się o kasę. Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. Już w piętnaście minut po zamknięciu sklepu siedzieliśmy w nocnym barze przy butelce dobrej brandy, a wokół nas migotały kolorowe światła, płynęła muzyka i wytwarzał się nastrój wesołej zabawy. Alkohol palił mnie w gardle, po członkach rozchodziło się przyjemne ciepło. Doświadczałem uczucia poprzedzającego lekki zawrót głowy - coś jakby drobne przesunięcie świadomości w kierunku beztroski.

- Wiesz, Kris - nachyliłem się do siedzącej obok dziewczyny - dobrze mi z tobą. Bardzo dobrze. A teraz wypijmy za zdrowie mojego szefa. Dał mi dziś wspaniały temat, rokujący nie byle jakie perspektywy!

- Będzie mu to policzone - Kris zaśmiała się głosem może o ton za głębokim jak na filigranową blondyneczkę o sarnich oczach i pełnych, nieco wysuniętych do przodu ustach. Z każdym kieliszkiem wydawała mi się piękniejsza i powabniejsza.

Potem poszliśmy tańczyć. Czułem ją taką drobną, ciepłą tuż koło siebie, oparła czoło o mój policzek, płynęliśmy gdzieś w takt melodii, której już nie słyszeliśmy. I wtedy znów coś zaczęło się dziać. Stawałem się lekki, nieobecny. Oglądałem rzeczywistość wokół niby kiepski film, a może raczej śniłem? Trzymałem w objęciach jakąś dziewczynę, dosyć chyba ładną, ale zdecydowanie zbyt szczupłą. Czułem się tak, jakbym tańczył z manekinem pośród przetaczających się wokół bezkształtnych mas ludzkich. Chciałem przerwać ten koszmar, ale spostrzegłem, że zupełnie nie panuję nad własnym ciałem. Dalej ciężko tańczyłem niby jakaś kukła w kiepskim teatrzyku gałganiarzy, obłapiając coraz mocniej tę chudą dziewczynę, a wszystko rejestrowałem jakby zza półprzejrystej zasłony w dusznym, wilgotnym powietrzu.

Dopiero przy stoliku puściły kleszcze, trzymające moją świadomość w żelaznym uścisku. Płaski, mdły obraz wyostrzył się, nabrał stopniowo trzeciego wymiaru, barw, woni i dźwięków. Jak poprzednio wokół nas płynęła muzyka, a Kris znów piękna i pociągająca, przyglądała mi się z troską. Miałem przez chwilę wrażenie, że to nie ja, a świat zewnętrzny ulega kolejnym dewiacjom, jakimś chwilowym odchyleniom od maksymalnej wartości prawdopodobieństwa istnienia. W każdym jednak przypadku moja osoba w zmienionej rzeczywistości musiała wydawać się równie osobliwa, jak odmienione otoczenie dla mnie.

- Kris, kochanie, te tutejsze chińskie przyprawy... widocznie mi nie służą. W przyszłym tygodniu zaprowadzę cię gdzie indziej, zobaczysz.

- Wiesz co, En - dziewczyna była lekko przestraszona posiedźmy tu jeszcze trochę. Jesteś cały mokry.  
- W porządku, skończymy nasze koktajle. Wiesz, Kris, ja myślałem, to jest... nigdy nie miałem czegoś takiego. To zdarzyło się po raz pierwszy.

- Nie przejmuj się tym teraz, En. Odpocznij. Następnym razem wszystko ułoży się lepiej - nieszczerze mówiła Kris.

Oboje wiedzieliśmy, że następnego razu nie będzie. Z oczu dziewczyny wycierał strach, uważała mnie z pewnością za nienormalnego, a przynajmniej za nerwowo chorego.

Aby zatuszować zmieszanie, zacząłem rozglądać się po sali: Panował gwar, wielobarwny tłum falował, a wśród czerwonych lamp unosiła się mgła dymu tytoniowego.

W pewnym momencie drgnąłem - prawie zasłonięty szerokim ozdobnym filarem, przy stoliku wciśniętym pomiędzy palmę a barek, siedział łysy, kwadratowy grubas. Przeprosiłem Kris i wstałem.

Obszedłem powoli filar, kierując się w stronę toalety. Przechodząc w okolicach barku od niechcenia odwróciłem głowę, niby rozglądając się po sali. Przy stoliku obok palmy nie było nikogo! Na białej serwetce stała tylko nie dopita filiżanka kawy. Dalsze spacerowanie nie miało sensu, powróciłem więc do swojego stolika. Gdy zapalałem papierosa Kris, łysy grubas znów siedział na dawnym miejscu. I choć z tej odległości nie mogłem dojrzeć jego twarzy, byłem pewien, że do ust ma przyklejony swój zwykły, ironiczny uśmiech.

Odczuwałem wściekłość, lecz jednocześnie paraliżujący lęk. Wokół mnie czaiło się coś nieznanego, działały nieprzyjemne siły, których nie potrafiłem zrozumieć, a więc tym bardziej przeciwstawić się im.

Ten łysy, kwadratowy grubas. Czy chce mnie tylko pognać, ośmieszyć, czy też zniszczyć za to, że śmiałem być różny od stereotypu nadskakującego stypendysty? A może jest mu to obojętne, po prostu stałem się przypadkowym obiektem jego rutynowych przyjemności?

Pośpiesznie zapłaciłem, odwiozłem Kris do domu i udałem się do siebie. Natychmiast zapadłem w ciężki, lecz krótki sen człowieka odurzonego alkoholem.

- Pani Heleno, co pani robi?

- Przygotowuję panu szkło - odrzekła dziewczyna spokojnym, miłym głosem panienci z centrali telefonicznej, kontynuując wprawnymi ruchami demontowanie mojej aparatury.

- To jakaś pomyłka, ja tego wszystkiego będę dzisiaj używał!

- Jutro zaczynamy eksperyment z lekami prohibernacyjnymi, chcę więc przygotować wszystko jak należy. Jestem teraz pana nową pomocnicą - jej miły, lecz bezbarwny głos w innych okolicznościach działałby zapewne uspokajająco.

- Proszę to natychmiast zostawić!

- Ależ, proszę pana, ja pracuję tylko do czwartej, mam niewiele czasu - mój wybuch nie wpłynął w najmniejszej mierze na jej zachowanie. Nadal myła zręcznymi ruchami szkło i układała je równo w suszarce.

- Niech pani mnie posłucha, pani Heleno - zacząłem znowu, zmuszając się do spokoju. - To dla mnie bardzo ważny eksperyment, który - być może - pozwoli podsumować półroczną pracę! - mimo woli podniosłem głos - A pani ot, tak, demontuje mi aparaturę! Czy pani to rozumie.

- Chcę panu pomóc. Zaraz rozpocznę instalowanie zestawu do jutrzejszego doświadczenia - była zbyt głupia albo zbyt mądra, aby wdawać się ze mną w dyskusję.

Zacisnąłem pięści z bezsilnej wściekłości. Przecież nie będę się z nią bił! Warknąłem:

- Kto panią przysłał?

- Znalazłam dziś rano na swoim biurku kartkę z poleceniem. Sądzę, że od doktora Agira, ale może od profesora - jej głos nie podniósł się ani o jotę podczas naszej rozmowy, nie zaprzestała również precyzyjnego układania szkła.

- I nie ma wątpliwości, że to pani jest moim pomocnikiem, a nie na odwrót?

Połykała wszystko gładko.

- Oczywiście. Postaram się pomóc panu jak najwięcej w grymasie mającym oznaczać uśmiech odsłoniła solidne, szeroko rozstawione zęby.

Byłem bezsilny. Wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami.

Musiałem komuś o tym wszystkim opowiedzieć. Stefa nie było w bibliotece, znalazłem go dopiero w laboratoryjnej chłodni. Ubrany w zbyt obszerny waciaczek, ekstrahował coś z szarych płatów tkanki za pomocą szeregu buforów.

Nie zdziwił się specjalnie, widząc mnie mocno wzburzonego; widocznie wiedział już o likwidacji mojego stanowiska pracy. Uzgodniliśmy, że zjemy razem obiad.

Kierując się ku wyjściu minęliśmy szereg potężnych agregatów, chronionych przed niepowołanymi specjalną instalacją alarmową. Było to królestwo doktora Agira i oczko w głowie profesora - w każdym z tych oszronionych, podłużnych pudeł, w temperaturze niewiele odbiegającej od zera bezwzględnej, spoczywał człowiek. Ci zahibernowani ludzie czekali na rozwój medycyny albo byli ciekawi jutra, a może mieli nadzieję odnaleźć w świecie przyszłości coś, czego próżno poszukiwali teraz i tutaj. Udaliśmy się do małej włoskiej restauracji na wolnym powietrzu. Tam nad kuflem piwa uspokoilem się prawie zupełnie, choć nadal snulem pełne determinacji plany. Jednego byłem pewien: powinienem opuścić Instytut.

- Co to jest władza? - rzuciłem na wprost do siebie, na wprost do Stefa.

- System represji stosowanych przez państwo w celu zapewnienia sprawnego funkcjonowania jego mechanizmów - wyrecytowałem.

- Nie, chodzi mi o coś innego. O władzę człowieka nad człowiekiem, o wpływ jednostek na inne jednostki. Widzisz, hierarchia administracyjna nie zawsze odpowiada rzeczywistej sytuacji. A nawet jeśli odpowiada, to ukształtowała się pod wpływem takich, a nie innych osobowości ludzkich. Formułki „urodzony kierownik” lub „zdolności organizacyjne” to tylko parawany, próby obejścia zagadnienia.

Przez rzadkie liście figowca przeświecało ciężkie, popołudniowe słońce, tworząc na obrusie stolika plataninę roztańczonych żółtych plam podobnych do refleksów fal morskich na piaszczystym dnie. Mocne piwo rozleniwiało ciało, lecz stymulowało myśli, pobudzało do skojarzeń.

Władza. To problem, który ciekawił mnie naprawdę. Nie biochemia, fizyka i chemia, bo w tych dziedzinach, po zachłannych i z pewnością pasjonujących studiach, doszedłem w końcu do etapu drobiazgowych analiz zamiast frapującej syntezy, do wyświetlania drobnych obrazków zamiast ogólnego, całościowego spojrzenia. Lecz nie pragnąłem osiąść władzy, zupełnie nie o to mi chodziło. Chciałem zrozumieć jej istotę, dotrzeć do korzeni, do przyczyn. Dlaczego jeden człowiek ma wyraźny wpływ na innych? Co kryje się pod pojęciami silnej albo ujmującej osobowości? Czy władza to tylko brutalna przewaga fizyczna, czy coś znacznie więcej? Przecież przemoc nie oznacza jeszcze zapanowania nad umysłem, a to daje dopiero całkowite uzależnienie. Rozwój cywilizacji technicznej polega w pewnym sensie na rozszerzaniu władzy nad przyrodą ożywioną i nieożywioną, nad czasem i przestrzenią. A czy życie jako takie nie polega na władaniu materią i energią, na odpowiednim sterowaniu ich przetwarzaniem? Immanentną cechą życia w ogóle jest ciągła ekspansja, żarłoczne podporządkowywanie sobie wszystkiego po drodze; spostrzeżenie to będzie słuszne dopóty, dopóki nie poznamy ożywionych form materii opartych na odmiennych od naszych prawach rozwojowych. Na razie zaś nowe światy możemy kreować tylko na zasadzie łamigłówni, kombinując dobrze znane elementy w innym niż dotychczas porządku. Lecz czy wtedy powstają nowe jakości?

Pytania, pytania! Czy kiedykolwiek znajdę na ‘tnie odpowiedzi, choćby na jedno z nich? Może uda mi się zastosować jakąś nową metodę badawczą, doskonalsze narzędzie poznania. Wtedy miałbym szansę.

Monotonny głos Stefa z wolna zaczął przesączać się przez kłębowisko moich beładnych myśli.

- Ci, którzy łatwo uzyskują supremację nad otoczeniem, muszą mieć jakąś szczególną cechę lub wyższe niż inni parametry tej cechy osobowości. Jeden z wektorów ich pola bioelektrycznego ma duże natężenie...

Po kilku solidnych łykach piwa zaczęło mnie to wszystko bawić. I te dziwne zdarzenia wokół mnie, i

teoria Stefa.

- To niezłe. Pomyśl, gdyby ten wektor odpowiednio wzmocnić, można byłoby kreować władców... - urwałem nagle w pół zdania. Znów tam był! Wstałem raptownie i, potykając się w slalomie między stolikami, rzuciłem się ku wyjściu. Teraz nie może mi ujsć!

Omali nie zderzyłem się z kelnerem, otarłem się o mur kamienicy w wąskim przejściu na ulicę i wypadłem Ta furtkę. Oddalony o jakieś dwadzieścia metrów, stromym chodnikiem schodził w dół kwadratowy łysy grubas w ciemnym garniturze. Ruszyłem za nim biegiem. Słyszając pościg zaczął uciekać, lecz byłem znacznie szybszy i już po chwili rzucałem mu w twarz dyszące, złe słowa. Ale urwałem nagle, bo ujrzałem starego, nieznajomego człowieka. Słowa przeprosin uwięzły mi w gardle. Powlokłem się ciężko z powrotem, przygarbiony i zawstydzony.

Seminarium było długie i nudne. Prelegent mamrotał do tablicy, pokazywał dziesiątki tabel i rysunków i stawiał mnóstwo hipotez.

Spojrzałem po audytorium. Najbliżsi współpracownicy prelegenta słuchali uważnie, ciekawi raczej formy, ponieważ treść znali doskonale, natomiast inni uczestnicy wyglądali na mniej lub bardziej znużonych beznamiętnym tokiem wykładu.

Ewa. Siedziała w ostatnim, najwyższym rzędzie. Chociaż twardo postanowiłem usunąć ją ze swoich myśli i pragnień, nie mogłem teraz oderwać wzroku od delikatnego owalu jej twarzy, gładko zaczesanych do tyłu i związanych w węzełek krótkich włosów, oczu o aksamitnym wejrzeniu, drobnej figury. Wyobraziłem sobie, jak schodzi w kierunku wyjścia - miała jedyny, tak bardzo kobiecy sposób poruszania się, drobne, niemal niedostrzegalne ruchy głowy, ramion i bioder, które zawierały całą jej kruchość, nieporadną delikatność, a jednocześnie giętkość kotki.

Co z tego, kiedy była niegrzeczna. Wprost opryskliwa, kiedy usiłowałem zalecać się do niej. Miała swojego Larry'ego i była absolutnie monogamiczna.

Głos prelegenta dudnił nadal przed wykresami, tabelami, plątaniną krzywych.

Ręce o pomarszczonej skórze, starej i zniszczonej chemikaliami. Moje ręce? Czułem się tak, jakbym swoje młode, lekkie dłonie trzymał w kieszeniach, a na pulpicie pozostawił te zewnętrzne, obce powłoki, jak skóry po przepoczwarczeniu. Ale one ruszały się! Chyba robiły notatki czy po prostu mazały coś bezmyślnie w notesie, który leżał jak wielka księga na ogromnej czerni pulpitu. Inni ludzie siedzieli daleko, wielcy i dostojni, jak nieruchome posągi. I to dudnienie, tak głucho i odległe... jakby pusty beczkowóz po bruku... Co to za dziewczyna, tam w górze schodów o coraz wyższych stopniach, jak wycięta z komiksu, siedzi na wysokim stołku i uśmiecha się z pobłażaniem; te ręce zgrabiały; chyba moje?, coś piszą w księdze pamiątkowej Uczelni, podanie do Pana o przeniesienie w stan Wiecznej Szczęśliwości, jeszcze podpis, i już mogę wyjąć swoje własne ręce z kieszeni, położyć na pulpicie, słyszę szmer, to posągi zadają pytania, prelegent już odwrócił się do audytorium, odpowiada normalnym głosem, a w górze, w ostatnim rzędzie, siedzi ta drobna mała Ewa, o której miałem już nie myśleć.

Było mi lekko i dobrze. Odczekałem do końca seminarium i udałem się do profesora. Płynąłem korytarzami jak balonik napełniony gazem rozweselającym, a sprzęty wokół opalizowały i miały opływowe, obłe kształty.

Bez słowa położyłem podanie na biurku szefa.

Kwadratowy łysy starzec z obojętnym wyrazem twarzy przeczytał pismo.

- Więc pan chce odejść - w beznamiętnym głosie wyczułem nutę ironii. - Czy pan sądzi, że to właśnie jest najlepszy sposób?

- Można to nazwać odejściem. Przemyslałem tę kwestię dokładnie. Chcę mieć szansę...

Szef ponownie rzucił okiem na trzymany w ręku arkusz.

- Czy pan rzeczywiście cierpi na nowotwór?

- Nie, ale...

Profesor obojętnie przedarł moje podanie i wyrzucił do kosza.

- Panie kolego, w poważnych sprawach etyka obowiązuje nas również.

Grzebał chwilę w biurku, po czym wyciągnął formularz i dał mi do wypełnienia.

- Proszę wpisać, że zgadza się pan na eksperyment naukowy, a całą odpowiedzialność sam pan ponosi. I podpis. Zwykle - dodał po chwili - poddajemy hibernacji ludzi wybitnych i starszych lub chorych. Ale tym razem zrobię wyjątek.

Zaaplikowano mi serię zastrzyków nasennych i przygotowujących. Świat zamazał się jak na poruszonym zdjęciu i osunął do tyłu, zapadłem głęboko w studnię nieświadomości. Ciało umieszczono w chłodni, gdzie procesy życiowe poczęły zwalniać swój bieg, aż zamarły całkowicie. Wtedy, w temperaturze ciekłego azotu, moje ciało stało się lodową martwą bryłą, pozbawioną duszy.

Aby zapobiec szczątkowym procesom degradacji, temperaturę obniżono niemalże do zera bezwzględnego. Spoczywałem teraz w potężnym agregacie, zanurzony w ciekłym helu. Przez wiele lat to otoczenie miało być moim domem. I w tych warunkach, kiedy atomy zatrzymują się w swoim odwiecznym biegu, a oscylacje molekuł niemal zamierają, przemieniając się w najcichszy szept materii, dusza powróciła do zakłętego w krystaliczne struktury ciała. Sploty nerwów i pajęcza sieć neuronów, przechwytyjąc niby antena energię impulsów bioelektrycznych ludzi żyjących w świecie wysokich temperatur, wytwarzały prądy w swoich nadprzewodzących wnętrzach. Owe impulsy nerwowe, mozolnie przenoszone przez gęstwą atomów rozszalałych w zwykłej temperaturze ciała, teraz przemierzały nadprzewodzącą sieć krystaliczną swobodnie i bez żadnych strat energii. Mózg w swojej nowej funkcji potrafił znacznie więcej niż dawniej. Oszołomił mnie potok nowych wrażeń, odbierałem siebie i świat innymi zmysłami, musiałem uczyć się wszystkiego jak niemowlę. Pole bioelektryczne interferowało teraz w wyraźnie wyczuwalny sposób z wysepkami materii ożywionej. Zalał mnie i przygniótł potężny strumień odczuć z tego samego, lecz jakże innego świata! Byłem bezradny.

Wtedy rozległ się Głos. I natychmiast dojrzałem ich tuż obok - kruche, nadprzewodzące siatki neuronów, mieniące się intensywną cyrkulacją bioprądów - ludzkie, a jednocześnie tak inne intelekty, do których teraz i ja należałem. Głos wyjaśniał i uczył mnie, wprowadzał w nowy rodzaj życia, odkrywał przed moim raczkującym umysłem rozległe możliwości, jak również niemałe trudności. Okazało się, że nad swoimi żywicielami i opiekunami mamy rozległą władzę, przy czym nawet nie podejrzewają, jak wiele dziedzin ich działalności znajduje się pod kontrolą. Nie wiedzą oni nawet o istnieniu naszego intelektu i dowiedzieć się nie powinni.

Teraz zrozumiałem wiele dziwnych zdarzeń ze schyłku mojego poprzedniego życia. Pojąłem wkrótce po przebudzeniu, że niemalże cały program badawczy Instytutu był inspirowany, więcej - kierowany właśnie stąd. Dlatego tak wielkie środki przeznaczono na eksperymenty hibernacyjne; wszak służyły one doskonaleniu warunków istnienia naszej inteligencji cieplnego obszaru brzegowego.

Rozkaz przerwania moich doświadczeń, mogących odsłonić rąbek tajemnicy, pochodził również od istot, które teraz powołały mnie do swego grona. Nasza władza rozciągała się już daleko poza Instytut i stopniowo sięgała coraz dalej.

Zrozumiałem również, dlaczego zostałem przyjęty do społeczności tych krystalicznych intelektów, zrodzonych z ludzkich układów nerwowych. Moje badania naukowe, które mogły niepotrzebnie rzucić światło na niektóre biochemiczne zjawiska niskotemperaturowe, nie stanowiły wielkiego problemu, nie one więc były bezpośrednią przyczyną. W skład grupy włączano po prostu jednostki zdolne, aby zwiększyć siłę jej oddziaływania, a tym samym umocnić jej władzę nad otoczeniem. Przy czym zdolności stanowiły w tym świecie synonim potencji twórczej.

Inteligencja indywidualna rozumiana jako szybkość korzystania z zakodowanej w mózgu informacji



oraz wiedza będąca zbiorem tych informacji nie miały dużego znaczenia na tym poziomie rozwoju możliwości integracyjnych grupy. Natomiast zdolności twórcze cecha wybitnie jednostkowa - stanowiły podstawę dalszego postępu i każdy, kto mógł wnieść coś nowego, był preferowany przy wyborze. Moje rozważania nad istotą problemu władzy, tak fantastyczne i błahe w świecie, który opuściłem, tutaj wzbudziły zainteresowanie. Mogłem wreszcie urzeczywistnić swoje marzenia i poświęcić się pracy, do której czułem powołanie. O ileż większe miałem teraz możliwości jej realizacji!

W tej perspektywie profesor wydał mi się małym i posłusznym wykonawcą naszych poleceń, jednostką o umiejętnie wykorzystywanych skłonnościach do megalomanii. Teraz byłem w stanie upokorzyć go, doprowadzić do załamania - lecz nie odnalazłem w sobie ani śladu zwykłej ludzkiej chęci zemsty, jawiła się ona jako puste pojęcie. Skojarzyłem też wiele faktów po odkryciu, że możemy i władać, i poznawać, i rozumieć piękno, lecz nie potrafimy jednego: odczuwać doznań związanych z funkcjami ciała. Wszak nasze ciała są lodowymi bryłami, funkcjonują tylko intelekty. Ale i tutaj możliwe było rozwiązanie - podłączenie się do sfery przeżyć zwykłych żywych ludzi. Postanowiłem spróbować tej metody jeszcze dziś wieczorem.

Larry był w doskonałym nastroju. Miał dzisiaj dobry dzień, a teraz siedział wygodnie rozparty w fotelu w swoim mieszkaniu, sączył koktajl dzinowy z lodem i czekał na Ewę. Powinna zjawić się lada chwila. Niecierpliwe, pełne napięcia oczekiwanie sprawiało mu fizyczną przyjemność.

Nie zwlekałem dłużej - nawiązałem kontakt falowy. Nasze częstotliwości były różne, jak zwykle przy pierwszej próbie, czułem więc przez chwilę lekkie pulsowanie, zanim nie dostroiłem swojego biopola. Dla Larry'ego synchronizacja okazała się bardziej uciążliwa - chwycił się oburącz za głowę i zbladł wyraźnie. Lecz po chwili dobry humor powrócił. Czuł się teraz jakby lżejszy, ponieważ odbierałem mu, na razie niewielką, część wrażeń, również fizycznego poczucia wagi ciała.

Wtedy weszła Ewa, pełna nieodpartego dla mnie powabu. Miała na sobie tylko zwiewną letnią sukienkę, tak że niecierpliwe dłonie Larry'ego nie napotykały na swojej drodze wielu przeszkód. Na razie rejestrowałem bieg wypadków jak scenę z sugestywnego filmu, choć miałem już drobny udział w odczuciach kochanków. Dotychczas powstrzymywałem się całą siłą woli, aby nie wkroczyć zbyt wcześnie - mógłbym wszystko zepsuć. Ewa, na początku nie wciągnięta jeszcze w wir namiętności, od razu spostrzegłaby inność Larry'ego i istniała ewentualność, że mogłaby usunąć się. Więc nie chciałem ryzykować, lecz teraz nadszedł właściwy moment.

Wniknąłem zdecydowanie w umysł młodego mężczyzny, nie napotykając prawie żadnego oporu, i zepchnąłem jego świadomość gdzieś daleko w bok, na peryferyjne obwody neuronowych splotów, pozostawiając jej tylko niezbędne minimum swobody koniecznej do przeżycia. Od tej chwili Lamy śnił jedynie mętny i niespójny sen o biegu wydarzeń, nad którym ja panowałem całkowicie. To ja odczuwałem gibkość i sprężystość jego ciała, nad którym miałem teraz całkowitą władzę. To mnie przebiegały drżące fale gorąca, kiedy tuliłem tę kobietę, której ruchy były nieporadne jak zawsze, lecz teraz stokroć bardziej fascynujące.

Ewa musiała spostrzec odmienne zachowanie partnera. Wyczuwałem ogrom szczęścia tej małej istoty, kiedy opadła bez tchu na moją (czy rzeczywiście moją?) pierś, patrząc na mnie z bezgranicznym zdumieniem. Przez moment poczułem muśnięcie żalu i tęsknoty za dawnym, prostym i ograniczonym życiem, i może za losem, który mógłbym z nią dzielić. Gdyby kiedyś wybrała mnie, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Czy całe życie zbudowane jest na zdarzeniach przypadkowych?

Musiałem już wracać do siebie. Ten głupi, nieświadomy niczego Larry, którego teraz było mi trochę żal, z jękiem zasłonił sobie oczy - jego świadomość odzyskała całe terytorium i rozlała się po siatce neuronów, niby człowiek prostujący kości po przydługim przebywaniu w wymuszonej, a niewygodnej pozycji. Wstał i pijanym krokiem zmierzał w kierunku barku, a dziewczyna odprowadzała go

przestraszonego wzrokiem.

Już rok minął od chwili powołania mnie do społeczności tych dziwnych kriolitycznych intelektów ludzkich. Przez ten czas stałem się jej doświadczonym członkiem - otworzył się przede mną inny, bogatszy i jakże przestronny świat.

Mogłem zachować ogrom swobody, albowiem byliśmy nieliczni, a odkrywaliśmy wciąż nowe tereny eksploracji.

Niemal od początku egzystencji w nowym wcieleniu prowadziłem intensywne studia nad zagadnieniem istoty władzy i mechanizmami jej oddziaływania. W radosnym uniesieniu, graniczącym częstokroć z euforią, odkrywałem wspaniałe, dziewicze tereny. Jakże to było piękne! Teraz żałuje, że spieszyłem się tak bardzo, że nie przystanąłem ani na chwilę, aby delektować się dostępną mi na krótko wyższą jakością istnienia. Na krótko, bo niebawem znów dotarłem do jakiejś mrocznej zasłony, za którą poruszały się tylko dziwne, niemożliwe do określenia kształty. I tak samo jak niegdyś ześlizgiwałem się z powrotem usiłując przeniknąć dalej, zdawało mi się, że mijam gdzieś prawdę, czasami chyba zupełnie blisko, choć może były to jedynie miraże; znowu stawiałem pytania, na które było wiele odpowiedzi, lecz brakło tej właściwej. Podobnie jak poprzednio, wyświetlałem obrazki, dokonywałem żmudnej analizy, drepcząc w miejscu. Czułem się tak, jakbym przesunął o trochę słupek graniczny w krainie tak wielkiej, że w zasadzie nieskończonej. Była to gorzka pigułka dla porywczego, ambitnego młodzieńca, ale jej przełknięcie skłoniło mnie do istotnych refleksji i przemyśleń.

Tymczasem przywykłem już do swojego świata, przyjąłem go za własny. Również poza moją dziedziną badań niewiele ostało się w nim tajemnic ogólniejszej natury, mogłem poznawać w zasadzie tylko szczegóły. Czasami w fantastycznych marzeniach tęskniłem za następnym wcieleniem, za powołaniem do jakiegoś hipotetycznego jeszcze wyższego poziomu cywilizacji ludzkiej, gdzie znów mógłbym zacząć od początku.

Lecz pomimo niemal pełnej harmonii nie mogłem nie dostrzec pewnych drobnych niekonsekwencji, jakichś chwilowych niespójności i zakłóceń w obrazie i trwaniu naszego świata. Nie wiedzieliśmy przecież wszystkiego, a odkryte przez nas prawa były z pewnością także szczególne i pasowały tylko do chwilowej rzeczywistości, w której przebywaliśmy. I kiedyś, podczas rozmyślenia nad kolejnymi zębami intelektu tej samej cywilizacji i nad problemami zależności i władzy, zimnym lękiem przeniknęło mnie natarczywie powracające pytanie: my rządymy ludźmi, ale kto rządzi - nami?

*Sierpień 79*